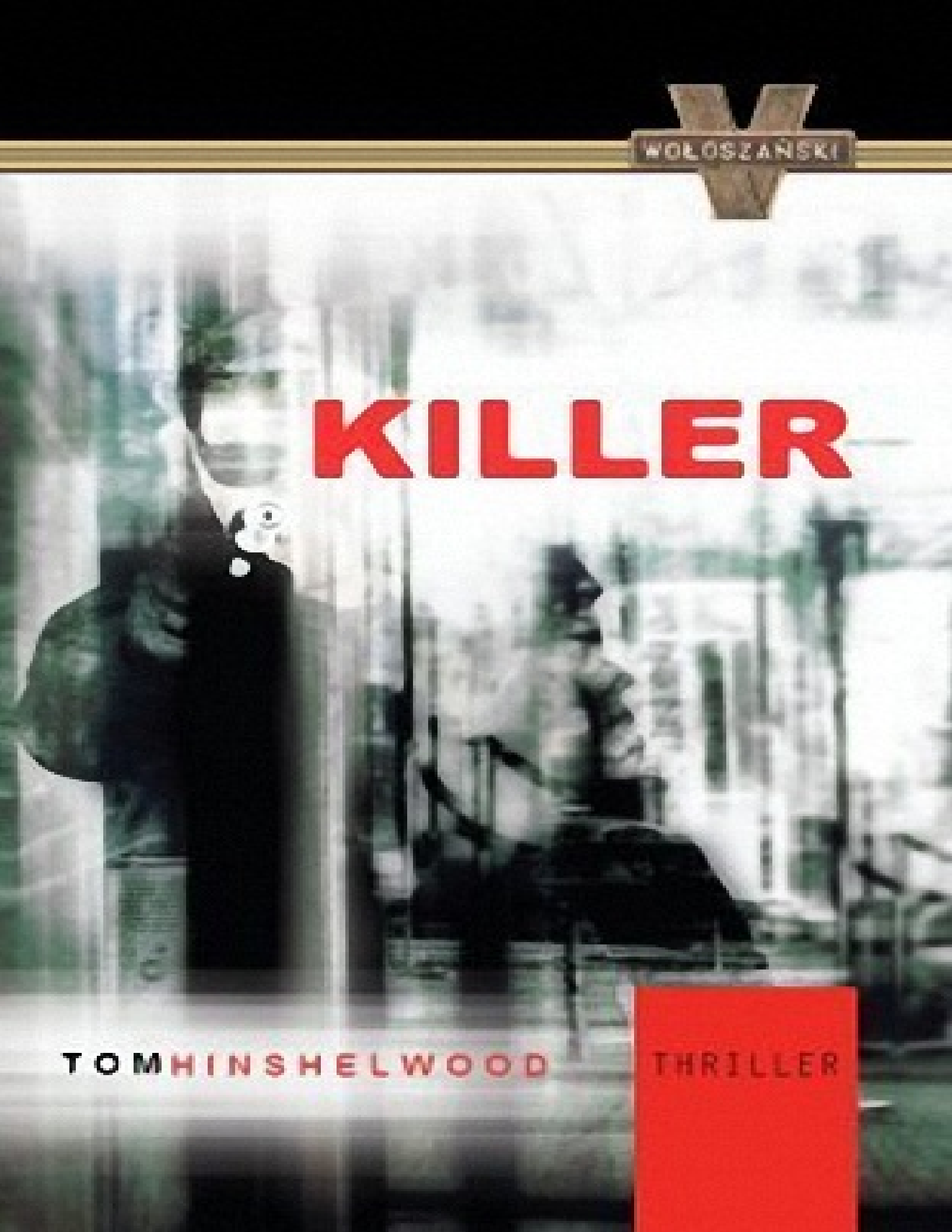




WOŁOSZANSKI



KILLER

TOM HINSHELWOOD

THRILLER



Tom Hinshelwood

Killer

The Killer

Tłumaczenie

Jerzy Wołk-Łaniewski

ROZDZIAŁ 1

PARYŻ, FRANCJA

PONIEDZIAŁEK 06:19 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Cel wyglądał starszej niż na fotografiach. Poświata latarni podkreślała głębokie bruzdy na twarzy i bladą, niemalże chorobliwą cerę. Zdawał się spięty - rozsadzała go nerwowa energia albo nadmiar kofeiny. Trzydzieści sekund później przestało mieć to znaczenie.

Według danych w aktach cel nazywał się Andris Ozols. Obywatel Łotwy. Pięćdziesiąt osiem lat. Sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Siedemdziesiąt dwa kilo.

Praworęczny. Brak widocznych blizn. Siwiejące włosy i wąsy krótko, schludnie przycięte.

Niebieskokoki. Ze względu na krótkowzroczność nosił okulary. Był elegancko ubrany, spod płaszcza wystawał ciemny garnitur. Buty lśniły. Do brzucha przyciskał niewielką skórzaną dyplomatkę.

Wchodząc w zaułek, Ozols spojrział przez ramię. Po amatorsku - zbyt otwarcie, by zaskoczyć ewentualny ogon i zbyt krótko, by w ogóle kogoś dostrzec. Doświadczenie nauczyło Wiktora, że ludzie często za bardzo przejmowali się tym, co mogło być za nimi, zamiast uważnie patrzeć przed siebie. Ozols nie zauważył mężczyzny stojącego w cieniu zaledwie kilka metrów od niego. Mężczyzny, który miał go zabić.

Wiktor poczekał, aż cel wyjdzie z kręgu światła, a następnie pewnie i gładko pociągnął za spust.

Stłumione odgłosy strzałów zakłóciły spokój wczesnego poranka. Dwie kule, jedna po drugiej, trafiły w mostek. Były to osłabione pociski kaliber pięć i siedem dziesiątych milimetra o poddźwiękowej prędkości początkowej, nieustępujące skutecznością potężniejszym ładunkom. Ołów w miedzianym płaszczu przebił skórę, kość i serce, po czym utkwił w kręgosłupie. Ozols upadł do tyłu, z głuchym odgłosem uderzając o ziemię. Wyrzucił

przy tym ramiona, a głowa opadła mu na bok.

Wiktor wyszedł z cienia i zrobił krok do przodu. Wycelował pistolet FN Five-seveN i strzelił w skroń mężczyzny, który już nie żył, ale ostrożności nigdy za wiele.

Łuski po pociskach uderzyły o bruk i wpadły do spowitej pomarańczową poświatą kałuży. Słychać było cichy świst, dochodzący z dziur po kulach w klatce piersiowej Ozolsa. Z

płuc uchodziło powietrze, którego Łotysz nie zdążył już wypuścić.

Poranek był ciemny i zimny. Nadciągający świt dopiero zarysowywał się na wschodnim widnokręgu. Wiktor znajdował się w centrum Paryża, wśród wąskich alei i krętych przecznicy. Zaułek był cichy, niewidoczny z okien, mimo to przez chwilę upewniał się, czy nikt nie był świadkiem popełnionego zabójstwa - usłyszeć nie miałby jak. Przy poddźwiękowej amunicji i tłumiku odgłos każdego strzału został zdławiony, pozostawała jedynie ewentualność, że ktoś w tym miejscu postanowił ulżyć pęcherzowi.

Stwierdził z zadowoleniem, że jest sam. Kucnął obok ciała, uważając przy tym, aby nie pobrudzić się krwią wyciekającą z sześciomilimetrowej dziury wylotowej w skroni ofiary.

Otworzył dyplomatkę i zajrzał do środka. Przedmiot, którego szukał, był w środku, lecz poza tym teczka była pusta. Wziął go i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Był to pendrive. Mały i nieszkodliwy - trudno sobie wyobrazić, by stanowił wystarczający powód dla zabicia człowieka, ale tak właśnie było. Powód dobry jak każdy inny, przypomniał sobie.

Zabójca lubił tłumaczyć sobie, że zarabiał na tym, w czym ludzkość wprawiała się od tysiącleci. On sam stanowił jedynie owoc ewolucji.

Dokładnie obszukał ciało, by mieć pewność, że nie przeoczył niczego ważnego.

Znalazł różne śmieci i portfel. Otworzył go i nachylił do światła. Wewnątrz - nic nadzwyczajnego - karty kredytowe, prawo jazdy na nazwisko denata, gotówka oraz wyblakła fotografia Ozolsa w towarzystwie żony i dzieci. Zdrowa, dobrze wyglądająca rodzina.

Odłożył portfel i wstał, w myślach podliczając wystrzały. Dwa razy w klatkę piersiową, raz w głowę. W magazynku FN pozostawało siedemnaście naboje. Prosty rachunek, ale należał do procedury. Wiedział, że w dzień, w którym straci rachubę co do amunicji, nacisnąwszy spust usłyszy jedynie straszne kliknięcie oznaczające zgubę. Słyszał je raz z broni trzymanej przez kogoś innego i poprzysiął sobie, że sam w ten sposób nie zginie.

Kolejny raz omiół spojrzeniem okolicę. Nie widać było nikogo, żadnego samochodu, nie słychać było kroków. Odkręcił tłumik i schował go do kieszeni płaszcza. Z założonym tłumikiem pistolet był za długi, by go dobrze ukryć czy szybko wydobyć. Obrócił się w miejscu, odszukał i podniósł z ziemi trzy łuski po pociskach, zanim dopłynęła do nich krew.

Dwie nadal były gorące, tylko ta w kałuży zdążyła ostygnąć.

Na niebie jaśniał półksiężyc. Gdzieś, ponad gwiazdami, wszechświat ciągnął się bez końca, lecz z miejsca, w którym stał, świat wydawał się mały, a czasu brakowało.

Tętno miał miarowe, lecz o mniej więcej cztery pełne uderzenia na minutę przekraczało typową wartość w stanie spoczynku. Podwyższony puls był dla niego zaskoczeniem. Naszła go ochota na papierosa. W ostatnich dniach nachodziła go bez przerwy.

Wyszedł z zaułka, bezgłośnie stawiając buty na twardym i nierównym podłożu.

Przebywał w Paryżu od tygodnia, wyczekując sygnału do działania i cieszyło go, że robota dobiegła niemal końca. Pozostawało tylko podrzucić zdobyty przedmiot i poinformować o tym pośrednika. Zlecenie nie było trudne, a tym bardziej ryzykowne. Jeśli już „jakieś”, to najwyżej proste, wręcz nudne. Standardowe „zabij i zainkasuj”. Klient był gotów zapłacić horrendalną sumę za zadanie, które mógłby wypełnić byle amator. Jednak jakieś przecucie ostrzegało go, że wszystko poszło zbyt łatwo.

Nim zniknął w miejskim gąszczu, po raz ostatni spojrzął na człowieka, którego zabił

bez słowa i wyrzutów sumienia. W słabym świetle dojrzał wpatrzony w niego oczy ofiary, których białka w wyniku krwotoku poczerniały.

ROZDZIAŁ 2

08:24 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Było ich dwóch.

Średniej budowy ciała, w codziennych ciuchach, nie zwracali na siebie uwagi poza tym, że byli wręcz zbyt przeciętni. W tłumie zwyczajnych ludzi wtopiliby się w otoczenie.

Lecz nie tutaj. *Hôtel de Ponto* znajdował się na sztywnej paryskiej ulicy Faubourg Saint-Honoré, gościł zamożnych turystów oraz ważnych biznesmenów ubranych w kreacje znanych projektantów.

Wiktor spostrzegł ich, gdy tylko przekroczył próg głównego wejścia. Stali przed windami w odległym końcu holu, odwrócenii do niego plecami. Obaj pozostawali w całkowitym bezruchu - jeden z rękami w kieszeni, drugi założył je z przodu - i czekali.

W głównym holu, w którym przebywało około tuzina osób, panował spokój. Podłoga i kolumny wykonane były z marmuru. W

całym pomieszczeniu rozstawiono egzotyczne rośliny doniczkowe, w narożnikach umieszczono zielone skórzane fotele, po środku zaś pozostawiono wolną przestrzeń. Ruszył w stronę recepcji, która ciągnęła się wzdłuż ściany po jego prawej ręce. Pomimo potencjalnego zagrożenia szedł rozluźniony spokojnym krokiem.

Przez cały czas kątem oka obserwował mężczyzn, gotów działać, gdyby któryś z nich spojrzął

w jego kierunku. Nie miał co do nich pewności, w jego branży zagrożenie należało uznawać za realne aż do chwili, gdy okaże się, że nim nie jest. W holu był odsłonięty i wystawiony na atak, jednak jego zachowanie w żaden sposób nie zdradzało niepokoju. Nie zwracał na siebie uwagi pozostałych osób, zachowywał się i wyglądał zupełnie jak one.

Powszechnie przyjęło się, że płatni zabójcy ubierają się na czarno, ale jemu niezbyt zależało na podtrzymywaniu tego stereotypu. Jak większość ludzi, dobrze prezentował się w czerni - wręcz zbyt dobrze jak na kogoś, kogo życie zależało od tego, aby nie rzucić się w oczy. W grafitowym garniturze, białej bawełnianej koszuli i jednobarwnym srebrnym krawacie w każdym calu przypominał szacownego biznesmena. Wełniany garnitur był

doskonałej jakości, aczkolwiek o jeden numer za duży, dzięki czemu zwiększał swobodę ruchów w biodrach, udach, ramionach i barkach, jednak nie wyglądał przy tym na niedopasowany. Czarne wypolerowane buty miały grubą, profilowaną podeszwę i sięgały do kostek. Okulary miał proste, a fryzurę wręcz nudną.

Ubranie dobrał tak, by stworzyć wrażenie osoby neutralnej i nijakiej. Ktoś pragnący dokładnie opisać jego wygląd miałby z tym problem. Był człowiekiem w garniturze, podobnie jak miliony innych. Pominawszy łatwe do zdjęcia okulary, jedynym szczegółem wyglądu, jaki mógłby rzucić się w oczy, a który służył jedynie odwróceniu uwagi, była broda, którą planował później zgolić. Był schludny, lecz nie elegancki, porządny, ale zwyczajny, pewny siebie bez popadania w arogancję. Wyglądał jak ktoś, o kim łatwo zapomnieć.

Podszedł do recepcji i grzecznie uśmiechnął się do kruczowłosej recepcjonistki, odrywając ją od dotychczasowych zajęć. Przykuwała wzrok opalenizną i dużymi oczami, subtelnie i zręcznie je uwydatniając. Odpowiedziała sztucznym uśmiechem. Choć dobrze to skrywała, zauważył, że zdecydowanie wolałaby być teraz gdzie indziej.

- *Bonjour* - zaczął, nie podnosząc zbyt głośno głosu. - *Je suis de la chambre 407, je m'appelle Mr Bishop. Pouvez-vous me dire si j'ai reçu des messages* 1?

- *Un moment, s'il vous plaît* 2.

Recepcjonistka sztywno skinęła głową i spojrzała do rejestru. Na ścianie za biurkiem wisiało duże lustro, w którym obserwował odbicia dwóch podejrzanych gości. Drzwi windy otworzyły się i rozstąpili się, by przepuścić wysiadającą parę, potem obaj wsiedli. Spojrzął na ich dłonie. Mieli rękawiczki.

Przesunął się, by móc zobaczyć odbicie wnętrza windy, ale zdołał dojrzeć tylko jednego mężczyznę. Trzymał przy tym głowę przechyloną na bok, zasłaniając częściowo twarz na wypadek, gdyby obserwowany spojrzął w jego stronę. Gość miał bladą cerę i prostokątną, gładko ogoloną twarz. Był skupiony, spoglądał prosto przed siebie, a ręce zwisały mu wzdłuż ciała. Rękawiczki zrobione były z brązowej skóry.

O ile nie miał zniekształconej klatki piersiowej, pod nylonową marynarką skrywał coś na kształt pistoletu. Rozwiały się wszelkie wątpliwości co do ich zamiarów.

Czyżby byli z policji? Uznał, że nie. Od zabicia Ozolsa minęły zaledwie dwie godziny i niemożliwe, by w tak krótkim czasie powiązano go ze zbrodnią. Nie byli to też agenci wywiadu - ci nie musieliby używać rękawiczek. Pozostali więc przedstawiciele tylko jednej branży. Zgadywał, że pochodzą z Europy Wschodniej, z Czech lub Węgier, a może z Bałkanów. To właśnie z Półwyspu wywodzili się wyjątkowo skuteczni zabójcy. Zauważył

dwóch, lecz równie dobrze mogło być ich więcej. Co dwie spluwy to nie jedna, zaś cały 1 Dzień dobry. Jestem z pokoju 407, nazywam się Bishop. Może mi pani powiedzieć, czy są dla mnie jakieś wiadomości?

2 Proszę chwilę poczekać.

zespół był z oczywistych przyczyn lepszym rozwiązaniem - zwłaszcza, gdy chodziło o zlikwidowanie doświadczonego płatnego zabójcy.

Tylko najlepsi mogli sobie pozwolić na pracę w pojedynkę.

Sposób, w jaki zachowywali się dwaj mężczyźni, wskazywał, że nie byli sami.

Zupełnie nie przejmowali się otoczeniem i własnym bezpieczeństwem. Znaczy, że byli kryci.

Znaczy - liczniejsza ekipa. Równie dobrze mogło być ich zarówno czterech, jak i dziesięciu.

Jeśli było ich więcej, nie dawał sobie większych szans na przeżycie.

Fakt, że wiedzieli gdzie się zatrzymał, dowodził ich profesjonalizmu bądź dokładności posiadanych informacji. Dopóki nie zorientuje się przeciwko komu przyszło mu działać, nie mógł sobie pozwolić na niedoceniając przeciwników. Musiał wyjść z założenia, że co najmniej mu dorównują. Gdyby się pomylił - tym lepiej dla niego.

Recepcjonistka skończyła przeglądać rejestr i pokręciła głową.

- *Monsieur, il n'y a aucun message pour vous* 3.

Podziękował. Zauważył, że na twarzy gościa w windzie zniknęło skupienie i na chwilę zastąpił je grymas bólu lub głębokiej koncentracji. Mężczyzna podniósł palec do prawego ucha, po czym spojrzał szybko na towarzysza. Spróbował powstrzymać drzwi przed zamknięciem, ale było za późno.

Nim winda się zatrzasnęła, Wiktor zdołał odczytać z ruchu warg pierwsze słowa:

- *Jest w holu...*

Używali radiostacji. A on został wykryty.

Obrócił się i zlustrował wzrokiem otoczenie, na kilka sekund zatrzymując się na każdym z ludzi na wypadek, gdyby przegapił pozostałych członków grupy. W obliczu niebezpieczeństwa, naturalną reakcją byłoby natychmiast przejść do działania. W ramach fizjologicznej odpowiedzi na zagrożenie jego nadnercza zalały układ krwionośny adrenaliną, aby przyspieszyć tętno i przygotować organizm do reakcji. Lecz on wolał nie polegać na instynkcie. W naturze wszystko ostatecznie sprowadza się do dwóch opcji - ucieczki bądź

walki. Z jego punktu widzenia sprawy rzadko przedstawiały się tak prosto.

Głęboko odetchnął, zmuszając organizm, by na powrót się uspokoił. Musiał pomyśleć.

Przez pośpiech mógłby popełnić błąd. W jego branży ci, którzy popełniali pierwszy błąd, zazwyczaj nie dożywiali okazji popełnienia drugiego.

W holu doliczył się dziesięciu osób. Mężczyzna w średnim wieku kierował się do przyległego baru w towarzystwie godnej pozazdroszczenia kobiety. Grupa starszych 3 Proszę pana, nie ma żadnych wiadomości dla pana.

siedziała sztywno w skórzanych fotelach i się z czegoś śmiała. Czarująca recepcjonistka powstrzymywała się od ziewnięcia. W stronę wyjścia zmierzał drący się do telefonu biznesmen. Nieopodal windy matka starała się zapanować nad kilkuletnim dzieckiem. Nie zauważył nikogo, kto mógłby być współnikiem tamtych dwóch, ale kolejni mogli właśnie wchodzić do hotelu przez służbowe drzwi na zapleczu albo przez kuchnię, jednocześnie odcinając wszystkie drogi ucieczki i zaciskając pętlę wokół ofiary. Podręcznikowy manewr.

Ale zupełnie daremny, jeśli ofiara nie znajdowała się tam, gdzie zakładano.

Z nieznanymi powodami nie zgrali się w czasie i plan, który realizowali, zawiódł. Byli zapewne zdezorientowani i przejęci faktem, że zostali zdemaskowani, a cel mógł się wymknąć. Stracili go z oczu i musieli znowu namierzyć. Mogli też porzucić wszelkie pozory dyskrecji i spróbować zabić go teraz, gdy wydawał się odsłonięty i zaskoczony. Tymczasem nie miał zamiaru dać się złapać.

Zwrócił się w stronę wyświetlacza nad drzwiami windy. Wskaźnik zatrzymał się na czwórce. Przez chwilę nie spuszczał go z oczu. Parę sekund później zaświeciła się trójka.

Winda zjeżdżała.

Nadjeżdżali.

Zerknął na główne wejście. Jeśli wyszedłby teraz, musiałby uporać się tylko z ekipą obserwującą hotel od zewnątrz. Mogli nie być przygotowani na ściganie go ulicą i jeśli będzie wystarczająco szybki, mógłby uciec bez jednego wystrzału. Ale ucieczka nie wchodziła w rachubę. W pokoju był jego paszport i karty kredytowe. Wystawione były na fałszywe nazwisko, ale tamci i tak wiedzieli o nim zbyt wiele.

Mógł skorzystać ze schodów, gdyby nie możliwość, że jeden z mężczyzn zbiegnie nimi, by go powstrzymać. Istniał jeszcze jeden problem. Był nieuzbrojony. Pistolet, którego użył do zabicia Ozolsa, został rozebrany na części, a każda z nich trafiła w inne miejsce.

Wrzucona do kanalizacji burzowej lufa wpadła do Sekwany, iglica i sprężyna spoczęły w kontenerze, a magazynek w koszu na śmieci. Z każdej broni korzystał tylko raz. Paradowanie z materiałem dowodowym nie było w jego stylu. Jeśli udałoby mu się dostać do zapasowej broni, mógłby się przynajmniej bronić. Niestety funkcjonowała tylko jedna winda. Na drzwiach drugiej umieszczono informację o awarii. Przeszedł przez hol i stanął przed windą, z której dopiero co skorzystali dwaj obserwowani przez niego faceci. Rozmasował kciukiem kostki prawej dłoni.

Dzyń! - winda zjechała do holu. Kiedy tylko drzwi zaczęły się otwierać, odsunął się na bok i przywarł do ściany w niewielkiej wnęce na automat z papierosami. Stanął bez ruchu, ignorując spojrzenie zdezorientowanego pięciolatka. Reszta obecnych była zbyt zajęta własnymi sprawami, by zwrócić na niego uwagę.

Jeden z zabójców wyszedł z windy i zrobił parę kroków w głąb holu. Drugi nie wyszedł za nim - a zatem było jasne, że zbiega kłatką schodową. Facet odwrócony tyłem do niego był krępej postury i miał gruby kark. Chód i sylwetka zdradzały w nim byłego wojskowego. Mężczyzna stanął niedbale, nie poruszając głową. Choć zdawał się tkwić w bezruchu, Wiktor wiedział, że właśnie omiata pomieszczenie spojrzeniem, nie skręcając przy tym szyi. Ruch gałek ocznych nie zapisuje się w świadomości postronnych, zwrot głowy już tak. Tym posunięciem gość zyskał nieco uznania w jego oczach. Nieświadomy, że cel już go rozpoznał, nie chciał się zdekonspirować. Był dobry, lecz nie na tyle dobry, by spojrzeć za siebie.

Wiktor zaczekał do ostatniej chwili i wślizgnął się do windy przez zamykające się drzwi. Wyminął zabójcę w odległości piętnastu centymetrów.

Na sekundę przed pełnym zamknięciem drzwi mężczyzna obrócił się. Ślepy traf. Przez moment patrzył prosto na Wiktora.

Błysk w oczach zabójcy zdradził, że rozpoznał cel.

Drzwi windy domknęły się.

ROZDZIAŁ 3

08:27 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor wykonał serię głębokich wdechów, wciągał powietrze aż do dna płuc, liczył w myślach do czterech i robił wydech, Krążąca w organizmie adrenalina przyspieszyła tętno, żeby lepiej zaopatrywać mięśnie w tlen. Jednak powyżej poziomu stu dwudziestu uderzeń na minutę spada zdolność precyzyjnego wykonywania czynności motorycznych wymagających drobnych ruchów mięśni, na przykład zgrywania muszki ze szczerbinką. Powyżej stu trzydziestu uderzeń zdolność ta praktycznie zanika, gdyż dla organizmu tego typu umiejętności nie są wtedy niezbędne do przeżycia.

Miał inne zdanie.

Poprzez spowolnienie oddechu zakłócił zwykły tryb funkcjonowania autonomicznego systemu nerwowego, skutecznie obniżając puls. Pewnych odruchów organizmu nie był w stanie powstrzymać, mógł jednak nimi kierować.

Doszedł do wniosku, że facet w holu nie będzie tracił czasu na kontaktowanie się z resztą ekipy, by poinformować, że został wykryty, a cel ucieka na wyższe poziomy. Mógł

wysiąść na którymkolwiek piętrze, znaleźć okno i w chwilę potem zniknąć. Potrzebował

jednak swoich rzeczy. Jeśli nie dotarliby do nich zabójcy, wcześniej czy później zrobiłyby to władze. W paszportach figurowały datowane stemple z różnych państw. Numery kart kredytowych można wysledzić. Znalezienie broni gwarantowałoby, że sprawdzą go pod każdym możliwym kątem. Wszystkie dokumenty wystawione były na fikcyjną osobę, ale używał ich już wcześniej. Zachował wszelkie możliwe środki ostrożności, lecz ktoś, kto wie jak szukać, zawsze odnajdzie jego trop. Nie mógł do tego dopuścić.

Winda minęła drugie piętro. Zachowując miarowy oddech, odliczał dłużące się sekundy, w końcu usłyszał *dzyn*.

Drzwi nie skończyły się jeszcze otwierać, gdy wypadł z kabiny i szybko ruszył w lewo, kierując się ku klatce schodowej na końcu korytarza, oddalonej od windy o jakieś dziesięć metrów. Zamknięte.

Usłyszał dwóch ludzi wbiegających po schodach. Byli wysportowani, silni i dzieliło ich od piętra około dwudziestu sekund. Wiktor potrzebował czasu dla zabezpieczenia swoich rzeczy - nie miał go. Musiał go zyskać.

W głębi korytarza na ścianie wisiał strażacki toporek. Rozbił łokciem szybkę i zdjął

go z uchwytów. Wrócił do drzwi prowadzących na klatkę schodową, wsadził ostrze pod klamkę, a trzonek zaparł o podłogę. Blokada wyglądała solidnie.

Poniżej skrzynki, z której zabrał toporek, znajdowała się gaśnica. Złapał ją i wycofał

się do windy. Kabina jeszcze nie zjechała. Nacisnął przycisk, by otworzyć drzwi.

Nagle drzwi od klatki schodowej zatrzęsły się, ale klamka się nie poruszyła. Bez względu na wywierany nacisk topór uniemożliwiał otwarcie drzwi. Napastnicy spróbowali raz jeszcze, z większą siłą, ale klamka ani drgnęła. Opuścili.

Ponownie skupił się na windzie. Umieścił gaśnicę w otwartych drzwiach, sięgnął do środka i wcisnął guzik parteru.

Drzwi dojechały do gaśnicy, zatrzymały się, cofnęły i zaczęły powtarzać cały cykl.

Uznał, że zyskał tym samym co najmniej dwie minuty. Potrzebował niespełna jednej.

Bezszelstnie dotarł do swojego pokoju i stanął pod drzwiami. Kolejni napastnicy mogli czekać w środku, ostrzeżeni i gotowi do akcji. Otworzył drzwi kopniakiem. Wszedł i kucnął, by głowa znalazła się poniżej środka ciężkości. Szybko ogarnął wzrokiem pokój i łazienkę.

Nikogo.

Było więc dwóch na klatce, ekipa obserwacyjna przed budynkiem plus zapewne inni gdzieś w hotelu. Byli nieźle zorganizowani. Jeśli byli naprawdę dobrzy, na budynku po drugiej stronie ulicy umieścili snajpera.

Wiktor trzymał się z dala od okna.

W łazience zdjął pokrywę zbiornika toalety i wyciągnął ze środka szczelne plastikowe torebki. Jedna z nich zawierała paszport, bilet na samolot oraz karty kredytowe. Wyciągnął

zawartość i przełożył do kieszeni. W drugiej znajdował się w pełni naładowany rezerwowy pistolet FN Five-seveN z tłumikiem. Stwierdził, że zawsze opłacało się być przygotowanym na najgorsze. Rozerwał torebkę, wyciągnął broń, przymocował tłumik i przeładował, umieszczając nabój w komorze.

Przygotowana wcześniej teczka z ubraniami na zmianę i rzeczami osobistymi leżała na łóżku. Zgarnął ją i wyszedł, dyskretnie trzymając broń w opuszczonej wzdłuż ciała dłoni.

Prędko ruszył w głąb korytarza, świadomie trzymając się z dala od windy i schodów.

Kierował się do wyjścia ewakuacyjnego. Nim tamci zdaliby sobie sprawę z tego, co się stało, mógłby dawno zniknąć.

Zatrzymał się.

Jeśli wyjdzie teraz, nie dowie się niczego na temat swoich niedoszłych morderców.

Ktokolwiek za nimi stał, nie odwoła ich tak po prostu. Trafił na czyjąś listę celów. Jeśli raz udało im się go odnaleźć, wytropią go ponownie. Nie jest pewne, czy za drugim razem zdemaskuje ich tak szybko. Jeśli w ogóle zdoła ich zauważyć.

Mieli przewagę liczebną, ale stracili inicjatywę. Jedną z pierwszych rzeczy, której nauczył się na temat walki - zawsze wykorzystywać uzyskaną przewagę.

Zawrócił.

*

Napastnicy przybiegli pod jego pokój zadyszani i uzbrojeni. Jeden zajął pozycję na prawo od framugi, drugi pozostał po lewej. Drzwi były uchylone, a zamek wyłamany.

Wyższy i starszy z dwójki wcisnął przełącznik nadawania schowanej w wewnętrznej kieszeni radiostacji. Z bezprzewodowej słuchawki wydobył się szept.

Zabójca skinął dłonią na partnera i obaj wpadli do pokoju. Pierwszy szybko kucnął, aby drugi mógł nad nim otworzyć ogień. Sprawdzili pomieszczenie. Wszystko z maksymalną szybkością, agresją i zaskoczeniem, aby oszołomić i opóźnić czas reakcji osoby wewnątrz.

Pokój był pusty. Sprawdzili łazienkę - pusta. Osłaniając się nawzajem, zajrzeli do szafy, pod łóżko, w każde, nawet najbardziej nieprawdopodobne miejsce zdolne pomieścić człowieka. Polecono im, by wykluczyli wszelki element niepewności. Sprawdzili za zasłonami, wysuwając najpierw w światło okna rękę i dając znak snajperowi w budynku naprzeciw, by nie strzelał. Ich twarze lśniły od potu, w obu pomieszczeniach panował nieład.

Widać było, że cel pakował się w pośpiechu i nie zdążył zabrać wszystkich rzeczy. Po podłodze walały się ubrania, łóżko nie było pościelone, a umywalka była zastawiona przyborami toaletowymi. Wszystko to wyglądało niechlujnie i nieprofesjonalnie.

Zabójcy trochę się rozluźnili, ich oddechy uspokoiły. Uciekł. Schowali broń na wypadek, gdyby ktoś nadszedł.

Wyszli z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Starszy z nich podniósł kołnierz i nadał

do zamocowanego mikrofonu, że cel się ulotnił. Uważnie dobierał słowa, nie chcąc sprawić wrażenia, że sam popełnił błąd w sztuce. Zabójcy nie martwili się, gdyż wszystkie wyjścia z budynku były obsadzone. Któryś z pozostałych członków ekipy zapewne wypatrzy ofiarę i ruszy do akcji, a być może czynił to właśnie w tej chwili. Cel był już właściwie martwy. Po zakończeniu roboty należała im się spora premia, a dla jej zdobycia nie trzeba było wystrzelić choćby jednego pocisku.

Szef kazał im zachować ostrożność i ostrzegł, że cel jest niebezpieczny. Jednak teraz ich zdenerwowanie zdawało się nieuzasadnione. „Niebezpieczny” cel nawiał przy pierwszej nadarzającej się okazji i teraz stanowił zmartwienie kogoś innego. Przez myśl przeszło im to samo. Łatwa forsa.

Miny im zrzedły, gdy usłyszeli, że cel nie wyszedł z budynku i nikt go nie widział.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, a na ich twarzach odmalowało się to samo pytanie.

To gdzie on jest?

*

Wiktor odsunął się od wizjera w drzwiach naprzeciwko i uniósł pistolet.

Dziesięciokrotnie nacisnął spust, wystrzeliwując równo połowę zawartości magazynka.

Sosnowe drzwi były grube i solidne, ale pociski FN Five-seveN przypominające amunicję karabinową, przebiły się przez drewno, nie tracąc prędkości.

Usłyszał dwa głucho uderzenia ciał upadających na dywan.

Drzwi zatrzeszczały. Aby wejść do pokoju, wyłamał zamek i jak dotąd dociskał je stopą. Teraz otworzył je na oścież i wyszedł na korytarz. Przed nim leżał na podłodze, częściowo oparty o drzwi jego pokoju, pierwszy z zabójców. Głowa zwisała mu do przodu, cieknąca z ust krew tworzyła na dywanie kałużę. Nie licząc drżenia stopy, nie poruszał się.

Drugi jeszcze żył. Leżał twarzą do ziemi i cicho bulgotał. Otrzymał kilka strzałów - w brzuch, w pierś i w szyję, a z rozszarpanej tętnicy krew bryzgała po ścianie długimi ciemnoczerwonymi strugami. Otworzył usta w niemym krzyku wołania o pomoc. Usiłował

się czołgać.

Zignorował go i sięgnął do marynarki trupa, na próżno szukając portfela. Postanowił

zabrać mu radiostację, lecz pocisk rozbił ją na kawałki. W kaburze pod pachą znalazł

dziwięciemilimetrowy pistolet Beretta 92F, a w kieszeni dwa magazynki. Była to dobra i pewna broń, mieściła piętnaście nabojów, jednak nawet bez tłumika była na tyle ciężka i nieporęczna, że uniemożliwiała skuteczne ukrycie. Co więcej, przy poddźwiękowej amunicji nie gwarantowała dużej siły obalającej. Nie najlepszy wybór sprzętu, zważywszy na rodzaj zadania. Gdyby nie fakt, że gość już nie żył, być może zwróciłby mu na to uwagę.

W normalnych okolicznościach nie sięgnąłby po berettę, ale teraz każda broń mogła okazać się przydatna. Wziął pistolet i wsadził go z tyłu w spodnie, opierając rękojeść na pasku, a tłumik układając wzdłuż kości ogonowej. Ciało oparte o drzwi nagle zadrżało, prawdopodobnie w wyniku skurczu mięśni, i przewróciło do przodu. Szczeka denata opadła, z ust wylała się nagromadzona krew i wypadł na dywan przegryziony w połowie język.

Odsunął się i skupił uwagę na napastniku, który żył. Jeszcze.

Facet przestał się czołgać, kiedy Wiktor wbił mu obcas między łopatki. Przewrócił go na plecy i kucnął obok, mocno przyciskając tłumik pistoletu do policzka rannego. Przechylił

jego głowę, kierując krwotok z przerwanej arterii na ścianę z dala od siebie. Krew trysnęła na tapetę.

Mężczyzna próbował coś powiedzieć, ale tylko charczał. Kula, która trafiła go w szyję, rozerwała krtań, więc mógł wydobyć z siebie tylko podstawowe dźwięki. Nie poddawał

się mimo śmiertelnej rany. Uczepił się rękawa Wiktora, starając się wbić w niego paznokcie.

Swym uporem zyskał w jego oczach szacunek.

Podobnie jak partner, ranny miał berettę, radiostację i słuchawkę. Wiktor rozładował

broń i przeszukał pozostałe kieszenie zabójcy. Znalazł kilka listków gumy do żucia, zapas amunicji i zmięty rachunek. Zabrał gumy i rachunek. Zobaczył, że na kwicie figurował

rachunek za sześć kaw. Odwinął gumę i włożył ją do ust. Miętowa. Z aprobatą skinął głową.

- Dzięki.

Odepchnął dłoń umierającego i ruszył w stronę klatki schodowej, aby sprawdzić, czy nie zbliżali się kolejni. Ani śladu przeciwników, ale z dołu słychać było głos kobiety uskarżającej się na windę. Uważając na ciemne plamy na dywanie, cofnął się w głąb korytarza i usunął gaśnicę blokującą dźwig. Konający na korytarzu facet przestał się rzucać.

Krew nie tryskała mu już z szyi, a po prostu ciekła na przemoczony dywan. Wiktor z podziwem spojrzął na czerwony wzór, jaki powstał na ścianie nad zwłokami. Przecinające się linie miały w sobie pewną estetyczną jakość, która przywodziła mu na myśl Jacksona Pollocka. Wszedł do windy i wcisnął parter. W pokoju zostało trochę jego rzeczy, ale się tym nie przejmował. Przybory w łazience były nowe, podobnie jak jeszcze nienoszony zestaw ubrań, a jeśli nawet czegoś dotykał, dzięki roztworowi silikonu na dłoniach nie pozostawił

odcisków palców.

Przejrzał się w lustrze windy i nieco się ogarnął. W tym hotelu jakakolwiek niedoskonałość wyglądu rzucałaby się w oczy. W momencie, gdy drzwi windy się zasuwały, od strony klatki schodowej rozległ się piskliwy wrzask. Ktoś właśnie natknął się na ciało.

Domyślał się, że kobieta nie była wielką fanką sztuki Pollocka.

ROZDZIAŁ 4

08:34 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor cierpliwie czekał w holu, podczas gdy wokół narastała panika. Dyrektor hotelu, szczupły i niski człowieczek o zaskakująco donośnym głosie, był zmuszony krzyczeć, aby przebić się przez wrzawę przestraszonych gości. Niektórych wiadomość o masakrze brutalnie wyciągnęła półnagich z łóżka. Dyrektor starał się wyjaśnić, że policja jest już w drodze i wszyscy powinni zachować spokój. Było jednak na to zdecydowanie za późno.

Rozsiadł się w jednym z luksusowych skórzanych foteli w narożniku holu i stwierdził, że jest on bardzo wygodny. Obrócił mebel, aby bez ruszania głową móc obserwować większą część holu oraz główne wejście do hotelu. Kątem oka widział wejście do hotelowego baru i na klatkę schodową. Wątpił, by ktokolwiek zdecydował się użyć wind po jego prawej, ale nawet jeśli tak by się stało, siedział wystarczająco blisko, by to zauważyć, nim sam zostałby dostrzeżony.

Policja mogła przybyć lada chwila, zatem pozostali członkowie ekipy zabójców mieli coraz mniej czasu na wykonanie zadania. Teraz zapewne panikowali, widząc że dwóch ich ludzi nie żyło. Mogli albo się wycofać, co uznał za mało prawdopodobne, albo spróbować dokończyć robotę. Goście i pracownicy hotelu uciekali na zewnątrz, więc było zbyt tłoczno, by zabić go na ulicy przed budynkiem - a do tego zbyt ryzykownie, zważywszy na nadjeżdżającą policję.

Zabójcy pojawili się po minucie - nieco później, niż przewidywał, za co w myślach obniżył im ocenę. Wypatrzył ich z łatwością - pierwszy usiłował utorować sobie drogę w tłumie desperacko napierającym w stronę wyjścia. Po chwili z korytarza na parterze wbiegł

drugi. Pierwszy był blondynem. Trzymał prawą dłoń w kieszeni czarnej skórzanej kurtki, lewą zaś wyciągnął przed siebie, starając się przebić przez mrowie przerażonych gości. Drugi, wysoki i krzepkiej budowy ciała, ubrany w obszerną kurtkę, miał ogoloną głowę i czarny zarost. Łokciami rozpychał zawadzających mu ludzi, nie siląc się na subtelność. Wiktor doszedł więc do wniosku, że blondyn zajmuje wyższą pozycję w łańcuchu pokarmowym, przez co sam stanowi o wiele bardziej apetyczny kąsek.

Zabójcy spotkali się na środku holu i krótko naradzili. Ruszyli przez westybul, pobieżnie rozglądając się na boki, następnie rzucili okiem na wnętrze baru, po czym blondyn skierował się ku schodom, a wielkolud ku windzie. Nie zdołali go dojrzeć za nieprzebraną masą ludzi, która ich odgradzała. Nie zmieniło to faktu, że przyjdzie im zapłacić wysoką cenę za targnięcie się na jego życie.

Podniósł się i ruszył w stronę klatki schodowej, tak koordynując działania, by wychodząca z windy rodzina zasłoniła go przed wzrokiem wielkoluda. Był szybki i znalazł

się za plecami faceta w skórzanej kurtce akurat w chwili, kiedy ten przeciskał się ku drzwiom.

Blondyn zbyt późno dostrzegł nadciągający cień. Spróbował wyciągnąć broń, lecz zamarł, gdy poczuł na żebrach nacisk tłumika. W tym samym momencie Wiktor drugą ręką chwycił gościa za jądra i mocno je ścisnął.

Napastnik jęknął i niemal zwałił się na podłogę z niespodziewanego przesywającego bólu. Przepchnął go przez drzwi i szepnął mu do ucha po francusku:

- Wyciągnij prawą rękę z kieszeni. Broń zostaw gdzie jest.

Mężczyzna zastosował się do polecenia.

- Ilu was tu jest? - spytał Wiktor.

Blondyn z trudem trzymał się na nogach. Usiłował uspokoić oddech, by móc się odezwać. Był przerażony. Wydobył z siebie jedno słowo.

- Co?

Wiktor poprowadził go schodami, zaciskając uchwyt na jądrach, żeby wybić mu z głowy głupie pomysły. Nie było to jednak potrzebne.

- Tędy.

Pokonali kolejny odcinek schodów i doszli do drzwi pierwszego piętra.

- Teraz tutaj. Otwieraj.

Facet wyciągnął drżącą dłoń i przekręcił klamkę. Kiedy drzwi otworzyły się do połowy, wepchnął go do środka i ruszył korytarzem. Minęli biegnącą do schodów pokojówkę.

Starsza kobieta, włosy ciasno upięte w kok, ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. Przestraszyła się, widząc wykrzywione oblicze mężczyzny bądź też dłoń zaciśniętą na jego kroczu. Wiktor schował głowę za zakładnikiem, więc jego twarzy nie mogła dojrzeć.

Nim kobieta opowie komuś, co widziała, on zdąży już zniknąć. Dla pewności mógłby ją zabić, ale to nie jej wina, że się tu znalazła w nieodpowiedniej chwili, zaś kolejne ciało na korytarzu przysporzyłoby mu tylko problemów.

Skręcili w kolejny korytarz. Było cicho. Goście zdążyli zebrać się w holu lub na ulicy.

- Otwórz drzwi - polecił Wiktor.

Facet, cały drżąc, z trudem zapytał:

- Które?

Wiktor trzykrotnie wystrzelił w miejsce, gdzie zamek stykał się z framugą.

Pojedynczy pocisk wystarczał jedynie w filmach.

- Te.

Blondyn zawahał się, więc mocniej zacisnął dłoń.

- Otwieraj. Już.

Zabójca zwlekał z przekręceniem klamki, więc wepchnął go do środka. Wszedł za nim i nogą delikatnie domknął drzwi za sobą.

- Rzuć broń na łóżko.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i powoli wyciągnął pistolet, chwytając go kciukiem i palcem wskazującym. Pistolet wylądował na środku materaca. Zważywszy na okoliczności, był to w sumie całkiem niezły rzut.

Puścił blondyna i popchnął go do przodu. Facet potknął się i upadł na podłogę.

Zwinięty w kłębek, zakrywał zmiażdżone genitalia. Czas miłosnych podbojów skończył się dla niego bezpowrotnie. Gość był młodszy od pozostałej trójki, mógł mieć najwyżej trzydziestkę. Różnił się od reszty wyglądem i lepiej kontrolował swoje zachowanie. Wiktor spoglądał na niego z zaciekawieniem, oceniając jego pozycję w grupie - outsider albo lider.

Facet spojrzął na prawą stopę, po czym szybko odwrócił wzrok. Na goleni, w kaburze z czarnej skóry, ledwo widocznej, znajdował się mały czarny rewolwer. Blondyn zauważył, że przeciwnik śledzi jego spojrzenie.

Wiktor potrząsnął głową.

Zrobił krok naprzód i wycelował broń w środek czoła mężczyzny.

- Ilu was tu jest?

- Siedmiu.

- Licząc z tobą?

Wykrzywiając twarz, facet skinął głową. Paralizujący ból w kroczu chwilowo pozbawił go mowy.

Czyli poza wielkoludem w windzie gdzieś kręciło się jeszcze trzech.

- Ile macie samochodów?

Blondyn nie zwlekał z odpowiedzią, wypluwając szybko:

- Jeden.

- Tylko jeden?

- To furgonetka.

- Numer rejestracyjny?

- Nie... nie wiem.

Wiktor posłał kulę w podłogę między nogi przesłuchiwanego. Dosyć rozrzutnie, zważywszy na posiadany niewielki zapas amunicji, nie miał jednak czasu na dłuższe przesłuchanie. Blondyn wbił wzrok w ślad po kuli na dywanie.

- Przysięgam.

- Jakiej marki?

- Nie wiem... niebieski. Z wypożyczalni.

Mówił po francusku dobrze, ale nie płynnie. Nie był to jego język ojczysty.

- Wiesz, kim jestem?

Nie odpowiedział od razu. Wiktor zrobił krok w jego kierunku, a gość odzyskał głos.

- Nie.

- Nie?

- Znam tylko pseudonim, mieliśmy zdjęcie...

- Skąd wiedzieliście, gdzie się zatrzymałem?

- Dostaliśmy nazwę hotelu.

- Kiedy?

- Trzy dni temu.

W tym momencie rozpoznał jego akcent. Przeszedł na angielski.

- Jesteś Amerykaninem.

- Tak - odpowiedział po angielsku. Był z południa, być może z Teksasu.

- Który z was dowodzi?

- Ja.

- Sektor prywatny?

- Tak.

- Śledziliście mnie?

- Próbowaliśmy, ale zawsze nas gubiłeś.

- Dlaczego nie zabiliście mnie wcześniej?

Amerikanin odpowiedział po chwili przerwy.

- Musieliśmy poczekać na sygnał do działania.

- Który przyszedł kiedy?

- Wpół do szóstej, Wiktor czuł, że facet mówi prawdę, sądząc, że szczerymi odpowiedziami ocali skórę. Naiwność.

- Po co puściłeś do akcji tamtych dwóch, zanim wróciłem do hotelu?

Blondyn ponownie się skrzywił.

- Poniosło mnie. Bałem się, że nie wrócisz. Wysłałem ich, żeby to sprawdzili -

pomimo bólu zmarszczył brwi. - Kiepski moment wybrałem.

- Najmądrzejsze to nie było - skonstatował Wiktor.

- A co z pendrive'em?

- Musieliśmy się upewnić, że go masz, a potem zabezpieczyć go i czekać na dalsze instrukcje.

Wiktor zmrużył oczy.

- Dla kogo pracujecie?

Głowa mężczyzny opadła. Po jego policzkach pociekły łzy.

- Proszę...

- Dla kogo pracujecie?

Podniósł na niego wzrok. Ujrzał w jego oczach brak litości i zmiłowania. Załkał.

- Skąd do cholery miałbym wiedzieć?

Wiktor uwierzył mu.

Po czym strzelił dwa razy w twarz.

Klęknął przy ciele, by poszukać dowodu tożsamości. W kieszeni marynarki znalazł

radiostację nastawioną na nadawanie. Dioda mrugała. Do wewnętrznej strony kołnierzyka przyczepiony był mikrofon.

Nagle usłyszał skrzyknięcie podłogi.

Zamarł i spojrzął przez ramię.

Przez szczelinę pod drzwiami dojrzał przesuwający się po korytarzu cień. Rzucił się w prawo. W tym samym momencie wielkolud z wygoloną głową wpadł do pokoju z pistoletem maszynowym, strzelając na oślep. Jego kompaktowy Heckler & Koch MP5K wyposażony był

w długi tłumik, który sprawiał, że przy szybkich seriach wystrzałów słychać było jedynie ciche kliknięcia.

Wiktor wskoczył do przylegającej łazienki. Strzelec otworzył w ślad za nim ogień, tworząc na ścianie ciekawy wzór dziur po pociskach. Wypadające mosiężne łuski gromadziły się na dywanie wokół jego stóp.

W łazience kucnął i nim się jeszcze w pełni obrócił, szybko wystrzelił na oślep. Pocisk przeleciał przez otwarte drzwi i ugrzązał w ścianie naprzeciwko.

Łazienka miała najwyżej metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt - wykafelkowany prostopadłościan z wanną, umywalką i sedesem. Żadnych narożników czy przedmiotów, za którymi można by się skryć. W trybie w pełni automatycznym MP5K opróżniał

trzydziestonabojowy magazynek w dwie i jedną czwartą sekundy. Przy małej odległości i takiej szybkostrzelności napastnik po prostu nie mógł spudłować.

Wyciągnął zza paska berettę, po czym wymierzył z pistoletów w stronę drzwi. W tej sytuacji trudno o celność, ale jeśli chciał obezwładnić zabójcę, zanim ten otworzy ogień, potrzebował zwiększonej siły rażenia. Przeciwnik nie był chucherkiem i ani kule kaliber pięć i siedem, ani kaliber dziewięć nie gwarantowały, że padnie wystarczająco szybko, chyba że zostałby trafiony w głowę, w serce lub w kręgosłup. Jeśli jednak wystrzelono by w jego stronę odpowiednią ilość pocisków, nie miało by to znaczenia, w co by dostał. Ustawił

berettę równo pod pistoletem FN, aby obrać jedną linię strzału. Widywał czasami amatorów trzymających dwa pistolety w szeroko otwartych i wyciągniętych ramionach, jakby chcieli naśladować ulubionego bohatera kina akcji. Wszyscy ginęli bardzo szybko.

Usłyszał, jak coś upada na łuski po pociskach. Chwilę potem dobiegł go dźwięk przeładowania i odbezpieczenia broni. Poprzedni magazynek jeszcze się nie wyczerpał, ale napastnik wykorzystał okazję i go wymienił.

W dalszym ciągu kucnął jak najdalej od wejścia do łazienki. Jeśli jego przeciwnik był

na tyle sprytny, by przeładować broń przed końcem magazynka, nie będzie na tyle głupi, by wbiec do pomieszczenia, skoro wystarczyło wysunąć broń zza framugi i puścić kilka serii.

Wyczuł, że zabójca skrada się wzdłuż ściany. Był świadomy, że jest na straconej pozycji.

Zmusił się do zachowania spokoju.

Musiał coś zrobić. I to szybko. Rozejrzał się. Zauważył przełożony przez wieszak ręcznik oraz ustawione nad umywalką przybory toaletowe: pastę do zębów, piankę do golenia, dezodorant, maszynkę i płyn po goleniu.

Jego uwagę przykuł pojemnik z dezodorantem.

Strzelił w drzwi, chcąc odstraszyć napastnika. Poczekał kilka sekund i strzelił

ponownie, aby zyskać na czasie i wzbudzić w przeciwniku niepokój. Położył berettę przed sobą na posadzce, przełożył do lewej ręki FN, a następnie podniósł się i wziął z nad umywalki dezodorant.

Z powrotem przywarł do ziemi, strzelił z FN dwa razy w stronę pokoju, aż głuchy szcęk obwieścił opróżnienie magazynku. Atakujący nie potrzebował większej zachęty, by przejść do działania.

Wiktor upuścił pistolet, przełożył dezodorant do lewej dłoni, zaś prawą podniósł

beretę. Skacząc na równe nogi, wyrzucił puszkę, która leciała tuż pod górną framugą drzwi akurat w chwili, gdy zza ściany wysunęła się lufa MP5K.

Trzy razy wystrzelił z beretty.

Ostatnia kula trafiła w cel i pojemnik aerozolu eksplodował w powietrzu.

Wiktor pochylił się i rzucił przez drzwi, pomimo że spanikowany zabójca otworzył

ogień. Pociski mijały go górami.

Wielkolud cofał się, potykając i przytrzymując ściany - tylko dzięki niej stał jeszcze na nogach. Wciąż trzymał pistolet maszynowy na wysokości ramienia i w desperacji strzelał

na oślep.

Drobne odłamki metalu wystawały mu ze spalonej twarzy i oczu. Włosy stanęły mu w płomieniach.

Szczęknął opróżniony magazynek MP5K. Jęki zabójcy przycichły i dało się słyszeć jego szybki i urywany oddech.

Oślepiiony bezradnie rozejrzał się po pokoju, wciąż mierząc z broni w ostatnim rozpaczliwym akcie obrony. W powietrzu unosił się zapach przypalanej skóry.

Wiktor wyprostował się, wycelował w klatkę piersiową napastnika i władował mu dwie kule prosto w serce.

ROZDZIAŁ 5

08:38 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor szybkim krokiem przeszedł przez hol, trzymając w ręku ukrytą pod marynarką beretę. W kieszeni miał nienaładowany pistolet FN. Przemknął przez korytarze na parterze, odtwarzając w myślach plan budynku, który wkuł na pamięć w pierwszy wieczór pobytu.

Doszedł do drzwi oznaczonych tabliczką „tylko dla personelu”.

Z dala dobiegły go podniesione głosy policjantów, których widocznie przerosła sytuacja. Zapewne byli to funkcjonariusze z patrolu, który pierwszy odpowiedział na wezwanie i pojawił się na miejscu. Wkrótce do hotelu przybędzie ich więcej. Wiedział, że służby bezpieczeństwa odizolują budynek, następnie ulicę, a potem najprawdopodobniej cały kwartał. Nim to nastąpi, pragnął być już daleko. Wyciągnął beretę i otworzył drzwi do kuchni, z przyzwyczajenia popychając je kostkami dłoni, chociaż powłoka silikonu pokrywała opuszki palców.

W środku panował chłód. Tylne drzwi były otwarte i zablokowane zapewne dla ułatwienia ucieczki przestraszonych gości i pracowników obsługi. Do wnętrza wpadał

orzeźwiający powiew. Dopiero teraz zauważył, że się poci. Nadal głęboko oddychał - nie dopuszczał do przyspieszenia tętna. Chwyciwszy oburącz pistolet, powoli ruszył przed siebie, uważając na otwartą przestrzeń i martwe punkty za sprzętami kuchennymi i szafkami.

Nie było nikogo z personelu kuchni. Wszyscy rozsądnie opuścili już hotel. Wciągnął

w nozdrza zapach śniadania. Na patelniach smażyły się jajka. W piecach piekły się rogaliki i chleby.

Skradając się do drzwi, rozglądał się na wszystkie strony świadom, że w okolicy kryli się trzej zabójcy. Założył, że mimo strat dowódcy nadal starali się go dopaść. Jeśli na niego polują, nie pozostawili tego wyjścia bez nadzoru.

Podszedł bliżej. Trzymał się blisko kredensów i blatów, aby móc się za nimi ukryć, gdyby nagle ktoś wszedł z ulicy. Słyszając syreny, trochę przyspieszył, ale świadomość czyhającego zagrożenia sprawiała, że wciąż poruszał się wolno i ostrożnie.

Musiał zaskoczyć przeciwnika, jeśli ten czekał w uliczce z bronią wycelowaną w wyjście. Pośpiech tylko ułatwiłby zabójcy

zadanie. A dzisiaj będą oni zmuszeni ciężko zapracować na zapłatę.

Zrobił kolejny krok i przystanął.

Ruch.

Błysk na stalowej szafce po lewej. Zaledwie mignięcie, lecz to wystarczyło, by natychmiast się obrócić. Ujrzał gwałtownie otwierane drzwi spiżarni i wypadającą z ciemności brunetkę, która wycelowała w niego pistolet.

Zareagował pierwszy - strzelił dwa razy i trafił napastniczkę w korpus. Siła uderzenia zwała ją z nóg i odrzuciła do pomieszczenia, z którego wyskoczyła.

Szybko pokonał dzielący ich dystans. Zobaczył, że kobieta leży na plecach, żywa, z zamkniętymi oczami, a wokół wypalonych śladów na jej bluzce tworzą się dwie małe plamy krwi. Ciężko oddychała z uszkodzonym płucem. Pistolet leżał obok, ale nie starała się go podnieść. Była zbyt wystraszona.

Padł na nią cień mężczyzny i nagle otworzyła oczy. Była zaskakująco młoda, miała dwadzieścia osiem czy dwadzieścia dziewięć lat. Jej delikatne rysy wykrzywiał ból, a w oczach widać było strach. Patrzyła na niego proszącym wzrokiem, po policzkach spływały jej łzy, usta poruszały się bezgłośnie. Zabrakło jej powietrza w płucach, by się odezwać i błagać o litość. Wiedział, że nie starczy jej sił, by udzielić mu przydatnych informacji. Przez chwilę zastanawiał się, jak ktoś taki trafił do tej branży. Cokolwiek ją tutaj doprowadziło, teraz nadchodził smutny koniec. Powoli poruszyła głową na boki.

Dymiąca łuska podskoczyła na kafelkach podłogi.

Przeszukał zwłoki. Podobnie jak pozostali, nie miała przy sobie nic, co pozwoliłoby ją zidentyfikować. Widać, że zabójcy byli bystrzy - nawet jeśli okazali się wystarczająco głupi, by przyjąć zlecenie wyeliminowania go. Któryś z pozostałych przy życiu zabójców musiał

mieć przy sobie coś, co by mu się przydało. Innej możliwości nie dopuszczał.

Odrzucił berettę i podniósł broń zabitej. Był to porządny pistolet - Heckler & Koch USP w wersji kompaktowej, kaliber czterdzieści pięć, z krótkim, grubym tłumikiem. Wysunął

ośmionabojowy magazynek z amunicją Dum-dum i z powrotem wsunął go w rękojeść.

Niewątpliwie, zabójczyni była dumna z narzędzi pracy. Przynajmniej do teraz.

Zabrał z jej marynarki zapasowy magazynek, po czym z pochyloną głową wbiegł

przez tylne wyjście w zaułek, rozglądając się na boki z wyciągniętym USP. Nikogo. Ukrył

pistolet za paskiem i ruszył w stronę głównej ulicy, zadowolony, że wreszcie ukradł

przeciwnikowi przyzwoitą broń. Niekiedy zabójcy mieli doprawdy fatalny gust.

Wyeliminował pięcioro łącznie z kobietą.

Pozostawała tylko dwójka.

Przed głównym wejściem zebrał się pokaźny tłum. Goście i pracownicy hotelu byli przestraszeni. Jedyne garstka osób wiedziała, co się znajdowało na korytarzu czwartego piętra, ale pogłoski o krwi i zwłokach szybko się rozeszły. Policjant starał się odsunąć wszystkich od budynku, ale ciągle zbiegali się przechodnie chcący dowiedzieć się, co się stało.

Wiktor wyszedł z alejki biegnącej wzdłuż bocznej ściany hotelu i zaczął przeciskać się między ludźmi. Poruszał się zwinnie, ale nie szybciej niż pozostali, klucząc możliwie na boki, aby utrudnić zadanie ewentualnym snajperom. Mało prawdopodobne, by ktoś w takich warunkach zdecydował się na strzał, ale wolał się zabezpieczyć. Pięćdziesiąt metrów dalej zobaczył niebieską furgonetkę zaparkowaną przy krawężniku na wysokości budki telefonicznej. Widział tylko tył pojazdu, więc nie mógł

stwierdzić, czy ktoś siedzi za kierownicą.

Skoro samochód jeszcze nie odjechał, była duża szansa, że co najmniej jeden zabójca ciągle kręci się w pobliżu. Ale gdzie? Podchodząc bliżej, zauważył wydobywające się spaliny. Dobrze - silnik chodził na jałowym biegu, więc ktoś musiał siedzieć w szoferce.

Wiedział, że mógłby podejść do furgonetki zanim kierowca spostrzeżby go w tym zamieszaniu. Już miał przejść przez ulicę, jednak się wstrzymał.

Po drugiej stronie ulicy, dobrze zbudowany mężczyzna zbiegał po schodach starego budynku położonego dokładnie naprzeciwko hotelu. Miał przewieszoną przez ramię dużą, czarną sportową torbę, mogącą spokojnie pomieścić rakietę do tenisa lub kij hokejowy.

Albo też karabin snajperski.

Kiedy mężczyzna zauważył, że Wiktor patrzy wprost na niego, stanął jak wryty. Jego reakcja rozwiała wszelkie wątpliwości, kim jest. Obaj tkwili w całkowitym bezruchu, podczas gdy naokoło panował chaos. Sytuacja patowa. Snajper zerknął w stronę zaparkowanej furgonetki. Dzieliła ich od niej taka sama odległość.

Zrobił krok do przodu. Snajper cofnął się i sięgnął do marynarki. To samo uczynił

Wiktor. Zza zakrętu z rykiem syreny wyjechał migający światłami radiowóz. Obaj zrezygnowali z wyciągnięcia broni.

Snajper ponownie zerknął na furgonetkę, być może w nadziei, że nadejdzie z niej pomoc. Kiedy zdał sobie sprawę, że czeka na próżno, odwrócił się i wbiegł z powrotem do budynku.

Wiktor przyspieszył kroku, nie chciał jednak zwracać na siebie uwagi, więc nie biegł.

Dotarł na chodnik po drugiej stronie ulicy akurat w porę, by zauważyć zatraskujące się za ofiarą drzwi. Wbiegł po schodkach, przeskakując po dwa stopnie. Spróbował otworzyć drzwi, ale klamka była zablokowana. Nie mógł sobie pozwolić na wyważenie drzwi kopniakiem czy przestrzelenie zamka, ponieważ na ulicy pojawiało się coraz więcej jednostek policji.

Zszedł po schodach i rozejrzał się po ulicy w poszukiwaniu przejścia na zaplecze budynku. Dwadzieścia metrów w prawo zaczynała się alejka. Pospieszył w jej stronę.

Była wąska i cuchnęła moczem, mimo że znajdowała się w porządnej dzielnicy. Kiedy tylko zniknął z pola widzenia przechodniów, rzucił się biegiem w stronę drugiego końca uliczki i z czterdziestką piątką w ręku wpadł na podwórko. Ani śladu snajpera. Jeśli opuścił

budynek, dostrzeżby go teraz.

Zajął pozycję do strzału i czekał, gotów zabić snajpera, gdy tylko się pojawi. Minęło sześćdziesiąt sekund i pojął, że przeciwnik nie zamierza wyjść. Tym go zaskoczył. Znaczy, że postanowił zaczekać i podjąć walkę.

Wiktor ani myślał go zawieść.

Zamek w tylnych drzwiach był solidny, jego otwarcie zajęłoby niemal trzydzieści sekund, ale potężne kule kaliber czterdzieści pięć rozwaliły go natychmiast na kawałki.

Załadował pełny magazynek i wszedł do szerokiego, skromnie umeblowanego przedpokoju, którego podłogę pokrywała skomplikowana mozaika. Z korytarza prowadziły trzy pary drzwi, z których dwie opatrzone numerkami. Dominowała szeroka klatka schodowa.

Zbliżył się do niej, ściskając broń w oburęcznym chwycie bojowym. Pokój hotelowy, w którym się zatrzymał, znajdował się na czwartym piętrze, tak więc na tej samej wysokości powinien się mieścić pokój snajpera. O ile nie czekał, by napaść na niego z zaskoczenia, musiał udać się właśnie tam, gdyż znał ten teren i czuł się na nim bezpiecznie.

Wspinał się po schodach stopień po stopniu, cały czas patrząc do góry, przygotowany na ewentualność, że snajper na niego czeka. Dotarł na pierwsze piętro, omiół je wzrokiem, po czym ruszył dalej schodami.

Na drugim piętrze zatrzymał się i chwilę nasłuchiwał. Było cicho, więc udał się na trzecie. Tam usłyszał dźwięk otwieranych drzwi na czwartym piętrze, następnie zaś głos zaskoczonej kobiety.

- *Est-ce que je peux vous aider* 4?

W odpowiedzi usłyszał dwa stłumione strzały i odgłos ciała padającego na podłogę.

Postanowił wykorzystać moment odwróconej uwagi snajpera. Wbiegł po schodach. Zobaczył

go, gdy odwracał się od zabitej.

4 Czy mogę panu pomóc?

Wystrzelił w biegu. Kąt był niewłaściwy i pocisk odłupał fragment balustrady wielkości kapsla od butelki. Snajper odruchowo odchylił się do tyłu. Dwie kolejne kule wybiły dziury w suficie nad nim, zaś czwarta trafiła w czarną żelazną kratownicę poniżej poręczy, wyrzucając snop iskier. Snajper wystrzelił parę razy na oślep, schodząc z linii strzału. Za chwilę pojawił się znowu, strzelając w ruchu, Wiktor odpowiedział ogniem, lecz żaden z nich nie trafił.

Przykucnął na schodach i zerknął przez żelazną kratownicę. Dostrzegł ciało kobiety rozciągnięte na ziemi w progu jej własnego mieszkania. Siwowłosa pani w przeciwdeszczowym płaszczu leżała martwa, a jej jedyną winą było to, że grzecznie zapytała czekającego przy schodach nieznajomego, czy może w coś pomóc.

Drugie drzwi na piętrze były półotwarte. Nie było widać snajpera. Skradając się, pokonał kilka ostatnich stopni. Zajrzał przez pierwsze, uchylone drzwi. Prowadziły do mieszkania, którego okna wychodziły na tę samą ulicę co hotel. W nim snajper pierwotnie ulokował swoje stanowisko i mógł się tutaj wycofać. Tyle, że Wiktor w to wątpił.

Nie robiąc najmniejszego hałasu, ostrożnie przeszedł przez korytarz, ominął kałużę krwi i przywarł do ściany. Przesunął się w stronę otwartych drzwi, które wiodły do mieszkania zabitej. Prawie się uśmiechnął. Nie zamierzał dać się nabrać na sztuczkę snajpera.

Dotarł do framugi, spojrzął w stronę kwatery snajpera, oceniając, gdzie w lokalu kobiety musiałby ustawić się ktoś, kto chciałby kryć wejście do sąsiedniego mieszkania.

Kucnął, chwycił za framugę i używając ręki jak dźwigni, szybko wpadł do środka.

Natychmiast dostrzegł snajpera, który kucnął oparty o ściankę działową, celując w drzwi wcześniejszego lokum. Strzelec nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Wiktor dwukrotnie wystrzelił. Pierwszy pocisk minął cel, lecz drugi drasnął głowę powyżej ucha, wzbijając obłok kropel krwi. Snajper strzelił i skrył się. Kula uderzyła w futrynę blisko twarzy Wiktora, który nie drgnął, gdy długie drzazgi wbijały mu się w policzek.

Momentalnie zerwał się i przesunął na środek pokoju. Wiedział, że musi się przemieszczać. Pozostanie w miejscu ułatwi zadanie napastnikowi.

Snajper schował się za rogiem i oddał dwa szybkie strzały w stronę drzwi. Pociski przecięły powietrze w miejscu, gdzie sekundy wcześniej znajdowała się głowa Wiktora.

Przesuwał się w głąb pokoju. Zmieniony kąt między nim a snajperem zmusił go do wystawienia głowy zza narożnika. Kiedy tylko to uczyni, Wiktor odstrzelił ją, Ale przeciwnik nie połknął przynęty.

Minęło pięć sekund i uznał, że snajper przekrada się przez mieszkanie, aby zająć go od tyłu. Z przedpokoju wychodziły jeszcze dwa inne wyjścia, zbyt od siebie oddalone, by móc ich jednocześnie pilnować.

Wiktor rzucił się do jadalni i wychylił zza rogu. Snajpera już nie było. Na przeciwległym końcu pomieszczenia były otwarte drzwi, przez które widział kuchnię.

Podszedł po cichu i zajrzał do środka. Pusto. Pozostały tylko jedne drzwi. Skierował się w ich kierunku, na białych kafelkach podłogi dostrzegając maleńkie ciemne plamki krwi.

Za progiem zobaczył snajpera opartego o ścianę. Strzelec kucnął w korytarzu, trzymając broń w obu dłoniach. Za chwilę wychyliłby się do przedpokoju i strzelił mu w plecy. Tak przynajmniej planował.

Zabójca oddychał głęboko, zbierając w sobie odwagę. Nagle wstrzymał oddech. Być może kątem oka dostrzegł ciemny kształt, może zadziałał szósty zmysł. Wiktor pozwolił mu w pełni obrócić głowę i spojrzał mu w oczy, a następnie strzelił w pierś. Snajper osunął się po ścianie, luźno trzymając pistolet w rękach. Na jego twarzy malowało się zdumienie, jakby nie mógł pojąć, co mu się przytrafiło. W powietrzu unosiła się czerwona mgiełka.

Zamek czterdziestki piątki nie powrócił do pozycji wyjściowej, wyrzucił więc opróżniony magazynek i załadował zapasowy, odciągnął zamek, by wprowadzić nabój do komory i na wszelki wypadek strzelił do przeciwnika jeszcze dwa razy.

Przeszukał ciało, zabierając słuchawkę i radiostację, lecz niczego więcej nie znalazł.

Udał się do drugiego mieszkania. W korytarzu znalazł czarną sportową torbę. Po otwarciu ukazał mu się karabin SIG556 ER z celownikiem teleskopowym oraz wyglądający na ręcznie wykonany czterdziestopięciocentymetrowy tłumik. W bocznej kieszeni znalazł kwit z pralni chemicznej i elektroniczny klucz do pokoju. Zabrał oba przedmioty. Na kwicie widniał napis: *L'Hôtel Abrial*.

Teraz przynajmniej miał trop.

Przeszedł do przedpokoju i otworzył okno. Wychylając się, dojrzał w dole niebieską furgonetkę, która wciąż stała przy krawężniku.

Suchy trzask. W słuchawce odezwał się głos. Ktoś mówił łamaną francuszczyzną.

Kolejny cudzoziemiec. Zabójcy używali go jako wspólnego języka. Być może tak wyglądały wymagania na formularzu rekrutacyjnym. Mile widziani zabójcy mówiący po francusku.

- *Venez dans quelqu'un, quiconque 5.*

W tle słyhać było policyjną syrenę. Ostatni z ekipy był na zewnątrz. Głos ponownie prosił o kontakt. Znowu odgłos syreny, zaraz potem huk silnika z przejeżdżającego obok 5 Niech ktoś przyjdzie, ktokolwiek.

samochodu. Wiktor dostrzegł, jak policyjny motocykl powoli minął niebieską furgonetkę i zatrzymał się prosto przed wejściem do hotelu.

Wyjął karabin z torby i rozsunął składaną kolbę. Drugą ręką przekręcił gałkę radiostacji o jedną pozycję przeciwnie do ruchów wskazówek zegara, by dodać więcej szumów. Uniósł radiostację i przycisnął przełącznik nadawania. Mówił po francusku, z umyślnie obcym akcentem, konstruując wypowiedź jak najprościej, aby mieć pewność, że słuchający zrozumie.

- Zostaliśmy tylko my dwaj - rzucił, markując w głosie przestach. - Całą resztę pozabijał.

Zwolnił przełącznik i czekał na odpowiedź. Głos, który usłyszał, brzmiał cienko i rozpaczliwie.

- Gdzie jesteś?

- W hotelu.

- A cel?

Zaczął przykręcać tłumik do karabinu.

- Zmierza ku głównemu wyjściu. Jest ranny, dostał ode mnie.

Upewnił się, że tłumik dobrze siedzi i przymocował lunetę.

- Jeśli się pospieszysz, dorwiesz go, gdy będzie wychodził. Nie jest uzbrojony.

Pospiesz się.

Sprawdził powiększenie na celowniku, upewnił się, że w komorze znajduje się nabój i odsunął bezpiecznik. Odłożył radiostację i rozsiadł się na parapecie, trzymając karabin w ukryciu. Drzwi furgonetki od strony kierowcy otworzyły się i na krawężnik wyskoczył

mężczyzna. Był potężnie zbudowany, mierzył grubo ponad metr osiemdziesiąt, miał krótkie włosy i luźną dżinsową kurtkę. Szybko przesunął się wzdłuż furgonetki i wyjrzał zza jej końca, spoglądając przez ulicę na hotel. Wyciągnął pistolet, ukrył go pod kurtką i skupił

całkowicie uwagę na hotelowym wejściu. Był dobrze osłonięty, między samochodem a budką telefoniczną. Wiktor obserwował go i przewidywał jego ruchy. Mężczyzna poruszał się sprawnie, widać, że był dobrze wyszkolony. Powinni byli przydzielić go do grupy w hotelu.

Przez dłuższą chwilę patrzył i wyczekiwał w całkowitym bezruchu. Po minucie wyprostował się i zerknął na boki, przeszukując wzrokiem tłum. Zrobił krok do tyłu, wycofując się z ukrycia, obrócił się i spojrzał do góry.

Prosto na cel.

Przez teleskopowy celownik dostrzegł, jak oczy mężczyzny robią się wielkie, po czym z tyłu głowy tworzy się aureola krwi. Kierowca zniknął z pola widzenia. Połowa zawartości jego czaszki powoli osuwała się po tylnych oknach furgonetki.

ROZDZIAŁ 6

08:45 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor opuścił budynek frontowymi drzwiami. W międzyczasie tłum na ulicy zdążył

znacznie się powiększyć. Naliczył sześciu policjantów, żaden z nich nie zwracał na niego uwagi. Z pewnej odległości zauważył czerwony rozbryzg na drzwiach furgonetki, ale ciało kierowcy zasłaniały zaparkowane samochody. Wszyscy byli zbyt przejęci, by coś zauważyć.

Wiedział, że nie ma za wiele czasu, ruszył chodnikiem, wymijając przechodniów, którzy stali i gapili się na zamieszanie. Chorobliwa ciekawość postronnych nigdy nie przestała go zadziwiać. Zbliżył się do furgonetki i spojrzał w dół, gdzie ciało jego ostatniej ofiary spoczywało w bezkształtnej masie między vanem a zaparkowanym za nim sedanem.

Chociaż nikt nie patrzył, przetrząsanie kieszeni zabitego było zbędnym ryzykiem.

Otworzył drzwi i usiadł na miejscu kierowcy. W środku czuć było stęchliznę - efekt przebywania przez dłuższy czas dużej liczby osób w zamkniętej kabinie. Na desce rozdzielczej stała kartonowa tacka z sześcioma opróżnionymi kubkami po kawie. Otworzył

schowek. W środku znajdowała się duża koperta z informacjami na jego temat, na szczęście były pobieżne. Mieściły się na pojedynczej kartce formatu A4, gdzie po kolei wymieniono: rasa - biały; wzrost - metr osiemdziesiąt dwa/osiemdziesiąt pięć; waga - osiemdziesiąt dwa kilogramy; włosy - czarne; oczy - brązowe; następnie krótki akapit informujący, że jest niebezpiecznym zabójcą na zlecenie. Na górze kartki odręcznie zapisano nazwę hotelu, numer pokoju oraz obecny pseudonim: Richard Bishop.

Wiktor przyłożył dłoń do brzucha. Chyba raczej osiemdziesiąt.

Poniżej opisu widniał jego wizerunek, a przynajmniej kogoś, kogo można byłoby wziąć za niego. Sporządzony cyfrowo portret pamięciowy był na tyle dokładny, by stwierdzić, że wykonano go na podstawie dosyć pewnych i świeżych informacji. Wystarczyło połączyć ustny opis z ziarnistym zdjęciem z kamery przemysłowej, wszystko przyprawić szczyptą pogłosek i gotowe.

Sporządzona podobizna martwiła go, lecz odetchnął z ulgą, gdy zdał sobie sprawę, jak mało mieli o nim informacji. Jeśli dysponowali czymś więcej, znalazłby to w aktach. Nawet największy amator w branży zna wartość pogłębionego dossier, a zleceniodawca dba, by opłaceni zabójcy dysponowali każdym możliwym atutem. Złożył kartkę i wsunął do wewnętrznej kieszeni. Na kopercie nie było stempli, więc zostawił ją na miejscu.

Z tyłu furgonetki znalazł pozostałości po tłustym śniadaniu na wynos i nic poza tym.

Nie żeby go to zdziwiło. Jak na razie znalazł coś użytecznego jedynie w torbie snajpera.

Pozostali członkowie ekipy byli ostrożni i nie brali ze sobą niczego niepotrzebnego.

Wiktor spojrzął w boczne lusterka, aby upewnić się, że nikt nie patrzy i wysiadł z samochodu. Policja tworzyła wokół hotelu kordon bezpieczeństwa. Dołączył do tłumu i podporządkował się funkcjonariuszowi kierującemu ludzi poza strefę wyłączoną z ruchu.

Na końcu ulicy zatrzymał taksówkę i polecił kierowcy zawieźć się do Muzeum Orsay.

Taksówkarz zapytał go o powód zbiegowiska, wskazując na przyległą ulicę i tłumy ludzi.

Wiktor wzruszył ramionami.

- *Ça a l'air serieux* 6.

W tym momencie ktoś znalazł leżącego w rynsztoku trupa z odstrzeloną głową i znowu podniósł się krzyk.

*

Wysoki mężczyzna z postawionymi na żel ciemnymi włosami przypatrywał się odjeżdżającej taksówce. Stał przed hotelem pośród tłumu, udając równie oszołomionego, co otaczająca go gromada paryżan. Podzielał ich zaniepokojenie, ale wiedział, co się dzieje.

Śledził wzrokiem taksówkę, aż zniknęła z pola widzenia, po czym z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął cienki notes. Przerzucił kilka kartek i czytelnym charakterem pisma zanotował numer rejestracyjny taksówki oraz krótką charakterystykę jej pasażera.

Osoba na portrecie pamięciowym miała ogoloną brodę i inną fryzurę, lecz tożsamość człowieka nie ulegała wątpliwości. Mężczyzna ciężko westchnął. Niedobrze.

Począł przebijać się przez zastępy gapiów i gdy w końcu wyrwał się z tłumu, było mu gorąco pomimo listopadowego chłodu. Ubrany w garnitur i płaszcz przeciwdeszczowy, wyglądał na zwyczajnego biznesmena. O ile nie było to absolutnie konieczne, wolał się do nikogo nie odzywać. Jego francuski był dobry, ale nie płynny.

Oddalił się, celowo dotrzymując kroku uciekającemu, przerażonemu tłumowi, chociaż sam nie czuł strachu. Wolałby zostać dłużej, ale wszędzie kłębiła się policja, a kolejne radiowozy były w drodze. Gliniarze przystąpili do sprawdzania zgromadzonych, wyławiając potencjalnych świadków i podejrzanych. Sam zdecydowanie wolał uniknąć konieczności odpowiadania na trudne pytania.

6 Wygląda na coś poważnego.

Wiedział, że niedaleko, w bocznej uliczce, do której zmierzał, znajduje się automat telefoniczny. Był wystarczająco schowany, by zapewnić dyskrecję rozmowy, a zarazem dostatecznie blisko hotelu, by móc szybko powiadomić o sytuacji. Raport, który mężczyzna miał teraz złożyć, dalece odbiegał od oczekiwań.

Nie wiedział, co się dokładnie wydarzyło w hotelu, był jednak w stanie dokonać rozsądnej analizy. Cel zdołał zbiec i to w sposób, który ściągnął na miejsce policję - po ekipie, która miała wykonać zadanie, nie pozostało ani śladu. Usłyszał, jak ludzie w tłumie mówili o znalezionych ciałach. Żaden członek ekipy nie wyszedł z hotelu. Nie trzeba być geniuszem, by powiązać te fakty w spójną całość.

Minął grupkę młodych kobiet i skręcił w wąską boczną uliczkę, gdzie z okolicznej kawiarni dochodziły egzotyczne zapachy. Budka telefoniczna była pusta i mężczyzna wszedł

do środka. Zamknął drzwi, z ulgą odcinając się od ulicznego zgiełku, pozwoliło mu to jaśniej myśleć.

W automacie wybrał numer, który miał zapisany w telefonie komórkowym. Kiedy czekał na połączenie, zastanawiał się, jak

najlepiej ubrać w słowa spektakularną porażkę misji.

Wiedział, że pracodawca nie będzie zachwycony.

ROZDZIAŁ 7

09:15 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Półtora kilometra dalej Alvarez spojrzał na ciało na stalowym wózku i ciężko westchnął. Pomarszczona skóra była blada, oczy zamknięte, usta zdążyły zsinieć. Na lewej skroni była mała czerwona dziurka. Rana wlotowa. Otwór w prawej skroni był większy i bardziej poszarpany. Rana wylotowa.

- Tak - westchnął. - To ten nieszczęsny łajdak.

Francuski pracownik kostnicy odpowiedział krótkim skinieniem. Stał parę metrów od niego, po drugiej stronie stołu. Był to młody człowiek, miał dwadzieścia kilka lat. Pomimo niskiej temperatury dostrzegł na jego czole pot. Chłopak wiercił się i przestępował z nogi na nogę. Udawał, że tego nie widzi.

Amerikanin zdał sobie sprawę, że nie pomaga chłopcu się uspokoić. Wiedział, że jego twarz zdawała się wiecznie zagniewana, co sprawiało, że ludzie czuli się nieswojo. Nawet uśmiech nie pomagał, a jego sylwetka tylko potęgowała w obcych onieśmienie. Kark Alvareza był szerszy niż czaszka, ramiona wypełniały framugę drzwi. Kiedy dochodziło do konfrontacji, specyficzny wygląd dawał mu przewagę, w pozostałych przypadkach był

uciążliwy. Zdobycie czyjegoś zaufania kosztowało go wiele wysiłku.

W rękę trzymał raport patologa. Przebiegł wzrokiem po szczegółach i zatrzymał się na fragmencie opisującym rany od kul. Prócz widocznej w skroni wymieniono również dwie w klatce piersiowej. Skinął na pracownika kostnicy.

- Proszę pokazać.

Technik sekcyjny rozejrzał się nerwowo, po czym ostrożnie odwinął białe prześcieradło z szyi denata, ukazując jego tors.

Alvarez skupił się na dwóch czystych otworach w mostku.

- Wyglądają na mały kaliber. Dwudziestka dwójka?

- Nie - odrzekł technik. - Wszystkie trzy rany postrzałowe to kaliber pięć i siedem dziesiątych milimetra.

- Interesujące - Alvarez nachylił się, aby lepiej im się przyjrzeć. - O jakiej odległości mówimy?

- Brak poparzeń od prochu wyklucza strzał z bardzo bliska, więcej nie umiem powiedzieć. Proszę posłuchać, ja tu jestem tylko asystentem. Nie jestem specjalistą od balistyki. Nie... nie wiem zbyt wiele.

Co ty nie powiesz, pomyślał Alvarez. Przez moment się zastanawiał. Pocisk tego kalibru oznacza FN Five-seveN, jeden z najdokładniejszych i najdroższych pistoletów na świecie. Wyobraził sobie całą sytuację. Podwójny strzał w serce, a następnie, gdy ofiara leżała na ziemi z głową przechyloną na bok, jeszcze jeden pocisk w płat czołowy. Zabójca chciał mieć stuprocentową pewność. Alvarez nie pierwszy raz miał do czynienia z zabójstwem na zlecenie, a ta egzekucja wyglądała wręcz podręcznikowo. Mrugnął i odtworzona w myślach scena morderstwa zniknęła.

- Proszę pana - odezwał się asystent. - Mój szef zaraz wróci.

Alvarez pojął aluzję i wyciągnął portfel.

Po wyjściu ze szpitala zapiął płaszcz, chroniąc się przed mżawką. Gdzie do cholery podziewał się Kennard? Mieli się tutaj spotkać. Kilka minut później pod budynek szpitala zajechał ciemny sedan.

- Przepraszam - rzucił Kennard, gdy kolega usadowił się na siedzeniu pasażera.

Strząsnął krople deszczu z krótko przystrzyżonych włosów.

- To Ozols - powiedział. - Nie żyje.

- Jezu - sapnął Kennard. - Co z paczką?

Alvarez potrząsnął głową. W skrócie opisał to, co zobaczył w kostnicy.

- Co robimy? - zapytał Kennard.

Alvarez przez chwilę przygryzał kciuk. Sięgnął do marynarki po telefon.

- Muszę zadzwonić do Langley.

ROZDZIAŁ 8

09:41 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Hotel *Abrial* mieścił się na zachodnim brzegu Sekwany przy Avenue de Villiers. Pod Muzeum Orsay Wiktor złapał kolejną taksówkę, w której długo przebijał się przez paryskie korki. Na szczęście kierowca przez całą drogę milczał, za co wynagrodził go umiarkowanym napiwkiem. Zbytnią hojność lub brak napiwku taksówkarz mógłby zapamiętać i wspomnieć na ewentualnym przesłuchaniu.

Stwierdził, że dzielnica sprawia przyjemne wrażenie - błyszczała wszystkim tym, o czym turyści po powrocie z Paryża opowiadają znajomym, pomijając jednak deszcz, kurz i skwaszone miny paryżan. Ruszył zatłoczoną ulicą, mijając po drodze hotel. Kilka przecznic dalej kupił w aptece mydło, środek dezynfekujący, pęsetę, waciki i dezodorant. Następnie znalazł spokojny bar, gdzie zamówił lemoniadę i na dziesięć minut zniknął w łazience, aby się umyć i doprowadzić do porządku swój wygląd.

Później skupił uwagę na drewnianych drzazgach, które utkwili mu w skórze. W

chwili zranienia adrenalina zablokowała receptory bólu, teraz jednak nie cieszył się już tym luksusem. Drzazgi były małe, ale ostre i weszły głęboko w ciało. Zaciśnął zęby i za pomocą pęsety powyciągał je z policzka. Wolałby załatwić sprawę jak najszybciej, ale musiał działać powoli, żeby nie połamać drzazg. Kiedy usunął ostatnią, przyłożył do ran wacik ze środkiem dezynfekującym i przytrzymał go tak długo, aż pieczenie stało się nie do zniesienia.

Jeśli w przyszłości znajdzie się w podobnej sytuacji, będzie trzymał się z dala od framug. Gdyby kula trafiła kilka centymetrów wyżej, wyciągałby teraz drzazgi z oka. Wizja ta niezbyt przypadła mu do gustu. Wyjął z kieszeni buteleczkę po kroplach do oczu, rozlał na dłoń i dokładnie roztarł nieco roztworu silikonu. Substancja po paru sekundach wyschła. Na zewnątrz pozwolił sobie na wypalenie papierosa, rozkoszował się nim, krocząc po chodniku.

Zastrzyk nikotyny był właśnie tym, czego teraz potrzebował. Dobrze było poczuć, że się żyje.

Obiecał sobie, że to będzie jedyny tego dnia papieros. Przez ostatni tydzień starał się trzymać limitu jednego na dzień i nadal zdecydowany był go nie przekroczyć, a w najbliższych tygodniach może nawet jeszcze bardziej zmniejszyć. A może nie. W każdym razie nie zamierzał psuć sobie dobrego humoru zamartwianiem się nałogiem. Wyrzucił

wypalonego papierosa i pozbył się użytych przyborów higienicznych w kilku kolejnych koszach na śmieci.

Hotelowy hol urządzono skromnie, lecz ze smakiem - i na szczęście panowała w nim cisza. Napotkał spojrzenie recepcjonisty, który stał za biurkiem, podrapał się po wyblakłej bródce po czym podszedł do gościa.

- *Puis-je vous aider, monsieur ?* - zapytał.

- *Oui, avez-vous un téléphone public ?*

Recepcjonista wskazał koniec holu i widoczny symbol toalet.

- *Juste autour de là ?*

Wiktor podziękował i przeszedł przez hol. Za rogiem znajdowały się dwa przestarzałe automaty telefoniczne. Sprawdził i

wybrał wewnętrzny numer obsługi hotelowej.

Odpowiedział radosny kobiecy głos.

- Słucham, co mogę dla pana zrobić?

- Dzień dobry - odpowiedział. - Mam odebrać pranie, ale nie mogę odczytać numeru pokoju.

Podał rozmówcy numer widniejący na kwicie.

Słyszał znużenie w głosie rozmówcy. Mam nadzieję, że to wyjaśni - pomyślał.

Usłyszał szybkie stukanie w klawiaturę.

- Pan Światosław - wymówiła po kilku próbach kobieta z obsługi - zajmuje pokój 209.

*

Był to przyjemny, elegancko urządzony pokój z wygodnym podwójnym łóżkiem, przestronną łazienką, telewizorem i dobrze zaopatrzonym minibarkiem. Wiktor włączył

telewizor i przełączył go na kanał z wiadomościami. Jak na razie ani słowa o morderstwach.

Wątpił jednak, by temat nie zainteresował mediów. Wyłączył odbiornik i rozejrzał się po pokoju.

Snajper nie zamierzał spieszyć się z wyprowadzką. Na drzwiach szafy wisiały ubrania, umywalka w łazience była zastawiona przyborami toaletowymi. Być może po jego zabiciu planował trochę sobie pozwiedzać. W końcu dlaczego będący w Paryżu cudzoziemiec nie miałby skorzystać z okazji i poznać trochę lokalną kulturę? Teraz pozostało mu jedynie zwiedzanie piekielnych czeluści.

Miał nadzieję, że otrzyma z nich widokówkę.

7 Czy mogę panu pomóc?

8 Tak, czy macie tu telefon?

9 Zaraz za rogiem.

Zakładał, że pozostali zabójcy spali w różnych hotelach, rozsianych po całym mieście.

W ten sposób mniej rzucaliby się w oczy - zwłaszcza, że chodziło o międzynarodową grupę, której członkowie, jak przypuszczał, nie znali się przed otrzymaniem zlecenia zabicia go. Nie dysponując żadnymi wskazówkami co do ich miejsc zakwaterowania, musiał znaleźć jak najwięcej informacji w pokoju, w którym się teraz znajdował.

Na stolikach przy łóżku niczego nie było, podobnie zresztą jak w szufladach. Wsunął

palce między materac a ramę łóżka i znalazł brązowy skórzany portfel, zawierający jedynie kilka euro. Żadnego paszportu, żadnego biletu lotniczego. Przyznał, że byłoby to zbyt proste.

Dokładnie przeszukał cały pokój. W pierwszej kolejności zajrzał do zbiornika w toalecie, żeby sprawdzić, czy snajper zabezpieczał się tak samo jak on, nic jednak nie znalazł.

Być może był jedynym zabójcą stosującym ten trik. Pomyślał, że byłoby miło odkryć niewielką fachową więź łączącą go z człowiekiem, którego zabił.

Wszystkie możliwe kryjówki okazały się puste. Może w hotelowym sejfie? To by miało sens. Eliminowało ryzyko, że pokojówka lub ktokolwiek inny wyniesie coś wartościowego lub obciążającego.

Snajper popełnił oczywisty błąd, zabierając na misję przedmioty osobiste. Było to niewybaczalne, aczkolwiek dało się

wytłumaczyć. W końcu nie planował, że zostanie zabity.

A skoro już nie żył, fakt, że ktoś może odkryć jego tożsamość, nie miał dla niego większego znaczenia. Potwierdziło to dotychczasowe przypuszczenia co do charakteru ekipy zabójców.

Byli to wolni strzelcy, niezwiązani z żadną organizacją. W innym przypadku snajper zachowałby więcej ostrożności. Kto więc ich skompletował? Ktoś ze środkami oraz motywem. Aby zatrudnić zabójców nie wystarczy otworzyć książkę telefoniczną pod literą

„Z” - trzeba w to włożyć więcej wysiłku.

Wiktor zyskiwał wrogów przez sam fakt wykonywania swojego zawodu, ale tylko ktoś, kto wiedział, że będzie w Paryżu, mógł wysłać tutaj ekipę morderców. O ile dobrze się orientował, tylko dwie osoby znały jego aktualne miejsce pobytu: zleceniodawca oraz pośrednik.

Znał jedynie pośrednika, który odpowiadał za kontakt z kimś, komu rzeczywiście zależało na wypełnieniu zadania. Czyli z klientem. Nie znał tożsamości żadnego z nich.

Podobnie nie wiedział, dlaczego zleceniodawca życzył sobie śmierci Ozolsa - z wyjątkiem faktu, że miało to związek z przedmiotem znalezionym w kieszeni marynarki.

Również charakter relacji między pośrednikiem a klientem pozostawał dla niego nieznanym. Pośrednicy działali indywidualnie jako wolni agenci albo pracowali dla: służb wywiadowczych jakiegoś kraju, prywatnych przedsiębiorstw z branży bezpieczeństwa, świata przestępczości zorganizowanej bądź innych ugrupowań. Czasami łączyły ich z klientem codzienne relacje biznesowe - byli prawnikami czy doradcami, albo klient otrzymał na nich namiar od jeszcze innego pośrednika na zasadzie „Znam kogoś, kto być może będzie umiał

pomóc w tej sprawie”

Zdarzało się też, że zlecenie pochodziło prosto od klienta, z pominięciem pośrednika.

Nieczęsto decydował się na przyjęcie takiego zadania. Wolał załatwiać interesy z profesjonalistami.

Pośrednik, który przekazał mu obecne zadanie, nigdy wcześniej z nim nie współpracował. Wiktor nic o nim nie wiedział, aczkolwiek skuteczność i profesjonalizm, jakimi wykazał się pośrednik, wskazywały, że nie pierwszy raz miał do czynienia z zabójcą na zlecenie. Zawsze istniało ryzyko, że pośrednik w rzeczywistości jest agentem policji lub wywiadu i oferuje mu robotę tylko po to, by złapać go na gorącym uczynku. Było to jedno z wielu niebezpieczeństw pracy na własne konto.

Wiktor wyciągnął zdobyty przedmiot i bacznie mu się przyjrzał. Pendrive sam w sobie nie wyglądał ekscytująco, mężczyzna domyślał się jednak, że jego zawartość była dla kogoś niezwykle ważna. Został zatrudniony do zabicia Ozolsa i przejęcia pendrive'a. Następnie miał

ukryć przedmiot w wybranym przez siebie miejscu i poinformować o nim pośrednika, aby mógł go stamtąd odebrać.

Pośrednik nalegał na osobiste przekazanie nośnika pamięci, jednakże on nigdy nie spotykał się z osobą bezpośrednio związaną z jego pracą, o ile nie planował jej przy okazji zabić. Nie tylko nie chciał, by ktokolwiek poznał jego twarz, uzgodnione z wyprzedzeniem spotkanie stanowiło idealną okazję do zorganizowania zasadzki. Wyglądało na to, że gdyby przystał na propozycję pośrednika, wpadłby w pułapkę. Skoro jednak nie zgodził się na spotkanie, jego wrogowie musieli spróbować zlikwidować go zaraz po śmierci Ozolsa, dopóki wiedzieli, gdzie przebywa. Gdyby czekali, aż ukryje pendrive'a i poda lokalizację schowka, mogliby go zgubić.

Może pośrednik lub klient chcieli go zabić, żeby mieć pewność, że żadne późniejsze śledztwo czy akcja odwetowa nie dotrze do nich - było to zrozumiałe, aczkolwiek głupie.

Wiktor łączył z pośrednikiem jedynie wiadomości wysyłane przez internet. Absolutnie żadnego powiązania nie można było dowiedzieć między nim a klientem. Taki sposób działania chronił wszystkie strony transakcji. A może cała sprawa przedstawiała się prościej. Może po prostu zleceniodawca nie chciał zapłacić mu drugiej połowy wynagrodzenia. Ale przecież zatrudnienie całej ekipy zabójców nie mogło się bardziej opłacać. Nawet, jeśli zdecydował się na ludzi, którzy - jak mniemał - mieli

stawki o wiele niższe od tych, które inkasował on sam.

Spakował ubrania do walizki znalezionej pod łóżkiem, na wierzch dorzucił przybory z łazienki. Raz jeszcze sprawdził pokój, zamknął walizkę i zszedł do holu.

Uśmiechnął się do recepcjonisty.

- Chciałbym się wymeldować.

Podał dane Światosława, po czym dodał:

- W waszym sejfie jest trochę moich rzeczy.

Wiktor stał spokojnie, czekając na powrót recepcjonisty. Obawiał się, że zechce on porównać zdjęcie z paszportu z twarzą człowieka stojącego teraz przy jego biurku, różnica natychmiast wyszłaby na jaw. Sięgnął do płaszcza, aby odbezpieczyć czterdziestkę piątkę, ale się powstrzymał. Recepcjonista był młody i wąty. W razie czego nie stawia wielkiego oporu.

Chwilę później recepcjonista wrócił i wręczył mu paszport, bilet lotniczy i portfel z kartami kredytowymi. Jego radosny wyraz twarzy nie uległ przy tym zmianie. Wiktor w duchu dziękował, że gość nie zdecydował się na sprawdzenie tożsamości.

Przejrzał otrzymane dokumenty jakby upewniał się, że niczego nie zostawił. Bilet lotniczy w klasie biznes wystawiono na lot do Monachium. W portfelu znajdowały się dwie karty kredytowe. Obie, podobnie jak bilet na samolot, wystawione na Michaiła Światosława.

Wsunął portfel i bilet do kieszeni. Żadnych kluczy. Było już za późno, by zastanawiać się, gdzie są.

Wymeldował się i uregulował rachunek bardziej zużytą kartą kredytową snajpera, uprzednio dyskretnie podejrzawszy podpis na jej odwrocie. Sfałszowany podpis nie uszedłby uwadze grafologa, lecz wystarczył do oszukania recepcjonisty, który sprawiał wrażenie, że mógłby mieć trudności z przeczytaniem artykułu w piśmie pornograficznym.

Chłopak wręczył mu kopię rachunku, która - jak zauważył - zawierała adres snajpera, po czym pożegnał się słowami:

- Dziękujemy za zatrzymanie się w naszym hotelu. Mamy nadzieję, że pański pobyt w Paryżu był przyjemny.

Brzmiał przy tym szczerze. Wiktor zastanowił się, czy wypowiedziałby to z takim samym zaangażowaniem, gdyby wiedział, że dopiero co rozważał, jak najlepiej byłoby go zamordować.

Uniósł brew.

- Był podniecający.

ROZDZIAŁ 9

13:15 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

- Co tu się u diabła dzieje?

Alvarez i Kennard stali na ulicy Faubourg Saint-Honoré. Wielki tłum oddzielał ich od policyjnych barier. Po obu stronach hotelu zamknięto ulicę. Dostrzegli wielu krzątających się umundurowanych i policjantów w cywilu oraz techników zabezpieczających miejsce zbrodni.

Kennard zakończył rozmowę telefoniczną i zwrócił się do Alvaraza.

- Z tego, co rozumiem, rano rozegrało się tu coś szalonego. Dochodzą mnie słuchy o ośmiu osobach zabitych z broni palnej i zbiegłym podejrzanym, który wydaje nam się znajomy.

- Jasny gwint, John - Alvarez spojrzał wyczekująco na Kennarda. - Ten sam gość, który kropnął Ozolsa?

Młodszy z dwójki przytaknął.

- W obu przypadkach, zabójcy odznaczali się zamiłowaniem do tej samej egzotycznej amunicji. Wygląda na to, że prawie wszystkie ofiary zostały trafione poddźwiękowymi pociskami kaliber pięć i siedem dziesiątych milimetra. Eksperci jeszcze nie zdążyli porównać pocisków, ale...

- Prawdopodobieństwo tego, że dwóch różnych strzelców użyło właśnie tej amunicji tego samego poranka w Paryżu...

- Jest najwyżej mizerne.

Alvarez robił, co w jego mocy, by móc obserwować sytuację ponad głowami spragnionych sensacji gapiów.

- Kiedy to wszystko się stało?

- Jedyne, co ludzie są w stanie powiedzieć, to że gdzieś przed południem. Czyli nie tak dawno.

- Zanim kropnięto Ozolsa?

- Nie jestem pewien, ale sądzę, że co najmniej godzinę później.

- Musimy się dostać do środka, Alvarez przepchnął się przez tłum. Był potężnym mężczyzną. Sukcesy w zapasach w stylu klasycznym pomogły mu przejść przez college. Przy stu osiemdziesięciu trzech centymetrach oraz dziewięćdziesięciu pięciu kilogramach nadal wyglądał na wojownika, nawet jeśli w jego czarnych włosach zdążyły pojawić się srebrne nici. Jego rozmiar onieśmielał, z czego wielokrotnie wcześniej korzystał, aczkolwiek ostatnio zdał sobie sprawę, że zdecydowanie korzystniej jest, gdy ludzie go doceniają, a nie się boją.

W sytuacjach takich, jak obecna, korzystał z naturalnych atutów.

Gdy tylko dotarł do kordonu, zatrzymał go policjant. Wyciągnął dokumenty.

Mundurowy przyjrzał się im przez chwilę, po czym wezwał ruchem ręki przełożonego.

Francuz w średnim wieku, który podszedł niespiesznym krokiem, był niski, starannie uczesany i wyglądał na poirytowanego faktem, że ktokolwiek może czegoś od niego chcieć.

Spojrzał krótko na dokumenty w portfelu, który Alvarez cały czas trzymał w wyciągniętej dłoni, po czym prosto zapytał po angielsku.

- Tak?

- To pan tu dowodzi?

Facet przytaknął.

- Jestem porucznik Lefèvre - zrobił krótką przerwę, po czym, jakby coś sobie przypominając, dodał - co mogę dla pana zrobić?

Alvarez schował portfel.

- Jestem przedstawicielem amerykańskiego Departamentu Stanu i pracuję dla ambasady Stanów Zjednoczonych w Paryżu. Sądzę, że podejrzany z tej strzelaniny może być tym samym człowiekiem, który godzinę wcześniej zabił mojego informatora, obywatela Łotwy Andrisa Ozolsa.

Alvarez wyczuł, że Lefèvre dowiedział się już o związku między sprawami, wątpił

jednak, by Francuz znał przyczyny pobytu Ozolsa w Paryżu.

- I? - zapytał wprost policjant.

Niezupełnie zaskoczyło to Alvareza, choć wolałby usłyszeć bardziej zachęcającą odpowiedź.

- I w naszym wspólnym interesie leży połączenie naszych możliwości śledczych. Jeśli mógłbym rozejrzeć się po hotelu, wtedy...

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Nie słyszał pan, co właśnie powiedziałem?

Lefèvre przeniósł znaczny, wnosząc po rozmiarach brzucha, ciężar ciała na drugą nogę.

- To nasze dochodzenie. Terytorium Francji znajduje się poza waszą jurysdykcją.

Alvarez nie dał się sprowokować. Wziął głęboki wdech i spokojnie odrzekł:

- Nie chcę ukraść panu podejrzanego ani pańskich zasług, chcę tylko pomóc w odnalezieniu tego człowieka. I jakkolwiek szalenie to zabrzmi, pomyślałem, że w tym celu moglibyśmy się wzajemnie wspierać.

- Dziękuję za propozycję - odparł Lefèvre, nie siląc się na szczerość. - Jeśli będziemy potrzebowali pańskiej pomocy, może być pan pewien, że o nią poprosimy.

Policjant odwrócił się i skierował z powrotem do hotelu.

- Co za kutas - wymamrotał Alvarez, gdy Francuz zdążył się już oddalić.

Przepchnął się z powrotem przez rój ludzi. Wyciągnął telefon komórkowy i spojrzał na Kennarda.

- Dobra, czas na Plan B.

ROZDZIAŁ 10

CHARLEROI, BELGIA

PONIEDZIAŁEK 17:02 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Chłopak za kontuarem przyjął pieniądze nie podniósłszy wzroku znad czytanego komiksu. Jedną ręką otworzył kasę, wrzucił otrzymane euro i nie wypowiadając ani słowa, wręczył Wiktorowi papierowy pasek. Wybrał najbardziej oddalony od wejścia komputer, usiadł w pozycji, w której mógł obserwować drzwi wejściowe bez konieczności obracania głowy.

Monitor komputera był płaski, prawdopodobnie niedawno kupiony, ale w szczelinach klawiatury zdążył nagromadzić się kurz. Plastikowe klawisze pożółkły i wytarły się od intensywnego korzystania. Szybko wklepał dziesięciocyfrowy kod z otrzymanego papierka i nacisnął enter.

Poza nim w kafejce internetowej naliczył sześciu innych klientów. Wszyscy byli młodzi. Kiedy czekał na otwarcie okna przeglądarki, do środka weszła chińska nastolatka z różowymi pasemkami. Możliwe, że uczestniczka wymiany studenckiej. Pobieźnie rzucił na nią okiem i zajął się swoimi sprawami.

Wolałby skorzystać z bardziej zatłoczonej kawiarenki, która gwarantowałaby anonimowość. Ale i tutaj nikt nie zwracał na niego uwagi. Chłopak przy drzwiach nie odrywał się od lektury komiksu. Na okładce widniały wielkie piersi i zakrzywione miecze. Za pięć minut Wiktor opuści kafejkę, za pięć kolejnych jej klienci zupełnie o nim zapomną.

Siąpił deszcz. Przez okno widział przemykających po ulicy przechodniów. Nie zauważył, by ktoś obserwował kafejkę.

Racjonalna część umysłu przekonywała, że nikt nie mógł śledzić go przez granicę, jednakże przetrwanie w tym zawodzie wymagało pewnej dozy paranoi. Zdawał sobie sprawę, że wystawiał się na największe ryzyko nie wtedy, gdy bezpośrednio stawiał czoła zagrożeniu, lecz gdy sądził, że jest bezpieczny.

Po opuszczeniu hotelu, w którym mieszkał snajper, Wiktor przez godzinę krążył po paryskiej sieci metra, jeżdżąc tam i z powrotem dowolnie zmieniając pociągi, aby zgubić ewentualne ogony. Było praktycznie niemożliwe, by przeciwnik

dysponował jeszcze ludźmi, którzy mogliby go śledzić, jednak zasady gry wymagały zachowania ostrożności w każdej sytuacji. I nie był to odpowiedni moment na porzucenie reguł, które już niemal dekadę utrzymywały go przy życiu w profesji, która nie wybaczała najdrobniejszego błędu.

Wiktor dokładnie wytarł Hecklera & Kocha, którego miała kobieta z paryskiego komanda zabójców, a następnie wrzucił go do Sekwany. Półtora kilometra dalej, rezerwowego FN-a spotkał ten sam los. Paszport, którym dotychczas się posługiwał, spalił, zaś z wynajętej na fałszywe nazwisko skrytki depozytowej pobrał inny. Stale utrzymywał

skrytki w kilku europejskich stolicach oraz innych miastach na całym świecie. Doświadczenie nauczyło go, że zawsze lepiej jest zapobiegać niż leczyć, a ostatnie wydarzenia tylko utwierdziły go w tym przekonaniu.

Wyrzucił kupione bez recepty okulary, jak również niebieskie soczewki kontaktowe.

Następnie poszedł do niewielkiego zakładu, gdzie fryzjer ostrzygł go na krótko i ogolił ostrą żyłką. Na przenośnym telewizorze zawieszonym na ścianie obejrzał materiał informacyjny na temat strzelaniny w hotelu. Na razie policja ujawniła niewiele szczegółów. W

wiadomościach nie wspomniano o zwłokach mężczyzny w zaułku.

W domu towarowym kupił nowy garnitur, koszulę i parę butów - za każdym razem zmieniając sklep. Gdyby wszystkie zakupy zrobił w jednym miejscu, mógłby zapisać się w pamięci sprzedawcy. Starą odzież wrzucił do torby i porzucił w jakimś zaułku, aby rozgrabili ją miejscy włóczędzy. Jedyнным namacalnym dowodem jego obecności w Paryżu, były zwłoki, jakie za sobą pozostawił.

Być może, gdyby został w mieście, zdołałby dowiedzieć się czegoś o napastnikach.

Jednak dopóki przebywał we Francji, musiał chronić się przed ścigającymi go zabójcami i policją. Poza granicami kraju szanse przedstawiały się jak jeden do jednego. I był to zdecydowanie korzystniejszy współczynnik.

W trakcie pobytu w hotelu uważał, by kamery bezpieczeństwa nie zarejestrowały jego twarzy w bezpośrednim ujęciu. Jednak recepcjonista lub któryś z gości mógł zapamiętać jego wygląd. Dzięki brodzie, okularom, fryzurze i kolorowym soczewkom portret pamięciowy nie byłby dokładny, ale tylko kolejna operacja mogła zmienić rysy. Ciężko westchnął. Były to zabiegi, które z biegiem lat zmuszony był wykonać, ale nigdy do końca nie pogodził się ze zmianami w swoim wyglądzie. Twarz, która spoglądała na niego z lustra, nie należała do niego. Tyle razy poddawano ją modyfikacjom, że sam nie pamiętał, jak wyglądał wcześniej.

Bywały chwile, że go to cieszyło.

Przełęczarka internetowa wreszcie się załadowała i wprowadził adres serwera proxy, na którym miał konto pod fałszywym nazwiskiem. Następnie zamaskował adres IP

komputera, po czym wpisał adres forum dyskusyjnego poświęconego internetowej grze RPG

z Korei Południowej.

Gra cieszyła się ogromną popularnością, toteż forum odwiedzało setki tysięcy zarejestrowanych użytkowników. Dysponowało własnym skomplikowanym systemem zabezpieczeń, mającym uniemożliwić hakerom zakłócanie jego działania. Powzięte środki bezpieczeństwa nie powstrzymałyby pracowników agend rządowych, lecz natłok informacji przechodzących przez serwer uniemożliwiał przechwycenie prowadzonej tam korespondencji.

Zalogował się i wybrał opcję wiadomości natychmiastowych. Wolał ją od tradycyjnej tablicy dyskusyjnej, gdzie publikowane wypowiedzi mogą być przechowywane w nieskończoność. W trybie komunikacji natychmiastowej dane przechodzące między komputerami nie pozostawiały na forum żadnego możliwego do wykrycia tropu. Jedyne ślady zostawały na komputerze, z którego akurat korzystał, oraz na odbierającym wiadomości komputerze pośrednika.

Jedyna osoba na jego liście kontaktów była dostępna.

Pośrednik.

Wiktor dwukrotnie kliknął na jego nicku, żeby otworzyć okienko rozmowy. Napisał

wiadomość. Aby zminimalizować szanse namierzenia rozmowy przez agentów amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego czy brytyjskiej Centrali Łączności Rządowej unikał

oczywistych słów-kluczy, na których wychwytywanie nastawione były rządowe superkomputery. Żadnego *Allah akbar* ani nic z tych rzeczy.

Mam problem.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast:

Co się stało?

W transakcję włączyła się inna firma.

O czym ty mówisz?

Siedmiu konkurencyjnych przedstawicieli handlowych, dobrze poinformowanych o mojej ofercie. Zaczekali, aż skończę poranne spotkanie i zaproponowali mi nowe stanowisko.

Na czas nieokreślony.

Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach.

Przykro mi to słyszeć.

Powinno ci być żal tych przedstawicieli. Byłem poza ich zasięgiem cenowym.

Czy do transakcji doszło?

Tak - napisał. Przedstawiłem klientowi ofertę nie do odrzucenia.

Zabrałeś przedmiot?

Wiktor zastanowił się przez chwilę zanim odpisał.

Mam go.

Czego ode mnie oczekujesz?

Wyjaśnienia.

Nie rozumiem.

Więc pozwól, że cię oświecę. Poza mną, jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli, gdzie będę finalizował transakcję, byłeś ty oraz ktoś, dla kogo pracujesz.

Do czego zmierzasz?

Nie mam zwyczaju sabotowania własnych kontraktów.

To nie jest tak, jak myślisz.

To w takim razie, jak jest?

Cokolwiek się stało, nie ma nic wspólnego z nami.

Oparł się na krzesło. Użycie formy „z nami” zasugerowało mu, że pośrednik i zleceniodawca są ściślej ze sobą powiązani niż dotychczas przypuszczał.

Nie odpisał.

Pośrednik ciągnął dalej.

Nic nie wiem o tym, co się stało, z wyjątkiem tego, co sam mi właśnie powiedziałeś.

Musisz mi zaufać.

Gdyby istniał klawisz, który mógłby sprawić, że komputer pośrednika wybuchnie głośnym śmiechem, Wiktor wcisnąłby go w tym momencie.

Wolę ufać tylko sobie.

Jak więc mogę cię przekonać?

Miałeś już szansę.

Co z przedmiotem?

Nie dostarczę go.

Nastąpiła długa pauza.

Przemyśl to, proszę.

W najlepszym wypadku byliście niekompetentni i ktoś dowiedział się o naszym układzie. W najgorszym byliście na tyle głupi, by spróbować na mnie zaoszczędzić. Tak czy inaczej nasze drogi się rozchodzą.

Poczekaj.

Więcej się do was nie odezwę - napisał Wiktor. Ale być może do was wpadnę.

Wylogował się, gdy pośrednik był w trakcie pisania odpowiedzi. Zwińczenie rozmowy groźbą sprawiło mu przyjemność. Dawny przyjaciel zwykł mu mówić, że nawet najmniejsze zwycięstwo, to wciąż zwycięstwo.

Pośrednik użył liczby mnogiej. Mogło to oznaczać chwilę dekoncentracji, przez którą wyjawiał, że zmówił się ze zleceniodawcą, aby wrobić Wiktora, mogło to też nie znaczyć zupełnie nic. W tej chwili nie mógł rozstrzygnąć tej kwestii.

Usłyszał hałas i się rozejrzał. Irytująca, modna melodyjka ustawiona jako dzwonek telefonu komórkowego. Chińska studentka zanurkowała do kieszeni, aby go wyciągnąć.

Wprowadził kolejny adres internetowy. Z krótkim opóźnieniem nowa strona pojawiła się na ekranie. Kliknął jeden z dwudziestu dostępnych linków i czekał, aż wybrany program się ściągnie.

Aplikacja miała tylko kilka megabajtów, więc przy szybkim łączu kawiarenki kopiowanie trwało zaledwie parę sekund. Uruchomił program. Obserwował jak na ekranie wyskakuje szare okienko, potem szereg cyfr i nazw plików wartkim strumieniem przesuwa się w dół.

Dwie minuty później program zakończył usuwanie z twardego dysku wszystkich śladów niedawnych działań w internecie. Następnie aplikacja zapełniła dotychczas zajmowane przez nie sektory dysku bezużytecznymi informacjami. Potem je usunęła i kolejny raz napisała. W błyskawicznym tempie proces powtórzył się tysiące razy, dając pewność, że pierwotnych danych nikt już nigdy nie odzyska.

Następnie program powtórzył proces usuwając swoje pliki. Trzydzieści sekund później w komputerze nie pozostał żaden ślad po stronach, jakie odwiedził, ani aplikacji, którą zainstalował. Zdolny informatyk mógłby znaleźć ślady obecności programu, ale nic poza tym.

Podniósł się z krzesła i opuścił kawiarenkę. Nad drzwiami była zainstalowana kamera ochrony, więc przeszedł obok niej z odwróconą twarzą, podobnie jak uczynił to przy wchodzeniu.

Skierował się w stronę stacji kolejowej.

ROZDZIAŁ 11

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA

WIRGINIA, STANY ZJEDNOCZONE

PONIEDZIAŁEK 13:53 CZASU WSCHODNIEGO

Pięć stref czasowych na zachód od Paryża znajdowała się siedziba CIA w Langley. Na środku ponad stuhektarowego terenu niemal dwieście tysięcy metrów kwadratowych szkła, stali, betonu i najnowszych technologii mieściło najlepiej finansowaną agencję wywiadowczą świata. Kompleks CIA, na który składała się początkowa siedziba z lat 60. oraz części dobudowane w latach 80., dawał schronienie około dwudziestu tysiącom pracowników. Z

nich wszystkich zaledwie garstka mogła się uważać za zwierzchników Rolanda Proctera, z którego to faktu był niezmiernie dumny.

Procter siedział za swoim biurkiem, w godnym pozazdrosczenia gabinecie na ostatnim piętrze. Biuro było jasne i przestronne, klimatyzowane, urządzone ze smakiem. Bez wątpienia największą zaletą był wspaniały widok na otaczający siedzibę agencji krajobraz Wirginii. Dyrektor NCS (Narodowej Służby Tajnej) odłożył telefon, wstał, zrobił wdech, by dopiąć marynarkę, a następnie wyszedł z gabinetu.

Długimi krokami przemierzył nijakie korytarze wiodące do sali konferencyjnej. W

niecałą minutę dotarł na miejsce i otworzył drzwi. Wszyscy uczestnicy zebrania siedzieli już przy długim owalnym stole. Potrzebna była mniej więcej połowa z nich - grube ryby z departamentu Proctera. Resztę stanowili urzędnicy z różnych szczebli agencyjnej hierarchii, a obecność na spotkaniu zawdzięczali swojej pozycji, a nie użyteczności. Sprawa Ozolsa była ważną operacją i wielu ludzi łączyło swoje losy z jej spodziewanym powodzeniem, teraz zaś musieli stawić czoła porażce.

Zajął swoje miejsce i rozmowy szybko ucichły. Naprzeciw niego siedziała wicedyrektor departamentu Meredith Chambers. Była niska i szczupła, o pociągłej twarzy i siwiejących czarnych włosach, których ostentacyjnie postanowiła nie farbować. Była o parę lat starsza od Proctera, ale musiał przyznać, że wyglądała dobrze jak na swój wiek, chociaż wolał kobiety o zdecydowanie szerszych biodrach. W eleganckim granatowym kostiumie Chambers prezentowała się nad wyraz dostojnie. Na obecnym stanowisku pracowała niecały rok i w opinii Proctera wciąż była żółtodziobem. Zajmowała większy gabinet, ale widok z niego na okolicę nie dorównywał temu, który roztaczał się z jego biura. Dyrektor założyłby się o miesięczną wypłatę, że w łóżku była prawdziwą kocicą.

- Dobrze - rozpoczęła Chambers. - Rozumiem, że Alvarez jest na linii. Słyszysz mnie?

W głośnikach na biurku odezwał się głos Alvaraza:

- Tak, proszę pani.

Procter całkiem dobrze go znał i wiedział, że agent miał wszystkie cechy potrzebne dobremu agentowi polowemu i był naprawdę przyzwoitym gościem. Cechował się głęboko zakorzenionym poczuciem obowiązku oraz patriotyzmem. Można by pomyśleć, że jego krew nie jest tylko czerwona - przybrała wszystkie trzy kolory amerykańskiej flagi. Procter ze zdziwieniem musiał przyznać, że podczas swej długoletniej kariery w CIA ludzi tak prostolinijnych spotykał bardzo rzadko.

- Dobra - odezwała się Chambers. - Niektórzy z nas są na bieżąco z dzisiejszymi wydarzeniami, część nie, więc jeśli mógłbyś rozpocząć od przybliżenia tła całej operacji.

- Dzisiejszego ranka czasu paryskiego - zaczął Alvarez - miałem spotkać się z niejakim Andrisem Ozolsem, emerytowanym lotewskim oficerem marynarki wojennej Federacji Rosyjskiej, a wcześniej Związku Radzieckiego. Ozols twierdził, że zna lokalizację rosyjskiej fregaty, która zatonała na Oceanie Indyjskim w 2008 roku. Katastrofalna w skutkach awaria silnika doprowadziła do śmierci wszystkich marynarzy na pokładzie.

Rosjanie nigdy otwarcie nie przyznali się do wypadku. Po pierwsze dlatego, że zdarzył się to krótko po zorganizowanych

wspólnych manewrach marynarki rosyjskiej i chińskiej, a po drugie, ponieważ, jak twierdzi Ozols, na pokładzie okrętu znajdowało się osiem pocisków manewrujących woda-woda typu Onyks.

- Teraz chciałabym, by William opowiedział nam o Onyksach.

William Ferguson siedział po tej samej stronie stołu, co Procter. Był szefem wydziału rosyjskiego i jednym z prawdziwych weteranów firmy. Był dobrze po sześćdziesiątce, a jego twarz pokrywały głębokie zmarszczki, lecz nie stracił dotąd ani pasemka siwych włosów, które zaczesywał do tyłu nad wysokiego czoła. O ile nie miał na sobie długiego płaszcza, który go optycznie powiększał, wyglądał na człowieka szczupłego, wręcz kościstego, lecz w żadnym wypadku nie słabego. Odbył trzy rundy w Wietnamie i zdobył więcej medali, niż Procter mógłby zliczyć na palcach. Był lojalnym patriotą i zawodowym szpiegiem, który przez ponad czterdzieści lat służył odwalając dla Ameryki niezbędną brudną robotę. Lista jego zimnowojennych dokonań przeciwko Sowietaom była legendarna, a ci, którzy znali jego osiągnięcia, słusznie uważali go za bohatera. Choć był o dekadę starszy od Proctera, zajmował o stopień niższą pozycję w szpiegowskiej hierarchii. W przekonaniu dyrektora był

to świadomy wybór Fergusona. Z własnej woli postanowił pozostać na pierwszej linii walki, co budziło ogromny szacunek.

- SS-NX-26 Onyks - wolno zaczął barytonem Ferguson. - Chcielibyśmy, by ten pocisk został zaprojektowany przez nas. Zastępuje SS-N-22 Sunburn, pocisk opisywany przez ekspertów, w tym mnie, jako najniebezpieczniejszy na świecie. Otóż Onyks jest jeszcze bardziej śmiertelny - odchrząknął, po czym ciągnął dalej. - Te pociski praktycznie gwarantują rozpieprzenie wroga na kawałki. Mają zasięg stu sześćdziesięciu dwóch mil morskich, a gdy zaistnieje potrzeba, mogą mknąć na pułapie zaledwie trzech metrów, dwukrotnie przekraczając prędkość dźwięku. Uzbrojone są w ćwiercotonową głowicę konwencjonalną albo dwustukilotonową głowicę jądrową. Dla porównania - nasze odpowiedniki, czyli pociski Harpoon lub Tomahawk, mają zasięg niespełna pięćdziesięciu mil morskich i nie przekraczają bariery dźwięku. To jak porównywać rower z wyścigówką z toru w Indianapolis.

Ale to nie sama prędkość tych pocisków czy nawet ich zasięg spędzają sen z powiek naszym admirałom. Chodzi o celność. Jest niesamowita. W 2003 roku Rosjanie przeprowadzili z Chińczykami wspólne manewry wojenne na Oceanie Indyjskim, symulując ataki przeciwko agresywnym grupom bojowym amerykańskich lotniskowców. Termin ćwiczeń nie był przypadkowy. Tak się akurat złożyło, że właśnie wtedy w tym samym rejonie świata prężyliśmy nasze marynarskie muskuły - cierpko się uśmiechnął. - Kulminacyjny punkt pokazu nadszedł, gdy chiński niszczyciel rakietowy wystrzelił uzbrojony w ćwiczebną głowicę pocisk Sunburn10. Superszybka kamera zarejestrowała, jak pocisk uderza w środek białego krzyża namalowanego na kadłubie okrętu-celu oddalonego o ponad sześćdziesiąt mil morskich, Sunburn przeleciał na pułapie zaledwie siedmiu metrów nad poziomem morza.

Onyks jest jeszcze szybszy, ma potężniejszy ładunek i trudniej go wykryć, nie wspominając nawet o powstrzymaniu.

- Czy ta broń powinna nas niepokoić? - Ferguson omiół wzrokiem salę. - Jak najbardziej. Onyksy specjalnie zaprojektowano tak, by pokonywały chroniące amerykańskie jednostki morskie systemy radarowe Aegis oraz obronne Phalanx. Uzupełniający system obronny pocisk rakietowy z wirującym kadłubem nigdy nie był testowany przeciwko tego typu broni. Mówiąc wprost, nie mamy sprawdzonego środka obrony przed Onyxem ani 10 Pocisk nazwany w nomenklaturze NATO Sunburn w Polsce znany pod rosyjską nazwą Moskit (przyp. tłum.).

nawet przed Sunburnem. Ich pojawienie się wywraca do góry nogami układ sił na morzu, bowiem teraz kilka niepozornych niszczycieli uzbrojonych w takie pociski może zmieść z powierzchni ziemi całą grupę lotniskowców. Nie mamy niczego, co mogłoby się równać z Onyxem. Dlatego chcemy mieć te rakiety. I to bardzo.

Procter wyczuwał, że Ferguson rozkoszuje się swoją przemową. Spędził całe zawodowe życie na walce z Sowietaami, a odkład runął mur berliński, jego wiedza i doświadczenie nie były tak przydatne. Aktualnie bardziej przejmowano się Bliskim Wschodem aniżeli Rosjanami. Procter wiedział, że jeśli sam znalazłby się w jego sytuacji, żałowałby utraconej chwaty. Jeśli jednak Ferguson odczuwał jakiegokolwiek rozgoryczenie, umiejętnie je maskował. Jeden z urzędników, Nathan Wyley, zdobył się na wysiłek i postawił

pytanie. Choć właśnie dobiegał pięćdziesiątki, wyglądał co najmniej dziesięć lat młodziej, a to dzięki absurdalnej grzywie miękkich blond włosów. Wyley niezbyt lubił Proctera, dla którego powód niechęci pozostawał zagadką, ale nie przejmował się jego opinią.

- Jak to się do cholery stało, że ten pocisk mają Ruscy, a nie my? - spytał.

Ferguson westchnął i skinął na swojego zastępcę Sykesa, aby ten odpowiedział

Wyleyowi. Procter nie był do końca pewny imienia Sykesa. Karl, Kevin albo coś w tym stylu.

Miał sylwetkę kogoś, kto ćwiczy na siłowni, niewystarczająco jednak, by móc się tym faktem chwalić. Procter nie wiedział też dokładnie, ile facet miał lat, lecz wyglądał na trzydzieści parę. Jednak w niekorzystnym świetle zmęczone oczy nadawały mu wygląd kogoś znacznie starszego. Zawsze nosił doskonałe, szyte na miarę garnitury, na które z wynikającej z zaszerogowania pensji nigdy nie byłoby go stać. Parę lat temu Procter wszczął w sprawie Sykesa dochodzenie, aby sprawdzić, czy nie dorabiał na boku, okazało się jednak, że ma zamożnych rodziców oraz fundusz powierniczy.

Dla Proctera Sykes był w pewnej mierze nieobliczalny. Miał eleganckie ciuchy, gładko ogoloną twarz, zdrowe zęby i zawsze mówił to, co należało. Młody i przerażająco ambitny, stanowił niemalże antytezę Fergusona. Pragnął wyrobić sobie markę w departamencie i zapewne niezbyt spodobało mu się przydzielenie do nieatrakcyjnego wydziału rosyjskiego, był jednak zdecydowany zaimponować otoczeniu. W oczach Sykesa Procter dostrzegał cienie własnej ambicji i nie zawsze mu się to podobało.

- Ponieważ - zaczął Sykes, odsłaniając uśmiech pełen wybielonych zębów - proszę wierzyć lub nie, w technologii raketowej nie przewożymy stawce. Fakt, że Rosjanie porzucili większość swoich zbrojeniowych programów badawczych, lecz tu i ówdzie budżet naukowy nadal jest pokaźny. Rosja skupiła się na kilku kluczowych technologiach, a w takich dziedzinach, jak na przykład myśliwce odrzutowe, wręcz wysunęła się na prowadzenie. W

niektórych technologiach raketowych są niekwestionowanymi liderami na rynku, zarabiając miliardy na eksporcie. Od możliwości ich przeciwokrętowych pocisków kierowanych dzieli nas nie krok, lecz przepaść. Są przynajmniej dwadzieścia pięć lat do przodu względem czegokolwiek, co w tej kwestii mamy do zaoferowania.

- Pozwólmy teraz Alvarezowi kontynuować - wcięła się Chambers.

Ferguson skinął, tak jakby sprawa istotnie wymagała jego przyzwolenia.

W głośnikach znowu odezwał się głos.

- Mówiąc w skrócie, Ozols zamierzał sprzedać współrzędne zatopionej jednostki temu, kto zaoferuje najwięcej. Nabywca mógłby potem spokojnie we własnym zakresie wydobyć pociski z wraku. Z pewnością niejedynemu reżim z radością dodałby tego typu uzbrojenie do arsenału. Kiedy Ozols zgłosił się do nas, utrzymywał, że zainteresowanych informacją jest pół tuzina kupców. Początkowo żądał za współrzędne dwustu milionów euro, lecz zdołałem stargować cenę do nieco powyżej stu milionów.

Chambers westchnęła.

- Nie sposób przecenić wagi wydobycia tych pocisków przez nasz kraj. Nie tylko udoskonalimy technologię przeciwokrętowych pocisków kierowanych, lecz, co ważniejsze, uniemożliwimy wrogowi ewentualne użycie tej technologii przeciwko nam lub naszym sprzymierzeńcom. Co więcej, pozwoliłoby to naszej marynarce wojennej stworzyć i rozwinąć środki obrony przeciwko tego typu broni - zatrzymała się, by po chwili dodać: - Nie zapominajmy, że Chińczycy i Irańczycy dysponują tego typu pociskami.

Wyley nachylił się do systemu głośnomówiącego.

- Sto milionów za podanie współrzędnych kartograficznych wydaje się być dość odważnym posunięciem.

Ferguson ruszył z odsieczą.

- Co roku wydajemy na najlepszy sprzęt więcej, niż wynosi PKB większości krajów świata. Sto milionów w zamian za przyspieszenie badań zbrojeniowych o ćwierć wieku? Taka okazja więcej się nie powtórzy. Tym bardziej, że od lat usiłujemy zdobyć pocisk Sunburn, a Rosjanie nie chcą nam go sprzedać.

- I nadal będą sprawne, po takim czasie spędzonym pod wodą? - zapytał Wyley.

Sykes skinął głową.

- Może tak, może nie. Pociski są zamknięte w hermetycznych kapsułach, które chronią je przed oddziaływaniem czynników zewnętrznych, lecz nie zostały zaprojektowane z myślą o zanurzeniu w słonej wodzie. Kapsuły mogły skorodować, a pociski wystawione na działanie wody morskiej będą bezużyteczne, ale i tak uda się z nich wyciągnąć technologię. Równie ważne są głowice, o których nie wiemy nic. Każdy, kto wydobędzie pociski wraz z towarzyszącym im sprzętem elektronicznym, będzie w stanie odtworzyć ich konstrukcję i zbudować własne odpowiedniki. Możliwości obronne naszej marynarki uległyby drastycznej redukcji w konfrontacji z reżimem posiadającym takie rakiety. Nawet repliki dysponujące potową możliwością Onyksa są w stanie uszkodzić lub nawet zniszczyć nasze lotniskowce.

- A dlaczego transakcja miała się odbyć w Paryżu? - spytała Chambers.

Kolejny raz głośniki rozbrzmiały głosem Alvareza.

- Facet miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Był przekonany, że spróbujemy go wykiwać. Zgadzał się na spotkanie tylko na neutralnym gruncie. Gdzieś, gdzie jego zdaniem byłoby nam trudno wyciąć jakiś numer. Sam zaproponował Paryż. Dał mi siedmiodniowe okienko, obiecując, że w pewnym momencie zatelefonuje i poda czas i miejsce spotkania.

Zadzwonił dziś rano tuż przed szóstą i powiedział, że chce się spotkać godzinę później. Rzecz jasna, nie pojawił się.

Chambers z wdziękiem nachyliła się do mikrofonu.

- Domyślam się, że nie należy liczyć, że przed spodziewanym spotkaniem Ozols podzielił się jakąkolwiek wskazówką co do położenia fregaty.

- Niestety nie. Był na tyle dyskretny, że nie podzielił się ze mną żadnym konkretem.

Powiedział mi jednak, że Moskwa sądzi, że okręt opadł na głębiny, toteż jego wydobycie jest nieopłacalne, tymczasem jednostka spoczęła na płytkich wodach szelfu kontynentalnego.

Ozols twierdził, że fregata jest na wodach międzynarodowych, czyli każdy dysponujący łodzią i współrzędnymi może się tam łatwo dostać. Sądzę, że zdajecie sobie państwo sprawę z tego, że szelf kontynentalny Oceanu Indyjskiego jest całkiem spory.

- Dlaczego Ozols nie próbował anonimowo odsprzedać informacji Moskwie? - spytał

jeden z urzędników.

- Moim zdaniem pojął, że w takim wypadku Rosjanie byłiby w stanie określić tożsamość sprzedającego i wysłać małą ekipę egzekutorów z rosyjskiego wywiadu, którzy złożyliby mu lepszą ofertę.

- Jak miała wyglądać wymiana? - zapytała Chambers.

- Ozols zgodził się dostarczyć współrzędne na pendrivie, którego miał mi przekazać w umówionym dniu. Następnie sprawdziłbym informację i gdyby wyglądała na prawdziwą, miałem przelać połowę sumy na jego konto. Kiedy Ozols otrzymałby potwierdzenie z banku, że pieniądze wpłynęły, dostałbym nośnik. Druga połowa zapłaty zostałaby zdeponowana na koncie typu escrow, do którego dostęp przekazalibyśmy mu po znalezieniu okrętu. Tyle mogłem wynegocjować.

- No dobrze - podsumowała Chambers. - A teraz wprowadź nas w to, co się wydarzyło w Paryżu.

- Nadal nie dysponujemy szczegółami - zaczął Alvarez. - Francuzi dopuszczają do sprawy tylko tych, których naprawdę muszą. Wciskają nam tyle kitu, że dotąd się jeszcze przez to przekopujemy.

- Nie mów mi, że cię to dziwi - wtrącił się Ferguson.

- Nasi przyjaciele zza wielkiej wody może i należą do naszych sojuszników najslabiej obdarzonych intelektem, ale nie są aż tak durni, jakbyśmy sobie tego życzyli. Widzą i słyszą, co się dookoła dzieje. Wiedzą, że o czymś im nie mówimy i wcale nie są z tego zadowoleni.

Procter uśmiechnął się pod nosem. Ferguson zawsze mówił to, co myślał, bez skrupowania, a często nie bacząc na przyzwoitość wypowiedzi.

Wyley odchrząknął i ponownie zabrał głos.

- Myślisz, że dowiedzieli się o operacji?

- O ile nie doszło do przecieku, a Francuzi nie wykształcili pozazmysłowych form percepcji, oczywiście, że nie - odpowiedział Ferguson. - Ale nadsekwańska paranoja zasugerowała im pewnie szereg nieprawdopodobnych wytłumaczeń. Rzecz jasna wszystkie dalekie od prawdy, więc nie należy się nimi przejmować. W tym momencie Francuzi są w najgorszym razie uciążliwi.

Chambers rzuciła Fergusonowi uprzejme, ale zdecydowane spojrzenie.

- Kontynuuj, Alvarez.

- Na razie wiemy tyle: patolog określił czas zgonu Ozolsa na przedział między piątą a siódmą rano. Ozols umówił się ze mną na siódmą. Został zastrzelony w zaułku tuż przy Rue de Marne. Całkiem szybko ciało zostało znalezione przez sklepikarza. Nie było przy nim dokumentów, ale na własne oczy obejrzałem je w kostnicy. Podwójny strzał w serce, otwory tak bliskie, że się stykały, do tego trafienie w skroń z bliskiej odległości. Żadnych świadków.

Żadnych dowodów rzeczowych. Nie ulega wątpliwości, że zabójca był zawodowcem.

I tutaj sprawa robi się ciekawa. O ósmej piętnaście paryska policja została wezwana do hotelu, gdzie znaleziono osiem ciał. Pięć w samym hotelu, dwa w budynku naprzeciwko, jeszcze jedno na ulicy. Jeden z gliniarzy, z którymi rozmawiałem nieoficjalnie, powiedział

mi, że według nich wszystkich zabił jeden człowiek. W niektórych zwłokach znaleziono poddźwiękowe pociski kaliber pięć i siedem dziesiątych milimetra, czyli takie, jakimi zamordowano Ozolsa, tyle że wystrzelone z innej broni tego samego typu.

- Co tam się u diabła stało? - spytał Procter.

- W tej chwili nie mam pojęcia - przyznał Alvarez. - Jeśli mam się tego dowiedzieć, muszę dostać się do hotelu, przejrzeć nagrania ochrony i rzucić okiem na raport policji. Sam nie zdołałem tego zrobić.

- Załatwię, co będzie trzeba - rzuciła Chambers.

Ferguson potrząsnął głową.

- Ktoś zabił Ozolsa, a następnie urządził jatkę w paryskim hotelu? Wątpliwe.

- Na to właśnie wygląda - pewnie oświadczył Alvarez.

- Czy mamy jakiegokolwiek domysły, kto wysłał zabójcę? - zapytała Chambers. - Na tym etapie pozwalam na zgadywanki.

- Ozols nigdy nie powiedział mi, z kim jeszcze prowadził negocjacje, ale domyślam się. Rosja i Chiny mają już Onyksy, a Iran ma Sunburny, więc do nich się nie zgłosił. Sam naciskał na przeprowadzenie transakcji w Paryżu, więc Francuzi zapewne nie są w to wmieszani. Ale wszyscy pozostali prawdopodobnie podejrzani z wielką radością położyliby łapy na Onyksach: Izrael, Arabia Saudyjska, Wielka Brytania, Indie, Pakistan, Korea Północna. Jeśli ktoś odkrył, że Ozols chce sprzedać współrzędne nam, można przypuszczać, że postanowił wykraść informację. Poza tym nasłanie zawodowego zabójcy kosztuje nieporównanie mniej, niż zapłacenie Ozolsowi żądanej kwoty. Ale też nie zapominajmy, że Rosjanie mogli odkryć zamiary Ozolsa i go wyśledzić.

- A więc - zaczął Ferguson - mówisz, że zabójca mógł pracować dla kogokolwiek?

Głos, który odezwał się z głośnika, zabrzmiał śmiertelnie poważnie.

- Ale i tak go znaję.

ROZDZIAŁ 12

NA POŁUDNIOWY WSCHÓD OD CHARLEROI, BELGIA

- *Les billets, s'il vous plaît* 11.

Wiktor podał konduktorowi bilet i podziękował, gdy ten ostemplował go i oddał.

Konduktor powoli przesuwał się wzdłuż wagonu, od czasu do czasu chwytając się poręczy, ponieważ pociągiem rzucało. Wyglądał, jakby miał osiemdziesiąt lat i nikłe szanse dożycia osiemdziesięciu jeden.

Na zewnątrz padał śnieg. W narożnikach okien zbierały się białe płatki. Krajobraz za szybą ginał w mrokach nocy, lecz gdy dociskał policzek do zimnego szkła, mógł dostrzec pola i wzgórza, a także - od czasu do czasu - migoczące w oddali światełka.

Do granicy z Niemcami pozostały dwie godziny jazdy. Podróż do Monachium przez Strasburg miała trwać do późnej nocy, lecz nie pozwalał sobie na luksus drzemki. Nie był

zresztą pewien, czy zdołałby zasnąć.

W wagonie był sam. Siedział w ostatnim rzędzie, na prawo od przejścia, plecami do ściany. Prostując się w fotelu, mógł obserwować drzwi na drugim końcu wagonu i każdego, kto nimi wchodził.

Napastnik, który dostałby się do wagonu przez drzwi na lewo od jego miejsca, dostrzegłby go dopiero wtedy, gdy znalazłby się tuż obok. Wtedy, jeśli podobnie, jak dziewięćdziesiąt procent światowej populacji, byłby praworęczny, musiałby obrócić cały korpus bądź też całkowicie wyprostować ramię, aby móc do niego strzelić. W obu wypadkach miałby wystarczająco dużo czasu, by obezwładnić przeciwnika.

Drzwi koło jego miejsca otworzyły się i odruchowo zmienił pozycję. Zastrzyk adrenaliny przygotował go do odparcia ewentualnego ataku.

Do wagonu weszła cztero- może pięcioletnia dziewczynka. Odprężył się. Nawet na niego nie spojrzała i ruszyła biegiem przez przejście, objijając się o siedzenia. Kiedy dobiegła do końca wagonu, zawróciła i przybiegła z powrotem, uśmiechając się za każdym razem, gdy 11 Bilet poproszę.

odpychała się od mijanego fotela. Dotarła do miejsca, na którym siedział i zatrzymała się.

Jego oczy napotkały spojrzenie niewiarygodnie dużych oczu dziecka. Odwzajemnił

spojrzenie, lecz intensywność, z jaką dziewczynka gapiała się na niego, sprawiła, że poczuł się niezręcznie, tak jakby mogła przewiercić się przez jego oczy, przeniknąć cienką powłokę człowieczeństwa i dojrzeć skrytą prawdę o jego osobowości. Po chwili jednak uśmiechnęła się, ukazując szpary między zębami, a obawy, jakoby dysponowała jakimiś nadprzyrodzonymi zdolnościami, wnet się rozwiały.

Udając zdziwienie, pochylił się do przodu i sięgnął za ucho dziewczynki. Kiedy cofnął

rękę, w dłoni trzymał monetę. Oblicze dziewczynki rozpromienił uśmiech. Mężczyzna przetoczył pieniążek tam i z powrotem po palcach i uśmiech przerodził się w śmiech.

Przełożył monetę do lewej ręki i przesunął ją nad prawą dłoń. Kiedy otworzył lewą dłoń, monety już nie było.

Dziewczynka zaśmiała się i wskazała na drugą dłoń. Być może już kiedyś widziała tę sztuczkę, ale miał nadzieję, że po prostu była jak na swój wiek wyjątkowo spostrzegawcza.

Odwrócił zamkniętą prawą dłoń. Otworzył ją. Monety tutaj też nie było. Uśmiech na twarzy dziewczynki ustąpił miejsca niedowierzaniu. Usiadł z obiema dłońmi odwróconymi do góry i wzruszył ramionami.

Otworzyły się drzwi, pojawiła się kobieta i zawołała dziewczynkę. W odpowiedzi dziecko znowu odbiegło na drugi koniec wagonu. Matka pospieszyła za córeczką. Wyglądała na zdenerwowaną.

Kobieta złapała córkę za kołnierz, nim ta dotarła do kolejnych drzwi, i z kwaśną miną poprowadziła ją do poprzedniego

wagonu. Karciała ją przy tym po niemiecku, nie wydawało się jednak, by uciekiniarka zbytnio się przejmowała udzielaną reprimendą.

Kiedy podeszły bliżej, posłał dziewczynce spojrzenie mówiące „powodzenia następnym razem”. Mała uśmiechnęła się szeroko, a gdy mijała jego fotel, dyskretnie podał

jej monetę. Przez moment, zanim zniknęła, jej oczy rozblęły. Jeszcze nigdy w życiu nie poczuł się tak samotny.

Pociąg wszedł w długi zakręt i lampki pod sufitem zamigotały. Wyciągnął z kieszeni i uruchomił smartfona, którego - ku uciesze właściciela sklepu - kupił za gotówkę podczas pobytu w Charleroi. Gdy telefon się włączył, wyciągnął pendrive'a i podłączył go do portu USB. Nośnik otworzył się, lecz by odczytać jedyny obecny na nim plik, trzeba było podać hasło.

Włożył pendrive'a z powrotem do kieszeni marynarki. Zmusił się do przeanalizowania, od kiedy jego plany zaczęły się walić. Dwie godziny po tym, jak wypełnił

zadanie zabicia Ozolsa, usiłowali zlikwidować go zabójcy z Europy Wschodniej dowodzeni przez Amerykanina. Pomyślał o dossier na swój temat, jakie znalazł w furgonetce zabójców.

Być może nie dysponowali wieloma szczegółami, ale sama znajomość jego twarzy oraz miejsca zakwaterowania wymagała niezwykle trafnego rozpoznania.

Tylko ktoś, kto wiedział, w jakim celu uda się do Paryża mógł nasłać na niego zabójców. Nie wierzył, by w sprawę była zaangażowana jakaś trzecia strona. Wystawił go pośrednik, klient albo obaj naraz, chcąc się przez to zabezpieczyć, zaoszczędzić albo też z jeszcze innego powodu, którego jak na razie nie zdążył zrozumieć. W tym momencie nie to było dla niego najważniejsze. Przede wszystkim musiał utrzymać się przy życiu i wyeliminować wrogów. Wszelkie inne kwestie stawały się nieistotne. Odpowiedź na pytanie

„dlaczego?” interesowała go, tylko jeżeli ułatwiłaby mu samoobronę.

Otworzył zapisany w pamięci smartfona plik, w którym zapisał wszystkie szczegóły dotyczące zabitego snajpera. Próba przewożenia jego dokumentów przez granice byłaby zbyt dużym ryzykiem. Musiał odkryć, kto wynajął Światosława. Być może zrobił to właśnie pośrednik, a może ktoś zupełnie inny. W każdym razie musiał się tego dowiedzieć.

Światosław mieszkał w Monachium, więc tam postanowił rozpocząć poszukiwania.

Nagle zdał sobie sprawę, że ma zamknięte oczy i zmusił się do ich otwarcia.

Organizm domagał się odpoczynku, lecz dopóki jego wrogowie byli na wolności, nie mógł

sobie pozwolić na uspienie czujności. Przez całe życie starał się być niewidzialnym, a pomimo podejmowanym środków ostrożności, ktoś poznał jego tożsamość. Teraz musiał

uważać bardziej niż kiedykolwiek.

A jego zdaniem najlepszą formą obrony był atak

ROZDZIAŁ 13

PARYŻ, FRANCJA

PONIEDZIAŁEK 22:48 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Czarno-biały obraz na monitorze komputera bezustannie migał. Obraz był ziarnisty, miejscami zniekształcony, ale ogólna jakość była wystarczająca. Ujęcia pochodziły z kamery o niskiej rozdzielczości, tak więc Alvarez nie spodziewał się krystalicznej przejrzystości, byłoby mu jednak o wiele przyjemniej, gdyby od oglądania nagrania nie napieprzała go tak bardzo głowa.

Uszczypnął się w czoło między brwiami i otarł łzy ciekące ze zmęczonych oczu.

Czuł się beznadziejnie i domyślał się, że podobnie wygląda. Wraz z Kennardem znajdowali się w pomieszczeniu, w piwnicy amerykańskiej ambasady. Młody technik, którego imienia nie zdążył zapamiętać, obsługiwał sprzęt.

Gdy tylko zakończył rozmowę z centralą, Chambers najwyraźniej nacisnęła na Francuzów, bowiem Alvarezowi dostarczono kopie wszystkich istotnych dokumentów.

Otrzymał również kopie nagrań ochrony hotelu, w którym pięć osób, w tym kobieta, zostało rozwalonych z broni palnej. Według raportu policji jedno z ciał znalezionych w budynku naprzeciwko również należało do kobiety, a na dodatek starszej. Od czasu wstąpienia do CIA nie miał jeszcze do czynienia z tak wariacką sprawą.

Od niemal jedenastu lat Alvarez był oficerem operacyjnym Narodowej Służby Tajnej, znanej wcześniej jako Zarząd Operacyjny. Po ukończeniu studiów służył w piechocie morskiej, doszedł jednak do wniosku, że nie jest to praca dla niego. W wojsku czuł, że stoi w miejscu, cały czas czekając, aż coś się wydarzy, gdy tymczasem nic się nie działo. Kiedy się zaciągał, był niedojrzałym gnojkiem, który chciał sprawdzić, na co go stać, a nieustanne ćwiczenia i nadarzające się co jakiś czas misje humanitarne nie dawały spełnienia. Wtedy były inne czasy, teraz pewnie czekałoby go więcej akcji, niż byłby w stanie strawić. O ile do sił zbrojnych dołączył z całkowicie niewłaściwych powodów, z CIA związał się kierowany jak najsłuszniejszymi przesłankami. Od tamtej chwili nie wracał już do przeszłości.

Na ekranie dwaj mężczyźni weszli do windy.

- Co to za goście?

Podczas gdy Alvarez stał prosto z wielkimi łapami założonymi na jeszcze większej piersi, Kennard garbił się, podwinąwszy rękawy, podpierał się łokciami na biurku i wpatrywał

w monitor. Młodszy o co najmniej dziesięć lat od Alvareza był, technicznie rzecz ujmując, jego podwładnym, lubił jednak zachowywać się tak, jakby byli partnerami. Alvarez dyplomatycznie na to pozwalał dla zachowania przyjaznej atmosfery współpracy.

Kennard był parę centymetrów od niego wyższy, nadużywał żelu do włosów i sprawiał wrażenie, jakby jedynym powodem, dla którego pracuje w agencji, były oferowane w pakiecie bonusy typu opieka zdrowotna. Prawdopodobnie traktował zajmowane stanowisko jako kolejny szczebel kariery - wstąpić do CIA tuż po studiach, popracować kilka lat, zdobyć doświadczenie i umiejętności, a następnie przejść do większych, lepszych i lepiej płatnych zadań z sektora prywatnego, Alvarez nie miał cierpliwości do takiego podejścia. Pracował w CIA, aby wypełniać swój patriotyczny obowiązek.

Kennardowi zazwyczaj gęba się nie zamykała, tymczasem dziś jego arogancja gdzieś zniknęła. Być może powaga zadania okazała się dzwonkiem alarmowym tak potrzebnym temu facetowi. Zginęli ludzie. To nie była zabawa.

Alvarez przekartkował fotokopię wstępnego raportu. Zawierała pewne szczegóły, których nie było w sprawozdaniu przekazanym przez Francuzów. Dodatkowe informacje pochodziły od informatora CIA w strukturach paryskiej policji. Amerykańskiego podatnika kosztowało to nieco grosza, ale grubo zwitek euro załatwił to, czego nie załatwiło rzekome

porozumienie o współpracy.

Dotarł do fragmentu raportu, gdzie kolejno wymieniano wszystkich zabitych. Z

wyjątkiem staruszki zabitej w progu jej własnego mieszkania, przy żadnym z trupów nie znaleziono dokumentów. Jednocześnie większość z nich miała radiostacje ze słuchawkami, broń i amunicję. Francuzi nie zidentyfikowali jeszcze ani jednej ofiary. Alvarez wrzucił

uzyskaną kopię odcisków palców do systemu i czekał na rezultaty wyszukiwania. W hotelu stało się coś bardzo niepokojącego, a brali w tym udział niebezpieczni ludzie.

Oglądanie taśm ochrony było zajęciem ogłupiającym, ale Alvarez był zmotywowany do granic możliwości. Umówiony z nim na spotkanie Andris Ozols został zamordowany, zaś informację, którą miał przekazać, skradziono. Jej odzyskanie było priorytetem, lecz za równie ważne uznawał dorwanie gnoja, który zabił Łotysza i przynajmniej ciśnięcie nim o najbliższą ścianę.

Niestety, hotel korzystał tylko z dwóch kamer przemysłowych - jednej w holu, drugiej przy tylnym wejściu. Gdyby urządzenia umieszczono również na każdym z pięter, robota Alvareza byłaby o wiele łatwiejsza. Dysponując zaledwie dwoma nagraniami musiał opierać się na ustaleniach paryskiej policji, by odtworzyć przebieg wypadków. Tymczasem raport miejscowych stróżów prawa był żałośnie krótki i pełen luk. Ich zapełnienie mogło trochę potrwać.

- Nadchodzi - odezwał się Kennard. - Podchodzi do recepcji.

Alvarez spojrzał do raportu.

- Pan Bishop, z pokoju 407.

Obserwował, jak widoczny na ekranie tajemniczy mężczyzna odchodzi od recepcji w stronę windy. Sprawia wrażenie, jakby czekał na przyjazd kabiny, po chwili staje nagle przy automacie z papierosami. Wyraźnie chowa się przed dwoma mężczyznami, którzy wysiedli w windy.

Widzieli istotne fragmenty taśm co najmniej dwadzieścia razy, a mimo to nie mogli się temu nadziwić. Kiedy dwaj mężczyźni stanęli w holu, zabójca prześlizgnął się tuż za nimi, zbliżając się tak bardzo, że wyglądało, jakby ich dotykał, a następnie niezauważony zniknął w windzie.

- Zręcznie - wyszeptał Kennard.

Alvarez bezwiednie przytaknął.

- Przewiń do przodu.

Technik nacisnął, co należało i przez kilka następnych sekund obraz ze świstem pędził naprzód.

- Wystarczy - rzucił Alvarez.

Na ekranie widać było dwóch wyraźnie zaniepokojonych mężczyzn, którzy z furią wciskali guziki windy, po czym popędzili do klatki schodowej i zniknęli z kadru.

Kennard potrząsnął głową.

- A parę minut później obaj są już martwi.

- To oni przyszli po niego do hotelu, a nie na odwrót - zauważył Alvarez. - Dobra, przeskoczmy do momentu, kiedy pojawiają się kolejni.

Chyba dziesiąty raz poluzował krawat, podczas gdy Kennard nie spuszczał oczu z ekranu. Technik cicho pracował nad przewijaniem nagrania. W pomieszczeniu panował

zadach. Było pozbawione okien, a klimatyzator gonił resztką sił. Na zewnątrz było zimno, tymczasem Alvarez, Kennard i spec od spraw technicznych wiele długich godzin siedzieli w pełnym elektronicznego sprzętu pomieszczeniu o wymiarach trzy na trzy. Powietrze w pokoju praktycznie było już trujące.

- To tutaj - rzucił Kennard.

Mężczyzna, który musiał być zabójcą Ozolsa, wysiadł z windy i skierował się w głąb holu, gdzie rozsiadł się w fotelu - niezwykle irytujące. Ukrywał twarz przed okiem kamery, nie czyniąc tego w otwarty sposób, lecz poprzez delikatne skręty i nachylenia głowy, dzięki którym uniemożliwiał utrwalenie swoich rysów. Zbyt skuteczne, by to uznać za przypadek.

Nie mógł znać rozmieszczenia kamer przed przybyciem do hotelu, ale zatrzymał się tam kilka dni wcześniej, zaś hotel przechowywał nagrania jedynie przez czterdzieści osiem godzin. Potem taśmy wykorzystywano ponownie. Alvarez nie widział w tym sensu. Równie dobrze hotel mógłby wywalić kamery w cholerę. Nie omieszkał podzielić się swoimi spostrzeżeniami z hotelowym managerem.

Zabójca ponownie pojawił się na ekranie, gdy szedł w stronę klatki schodowej. Potem znowu zniknął - było to ostatnie jego ujęcie na nagraniu. Jedno z ciał znaleziono w kuchni, toteż Alvarez uznał za prawdopodobne, że morderca ulotnił się tamtędy, a nie tylnym wejściem, gdzie zamontowana była druga kamera. Kolejni ludzie zginęli w budynku naprzeciwko, a jeszcze jedna osoba - bezpośrednio na ulicy.

Podczas odtwarzania reszty taśmy Alvarez stał bez ruchu w nadziei, że dojrzy jeszcze coś, co mogłoby pomóc. Był zmęczony. Piekły go oczy. Był pewien, że Kennard czuje się tak samo. Podejrzewał, że technik jest przyzwyczajony do gapienia się całymi dniami w ekran i nie przeszkadza mu to. Tego typu badziewie pewnie go wręcz podniecało. Świr.

Po kolejnych trzydziestu minutach Alvarez sięgnął po krzesło i usiadł.

- Niczego więcej nie wyciśniemy z tych taśm.

Kennard skinął głową.

- Racja.

Chrupnął kostkami dłoni.

- Myślicie, że w tym mieście da się znaleźć jakieś chińskie żarcie? Nie wiem, jak wy, ale ja chętnie wsunąłbym chrupiącą kaczkę. Rzygać mi się chce od kuchni tych żabjadów.

Wreszcie odezwał się technik.

- Parę przecznic na zachód jest dobra knajpa, w której podaje do stołu niezła azjatycka dupeczka. Pokażę wam, jak trafić.

- W porządku - Kennard klepnął się po brzuchu. - Umieram z głodu.

Alvarez nie był jednak w nastroju do biesiadowania. Odezwał się zamyślony:

- Pewien gość zabija Ozolsa, dwie godziny później wraca do swojego hotelu, gdzie siedmiu zabójców usiłuje go zamordować, ale to on ich wszystkich wykańcza. - No tak -

rzucił od niechcenia Kennard, oczami świdrując wyjście z pokoju.

- Według opisu recepcjonisty facet jest biały, wysoki lub średniego wzrostu, szatyn lub brunet, ale włosy można ufarbować. Nie zapamiętał koloru oczu. Gość chyba miał

okulary. Wiek między dwadzieścia pięć i czterdzieści. Miał brodę, ale o ile nie była doklejona, już ją na pewno zgolił. Czyli praktycznie może być to każdy biały facet.

- Mniej więcej tak to się przedstawia - zgodził się Kennard. - To jakieś brednie. Nie mamy w tym momencie nic.

Podniósł swoją marynarkę.

Alvarez musiał przyznać mu rację. Przeciągnął dłonią po zarost, zastanawiał się nad kolejnym ruchem. Był wyczerpany, ale nie chciał iść spać. Wciąż było zbyt dużo roboty.

Zadzwonił telefon. Alvarez szybko odebrał, a gdy zakończył rozmowę, uśmiechnął się do Kennarda.

- Mówiłeś coś?

ROZDZIAŁ 14

MONACHIUM, NIEMCY

WTOREK 01:12 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Padło, gdy Wiktor wraz z czternastoma innymi pasażerami wysiadł z pociągu. O tak późnej porze dworzec był prawie pusty, a otwarta przestrzeń dała mu powód do lekkiego zaniepokojenia. Opuścił stację jak najszybciej, ale nie sprawiając wrażenia pośpiechu. Przed dworcem nie czekała żadna taksówka, więc ruszył piechotą. Po wielu godzinach siedzenia z przyjemnością rozprostował nogi.

Natknął się na otwarty bar szybkiej obsługi i usiadł przy oknie. Posiłek był

zaskakująco podły, nawet jak na standardy fast foodów, ale organizm domagał się uzupełnienia kalorii. Przynajmniej waniliowy shake był niczego sobie.

Zatrzymał taksówkę i podał kierowcy nazwę ulicy, przy której mieszkał snajper. Udał, że nie zna niemieckiego, aby oszczędzić sobie głupiej pogawędki podczas jazdy. Budynek okazał się czteropiętrowym apartamentowcem we wschodniej części Monachium. Okolica była zamożna - przeważały wybudowane w latach dziewięćdziesiątych osiedla przestronnych domów oraz drogich apartamentów z widokiem na rzekę.

Główne drzwi kamienicy były zatrzasknięte, nie miał klucza, więc spędził noc, krążąc po całonocnych lokalach Monachium, pozwalając sobie na jednego drinka na godzinę.

Podobnie jak inni samotni mężczyźni zabijał czas przyglądając się przedstawicielkom płci pięknej. W każdym barze spędzał najwyżej dwie godziny, nie chciał bowiem zapisać komuś w pamięć. O szóstej zjadł śniadanie w małej kawiarence, po czym z czarną kawą na wynos wrócił pod kamienicę, w lodowatym powietrzu zostawiając za sobą kłęby pary.

Stanął po przeciwnej stronie jezdni, chroniąc się przed mżawką pod wiatą przystanku autobusowego. Zarazem przystanek stanowił doskonałe alibi na wypadek, gdyby ktoś zainteresował się jego obecnością na ulicy. Według dokumentacji z hotelu Michaił

Światosław mieszkał w lokalu 318, aczkolwiek istniało prawdopodobieństwo, że w rzeczywistości nie były to rzeczywiste personalia poszukiwanego snajpera, Wiktor był jednak pewien, że dobrze trafił. Paszport Światosława był zbyt zużyty jak na przypadkową fałszywą tożsamość, więc albo był to prawdziwy dokument zabójcy, albo też jego jedyna przykrywka.

Zawierał liczne pieczętki z państw spoza Unii Europejskiej, przede wszystkim z byłych republik Związku Radzieckiego - Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy i innych. Albo często podróżował w interesach, albo był zapalonym turystą ze specyficznym gustem, jeśli chodzi o wybór kierunków wycieczek. Tak czy owak, lokal przypisany do figurującej w paszporcie tożsamości warto było sprawdzić.

Pociągnął łyk kawy. Smakowała jak typowe niemieckie jedzenie i picie - okropnie.

Naród, który wytwarzał światowej klasy broń palną, najwyraźniej nie byłby w stanie zaparzyć przyzwoitej kawy, choćby nawet zależało od tego jego przetrwanie.

Widział, jak z budynku wyszły cztery osoby, nikt nie wchodził. Wszyscy ubrani byli w garnitury i długie płaszcze, nieśli teczki. Miejskie trutnie zmierzające do pracy w ulu.

Popijając kawę obserwował ludzi zmierzających w stronę budynku. Starał się przewidzieć, który z nich będzie chciał wejść.

Poranek był zimny i wilgotny, niebo skrywała sina powłoka chmur. Latem Niemcy mogą być przepiękne, lecz zimą uważał je

za najbardziej przygnębiający kraj Europy. W

nordyckiej mitologii piekło to lodowata kraina znana jako Niflheim. Jego zdaniem wyobrażenie Wikingów o zaświatach nie odbiegało zbyt od realiów niemieckiego listopada.

Upił kolejny łyk kawy i zauważył wbiegającego na ulicę ciemnowłosego mężczyznę w wełnianym płaszczu. Jego twarz była pociągła i blada, a w ręku trzymał metalową teczkę.

Rozpoznał w nim tego samego człowieka, który dziesięć minut wcześniej wyszedł z kamienicy. Lepiej być nie mogło.

Począł na odpowiedni moment, wyrzucił kubek po kawie do kosza i przeszedł przez ulicę. Kontrolował rytm kroków, aby dotrzeć do schodów w tym samym momencie, co obserwowany. Mężczyzna zerknął w jego kierunku, ale odwrócił się, przeszukując kieszenie w poszukiwaniu kluczy, których nigdy tam nie było.

Wiktor przepuścił mężczyznę do drzwi, a ten otworzył je własnym kluczem.

- *Danke* - rzucił i wszedł, nie pozostawiając wchodzącemu czasu na pytanie, czy mieszka w tym budynku.

- *Kein problem.*

Korytarz był jasno oświetlony, czysty i przestronny. Ruszył do schodów, po stanie poręczy i nieskazitelnie czystych stopniach wnosząc, że winda prawie nigdy się nie psuła.

Mężczyzna pospieszył do mieszkania na parterze i zniknął za drzwiami. Wiktor w myślach życzył mu, by nie spóźnił się do pracy.

Dotarł na trzecie piętro, otworzył drzwi klatki i wszedł na korytarz. Dostępu do mieszkania 318 broniły trzy zamki. Bez dwóch zdań mieszkanie snajpera.

Po dwóch minutach otworzył zamki i wszedł do środka. Wyglądało, jakby zabójca dopiero co się wprowadził i nie zdążył się zadomowić. Niezbędne minimum mebli, tu i ówdzie jakaś fotografia, żadnych przedmiotów osobistych wyrażających osobowość właściciela. Wszystko to przypominało jego własne lokum. To porównanie nie dodawało mu otuchy.

Mieszkanie miało dwie sypialnie, z których jedna była przerobiona na siłownię z ciężarkami oraz rowerem stacjonarnym. W siłowni znajdował się duży telewizor, który umieszczono tak, by umożliwiał oglądanie programów podczas jazdy na rowerze.

Główna sypialnia była równie pusta, jak pozostałe pomieszczenia. Znajdowały się w niej: starannie posłane łóżko, komoda, szafa oraz kolejny telewizor, z którego snajper mógł

korzystać, leżąc na łóżku. Pod jedną ścianą stał stos filmów, pod drugą - stos gier na konsolę.

Składowe smutnego i samotnego życia. Kuchnia była nowoczesna, czysta, niemalże prosto wyjęta z katalogu. Na jednej z szafek stał stary telewizor.

Przeszukał pomieszczenia, przejrzał każdą szufladę i szafkę. Nie znalazł żadnej wskazówki co do tożsamości snajpera. Facet nie był głupi. Nic nie wskazywało na to, że właściciel mieszkania zarabia na życie mordowaniem ludzi.

Nalał sobie w kuchni szklankę wody. Czuł się zmęczony, wręcz wyczerpany.

Spragniony jakiejś lekkostrawnej rozrywki, postanowił pooglądać telewizję. Nacisnął

włącznik, ale nic to nie dało. Zdał sobie sprawę, że stary i kanciasty telewizor odstawał od reszty nowoczesnych sprzętów.

Nacisnął przycisk raz jeszcze. Nic. Lampka stanu czuwania cały czas świeciła na czerwono.

Trzy telewizory w małym mieszkaniu z jednym lokatorem wydawały się przesadą, zaś przestarzały odbiornik w kuchni, gdzie wszystko poza tym lśniło nowością, wyglądał

podejrzanie. Przebiegł palcami po obudowie telewizora, natrafiając na śrubki osadzone w plastikowych zagłębieniach.

Opuszkami palców wyczuł, że ich główki były ostre. Niedawno ktoś nimi manipulował.

Przeszukał szuflady i znalazł śrubokręt. Odłączył przenośny telewizor i obrócił go tyłem, aby móc obejrzeć dokładniej śruby. Były wyżłobione. Ich wykręcenie i zdjęcie tylnej pokrywy zajęło mu minutę. Po otwarciu przekonał się, dlaczego urządzenie nie dawało się uruchomić. Z wyjątkiem lampki czuwania było pozbawione wnętrza. Był to schowek. W

środku znajdował się browning kaliber dziewięć milimetrów, Luger kaliber dwadzieścia dwa, dokręcany do niego tłumik, zapasowe magazynki do obu pistoletów, zestaw noży oraz dwa pudełka amunicji. Skrytka na broń. Nic poza tym.

Miał nadzieję znaleźć o wiele więcej, liczył na jakąś drobną wskazówkę, która pomogłaby mu odkryć kto nasłał na niego ekipę zabójców. Stracił dużo czasu, możliwe, że po drodze dał się zdemaskować, ale ani o krok nie zbliżył się do swoich przeciwników. Miał

ochotę zrzucić telewizor z szafki, jednak powstrzymał się i wziął głęboki wdech. Umieścił

pokrywę na miejscu i postawił pusty odbiornik dokładnie tam, gdzie go zastał. Następnie umył, wysuszył i odstawił szklanę na jej miejsce na półce. Jeszcze raz przeszukał

mieszkanie, by upewnić się, że niczego nie przeoczył.

Wyszedł z kamienicy i podążył do centrum miasta. Nie mógł nic więcej zdziałać w Monachium. Miał jednak pendrive'a. Kimkolwiek była osoba, która chciała go przejąć, nadal gdzieś się kryła. Jak długo będzie mógł się przed nią ukrywać? Potrzebował nowej strategii działania. Teraz musiał się przeczaić, zebrać myśli, zaplanować następny krok i odpocząć.

Było tylko jedno miejsce, gdzie mógł to uczynić, gdzie czuł się bezpiecznie. W Szwajcarii, na północ od Genewy, nieopodal wioski Saint Maurice.

Najlepszy substytut domu, jaki miał.

*

Przed wyjazdem musiał załatwić jeszcze jedną sprawę. Znowu przyszedł ten moment w roku, chociaż ze względu na okoliczności starał się go odłożyć. Dalej zwlekać już nie mógł.

Ruszył w innym kierunku.

Budynek był w kiepskim stanie. W nowoczesnej dzielnicy przypominał zjawę z minionej epoki. Jego wyblakłe i brudne cegły ciemniały w deszczu. Pomarańczowe strugi rdzy barwiły ściany poniżej okien chronionych przez żelazne kraty. Drzwi nie były zamknięte, więc pchnął je i wszedł do środka. Wewnątrz panował mrok, a wysoki sufit ginął

wśród cieni.

Buty Wiktora zastukały na posadzce. Prócz tego jedynym dźwiękiem był jego oddech.

Czuł, jak z każdym krokiem tętno wzrastało w zastraszającym tempie. Jak zawsze, wiele wysiłku kosztowało go, by nie odwrócić się i nie wyjść.

Odciągnął zasłonę i wszedł do skrzyni, która przypominała mu przewróconą trumnę.

Zaciągnął tkaninę za sobą i upadł na kolana, pochylając głowę i składając dłonie.

Cichym głosem odezwał się do anonimowej sylwetki po drugiej stronie ażurowego panelu.

- Wybacz mi, ojcze, albowiem zgrzeszyłem.

ROZDZIAŁ 15

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA

WTOREK 06:07 CZASU WSCHODNIEGO

Procter zauważył, że o tak wczesnej godzinie nie stawiał się żaden z urzędników, toteż przy stole zasiadali tylko Chambers, Ferguson, Sykes i on, Chambers jak zawsze szykowna, lecz zarówno Ferguson, jak i Sykes nie wyglądali za dobrze. Zwłaszcza Ferguson. Był już za stary, by zaczynać dzień pracy o szóstej. Za ledwie rok dzielił go od emerytury.

Z głośnika odezwał się głos Alvareza.

- Przez całą noc kontaktowałem się z francuską policją i ich służbami wywiadowczymi, które, szczęśliwie dla nas, postanowiły współpracować. Otrzymałem kopię ich raportu z miejsca zbrodni oraz wyniki badań laboratoryjnych, niestety niewiele nam to daje. Tak jak podejrzewałem, w miejscu zabicia Ozolsa nie znaleziono niczego użytecznego.

W opinii policji zabójca czekał na ofiarę w zaułku i zastrzelił go z bliskiej odległości. Potem zabrał ze sobą łuski - nie miało to jednak większego znaczenia, o czym się za chwilę przekonacie.

Również w hotelu nie poszło im lepiej. Żadnych niezidentyfikowanych włosów czy włókien, które można by sprawdzić. Jedyne odciski palców w pokoju zabójcy należały do pokojówki. Tym razem facet nie zabrał łusek po pociskach, ale na nich również nie znaleziono odcisków.

- Przez cały czas używał rękawiczek? - spytał Procter.

- Nie - odrzekł Alvarez. - Na nagraniach bezpieczeństwa widać, że zabójca miał gołe dłonie. Jeśli wytarłby wszystko, czego dotykał, nie znaleziono by odcisków pokojówki. Specje z laboratorium znaleźli za to ślady silikonu. Jak na razie nie udało mi się ustalić...

- Wtarcie w dłonie roztworu silikonu zapobiega pozostawianiu odcisków palców -

przerwał Ferguson.

Procter spojrział w jego stronę.

- Tworzy on na skórze wodoodporną powłokę - tłumaczył dalej Sykes. - Tłuszcz na palcach nie przenika jej, przez co nie zostawia się śladów na dotykanych powierzchniach. Na dodatek silikon jest całkowicie przezroczysty, a więc nie widać, czy ktoś go sobie zaaplikował. Roztwór pierwotnie opracowano, aby zapobiegać przypadkom podrażnienia skóry wśród robotników fabrycznych.

Procter kiwnął głową. Przemknęło mu przez głowę, że człowiek uczy się przez całe życie.

- No dobrze - ciągnął dalej Alvarez. - To rozwiązuje nam jedną małą zagadkę, wielkie dzięki. Facet cały czas odwracał się od obiektywów kamer, przez co na taśmach ochrony nie mamy ani jednego ujęcia, na którym widać jego twarz. Wiemy tylko, że jest biały, wysoki, miał na sobie garnitur, włosy ma ciemne, a oczy niebieskie. Miał też okulary i brodę. Jeśli jednak zdejmie okulary i się ogoli, będzie nie do rozpoznania. Na ekspertyzę balistyczną też nie ma co liczyć. użytą amunicję wyprodukowano w Belgii. Choć nie jest to popularny rodzaj pocisków i tak jest zbyt rozpowszechniony, by go wyśledzić.

Podejrzany zameldował się w hotelu jako Richard Bishop, obywatel Wielkiej Brytanii.

Nikt taki od wczoraj nie wyjechał z kraju, a z tego, co mi donoszą, w przeciągu ostatniego miesiąca żaden Brytyjczyk o takich personaliach nawet nie wjechał do Francji. Jestem przekonany, że nic nam to nie da, ale na wszelki wypadek wypadałoby skonsultować sprawę z Angolami.

- Zlecę to komuś - zapewniła Chambers, robiąc sobie odpowiednią notatkę. -

Osobiście skontaktowałam się z szefami rezydentur w Londynie, Moskwie, Berlinie, Rijadzie, New Delhi, Islamabadzie i Seulu. Jak na razie do nikogo nie doszły żadne niepokojące sygnały w sprawie Ozolsa. W ciągu dnia mają do mnie oddzwaniać, ale na wiele bym nie liczyła. Ktokolwiek zorganizował jego zabójstwo, dobrze się ukrywa.

Procter wciąż nie wyrobił sobie opinii o Chambers. Uważał ją za zapchajdziurę, mającą grzać fotel do czasu znalezienia

poważniejszego kandydata. Sposób, w jaki rozegra obecną sprawę pomoże mu rozwiązać wątpliwości na jej temat. Była niesamowicie inteligentna, ale nie był pewien, czy Chambers nadaje się do tej roboty.

Nachylił się.

- Nie przechwyciliśmy też żadnych informacji dotyczących Ozolsa, zabójstw w Paryżu bądź pocisków raketowych. Ostatnio w okolicy nie zauważono żadnego znanego płatnego zabójcy. Z racji niewielkiej ilości szczegółów, jakimi dysponujemy, wątpimy byśmy mogli zidentyfikować człowieka, który zabił Ozolsa. Rozmawiałem przez telefon z moimi odpowiednikami z państw sojuszniczych. Chciałem się dowiedzieć, czy ktoś rozpoznaje zastosowany sposób działania, brakuje nam jednak konkretów, które pozwoliłyby posunąć sprawę do przodu.

Przyszła kolej, by głos zabrał Sykes.

- Sprawdzaliśmy rzecz pod kątem Rosjan, ale ciągle słyszymy to samo. Jak twierdzi Moskwa, fregata zaginęła w 2008 roku, a wszystko, co było na pokładzie, jest nie do odzyskania. Rzecz jasna, nie możemy zadawać zbyt wielu pytań, chyba że wtajemniczymy ich w nasze działania.

Ponownie przemówił Alvarez:

- Z tym, co dotychczas ustaliliśmy, Interpol też niewiele może zrobić, ale wygląda na to, że mamy przełom w kwestii strzelaniny w hotelu. Z tego, co widać na nagraniach ochrony, udało mi się poskładać całość. Zabójca morduje Ozolsa i po mniej więcej dwóch godzinach wraca do hotelu. Tam zauważa dwóch mężczyzn i albo ich rozpoznaje, albo też wzbudza w nim podejrzenia. Trzyma się poza zasięgiem ich wzroku, aż opuszczają hol, lecz po chwili obaj wracają windą. Uda mu się wymknąć i przedostać do windy, zostaje jednak zauważony.

Kilka minut później zabija ich w korytarzu tuż pod swoim pokojem, strzelając zza drzwi pomieszczenia naprzeciwko. Mija następnych parę minut i zjawiają się kolejni mężczyźni. Zabójca czeka na nich, za jednym rusza, a w końcu obu morduje. Dacie wiarę, że jednego unieszkodliwia albo torturuje eksplodującym dezodorantem? Na dodatek wszyscy ci goście są uzbrojeni i nie mają przy sobie dokumentów. Potem zabójca likwiduje kobietę w hotelowej kuchni, faceta w apartamentowcu po drugiej stronie ulicy, a z okna tego budynku zabija jeszcze jednego strzałem z karabinu. Po drodze życie traci pewna staruszka, ale pociski, które ją trafiły, pasują do broni szóstego z zabitych, więc prawdopodobnie dostała się po prostu na linię strzału.

Cały czas napływają informacje na temat siedmiu osób wykończonych przez naszego typu. Wygląda na to, że byli płatnymi mordercami. Z ich poczynań wynika, że mieli w Paryżu zabić mordercę Ozolsa. Ale to on zlikwidował ich.

Ferguson zmarszczył brew.

- Chcesz zatem powiedzieć, że zabójca sprzątnął Ozolsa, zaś parę godzin później siedmiu innych zabójców usiłowało zabić jego samego, ale to on ich wystrzelał?

- Na to właśnie wygląda.

Ferguson uniósł dłonie.

- Czy ktoś byłby łaskaw mi wyjaśnić, jaki to wszystko ma sens?

Chambers zdjęła okulary.

- Czy są jakiegokolwiek wskazówki wyjaśniające, kto wysłał zabójców?

- Na tym etapie jeszcze nie - z żalem odpowiedział Alvarez. - Ale sądzę, że niedługo wszyscy zostaną zidentyfikowani, dzięki czemu zyskamy więcej szans na wykrycie ich zleceniodawcy. A ktokolwiek ich wysłał, musi cholernie dużo wiedzieć o zabójcy Ozolsa.

Jeśli więc ustalimy, kto wynajął ekipę, będziemy mieć sporą szansę na dorwanie zabójcy, a być może również na wydobycie tych pocisków.

Chambers i Ferguson przytakiwali, Procter zauważył jednak, że Sykes nie wyglądał na zbyt rozluźnionego. Dyrektor wiedział dlaczego. Dzieciak wypadł z obiegu, nie miał nic do powiedzenia, nie mógł nawet wygłosić żadnej opinii. I wcale mu się to

nie podobało. Wciąż był stosunkowo młody, a Ferguson miał o nim bez wątpienia dobre zdanie, nie powinien się więc przejmować brakiem wkładu w naradę. Gadanie dla samego gadania nie miało najmniejszego sensu - chociaż tyle Ferguson powinien był już go nauczyć. Jeśli Sykes istotnie był bystry, na obecnym etapie kariery powinien cieszyć się z możliwości obserwowania i uczenia się od najlepszych.

- A teraz ostatnia i być może najważniejsza informacja, jaką udało mi się zdobyć -

oświadczył Alvarez. - Zabójca nie wyjechał z Paryża zaraz po tym, jak go zaatakowano.

Wygląda na to, że pokręcił się trochę po mieście, by dowiedzieć się czegoś o gościach, którzy próbowali go sprzątnąć.

- Skąd o tym wiesz? - spytał Ferguson.

- Ponieważ jeden z zamachowców, którego znaleziono podziurawionego pociskami kaliber czterdzieści pięć w budynku naprzeciw hotelu zabójcy, wymeldował się ze swojego hotelu jakąś godzinę po tym, jak został zabity.

W pokoju na chwilę zapadła cisza. Procter usłyszał skrzypienie skózanego fotela.

- Sprytnie posunięcie jak na trupa - rzucił Sykes, w złośliwym uśmiechem odsłaniając jasne zęby. Nikt nie podłapał żartu, zaś Procter lekko potrząsnął głową.

- Recepcjonista opisał faceta jako dość wysokiego, szczupłego, z ciemnymi włosami, okularami oraz brodą - wyjaśnił Alvarez. - Światosław, członek grupy zabójców, wyglądał

inaczej. Był niższy i bardziej krępy. Opis pasuje za to do mordercy Ozolsa.

Procter pochylił się.

- Niech zgadnę, zabójca przejął rzeczy należące do Światosława?

- Tak - przyznał Alvarez. - Podał się za niego i wymeldował z hotelu. Recepcjonista wręczył mu paszport, bilety lotnicze i resztę przedmiotów zdeponowanych w hotelowym sejfie. Paszport nie był ostatnio odnotowany w systemie, co oznacza, że nie posłużył się nim do wyjazdu z Francji.

- Jak myślisz, czego zabójca szukał w rzeczach Światosława? - spytała Chambers.

- Sądzę, że stara się czegoś o nim dowiedzieć - odparł Alvarez. - Po to udał się do jego hotelu. Nie uciekł natychmiast z kraju, tylko postanowił sprawdzić miejsce, gdzie zatrzymał

się jeden z niedoszłych morderców.

- Jeśli więc próbuje zidentyfikować napastników, a także ich zleceniodawcę, jaki powinien być jego następny krok? - zapytał Procter.

- Sprawdzić lokal pod adresem Światosława - odpowiedział Alvarez.

- Powiedz mi, proszę, że wiemy, gdzie to jest - odezwała się Chambers.

- W Monachium.

Chambers położyła obie dłonie na stole.

- Dobra, zrobimy tak; bezzwłocznie skontaktujemy się z niemieckimi służbami bezpieczeństwa i polecimy im obserwować ten adres. Uprzedzimy ich, z jakim typem człowieka mają do czynienia. Nie chcę, by próbowali go zatrzymać, niech po prostu mają go na oku. Nie dopuszczę, by ktokolwiek jeszcze stracił życie w tej sprawie. Alvarez, jak tylko ich wtajemniczysz telefonicznie, masz złapać pierwszy możliwy lot do Niemiec i spróbować dowiedzieć się czegoś na miejscu. Zadzwoń, jak dotrzesz do Monachium. Jeśli facet wciąż tam jest, załatwimy ci wszelkie potrzebne wsparcie.

Kiedy Alvarez rozłączył się, głos zabrał Ferguson. Gęste, srebrne włosy, które zazwyczaj elegancko zaczesywał do tyłu,

sprawiwały dziś wrażenie nieco rozczochranych.

- Istnieje niska szansa, że zabójca wciąż ma przy sobie nośnik z danymi. Jeśli miał za zadanie unieszkodliwić Ozolsa i przejąć pendrive'a, będzie starał się dostarczyć go zleceniodawcy - a nie sprawdzać tropy w Niemczech. Nie miałyby to żadnego sensu.

Chambers westchnęła.

- Może to właśnie jego pracodawca usiłował go zabić. Nie musiałby wtedy płacić. A może już mu zapłacił. Dopóki nie dowiemy się więcej o zleceniodawcy, musimy sprawdzić trop w Monachium. Czas działa na naszą niekorzyść - kiedy tylko współrzędne dotrą do zainteresowanego, wydobycie pocisków rakietowych stanie się kwestią dni, a następny raz o tej technologii usłyszymy, kiedy ktoś postanowi jej użyć przeciwko nam. Jeśli istnieje choćby mikroskopijna szansa, że człowiek, który zabił Ozolsa, udał się do Niemiec, musimy podążyć za nim.

Ferguson nie był przekonany.

- Chyba że masz inny pomysł, którym chciałbyś się z nami podzielić.

Zawarte w słowach Chambers wyzwanie było oczywiste.

Ferguson zrobił obrażoną minę. Wzruszył ramionami, Procter spojrział na Chambers.

Nie bacząc na wszelkie zasługi staruszka, nie wahała się powiedzieć co myśli.

Kto wie, może coś jej się tam między nogami objało.

ROZDZIAŁ 16

GENEWA, SZWAJCARIA

WTOREK 18:32 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor przeszedł przez Place Neuve i minął Grand Théâtre. Ulice miasta pełne były ludzi - spragnionych rozrywki turystów i mieszkańców zadowolonych z kończącego się dnia pracy. Mężczyzna spojrzął przelotnie na gmach Grand Théâtre, żałując, że nie może wybrać się na przedstawienie, może coś Pucciniego lub Mozarta. Zamiast tego krążył w tłumie, chcąc zgubić ewentualny ogon.

Słońce zaszło godzinę temu. Wiktor przemierzał ulice miasta, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Należał do świata mroku. W ciągu dnia umiał wtopić się w ciżbę, lecz dopiero nocą stawał się niewidzialny. Przed nim śmiejąc się i lekko potykając szła para zakochanych.

Byli tak mocno zajęci sobą, że nie zauważyliby go niezależnie od tego, czy by tego chciał, czy nie.

Z Monachium udał się do Berlina, a następnie do Pragi, skąd dopiero podążył do Szwajcarii. Była to długa i męcząca podróż, ale nigdy nie przemieszczał się w linii prostej.

Niespodziewanie skręcił w boczną uliczkę, obierając okrężną drogę do dworca kolejowego.

Na jasno oświetlonej stacji kłębili się podróżni. Jak większość spotykanych w Genewie mężczyzn, miał na sobie gruby płaszcz, rękawiczki i kapelusz. Odpowiadał mu panujący chłód, bowiem zmusił wszystkich do opatulenia się w wiele warstw odzieży, przez co tłum zlewał się w bezkształtną masę stonowanych barw. Nawet cała ekipa osób doświadczonych w śledzeniu zgubiłaby go w tym miejscu.

Nie spał od prawie czterdziestu ośmiu godzin i dawało mu się to we znaki. Brak snu spowalniał umysł i ciało, a teraz bardziej niż kiedykolwiek musiał działać na pełnych obrotach. Dopóki uciekał i nie był pewien, czy nic mu nie zagraża, nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek. Każda przespana godzina pozwalałaby wrogom zbliżyć się do niego.

W oczekiwaniu na pociąg w małej kawiarni zjadł niesmaczną kanapkę i popił ją mocną kawą. Kiedy skład przyjechał, zczekał do ostatniej chwili, po czym wszedł i zajął

miejsce przy oknie na końcu wagonu. Wijącymi się pośród gór torami pociąg powiózł go na północ.

Kiedyś mieszkał przez kilka lat w Szwajcarii. Był zadowolony z tutejszego klimatu, mentalności oraz stylu życia. Dzięki dużej wysokości nad poziomem morza zwiększył

wydolność organizmu, zaś dyskretny system bankowości oraz liberalne podejście do kwestii broni palnej wyjątkowo odpowiadały jego potrzebom.

Pociąg wiózł go przez Valais, trzeci co do wielkości kanton Szwajcarii. Rozciągała się tu dolina Rodanu, który zasiliał słynne Jezioro Genewskie.

Było już późno, gdy wysiadł z pociągu w wiosce Saint Maurice. Z nieba sypał śnieg Mężczyzna postawił kołnierz i zgarbił plecy. W pociągu przebrał się w odpowiednią na górski wypad odzież, którą kupił w butik na dworcu w Genewie.

Wioska była położona na uboczu, od najbliższego miasta dzielił ją kawał drogi.

Składała się przede wszystkim z drogich willi zamożnych cudzoziemców, którzy spędzali w nich zaledwie kilka tygodni w roku podczas sezonu narciarskiego. Większość mieszkańców nie znała swoich sąsiadów i nikogo nie dziwił widok obcej twarzy czy obcego pojazdu.

Częste wizyty i nagłe zniknięcia Wiktora nigdy nie wzbudzały niczyich podejrzeń.

W jednym z najdroższych sklepów spożywczych na świecie kupił pełnotłuste mleko, jaja z wolnego wybiegu, świeże warzywa, porcję angielskiego cheddara, chleb z ziarnami soi i lnu oraz wędzonego łososia. Konieczność uregulowania u ekspedientki iście złodziejskiej należności wzbudziła w nim pewien wewnętrzny sprzeciw, wiedział jednak, że jest to cena, jaką płaci za przywilej mieszkania w takim miejscu.

Przeszedł przez wioskę, trzymając przez cały czas w lewej ręce dwie torby zakupów oraz dyplomatkę. Chcąc unikać głównej ulicy, przemykał bocznymi alejkami. Nie natknął się na wielu ludzi, a gdy wreszcie nabrał pewności, że nikt go nie śledzi, skrzył między drzewa, okrężną trasą kierując się do swej chaty, oddalonej o półtora kilometra od głównego skupiska zabudowań. Ostrożnie przebijał się przez ciemny las. Dobrze znał drogę.

Kiedy dojrzał między drzewami oświetloną przez księżyc i gwiazdy daczę, zapragnął

wbiec do środka i paść na własne łóżko. Chciał po prostu zasnąć i na osiem kolejnych godzin zapomnieć o swoim życiu, lecz zdyscyplinowanie nakazało mu się zatrzymać i przykucnąć w poszukiwaniu śladów najścia. Niemożliwe, by ktoś wiedział, gdzie mieszka, lecz po wydarzeniach w Paryżu wolał nie ryzykować.

Odstawił zakupy na ziemię i przez godzinę krążył wokół budynku, aż przekonał się, że ani w środku, ani w jego pobliżu nikogo nie ma. Z wszystkich stron dom osłaniał gęsty sosnowy las i tylko wąski dukt, dostępny jedynie dla mocnych pojazdów z napędem na cztery koła, prowadził do głównej szosy. Należący do Wiktora Land Rover stał zaparkowany w garażu. Było zbyt ciemno, by mógł zauważyć ślady na ścieżce bądź zalegającym wokół domu śniegu, nie usłyszał ani nie zobaczył nic, co wskazywałoby na czyjąś obecność w pobliżu.

Wszedł przez wzmocnione stalą, rzeźbione drewniane drzwi i odetchnął z ulgą.

Poświęcił jeszcze chwilę na dokładne przeszukanie wnętrza. Dom wybudowano pięć lat temu, Wiktor był jego jedynym właścicielem. Chata została wzniesiona w tradycyjnym stylu sabaudzkim - miała spadzisty dach, drewniane wsporniki, kamienne ściany oraz kominek. Na dwóch poziomach mieściły się łącznie cztery sypialnie, co dalece przekraczało jego potrzeby, jednakże tutejszych domów nie wznoszono z myślą o samotnych mieszkańcach.

Domu nie chronił żaden konwencjonalny alarm. W przypadku włamania Wiktor wolał

uniknąć zawiadamiania lokalnych władz, które pewnie zaczęłyby węszyć po okolicy. Zamiast tego zainstalował czujniki ruchu własnoręcznej roboty, podłączył je do kamer bezpieczeństwa wysokiej rozdzielczości oraz czułych mikrofonów, kontrolujących każdy zakątek budynku.

Każdy element instalacji został dokładnie zamaskowany, zaś kamery i mikrofony zaprogramowano tak, by zaczęły nagrywać

dopiero dwie minuty po ich dotknięciu przez ewentualnego włamywacza. W ten sposób ktoś, kto po wtargnięciu do środka przeczeszałby pomieszczenia w poszukiwaniu elektronicznych zabezpieczeń, nie powinien ich wykryć.

We wszystkich oknach wstawiono grube na siedem i pół centymetra szyby z poliwęglanów i włókna szklanego - mogły zatrzymać nawet szybki pocisk karabinowy.

Sforsowanie wzmocnionych tylnych lub przednich drzwi i framug wymagałoby użycia czegoś więcej aniżeli ręcznego tarana. Tylko nieliczne okna się uchylały, a żadne nie otwierało w pełni.

Dokładnie sprawdził każde pomieszczenie. Wszystko było na swoim miejscu. Każdy przedmiot był tam z jakiegoś powodu. Żadnych fotografii czy innych osobistych szpargałów.

Nic, co by zdradzało, kim jest i skąd przybył. Jeśli ktokolwiek dostałby się do wnętrza dachy, nie dowiedziałby się niczego użytecznego o właścicielu.

Z zadowoleniem stwierdził, że system bezpieczeństwa nic nie zarejestrował. Otworzył

drzwi do małego pomieszczenia z bojlerem i sprawdził, czy nikt nie manipulował przy skrzynce sterowania. Gdyby zaszła taka potrzeba, poprzez wprowadzenie odpowiedniego kodu mógł uruchomić zapalnik, który po trzech minutach zdetonowałby rozmieszczone na parterze ładunki C-4. Może nadejść taki dzień, gdy będzie zmuszony uciekać, aby nigdy już nie wrócić.

Kiedy zakończył obchód, odstawił zakupy spożywcze i uznał, że wreszcie może się odprężyć. Pozwolił sobie na długi prysznic, czego poza domem zawsze unikał. Tyłem do drzwi, nago, bez broni i przy zagłuszającym inne dźwięki hałasie wody, nawet ktoś najlepiej wyszkolony stawał się bezbronnym celem. Wiktor zabił pod prysznicami wystarczająco dużo ludzi, by wiedzieć, że stanowią one śmiertelne pułapki. Tutaj jednak był bezpieczny. Bolało go całe ciało. Zauważył, że stracił parę kilo - dwa dni ciągłego uciekania stanowiły skuteczny program odchudzający. Dzięki odpoczynkowi i obfitemu, przyzwoitemu jedzeniu szybko odzyska formę. Nie odniósł żadnych ciężkich obrażeń i - zważywszy na to, przez co przeszedł

- wiedział, że tylko dzięki szczęściu nadal był w jednym kawałku. Na myśl o jedzeniu zaburczało mu w brzuchu. Kiedy nie mógł już dłużej ignorować głodu, raz jeszcze sprawdził

cały dom, aby odpędzić swoją paranoję, po czym z zakupionych produktów przyrządził sobie duży omlet z łososiem i serem. Popił go pełnym witamin i minerałów koktajlem proteinowym, a następnie wyciągnął z zamrażarki w połowie pełną butelkę fińskiej wódki.

Przeszedł do salonu, usiadł przy fortepianie z palisandru i zerwał dozownik z butelki.

Nalał sobie szklanekę wódki i wytarł rękawem mokrą plamę na fortepianie. Był to wyprodukowany w warsztacie Vose i Synowie prostokątny instrument z 1881 roku. Wiktor znalazł go u handlarza w Wenecji, kupił po korzystnej cenie i sprowadził do Szwajcarii, gdzie oddał go do naprawy, ale nie renowacji. W niedoskonałości jego brzmienia odkrył piękno.

Instrument istniał na tym świecie dłużej niż on sam i z dumą prezentował odniesione w międzyczasie obrażenia. Wiktor zagrał parę utworów Chopina, aż poczuł, że powieki robią się coraz cięższe.

Nalał sobie resztkę wódki i wstał, opierając się o fortepian. Powoli wszedł po schodach na piętro i położył się na podwójnym łóżku, układając głowę na sztywnej, pojedynczej poduszce. Zasnął, na piersi wciąż trzymając szklanekę.

Nic mu się nie przyśniło.

ROZDZIAŁ 17

MONACHIUM, NIEMCY

WTOREK 22:39 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wychodząc z budynku, Alvarez zadrzał z zimna i skinął głową funkcjonariuszowi niemieckiej policji, który nieopodal palił papierosa. Zauważył, że Niemiec odklonił mu się bez większego entuzjazmu. Najwyraźniej nie doceniał powierzonego mu zadania przepytывania lokatorów budynku.

Niemieckie służby okazały się chętne do współpracy i przystały na prośbę Alvarezza, opierając się jedynie na pobieżnych informacjach udostępnionych im przez CIA. Doniesienia o strzelaninie w Paryżu dotarły za granicę i Niemcy zadeklarowali gotowość wszelkiej pomocy.

Podobnie jak w kontaktach z władzami francuskimi, Alvarez nie wspominał o zaginionym nośniku pamięci. Odzyskanie go było ważniejsze od pojmania zabójcy Ozolsa, w tym celu należało jednak uniknąć informowania o sprawie służb wywiadowczych innego kraju. Chciałyby one zapewne dowiedzieć się, co jest zapisane na pendrivie, a najprostszym sposobem, by to uczynić, byłoby przechwycenie nośnika.

Wsiadł do samochodu z wypożyczalni i wrócił do hotelu. Dwa ostatnie dni nie były łatwe, czego dowodem była jego zmęczona twarz. Musiał przesłać do centrali kolejny raport o postępach, ale przed jego napisaniem potrzebował godziny snu. Jego dotychczasowe osiągnięcia nie były imponujące. Ustalił, że mężczyzna odpowiadający rysopisowi zabójcy, został wpuszczony do budynku przez jednego z mieszkańców. Nie znaleziono dowodów potwierdzających, że zabójca Ozolsa przebywał w mieszkaniu Światosława, znalazł w nim coś lub coś z niego zabrał, ale to akurat Alvarezza nie zdziwiło. Właśnie kompletowano wyciągi bankowe i telefoniczne Światosława. Perspektywa przekopywania się przez nie bynajmniej nie cieszyła Alvarezza.

Sąsiad, pan Eichberg, przedstawił śledczym nowy rysopis poszukiwanego i pomógł w sporządzeniu portretu pamięciowego. Zabójca zgolił brodę i skrócił włosy, a pozostałe cechy nie pozwalały na bliższą identyfikację. Gdyby miał za grosz przyzwoitości, mógłby wyróżniać się na przykład ogromnym nosem czy rozszczepionym podbródkiem - z goryczą zauważył Alvarez.

Portret pamięciowy rozesłano do wszystkich jednostek policji w Niemczech, lecz był

świadomy, że zabójca pewnie natychmiast się ulotnił. Najprawdopodobniej wyjechał z kraju na długo przed jego przylotem. W ramach standardowego postępowania władze sprawdzały teraz wszystkie nagrania z lotnisk i dworców kolejowych.

Wyjął z walizki maszynkę i przejechał po włosach. Wziął szybki gorący prysznic i położył się na łóżku z zamiarem krótkiej drzemki, nie mógł jednak zasnąć. Kilka lat temu, kiedy męczyła go bezsenność, łapał za telefon i dzwonił do Jennifer, teraz jednak nie miał z kim porozmawiać. Nie musiał się specjalnie starać, by trzymać ludzi na dystans, a nawet, gdy podejmował wysiłek zbliżenia się do kogoś, okazywało się, że nie umie całkowicie się otworzyć.

Niektóre kobiety zbliżały się do niego, kiedy jednak dochodziły do wniosku, że do niczego nie dojdzie, rezygnowały.

W przypadku Jennifer było inaczej. Pomyślał, czy nie zadzwonić do Christophera, ale rozmowa z synem, którego rzadko widywał, nie byłaby łatwa. Na dodatek chłopak zwracał

się „tato” do kogoś innego.

Obudził go dzwonek telefonu. Zerwał się z łóżka i podniósł słuchawkę. Spoglądając na zegar, zdał sobie sprawę, że przespał zaledwie kilka minut.

- Słucham?

- Panie Alvarez, tu Gens Luitger z BKA. Poznaliśmy się dzisiaj.

Bundeskriminalamt to niemiecki odpowiednik FBI, a Luitger był wysokim i szanowanym oficerem. Na podstawie dotychczasowego krótkiego kontaktu Alvarez uznał go za niezwykle kompetentnego. Na dodatek bez zarzutu mówił po angielsku, rzadko zdradzając się akcentem.

- Tak - odparł Alvarez. - Jak się pan ma?

- W porządku - odpowiedział Luitger. - I mam dla pana dobre wieści. Na podstawie opisu pana Eichberga staraliśmy się wyselekcjonować wszystkich samotnych mężczyzn, którzy w którąkolwiek stronę przekroczyli granicę Niemiec, wciąż jednak nie zawęziliśmy wystarczająco tego grona. Jednocześnie poleciłem moim ludziom sprawdzać dane paszportowe samotnie podróżujących trzydziestoparolatków, którzy wyjeżdżali z kraju i sądzę, że nam się poszczęściło. Otóż wczoraj brytyjski obywatel Alan Flynn wsiadł do samolotu lecącego z Berlina do Pragi. Intrygujące, bowiem Alan Flynn przebywa obecnie w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym na północy Anglii. Mężczyzna, który posłużył się jego paszportem, odpowiada

rysopisowi człowieka, którego pan szuka.

Już drugi raz użył brytyjskich dokumentów, pomyślał Alvarez.

- Na ile jest pan tego pewien?

- Całkowicie.

Alvarez wyczuł lekką zmianę w głosie Luitgera, tak jakby zadane pytanie obraziło go lub znieważyło. Zrozumiał dlaczego. Luitger nie dzwoniłby, gdyby nie uważał informacji za pewną.

- Macie ujęcie jego twarzy z kamer bezpieczeństwa?

- Nie, niestety nasz wspólny znajomy miał tyle szczęścia, że obiektywy kamer nie zdołały go zarejestrować. A przynajmniej nie wychwyciły jego twarzy.

Alvarez uśmiechnął się pod nosem.

- Nie, to nie kwestia szczęścia, on już taki jest. Dziękuję za tak szybki telefon.

- Nie ma problemu. Uważam za bardzo ważne, by nasze służby bezpieczeństwa współpracowały, gdy tylko nadarza się okazja, nawet jeśli nasi przywódcy nie zawsze są tego samego zdania.

- Oczywiście.

- Jak planuje pan działać dalej? Moi ludzie będą kontynuować dochodzenie najlepiej, jak mogą, ale sądzę, że powinniśmy pogodzić się z myślą, że podejrzany jest już poza terytorium Niemiec. A jeśli tak, moje kompetencje kończą się na granicy kraju.

Umysł Alvaraza pracował już na pełnych obrotach, analizując wszelkie możliwości.

Musiał jak najszybciej przekazać nowe informacje do Langley. Jeśli zabójca wyjechał do Czech, sprawy nie miały się zbyt dobrze. Poza tym musiał rozmówić się z Kennardem, poinformować go o postępach w sprawie i dowiedzieć się, czy cokolwiek udało się odkryć w Paryżu. Nagle zdał sobie sprawę, że Luitger ciągle jest na linii.

- Nie ma sprawy, przyjacielu - zapewnił Alvarez, choć poczuł się strapiiony, - I tak zrobił pan już więcej, niż od pana oczekiwano.

Pożegnali się, po czym Alvarez wcisnął klawisz szybkiego wybierania. Po kilku dzwonekch Kennard odebrał. W jego głosie słychać było zmęczenie.

- John, uważaj: zabójca wybrał się w odwiedziny do mieszkania Światosława - rzucił na wejście Alvarez.

- Znalazł coś?

- Oto pytanie za milion dolarów.

- A ty, masz coś nowego?

Alvarez osłonił telefon i kichnął.

- Według BKA zabójca poleciał do Czech.

- Do Czech?

- Dokładniej do Pragi, ale teraz może być już gdziekolwiek.

- Co on, do diabła, kombinuje?

- To już pytanie za dwa miliony dolarów. Masz długopis? Chcę, żebyś coś zanotował.

Alvarez przekazał Kennardowi listę poleceń i się rozłączył. Kolejny raz kichnął. Miał

nadzieję, że się nie zaziębił. Tylko tego brakowało. Podniósł słuchawkę hotelowego telefonu i zamówił duży dzbanek mocnej kawy. Zapowiadała się długa noc.

ROZDZIAŁ 18

PARYŻ, FRANCJA

WTOREK 23:16 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Kennard zamknął klapkę swojego telefonu i przez moment głęboko się zamyślił. Był

w hotelu zabójcy Ozolsa, gdzie z kompletnym raportem z miejsca zbrodni przeprowadzał

wizję lokalną, usiłując wyobrazić sobie dokładnie wszystkie wydarzenia na wypadek, gdyby coś jednak przeoczyli. Francuscy gliniarze wciąż byli mało pomocni, ale teraz przynajmniej dopuścili go do hotelu.

Kiedy Alvarez przedstawił mu sytuację w Niemczech, Kennard przerwał

dotychczasowe czynności. Ruszył przez gmach i wybiegł na ulicę Faubourg Saint-Honoré.

Poprzedniego dnia, niemal natychmiast po strzelaninie, ulica, przy której znajdował się hotel, została zamknięta. Zapamiętał widok przestraszonych policjantów, którzy robili, co mogli, by skierować rozdrażnionych kierowców na objazdy. Obecnie ulica wyglądała tak, jakby nic się nie stało. Blokady stały tylko wewnątrz samego hotelu. Na zewnątrz paryscy kierowcy pędzili po jezdni w swych śmiesznie małych samochodzikach, przy każdej możliwej okazji używając klaksonu. Sprawiali przy tym wrażenie, że nie obchodzi ich, czy rzeczywiście istnieje powód, by trąbić.

Nienawidził Francuzów i wszystkiego, co dotyczyło tego kraju - ludzi, języka, kultury. Nawet jedzenie było do dupy. Jasne, za miesięczną pensję może i zdołałby dostać coś na wpół jadalnego, ale tłuste omlety, twarde pieczywo, cuchnący ser i mięso zalatujące zgnilizną nie odpowiadały jego wyobrażeniu o smacznej kuchni. O każdej porze dnia i nocy wolałby wsunąć porządnego amerykańskiego ćwierćfunciaka z porcją frytek.

Szedł chodnikiem, mijając miejsce, w którym zaparkował swój wóz. Z naprzeciwka zbliżała się grupka pijanych biznesmenów, którzy ewidentnie nie byli w stanie iść prosto.

Wracali z oblewania jakiegoś interesu. Na takich wyglądali.

Kiedy podeszli bliżej, jeden z nich krzyknął coś po francusku. Kennard wyraźnie wyczuł w tym agresję. Być może Francuz wyczytał z jego twarzy niechęć, a może po prostu szukał rozrywki.

Gość był od niego nieco wyższy i jakieś dziesięć kilo cięższy, z czego większość wagi skupiała się w talii, tymczasem Kennard pod powłoką garnituru nie był takim mięczakiem, na jakiego wyglądał. Z chęcią udowodniłby miejscowemu, że nie jest pierwszą lepszą ofiarą, jednak odwrócił wzrok i szedł Francuzom z drogi. Nie mógł się teraz pakować w tarapaty.

Kiedy go minęli, usłyszał za plecami śmiechy i drwiny. Mieli szczęście, że sobie poszli.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Czuł tętniącą w skroniach krew, ale zachował

niewzruszony wyraz twarzy. Alvarez powierzył mu zadania, które nie mogły czekać. Kennard nie wracał jednak do ambasady. Najpierw musiał załatwić pilniejszą sprawę.

Po minucie skręcił w boczną uliczkę. Znowu znalazł automat telefoniczny przy hotelu.

Począł długie trzydzieści sekund, zanim korzystająca z aparatu młoda kobieta skończyła rozmowę. Wszedł do budki i wyciągnął komórkę, aby sprawdzić numer. Wcisnął cyfry szybko, ale uważnie. Kiedy już wykona telefon, przetrze wszystkie

powierzchnie, których dotknął.

Miał wilgotny kołnierz. Nie powinien dzwonić bez zapowiedzi, lecz po poniedziałkowej katastrofie ta wiadomość nie mogła czekać. Telefon po drugiej stronie nie od razu zadzwonił, a kiedy już dało się słyszeć sygnał, niemal wieczność trwało, nim ktoś odebrał. Kennard podał hasło.

W słuchawce zapadła długa cisza. Osoba, która w końcu ją przerwała, nie kryła pogardy.

- Lepiej, by to było coś ważnego.

Nim przemówił, wziął głęboki wdech.

- Mam potwierdzenie. Facet pojechał do mieszkania Światosława w Monachium, ale zaraz potem zniknął. Jesteśmy prawie pewni, że poleciał do Czech. Wciąż nie wiemy, co zrobił potem.

Nastąpiła długa pauza.

- No dobrze - odezwał się wreszcie głos. - Masz zrobić tak...

ROZDZIAŁ 19

NA PÓŁNOC OD SAINT MAURICE, SZWAJCARIA

ŚRODA 08:33 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor ciężko oddychał. Rzadkie górskie powietrze wydychane z jego płuc tworzyło obłoki białej pary. Pierwsze sześćdziesiąt metrów było trudne, lecz ostatnie piętnaście niemal go wykończyło. Odkasznął, wyszarpnął czekan wbity w zamrzniętą kaskadę i wbił go w lód nad sobą. Na głowę posypał się śnieg i lód i dalej opadły na odległe dno wodospadu.

Przez chwilę obserwował błyszczące drobinki, po czym wziął kilka głębokich wdechów. Twarz poczerwieniała mu z zimna i wysiłku. Wspinaczkowe gogle chroniły oczy przed słońcem. Zamrznięty wodospad mienił się błękitem i bielą, jednak w głębi szczelin i załomów wydawał się niemal czarny. Zniekształcone w lodzie odbicie Wiktora przypatrywało się jego wspinaczce.

Tutaj w górze, łatwo było zapomnieć o wydarzeniach ostatnich kilku dni. Musiał

skupić się na tym, co akurat robił. Jeśli pozwoli, by głowę zaprzątnęły mu myśli niezwiązane ze wspinaczką, mogłyby się okazać jego ostatnimi. Organizm zdążył wypocząć, teraz musiał

oczyszczyć umysł. Nie miał przyjaciół, z którymi mógłby porozmawiać - nikogo, z kim mógłby podzielić się zmartwieniami. Pozostawała więc wspinaczka.

W górach czuł się tak, jakby był jedyną istniejącą osobą na świecie. Tylko on i brutalne prawa przyrody. Na tyle, ile mógł, oderwał się od cywilizacji i właśnie tutaj świat dokoła wydawał mu się najlepiej zorganizowany.

Podciągnął się na ramionach i odepchnął nogami, aby wyrwać z lodu umocowane na butach raki, a następnie wbił je wyżej. Wysiłek pobudzał jego ciało, ale niebezpieczeństwo wspinaczki uspokajało umysł. Wierzył w swoje umiejętności, jednak musiał zachować stuprocentową koncentrację. Nie używał śrub, karabińczyków ani lin. Dekoncentracja oznaczałaby upadek - ten zaś oznaczał śmierć. Prosta zasada.

Słyszał wiatr, metal uderzający o lód oraz własny ciężki oddech. Przepelniało go uczucie całkowitej wolności. Był odprężony i wyciszony.

Po kolejnych trzech metrach zatrzymał się. Wychylając się do tyłu, puścił jedną dłońią czekan i sięgnął do kieszeni po landrynkę. Był zadowolony, że trafił na zielony cukierek.

Włożył go do ust. Landrynki nawilżały jamę ustną i zmniejszyły pragnienie, a na dodatek były smaczne. Wiktor ssał ze smakiem i zwiesił głowę na bok, by móc nacieszyć się widokiem. Jak okiem sięgnął, widział tylko góry i pokryte śniegiem drzewa.

Mógłby tak wisieć godzinami, lecz poczuł na twarzy krople wody. Spojrzał w górę, ale ostre światło zmusiło go do odwrócenia głowy. W słońcu pobłyskiwały krople wody. Lód topniał. Przy tak bezchmurnym niebie nie było to nic zaskakującego. Bez pośpiechu kontynuował wspinaczkę, spokojny, że dotrze na szczyt na długo zanim sytuacja stanie się niebezpieczna.

Lód powyżej zatrzeszczał.

Przestał się wspinać i spojrzął w górę. Nagle sześć metrów nad jego głową oderwał się lodowy nawis. Przywarł do ściany wodospadu, a odłamki lodu i śniegu przeleciały za jego plecami. Przyspieszył jednak tempo. Potrzebujące zwiększonych dostaw tlenu mięśnie wypełniły się kwasem mlekowym, a w płucach odczuł ból wywołany lodowatym powietrzem.

Wspinał się szybko, głęboko wbijając czekany i raki, podciągając się i odpychając, aż dotarł

na sam szczyt, gdzie padł prosto w śnieg.

*

Kilka godzin później wrócił do domu i przygotował sobie lunch. Na przystawkę przyrządził bruschettę z grzybami według własnego przepisu, a jako danie główne zjadł dwie wielkie kanapki z kiełbasą. Dokładnie to, czego mu było trzeba. Popił posiłek koktajlem proteinowym i połknął garść pigułek stanowiących suplement diety.

Po kąpieli usiadł nagi i wyciągnął broń z kabury przymocowanej pod łóżkiem.

Wysunął magazynek i opróżnił go z nabojów, po czym od nowa nappełnił. Odłożył broń na miejsce.

Było późne przedpołudnie, słońce przeciskało się przez żaluzje na wschodniej ścianie.

Podszedł do zachodniego okna i odsłonił je, zdecydowanym ruchem pociągając za linkę. W

oddali zobaczył dolinę, pośrodku której widać było pokryte śniegiem spadziste dachy wioski Saint Maurice. Zbocza gór porastały sosny. Na horyzoncie ciągnęły się ośnieżone szczyty.

Był taki czas, gdy niemalże uwierzył, że zdoła oddzielić życie prywatne od wykonywanej pracy. Ale to minęło. Teraz zdał sobie sprawę, że nie żył w pełni, a zaledwie utrzymywał się przy życiu. Zwykli ludzie nie muszą kryć się w zapomnianych górskich wioskach, za wzmacnianymi drzwiami i pancernymi oknami. Z trudem przypominał sobie czasy, kiedy jego życie wyglądało inaczej.

Żył samotnie dla własnego bezpieczeństwa. Nikt go tutaj nie znał, on również nie rozpoznawał nikogo. Do tego życie z dala od miast i ludzi było łatwiejsze. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Życie w pojedynkę nigdy nie sprawiało mu szczególnej trudności, aczkolwiek do całkowitej samotności musiał się przyzwyczaić. Podobnie jak inne umiejętności umożliwiające mu przetrwanie, tak i tę z czasem opanował do perfekcji.

Najważniejsze to być ciągle zajęтым. W czasie wolnym od pracy spędzał codziennie wiele godzin na utrzymywaniu dobrej kondycji fizycznej, na udoskonalaniu swoich umiejętności.

Między poszczególnymi zleceniami mogły upływać tygodnie, on jednak ciągle był w pełnej gotowości do działania. Poza tym wspinał się po górach, jeździł na nartach, czytał, grał na fortepianie i często organizował wyprawy, by poznać świat.

Pewnych rzeczy rozrywki nie były jednak w stanie zastąpić. Związek oznaczał dla niego dziewczynę na telefon, którą lubiłby na tyle, by skorzystać z niej więcej niż jeden raz, a która byłaby wystarczająco dobrą aktorką, by udawać, że jego dotyk jej nie odpycha.

Kiedy patrzył przez okno na malowniczą dolinę, niemalże wmówił sobie, że zdarzenia z Paryża nigdy nie miały miejsca. Tutaj był po prostu kolejnym bogatym biznesmenem, cieszącym się wypoczynkiem na górskim odludziu. Może nie musiałby wyjeżdżać. Z

odłożonych pieniędzy mógłby - zachowując ostrożność - żyć całe lata. Gdyby się skończyły, mógłby normalnie pracować, na przykład jako nauczyciel języków obcych czy choćby nawet wspinaczki. Wiedział, że tylko w marzeniach byłby zdolny uczyć gry na fortepianie kogoś więcej niż początkujących. Jeśli jednak zamierzał zarabiać na życie nauczaniem, musiałby

popracować nad zdolnościami interpersonalnymi. Kto wie, może z czasem nauczyłyby się żyć jak normalny człowiek. O ile wciąż pamiętał, jak to się robi.

Na początek należałoby rozbić na kawałki przejęty nośnik pamięci, wrzucić szczątki do jakiegoś wąwozu i zapomnieć o tym, że w ogóle przyjął zlecenie na zlikwidowanie Ozolsa. Przecież udało mu się uciec wszystkim wrogom, którzy próbowali go zabić, a obecnego miejsca pobytu nikt nie znał. Mógłby tu zostać i nie brać kolejnych zleceń. W

górach nigdy go nie znajdą. Skinął głową.

Tak, przyszedł czas, by się wycofać.

Odwracał się już od okna, gdy nagle jego uwagę przykuł punkt położony wysoko na zalesionych wzgórzach na zachód od chaty. Coś tam błysnęło, przez chwilę zamigotało. Jakby odbicie słońca w metalu.

Albo w szkłe.

Zbyt późno pojął, co to oznaczało. Zobaczył mały, jasny rozbłysk, który po chwili powtórzył się. Rzucił się w bok i w tym samym momencie w oknie przed nim powstała dziura.

Pocisk ugodził go w sam środek klatki piersiowej i nagle wszystko ucichło. Ujrzał

pajęczynę pęknięć na pancernej szybie, rozchodzącą się od malutkiej dziurki po środku. Nie docierał do niego żaden dźwięk poza biciem własnego serca.

Oczy zaszyły mu mgłą. Linie zaczęły się zacierać i nakładać.

Odniosł wrażenie, jakby okno nagle się od niego oddaliło, a sufit zaczął opadać. Nie pojmował tego. Uderzył tyłem głowy o lakierowane deski podłogi. Starał się oddychać.

Dyszał, z wysiłkiem wciągał powietrze do płuc.

Uniosł dłoń, przesunął palce wzdłuż gołej klatki piersiowej i wyczuł lepłą krew.

Dotknął tkwiącego w ciele rozgrzanego pocisku i poczuł ból. Myślał, że natknie się na otwartą ranę, z której swobodnie wypływać będzie krew, tymczasem pocisk częściowo wystawał nad skórą. Znaczyło to, że nie przebił mostka.

Pancerne szyby z poliwęglanu i włókna szklanego mogły zatrzymać nawet rozpędzoną kulę karabinową... albo prawie ją zatrzymać - pomyślał.

Szkle nie zatrzymało pocisku, tylko znacznie go spowolniło, przez co do chwili uderzenia zdążył wytracić niemal całą energię kinetyczną. Nie zważając na ból, Wiktor wyciągnął kulę z ciała i odrzucił ją na bok. Ruch ten zupełnie go wyczerpał. Spróbował

wstać, nie potrafił jednak zmusić kończyn do posłuszeństwa. Belki sufitu zlewały mu się w jedną całość.

Wiedział, co się dzieje, ale nie mógł tego zatrzymać. Uderzenie pocisku spowodowało szok hydrostatyczny, zaburzając normalny rytm serca. Organizm poczuł się dezorientowany, więc zareagował w jedyny znany sobie sposób - tymczasowo się wyłączając.

Strzelający zapewne zauważył, że pocisk trafił i powalił Wiktora, nie mógł jednak widzieć, jak wije się na podłodze - porażony, ale nie konający. Przez brak rany wylotowej, w chwili trafienia nie pojawiła się krwawa mgiełka, ale niewykluczone, że napastnik tego nie dostrzegł. Jednak wystarczy, że oceni grubość przebitego okna, by zdać sobie sprawę, że ofiara wciąż żyje. W takim wypadku przyszedłby dokończyć robotę.

Powieki Wiktora opadły.

ROZDZIAŁ 20

14:18 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Zamachowiec spojrział przez celownik Schmidt & Bender 3x12 na popękane okno.

Szybę wykonano z wielu warstw szkła i tworzywa. Rozpoznał natychmiast - była pancerna.

Cholera.

McClury skarcił się w myślach za przeoczenie tego faktu. Powinien lepiej zapoznać się z systemem zabezpieczeń domu, usprawiedliwił się jednak brakiem czasu, gdyż od samego początku była to robota na wariackich papierach. Zaczęła się przed dwudziestoma czterema godzinami od telefonu - polecono mu udać się do Genewy. Tam, na tylnym siedzeniu samochodu, przekazano mu nazwę miejscowości, położenie obiektu oraz fotografię.

Cała sprawa cuchnęła porządkiem czegoś spieprzonego.

McClury złożył statyw karabinu i podniósł się, strząsając z siebie cienką warstwę śniegu. Uzbrojony był w brytyjski karabin Accuracy International L96, jego zdaniem jeden z najodpowiedniejszych do takiego rodzaju zadania uniwersalnych karabinów - precyzyjny i potężny, a zarazem mały i lekki. Opinię oparł na doświadczeniu, gdyż w przeszłości korzystał

z wielu broni.

Miał na sobie białe spodnie z goreteksu, bluzę z kapturem i białą maskę narciarską.

Elementy karabinu były owinięte białą taśmą izolacyjną. Rozpiął bluzę. Zrzucił ją z siebie.

Pomagała w kamuflażu i chroniła przed zimnem, ograniczała jednak ruchy. Pod spodem nosił

czarną koszulę z tkaniny termicznej. Natychmiast poczuł zimno, na razie było ono jednak do zniesienia. Nie zdjął maski.

Jego stanowisko obserwacyjne znajdowało się niespełna pięćset metrów od chaty, w której mieszkał cel. Wcześniej McClury ułożył się tuż poniżej szczytu porośniętej drzewami ośnieżonej skały. Zamaskował się i był praktycznie niewidoczny.

Warował tak bez przerwy przez dwanaście godzin, cały czas obserwując dom i czekając na okazję do oddania idealnego strzału. Jadł i pił, nie opuszczając zajętej pozycji, mocz oddawał do butelki, wypróżniał do plastikowej torebki. Był sam i nie mógł pilnować obu wejść, toteż usadowił się w miejscu oferującym widok na front budynku w nadziei, że wcześniej czy później cel wyjdzie z chaty przednimi drzwiami. Gdyby to zrobił, w chwilę później byłby już martwy. Tak się jednak nie stało.

Kiedy tylko zaczęło się przejaśniać, cel wyszedł tylnymi drzwiami, zaś McClury zmienił pozycję, aby zabić go, gdy będzie wracał. Po wielu godzinach zauważył, że cel jest z powrotem w domu i pojął, że musiał wejść od frontu. Wyszedł z jednej strony, wrócił z drugiej. Co za uciążliwy typ.

Nie czekał już dłużej, aż gość zechce wyjść. Posłał draniowi kulkę, kiedy ten na golasa podziwiał widoki z okna - tyle tylko, że gruba drewniana belka uniemożliwiła McClury'emu strzał w głowę, zmuszając go do celowania w serce, zaś pancerne szkło sprawiło, że strzał nie był śmiertelny. Cholery można dostać.

Zarzucił karabin na ramię, na drugim zawiesił torbę, zapiął na biodrach saszetkę i złapał strzelbę powtarzalną mossberg kaliber dwanaście. Będzie musiał się ruszyć i zakończyć sprawę z bliskiej odległości. Od dłuższego czasu mu się to nie zdarzało i teraz z ochotą szykował się do zmiany przyjętego *modus operandi*.

Ruszył w dół zbocza, wolną ręką łapiąc się za drzewa, aby spowolnić rozpęd. Zejście było strome, dla kogoś nieuważnego mogłoby się okazać zdradliwe, jednak strzelec sprawnie je pokonywał.

Utkwił spojrzenie w widocznej w oddali chałupie i kryjącej się wewnątrz ofierze.

*

Głośny hałas nagle obudził Wiktora. Usiadł i odchrząknął. Czuł intensywny ból w klatce - tak, jakby przyczepiony do żeber ogromny ciężar wciskał mu pierś do środka. Kilka razy odkaslnął. Płuca sprawiały wrażenie zmiażdżonych.

Jęknął, ale wyparł ból ze świadomości. Musiał się skupić. Od błysku wystrzału do uderzenia w cel minęło spokojnie pół sekundy. Karabin, który przebił jednym strzałem szybę, musiał być potężny i dużego kalibru, prawdopodobnie z prędkością

początkową około dziewięciuset piętnastu metrów na sekundę.

Znaczyło to, że zamachowiec znajdował się na wzniesieniach, mniej więcej czterysta pięćdziesiąt metrów stąd. Teren był górzysty i pospieszne pokonanie takiej odległości wymagałoby od Wiktora co najmniej dziesięciu minut. Nie sądził, by wielu ludzi mogło dokonać tego szybciej.

Sześćset sekund.

Niedużo. Zerknął na zegar, by stwierdzić, ile czasu leżał nieprzytomny i za ile napastnik go dopadnie, nie pamiętał jednak, kiedy dokładnie został trafiony. Był pewien, że ma do czynienia z jednym przeciwnikiem. Gdyby w ataku brała udział drużyna, od razu przystąpiliby do szturm, a nie polegali na snajperze. Wiktor już by nie żył.

Gdyby tylko zdołał dostać się do wioski...

Buzowała w nim adrenalina, chwilowo łagodząc ból, ale wiedział, że gdy jej działanie ustąpi, poczuje się gorzej. Był osłabiony, lecz nadal mógł funkcjonować. Musiał wydostać się z domu. Nie wiedząc jednak, jak długo był nieprzytomny, mógłby wybiec prosto w zasadzkę.

Dom miał dwa wejścia. O jedno za dużo, by można ich było pilnować w pojedynkę. Zabójca nie mógł teraz zająć pozycji i czekać, aż Wiktor wyjdzie. Gdyby tak postąpił, miałby jedynie pięćdziesiąt procent szans na obstawienie właściwych drzwi. Żeby go zabić, musiał wejść do środka.

Wciąż był nagi. Gdyby chciał spróbować ucieczki, musiałby się ubrać, a to wymagało czasu, którego nie miał. Oddychanie sprawiało mu ból. Nie umiał przewidzieć, jak szybko ani jak długo byłby w stanie biec. Zabójca z pewnością byłby szybszy. Wychodząc na zewnątrz, tylko ułatwiłby mu zadanie.

Najlepsze, co mu pozostawało, to obrona domu. Wiktor znał w nim każdy kąt i potrafił wykorzystać martwe punkty. Jeśli zabójca chce go dopaść, musi po niego przyjść.

Wiktor, kucając, z jedną ręką przyciśniętą do piersi, zbliżył się do łóżka, sięgnął pod spód i wyciągnął z kabury naładowany pistolet FN Five-seven.

Zaskrzypiała podłoga.

Schody.

W średniowiecznej Japonii samurajscy możnowładcy, którym cały czas groził zamach ze strony zabójczych ninja, chronili się przed napadem w prosty i skuteczny sposób. Układane w ich zamkach „słowicze podłogi” wydawały specjalne odgłosy, gdy ktoś po nich stąpał, ostrzegając mieszkańców o nadchodzącym ataku.

Wiktor połączył to rozwiązanie z innymi środkami bezpieczeństwa. Tak spreparował

deski schodów, by co drugi stopień skrzypiał nawet pod najlżejszym naciskiem. Podobnie postąpił z innymi deskami w domu, przy czym w zależności od rozmieszczenia wydawały one inny dźwięk.

Na chwilę zapadła cisza.

Potem rozległo się kolejne skrzypnięcie, po którym natychmiast na schodach zadudniły ciężkie buty. Zabójca ewidentnie zrezygnował z dyskrecji.

Wiktor pchnął drzwi sypialni i wychylił się, celując w stronę schodów. Głośny wystrzał broni napastnika odłupał spory kawałek framugi. Nastąpił kolejny strzał. Schylony wycofał się do pokoju. Pocisk ze strzelby kaliber dwanaście wyrwał dziurę w sosnowym obramowaniu drzwi. Wiktor poczuł ukłucie w nadgarstku. Jedna z kulek ładunku śrutowego drasnęła go w dłoń. Zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz.

Strzelba ponownie huknęła, czyniąc wyrwę w drzwiach rozmiaru pięści. Usłyszał

kroki w korytarzu oraz dźwięk ładowania kolejnego naboju do komory.

Rzucił się w drugi koniec pokoju, przycisnął za łóżkiem i wycelował pistolet Five-seveN w drzwi.

*

McClury uważnie stąpał po korytarzu. Po prawej widział salon na parterze. Przez cały czas celował mossbergiem w drzwi pokoju ofiary.

Wiedział, że jego buty hałasują na drewnianej podłodze, ale nie miało to już znaczenia. Tak czy inaczej ofiara wiedziała, że nadchodzi. Z sypialni nie było innej drogi ucieczki. Pancerne okna się nie otwierały. Za wszystkie te zabezpieczenia facet miał teraz zapłacić życiem.

Strzelec przysunął się do drzwi, lecz nie stanął w ich świetle. Zatrzymał się i sięgnął do zawieszanej na biodrach saszetki.

*

Usłyszał, że kroki ucichły. Wróg znajdował się po drugiej stronie ściany, po prawej od drzwi. Gdy tylko pojawił się w drzwiach, wpakuje w niego cały magazynek.

Deska za drzwiami skrzypnęła. Klamka zaczęła się przekręcać. Wiktor otworzył

ogień. Trzymał pistolet pewnie w lewej dłoni, prawą zaś dołożył swobodnie, co ułatwiało szybkie strzelanie. Raz za razem pociągał za spust, wysyłając pociski przed drewniane drzwi, to wyżej, to znów niżej.

Przerwał strzelanie. Bolał go palec - w nieco ponad trzy sekundy wystrzelił z pistoletu piętnaście naboje. Nie usłyszał jednak żadnego krzyku, ciało snajpera nie zważyło się z łoskotem na podłogę. Przez otwory w drzwiach wpadało do pokoju światło.

Zero trafień.

*

McClury poczekał cierpliwie, aż gospodarz skończy strzelać. Plecami przylegał do ściany, ściskając mossberga za lufę. Przy pomocy strzelby nacisnął szeroką deskę w podłodze bezpośrednio pod drzwiami, podejrzewając, że zaskrzypi jak schody. Miał rację. Przy pomocy paska od spodni owiniętego wokół klamki zdołał otworzyć drzwi, nie wystawiając się na strzał. Jak widać, sztuczka okazała się skuteczna.

Puścił pasek, sięgnął do torby, wyjął dwa granaty i zębami wyciągnął zawlecarki.

Szybko policzył do dwóch, po czym cisnął je przez dużą, poszarpaną wyrwę w drzwiach.

Kiedy Wiktor zobaczył, jak coś wlatuje przez otwór, zerwał się do biegu. Usłyszał, jak dwa metalowe przedmioty spadły na podłogę i doskonale wiedział, czym one są. Wpadł do łazienki, kątem oka dostrzegając toczące się po pokoju granaty. Zatrzasnął za sobą drzwi i przycisnął je całym ciałem.

Granaty eksplodowały z głuchym rąbnięciem.

Podmuchał drzwi, a Wiktor z jękiem poleciał na ścianę. Powietrze wypełniło się dymem i kurzem. Z drzwi wystawały połyskujące odłamki. Pojedynczy strzał z mossberga rozwalił klamkę i zamek, wylupując też fragment futryny. Wiktor wypadł z łazienki i przywarł plecami do ściany obok pogruchochanego wejścia, prostując lewą rękę w łokciu i usztywniając przedramię ukośnie przed twarzą.

Otwarte kopniakiem drzwi poleciały w jego stronę. Boleśnie uderzyły go w ramię, lecz dzięki temu uniknął ciosu w twarz. Zabójca od progu otworzył ogień, posłał wiązkę śrutu w stronę łazienki. Seria zniszczyła zawieszony nad umywalką lustro. Potłuczone szkło z brzękiem opadło do umywalki i na posadzkę.

Gdy tylko usłyszał, że napastnik zrobił krok naprzód, by mieć lepszy wgląd do łazienki, rzucił się uderzając wroga drzwiami i wypychając go za próg. Obracając się wokół

własnej osi, uniósł pistolet i dwukrotnie wystrzelił. Kule przeszły przez drzwi na wysokości klatki piersiowej. Rozległo się westchnięcie, a następnie łomot. Zawahał się, niepewny, czy zabójca już nie żyje. Drzwiami wstrząsnęła salwa ze strzelby.

Znak, że napastnik był wciąż żywy.

*

McClury skrzywił się, czując, jak ciepła krew splywa mu po piersi. Dostał tuż poniżej lewego obojczyka, ale pocisk nie przeszedł na wylot, nie powstała więc grożąca wykrwawieniem rozległa rana wylotowa. Zero przebitych organów, zero złamanych kości, zero przerwanych arterii. Przed wszystkim uraz tkanki. Bolało jak skurwysyn, ale bez bezpośredniego zagrożenia życia.

Kończyły mu się naboje, zaś cel był nadal żywy i stawiał opór. Na dodatek to on był z nich dwóch dotkliwiej ranny. To nie tak miało być. Spodziewał się, że po prostu wejdzie i go wykończy, tymczasem dał się wciągnąć w strzelaninę z bliskiej odległości. Plan się nie sprawdzał.

McClury nie był szturmowcem. Był snajperem.

To działaj jak snajper - pomyślał.

ROZDZIAŁ 21

14:34 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor czekał. Przyczaił się w narożniku pokoju na prawo od drzwi. Na wypadek, gdyby zabójca znowu spróbował użyć granatów, był przygotowany, mógł jednym skokiem skryć się w łazience. Przeładował FN i wycelował. Gdy napastnik pojawi się, przestrzeli mu czaszkę. Jednak nic się nie działo. Liczył upływające minuty. Korzystał z okazji do chwili odpoczynku. Niewielka rana na klatce piersiowej już nie krwawiła. Nie przestała jednak boleć.

Miał nadzieję, że obrażenia przeciwnika są poważniejsze, nie mógł jednak na tym polegać. Wiedział, że zabójca robi to samo - czeka, celując w drzwi, gotów wypalić, kiedy tylko on się odsłoni. Jeśli zamachowiec planował grać na czas, Wiktor zdawał sobie sprawę, że może go przeczekać, jednakże z każdą upływającą sekundą prawdopodobieństwo, że wróg wbiegnie frontalnie do pokoju, malało.

Z zewnątrz dochodził odgłos silnika.

Bezszelestnie przesunął się do okna, ani na moment nie spuszczał drzwi z oczu.

Zerknął przez szybę i dostrzegł, jak dwie duże policyjne furgonetki wjeżdżają po stromej drodze prowadzącej do chałupy. Sprytnie, pomyślał.

Rzucił się do drzwi, wsunął pod nie palec stopy i pociągnął do siebie. Zabójca nie wystrzelił. Wiktor stanął z barkiem przyciśniętym do framugi i szybko się wychylił.

Napastnik zniknął. Tak jak podejrzewał. Na podłodze stała para rozsznurowanych butów, które przeciwnik zdjął, aby móc niepostrzeżenie się wymknąć.

Wbiegł z powrotem do sypialni, szybko założył bojówki, polar, zimową kurtkę i wodoodporne buty terenowe. Wsunął pendrive'a do kieszeni kurtki i z szuflady przy łóżku zgarnął resztę magazynków do pistoletu.

Na parterze wszedł do pomieszczenia z bojlerem i uszkodził rurę prowadzącą do tyśiąclitrowego zbiornika z propanem. Przez otwór z sykiem zaczął wydobywać się gaz, który szybko wypełnił pomieszczenia w całym domu. Wprowadził kod uaktywniający ładunki wybuchowe. Zapalnik rozpoczął trzuminutowe odliczanie.

Przez frontowe okna dostrzegł zbliżające się do budynku radiowozy. W każdym zapewne znajdowali się czterej uzbrojeni policjanci. Musiał ich zawiadomić sam zabójca - za pomocą ciekawej historyjki ściągnął ich, żeby wypłoszyć Wiktora na zewnątrz. Wybieg okazał się skuteczny. Teraz nie mógł skorzystać z drzwi wejściowych. Ośmiu na jednego, a do tego policjanci dysponowali samochodami. Jeśli otworzy ogień, ściągnie tylko kolejnych mundurowych. Poszedł na drugi koniec domu. Tylne drzwi wisiały na zawiasach, rozwalone ramowym ładunkiem wybuchowym. To właśnie ten hałas obudził go, gdy

leżał

nieprzytomny. Gdzieś na zewnątrz czaił się wróg, celując w tylne wejście. Zmuszony do opuszczenia domu Wiktor stawał się łatwym celem. Całkiem przyzwoicie wykombinowana zasadzka - pomyślał z uznaniem o przeciwniku.

Nie mógł wyjść przodem. Nie mógł wyjść tyłem.

Nie mógł też zostać.

Coraz mocniejszy zapach gazu zmuszał go do działania i przypominał, że jeśli będzie się długo wahał, nie będzie po nim czego zbierać. Pozostały mu dwie minuty.

Oślepiło go przebijające przez żaluzje ostre słońce. Mrugając oczami, spojrzął w światło. Wyobraził sobie zabójcę czekającego na dogodnej pozycji, obojętnego na wszystko dokoła, całkowicie skupionego, z jednym okiem zamkniętym, z drugim wpatrzonym przez celownik w tylne wejście do domu. Za chatą rosły gęste sosny, które przesłaniały pole widzenia. Jeśli napastnik zajął pozycję umożliwiającą strzał do drzwi, mógł być tylko w jednym miejscu.

Wiktor obrócił się i zobaczył swoje odbicie w lustrze wiszącym blisko drzwi.

Podszedł. Lustro mierzyło trzydzieści centymetrów na sześćdziesiąt, było gładkie i czyste.

Było idealne. Zdjął je ze ściany.

*

McClury pomimo bólu w klatce piersiowej i walącego serca utrzymywał stały równy oddech. Przyczaił się pośród drzew w odległości stu metrów od chałupy, w połowie łagodnego wzniesienia. Na zwalonym pniu oparł dwójnog karabinu. Było to jedyne miejsce oferujące czystą linię strzału. Słońce świeciło dokładnie zza jego pleców, przez co nie odbijało się od teleskopu i nie zdradzało jego pozycji. Odległość była odpowiednia, kryjówka w porządku, pułapka dobrze zastawiona.

Nie zwracał uwagi na chłód, ból, na nic poza obrazem widocznym w teleskopie.

Celownik Schmidt & Bender był wyśrodkowany na drzwiach i wyregulowany z uwzględnieniem dystansu, siły wiatru i niewielkiego obniżenia terenu. McClury nie był w stanie utrzymać siatki celownika w bezruchu - ból w barku sprawiał, że jego ramię drżało.

Przy takiej odległości nie miało to jednak znaczenia. Pocisk trafiający tuż nad okiem zadziałałby tak samo, jak pocisk wystrzelony między oczy. Kiedy drzwi się otworzą, a ofiara przez nie wybiegnie, będzie po wszystkim.

Warkot nadjeżdżających radiowozów stawał się coraz głośniejszy i dobiegał teraz bezpośrednio zza domu. Cel będzie zmuszony rzucić się do ucieczki.

Tak też się stało. Zdemolowane eksplozją drzwi otworzyły się na oścież i McClury wstrzymał oddech, wyczekując, aż ofiara wyjdzie z cienia. Zauważył, że coś się porusza, ale powstrzymał się przed przedwczesnym naciśnięciem spustu. To nie był cel. Coś błyszczało i ruszało się chaotycznie. Odbijało światło. Lustro.

Ofiara wciąż pozostawała w ukryciu, w progu trzymała zwierciadło. Widział tylko ręce przeciwnika. Czekał, nie tracąc opanowania. Obserwował lustro i zastanawiał się, co tu się, do cholery, dzieje. Czyżby facet próbował z kimś się skontaktować? To nie miało sensu.

Rozważył odstrzelenie gościowi ręki, ale wtedy na pewno by nie wyszedł, a policjanci uratowaliby mu życie. Nagle słońce padło na powierzchnię lustra, a odbite promienie, dziesięciokrotnie wzmocnione przez soczewkę lunety na karabinie, zaświeciły McClury'emu prosto w oko. Oślepiony snajper wzdrygnął się, a przed oczami zawirowały mu wielkie i niewyraźne plamy. Instynktownie odchylił głowę i wypalił.

Pocisk roztrzaskał lustro na tysiące błyszczących odłamków.

Ledwie widział, ale zdołał zauważyć, jak ofiara biegnie w stronę drzew, pochylając głowę i klucząc na boki. Snajper zaklął, przełożył karabin i przystawił lewe oko do lunety.

Przesunął broń w bok, starając się nadażyć za celem poruszającym się między martwymi punktami. Celował nieco przed biegnącym, biorąc poprawkę na jego prędkość.

Wystrzelił. Pocisk trafił w śnieg obok stóp ofiary. Siła odrzutu nie podpartego karabinu uniosła nagle ramiona McClury'ego do góry, Strzelec szybko szarpnął za zamek, wprowadzając kolejny nabój do komory, po czym ponownie wystrzelił, Tym razem odłupał

kawałek drzewa. *Szlag by to...*

Załadował raz jeszcze, sprawdził teren przez wizjer, przygotował się do strzału, jednak cel zdążył skryć się między drzewami.

Uciekł.

*

Biegł przed siebie, czując pieczenie w piersiach. Z każdym uderzeniem serca po jego ciele rozchodziła się fala bólu. Śnieg sięgał do kostek i spowalniał ruchy, ale mężczyzna znajdował się już wśród drzew. Gęste sosny przesłaniały snajperowi pole widzenia. Nawet bez ściany lasu strzał do ruchomego celu byłby wystarczająco trudny. Ramiona i dłonie Wiktora poraniły odłamki rozbitego lustra, jednak nie zwracał na to uwagi.

Pozbieranie się po tymczasowym oślepieniu zajmie snajperowi tylko kilka sekund, a w tym czasie Wiktor pragnął znaleźć się poza zasięgiem strzału. Jedyne logiczne miejscem, z którego można było mierzyć do tylnego wejścia, był mały pagórek sto metrów za domem. Z tej strony wyglądał zaledwie na niewielkie wzniesienie, na drugim zboczach kończył

się jednak małym urwiskiem, u stóp którego przepływał strumyk. Tam też się skierował. Był

u siebie, na terenie, który znał jak własną kieszeń.

Nie rozległ się już żaden strzał. I dobrze.

Teraz on stał się myśliwym.

Propan w dalszym ciągu wydobywał się ze zbiornika w kotłowni, wypełniając parter budynku. Na elektronicznym zegarze kończyło się odliczanie. Ładunki C-4 eksplodowały, niszcząc najważniejsze części ścian nośnych. Chwilę później doszło do wybuchu gazu.

Frontowe drzwi wyleciały, podobnie jak wszystkie okna parteru, a z powstałych otworów buchnęły gigantyczne płomienie. Fala uderzeniowa wstrząsnęła okolicą domu, strącając śnieg z pobliskich drzew.

Z przodu budynku wysadzone z framugi drzwi pofrunęły w powietrze i uderzyły w pierwszy radiowóz, rozbijając przednią szybę. Odłamki pancernych szyb powbiły się w karoserię. Policjanci, którzy na dźwięk strzelaniny skryli się za swoimi samochodami, rzucili się na ziemię, a metalowe szczątki pospadały na leżący wokoło śnieg.

*

Słyszając eksplozję, McClury przypadł do ziemi. Spojrzał za siebie i zobaczył

zniszczoną chatę, którą pochłaniały żarłoczne płomienie, jakby wzniesiono ją z zapalek.

Budynek zapadł się do środka. W powietrze wzniosł się grzyb z ognia i dymu. *Fajnie.*

Poderwał się na nogi i zarzucił L96 na plecy. Załadował do strzelby kolejne pięć naboików i chwycił ją mocno obiema rękami. Świadomość, że nie zdołał zlikwidować celu w trzech kolejnych podejściach, paliła go bardziej aniżeli rana w klatce piersiowej.

Zanim McClury stracił gościa z oczu, biegł on na południe. Ruszył za nim.

Wcześniej, chcąc po cichu wymknąć się z domu, zdjął buty i teraz pomimo grubych skarpet zaczynały marznąć mu stopy. Przemieszczał się szybko. Wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, co chwilę przystawał i nasłuchiwał skryty za drzewami. Policją się nie martwił.

Chwilowo funkcjonariusze zapomnieli o odgłosach strzałów i gapili się na płonąca chatę. Jeśli jednak zdecydowałiby się wejść mu w drogę, McClury nie wahałby się z odstrzeleniem ich ciekawskich łbów. Przez dwa lata pracy na Starym Kontynencie zdążył serdecznie zniechęcić Europę wraz z jej zadufanymi mieszkańcami. Teraz z wielką radością przelałby tę nienawiść na durnych szwajcarskich gliniarzy.

Dojrzał przed sobą ślady. Były głębokie, oddalone od siebie o metr i prowadziły dalej na południe. Cel uciekał, starając się jak najszybciej pokonać możliwie duży dystans.

Pospiesznie ruszył za nim. Trop prowadził głębiej w las, w dół obniżającego się terenu.

Idiota. Gość opuszczał obszar, na którym miałby przewagę. Najwyraźniej nie miał większego pojęcia o taktyce w terenie.

Snajper zaczął ciężiej oddychać, odczuwając skutki pościgu. Ani na chwilę nie zapomniął, że został trafiony, ale na opatrzenie ran przyjdzie jeszcze czas. Jak daleko sięgał

pamięcią, zawsze zabijał ludzi dla pieniędzy i nigdy cel nie zdołał mu się wymknąć. Teraz też nie zamierzał do tego dopuścić.

Ślady odchodziły na prawo, okrążając podnóże wzniesienia. McClury znalazł się po jego północnej stronie, gdzie zbocze było strome i skaliste, a szczyt wzgórza znajdował się dziesięć metrów nad nim. Przeskoczył przez wąski strumień i podążył za tropem, który prowadził dalej wzdłuż podnóża pagórka. Ponownie uznał człowieka, którego ścigał, za głupka. Powinien był skorzystać ze strumienia, aby zgubić ślad. Z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu, że facet nie był wcale taki dobry, a miał po prostu fart.

Ślady biegły dokoła wzniesienia i wyglądało na to, że ofiara skierowała się z powrotem w stronę domu. Nie miało to żadnego sensu, chyba że gość był tchórzem i uznał, że jeśli odda się w ręce policji, uda mu się ująć z życiem. McClury uśmiechnął się do siebie. A niech tak sobie myśli.

Usłyszał odgłos osuwających się kamyków i kątem oka dostrzegł, jak odłamki skalne spadają na śnieg u podstawy klifu. Coś je poruszyło. Obrócił się, klękając na jedno kolano.

Spojrzał na szczyt pagórka. W górze zobaczył ciemną sylwetkę.

Rozległ się strzał. Las odpowiedział echem.

Poczuł, jakby ktoś przyłożył mu w ramię kijem baseballowym. Próbował podnieść mossberga i wypalić, gdy drugi pocisk uderzył go w bark i prawe ramię odmówiło posłuszeństwa. Na śniegu rozprysła się krew.

Strzelba wyleciała mu z rąk. Poczuł, że traci równowagę i sprawną ręką podparł się o pień drzewa, próbując się podnieść. Do dzisiaj nie został postrzelony ani razu, teraz trafiono go już trzykrotnie. Prawie się roześmiał. Usłyszał, że za jego plecami spada więcej kamieni i pojął, że ścigany schodzi po urwisku. Łajdak zwabił go na dół, a sam zrobił kółko i dostał się na górę.

Śnieg zaskrzypiał pod ciężarem butów.

McClury usłyszał za sobą głos.

- Zadam ci parę pytań.

Jego odpowiedź była krótka.

- Pierdol się.

- To niemiło z twojej strony.

- Nie będę gadał.

- Mimo to spytam, o co chcę, a ty odpowiesz - ciągnął głos.

Mossberg leżał tuż przed McClurym zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od wolnej ręki, którą nie mógł jednak poruszać.

- I tak umrzesz - odezwał się głos. - Jeśli odpowiesz mi z własnej woli, nie będziesz musiał cierpieć umierając.

Wierzył mu. Z doświadczenia wiedział, że na torturach każdy zaczyna gadać. Strzelba była blisko, ale równie dobrze mogłaby leżeć kilometry stąd. Gdyby spróbował sięgnąć po nią drugą ręką, upadłby na śnieg, blokując broń ciałem. Może zdołałby się przewrócić, lecz przeciwnik zdążyłby go wcześniej załatwić. Wyciągnięte zdrowe ramię zaczynało mu drżeć.

Nie wiedział, jak długo jeszcze mógł się na nim opierać.

- Ja tylko wykonywałem swoją pracę - wysapał.

- W takim razie powinieneś był wykonać ją lepiej.

Pokiwał głową. Gnojek miał rację. Zwolnił ramię, na którym się wspierał i upadł do przodu, prosto na wylot lufy mossberga.

Przez chwilę dłoń snajpera grzebała pod spodem.

*

Wystrzał pozbawił Amerykanina połowy czaszki i rozbryzgał jej zawartość na śniegu.

Nad krwią unosiła się para. Wiktor potrząsnął głową. Padał śnieg. Przeszukał ciało, lecz nie znalazł niczego użytecznego. Ślady zabójcy były dobrze widoczne. Podążył za nimi, wracając ku palącej się chacie. Nie wychylał się, pamiętając o policjantach. Skierował się na małe wzniesienie, z którego zabójca pilnował tylnego wejścia. W śniegu znalazł mosiężne łuski.

Tam ślady się rozdzielały, prowadząc ku szczątkom domu albo dalej na północ.

Ruszył szlakiem oddalającym go od chaty. Ślady były głębsze i bardziej wyraziste - na tym odcinku snajper szybko przemierzał zaśnieżony teren. No i wciąż miał na nogach buty.

Zabójca szedł tędy po linii prostej, wymijając jedynie drzewa. Po dziesięciu minutach Wiktor dotarł do podnóża skalistego wypiętrzenia. Tutaj ślady się urywały, dostrzegł jednak strącony śnieg u stóp stromego zbocza, poruszone kamienie i odsłoniętą glebę. Podpierając się na drzewach, ruszył pod górę. Zauważył, że sapie, a świszczący odgłos oddechu wzmagął

się w miarę wspinaczki. Zmusił ciało do nadmiernego wysiłku. Był ranny, musiał przez kilka dni wypocząć i dać organizmowi czas na regenerację. Niebawem - obiecał sobie.

Tuż poniżej szczytu pagórka odnalazł kryjówkę zabójcy. Wyglądało na to, że facet spędził w niej noc. Leżała tam porzucona zimowa kurtka, plecak, dwulitrowa butelka do połowy wypełniona moczem oraz plastikowa torebka z odchodami. Kieszenie kurtki były puste. Wziął plecak i przerzucił go przez ramię, na drugim powiesił swoją torbę. Po kolejnych śladach, ruszył w głąb lasu na zachód. W ciągu ostatnich dwunastu godzin spadło trochę śniegu, jednak nie więcej niż trzy centymetry. W śniegu nadal pozostawały płytkie wgłębienia, na tyle wyraźne, by bez trudu mógł się nimi kierować.

Po czterdziestu minutach dotarł do samochodu zabójcy. Terenowa toyota była zaparkowana poza szosą, Obszukał zewnętrzne kieszenie plecaka, znalazł kluczyki i otworzył

wóz.

Nagle stanął i złapał się za pierś. Zwymiotował, czując na języku posmak żelaza.

Odkrztusił krew. Przez minutę pozostawał pochylony, aż wreszcie ból ustąpił. Garścią śniegu zmył krew z twarzy, a następnie przysypał krwawą plamę na ziemi.

W samochodzie nie było niczego, co pozwalałoby zidentyfikować człowieka, który usiłował go zabić. Na przedniej i tylnej szybie widniały naklejki z wypożyczalni, natomiast w schowku znalazł dokumenty wynajmu. Samochód z pewnością

wypożyczono na fałszywe nazwisko. Wrzucił obie torby na tylne siedzenie i odpalił silnik. Dał pojazdowi kilka minut na rozgrzanie, po czym ostrożnie wycofał na szosę. Odetchnął ciężko. Kimkolwiek była osoba życząca mu śmierci, udało jej się odkryć jego miejsce zamieszkania. Nie byłby w stanie w to uwierzyć, gdyby nie zostało to właśnie w dramatyczny sposób udowodnione. We wstecznym lusterku widział, jak dym z płonącej chaty unosi się nad linią drzew. Jeśli ten ktoś znalazł go tutaj, znajdzie go wszędzie.

Wszelkie plany na życie, jakie Wiktor jeszcze niedawno snuł, zniknęły jak sen.

ROZDZIAŁ 22

PARYŻ. FRANCJA

CZWARTEK 15:16 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Alvarez pociągnął długi łyk kawy, potrójnie słodzonej nędznej francuskiej podróbki, po czym przystąpił do niezdarne go klepania w klawiaturę leżącą na kolanach. Siedział ze stopami opartymi na biurku, buty postawił na podłodze. Gryzł plastikowy długopis.

Znajdował się w swoim tymczasowym biurze paryskiego rezydenta CIA na drugim piętrze ambasady USA.

Gabinet ledwie pomieścił jego samego oraz biurko, toteż często nazywał go pudełkiem na buty. Jednak było tu cicho, co pozwalało mu skupić się na pracy. Na biurku, tuż obok jego stóp, stała fotografia Christopera ze szkolnego przedstawienia jasełkowego. Malec grał rolę pasterza. Zrobił to genialnie, a smarkacze w roli owiec nie umieli nawet przyzwocicie zabezczyć.

Prace nad namierzaniem zabójcy Ozolsa nie posuwały się na przód. Jeśli nadal podróżował z paszportem Alana Flynna, to według Czechów nie opuścił terytorium ich kraju, lecz zdaniem Alvarca bardziej prawdopodobne było, że zmienił dokumenty i wyjechał, Bóg wie gdzie. Alvarez nie miał czasu ani ludzi, by zorganizować poszukiwania na skalę europejską, toteż skoncentrował wysiłki na zidentyfikowaniu siedmiu zlikwidowanych zabójców. Jeśli odkryją, kto ich zatrudnił, być może przy okazji dowiedzą się czegoś o zabójcy Ozolsa i udałoby się wytropić jego zleceniodawcę. Wtedy istniałaby szansa na przejęcie pocisków rakietowych albo chociaż niedopuszczenie, by trafiły one w ręce wrogów Ameryki.

Przez ostatnie dni udało mu się sporo dowiedzieć. Michaił Światosław, pod którego podszył się później zabójca Ozolsa, to były członek Specnazu. W latach 80. służył w Afganistanie, potem na krótko zatrudniło go KGB. Kiedy zimna wojna dobiegła końca, został

zwolniony i zaczął działać na własną rękę. Pracował głównie w krajach bloku wschodniego, odwalając brudną robotę dla mafijnych bossów i innych mętów.

Współpracowało z nim paru Węgrów, najwyraźniej dawnych gangsterów, a także grupa serbskich najemników, w tym kobieta. Alvarez z niedowierzaniem pokiwał głową.

Mówiąc w skrócie, sporządził właśnie listę najgorszych dupków świata z każdej zatęchłej dziury od Bałkanów po Ural. Cyngle, byli żołnierze, najemnicy, zabójcy. Dwóch z nich poszukiwano za zbrodnie wojenne w Kosowie. W sumie dobrze, że nie żyją, pomyślał. Tyle, że nie można ich już przesłuchać. Stanowili typową zbieraninę europejskich zabijaków.

Niczego innego się zresztą nie spodziewał.

Zaskoczyło go jednak, że jednym z zamachowców był Amerykanin - James Stevenson, dawny członek rangersów. Mężczyzna próbował nawet dostać się do Delta Force, nie przeszedł jednak rekrutacji. Co więcej, po odejściu ze swojego oddziału usiłował

zatrudnić się w CIA, ale również został odrzucony. Wykazywał się zdolnościami w działaniach terenowych, ale nie przestrzegał dyscypliny, agencja zaś nie mogła sobie pozwolić na takie ryzyko. Z pomocą dawnego kumpla z wojska przeszedł do sektora prywatnego. Wielokrotnie pracował jako ochroniarz dla specjalizującej się w kwestiach bezpieczeństwa firmy z Brukseli, dla której wykonywał też wiele innych prac.

Na ekranie komputera Alvarez przeglądał zestawienia bankowe, bilingi telefoniczne, e-maile, notatki, a nawet rachunki za media należące do Jamesa Stevensona - byłego żołnierza, najemnika i ostatniego gnoja, któremu niedawno ktoś wpakował

dwie kulki między oczy. Facet wpłacił gotówką sporą sumę w euro na konto w banku unikającym stawiania niewygodnych pytań. Stało się to dwa tygodnie przed jego niespodziewaną randką z parą pocisków kaliber pięć i siedem dziesiątych.

Następnie czwarta część tej sumy została przelana na siedem osobnych kont należących do pozostałych członków ekipy. Alvarez przyjął, że każdy z nich miał otrzymać drugie tyle po wykonaniu zadania, połowę zaś Stevenson zachowałby dla siebie. Teraz pieniądze generowały odsetki na kontach nieboszczyków.

Ale kto, do diabła, dał te pieniądze Stevensonowi? Tego przede wszystkim chciał się dowiedzieć. Były żołnierz nie okazał się najbystrzejszym zabójcą w historii branży i pozostawił ślady na twardym dysku swojego komputera, którego przenośna kopia podpięta była teraz do laptopa Alvareza.

Stevenson lubił mieć wszystko poukładane: w jednym arkuszu zestawiał dane członków ekipy, w tym ich e-maile i numery telefonów. Pozwoliło to zidentyfikować tych bardziej nieuchwytnych zabójców z grupy, lecz nie pomogło w przyszpileniu człowieka, który wynajął Stevensona.

Gość ochrzcił zadanie mianem Paryskiej Roboty - w ocenie Alvareza nie wykazał się przy tym szczególną inwencją, aczkolwiek kryptonim nie miał w tym wypadku większego znaczenia. Prywatna firma do spraw bezpieczeństwa z Brukseli, z której Stevenson otrzymywał swego czasu zadania ochroniarskie, została już prześwietlona i oświadczyła, że z wydarzeniami w Paryżu nie ma nic wspólnego. Alvarez wierzył im. Zbyt dużo pieniędzy zarabiali na legalnym pośredniczeniu w zatrudnianiu najemników, by zaangażować się w ryzykowne zabójstwo na zlecenie.

Możliwe, że ktoś, kto najął Stevensona, był wcześniej klientem zatrudniającej go firmy. Lista potencjalnych podejrzanych była długa i uwzględniała osoby z całego świata: prywatnych biznesmenów, międzynarodowe korporacje, saudyjskich szejków naftowych, afrykańskie rządy. Stevenson osobiście pracował dla wszelkiego rodzaju klientów. Człowiek, którego szukał Alvarez, mógł być którymkolwiek z nich bądź też osobą absolutnie niezwiązaną z belgijskim przedsiębiorstwem. W tym wypadku grono prawdopodobnych zleciodawców rozrastało się w zatrważającym tempie.

Przecucie mówiło mu, że ktokolwiek stał za zamachem na Ozolsa, wynajął również Stevensona i jego ludzi, aby zlikwidowali zabójcę po wykonaniu zadania. Może facet nawalił, może chodziło o pozbycie się świadków - nie miało to już znaczenia, jeśli jednak Alvarez miał rację, a zabójca zorientował się, że jego własny zleciodawca stara się go sprzątnąć, istniała szansa, że gość nadal ma współrzędne przy sobie. Znaczyłoby to, że pociski wciąż można wydobyć.

Zadzwonił telefon. Alvarez odebrał, rzucając bezosobowe „tak”

Dzwonił Noakes, jeden z zatrudnionych w ambasadzie agentów CIA. Pracował w piwnicy z resztą technomaniaków. Był w porządku, choć od nadmiaru kofeiny i cukru bardzo się nakręcał i Alvarez nie miał do niego cierpliwości.

- Mam coś, co cię może zainteresować - z zawrotną prędkością wystrzelił z siebie potok słów. - Stevenson chciał się wycwanić i użył oprogramowania do bezpiecznego wymazywania zawartości twardego dysku. Mój stary mógłby sięgnąć po taki program. Wiesz no...

- Niech zgadnę, nie robi tego, co powinien? - wciął się Alvarez.

- Nie do końca - odrzekł Noakes. - Albo nie robi tego tak dobrze, jak powinien. Udało mi się odzyskać część usuniętych ostatnio plików, ale odczytanie tych starszych zajmie trochę więcej czasu, o ile jeszcze tam są, czego nie wiem. Możliwe, że są. A możliwe, że zniknęły na dobre.

Alvarez odsunął nieco słuchawkę od ucha.

- Co znalazłeś?

- A no tak - roześmiał się Noakes. - Byłbym zapomniiał. Dokopałem się do skasowanych e-maili między Stevensonem a kimś nieznanym. Odzyskaliśmy tylko parę ostatnich wiadomości, ale wygląda na to, że stanowią część dłuższej korespondencji. Chodzi o zapłatę za tak zwaną Paryską Robotę.

- Dobrze - przyjął Alvarez. - Prześlij mi te e-maile jak najszybciej.

- Robi się.

Odłożył słuchawkę. Ucieszyły go postępy, ale nadal miał świadomość, jak mało w rzeczywistości wie. Wstał i podszedł do okna. Usiłował dostrzec osobę, która zapoczątkowała ten cały bałagan.

- Gdzie jesteś? - wyszeptał.

ROZDZIAŁ 23

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA

WIRGINIA, STANY ZJEDNOCZONE

ŚRODA 16:56 CZASU WSCHODNIEGO

Wyglądał na miłego starszego pana z poorly zmarszczkami, opaloną twarzą, szczupłego, lecz wciąż silnego, z siwymi, ale nadal gęstymi włosami. Kevin Sykes patrzył, jak Ferguson nalewa sobie kawę z dzbanka ze stali nierdzewnej, po czym upija łyk. Była to gorzka i pozbawiona smaku lura, lecz przynajmniej zawartością kofeiny powinna zaskarbić sobie uznanie Fergusona.

- Czy pokój został sprawdzony? - spytał Ferguson. Spoglądał na odbicie Sykesa w oknie biura.

Sykes przytaknął.

- Tuż przed pańskim przybyciem.

Ferguson obrócił się i odezwał.

- To proszę mi w takim razie wyjaśnić, co się właśnie, do kurwy nędzy, stało.

Sykes wyraźnie się spiął.

- Tesseract pojawił się w Szwajcarii.

- I co?

Sykes potrząsnął głową.

- Na północ od wioski Saint Maurice szwajcarska policja natknęła się na ciało.

Mojego człowieka.

Ferguson ciężko westchnął i usiadł.

- Co z Tesseractem? - Nie jesteśmy pewni. Dom spłonął doszczętnie. Jest chyba szansa, że był wtedy w środku.

- Nadzieja matką głupich, Sykes. Jeśli zabił waszego człowieka, to wątpię, by dał się potem upiec.

- Chyba niestety muszę się z panem zgodzić.

- A więc zniknął i to z pendrive'em?

Sykes przytaknął.

- O ile nośnik nie uległ zniszczeniu w eksplozji. Co sytuację z fatalnej zmieniałoby w katastrofalną - dodał Ferguson. - Kiedy to się stało?

- Kilka godzin temu - odparł Sykes. - Ale to jeszcze nie koniec. Mamy trop. Mamy...

- To dlaczego nie zostałem o tym poinformowany wcześniej?

- To moja operacja i ja nią kieruję. Informowanie pana, zanim zapoznałem się z faktami, zaogniłoby tylko sytuację. Wszystko,

co mógłby pan w tej sprawie zrobić, sam już zleciłem.

Ferguson zmarszczył czoło.

- I kogo tym razem użyłeś?

- Carla McClury'ego. Kiedyś pracował w Wydziale Działań Specjalnych, dla którego wykonał sporo mokrej roboty, przedtem był w Siłach Specjalnych. Na dodatek nie zadawał

pytań. Jako wolny strzelec realizował zlecenia dla naszej firmy. Oficjalnie pracował w ochronie ambasady w Bernie, tak więc był idealnym kandydatem do akcji porządkowej.

- To chyba jakiś żart - Ferguson gniewnie zrobił krok do przodu. - Użyłeś pracownika CIA? Czy cię popierdoliło?

- Byłego pracownika. Już nie figuruje w naszych rejestrach.

- Komu chcesz zamydlić oczy, Sykes? Na to samo wychodzi. Jak myślisz, co się stanie, jak się o tym dowiedzą?

- Nic - pewnie odpowiedział Sykes. - McClury pracował na zlecenie CIA, a wszyscy wiedzą, że zabójcy wykonują również zlecenia dla innych. Kto wie, dla kogo jeszcze mógł

pracować? Europa jest cholernie duża. Pełno tam potencjalnych klientów. Jego śmierć zostanie uznana za ryzyko zawodowe i zapomniana. Co więcej - dodał Sykes - McClury'ego i Tesseracta nic nie łączy. Nie będzie można udowodnić, że facet, który go zabił, to ten sam, który urządził strzelaninę w Paryżu. I nie zapominajmy, że nic nas nie łączy ani z McClurym, ani ze Stevensonem i jego ekipą. Jesteśmy czyści jak łąza.

Ferguson przeciągnął smukłymi palcami po włosach.

- Nie byłbym tego taki pewny.

- Między nami a McClurym jest co najmniej dwóch ludzi, a żaden z nich nie wie, od kogo otrzymał rozkazy. Snajper miał dostać kasę po wykonaniu zadania, a zadania nie wykonał. Stevensonowi zapłacono gotówką z góry. Alvarez nie będzie w stanie zidentyfikować człowieka, który przekazał mu pieniądze. A przesłaliśmy je tradycyjną drogą

- z użyciem pośredników, zagranicznych kont i tak dalej. Wszystko bez śladu. Pozwoliliśmy Stevensonowi dobrać własną ekipę, pamięta pan? Nie mamy się czym martwić.

- To się dopiero okaże.

- Owszem, śmierć McClury'ego trochę komplikuje sprawy, ale facet był rozgarnięty.

Uważny. Nie pozostawiłby po sobie takich śladów, jak Stevenson. Poza tym, mogliśmy się go wyprzeć, gdy był żywy, a teraz będzie to tylko łatwiejsze.

- Wymieniając jego cechy, zapomniałeś wspomnieć o niekompetencji.

- Jego osiągnięcia przedstawiały się imponująco.

- Aż do czasu, gdy dał się zabić.

- Bądź co bądź był to jedyny możliwy kandydat, zważywszy na specyficzne wymagania operacji. Potrzebowaliśmy kogoś natychmiast, a dostępnych od ręki zabójców wcale nie jest tak łatwo znaleźć.

Argumenty były trafne, ale Ferguson machnął ręką, zamykając temat i Sykes był

zmuszony przełknąć narastający w nim gniew. Przypomniawszy sobie, z kim rozmawia i nie drażył sprawy. Ferguson był nie tylko jego szefem, lecz także twórcą ich intrygi i wymagał

bezwzględного posłuszeństwa nawet wtedy, gdy w sposób oczywisty się mylił.

- Co zamierzasz zrobić z McClurym?

Sykes wszystko już w myślach zaplanował.

- Zanim szwajcarska policja go zidentyfikuje, minie jeden dzień, co najmniej drugie tyle potrwa, aż ktokolwiek odkryje, że ofiara pracowała w CIA. Do tego czasu, zdążę popsuć mu reputację. Sprawię, by wyglądało, że przyjmował zlecenia od wyjątkowo podejrzanych osobników. Ludzi, którzy nie wahają się zabić wynajętego zabójcy, gdy nie jest on już dłużej potrzebny. To wystarczy, by zmylić trop. Nikomu nie przyjdzie do głowy łączyć jego śmierć z wydarzeniami z innych miejsc.

Ferguson zdawał się wyjątkowo powoli odstawiać kubek. Dokładnie wytarł sobie kąciki ust. Sykes starał się powstrzymać uśmiech. Wiedział, że udało mu się przekonać starego drania. Ferguson nie chciał po prostu go chwalić.

- Przyznaję, że sprawy jak na razie nie poszły najlepiej - Sykes uznał, że trochę skromności nigdy nie zawadzi. - Ale to jeszcze nie koniec. Tesseract wciąż gdzieś jest i jestem pewny, że ma przy sobie pendrive'a. Mamy więc pole do działania. Szuka go wielu ludzi - Francuzi, Niemcy, Szwajcarzy, agencja. Pomoże nam to zbliżyć się do niego. A kiedy już to zrobimy, mam w pogotowiu kolejnych zabójców. Zdaję sobie sprawę, że to ryzykowne, ale możemy sprawić, by wyglądało, jakby kto inny dopadł go przed nami. Rzecz jasna, nie będzie to wszystko tak czyste, jak byśmy sobie życzyli, ale końcowy rezultat nie ulegnie zmianie.

- Kolejnej okazji już nie będzie.

- Tego pan nie wie. Jest za wcześnie, by się poddawać.

Ferguson zamilkł na chwilę.

- Zrobimy teraz inaczej.

- Plan jest dobry, możemy wprowadzić go w życie.

Ferguson ciągnął jednak dalej.

- Obawiam się, że nie zgadzam się z twoją optymistyczną oceną sytuacji. Twoja dotychczasowa niekompetencja utrudniła operację. Zapomniałeś, o jaką stawkę tu chodzi? Bo ja nie.

- Oczywiście, że wiem, jaka jest stawka. To pan traci cel z oczu, nie ja.

- Ty arogancki gnojku - rzucił z uśmiechem Ferguson. - Przez całą moją karierę przechodziłem od jednej misji do następnej, nie pozwalając nikomu wejść mi w drogę. Nigdy nie straciłem z oczu żadnego celu. Tego możesz być pewien. Ale nie wystawię własnej wolności na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że ty najwyraźniej nie jesteś w stanie wykończyć jednego człowieka.

- Moim zdaniem przecenia pan szanse Tesseracta.

- Moim zdaniem ty przeceniasz swoje.

- Jak na razie nie stało się nic, czego nie można by odkręcić.

Ferguson potrząsnął głową.

- Natychmiast rozkaż zabójcom się wycofać.

- Co? Nie, muszą być w stanie gotowości.

- A powiesz mi może po co? Pozwolę sobie przypomnieć, ile pracy wymagało wytropienie Tesseracta na samym początku, kiedy jeszcze nie wiedział, że go szukamy? Czy myślisz, że teraz, kiedy wie, że jest ścigany, będzie go łatwiej odszukać? Szczerze powiedziawszy, dziwi mnie, że na tym etapie uważasz to za wykonalne, a jeszcze bardziej mnie dziwi, że po tym, co dopiero stało się z McClurym, jesteś gotowy narażać kolejnych ludzi.

- Co innego możemy zrobić? Liczyć na to, że Tesseract umrze z przyczyn naturalnych i zapisze nam współrzędne pocisków w

testamencie?

- Tego typu komentarze nijak nie pomagają rozwiązać moich wątpliwości, Sykes. Nie pozostawiasz mi wyboru. Przejmuję sprawę.

- Co to niby, do diabła, znaczy? Co pan zamierza zrobić?

- Coś, co powinienem był zrobić na samym początku. Gdybym wiedział, że ten zabójca tak skutecznie potrafi utrzymać się przy życiu, nie czekałbym ani chwili. Dzwonię.

- Co? Do kogo?

- Do kogoś, kto może nam pomóc. Jest taki człowiek, z którego usług już korzystałem.

To ekspert.

- Ekspert?

- Zabójca.

- Kto?

- Nie ma go w naszych aktach. Jest z SIS.

- To znaczy z brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej? To szaleństwo. A co z brytyjskim rządem?

- Nigdy się o tym nie dowiedzą. On działa na zlecenie. Wykona dla nas pracę nieoficjalnie.

- Nieoficjalnie?

- Jej Królewska Mość nie jest mu w stanie zapłacić tyle, co ja.

- Jak się nazywa?

- Nie słyszałeś o nim. Nazywa się Reed, a przynajmniej pod takim imieniem go znam.

Od tej chwili to on przejmuje terenową część tej operacji.

- To jakiś absurd. Nie potrzeba nam kogoś z zewnątrz. To tylko skomplikuje sytuację.

- Nie obchodzi mnie to. Mam tylko nadzieję, że uda się cały ten burdel ogarnąć.

Jedyny sposób, by kontynuować nasze działania, to użycie kogoś z zewnątrz.

- Gówno prawda.

- Jak nie umiesz rozmawiać jak dorosły, to się nie odzywaj. Co innego możemy zrobić? Zebrać następną grupę nieświadomych niczego najemników? Czy po prostu wysłać więcej byłych ludzi firmy w nadziei, że nikt nie skojarzy faktów, jeśli nie wrócą z akcji?

- Ciągle możemy to rozegrać.

- Nie słuchasz mnie. Teraz, gdy McClury nie żyje, mamy związane ręce. Miałeś swoją szansę i zawiodłeś. Reed to nasza jedyna nadzieja na załatwienie sprawy po cichu.

- I gdzie pan wyśle tego Reeda? Tak jak pan mówił, nie wiemy, gdzie jest obecnie Tesseract.

- Tesseract może chwilowo poczekać. A Reed może być już rano w Paryżu.

- Po co w Paryżu?

- Nie uważam, byśmy mieli więcej czasu do stracenia, a ty?

Sykes potrząsnął głową, niepewny sensu pytania.

- Dobra - ciągnął Ferguson. - Kiedy Reed wylądaje w Paryżu, chcę, by jak najszybciej spotkał się z twoim człowiekiem. Jak on się nazywa?

Sykes starał się zachować kamienną twarz i ukryć fakt, że nie ma zielonego pojęcia, o co chodzi w rozmowie.

- John Kennard.

- Zgadza się - rzucił Ferguson, - Niech Kennard dostarczy Reedowi listę wszystkich, którzy brali udział w operacji. Reed zajmie się resztą.

- Co ma pan na myśli? Po co mu ta lista?

Ferguson nie odpowiedział, lecz jego spojrzenie zdawało się tłumaczyć wszystko.

- Jezu - jęknął Sykes, kiedy wreszcie zrozumiał. - Wszystkich?

Ferguson skinął głową, jakby chodziło o coś zwyczajnego.

- I będzie ich nam brakować - odpowiedział bez zająknięcia. - Lecz dla wyższego dobra trzeba niekiedy ponieść ofiarę.

- Wyższego dobra?

- Niech ci będzie - z półśmiechem, który nie spodobał się Sykesowi, przyznał

Ferguson. - Może nie dla wyższego, ale dla dobra twojego i mojego. Wciąż sądzę, że nie chcesz spędzić reszty życia za kratkami?

Ferguson zrobił pauzę, ale Sykes nie odpowiedział.

- Tak też myślałem, a taką cenę przyszloby nam zapłacić za niepowodzenie, Sykes.

Nadal jesteś tego świadom?

- Tak jest.

- Nasza operacja się nie powiodła.

- Proszę pana, moim zdaniem jest za wcześnie, by...

- Zamknij się i pozwól mi skończyć. Operacja się nie powiodła. Realizacja naszych pierwotnych zamierzeń schodzi na dalszy plan. Dorwanie tych pocisków wymagałoby cudu, proponuję zatem skupić nasze wysiłki na czym innym.

- Co z listą kupców, nad którą pracowałem?

- Chwilowo należy zapomnieć o pieniądzach, Sykes. W tym momencie naszym priorytetem jest upewnić się, że wyjdziemy z tego cało. Jedyнным sposobem, by nasz plan się udał, było wyeliminowanie wszelkich czynników postronnych, ale na to jest już za późno.

Teraz chodzi o zminimalizowanie strat. Nie możemy dopuścić, by ludzie, którzy wiedzą o nielegalnej operacji zakończonej spektakularną klęską, swobodnie kręcili się po świecie.

- Ale żaden z nich nie zna wszystkich szczegółów naszych działań ani nawet nie wie, dla kogo pracował. W końcu tylko jeden z nich jest agentem z prawdziwego zdarzenia. A tak poza tym, jeśli planujemy doprowadzić operację do końca, to się nam jeszcze przydadzą. Są dobrzy, godni zaufania.

- Kogo ty chcesz oszukać? Są równie godni zaufania, co ty...

Oczy Sykesa zwięzły się do rozmiarów szparek.

- Albo na przykład ja. Co, jeśli któryś z nich poskłada fakty do kupy i odkryje, co tu się wyrabiało? Co nam wtedy pozostanie? Nadzieja, że nikomu nie wygada?

Sykes odwrócił wzrok.

- Alvarez już złapał trop i wygląda na to, że może istotnie do czegoś dojść. Albo ten tłusty kretyn Procter na chwilę przestanie zamartwiać się perspektywami awansu i weźmie do roboty. Czy ty naprawdę myślisz, że cały ten bajzel pozostanie w ukryciu, jeśli ktokolwiek poza nami pozna chociaż część szczegółów?

- Ale na rany Chrystusa, dwóch z nich to Amerykanie.

Twarz Fergusona nie drgnęła.

- To nie do uniknięcia.

Sykes powoli uniósł głowę.

- Nie wymyślił pan tego teraz, prawda? Zabiłby ich pan nawet, gdyby wszystko poszło po naszej myśli.

Ferguson przytaknął.

- Oczywiście. Uczyniłbym to z pomocą Reeda i rozkładając w czasie, ale obecny rozwój wypadków czyni sprawę pilniejszą.

- A kiedy zamierzał mnie pan poinformować?

- Nie bądź już taki wrażliwy, Sykes - odrzekł Ferguson. - Na samym początku powiedziałem ci, że jeśli ma się udać, musimy to załatwić zupełnie na czysto. Żadnych prowadzących do nas śladów. Myślałeś, że o co mi chodzi?

Sykes nieznacznie się zakłopotał.

- Robisz w tej branży wystarczająco długo, by wiedzieć, co miałem na myśli. Być może nie dopuszczałeś tego do siebie, ale wiedziałeś, w co się pakujesz, więc teraz nie zgrywaj przerażonego. Od początku było wiadomo, że w ramach operacji nadejdzie etap robienia porządków i od początku miał w niej wziąć udział Reed. Co więcej, doświadczenie nauczyło mnie, że należy mieć w zanadrzu plan awaryjny na wypadek, gdyby zdarzyło się coś niespodziewanego i wiedziałem, że takim asem w rękawie może być właśnie Reed. I -

zważywszy na rozwój wypadków - dobrze się stało, że wcześniej o tym pomyślałem. Do tej chwili nie musiałeś znać wszystkich szczegółów.

- Na to wychodzi.

- Sądzę, że nie stanowi to dla ciebie problemu?

Zrobił pauzę.

- A może jednak stanowi?

Sykes odpowiedział cicho.

- Nie, proszę pana.

- No to ustalone. Reed będzie potrzebował dane wszystkich osób - i kiedy mówię wszystkich, znaczy to wszystkich.

- Zadbam, by niezwłocznie je otrzymał.

- Dobry chłopiec.

Teraz rozplywa się we współczujących uśmiechach, zauważył kwaśno Sykes. Niczym ojciec, który tłumaczy synowi konieczność uspienia psa potrzebą zaoszczędzenia na weterynarzu.

- Tak będzie najlepiej.

- Tak jest - odrzekł Sykes, łapiąc się na tym, że wpatruje się pusto w przestrzeń.

Zauważył, że Ferguson czujnie go obserwuje i się wyprostował.

- Naprawdę mam nadzieję, że jesteś na to gotowy, Sykes - powiedział Ferguson.

- Oczywiście, proszę pana.

Ferguson ściszył głos.

- Byłbym bowiem srodze zawiedziony, gdyby się okazało, że niesłusznie ci zaufałem.

- Nie musi się pan o to martwić.

- Miło mi to słyszeć.

- Jak dobry jest ten cały Reed? - odezwał się Sykes, chcąc odwrócić uwagę od własnej osoby.

Ferguson uniósł brew.

- Zabił więcej ludzi niż Stalin.

ROZDZIAŁ 24

LOTNISKO CHARLES'A DE GAULLE'A

PARYŻ. FRANCJA

CZWARTEK 07:30 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Zobaczyła, jak się zbliża. Szedł prosto w jej stronę, rozluźniony, niewzruszony otaczającym go chaosem lotniska. Miał sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, był

szeroki w ramionach, ale szczupły. Ciemnowłosy. Ubrany w elegancki czarny garnitur z rozpiętą marynarką i białą koszulę z rozpiętym pod szyją guzikiem. Bez krawata.

Jego ruchy były niemal mechaniczne, każde posunięcie wymierzone i pod kontrolą. W

dłoni trzymał przygotowany paszport, który wzięła i otworzyła. Borland, James Frederick.

James. Wyglądał na Jamesa.

Tego dnia się nie ogolił, przez co ciemna szczecina zasłaniała charakterystyczną linię szczęki. Jego skórze zdecydowanie przydałoby się nieco słońca. Włosy były krótko i niestylowo przycięte. Miał świetną budowę ciała, ale wyraźnie nie przejmował się wyglądem.

- Jaki jest cel pańskiej wizyty we Francji, panie Borland?

- Interesy - odparł szczerze mężczyzna.

Brytyjski akcent prawdziwego gentlemana - brzmiał kulturalnie, wyrafinowanie.

Cechowała go naturalna klasa kogoś, kto nie musi niczego udawać. Nieco wysiłku i mógłby przyciągać spojrzenia na ulicy. Oczywiście miał niesamowicie niebieskie. Doszła do wniosku, że jest nadzwyczaj przystojny, lecz nie zauważa się tego na pierwszy rzut oka. Porównała zdjęcie z paszportu z twarzą mężczyzny i spostrzegła, że na co dzień ma ona ten sam surowy wyraz. Była

w stanie stwierdzić, że jest bardzo poważnym i duchowionym człowiekiem.

Jeśli mrugnął, uszło to jej uwadze.

Przypomniała sobie o obowiązkach.

- Czym się pan zajmuje zawodowo?

Ponownie odpowiedział jednym słowem.

- Usuwaniem.

Nie był zbyt rozmowny, ale nie stanowiło to problemu. Nic gorszego niż facet, który nie wie, kiedy się zamknąć.

- Jest pan z Londynu? Uwielbiam Londyn, to wspaniałe miasto. Uważam, że wy, Anglicy, jesteście najsympatyczniejszymi ludźmi na świecie.

Żadnej odpowiedzi. Czyli nie lubi pogaduszek. Po prostu czekał z niewzruszoną miną.

Może był po prostu nieśmiały. Tak, to musiało być to. Rzuciła okiem na jego lewą dłoń. Nie miał obrączki. A właściwie to żadnej biżuterii, a jego zegarek bardziej pasowałby do pletwonurka niż biznesmena. Co z tym gościem było nie tak? Zupełnie, jakby starał się umyślnie osłabić swój wizerunek. Jaki jest sens w byciu przystojnym, jeśli nikt nie patrzy?

Gdyby nie podszedł prosto do niej, pewnie w ogóle by go nie zauważyła.

Uśmiechnęła się, czubkiem języka musnęła dolną wargę, przeciągnęła palcem wzdłuż szyi, zatrzepotała rzęsami - słowem, wysłała wszelkie możliwe sygnały, by zachęcić go do podrywu. On tymczasem nie chwycił przynęty. Może lubił się droczyć.

Spojrzała na informacje w komputerze. Facet dużo podróżował: Luksemburg, Egipt, Hongkong. A to tylko w ciągu ostatniego miesiąca. Do zestawu jego cech dorzuciła w myślach zamiłowanie do podróży. Stuknęła w klawiaturę i oddała mu paszport. Wyjął go z jej palców tak delikatnie, że spojrzała na dłoń, aby się upewnić, że na pewno go odebrał.

- Miłego pobytu we Francji.

Podjęła ostatnią próbę, przechyliła głowę na bok i oczami sarenki puściła mu swoje najlepsze spojrzenie pod tytułem „weź na kolację, a potem przerznij”. Odszedł bez słowa.

Arogancki fiut - pomyślała. Pewnie pedał.

ROZDZIAŁ 25

BUDAPESZT, WĘGRY

CZWARTEK 17:46 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Niebo nad miastem zasnuwane było chmurami. Płaszcz przemakał. Wiktor trząsał się, idąc wąską ulicą usianą kałużami. Jezdnia była brukowana, chodnik zaś ułożony z nierównych płyt. Ulica nie miała latarni, a jedynym źródłem światła był blask mijanych okien. W pobliżu nie było nikogo. Jego kroki rozbrzmiewały echem.

Nie odważył się zostać w Szwajcarii, gdzie stałby się obiektem poszukiwań zarówno lokalnej policji, jak i zabójców. Węgry wydawały się dobrym wyjściem. Od kilku lat nie pojawiał się w Budapeszcie, istniała więc mniejsza szansa, że zostanie tu namierzony. Nie wierzył, by w Saint Maurice odnaleziono go w ramach jakiejś prywatnej operacji. Wymagało to wielu utalentowanych ekip śledzących, precyzyjnej koordynacji, dostępu do nagrań z kamer bezpieczeństwa, a także podglądu z powietrza i być może z satelity.

Tego typu środkami i zasobami ludzkimi dysponowały tylko agencje wywiadowcze. I tylko niektóre z nich mogły sięgnąć tak daleko. Zabójca, który usiłował zlikwidować go w Szwajcarii, był Amerykaninem. Podobnie jak dowódca grupy zabójców w Paryżu. Wiktor nie wierzył w zbiegi okoliczności. To mogła być tylko CIA. Jego świat się walił. Znalazł się na liście do odstrzału najpotężniejszych tajnych służb na świecie.

Czyli był już praktycznie martwy.

Jego hotel krył się wśród bocznych uliczek budapeszteńskiej dzielnicy czerwonych latarni. W pokoju znajdowało się łóżko z metalową ramą oraz szafka z szufladami pełnymi ulotek reklamujących prostytutki obojga płci. Mógł się tu ukrywać wystarczająco długo, by pozbierać myśli i podjąć decyzje o następnych krokach.

Skręcił z zaułka i szedł dalej. Trzymał się bocznych uliczek, unikając przechodniów i sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Szedł dłużej, niż planował, cały czas myśląc i analizując.

Rozmyślał o Paryżu, a także o swoim spalonym domu. Dwa zamachy na jego życie w ciągu zaledwie jednego tygodnia. Poczł się mało lubiany.

Z każdą sekundą piasek w klepsydrze odmierzającej jego życie przesypywał się. CIA już przegląda nagrania z kamer bezpieczeństwa, kontaktuje się ze szwajcarskimi władzami oraz ze służbami wywiadowczymi innych krajów - cały czas zacieśniają krąg poszukiwań, są coraz bliżej. Znalazł kawiarenkę internetową i zajął stanowisko, z którego widział wejście.

Jeśli chciał ułożyć plan, musiał pewne rzeczy sprawdzić. Skoro CIA wiedziała, gdzie mieszka, to mogła zablokować jego konta w bankach. Swego czasu szwajcarskie banki w żadnym wypadku nie ujawniłyby danych swoich klientów, jednak po wydarzeniach z 11

września 2001 roku świat się zmienił. Teraz wszystko było możliwe.

Z ulgą stwierdził, że podstawowe konto ciągle było nietknięte. Postanowił podjąć wszystkie zdeponowane środki i w tym celu umówił się w banku na spotkanie. Przechowywał

pieniądze w rozmaitych skrytkach depozytowych na całym Starym Kontynencie, w tym jednak momencie niepokoił się tylko o fundusze w bankach szwajcarskich.

Zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu nic nie jadł i wstąpił do pobliskiego baru, gdzie wrzucił w siebie trzy cheeseburgery. Kupiony przy okazji koktajl mleczny dopijał już na ulicy.

Niczego już nie pojmował. Czy CIA ściagała go ze względu na operację w Paryżu, czy może to ona ją zorganizowała? Może wynajęli Wiktora, a może gości, którzy mieli go zabić, jedno zresztą nie wykluczało drugiego. Jechali za nim z Francji do Szwajcarii, czy od początku wiedzieli, gdzie mieszka? Wszelkie możliwe odpowiedzi prowadziły tylko do kolejnych pytań. Musiał opierać się na spekulacjach i zgadywać, a takiego stanu rzeczy nienawidził.

Pomyślał o pośredniku. *To nie jest tak, jak myślisz* - tłumaczył mu. Może trzeba było go posłuchać. Może CIA dowiedziała się o jego zleceniu i chciała go po wszystkim zabić.

Może Ozols był człowiekiem agencji. Może do niej należał pendrive. A może po prostu CIA chciała go przejąć. Może pośrednik uczestniczył w spisku, może był agentem wywiadu, a może sam figurował na tej samej liście celów, co Wiktor. Za dużo „może”, za mało pewności.

Zatrzymał taksówkę, ale w ostatniej chwili postanowił pójść piechotą. Kierowca rzucił

pod jego adresem wiązankę po węgiersku, która - jak wychwyił - koncentrowała się na osobie jego matki. Nie obejrzał się. Padający śnieg mieszał się z deszczem. Jego chłód sprawiał mu przyjemność. Minął grupę bezdomnych, którzy przekazywali sobie butelkę z czymś mocniejszym, na co wskazywał unoszący się w powietrzu fetor. Poczł, że na niego patrzł.

Na chwilę przyłożył rękę do piersi. Ból mu dokuczał, ale w żadnym wypadku nie obezwładniał. Nie odniósł żadnych długotrwałych obrażeń, lecz jak na razie miał na środku klatki piersiowej sporego krwiaka. Kiedy tylko wyjdzie z kłopotliwej sytuacji, w której się znalazł, zamierzał udać się do firmy, która dostarczyła mu szybę i obrazowo zademonstrować jej pracownikom, jak to w rzeczywistości jest z jej kuloodpornością.

Nabrał pewności, że pośrednik musiał coś wiedzieć, ale kiedy z nim rozmawiał, był

tak bardzo przekonany, że to on go wystawił, że nie dopuszczał do siebie żadnych innych wytłumaczeń. Teraz musiał uciekać, by ratować życie, a wynikało to być może właśnie z ówczesnego uporu.

Działania mające zmylić pościg podejmował instynktownie, przedostając się bocznymi uliczkami, cofając, łapiąc i zmieniając autobusy. Nie udało mu się wypracować planu działania, który nie stałby w sprzeczności z władającą nim paranoją i jeszcze zanim dotarł do kolejnej kawiarenki, postanowił skontaktować się z pośrednikiem. Jeśli miał rację i pośrednik maczał palce w strzelaninie w Paryżu, nic by to teraz nie znaczyło, nadal bowiem miałby przeciw sobie takie same siły. Lecz być może pośrednik wiedział coś, co mogłoby mu pomóc. Wiktor wciąż miał przy sobie pendrive'a, mogącego być kartą przetargową, której akurat potrzebował.

Zalogował się na forum dyskusyjnym koreańskiej gry. Pośrednik nie był dostępny, lecz na konto pocztowe jego profilu przesłano prywatną wiadomość. Pochodziła od pośrednika i została wysłana w poniedziałek. Otworzył ją. W reakcji na ich ostatnią rozmowę facet napisał przemówienie na temat zaufania i honorowania warunków umowy. Skasował

wiadomość i napisał coś od siebie.

Powiedz mi, co się naprawdę zdarzyło w Paryżu, a może dostarczę przesyłkę.

Tekst wydał się treściwy. Teraz pozostawało mu czekać.

ROZDZIAŁ 26

PARYŻ, FRANCJA

CZWARTEK 22:22 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Kennard szedł pustą ulicą z rękami głęboko wbitymi w kieszenie płaszcza. Z każdym krokiem wokół jego głowy powstawał obłoczek pary. Miał dużo pracy, jak choćby sprawdzić agencyjnego e-maila, ale co innego teraz było najważniejsze. Wszedł do publicznej toalety i rozejrzał się pobieżnie. Protokół nakazywał, by dokładnie sprawdzić teren, było jednak za zimno, by Kennard przejmował się pierdołami z podręcznika.

Jego kroki odbijały się echem na betonowych stopniach. Smród paryskich szczyń był nieco słabszy od tego, jaki można było poczuć w Los Angeles, niemniej i tak odrzucał.

Kennard wrzucił monetę do otworu i pchnął skrzypiącą bramkę.

Tylko jedno z trzech świateł na suficie działało. Samotna, goła żarówka rzucała smętną poświatę i wydobywała z przedmiotów długie cienie. W łazience było chłodniej niż na zewnątrz. Kennard dostrzegł, jak jego oddech skrapla się w ponurym pomieszczeniu. Na pełnych zacieków ścianach wisiały popękane pisuary. Podłoga była mokra, a krany zardzewiałe.

Co za koszmarnie miejsce. Nic dziwnego, że Francuzi byli tacy zgorzkniali, jeśli musieli korzystać z takich toalet. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie wydawało się puste.

Kennard spojrzał na zegarek. Był dokładnie o czasie. Zatarł z zimna rękę. Miał nadzieję, że jego kontakt niedługo się pojawi.

Zdał sobie sprawę, że w jednej z kabin ktoś jednak jest i sekundę później usłyszał odgłos spuszczonej wody. Po chwili drzwi się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna.

Podszedł do umywalki, rzucając w stronę Kennarda krótkie spojrzenie.

Miał na sobie czarny garnitur i płaszcz. Odkręcił skrzypiący kran i zaczął myć ręce.

Robił to powoli, metodycznie, nie przejmując się chłodem. Spojrzenie jego niebieskich oczu wwiercało się w Kennarda z wiszącego nad umywalką lustra. To musiał być on.

- Blake? - spytał Kennard.

- Jestem Dawson - odpowiedział człowiek, który nie był ani jednym, ani drugim.

Jego brytyjski akcent zdezorientował Kennarda - przez moment się zawahał. Ale akcent nie miał znaczenia, ponieważ prawidłowo wymienili hasła. Kennard podszedł do umywalek i sięgnął do kieszeni płaszcza. Mężczyzna gwałtownie obrócił się w jego stronę.

Zrobił to tak szybko, że Kennard zastygł w miejscu.

- Wykonywanie takich ruchów jest nierozsądne - oznajmił beznamiętnym głosem.

Kennard przyznał mu rację. Powoli wyciągnął niedużą, ale grubą kopertę.

- To dla ciebie - powiedział.

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w kopertę, po czym odwrócił się i uruchomił

suszarkę do rąk. Kennard w dalszym ciągu stał z kopertą w dłoni i jak idiota czekał, aż tamten skończy suszyć ręce. Kiedy maszyna przestała dmuchać, Brytyjczyk odwrócił się i wziął

kopertę.

- Masz ją podobno teraz otworzyć - wyjaśnił Kennard.

Mężczyzna spojrzał na niego pytająco, po czym rozerwał kopertę i sięgnął do środka.

Wyciągnął z niej eleganckiego smartfona, obrócił go w dłoniach i chciał wsadzić do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Musisz otworzyć pliki teraz - powiedział Kennard. - Powiedzieli mi, że będziesz znał

hasło.

Brytyjczyk popatrzył przez kilka sekund na Kennarda, po czym włączył smartfona i otworzył pliki. Kennard przyglądał się, jak mężczyzna przesuwa wzrok po ekranie. W

pamięci telefonu zapisanych było kilka plików, które Kennard otrzymał od swojego pracodawcy. Nie miał pojęcia, co w nich było - dostęp był chroniony hasłem. Bez wątplenia chodziło o plany operacyjne, które umożliwią wykrycie osoby odpowiedzialnej za spieprzenie ostatniej akcji. Fakt, że człowiek, który się z nim skontaktował, był Brytyjczykiem, oznaczał, że prawdopodobnie była to tajna operacja przeprowadzana wspólnie z MI6. I to operacja o potencjalnie poważnych konsekwencjach, zważywszy na tę całą supertajną otoczkę.

Wszystko to były jedynie domysły, a doświadczenie nauczyło go, że w jego pracy niekiedy nie należało zbyt dużo myśleć.

Brytyjczyk patrzył na ekran smartfona przez dłuższą chwilę, po czym podniósł wzrok.

Skinął na Amerykanina.

- Sądzę, że także powinienes to przeczytać.

Kennard przytaknął i wziął telefon. Mały ekran wypełniony był tekstem. Kennard starał się zrozumieć treść, lecz blask wyświetlacza lekko go oślepiał. Plik zawierał takie szczegóły, jak wzrost, wagę, kolor włosów czy informacje biograficzne i wyglądał na wyciąg z akt CIA. Było to czyjeś dossier. Załączone zdjęcie powoli nabierało ostrości. Twarz. Jego twarz. Powyżej dwa słowa. Dwa przerażające słowa.

John Kennard.

Był doświadczonego i dobrze wyszkolonego oficerem prowadzącym. Nie wahał się ani chwili. Upuścił aparat i błyskawicznie sięgnął po broń. Jednak mężczyzna już zbliżał się do niego z niewiarygodną prędkością, wykonując rękami bardzo szybkie ruchy, których Kennard nie rozumiał. Brytyjczyk złapał go za nadgarstek, gdy wyciągał broń z kabury.

Amerikanin usiłował unieść pistolet na tyle, by móc oddać strzał. Przeciwnik był zbyt silny i zbyt blisko. Kennard nie widział, w którą stronę zwrócona jest lufa. Mimo to wypalił.

Rozległ się ogłuszający huk, błysk wystrzału zmusił go do mrugnięcia. Spudłował.

Pocisk, nie czyniąc nikomu szkody, strzaskał kafelki wokół umywalki. Strzelił jeszcze raz.

Tym razem kula trafiła w pisuar i rozbiła go na kawałki, które z łoskotem spadły na posadzkę.

Wolną ręką rozpaczliwie chwycił ramię Brytyjczyka. Kennard był od niego co najmniej osiem centymetrów wyższy i zdecydowanie cięższy, ale przeciwnik przewyższał go szybkością. W tym momencie Kennard zdał sobie sprawę, że nie widział drugiej ręki napastnika.

Nagle wstrzymał oddech. Ostrze noża zagłębiło się w jego brzuchu, z łatwością przecinając skórę i powłoki mięśniowe. Ciałem wstrząsnęły agoniczne spazmy. Upuścił broń.

Jęczał, gdy napastnik raz po razie wyciągał ostrze i ponownie je wbijał. I jeszcze raz. I jeszcze. Nóż wszedł tak głęboko, że czubek zahaczył o tył miednicy.

Kennard z wytrzeszczonymi oczami skulił się, wciąż bezradnie chwytając się ramienia mężczyzny. Napastnik ostatni raz wyciągnął ostrze. Kennard upadł na kolana. Złapał się za rozpruty brzuch. Czuł pod palcami ciepło krwi i śliskie wnętrzości, które już się z niego wylały. Nie krzyczał. Nie był w stanie. Poczul na głowie palce, które go złapały i pociągnęły do góry. Następnie mężczyzna dokładnie wytarł w jego włosy krew z noża.

Kiedy ostrze było już czyste, Brytyjczyk puścił Kennarda. Nóż nie wyglądał na metalowy - klinga była matowa i czarna. Kennard dostrzegł, jak napastnik składa ostrze i chowa broń do pochwy ukrytej na lewym nadgarstku. Potem zabójca wrócił do umywalki i raz jeszcze dokładnie umył ręce. Kennard patrzył na to bezradnie, zaciskając palce na śliskich, poskręcanych i cuchnących wnętrzościach. Poczul się bardzo zmęczony.

Do czasu, gdy mężczyzna skończył myć ręce, głowa ofiary opadła bezwładnie do przodu. Kennard usłyszał kroki na wykafelkowanej podłodze i przyjrzał się matowej czarnej skórce butów, gdy Brytyjczyk przeszedł obok. Potem zaskrzypiała otwierana przez zabójcę bramka i Kennarda doszły powoli oddalające się odgłosy wchodzenia po schodach.

Kennard sięgnął do płaszcza po telefon komórkowy, ale nie było go tam. Zniknął

również portfel. Nawet tego nie zauważył. Dostrzegł, że opróżniony portfel leży obok na podłodze. Zrozumiał, że miało to zasugerować rabunkowy motyw napadu. Zabójca wziął też smartfona.

Kennard nie ruszył się, nie próbował nigdzie doczołgać. Nie miałyby to sensu.

Wiedział, że już po nim.

ROZDZIAŁ 27

MARSYLIA, FRANCJA

PIĄTEK 05:03 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Rebecca Sumner poprawiła okulary i przewinęła informacje widoczne na ekranie laptopa. Pochodzący z Kalifornii obywatel Stanów Zjednoczonych, który pracował w ambasadzie USA, został zadźgany w Paryżu, zaledwie kilka godzin temu. Zdaniem policji napad miał charakter rabunkowy, na co wskazuje fakt, że portfel i telefon komórkowy zmarłego zniknęły. Dalej informowano, że zabity pełnił funkcję attache kulturalnego, co oznaczało, że albo rzeczywiście nim był, albo też stanowisko to służyło, zamaskowaniu prawdziwego charakteru jego pracy zgodnie z tradycją agencji. Nazywał się John Kennard.

Nic jej to jednak nie mówiło.

Rebecca poczuła, że serce zaczęło jej bić szybciej. Napad wydał jej się nieprzypadkowy - od poniedziałkowej masakry minęło niewiele czasu. Zgodnie z otrzymanymi wytycznymi miała nic nie robić i czekać w gotowości na kolejne instrukcje. Tak też właśnie było, dopóki w jej skrzynce nie pojawił się nieoczekiwany komunikat.

Prowadzący ją w tej sprawie oficer nie odzywał się. A teraz to. Za dużo jak na zbieg okoliczności, czy może po prostu popadała już w paranoję? Siedziała przy biurku w skromnie umeblowanym mieszkaniu, które nazywała domem przez ostatnie kilka miesięcy. Blask monitora oświetlał jej twarz. Poza tym nie paliła się żadna lampa. Nie wiedziała, jak nazywał

się jej oficer, nigdy też go nie poznała. Komunikowali się jedynie przez zabezpieczone łącza telefonu satelitarnego oraz internet. Nie wiedziała, kto jeszcze uczestniczył w operacji ani kto ją zlecił. Chciała się tego dowiedzieć, ale najwyraźniej uważano, że nie musiała być informowana o wszystkim. Wiedziała jednak - choć nikt jej tego nie powiedział - że cała operacja przeprowadzana była absolutnie poza ewidencją.

Wszystko popsuło się już pięć dni temu, a we wtorek oficer prowadzący skontaktował

się z nią po raz ostatni, nakazując pozostać na pozycji i oczekiwać nowych rozkazów. Tak też zrobiła. Od czterech dni żyła z tego, co znalazła w szafkach, nie wychodząc z domu i nie opuszczając komputera, cały czas w gotowości. Dwanaście godzin temu stało się coś, co wszystko zmieniło. Zabójca wysłał jej wiadomość. Tego w scenariuszu nie przewidziano.

Zignorowała więc rozkazy i w kilka minut po otrzymaniu wiadomości od zabójcy odezwała się w e-mailu do swojego oficera. Na odpowiedź od niego zawsze czekała parę godzin, teraz jednak minęło już pół dnia i nie było żadnego odzewu. Swym postępowaniem jawnie złamała ścisły protokół, wedle jakiego przeprowadzano operację, jednak uważała, że zawartość e-maila stanowiła wystarczające usprawiedliwienie. Z pewnością była to szansa na powrót do gry. Wcześniej przyjęła, że musi poczekać na odpowiedź, ponieważ ci z góry ustalają, co powinna odpisać zabójcy. Potem jednak zabito Johna Kennarda.

Przez telefon jej oficer prowadzący mówił z akcentem z Zachodniego Wybrzeża.

Zgadywała, że pochodził z Los Angeles. Jeszcze przez minutę wpatrywała się w ekran, aż znalazła szukaną informację. Według raportu John Kennard był z Kalifornii.

Być może powodem, dla którego jej oficer prowadzący nie odpisał, było to, że zeszłej nocy został zadżgany w Paryżu.

Jeśli Kennard rzeczywiście był jej prowadzącym, to dlaczego po jego śmierci nikt inny się z nią nie skontaktował? Od chwili zgonu minęło ponad siedem godzin. Dużo czasu, by zadzwonić lub napisać e-maila. Tutaj było późno, ale w Stanach jeszcze nie, a zresztą w takiej sytuacji mało kto by spał. Prowadzący miał zwierzchników, którzy musieli wiedzieć o jej uczestnictwie w całej operacji. Ale co, jeśli nikt inny nie wiedział, że prowadzący nie żyje? Jeśli nikt nie orientował się, co się dzieje, operacji nie można było już uratować.

Jeśli musieli porozmawiać przez telefon, zawsze to prowadzący dzwonił do niej, jednak podał jej awaryjny numer telefonu komórkowego, pod który miała zadzwonić w wypadku czegoś szczególnie pilnego. Rebecca uznała, że obecna sytuacja w pełni odpowiada tym kryteriom. Podniosła słuchawkę.

Kiedy głos automatu poinformował ją, że abonent jest niedostępny, wpatrzyła się w ciemność. Poczekała minutę i spróbowała jeszcze raz. Niedostępny. Kolejny raz. Wciąż niedostępny. Tego typu numery nie bywają niedostępne. Rebecca poczuła niepokojącą potrzebę spojrzenia przez ramię na drzwi mieszkania.

Wściekła cisnęła słuchawkę. Nagle zrozumiała, co się dzieje. Najpierw poniedziałkowe wydarzenia w Paryżu, następnie śmierć Amerykanina z ambasady, a teraz niedostępny telefon awaryjny. Jedyne możliwe wytłumaczenie było przerażające, lecz mimo to Rebecca poczyniła zdecydowany wysiłek, by zachować spokój. Tłumaczyła sama sobie, że coś musiała przeoczyć. Uważnie przestudiowała wszystkie raporty i każdy skrawek informacji, do jakich miała dostęp.

Musiała potwierdzić swoje podejrzenia albo też ostatecznie je rozwiązać - i to szybko.

Odpowiedzi, której się obawiała, dostarczył jej Interpol. Przeczytała raport pochodzący ze Szwajcarii. Na północ od Genewy spłonął dom, w pobliżu znaleziono martwego mężczyznę. Policja poszukuje zabójcy. Uwagę Rebeki przykuł adres. Już go wcześniej widziała. Pomagała w jego znalezieniu. Czyli spróbowali jeszcze raz, lecz nikt jej o tym nie powiedział. Wypadła z obiegu. A mogło to znaczyć tylko jedno.

Rebeka zgrnęła dokumenty z biurka, przeniosła je do kuchni i wrzuciła do zlewu.

Przeszukała szafki i znalazła butelkę wyjątkowo mocnego rumu, który trzymała na czarnej godzinę. Oto nadeszła najczarniejsza z nich. Odpieczętowała szyjkę, usunęła dozownik i wylała część alkoholu do zlewu. Zdjęła zapalarkę do kuchenki z haczyka,

przyłożyła jej koniec do zlewu i odsunęła się na bezpieczną odległość.

Nacisnęła guzik i rum stanął w ogniu. Rebecca pociągnęła łyk z butelki i przez chwilę przyglądała się płonącym papierom. Nie tracąc czasu, wrzuciła do walizki kilka ciuchów. Nic eleganckiego, same przydatne rzeczy. Jej szafa pękała od ubrań, które kochała, lecz nie był to odpowiedni moment na sentymenty. Musiała jak najszybciej zniknąć.

Zaczęła się czystka. Teraz była już tego pewna. Miała na to wszelkie możliwe dowody. Operacja poszła nie tak, a ktoś, kto nią kierował, odciął zasilanie i teraz usuwano świadków. Wiedziała, że tego typu rzeczy dawniej się zdarzały, nigdy by jednak nie uwierzyła, że coś takiego robi się nadal. Najwyższy czas, by uwierzyć - pomyślała.

Dlaczego trzeba było zacząć eliminować ludzi? Co tu się, do diabła, tak naprawdę wyrabiało? Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że operacja, w której brała udział, przeprowadzana była nie tylko poza ewidencją, lecz poza wszelkimi regułami.

Jej oficer prowadzący nie żył. Raport donosił, że zginął wczoraj w nocy. Zaledwie siedem godzin temu. Na nią również kogoś naślą - a być może już nasłali. Spojrzała na zegarek. Z każdą mijającą sekundą niebezpieczeństwo się zbliżało.

Serce łomotało jej, gdy zapinała pokrowiec laptopa i zgarniała rzeczy osobiste.

Osprzęt komunikacyjny zostawiła na miejscu. Nie potrzebowała go, wszystkie pliki były w pamięci komputera. Weszła do kuchni i zaniósła się kaszlem. Odkręciła kurki, aby ugasić pożar w zlewie.

Kiedy wychodziła z mieszkania, strach ścisnął ją za gardło. Ruszyła korytarzem, w każdej chwili spodziewając się mężczyzny uzbrojonego w pistolet z tłumikiem. Nie -

uzmysłowiła sobie - tak by tego nie załatwili. Będzie miała wypadek albo coś przedawkuje. A może napadną ją w toalecie.

Zrezygnowała z windy i skierowała się ku schodom. Zbiegła na dół, a jej twarz oblała się potem. Na parterze nie poszła do głównych drzwi - odnalazła na tyłach budynku wyjście ewakuacyjne i przez nie wydostała się na tylną uliczkę. Zimny wiatr rozwiał jej włosy. Padał

deszcz.

Rebecca słyszała niedaleko ruch uliczny, ale ledwo cokolwiek widziała. Jeśli zaczęłaby biec, mogliby ją usłyszeć, toteż powoli i ostrożnie wyszła z zaułka. Kiedy znalazła się na ulicy, poczuła ogromną ulgę.

Może się myliła i jej oficer prowadzący miał po prostu pecha, jednakże całe życie spędziła na kalkulowaniu rachunku prawdopodobieństwa, a w tym wypadku wszystko przemawiało za tym, aby uciekać. Miała samochód, ale do niego nie poszła. Musieli o nim wiedzieć. Był zarejestrowany na jej nazwisko. Być może do podwozia przymocowano już bombę albo przecięto przewody hamulcowe.

W strugach deszczu Rebecca ruszyła ulicą. W otoczeniu innych ludzi czuła się bezpieczniej. Tamci nie odważyliby się zaatakować przy świadkach. Zatrzymała taksówkę i kazała wieźć się na lotnisko. Było takie miejsce, dokąd mogła uciec i gdzie nikt by jej nie znalazł. Po drodze zastanowiła się nad tym, co się stało do tej pory i co się jeszcze mogło wydarzyć, a w jej głowie zaczął kiełkować plan. Kiedy wysiadała z taksówki, już dokładnie wiedziała, co zamierza zrobić. Plan był niebezpieczny, wręcz szalony. Ale mógł jej uratować życie.

ROZDZIAŁ 28

PARYŻ, FRANCJA

PIĄTEK 08:12 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Alvarez zwlókł się z hotelowego łóżka, którym nie pogardziłby nawet fakir, i udał się pod prysznic. Po trzech minutach mycia i szorowania wyszedł, osuszył się i ubrał. Ostatniej nocy spał zaledwie parę godzin, podobnie jak każdej nocy w tym tygodniu, przez co czuł się beznadziejnie. Kiedy był młodszy, mógł wykonać wyznaczone zadanie, o każdej porze dnia i nocy. Możliwości te zaczęły jednak słabnąć gdzieś po skończeniu trzydziestu pięciu lat, a już w pobliżu czaiła się czterdziestka.

Przyszłość malowała się w ponurych barwach - zarówno w kwestii roboty, jak i zdrowia. Czas był najgorszym wrogiem.

Według Alvareza mądrzy ludzie to ci, którzy zdawali sobie sprawę, że walka z jego upływem jest z góry skazana na porażkę, lecz zarazem niepodjęcie jej byłoby oznaką tchórzostwa. Pragnąc odświeżyć ciało i umysł, Alvarez pozwolił sobie wstać z łóżka pół godziny później. Ziewnął, czym organizm dał mu do zrozumienia, że wciąż było to zbyt wcześnie. Pościg za zabójcą Ozolsa zwolnił tempo i wyglądało na to, że jego ludzie szukają wiatru w polu. Alvarez kazał skupić się na wykryciu tożsamości osoby, która wynajęła siedmioosobową ekipę zabójców. Na tym etapie sprawy nie przedstawiały się najgorzej. Dysponując ciałami zabitych, odciskami palców oraz próbkami DNA można było wiele działać. Wszyscy nieżyjący zabójcy zostali zidentyfikowani, a najlepszym jak na razie tropem okazał się Amerykanin Stevenson. Noakes znalazł na jego twardym dysku fotografie dokumentujące spotkanie z nieznanym mężczyzną, do którego doszło na kilka tygodni przed paryską masakrą. Zdjęcia zrobił z ukrycia ktoś trzeci, koncentrując się na nieznanym pięćdziesięciolatku z nadwagą, który w rękę trzymał teczkę.

Widać na nich, jak pojawia się w brukselskiej kawiarni i zajmuje miejsce w ogródku przy stoliku, przy którym czeka już Stevenson. Chwilę rozmawiają, popijając kawę i jedząc ciastka, po czym gruby podnosi się i odchodzi, zostawiając teczkę pod stolikiem.

Autor zdjęć śledził go w drodze do samochodu i kilkakrotnie sfotografował w chwili, gdy odjeżdżał. Jednak nie udało mu się uchwycić numerów rejestracyjnych, aczkolwiek Noakes robił co mógł, by odtworzyć je na podstawie odbić w innych przedmiotach. Jak na razie bezskutecznie.

Zestawienia bankowe Stevensona wykazały, że następnego dnia wpłacił na konto sto tysięcy euro w gotówce. Nikt w oddziale banku nie zadał mu przy tym żadnych pytań ani też nie powiadomił przedstawicieli władz. Ówczesny manager placówki został zwolniony. Nad zidentyfikowaniem faceta z teczką Alvarez pracował z typowym dla siebie opanowaniem, skutecznością i determinacją.

Umiejętność zachowywania zimnej krwi w trudnych chwilach stanowiło jedną z jego najwyżej cenionych cech. Podczas służby w wojsku brał udział w skomplikowanych akcjach, a jako agent połowy CIA miał wielokrotnie przykładaną broń do głowy. Tylko jeden raz rzeczywiście bał się o własne życie, wtedy też odkrył, że strach pomaga mu się skoncentrować i czyni go niebezpiecznym.

Łatwiej radził sobie z zagrożeniem niż z codziennymi odmianami stresu. Ludzie, którzy nie odbierali telefonów, o wiele bardziej wyprowadzali go z równowagi niż konieczność spojrzenia w lufę czterdziestki piątki.

Kennard zniknął bez śladu. Za każdym razem, gdy Alvarez wciskał przycisk szybkiego wybierania, telefon jego współpracownika odpowiadał formułką z poczty głosowej. Poprzedniego wieczora Alvarez wyszedł z Kennardem na drinka do małej podłej paryskiej spelunki. Alvarez pił rzadko, jednak zdawał sobie sprawę ze znaczenia odpowiedniej atmosfery pracy, a od kilku dni Kennard chodził z wyjątkowo skwaszoną miną.

Chwila rozluźnienia przyniosła mu ulgę. Mijający tydzień był niewyobrażalnie męczący, czego efekty zdążył już odczuć. Po paru piwach poczuł się swobodniej, lecz Kennard w dalszym ciągu pozostawał kłębkim nerwów. Ewidentnie młodemu coś leżało na wątrobie, ale za nic w świecie nie chciał puścić pary z gęby. Kłopoty z kobietą, zgadywał

Alvarez. Jakaś puszczańska francuska dupeczka nie odpisuje mu na wiadomości czy coś w tym stylu. Po wypiciu ostatniego piwa Alvarez zaproponował, żeby poszukali baru z hamburgerami, lecz Kennard pokręcił głową.

- Z chęcią - odpowiedział. - Ale mam coś do zrobienia.

Oczy Alvareza lekko się rozszerzyły.

- Coś do zrobienia czy kogoś do zaliczenia?

- Pomarzyć zawsze można.

Alvarez odpałał właśnie laptopa i zaczynał drugą filiżankę czarnej kawy, gdy zadzwonił jego telefon. Niecałe trzydzieści sekund później wyszedł z pokoju.

Po krótkiej podróży metrem dotarł do ambasady i wszedł do swojego biura, ciągle mając nadzieję, że ktoś popełnił koszmarny błąd. Tak jednak nie było. W gabinecie czekał na niego policyjny raport z dołączonymi zdjęciami. Alvarez usiadł, odłączył biurowy telefon, wyłączył komórkę i uważnie zapoznał się z treścią dokumentu.

Kennard nie żył. Został zamordowany. Wielokrotnie dźgnięto go w brzuch, aż w końcu się wykrwawił. Na miejscu widać było ślady walki. Napastnik zabrał mu telefon i opróżnił portfel. Nie było świadków. Paryscy policjanci uznali sprawę za napad rabunkowy.

Szkoda faceta.

Alvarez tracił już ludzi, choć nieczęsto, bo zaledwie dwa razy w trakcie całej kariery w agencji. Ale wtedy chodziło o współpracowników, a nie prawdziwego agenta CIA.

Pogodził się z tym - nieuniknione ryzyko operacyjnej części roboty. Nigdy jednak nie mógłby się do tego przyzwyczaić. Odchylił się na krzesło i głęboko westchnął.

Nie darzył Kennarda szczególną sympatią i nie zamierzał teraz odgrywać żałoby, lecz było mu autentycznie przykro, że gość zginął z ręki jakiegoś pierdolonego żabojada. Pewnie zrobił to bezdomny ćpun, żeby móc sobie kupić działkę cracku. Oficer Centralnej Agencji Wywiadowczej nie powinien ginąć w ten sposób. Co innego polegnąć na służbie, a co innego dać się zadźgać nad pisuarem.

Według policji i przypuszczeń Alvareza, napastnik z nożem zaskoczył Kennarda i zażądał od niego pieniędzy. Kennard spróbował wyciągnąć broń i został kilkakrotnie ugodzony. Był wystarczająco zadufany w sobie, by zrobić coś tak głupiego. Powinien był

oddać napastnikowi portfel, poczekać, aż odejdzie, a wtedy wpakować mu trzy kulki w plecy.

Alvarez pomyślał przez chwilę. Kennard, choć nie był maszyną do zabijania, był

jednak w pełni przeszkolonym agentem. Trudno sobie wyobrazić, by jakiś męt tak po prostu go wykończył. Alvarez podrapał się po grubym karku. Westchnął i potrząsnął głową.

Zdecydowanie za bardzo zagłębiał się w raport. Gość został po prostu zabity. Zdarza się nawet najlepszym. A Kennard bez dwóch zdań najlepszy akurat nie był.

Teraz, bez Kennarda, Alvareza czekało mnóstwo dodatkowej roboty. Facet dał się zabić akurat w chwili, kiedy urabiali się po łokcie, polując na profesjonalnego zabójcę na zlecenie. Świetne zgranie, nie ma co.

Alvarez odłożył dokument i włączył telefon. Miał trzy nieodebrane połączenia oraz nagranie na poczcie głosowej. Przesłuchał pozostawioną wiadomość. Dzwonił Noakes, który chciał porozmawiać o zdjęciach z twardego dysku Stevensona. Alvarez oddzwonił.

- Co masz?

- Znalazłem coś na kilku zdjęciach ze spotkania, na którym był Stevenson.

- Co takiego?

- Na fotografiach dokumentujących odjazd pana X mamy kilka ujęć jego wozu...

- Ale nie widać tablic rejestracyjnych, to już wiem.

- No tak, zgadza się, ale kiedy je powiększyłem, na dwóch z nich widać na przedniej szybie naklejkę z wypożyczalni aut.

- Jakiej?

- Spoza Brukseli. Nie dysponujemy dokładnym ujęciem naklejki, widać tylko pierwszą część nazwy i numeru telefonu, ale to wystarczyło, by zawęzić krąg podejrzanych, aż w końcu ustaliłem, o jaką firmę chodzi. W Brukseli nie ma aż tak wielu wypożyczalni z podobnymi nazwami. Istotne szczegóły przesłałem ci e-mailem.

Chwilę później Alvarez rozłączył się i z nadzieją otworzył wiadomość od Noakesa.

Raport policyjny odłożył na bok. Potwornie szkoda Kennarda, ale cała biurokracja związana z jego śmiercią musi poczekać.

W tym momencie miał pilniejsze sprawy do załatwienia.

ROZDZIAŁ 29

DEBRECZYN, WĘGRY

PIĄTEK 20:12 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor spędził poranek w Zurychu, gdzie opróżnił swoje podstawowe konto bankowe.

Zabrał ze sobą dwadzieścia tysięcy euro, a resztę pieniędzy ukrył. Przez pewien czas będzie dysponował tylko gotówką. Z większą sumą nie mógłby podróżować przez granice, nie budząc podejrzeń, zaś umieszczenie pieniędzy w innym banku nie wchodziło w rachubę.

Powrót do Szwajcarii był ryzykowny, jeśli jednak Wiktor planował przeżyć, potrzebował pieniędzy. Po załatwieniu spraw odleciał z powrotem do Budapesztu, a następnie złapał pociąg do Debreczyna. Ważne, żeby cały czas być w ruchu i nie przebywać zbyt długo w jednym miejscu. Ściagała go CIA, on zaś musiał zrobić wszystko, by go nie wysłodziła.

Centralna Agencja Wywiadowcza dysponowała ogromnymi funduszami i bardzo dalekim zasięgiem działania, nie była jednak wszechmocna. Wiktor był pewny, że jeśli w dalszym ciągu będzie się przemieszczał i nie zwróci na siebie uwagi, na pewien czas zdoła zniknąć z celownika. Nie wiedział jednak, na jak długo.

Temperatura powietrza ledwo przekraczała zero stopni. Spędził godzinę w kawiarni, aż upewnił się, że nikt go nie obserwuje. Następnie przeniósł się do innego lokalu, gdzie spędził kolejną godzinę, raz jeszcze się sprawdzając, czy nie ma ogona. Przed tygodniem sprawdziłby tylko raz, teraz jednak stracił zaufanie do własnych umiejętności, zwłaszcza, gdy chodziło o stawienie czoła organizacji liczącej dwadzieścia tysięcy stałych pracowników oraz kilkadziesiąt tysięcy zagranicznych agentów i współpracowników.

Złapał taksówkę do centrum Debreczyna. Przejeżdżając przez czyste ulice, nieustannie spoglądał w lusterka i wypatrywał ewentualnego ogona. Zauważył, że jego skupienie na lusterkach niepokoiło kierowcę, więc postanowił zająć go pogawędką. Rozmawiali o piłce nożnej, kobietach, polityce i pracy.

- Czym się pan zajmuje? - zapytał taksówkarz.

Przejeżdżali akurat obok masywnego gmachu firmy ubezpieczeniowej, więc Wiktor odparł:

- Sprzedaję ubezpieczenia na życie.

Na ustach kierowcy pojawił się uśmiešek.

- Wszyscy w końcu umierają, co nie?

Wiktor nie spuszczał wzroku z bocznego lusterka.

- Wygląda na to, że tak właśnie wpływam na ludzi.

Po opuszczeniu taksówki spędził nieco czasu kręcąc się wśród przechodniów, od czasu do czasu przystając i się cofając. Przeszedł przez parę sklepów, niczego jednak nie kupował, a tylko patrzył, kto za nim wchodzi i kto stoi na ulicy, obserwując wejście. Kiedy nabrał pewności, że nie jest śledzony, złapał następną taksówkę i usiadł na tylnej kanapie.

Piętnaście minut później wysiadł w starej części Debreczyna. Tutejsze ulice były spokojniejsze i choć ekipie przeciwnika byłoby łatwiej go tu śledzić, on sam też szybciej by ich spostrzegł. Nic nie wzbudzało jednak jego podejrzeń. Kolejna taksówka zabrała go z powrotem do śródmieścia i do rzeczywistego celu podróży.

Przyzwoitych rozmiarów kawiarenka internetowa była zapełniona klientami, z których część paliła papierosy. Wiktor nie zapalił, ale tylko dlatego, że wchłaniana akurat biernie nikotyna aż nadto zaspokajała jego potrzeby. Był pewny, że pośrednik odpisał na jego wiadomość. Nie wiedział tylko, jaką odpowiedź zastanie.

Usiadł przy najbardziej osłoniętym stanowisku, wyposażonym w stary komputer.

Migoczący ekran natychmiast spowodował łzawienie oczu. Słyszał, jak hałasuje dysk twardy, który na przemian buczał i rzeźił. Zalogował się na forum dyskusyjne. Zauważył, że tętno lekko mu wzrosło.

Czekała na niego wiadomość.

Kiedy w nią kliknął, niemalże spodziewał się, że komputer wyleci w powietrze, nie stało się jednak nic niezwykłego. Jakaś jego część poczuła się lekko zawiedziona.

Nie będziesz chciał zadzwonić, ale musimy porozmawiać. Mogę ci pomóc.

Otwierając wiadomość, nie wiedział, czego się spodziewać, ale na pewno nie tego.

Przez dłuższą chwilę gapił się na ekran. Nie wyglądało to na tekst napisany przez pośrednika.

Jego autor nie silił się na subtelność. Pisał otwarcie i bez owijania w bawełnę - pragnął się skontaktować. W wiadomości podał numer telefonu.

Czyżby informację przesłał ktoś inny? Skoro CIA namierzyła jego, być może dotarła też do pośrednika, a wiadomość miała na celu zwabienie go w pułapkę? Albo, jeśli od samego początku planowano go wystawić, był to tylko kolejny podstęp? Być może zmianę tonu spowodowała po prostu niezwykłość zaistniałej sytuacji? Zaczynała go boleć głowa.

Nie miał prawdziwych przyjaciół czy sprzymierzeńców, a najwyżej garstkę znajomych. Jak dotąd pomagało mu to utrzymać się przy życiu. Im rzadziej kontaktował się ze światem zewnętrznym, tym mniej było sytuacji narażających go na zdemaskowanie. Przez to teraz czuł się wyalienowany. Był sam, cały czas musiał uciekać, a nawet nie wiedział, dlaczego ktoś na niego polował. Niezależnie od mnożących się pytań wiedział, że z każdą mijającą godziną jego szanse na przeżycie malały.

Należało coś zrobić.

Nie wątpił we własne umiejętności, lecz musiał przyznać z niechęcią, że tym razem stracił grunt pod nogami. Jeśli sytuacja nie zmieni się, nie uda mu się przeżyć. Pomimo środków ostrożności, wykryli go już dwa razy - i wiedział, że zrobią to ponownie. Może im to zająć tygodnie, a nawet lata. Jednak ile jeszcze razy zdoła im uciec? Wcześniej czy później powinie mu się noga.

Jego jedyny trop okazał się ślepą uliczką. Działając w pojedynkę, mógł tylko czekać na kolejny zamach na swoje życie. Potrzebował pomocy. Natomiast jedyna osoba, która ją proponowała, była też pierwszą, którą podejrzewał o zdradę. Jak na razie brakowało mu na to dowodów.

Nie miał jednak wyjścia.

Zapamiętał numer i wyszedł z kawiarenki. Znalazł nie rzucający się w oczy automat telefoniczny i zadzwonił. Dwadzieścia sekund, jakie minęło, zanim ktoś odebrał, wydało mu się najdłuższą chwilą w całym życiu.

- Halo?

Głos należał do kobiety, co go na chwilę zbiło z pantafyku. Nie zastanawiał się nad tym, kto odbierze, nie spodziewał się jednak, że będzie to kobieta. I do tego Amerykanka.

W końcu odzyskał panowanie nad głosem.

- To ja.

Odpowiedź była natychmiastowa, a rozmówczyni brzmiała na autentycznie zaskoczoną.

- Mój Boże, to rzeczywiście ty?

- Tak.

- Nie byłam pewna, czy zadzwonisz.

Wiktor nie spuszczał oczu z ulicy, obserwując ludzi i samochody.

- Co jest grane?

- Nie przez telefon.

Dziesięć sekund.

- Przez pół dekady nie złamałem swoich zasad, więc załatwimy to po mojemu albo wcale. Zrozumiano?

- Tak.

- To powiedz mi, co wiesz.

- Jeszcze nie.

- Żegnaj.

Nie blefował.

- Nie, poczekaj.

Dwadzieścia sekund.

Rozmówczyni mówiła szybko.

- Wiem, kim oni są. Wiem, kto usiłuje cię zabić. Mogę pomóc.

- Powiedz mi.

- Powiem, jak się spotkamy. Nie wcześniej.

- Jeśli nie powiesz mi teraz, zniknę.

- Sam sobie nie poradzisz.

- Śmiem wątpić.

- Gdybyś w to rzeczywiście wierzył - powiedziała cicho - to byś nie zadzwonił.

Trzydzieści sekund.

Patrzył na swoje odbicie w szybie budki. Niełatwo przychodziło mu spojrzeć sobie w oczy. Wziął wdech.

- Jeśli mamy się spotkać, to gdzie?

- W Paryżu.

- Kiedy?

- Dziś wieczorem.

- Dlaczego tak szybko?

- Bo jutro mogę już nie żyć.

Czterdzieści sekund.

- Podaj szczegóły.

- Zadzwon pod ten numer, kiedy będziesz na miejscu. Muszę już iść.

Usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Pierwsza skończyła rozmowę. Był to dobry znak, aczkolwiek wywołał u niego gniew. Chciał przeciągnąć połączenie do sześćdziesięciu sekund, żeby ją sprawdzić. Jeśli pozwoliłaby rozmowie trwać ponad minutę, zyskałby pewność, że nie może jej zaufać. Być może szybką rozmową kobieta chciała zamydlić mu oczy i przekonać go do siebie. Jeśli tak było, to czekała ją niemiła niespodzianka. Wiktor nie ufał nikomu.

W jej głosie słyszał jednak desperację, która sprawiała, że brzmiała autentycznie, jak ktoś zagrożony w równym stopniu jak on sam. Jednocześnie pamiętał, że owa desperacja mogła równie dobrze być pokazem zdolności aktorskich bądź efektem przystawienia jej pistoletu do głowy.

Cała sprawa zaczęła się w Paryżu, a teraz kobieta prosiła go, by tam wrócił. Jego wrogowie już próbowali go tam zabić. Ponowny przyjazd do miasta wydawał się pomysłem samobójczym. Jeśli przeciwnik wiedział o jego możliwym przybyciu, mógłby obstawić lotniska i dworce. Mógłby rozmieścić w terenie ekipy zabójców. Wykryłby go z łatwością. Po wyjściu na ulicę mógłby pobrać broń ze skrytki, lecz i ona być może była pod obserwacją - za duże ryzyko, czyli musiałby poruszać się bez broni. Podsumowując, miałby nieuzbrojony udać się prosto na spotkanie z wrogiem, ułatwiając mu tylko zadanie. W żadnym wypadku nie powinien więc tego czynić.

Jeśli jednak istniał choć cień szansy, że pośredniczka dysponuje jakąś użyteczną wiedzą, to bez względu na ryzyko należało jej wysłuchać. Jediną inną możliwością było uciekać do końca swoich dni. Przeczucie mówiło mu, że cała sytuacja została zaaranżowana.

Analizował ją pod każdym możliwym kątem, nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że łąduje się w zasadzkę. A co więcej, że czyni to z własnej nieprzymuszonej woli.

Udając się ponownie do Paryża, przekona się, co jest grane. Jeżeli kobieta mówiła prawdę, na podstawie otrzymanych od niej informacji zaplanuje kolejne działania. Jeśli zaś spotkanie okaże się pułapką, zyska przynajmniej pewność, że może polegać tylko na sobie.

Albo po prostu zginie, A zatem dwie możliwości.

Jechać do Paryża albo zniknąć na dobre.

Żaden z pomysłów nie brzmiał zachęcająco, jednak perspektywa spędzenia reszty życia na celowniku agentów CIA wydała mu się wyjątkowo nieatrakcyjna.

ROZDZIAŁ 30

PARYŻ, FRANCJA

SOBOTA 00:09 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Prostota paryskiego lotniska imienia Charles'a de Gaulle'a, nazwanego imieniem postaci, której życie cechowała tak ogromna złożoność, zawsze wydawała się Wiktorowi wyrazem umyślnej ironii. Terminal był wyjątkowo pusty, nawet jak na tak późną porę. Kilka osób nerwowo sprawdzało tablice odlotów, oczekując wieści na temat opóźnionych lotów.

Nad sporą częścią zachodniej Europy panowały nadzwyczaj niekorzystne warunki pogodowe.

Albo też francuscy kontrolerzy ruchu powietrznego znowu strajkowali - pomyślał.

Nie zauważył na lotnisku nikogo, kto mógłby go śledzić, jednak pewności mieć nie mógł. Na terenie portu lotniczego nie groziło mu morderstwo, a najwyżej aresztowanie.

Uzbrojeni i czujni strażnicy bez chwili wahania zastrzeliliby każdego, kto choćby sprawiał

wrażenie, że chce wyciągnąć broń. Nieuzbrojonemu Wiktorowi - przynajmniej z ich strony -

nic nie groziło. Kiedy tylko przedostanie się do miasta, wszystko się jednak zmieni. O ile do tego czasu nie zatrzyma go policja. W mieście, w którym zbrodnie są na porządku dziennym, jego śmierć raczej nie zwróci niczyjej uwagi. Mimo to nie zamierzał tak po prostu dać się zabić. Jeśli właśnie pakował się w pułpkę, to jego wrogowie dla własnego dobra powinni czekać na niego co najmniej w sile plutonu.

Przechodząc przez kontrolę paszportową, nabrał pewności, że francuskie władze się go nie spodziewały. O jedno zmartwienie mniej. Wciąż musiał uważać na policję i służby bezpieczeństwa, lecz za główne zagrożenie, którego powinien się obawiać, uznał CIA. Ruszył

prosto do wyjścia, nie tracąc czasu na podchody z gubieniem ogonów. Jeśli go obserwowali, i tak nie pozbędzie się ich wszystkich, a im dłużej przebywał w zamkniętej przestrzeni, tym bardziej ułatwiał im zadanie. Najlepszym wyjściem było dostać się jak najszybciej do Paryża.

Na tłocznych ulicach mógł wtopić się w otoczenie i zniknąć.

Bez przeszkód dotarł do wyjścia i przeszedł przez automatyczne drzwi, spodziewając się, że zostanie trafiony, gdy tylko postawi stopę na zewnątrz. Niebo było czarne, a chmury kłębiły się gniewnie. Nieprzyjemny wiatr kasał go z niemal zwierzęcą zajadłością. Z nieba lał

ulewny deszcz. W dudniących o ziemię kroplach widział grad padających pocisków.

Przed budynkiem stała zaledwie garstka ludzi, lecz każdy z nich mógł być takim samym zabójcą, jak on. Doszedł za daleko, by teraz zawrócić. Podjął decyzję - słuszną bądź

nie - i planował się jej trzymać. Nikt jednak do niego nie strzelił, nikt nawet nie nawiązał z nim kontaktu wzrokowego. Jeśli pisane mu było zginąć, nie miało to nastąpić tutaj w deszczu.

Od paryskiego ataku minęło pięć dni. Wtedy by nie uwierzył, że wróci tu jeszcze przed końcem tygodnia. Zadrapania na policzku zdążyły zniknąć, lecz w klatce piersiowej nadal czuł ból, dłonie i nadgarstki były pokryte strupami. Złapał taksówkę, każąc kierowcy jechać do miasta i zatrzymać przy najbliższym lombardzie.

- Wszystkie będą już pozamykane.

Wiktor sięgnął po pasy bezpieczeństwa.

- Znajdź pan jakiś.

Wyjechali na ulice Paryża. Pomimo podejmowanych przez taksówkarza prób wciągnięcia w rozmowę, Wiktor milczał.

- Będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę? - w końcu zapytał.

Kierowca kiwnął głową przyzwalająco.

Dość długo trwało, zanim wreszcie samochód dojechał do celu i się zatrzymał.

Lombard miał zakratowane i osłonięte siatką okno oraz wzmocnione drzwi. Dwie litery żółtego neonowego szyldu się nie świeciły.

Polecił kierowcy poczekać i wszedł do środka. Pięć minut później wyszedł biedniejszy o kilkaset euro, a bogatszy o nóż marki Benchmade Nimravus z jedenastocentymetrowym czarnym ostrzem typu *tantō*, dwa telefony komórkowe na kartę ze zdjętym sim-lockiem oraz samochodową ładowarkę. Jeszcze w sklepie obejrzał uważnie nóż, sprawdził jego ostrość i wyważenie - wszystko to na oczach zdumionego właściciela. Wrócił do taksówki i polecił

kierowcy podłączyć pierwszy z telefonów, prosząc, by co parę minut je wymieniał.

- Jest tu w pobliżu jakiś bar?

Kierowca uśmiechnął się.

- Tak po prostu, co?

- Tak - odpowiedział Wiktor. - Tak po prostu.

Taksówkarz zabrał go do pobliskiego baru. Lokal położony był niedaleko skrzyżowania. Ulica, przy której leżał, pełna była

ludzi i samochodów.

- Jedźmy do innego.

Kierowca spojrział na niego, lecz Wiktor nie zareagował. Następne dwa bary również mu się nie spodobały. Czwarty położony był przy spokojnej uliczce, oddalonej od większych arterii komunikacyjnych.

- Lepiej? - spytał kierowca.

Wiktor sięgnął po portfel.

Wszedł do knajpy, wypił wódkę i poprosił zdezorientowanego barmana o trochę taśmy. W kabynie toalety przykleił sobie nóż skierowany ostrzem do góry w dole pleców.

Wpuścił z powrotem w spodnie tylko przód koszuli. Uzbrojony, poczuł się lepiej. Teraz, jeśli będzie musiał, na pewno zabierze ze sobą na tamten świat kilku napastników.

Skorzystał z zawieszzonego w barze automatu telefonicznego. Już po paru sygnałach ktoś odebrał.

- Jesteś na de Gaulle'u? - odezwała się pośredniczka.

- Jestem w mieście.

- Zapisz adres - poleciła. - Tam się spotkamy.

- Nie, to ty przyjedź tutaj.

Podał jej adres baru.

- Jeśli za pół godziny cię tu nie będzie, zastaniesz tylko pustą szklankę.

- Czekaj, to nie tak działa. Ty przyjeżdżasz do mnie.

- Gramy według moich zasad albo wsiadam w następny samolot. Wybieraj.

Cisza, Po chwili:

- Niech będzie.

- Miej na sobie coś czerwonego.

Rozłączył się.

W barze nie było tłoczno. Siedzieli w nim tylko zawodowi pijacy, którzy sprawiali wrażenie stałych klientów. Wiedział, że zauważą w nim kogoś z zewnątrz, nie miało to jednak znaczenia. Nikt z tutejszych nie zamierzał się wyrwać, by na ochotnika opowiedzieć o nim władzom. Większość z nich była zbyt zajęta konserwowaniem wnętrza alkoholem, by go chociaż zapamiętać.

Zapłacił rachunek i wyszedł na ulicę. Na zewnątrz było chłodno. Rozejrzył się. W

lewo ulica prowadziła do dzielnicy przemysłowej. Idąc w prawo, dochodziło się do węzła trasy szybkiego ruchu. Nigdzie nie widział znaku stacji metra, a nie podejrzewał, by kobieta przybyła pieszo. W oddali słychać było syreny, ale ich odgłos tłumiał padający deszcz.

Przeszedł przez jezdnię i znalazł zaułek, z którego mógł obserwować wejście do baru.

Normalnie w takiej sytuacji wyciągnąłby pistolet, wprowadził nabój do komory, odbezpieczył

broń i zatknął ją za pasek na lewo od klamry, skąd mógłby ją szybko wydobyć. Tym razem nie miał jednak pistoletu, a jedynie nóż. Za mało, jeśli przeciwnik wysłał na niego ekipę zabójców, zawsze jednak lepsze to niż nic.

Miejsce, w którym stał, dawało mu pewną osłonę przed wiatrem i ulewą, ale krople deszczu i tak co raz go trafiały, ziąb zaś ciągle szczypał w skórę. Nie przejmował się tym.

Czuł się wyśmienicie.

Zmarznięty, zmoknięty, ale żywy.

*

Stał w zaułku od równo dwudziestu minut wypalając w tym czasie papierosa. W

końcu przed barem zatrzymała się biała taksówka i wysiadła z niej wysoka kobieta, wokół

której unosił się teraz obłok spalin. Kobieta miała na sobie szary płaszcz sięgający kostek.

Spod wełnianego kapelusza widać było związane w kucyk ciemne włosy. Wokół szyi zawiązała sobie szalik w kolorze burgunda.

Pośredniczka.

Przez moment zbierała się w sobie, po czym weszła do baru. Zdziwił się, że kazała się dowieźć prosto do celu, a co więcej, że przed wejściem nawet nie rozejrzała się po okolicy.

Albo nie miała zielonego pojęcia o tym, co robi, albo chciała sprawiać takie wrażenie.

Nic nie wskazywało na obecność w pobliżu zespołu zabójców. Ulica była pusta, a odgłosy samochodów dochodziły jedynie z oddali. Chodnikiem szedł mężczyzna z psem, ale Wiktor nie brał go pod uwagę. Za duża oponka na brzuchu. Do tego z trudem panował nad prowadzonym dobermanem. Ekipa uderzeniowa nie ryzykowałaby użycia psa, nawet do odwrócenia uwagi.

Z pochyloną głową i podniesionym kołnierzem szybkim krokiem wyszedł z zaułka jak ktoś, kto poszedł na skróty, bo się spieszył. Nim przeszedł przez jezdnię, pogłaskał

dobermana. Po drugiej stronie stanął obok wejścia do baru, przywierając plecami do ściany.

Pomimo chłodu trzymał ręce przed sobą. Zapalił papierosa i bez pośpiechu się nim zaciągnął.

Cały czas obserwował ulicę.

Pięć minut później drzwi się otworzyły i kobieta wyszła w mrok. Nim zorientowała się, co się dzieje, złapał ją za ramię.

- Tędy.

Słyszał, jak szybko oddycha, nie stawiała jednak oporu. Poprowadził ją ulicą na zachód i skręcił w pierwszy napotkany zaułek. Przyparł ją do ściany i przeszukał. Kobieta wielkimi haustami łykała powietrze.

- Nie mam broni.

Po paru sekundach sam się o tym przekonał. Miał nadzieję, że znajdzie pistolet, który mógłby wykorzystać do własnych celów. Wyszli z zaułka.

- Dokąd idziemy?

Nie odpowiedział, tylko ruszył dalej, mocno zaciskając palce na jej ramieniu.

Pospiesznie przebierała nogami, starając się za nim nadążyć. Widział, że patrzy na niego kątem oka, nie odwzajemnił jednak spojrzenia. Cały czas badał wzrokiem otoczenie.

Doprowadził ją do końca ulicy i weszli w rejon przemysłowy. Ulice były szerokie i dobrze widoczne. Wzdłuż chodników

ciągnęły się płoty, za którymi stały zakłady. W

niektórych z nich paliły się światła. W ich kierunku jechał samochód. Wiktor sięgnął ręką do tyłu. Kiedy wóz znalazłby się w odległości dziesięciu metrów i wyglądałoby na to, że się zatrzymuje, planował poderżnąć gardło pośredniczce i wepchnąć ją pod koła, a następnie rzucić się do ucieczki. W kolejnym zaułku znalazłby kryjówkę, zaatakował zabójcę zamykającego pościg, wbił mu nóż w plecy, odebrał broń i wystrzelał pozostałych.

Samochód się nie zatrzymał.

- Powiedz mi, dokąd mnie zabierasz - spytała pośredniczka.

Znowu nie odpowiedział. Pięć minut później, gdy zatoczyli koło po pustych ulicach dzielnicy, zobaczyła w oddali umówiony bar.

- Dlaczego jesteśmy z powrotem tutaj?

Wprowadził ją do środka, zamówił dla nich coś do picia, a następnie wybrał stolik najbardziej oddalony od wejścia, blisko toalet. Wcześniej zauważył po drugiej stronie przejścia drzwi z napisem „tylko dla personelu”. W razie potrzeby znalazłby tam tylne wyjście.

Już wcześniej zdziwiło go, że pośrednik okazał się kobietą, teraz zaś zdziwił się po raz kolejny, gdy na nią spojrział.

Była młodsza, niż przewidywał. Miała trzydzieści, a może nawet dwadzieścia osiem lat. To znaczyło, że albo była dobra w swoim fachu, albo wysłali ją, by go zmylić. Nie dał po sobie poznać zaskoczenia.

Po wymuszonym spacerze pośredniczka była równie przemoczona, co on i wyraźnie jej się to nie podobało. Znaczący, że nie przywykła do pracy w terenie. Miała szczupłą twarz i ciemne oczy. Dłonie splotła na szklance z drinkiem. Rzadko spoglądała na Wiktora.

- Nikogo ze sobą nie przyprowadziłam.

Niemal jej uwierzył. Jego wrodzona podejrzliwość nie była w tym przypadku na alarm.

Była zbyt młoda, zbyt przerażona i zbyt głupia, by go wrabiać. Być może dała się po prostu wciągnąć w coś, co ją zupełnie przerastało, a teraz rozpaczliwie potrzebowała pomocy, której Wiktor ani myślał jej udzielić, o ile sam nie miałby z tego korzyści. A może się mylił. W

każdym razie jej szanse na przeżycie nie były zbyt wielkie. Złożył ręce na stole.

- Po co ściągnęłaś mnie do Paryża?

- Ktoś usiłuje zabić nas oboje.

Kusiło go, by odpowiedzieć z sarkazmem, ale się powstrzymał.

- Przez to, co stało się w poniedziałek?

Pokiwała głową.

- Paryskie zlecenie nie jest tym, czym ci się wydaje.

Rozejrzała się po barze.

- Nie powinniśmy tutaj rozmawiać.

Była tak zdenerwowana, że nie mogła usiedzieć na miejscu. Co kilka sekund spoglądała na drzwi, tak jakby podejrzwała ten gest w jakimś filmie. Zwracała tym na siebie za dużo uwagi.

- Niech będzie - odparł. - To gdzie?

- Mam mieszkanie we wschodniej części miasta. Jest bezpieczne.

Sceptycznie uniósł brwi.

- Zatrzymałam się tam wczoraj - wyjaśniła. - Gdyby wiedzieli, że tam mieszkam, już by mnie zabili.

Słuszna konkluzja. Uwierzył jej.

Dopił drinka i rzucił:

- Zabierz mnie tam.

ROZDZIAŁ 31

01:35 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

- Jesteśmy.

Pośredniczka spojrzała na niego, po czym przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Nie mogła wiedzieć, lecz jej kolejne posunięcie miało zdecydować o tym, czy Wiktor w tej chwili ją zabije. Weszła do środka. Gdyby coś powiedziała lub gestem zasugerowała, by to on wszedł pierwszy, przetrąciłby jej kark, ponieważ oznaczałoby to, że wciąga go w pułapkę.

Jednak nie zrobiła nic podejrzanego. Żyła więc dalej, przynajmniej na razie.

Budynek zbudowano przed wojną, miał siedem kondygnacji i wymagał renowacji.

Niewykluczone, że kiedyś prezentował się dobrze, ale te czasy dawno minęły. Mieszkanie wyglądało niemalże jak pusta skorupa. Bardzo prosty wystrój, tylko podstawowe meble i urządzenia. Typowy tani, śródmiejski lokal do podnajęcia. Pośredniczka pstryknęła włącznik światła i weszła do pokoju.

Wyłączył światło i zamknął za sobą drzwi. Kobieta obróciła się w miejscu. W

dochodzącej z zewnątrz poświacie ujrzał, że ogarnął ją strach. Nie rozumiała, co się dzieje.

Nie przejął się tym, podszedł do stojącego przy ścianie stołu i zapalił lampkę, którą następnie przekręcił, by ich cienie nie padały na cienkie okienne zasłony.

Pozostawał odwrócony plecami chwilę dłużej, niż było to konieczne, dając jej pozornie dobrą okazję, by spróbowała coś zrobić. Nasłuchiwał ruchu, który by ją zdradził.

Ona jednak ani drgnęła. Liczył, że coś zrobi, nabrałby wtedy pewności co do jej roli w całej sprawie. Odwrócił się do niej przodem.

- Nazywam się Rebecca - powiedziała.

- Mam to gdzieś.

Pośredniczka odezwała się ponownie, ale jej przerwał.

- Cicho.

Rozejrzał się po pokoju, przyglądając się lampom i gniazdkom elektrycznym oraz zaglądając pod stoły w poszukiwaniu podsłuchów. Przeszukał resztę mieszkania - nędzną kuchnię, łazienkę oraz podwójną sypialnię. Z kuchni można było wyjść na małą balkon.

Musiał się spieszyć, czas nie grał na jego korzyść. Niczego nie znalazł.

Kiedy wrócił do salonu, stała dokładnie w tym samym miejscu. W pomieszczeniu znajdowała się dwuosobowa sofa oraz fotel, na których mogłaby usiąść, ale tego nie zrobiła.

Jej zdenerwowanie rzucało się w oczy. Był to dobry znak.

- Przeszukam cię - powiedział.

- Co? Już mnie przecież...

- Zdejmij płaszcz.

- Myślisz, że mam na sobie podsłuch? Ale po co?

- Zdejmij płaszcz.

Ton jego głosu się nie zmienił, lecz spojrzeniem domagał się posłuszeństwa.

Otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale się nie odezwała. Rozpięła guziki długiego płaszcza i zsunęła go z ramion. Spojrzała na niego.

- Stań tam i rozłóż ramiona.

Przesunęła się w stronę stołu, wchodząc w krąg światła lampy. Podniosła ręce. Jej cień na ścianie miał kształt krzyża, Stał przed nią. Była wysoka - na nie za dużym obcasie mierzyła zaledwie kilka centymetrów mniej od niego. Oliwkowa cera i ciemne oczy zdradzały korzenie śródziemnomorskie. W tym jak stała i się poruszała, wyczuł ślad wyszkolenia. Być może wojskowego, zgadywał jednak, że w służbach wywiadowczych. W jej oczach widział

strach, ale kontrolowała go. Dostrzegł, że skóra na jej szyi pulsowała nieznacznie. Szybko, ale bez przesady.

Miała na sobie ciemne jeansy, ani obcisłe, ani zbyt luźne, oraz czarny kardigan narzucony na kremową bluzkę. Była ubrana elegancko, nie przyciągając jednak zbyt uwagi.

Przejechał dłońmi po obu stronach jej ramion, wzdłuż pleców, po bokach klatki piersiowej oraz jej środkiem, nie reagując, kiedy wzdrygnęła się, gdy przy okazji dotknął jej piersi. Kucnął, by obmacać jej biodra i nogi, po czym się wyprostował.

- Zdejmij buty i jeansy.

Rozluźniła sylwetkę.

- Nie. Zapomnij. Spodni nie ściągnę.

- Zrobisz to, chyba że chcesz, żebym wsadził ci dłoń do majtek.

Oniemiała, patrzyła na niego zniesmaczona. Wytrzymał jej spojrzenie, nie okazując żadnych emocji. Nie było o czym dyskutować. Zrobi, co jej kazał. Po chwili dostrzegł, że się poddała i powoli skinęła głową. Zdjęła buty, potem odwróciła głowę, by na niego nie patrzeć, rozpięła spodnie i spuściła je z bioder. Jeansy opadły jej do kostek.

- Wyjdź z nich.

Wyszła.

- Stań z nogami nieco szerzej.

Ponownie zastosowała się do polecenia.

Przez chwilę przyglądał jej się z bliska.

- Odwróć się.

Powoli obróciła się wokół własnej osi.

- Dobra - rzucił zadowolony. - Ubierz się.

Odsunął się i stanął obok okna, plecami opierając się o ścianę. Pośredniczka wciągnęła spodnie i włożyła buty. Poczł zakłopotanie, gdy złapał się na tym, że patrzy, jak się ubiera. Odwrócił wzrok, zanim cokolwiek zauważyła.

- Już, szczęśliwy? - spytała, gdy skończyła się ubierać.

- Nie do końca - odparł cichym głosem. - Przyjeżdżając tu, złamałem więcej zasad, niżbym zdołał spamiętać. Zatem lepiej, by twoje informacje okazały się tego warte.

- A co w przeciwnym razie? - odpowiedziała zaczepnie.

- Zabijesz mnie?

- Tak.

Nie była to tylko pusta groźba i spostrzegł, że to zrozumiała. Natychmiast zmieniła postawę, spuściła ramiona, przesunęła ciężar, instynktownie mową ciała dała przeciwnikowi do zrozumienia, że nie stanowi zagrożenia, nie jest wyzwaniem i nie ma potrzeby stosowania wobec niej przemocy. Widział, że choć pierwotnie mogła przekonać samą siebie, że sobie z nim poradzi, szybko odkryła, jak bardzo się pomyliła.

- Jak się nazywasz? - spytała.

Pytanie zaskoczyło Wiktora.

- Proszę?

- Spytałam, jak się do ciebie zwracać? Zawsze mówiono o tobie Tesseract w naszych...

- Dlaczego Tesseract?

- Nie wiem, to tylko pseudonim - odparła. - Więc jak mam mówić?

- Nijak, nie musisz mnie tytułować.

- Niech będzie.

- Powiedz mi, co wiesz.

- Chce cię zabić firma.

Podawała informację, jakby była ona wielkim odkryciem. Wyraz jego twarzy wciąż był ten sam.

- Już to wiesz - zauważyła zaskoczona.

Kiwnął głową.

- Ale jak?

- Jeśli sądziłaś, że będę w szoku, to przykro mi, że cię rozczarowałem. Odkąd to wszystko się zaczęło, nie siedziałem z założonymi rękami.

- Co jeszcze wiesz?

- Nie jestem tu po to, aby odpowiadać na twoje pytania. Na razie trzymajmy się tego, co wiesz ty.

Skinęła i założyła ręce na piersi.

- Układ musi działać w obie strony.

- Nie przypominam sobie, bym przystał na jakikolwiek układ.

Przez moment wpatrywała się w niego, jakby rozważała jakąś celną ripostę. Jednak udało mu się ją złamać, więc odpowiedziała jedynie:

- Chce cię zabić CIA, bo to ona cię wynajęła.

Zachował kamienną twarz, lecz w jego głowie pojawiło się mnóstwo pytań. A więc od samego początku była to zasadzka CIA.

- Skąd to wiesz?

Konieczność zadawania jej pytań wywoływała w nim ogromną niechęć.

- Bo dla nich pracowałam - odparła.

- Pracowałaś?

- Mnie również chcą zabić.

- Wyjaśnij.

- Zabili mojego oficera prowadzącego i wyłączyli mnie z obiegu. Pragną mojej śmierci tak samo, jak twojej.

- Co z pendrive'em?

- Jest na nim coś, co chcą zdobyć. Informacja, rzecz jasna.

- Na jaki temat?

- Nie wiem.

- Więc jaki z ciebie pożytek?

- Spytaj mnie o coś innego, to się przekonasz.

- Kim był człowiek, którego zabiłem?

- To Andris Ozols.

- Nie pytałem o jego personalia. Kim on był?

- Byłem oficerem rosyjskiej marynarki wojennej.

- Tego nie zawarto w jego dossier.

- Nie musiałeś tego wiedzieć.

Mięśnie w jego zuchwie na chwilę się rozluźniły.

- Co robił w Paryżu?

- Sprzedawał komuś pendrive'a.

- Komu?

- Nie wiem.

- Nie musiałaś tego wiedzieć?

- Wygląda na to, że nie.

- Co z tym pendrive'em? Jesteś w stanie go odszyfrować?

- Masz go?

- Nie - odparł.

- Ale gdzieś go masz?

- Tak. Jesteś w stanie go odszyfrować?

- Być może. Nie przekonam się, dopóki nie spróbuję. Mam w agencji przyjaciół, którzy...

- Nie ma takiej opcji - rzucił i natychmiast wpadł na pewien pomysł. Na coś, czego wcześniej nie rozważał.

Zauważyła, że nad czymś się zastanawia.

- Co jest?

- Nic - odparł.

Zmienił temat.

- Więc chcieli, bym przechwycił nośnik, zanim przejmie go nabywca?

- Tak.

- Przyjmuję, że po transakcji przejęcie go byłoby znacznie trudniejsze. Kupiec musi być kimś bardzo dobrze chronionym lub kimś, kogo nie odważyliby się zabić.

- Kogo masz na myśli?

Wiktor zachował swoje przemyślenia dla siebie.

- Dlaczego CIA nie zrobiła tego sama, po co mnie do tego zatrudniła? I dlaczego po wszystkim postanowiła mnie zabić?

- Na oba pytania istnieje ta sama odpowiedź. - Pośredniczka zrobiła krok do przodu. -

Ale nie mam pewności.

- To po co ja cię w ogóle słucham?

- Bo nie masz wyboru.

Jej słowa zaskoczyły Wiktora, a jeszcze bardziej zdumiewała siła jej głosu.

- Zresztą ja też go nie mam - ciągnęła dalej. - Ale wiem, że chcieli cię zabić, żeby zatuszować całą operację. Dążą do tego, by sprawa śmierci Ozolsa już nie wypłynęła.

Słuchał uważnie.

Pośredniczka kontynuowała.

- Jeśli plan by zadziałał, znaleziono by jedynie zwłoki zabójcy w paryskim pokoju hotelowym bez jakiegokolwiek wskazówki prowadzącej do zleceniodawcy. Mogliby najwyżej odkryć, że byłeś wynajętym mordercą i nie współpracowałeś z żadną organizacją. Wszelkie powiązania między tobą a tymi, którzy zlecili zabicie Ozolsa, zostałyby zręcznie zatarte.

- I tyle? Chcą mnie zabić, żeby zatuszować zlecenie, które zrealizowałem? Przecież nie zamierzałem rozpowiadać o tym na lewo i prawo. Pomijając inne kwestie, gadatliwość to nie najlepsza w tej branży metoda na pozyskiwanie nowych klientów.

Wiktor zdał sobie sprawę, że w jego głosie było więcej emocji, niż chciałby ujawnić.

- Fakt - przyznała. - Ale nie mogli sobie pozwolić na ryzyko, że zostaniesz schwytyany i przesłuchany.

- Nie byłbym w stanie nikomu nic powiedzieć, ponieważ niczego nie wiem.

- Niech i tak będzie, w każdym razie - jeśli zginiesz, nie będą się musieli martwić.

Trop do zleceniodawców zabójstwa umrze razem z tobą.

- Ale dlaczego zatrudnili akurat mnie? Dlaczego nie wysłali jakiegoś gówniarza?

Ozolsa mógł zabić byle amator. CIA nie potrzebowała do tego profesjonalisty.

- Bo byle gówniarz nie zastosowałby nawet ułamka twoich środków ostrożności.

Pozostawiłby ślad możliwy do wytropienia. Początkowo nie ujawniono mi przyczyny, lecz potrzebowaliśmy zabójcy, który ma czyste konto i odpowiednie umiejętności, ale praktycznie rzecz biorąc, nie istnieje. Szukali kogoś niewidzialnego, a ty spełniasz wymagania. Sądzę, że możesz to uznać za komplement.

- Schlebiają mi.

- Po co ten sarkazm.

Zignorował uwagę.

- A gdzie w tym wszystkim jesteś ty? Dlaczego ciebie też chcą zabić?

- Jestem częścią łańcucha. Operacja spaliła na panewce. Ty przeżyłeś, oni nie weszli w posiadanie pendrive'a, a teraz muszą przeciąć wszelkie powiązania, aby się oczyścić i ostatecznie zamknąć temat.

- Jesteśmy uznani za winnych przez skojarzenie?

- Coś w tym guście.

- Ale do ciebie jeszcze nie dotarli.

- Nie dałam im szansy.

- Po co właściwie mnie tu ściągnęłaś?

Przesunęła się parę kroków w lewo. Być może z nerwów. Wiktor obserwował ją.

Światło lampy podkreślało jej kości policzkowe i pełne wargi.

- Bo możemy sobie nawzajem pomóc - odpowiedziała.

- Pomóc sobie w czym?

- Przeżyć.

- Mam nadzieję, że nie sugerujesz, by oddać im pendrive'a i modlić się, że zostawią nas w spokoju.

- Jasne, że nie.

- A więc co?

- Załatwimy naszych przeciwników.

Chciał w tym momencie dopowiedzieć: *na amen?* Niektórzy ludzie nie lubili słowa *zabijać*. Ale nie mieli nic przeciwko idiotycznym eufemizmom. Podejrzewał, że pomagało im to spokojnie zasnąć.

- I jak to niby zrobimy? Nie mogę powybić całej CIA. Nie mam tyle amunicji.

- Zamach na Ozolsa nie został oficjalnie zatwierdzony - odpowiedziała. - Typowa robota na czarno, poza wszelką ewidencją. Ktoś to zlecił, ktoś inny wprowadził w życie, lecz reszta instytucji nic o tym nie wie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Mam wiele powodów - odparła. - Poczynając od sposobu, w jaki zaangażowali mnie w operację. Otrzymywałam telefony i chodziłam na anonimowe spotkania. Nie powiedziano mi dla kogo pracuję ani czemu to ma właściwie służyć. Twierdzili, że absolutnie nie muszę tego wiedzieć. No i fakt, że zatrudnili ciebie, zawodowego zabójcę bez wcześniejszych związków z agencją. Jeśli operacja miałaby status legalnej, nie byłoby potrzeby zabijać ani ciebie, ani mnie, ani mojego oficera prowadzącego, kiedy okazało się, że plan poszedł nie tak.

Po prostu od samego początku działaliby przy użyciu własnych ludzi lub wypróbowanych wcześniej podwykonawców. Ktokolwiek za tym stoi, naprawdę nie chce, by reszta CIA dowiedziała się o jego poczynaniach.

- Zabójcy, którzy osaczyli mnie w Paryżu - odezwał się - należeli do sektora prywatnego. Nie wiedzieli, kto ich wynajął.

- Właśnie.

- A w moim własnym domu miałem pewną utarczkę z zabójcą ze Stanów.

Nie powiedział, gdzie do tego doszło. Nie miało to znaczenia - i tak by tam nie wrócił

- jednak nie planował wyjawiać osobistych informacji.

- Tak, wiem, w Szwajcarii - odrzekła. Fakt, że to wiedziała, uraził go, ale nie dał tego po sobie poznać. - To musiał być jakiś podwykonawca, ktoś spoza agencji.

Nawet bez rozwijania myśli zabrzmiała wiarygodnie. Wierzył jej. Nie musiał jej jednak mówić, że na początku było wręcz przeciwnie.

- Sprzątnęłaś ich komando w Paryżu - ciągnęła dalej, wyrzucając kolejną perełkę ze słownika durnych eufemizmów. - Nie mieli więc wielkiego wyboru i musieli sięgnąć po kogoś sprawdzonego, aby dokończył zadanie. Nie mogli pozwolić sobie na ryzyko, że znikniesz, kiedy będą kompletować kolejną niepowiązaną z nimi ekipę egzekucyjną.

Wiktor przytaknął, zgadzając się z jej opinią. - To oznacza, że przynajmniej agencja jako taka na nas nie poluje.

- Tak, przynajmniej na razie. Niestety w każdej chwili może zdarzyć się coś, co wyciągnie sprawę na światło dzienne. Krwawa jatka w twoim hotelu przykuła ich uwagę.

Jestem pewna, że ludzie z prawowitej CIA się temu przyglądają. Do tego w zabawę włączyli się Francuzi i Szwajcarzy. Robi się tłoczno, nawet jeśli pominiemy tych, którzy chcą nas zabić.

- Więc dopadniemy ich, zanim oni dopadną nas.

- W rzeczy samej.

- Ale jak?

Spojrzała na niego z bliska.

- Czyli co, jesteśmy w jednej drużynie?

- Rozważam taką możliwość.

ROZDZIAŁ 32

01:50 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor stanął tak, by bez ruszania głową móc obserwować drzwi wejściowe oraz do kuchni. Pośredniczka nalewała sobie szklankę wody. Usłyszał, jak otworzyła szafkę, a cztery sekundy później odkręciła kran. Woda uderzyła o dno metalowego zlewu. Jeśli dźwięk nie ustałby w przeciągu kolejnych czterech sekund, planował pójść do kuchni i zobaczyć, co ona robi w rzeczywistości. Po trzech sekundach usłyszał, że szklanka się napełniła.

Z jednej strony wewnętrzny głos mówił mu, że każda chwila spędzona w towarzystwie tej kobiety tylko wystawiała go na większe niebezpieczeństwo. Przecież już wcześniej został przez nią wrobiony. Nie miał pewności, że coś podobnego się nie powtórzy.

Wiedział, że powinien po prostu ją zabić i tym samym zamknąć sprawę. Przez całe życie radził sobie z zagrożeniami, teraz zaś jego instynkt samozachowawczy alarmował, że zaistniała sytuacja stanowi ogromne ryzyko.

Jednak była również druga strona medalu, poparta mocnymi argumentami. W trakcie jednej rozmowy z pośredniczką dowiedział się więcej niż przez te kilka dni, kiedy samodzielnie badał sprawy. Wciąż istniały kwestie, których nie znał lub nie rozumiał.

Postanowił, że wysłucha tego, co miała do powiedzenia, potem zaś zadecyduje, czy ją zabić.

Nie robi tego z zemsty - ta nic bowiem dla niego nie znaczyła - ale dla własnego bezpieczeństwa. Kobieta wiedziała o nim zbyt wiele. Jednak nie wiedziała, że od rezultatu rozmowy zależało jej życie. Wróciła. Wzięła łyk wody i odstawiła szklankę na stół.

- Na czym stanęliśmy?

- Na robocie na czarno.

- Początkowo myślałam, że operacji brakowało po prostu oficjalnej zgody. Nie wiedziałam, że jest zupełnie nielegalna, w przeciwnym wypadku nigdy bym się na to nie pisała. Działa to na naszą korzyść, bo mamy przeciwko sobie jedynie grupę ludzi. Dopóki tak będzie, możemy coś z tym zrobić.

- Co na przykład?

- Jeśli chcą nas zabić, żeby ukryć swoje powiązania z zabójstwem Ozolsa, możemy zadziałać tak samo. Dopadamy tych, którzy dali zlecenie, wszystkich, którzy o tym wiedzą.

To będą dwie, może trzy osoby. Odcinamy głowę i cielsko przestaje oddychać.

- Mówiąc „my” masz na myśli mnie, prawda?

- Ale ja pomogę ci ich znaleźć - odparła. - W tej chwili nie wiemy, kim jest nasz przeciwnik. Kontaktowałam się tylko z jedną osobą, moim oficerem prowadzącym, a jego już zabili. Ale jestem w stanie się dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi.

- Jak? - spytał.

- Podążymy za pieniędzmi. Tak ich znajdziemy.

- Wyjaśnij.

- Po pieniądzach zostają ślady. Wynagrodzenie za paryskie zlecenie przesłano na twoje szwajcarskie konto z szyfrowanego konta, które kontrolowałam. Ja z kolei otrzymałam przelew, jak się domyślasz, z jeszcze innego szyfrowanego konta.

- I w jaki sposób nam to pomaga? Mogli założyć konto tylko na potrzeby zabicia Ozolsa.

- W tym przypadku tak nie było.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Pracowałam dla nich, nie pamiętasz?

- Pamiętam. Do czego zmierzasz?

- Do tego, że ty też dla nich pracowałeś.

- Nieprawda - tracił cierpliwość. - Jestem wolnym strzelcem. Pracuję dla klientów prywatnych. I nie lubię tego typu gier. Po prostu powiedz mi, co wiesz.

- To właśnie mówię. Zabicie Ozolsa to nie pierwsze zlecenie, jakie dla nich wykonałeś. Przez ostatnie sześć miesięcy zrealizowałeś, za moim pośrednictwem, trzy inne kontrakty dla CIA.

- Chyba żartujesz.

- Myślisz, że kłamię? Po co miałabym to robić?

Nie znalazł na to żadnej odpowiedzi.

- Byłam twoją pośredniczką już trzy razy. Za każdym razem udawałam kogoś innego, odgrywałam rolę. W ramach poprzedniego zlecenia zabiłeś w Szwecji handlarza bronią.

Wcześniej - pewnego Saudyjczyka. Mam wymieniać dalej?

Wiktor odwrócił wzrok.

- To tak odkryliście, gdzie mieszkam - teraz wszystko już rozumiał. - Te wcześniejsze zlecenia były ustawione, bo chcieliście mnie wytropić.

- Nie do końca. To były rzeczywiste cele. I przy tym niezwykle odrażające typy. Ale faktem jest, że chodziło przede wszystkim o rozpoznanie. Trzy zakrojone na szeroką skalę operacje tylko po to, by sporządzić jeden kiepski rysopis. Ale odkryliśmy, gdzie mieszkasz -

w jej głosie odezwała się nutka dumy, która go zirytowała. - Nikt nie podejrzewał, że zajmie to tyle czasu. Ale byłeś po prostu lepszy niż ktokolwiek inny.

Pokręcił głową.

- Co za ludzie.

- Nawet się nie waż - wyglądała na autentycznie rozłoszczoną. - Jesteś płatnym mordercą, pamiętasz? Nie masz prawa oceniać innych.

Musiał przyznać, że miała trochę racji.

Mówiła dalej.

- Nie myśl, że chcę tu być. Samo przebywanie w pobliżu kogoś takiego, jak ty, sprawia, że chce mi się, kurwa, rzygać.

- Nie przeklinaj.

- Co?

- Powiedziałem, że masz nie przeklinać.

Spojrzała na niego.

- Nie przeklinać? A to niby dlaczego, do diabła?

Wiktor zmarszczył brwi.

- Ani nie bluźnić.

Dopiero po dłuższej chwili pojęła, że mówił poważnie. Stała szerzej na nogach.

- Wyjaśnijmy coś sobie. Nie będziesz mi mówił, jak się mam wyrażać.

- Właśnie to zrobiłem. I będzie lepiej, jak się do tego przyzwyczaisz.

Zmarszczyła brwi.

- Chyba zapominasz, że nie pracuję dla ciebie. Pracujemy razem. Co znaczy, że ty nie decydujesz o tym, co robię lub mówię i *vice versa*. Zrozumiano?

Spojrzał na zegarek.

- Skończyłaś?

Wzięła kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić. Czuł, że chciała powiedzieć zdecydowanie więcej. Mógł sobie wyobrazić, że ćwiczyła asertywność w takich sytuacjach przed lustrem.

- Mówiłaś coś o śladach, jakie zostawiają pieniądze - spokojnie przypomniał.

Oddechnęła głęboko. Z jej spojrzenia wyczytał, że chce odpuścić, tłumacząc sobie, że nie jest wart tych nerwów. Zanim wreszcie się odezwała, upłynęła minuta. Zgadywał, że w tym czasie przekonywała samą siebie, że nie dała się zbyt łatwo uciszyć.

- Pieniądze, które pojawiły się na twoim koncie, pochodziły ode mnie, ja zaś otrzymałam je od kogoś, kto zapewne dostał je od kogoś jeszcze innego i tak dalej. Będziemy więc je tropić w przeciwnym kierunku, konto po koncie, aż odkryjemy, kto założył rachunek na początku łańcucha.

- I wiesz, jak to zrobić?

- Tak.

Skinął głową, niemalże wierząc, że wie, o czym mówi.

- Jak?

W tym czasie pośredniczka usiadła na oparciu kanapy. Kiedy się poruszała, słychać było skrzypienie drewna. Cały czas gestykulowała, podkreślając wypowiedane słowa. Wiktor w dalszym ciągu stał oparty o ścianę obok okna, więc mógł obserwować jednocześnie rozmówczynię i drzwi do mieszkania.

- Sprawdzimy, kto jest właścicielem pierwszego konta - odparła.

Gdzieś na zewnątrz powstało zamieszanie. Jakiś alfons wydzierał się na swoje dziwki.

Okno było otwarte, ponieważ Wiktor chciał słyszeć, czy ktoś się nie zbliża.

- To już powiedziałaś. Jak się tego dowiemy?

- W banku.

- Bankierzy nie ujawniają tak po prostu informacji o swoich klientach.

- Trzeba umieć odpowiednio poprosić.

- A ty umiesz?

Przytaknęła.

- A gdzie w tym wszystkim jest moja rola?

- Nie ma. Przynajmniej nie na tym etapie. Kiedy ja zdobędę informację, ty ją wykorzystasz.

- Brzmi prosto.

Wzruszyła ramionami.

- Jesteś pewna, że twój plan zadziała?

Rozmowa dobiegała końca.

Jeśli odpowie „tak”, przeżyje.

Jeśli „nie”, zginie.

Zauważył, że kobieta rozważa odpowiedź. Uważnie ją obserwował. Nim się odezwała, przełknęła ślinę.

- Tak - stwierdziła silnym i pewnym głosem.

- Dobra odpowiedź.

Lekko się uśmiechnęła, nie rozumiejąc.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pendrive'a. Szybkim ruchem nadgarstka rzucił nośnik w jej stronę i zdziwił się, gdy zręcznie chwyciła go jedną dłonią. Sprawna i z dobrym refleksem. Przez moment przyglądała się pendrive'owi, po czym pytająco spojrzała na Wiktora. Widać, że chciała spytać, dlaczego skłamał, ale nic nie powiedziała. Podeszła do komputera i podłączyła nośnik do gniazda z boku. Zbliżył się, aby móc popatrzeć. Kiedy plik zażądał podania hasła, westchnęła.

- Więc nie podali ci go? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- Plan nie zakładał, że kiedykolwiek się z tym pendrive'em zetknę. Znam się trochę na kryptografii, ale nie umiem stwierdzić, jakiego poziomu szyfrowania użyto. Jeśli w miarę prostego, to prawdopodobnie w ciągu kilku dni mogę złamać hasło sama przy użyciu oprogramowania z mojego komputera. Byłby to zwykły atak siłowy. Ale jeżeli przenosiłabym coś, o co ludzie się zabijają, zatroszczyłabym się, by było zabezpieczone najlepszym i najbardziej skomplikowanym szyfrem, jakiego mogłabym użyć. Moc obliczeniowa mojego laptopa nie wystarczy, by złamać tego typu zabezpieczenia.

- Znam kogoś - wtrącił. - Może nam pomóc w odszyfrowaniu danych. Podkreślam: może. Sprawdzę to, a ty tymczasem prześlesz informacje dotyczące konta.

- Mam znajomego w Langley. Jeśli ktoś jest w stanie włamać się do tych danych, to właśnie on.

- Nie. Nasi wrogowie mogliby przejąć pliki.

- Czy to ma jakieś znaczenie? A zresztą, jeśli je przejmą, to może się od nas odczepią.

- Biorąc po uwagę działania, jakie do tej chwili podjęli, aby mnie zabić, nie wyobrażam sobie, by tak po prostu się poddali. A gdyby weszli w posiadanie danych, to domyśliliby się, że przekazałem nośnik tobie. Spotykając się z tobą, wystawiłem się na niebezpieczeństwo. Nie chcę, by o tym wiedzieli.

- Więc sama spróbuję złamać szyfr.

- Wolę już mój sposób.

- Możemy sprawdzić oba - zaproponowała.

- Jako że nie możemy wypróbować ich naraz, ja zrobię to pierwszy.

- Kto powiedział, że nie możemy?

- Prawa fizyki. Mamy tylko jednego pendrive'a.

Nie odpowiedziała. Jej palce przez kilka sekund biegały po klawiaturze. Na jego oczach plik skopiował się z nośnika na dysk jej komputera. Zajął to dosłownie chwilę.

- Nigdy bym o tym nie pomyślał - zauważył. - Zaszifrowany jest sam plik, a nie nośnik. To zwyczajny, dostępny na rynku pendrive, nic szczególnego, żadnych zabezpieczeń hardwareowych. Teraz ty możesz sprawdzić swój sposób, a ja wypróbuję mój.

- Co podwaja nasze szanse.

Uśmiechnęła się do niego.

- Widzisz, już stanowimy zgraną drużynę.

Przyłapał się na tym, że patrzy na jej usta.

- Stop - rzucił i spojrzał jej w oczy. - Nie jesteśmy drużyną.

- Więc czym jesteśmy?

Wzruszył ramionami, zastanawiając się przez chwilę nad odpowiednim określeniem, ale go nie znalazł. Rzucił więc:

- Niczym.

- W porządku - odparła pośredniczka i odwróciła wzrok.

- Żadne z nas nie może mieć jakichkolwiek złudzeń co do tego, dlaczego to robimy.

Ty pomagasz mi tylko dlatego, że mnie potrzebujesz. Ja pomagam tobie, bo w chwili obecnej ty również możesz mi pomóc - usiłował uniknąć stwierdzenia, że jej potrzebuje. - I na tym koniec.

- A co się stanie, kiedy już nie będę mogła ci pomóc?

Zadanie pytania wymagało nie lada odwagi, co Wiktor docenił.

- W takiej sytuacji nasze drogi się rozejdą - odrzekł. - I nigdy mnie już nie zobaczysz.

ROZDZIAŁ 33

MARSYLIA, FRANCJA

SOBOTA 01:59 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Reed przytrzymał dłoń nad zlewem. Nie wyczuł ciepła, lecz w powietrzu dawał się wyczuć lekki zapach palonego papieru i alkoholu. Powoli przeszedł przez kuchnię i wszedł do salonu. Wyposażenie łącznościowe wyglądało na najlepsze w swojej klasie. Po dotyku stwierdził, że od kilku dni nie było używane. Otaczała go ciemność, a badał otoczenie jedynie dzięki wpadającej do mieszkania bladej poświacie miasta oraz własnej umiejętności widzenia po ciemku. Poszedł do sypialni, gdzie natknął się na otwartą szafę i komodę oraz rozrzucone na łóżku ubrania.

Znalazł całonocną kawiarnię, w której zamówił czarną herbatę i napisał e-maila ze swojego smartfona, w zwięzłych słowach tłumacząc, że cel niedawno i w pośpiechu opuścił

dotychczasowe miejsce zamieszkania. Spytał, co ma teraz robić.

Kelnerka, która podała mu herbatę, miała ochotę poflirtować, ale udał, że nie mówi po francusku. Pomimo rzekomej bariery językowej spróbowała jeszcze raz, on jednak ją grzecznie zignorował. Nie po raz pierwszy naszała go refleksja, że życie byłoby łatwiejsze, gdyby był nieatrakcyjny. Szybko dopił herbatę i wyszedł. W eleganckim hotelu miał

zarezerwowany pokój z widokiem na morze. Postanowił iść tam pieszo. Ziemia była mokra od deszczu, ale za to powietrze miłe i rześkie.

Przechadzka sprawiała Reedowi przyjemność. Wsluchiwał się w odgłosy rozmów, śmiechu i muzyki, dochodzące z barów i klubów. Nie był ani rozczarowany, ani podenerwowany faktem, że nie zastał ofiary tam, gdzie powinien. Poddawanie się emocjom w pracy nie leżało w jego naturze. Na liście wymieniono rezerwowe miejsce, gdzie mógłby podjąć kolejną próbę ataku, gdyby zażyczył tego sobie jego anonimowy klient.

Łącznie miał zlikwidować pięć osób, z których jedną zdążył już porzucić konającą w mało higienicznym przybytku w Paryżu. Poza kobietą, która była łaskawa ulotnić się z Marsylii, pozostawał jeszcze cel w Mediolanie, w Londynie i ten, którego miejsce pobytu należało dopiero ustalić.

Jak na razie nie dano mu wytycznych co do sposobu eliminacji pozostałych celów, ale Reed chlubił się tym, że zabijał skutecznie, subtelnie i rzetelnie. Właśnie dlatego został

zatrudniony i mógł zażyczyć za swoje usługi horrendalną stawkę. Specjalizował się w aranżowaniu samobójstw i wypadków. Jeżeli okoliczności na to nie pozwalały, decydował się na inne przyczyny zgonu, które nie sugerowałyby morderstwa.

Niekiedy w fachu Reeda niezbędne było podejście bardziej bezpośrednie. Niektóre cele były zbyt dobrze chronione, wyszkolone albo po prostu zbyt ostrożne, by móc je dyskretnie usunąć. W takich wypadkach Reed decydował się na metody działania jeszcze skuteczniejsze, aniżeli te, które zazwyczaj stosował. Doświadczenie nauczyło go, że opcja

„dziewięćmilimetrowa” okazywała się wystarczająca, aczkolwiek osobiście preferował noże.

Ostatni z wymienionych na liście celów wzbudzał w Reedzie wyjątkowe zainteresowanie. Nie podano imienia, a jedynie pseudonim, co już mu wiele mówiło. Ów bezimienny mężczyzna był płatnym zabójcą, i to - według wszelkich doniesień - dobrym w swoim fachu. Jeśli podane Reedowi informacje były prawdziwe, niejaki Tesseract zabił

siedmiu napastników, którzy usiłowali go osaczyć w hotelu, jak również wyszedł cało z zamachu w Szwajcarii. Tego typu dokonania robiły wrażenie, nawet jeśli facet przeżył, broniąc się z mniejszą finezją aniżeli ta, którą odznaczał się w pracy Reed.

Z przyjemnością myślał o zlikwidowaniu tego celu. Czyste pozbycie się innego zawodowca zawsze wiązało się z dużymi trudnościami, ale Reed lubił wyzwania.

Doświadczeni zabójcy zachowywali się w sposób, który sugerował wręcz owładnięcie paranoją i w większości wypadków stosowali wyjątkowo rozbudowane środki ostrożności.

Nie należało przy tym zapominać o pewnym drobnym szczególe, a mianowicie - że byli w ciągłej gotowości do podjęcia walki z napastnikiem. I właśnie dlatego mordowanie ich stanowiło przednią zabawę. Fakt, że cel był wyszkolony, cieszył Reeda, który oceniał swe własne osiągnięcia, opierając się na jakości swych ofiar. Zabijał dla pieniędzy, pochodzących ze skarbca Jej Królewskiej Mości lub z kieszeni prywatnych klientów, mimo to szczyił się swoim fachem. Uczestnictwo w emocjonującym zabójstwie dawało Reedowi dużą satysfakcję, nawet jeżeli - ze względu na zakres jego własnych umiejętności - w tego typu konfrontacjach jego szanse były zwykle nieporównywalnie większe. Ale jedynie mierząc się z najlepszymi przeciwnikami mógł sprawdzić, do czego tak naprawdę jest zdolny. Reed przechodził przez pusty plac parkingowy na zapleczu baru szybkiej obsługi. Przyjemny zapach wieczornego powietrza psuł feter fast foodu zwiastujący choroby krążenia. Miał

nadzieję, że ten cały Tesseract okaże się wystarczająco dobry, by nie dać się złapać władzom, nim sam zdąży go dopaść. Gdyby stało się inaczej, byłby bardzo rozczarowany.

Odgłos kroków.

Ciężkie bucioro oraz tenisówki. Po asfalcie za jego plecami biegło kilka osób, które nawet nie próbowały podejść po cichu. Nie byli to zatem zawodowcy.

Jeszcze zanim Reed się obejrzał, wiedział, co za sobą ujrzy. Podeszła do niego banda nastoletnich bandziorów i

zdegenerowanych dwudziestoparolatków. Różnili się kolorem skóry, lecz prawie wszyscy mieli ogolone głowy, ubrani byli w workowate dresy i podróbki ciuchów znanych marek, a do tego poobwieszali się tanią, jarmarczną biżuterią.

Otoczyli go, na co Reed im pozwolił. Odważniejsi z grupy stanęli naprzeciw niego, a za jego plecami przyczaili się ci bardziej tchórzliwi, ale nimi się nawet nie przejmował.

Napastnicy przybrali dziwaczne pozy, które w innych okolicznościach sugerowałyby, że cierpią na deformacje kręgosłupa. Naliczył dwunastu bandytów, z których sześciu czy siedmiu wyglądało na zdolnych stawić opór, a ich postawa sugerowała, że się do tego palą.

Pozostali nie przejawiali takiej pewności siebie.

- Przechodzisz przez moje królestwo - odezwał się po francusku największy i najgorzej ubrany. - Musisz więc zapłacić cło.

Reed przetrzymał jego spojrzenie.

- Wierz mi, nie radzę wam zaczynać.

Wyrostek patrzył na Reeda z niedowierzaniem, rzecz jasna nieprzyzwyczajony do reakcji innej niż przerażenie. Absolutny brak strachu w nieruchomych oczach Reeda sprawił, że oprychowi zrzędnęła mina. Spojrzał na resztę gangu. Reed wiedział, że szczeniak za daleko się posunął, by teraz się wycofać.

Bandzior wyciągnął broń z kurtki i luźno ją trzymał w dłoni. Beretta z niklowymi okładzinami. Wyglądała na regularnie polerowaną, ale Reed wątpił, czy jej właściciel z równą uwagą czyścił wewnętrzny mechanizm. Facet skierował pistolet w stronę Reeda.

- Portfel, telefon, zegarek - zażądał.

Dwaj inni bandyci pokazali swoje spluwy. Jeden trzymał luźno przy nodze rewolwer, a drugi podciągnął koszulkę i oparł palce na automacie wciśniętym za pasek. Reed nie odezwał się, a jedynie wbił wzrok w stojącego przed nim gnojka, który czuł, że sytuacja go przerasta.

- Oddawaj, kurwa, i to już.

Twarz Reeda nie drgnęła.

- Dlaczego?

- Że co?

W tej sekundzie, gdy niepokój napastników wymieszał się ze zdumieniem, Reed złapał wyciągnięte ramię chłopaka, owijając lewą dłoń wokół nadgarstka i nagle pociągnął

gnojka do przodu, kierując przy tym lufę broni w bok. Wolną ręką objął mięsień trójgłowy napastnika i wykręcił trzymany nadgarstek, blokując ramię. Mocno pociągnął w dół - łamiąc opór stawu - i złożył ramię w łokciu w odwróconą literę V.

Broń upadła na asfalt, a potworny skowyt na chwilę oszołomił pozostałych. Reed puścił trzymany nadgarstek i gówniarz upadł na ziemię. Między okrzykami bólu zdołał

wrzasnąć:

- Zapierdolcie go!

Reed skoczył do przodu, w stronę kolejnego uzbrojonego gościa, wytrącił broń na bok, gdy bandyta unosił ją do strzału, po czym wykorzystał rozpęd i mocno uderzył go łokciem w zęby. Głowa napastnika poleciała w tył, z twarzy trysnęła krew i nieprzytomny facet ze złamaną szczęką ciężko zwałił się na ziemię.

Ostatni uzbrojony w broń palną szczeniak cofnął się, pokazując Reedowi puste dłonie.

Jego oczy były szeroko otwarte, a głowa drżała. Reed zignorował go, gdyż w tym samym momencie usłyszał odgłos wysuwanego noża. Odwrócił się i odsunął, a napastnik trafił w powietrze, potykając się i całkowicie tracąc równowagę.

Następny zaatakował od tyłu, zdradziło go jednak szuranie po asfalcie. Reed nagle obrócił się i uderzył kantem dłoni w grdykę zbira. Chłopak upadł na ziemię w konwulsjach.

Kolejni dwaj napastnicy ruszyli jednocześnie do przodu. Jeden wymachiwał nożem myśliwskim z dziesięciocentymetrowym ostrzem typu *drop point*, drugi trzymał łom.

Pierwszy zamachnął się łomiarz, chcąc uderzyć go w głowę. Reed chwycił narzędzie i dłoń napastnika, pociągnął w dół, aby wykorzystując jego rozpęd, odebrać mu łom.

Rąbnął szczyla łokciem w bok, popychając go do tyłu. Chłopak z pogruchotanymi żebrami z trudem łapał powietrze. Reed poszedł za ciosem i uderzył łomem w bok czaszki napastnika. Na twarze bandziorów trysnęła krew.

Niezdarnie i na oślep wyprowadzone pchnięcie nożem myśliwskim o centymetry minęło twarz Reeda. Zabójca odskoczył do tyłu, zaczekał na kolejny atak, osłonił się przedramieniem, aby odbić ostrze, po czym podciął łomem nogi atakującego i wbił narzędzie w twarz napastnika, rozkwaszając mu nos.

Tymczasem mały bandyta z wysuwającym nożem podniósł się i z rykiem zaatakował

ponownie, dźgając szaleńczo. Reed zrobił unik, sprowokował nożownika do kolejnego pchnięcia, po czym potężnie trzasnął łomem w odsłonięte ramię, gruchocząc przeciwnikowi kości. Wrzasnął i upuścił nóż, a nadgarstek i dłoń opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała. Reed przełożył łom do drugiej ręki i machnął nim do góry, trafiając młodego pod żuchwę. Siła uderzenia wyrzuciła go w powietrze i cisnęła do tyłu. Bezgłośnie upadł na ziemię.

W niecałe siedem sekund było po wszystkim. Sześciu napastników leżało na mokrej nawierzchni - część się nie ruszała, inni wili się i jęczeli. Wszyscy przeżyją, choć nie będzie to już życie, do jakiego przywykli. Reszta stała jak wryta, osłupiała i przerażona. Reed przez chwilę się w nich wpatrywał. Wiedział, że mógłby podnieść berettę i wszystkich zastrzelić, ale to tylko głupie gnoje, a dwanaście strzałów przyciągnęłoby na miejsce policję. Nawet bez trupów, pół tuzina pokiereszowanych bandytów zwracało na siebie uwagę. W obecnej sytuacji nawet ci, którzy nie dostali łomotu, poważnie zastanowią się nad obroną ścieżką życiową. Reed niemalże poczuł dumę z wyświadczonej społeczności przysługi.

Zakręcił łomem w dłoni i wręczył go wyrostkowi, który z grymasem na twarzy przejął

narzędzie, wyczuwając mokrą krew i fragmenty skóry kompanów z gangu przyłączone do metalu. Reed poprawił kurtkę i omiół wzrokiem tych, którzy mieli szczęście pozostać na nogach.

- Z drogi.

Napastnicy rozsunęli się z szacunkiem i pozwolili mu przejść.

ROZDZIAŁ 34

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA

WIRGINIA, STANY ZJEDNOCZONE

SOBOTA 10:49 CZASU WSCHODNIEGO

Chambers zgrywała akurat ważniaka na Kapitolu, toteż zebraniu przewodniczył

Procter. Zarówno Sykes, jak i jego mentor, ten stary łajdak Ferguson, sprawiali wrażenie, jakby ostatni tydzień był dla nich niezwykle ciężki - zwłaszcza dla Sykesa, chociaż, wnosząc po złotym odcieniu jego skóry, od poprzedniej narady znalazł on chwilę, by odwiedzić solarium.

Przez system głośnomówiący słyhać było Alvareza, który opowiadał o odkryciach dotyczących Stevensona i jego tajemniczego pracodawcy.

- Stevenson popełnił kilka błędów, gdy przyszło zacierać ślady - tłumaczył. - Niezbyt dobrze poszło mu usuwanie ważnych informacji z komputera, więc zdołaliśmy odzyskać z dysku twardego niektóre e-maile. Jest to korespondencja między nim a jego klientem, który ani razu nie zostaje wymieniony z imienia. To ta sama osoba, która przekazała Stevensonowi walizkę gotówki, którą zdeponował potem w banku.

W e-mailach ustalali szczegóły spotkania, na którym miało dojść do przekazania pieniędzy. Miejsce, data i godzina były zaszyfrowane, lecz udało nam się ustalić, że Stevenson spotkał się ze swoim klientem w Brukseli niecałe trzy tygodnie temu.

Zmarszczki na czole Fergusona pogłębiły się.

- Złamaliście szyfr?

- Nie, nie było takiej potrzeby - odparł Alvarez. - Stevenson sam odwalił za nas robotę. W innym miejscu jego dysku trafiliśmy na fotografie dokumentujące spotkanie, na których widać Stevensona oraz tego drugiego w kawiarnianym ogródku w śródmieściu Brukseli.

Procter nachylił się do przodu.

- Jakie fotografie?

- Z obserwacji. Wygląda na to, że Stevenson nie darzył ludzi zaufaniem i bez wiedzy klienta zabrał kogoś ze sobą. Zapewne towarzysza ze swojej ekipy zabójców, ale nie możemy mieć pewności. Na zdjęciach widać nazwę kawiarni oraz datę i godzinę. Zgaduję, że fotografie służyły Stevensonowi jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się nie tak.

- Czy wiemy cokolwiek o człowieku, z którym miał się tam spotkać? - spytał Procter.

- Wśród zdjęć znaleźliśmy kilka wyraźnych ujęć, jak przybywa na miejsce, a potem się oddala, więc wrzuciliśmy je do programu rozpoznającego twarze, nic nam to jednak nie dało. Poszczyliło nam się dopiero po oczyszczeniu pozostałych fotografii. Udało się ustalić nazwę wypożyczalni samochodów, z której korzystał klient Stevensona. Skontaktowałem się z firmą i okazało się, że tylko jeden model samochodu w tym kolorze był w chwili spotkania w użyciu.

- Więc kto to był? - zapytał Procter.

- Sebastian Hoyt - odpowiedział z głośników Alvarez. - To holenderski biznesmen i prezes małej firmy finansowo-konsultingowej z siedzibą w Mediolanie. Prześwietliłem listy pasażerów przylatujących i odlatujących tego dnia z Brukseli. Hoyt tego samego dnia odbył

podróż w obie strony.

- Świetna robota - zauważył Procter. - Co wiemy o tym Hoycie?

- Nie tak wiele - odparł Alvarez. - Ale dopiero zaczynamy go sprawdzać. Jest na pewno prywatnym biznesmenem. Rozmawiałem już z naszymi ludźmi we Włoszech i poprosiłem, aby dowiedzieli się czegoś więcej na jego temat.

- Osobiście skontaktuję się z Włochami - dodał Procter. - Chcę wiedzieć wszystko, co się da o tym osobniku. I to szybko.

- W latach 80. był naszym informatorem - napomknął mimochodem Ferguson.

Procter i Sykes spojrzeli na niego.

- Jesteś tego pewien? - spytał Procter.

- Raczej tak - odrzekł Ferguson. - Był jednym z moich informatorów.

- Opowiadaj.

Ferguson skinął głową.

- To wykształcony prawnik z bogatej rodziny, jednak zadawał się z bardzo nieprzyjemnymi ludźmi. Kiedy go poznałem, robił

interesy ze skorumpowanym oficerem armii radzieckiej. Przekazywał mi pozyskiwane od tego generała informacje o ich wojsku, metodach szkolenia, uzbrojenia i tego typu rzeczy. W zamian przymykałem oko na handel bronią, jaki prowadził w imieniu Rosjanina. Chodziło głównie o wysyłkę kałasznikowów i granatników do Afryki.

- I co od tego czasu robił? - dopytał Procter.

Ferguson wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Odkąd runął mur, nie mieliśmy z niego większego pożytku, a zresztą z tego, co pozostało po okrojeniu mojego budżetu, nie mógłbym mu dalej płacić tyle, ile chciał.

Podejrzewam, że nadal robi to, w czym jest najlepszy - czyli handluje niedozwolonymi towarami, bronią, ludźmi, informacjami. Ma własne przedsiębiorstwo, to znaczy, że daleko zaszedł. I jeżeli nadal istnieje na rynku, to albo przerzucił się na legalną działalność, albo okazał się wystarczająco cwany, by nie dać się złapać i nie nadebrać nikomu na odcisk.

- Aż do teraz - skwitował chłodno Procter. - Mamy teczkę tego pajaca?

Ferguson przytaknął.

- A twoje prywatne notatki?

- Wygrzebię je dla ciebie.

- I jeszcze coś. Alvarez. - dodał Procter.

- Tak, proszę pana?

- Słyszałem już o tym, co się stało z Johnem Kennardem. Przykro mi.

- Mnie też.

- Nie poznałem go, ale słyszałem, że był dobrym człowiekiem. Co mu się stało?

- Miał po prostu pecha. Pojawił się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Ferguson i Sykes nie drgnęli.

*

Na korytarzu przed salą konferencyjną Sykes zaczekał na Fergusona. Serce mu łomotało i choć starał się zachować zimną krew, wyglądał, jakby właśnie robił w gacie.

Ferguson został na chwilę, aby zamienić dwa słowa z Procterem. Sykes potrzebował

natychmiast się z nim naradzić. Alvarez był o krok od namierzenia Hoyta. Sytuacja z prędkością światła z niedobrej stawała się beznadziejna.

Minęło pięć minut, nim w końcu Ferguson wyszedł z pokoju w ślad za szefem, z perspektywy Sykesa trwało to jednak pięć godzin. W oczekiwaniu na przełożonego co najmniej trzy razy zdążył już wytrzeć pot z twarzy.

Kiedy Procter nie mógł ich już słyszeć, Sykes podszedł do Fergusona.

- Zanim cokolwiek powiesz - zaczął Ferguson - nabierz powietrza i się ogarnij.

Sykes wziął głęboki oddech, ale choćby wziął ich nawet tysiąc, wątpił, czy zdołałby się uspokoić.

- Mamy przerąbane - stwierdził.

- To twoja opinia jako profesjonalisty?

Sykes nigdy nie widział, by Fergusonem coś wstrząsnęło. Teraz też nie wyglądał na przejętego.

- Jak w tej sytuacji może pan zachowywać spokój?

- Ponieważ, w przeciwieństwie do ciebie, dla mnie nie jest to pierwszy nieoficjalny projekt - odparował Ferguson. - A po za tym mam tu coś - dorzucił, kładąc dłoń na kroczu.

- Co to w ogóle, kurwa, było? - wyszeptał Sykes. - Odkąd zna się pan z Hoytem?

- Od zawsze.

- To dlaczego, na Boga, nic mi pan nie mówił?

- Nie było takiej potrzeby.

- Gówno prawda. A co z tym całym gadaniem, że mamy się upewnić, że nie jesteśmy powiązani z nikim, kto bierze udział w tej operacji?

- Nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy sięgnąć po Hoyta. Potrzebowaliśmy zabójców spoza listy CIA, a nie wiem jak ty, ale ja zbyt wielu takich nie znam. Tymczasem Hoyt ma w tych kręgach znajomości. Okazał się niezbędny do osiągnięcia naszych celów. Fakt, że był

moim dawnym informatorem, nie miał tu żadnego znaczenia.

- Tyle, że teraz ściga go Alvarez. A kiedy go znajdzie, dopadnie też i nas.

- Nie mogliśmy przewidzieć, że Hoyt dostarczy pieniądze Stevensonowi osobiście.

Spodziewałem się, że zachowa się ostrożniej.

Sykes wpatrywał się w Fergusona.

- Chciwość sprawia, że ludzie zapominają o przezorności.

Ferguson zignorował ton Sykesa.

- I nie mogliśmy też przewidzieć, że Stevenson okaże się takim paranoikiem i udokumentuje spotkanie. Właśnie takie sytuacje my, dorośli, zwykliśmy w tej branży nazywać pechem.

- Przezorny zawsze ubezpieczony - zauważył Sykes z sarkazmem.

- W rzeczy samej - stwierdził Ferguson, zaś Sykes nie był pewien, czy przełożony nie zauważył charakteru wypowiedzi, czy też świadomie go zignorował. - Dlatego też mamy Reeda. Każ mu wsiąść do następnego samolotu lecącego do Mediolanu i rozprawić się z Hoytem.

- Reed prawdopodobnie znowu szykuje zasadzkę na Rebeke Sumner.

- Sprawa z Hoytem jest o wiele pilniejsza.

- Ale co z Alvarezem?

- Nie podejmie działań przeciwko Hoytowi, dopóki nie dowie się o nim absolutnie wszystkiego. Reed będzie miał mnóstwo czasu, by zrobić swoje.

- No dobra, ale dlaczego, do diabła, musiał pan w ogóle opowiedzieć im o Hoycie?

Mógł pan przecież poczekać, a tak tylko pan ich przybliżył do rozwiązania zagadki.

- Słuchaj uważnie i się ucz. Powiedziałem im o Hoycie, bo jutro albo pojutrze i tak by wykryli, że był moim informatorem. I to z gatunku tych, o których szybko się nie zapomina.

Jakby to wyglądało, gdybym nie wspomniał o tym sam? Podejrzenie, to mało powiedziane.

- A co, jeśli dziewczyna znowu zniknie? Już raz w Marsylii Reed się z nią rozminął.

- Jestem tego w pełni świadom. Jak tylko Reed upora się z Hoytem, może załatwić Sumner. Masz rezerwowy punkt, gdzie można ją zaatakować? - Sykes przytaknął. - No to się tym nie przejmuj. Nawet, jeśli dziewczyna ruszy się z miejsca, to nie jest przecież agentem polowym. Za długo nie utrzyma się przy życiu.

- Mam taką nadzieję.

Sykes oparł się o ścianę i ciężko westchnął, po czym podrapał się po karku.

- Presja sytuacji dopadła cię, Sykes? - spytał Ferguson.

- Praktycznie rzecz biorąc, owszem - odparł. - Nie spodziewałem się tego całego gnoju.

- Witamy w CIA - gorzko skwitował Ferguson.

ROZDZIAŁ 35

SANKT PETERSBURG, ROSJA

SOBOTA 16:23 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Kiedy Wiktor wylądował, na dworze panował dwudziestopięciostopniowy mróz, przez co krótkie oczekiwanie na taksówkę przed budynkiem lotniska okazało się przykrym doświadczeniem. Poprosił kierowcę, by zabrał go do najlepszego hotelu, jaki zna oraz podkręcił ogrzewanie. Taksówkarz wymamrotał, że jest wystarczająco ciepło. Kiedy jednak pokazał mu w lusterku wstecznym dwudziestodolarowy banknot, przełącznik ogrzewania powędrował na maksymalną pozycję.

Od jego ostatniego pobytu w Rosji upłynęło parę lat. Choć Federacja Rosyjska wraz z najbliższymi sąsiadami stanowiła ogromny rynek dla zawodowych zabójców, gdy tylko było to możliwe, wołał unikać podróży do tej części świata. Na początku kariery wykonał tu kilka zleceń, wyrabiając sobie reputację w regionie. Swego czasu specyficzna sława mu służyła, teraz jednak znalazł się przez nią na celowniku.

Taksówkarz wiozł go w głąb miasta. Wiktor postrzegał Petersburg jako miasto kontrastów. Nowoczesne drapacze chmur epoki kapitalizmu sąsiadowały z podupadłymi gmachami z czasów radzieckich, zaś między nimi, jakby nie na miejscu, stały wspaniałe budowle carskiej Rosji, które przetrwały wojnę. Nie inaczej było z pogodą. W środku lata upały mogły dorównywać temperaturom w Madrycie, lecz zimą niełatwo było znaleźć na świecie mroźniejsze miasto.

Hotel był drogi jak na petersburskie warunki, stanowił zatem dla niego całkiem rozsądną opcję. Zarezerwował pokój na tydzień, choć planował zatrzymać się na najwyżej kilka dni. Zawsze uważał, że lepiej, by hotelowy personel wiedział o jego planach jak najmniej. Kolejną taksówką udał się na wschód. Podał kierowcy wskazówki dojazdu do baru zagubionego pośród dzielnic przemysłowych. Od czasu jego ostatniej wizyty nazwa lokalu zmieniła się, miał jednak nadzieję, że właściciel pozostał ten sam.

Zamówił wódkę, usiadł na końcu długiego baru i spokojnie ją sączył. Kiedy skończył, skinął na barmana z prośbą o następną kolejkę. Zwrócił się do niego w płynnej ruszczyźnie z lekkim ukraińskim akcentem.

- Szukam Aleksandra Norimowa.

Powiedział to takim tonem, jakby po prostu informował barmana i nie spodziewał się konkretnej odpowiedzi, lecz młodzieniec wyraźnie się spiał.

- Znałem go kiedyś - dodał, udając, że nie zauważył jego reakcji.

Barman potrząsnął głową.

- Nie wiem, o kogo panu chodzi.

- Nadal jest właścicielem lokalu?

Młody wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Podał mu kolejną wódkę i odszedł na drugi koniec baru. Wyciągnął ścierkę i zaczął

przecierać blat, co jakiś czas zerkając w stronę gościa. Po dwóch minutach podszedł do automatu telefonicznego i wrzucił kilka monet. Wiktor nie słyszał rozmowy, nie widział też ust barmana, więc nie mógł czytać z ruchu warg. Połączenie trwało najwyżej czterdzieści pięć sekund, po czym młody wrócił do czyszczenia baru. Tym razem nie spojrzał na klienta ani razu.

I dobrze. Wiktor nie sądził, by musiał długo czekać.

*

Kiedy skończył rozkoszować się trzecim kieliszkiem wódki, do baru weszło dwóch mężczyzn. Obaj mierzyli sporo ponad metr osiemdziesiąt i mieli sylwetki zawodowych ciężarowców. Typowo rosyjską bladłość twarzy znaczyły zaczerwienione z zimna policzki.

Zauważył, że pod długimi płaszczami mogli skrywać coś więcej niż tylko ciała wymarzone na petersburskich ulicach.

Obserwował ich kątem oka, pochłaniając w tym czasie porcję chipsów. Podeszli do baru i wymienili szeptem kilka słów z barmanem. Ten nie podał im nic do picia, tylko wskazał w jego stronę. Mężczyźni powoli do niego podeszli, nie okazując żadnego niepokoju, a jedynie arogancję wynikającą zarówno z ich tężyzny, jak i statusu. Najwyraźniej nie wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Obrócił się na stołku i odchylił głowę do tyłu, aby się im przyjrzeć. Mężczyźni rzucali na niego cień.

- Kim jesteś? - spytał jeden z nich.

Miał głęboki, rezonujący głos i mówił z twardym syberyjskim akcentem.

Doświadczenie nauczyło Wiktora, że mieszkańcy Syberii wyróżniają się jako wyjątkowi twardziele pośród i tak szorstkich w obyciu Rosjan.

- Jestem znajomym Aleksandra Norimowa.

Gość z Syberii zamilkł na chwilę, po czym spytał:

- Kogo?

- Właściciela tego baru.

- On nie jest już właścicielem.

- Czyli jednak wiecie, o kim mówię?

Mięśnie w szczęce Rosjanina się napięły.

- Norimow umarł w zeszłym roku.

Wiktor powoli wypuścił powietrze.

- A zatem dziękuję za to, że przybyliście tu tylko po to, żeby mnie o tym poinformować. To naprawdę bardzo miło z waszej strony.

Sybirak ucichł z lekko otwartymi ustami, niepewny, czy Wiktor mówił serio, czy też zdobył się na sarkazm.

- Czego chcesz od Norimowa?

- Jakie to ma znaczenie, skoro nie żyje?

Sybirak potrząsnął z niedowierzaniem głową, lecz w jego oczach widać było groźbę.

- Za kogo ty się, kurwa, uważasz?

- Jestem znajomym Aleksandra Norimowa.

- Głuchy jesteś? Powiedziałem, że nie żyje. Marnujesz swój czas.

- Dopijam drinka.

Wskazał na pusty kieliszek po wódce.

- Już dopiłeś - odpowiedział Sybirak.

- Obawiam się, że w tej kwestii jestem innego zdania. Zaskakująco szybko, jak na kogoś jego rozmiarów, Rosjanin trącił szkło wierzchem dłoni. Kieliszek roztrzaskał się o ścianę za barem. Wszystkie pozostałe rozmowy w lokalu naraz ustały. Na ustach Rosjanina zagościł uśmiech satysfakcji.

- No, to teraz już dopiłeś.

- Zabierzcie mnie do Norimowa czy nie?

Sybirak roześmiał się.

Wiktor westchnął.

- Mam to uznać za odpowiedź odmowną?

- Jak sobie chcesz.

- A zatem chyba już sobie pójdę.

Wstał. Przed nim znajdował się Sybirak, za jego plecami Rosjanin. Sybirak posłał

groźne spojrzenie, w odpowiedzi na które Wiktor spuścił wzrok. Olbrzym głośno odetchnął i pozwolił sobie na półuśmiech. Najwyraźniej odebrał gest przybysza jako oznakę uległości.

Odsunął się na bok, pozwalając mu przejść, po czym spojrzał na kolegę i podniósł pytająco brwi. Jego towarzysz skinął twierdząco.

Żaden z nich w tym momencie nie zwracał na niego uwagi.

Minąwszy Sybiraka, uniósł lewe ramię i wyrzucił je w tył, wbijając łokieć w twarz osiłka. Poczuł, jak trafiona chrząstka się przemieszcza. Mężczyzna zacharczał, z nosa trysnęła krew, a oczy napełniły się łzami. Nieprzytomny upadł do tyłu na ladę baru.

Obrócił się i zobaczył, jak drugi z gości wyciąga z kieszeni płaszcza pistolet Makarowa typu Bajkał. Lepiej dla faceta byłoby, gdyby po prostu złapał cel od tyłu, on jednak tego nie zrobił, decydując się na sięgnięcie po broń. Jego sprawa.

Zrobił krok do przodu, wchodząc w zasięg ramion przeciwnika i uniemożliwiając mu skorzystanie z broni, odepchnął pistolet na bok i podstawą prawej dłoni uderzył Rosjanina w bok klatki piersiowej, gdzie nie chroniła go gruba powłoka mięśni. Rozległ się trzask łamanych żeber. Mężczyzna upadł z jękiem, a jego pistolet uderzył o twardą posadzkę.

Wiktor skupił uwagę ponownie na Sybiraku, który z wysiłkiem podniósł się na nogi. Pomimo rozbitego nosa nie tracił czasu i wyciągnął z płaszcza rozkładany nóż.

Wysunął ostrze i rzucił się w jego stronę, lecz Wiktor złapał go za nadgarstek i łokieć, blokując i wykręcając mu ramię. Sybirak krzyknął, a nóż wypadł mu z dłoni. Wiktor puścił

rękę i uderzył przeciwnika pięścią w brzuch. Ten prawie nie drgnął.

Chwycił przybysza za poły kurtki, unióś w powietrze i cisnął do tyłu. Lądowanie było twarde, ale dla złagodzenia upadku się przeturłał. Kiedy stanął na nogi, Sybirak już pędził ku niemu. Przechylając się na boki, Wiktor uniknął dwóch kolejnych ciosów, pozwalając, by wielkie jak bochny pięści przeciwnika przeleciały obok niego, a on sam stracił równowagę.

Następnie kopnął go we wgłębienie pod kolanem. Wielkolud upadł do przodu. Nim wstał i się odwrócił, Wiktor zdążył podnieść z ziemi pistolet.

Kilogram stali spotkał się ze szczęką gościa i rzucił go na kolana. Drugie uderzenie, tym razem w skroń, zagwarantowało, że delikwent się nie podniesie.

Sięgnął do płaszcza Sybiraka i wyciągnął pistolet z kabury pod pachą. Również bajkał. Rzucił go na ziemię za ladę i się rozejrzał. Goście lokalu siedzieli w absolutnym milczeniu, osłupiali i sparaliżowani strachem. Nie trzeba im było mówić, żeby nie próbowali żadnych sztuczek.

Wcisnął lufę w twarz Sybiraka.

- Wstawaj.

Rosjanin splunął zębami i podniósł się na nogi, jedną ręką tamując krwotok z nosa, drugą trzymając się za skroń.

- Obróć się - polecił. - Połóż głowę na ladzie.

Sybirak się zawahał. Podniósł ręce do góry. Wiktor złapał go za włosy i przycisnął

twarzą do blatu, tak by złamany nos przyjął na siebie siłę uderzenia. Rosjanin krzyknął.

Przytknął pistolet do podstawy jego czaszki.

- Gdzie jest Norimow?

Bez odpowiedzi.

Ponownie uderzył twarzą typa w bar, wywołując kolejny okrzyk bólu.

- Gdzie on jest?

Znowu bez odpowiedzi.

- Ty, za barem, podaj mi butelkę najmocniejszej wódki - rozkazał.

Barman wyglądał na dwudziestolatka i pewnie nigdy nie widział broni. Sytuacja wyraźnie go przerastała. Był zbyt przerażony, by się ruszyć.

Wycelował w niego pistolet.

- Zrób to albo ozdobię ścianę zawartością twojej czaszki i sam sobie sięgnę.

Większej zachęty barman nie potrzebował.

Wiktor jeszcze mocniej przycisnął pistolet do czaszki osiłka.

- W twoim bajkale mieści się dziesięć nabojów. Jeśli się ruszysz, co do jednego wpakuję ci je w twarz. Zrozumiano?

Przyjął milczenie za odpowiedź twierdzącą. Cofnął się i rzucił okiem na Rosjanina, który zwijał się na ziemi, a każdy oddech sprawiał mu potworne cierpienie. W takim stanie nie był groźny. Ani na chwilę nie spuszczał Sybiraka z oczu, przyklęknął i

podniósł

wysuwany nóż. Wstał, obrócił go w dłoni i kierując ostrze ku dołowi, przebił nim ucho wielkoluda, przyszpilając go do blatu.

Nie zważając na krzyki, wziął od barmana butelkę wódki, upewnił się, że jest wystarczająco mocna i przeszedł na drugi kraniec baru. Wyciągnął zębami dozownik i ruszył

ku Sybirakowi, wylewając alkohol na blat. Kiedy wrócił na miejsce, wylał resztę wódki na głowę olbrzyma. Rosjanin zasyczał, ale nie drgnął - najmniejszy ruch powodował, że ostrze noża głębiej wżynało się w ucho.

Spojrzał na barmana.

- Znajdź jakąś zapalniczkę.

Sybirak wreszcie odzyskał mowę.

- Nie.

Wiktor złapał za rękojeść noża i przekręcił, mężczyzna zawył z bólu.

- Zamknij się.

Barman podał zapalniczkę.

- Nie - odparł Wiktor. - Pójdź z nią na drugi koniec lady.

Chłopak niechętnie oddalił się.

- Nie - ryknął ponownie Sybirak. - Proszę.

- Miałeś szansę grzecznie to załatwić - cały czas trzymał pistolet przyciśnięty do czaszki mężczyzny, a teraz owinał lewą dłoń wokół jego włosów i przycisnął go jeszcze mocniej do baru. - Teraz zrobimy to po mojemu.

Rosjanin dyszał i wyrwał się, wielkimi łapami chwytając się brzegu lady. Na jej powierzchni krew mieszała się z rozlaną wódką.

- Powiesz mi, gdzie mogę znaleźć Norimowa i obym ci uwierzył - spojrzał na barmana. - Podpalaj - ponownie popatrzył na Sybiraka. - Masz jakieś dziesięć sekund, a potem zapłoniesz jak pochodnia.

Kątem oka olbrzym dostrzegł, jak chłopak odpala zapalniczkę i przysuwa niewielki płomyk do blatu. Wódka zajęła się i rozbłysła na niebiesko. Ogień ruszył wzdłuż baru.

- Dziewięć sekund - zauważył beznamiętnie.

- Dobrze już, dobrze! - wrzasnął wielkolud. - Powiem ci.

- Mów teraz. Siedem sekund.

- Bocznicą kolejową Kałary.

- Zabierzesz mnie tam? Cztery sekundy.

- Tak.

Wiktor puścił włosy i wyrwał nóż z jego ucha. Facet natychmiast odskoczył do tyłu, chwilę później jego głowę ogarnęłyby płomienie. Zatoczył się i upadł na stolik, który załamał

się pod jego ciężarem. Przez moment leżał oszołomiony, oddychając ciężko pośród resztek mebla. Kiedy spojrzał w górę, zauważył stojące go nad sobą mężczyznę.

- No więc na co czekamy? - rzucił Wiktor.

ROZDZIAŁ 36

ZURYCH, SZWAJCARIA

SOBOTA 13:11 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Rebecca wsiadła do tramwaju. Panujący tego dnia chłód wydawał jej się orzeźwiający.

Usiadła na końcu wagonu, aby móc obserwować pozostałych pasażerów w ramach środków ostrożności, których znaczenie podkreślał jej nowy partner... czy współnik... czy jak mu tam.

Pojechała do dzielnicy finansowej, mijając po drodze wysprzątane ulice. Cały czas trzymała nerwy na wodzy. Lubiła Zurych i dyskretny, skuteczny sposób, w jaki Szwajcarzy zwykli załatwiać swoje sprawy. Pomimo niezwykle bogatej historii miasto nie było jeszcze zdeptane przez turystów. Ludzie przyjeżdżali do Szwajcarii w interesach albo na narty, a nie żeby zwiedzać.

Mogłaby odbyć całą podróż bez wysiadania z cichego tramwaju, lecz obawa, że ktoś ją może obserwować, skłoniła ją, by wysiąść i zatoczyć krąg po okolicy. Zatrzymywała się co jakiś czas przy sklepowych witrynach i przyglądała się odbiciom przechodniów. Tego też została niedawno nauczona. Nie zauważyła nikogo, kogo widziałaby już wcześniej, była jednak świadoma, że nie przeszkolono jej na potrzeby tego typu działań. Ktoś w głupim nakryciu głowy mógłby ją śledzić od samego Paryża, a ona pewnie i tak by go nie zauważyła.

Kiedy opanowała strach, złapała kolejny tramwaj i zajęła ostatnie dostępne siedzenie.

Ustała miejsca starszemu panu o smutnej twarzy, który wsiadł na Bahnhofstrasse.

Trzy przystanki dalej wysiadła w centrum Zurychu. Tutaj wszyscy byli ubrani podobnie jak ona, więc rozluźniła się i wmieszała w tłum. Teraz poruszała się nieco spokojniej.

Po drodze mijała butiki i kawiarnie wypełnione hordami bankierów, którzy czuli się w Zurychu jak w domu. Na każdym kroku natykała się na banki lub siedziby innych instytucji finansowych, z których część otwarcie reklamowała swoje usługi, część zaś nie obnosiła się ze swoją działalnością.

Zimne powietrze szczypało w twarz. Myślała o nim - o zabójcy, którego imienia nawet nie знаła. Spojrzała na zegarek. Rozstali się parę godzin temu. Nachodziły ją wątpliwości, czy słusznie postąpiła. Nie mogła mu przecież zaufać. Bo niby jak? Zabijał ludzi dla pieniędzy. Trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej pozbawionego honoru.

Miała jednak nadzieję, że chęć przeżycia była u niego równie wielka, jak u niej. Nie ulega też wątpliwości, że był bystry, a inteligentny facet w jego położeniu musi zdawać sobie sprawy z faktu, że współpraca z nią może mu przynieść korzyści. Żadne z nich nie poradzi sobie w pojedynkę - rzecz jasna, przyjmując, że nie zdoła własnymi metodami odszyfrować zawartości pendrive'a, Wtedy mógłby spróbować działać na własną rękę, a Rebecca zostałaby bezbronna i sama.

Oddechnęła głęboko, zmuszając się do racjonalnego myślenia. Widziała jego twarz, widziała w oczach niewzruszoną wiarę we własne możliwości oraz całkowite niezadowolenie z faktu, że potrzebował czyjejś pomocy. Gdyby miał chociaż cień szansy, że poradzi sobie sam, w ogóle by się do niej nie zgłosił. W to przynajmniej wierzyła.

W sklepie na Paradeplatzu Rebecca kupiła kilka czekoladowych ciasteczek. Dawały fantastyczny efekt placebo i pomogły jej uspokoić żołądek. Następnie skręciła z głównego placu w mniej uczęszczaną boczną uliczkę. Swobodnie pokonała stopnie i przeszła przez obrotowe drzwi, uprzejmie uśmiechając się do portiera.

Wnętrze nie przypominało typowego banku i o to właśnie chodziło. Hol bardziej pasował do ekskluzywnego hotelu. Rebecca podeszła do informacji i podała swoje dane schludnie ubranemu pracownikowi. Mężczyzna gładkim, wyćwiczonym ruchem podniósł

słuchawkę i wyszeptał w nią kilka słów.

- Za chwilę ktoś się panią zajmie.

- Dziękuję.

W oczekiwaniu na obsługę usiadła w jednym z eleganckich, lecz niewygodnych foteli, podpierając podbródek dłonią. Starła się sprawiać wrażenie pośpiechu, lecz nie amoku. Choć w banku było ciepło, nie zdjęła płaszcza.

Po kilku minutach zauważyła idącego w jej stronę szczupłego mężczyznę w beżowym garniturze. Wstała, żeby się z nim przywitać. Razem wsiedli do obitej drewnianymi panelami windy i udali się na drugie piętro. Rebecca podążyła za mężczyzną do kolejnego pomieszczenia, gdzie na klawiaturze małego przenośnego urządzenia wstukała swój dziesięciocyfrowy numer konta.

Pracownik banku sprawdził potwierdzenie na wyświetlaczu i rzucił:

- Tędy proszę.

Minęli dwóch strażników i dotarli do biura wyższego rangą bankiera, gdzie Rebecca podziękowała za zaproponowaną kawę, po czym została wprowadzona do środka i poproszona, by znowu zaczekała. Gabinet był umeblowany w klasycznym stylu i miał w założeniu emanować bogactwem i potęgą. Rebecce wydał się nudny i staroświecki. Wołała nowoczesny wystrój. Przedłużający się czas oczekiwania zaczynał ją nużyć - tym bardziej, że z wyprzedzeniem zapowiedziała swoją wizytę.

Upłynęło pięć minut i do pomieszczenia wszedł niski mężczyzna w okularach i z nadwagą. Miał na sobie elegancki garnitur w prążki, którym daremnie usiłował zamaskować swoją talię.

- Panna Bernstein - zwrócił się do Rebeki. - Jak miło znowu panią widzieć.

Dotychczas Rebecca spotkała się z nim raz, nieco ponad trzy tygodnie wcześniej, kiedy zakładano konto z funduszami operacyjnymi. Wydawało jej się, że było to wieki temu, lecz mężczyzna zdawał się ją rozpoznawać. Albo przynajmniej udawał, że ją pamięta.

Uścisnęła jego dłoń - miękką, ciepłą i lekko wilgotną.

- Mnie również miło, że znów się spotykamy.

Joel Malliat rozsiadł się w masywnym fotelu z czerwonej skóry. Wyglądał w nim komicznie, gdyż fotel go przytłaczał. Podobnie jak przy pierwszym ich spotkaniu, Rebecca udawała, że tego nie zauważa. Jednocześnie zastanawiała się, jak wielu klientów stosowało tę samą taktykę.

Kobieta rozpięta i zdjęła płaszcz, po czym powoli przewiesiła go przez krzesło, pozwalając Malliatowi dokładnie zmierzyć ją wzrokiem. Miała na sobie o jeden rozmiar za ciasny kremowy sweter, który ciasno opinał jej ciało. Pod spód włożyła biustonosz typu *push-up* z poduszkami, dzięki któremu jej piersi zdawały się kilka rozmiarów większe. Skutek połączenia obcisłego swetra z takim stanikiem w pierwszej chwili sprawił, że aż zaniemówiła.

Miała nadzieję, że wybieg okaże się równie skuteczny w wypadku Malliata.

Możliwe, że świat nadal należał do mężczyzn, jednak Rebecca zdawała sobie sprawę z przewagi, jaką miały kobiety nad płcią przeciwną. Wystarczyło nieco ich pobudzić, a przydatna w mózgu krew natychmiast odpływała w zupełnie inne rejony.

Przez kilka minut wymieniali uprzejmości, Malliat wykorzystał wszystkie zagrania czarującego acz godnego zaufania bankiera. Rebecca nie starała się przerywać mu zabawy i pozwoliła, by we własnym tempie przeszedł do właściwego tematu ich spotkania.

- Z pewnością jest pani zajęta, panno Bernstein - stwierdził Malliat. - Jak więc mógłbym dziś pani pomóc?

- Wystąpił drobny problem z pewnymi transakcjami i miałam nadzieję, że pomoże mi go pan rozwiązać.

Mężczyzna wyglądał na zaniepokojonego.

- Problem z transakcjami?

- W żadnym wypadku nie jest to wina banku. Wie pan, wstyd przyznać, ale zgubiłam dane jednego z moich

klientów. Jedna z moich byłych pracowniczek okazała się, cóż, niekompetentna i zdaje się, że przypadkowo usunęła z naszego systemu pewne dane, których nie jesteśmy już w stanie odtworzyć.

- Nad wyraz niefortunna sytuacja.

- Postawiło mnie to w niezręcznej sytuacji - ciągnęła. - Nie jestem w stanie skontaktować się z moim klientem. Bardzo ważnym klientem. Dysponuję jedynie jego numerem konta, który znam dzięki wpłatom, jakie robił na mój rachunek.

- Rozumiem - ze współczuciem zauważył bankier.

- A zatem, panie Malliat... Panie Joel. Byłabym panu dozgonnie wdzięczna, jeśli mógłby pan mi podać dane kontaktowe dotyczące tego rachunku.

- Niezmiernie mi przykro, panno Bernstein, lecz ta informacja jest poufna i dzieląc się nią z panią, postąpiłbym wbrew zasadom etyki zawodowej.

- Rozumiem pańskie położenie, ale nie proszę pana o żadne dane, którymi bym uprzednio nie dysponowała. Jeszcze kilka dni temu ta informacja figurowała w moim systemie. Ujawniłby pan coś, co i tak wiedziałam.

Malliat uśmiechnął się ze współczuciem.

- To nie zmienia sytuacji. Po prostu nie wolno mi przekazać pani tych danych.

Sugeruję zatrudnić jakiegoś specjalistę od komputerów, który odzyska skasowane pliki.

- Już to zrobiłam, ale się nie udało.

- Jestem pewien, że pani klient wcześniej czy później się z panią skontaktuje.

- Podobnie do - jak sądzę - wielu klientów pańskiego banku, nie prowadzę interesów, w których dochodziłoby do częstych kontaktów między przedsiębiorstwem a partnerami.

Mówiąc to, położyła dostateczny nacisk na kluczowe sformułowania, by sens wypowiedzi stał się jasny.

- Nie wiem, co na to odpowiedzieć - odparł Malliat.

- Proszę powiedzieć, że mi pan pomoże. Muszę natychmiast skontaktować się z moim klientem.

- Bardzo mi przykro, ale po prostu nie mogę zrobić tego, o co mnie pani prosi.

Subtelne podejście zawiodło. Przyszła więc pora na plan B. Rebecca gwałtownie zerwała się na nogi i podeszła do okna, pozwalając mu napatrzeć się na jej pośladki, nogi oraz ośmiocentymetrowe obcasy, przez które nie czuła już stóp. Kiedy dała mu już szansę podziwiania jej krągłości, odwróciła się. Zauważyła, że musiał podnieść wzrok, by spojrzeć jej w oczy.

- To nie do pomyślenia - powiedziała, kładąc ręce na biodrach. - Jestem właścicielką konta i mam prawo wiedzieć, kto zdeponował na nim setki tysięcy dolarów. Jeśli nie wyświadczy mi pan tej drobnej przysługi, będę zmuszona zamknąć rachunek i przenieść się z moimi pieniędzmi do któregoś z pańskich konkurentów.

Spostrzegła, że Malliat przeprowadza w myślach szybkie obliczenia. Rebecca знаła już ich wynik. W niecałe trzy miesiące na koncie pojawiły się niemal dwa miliony dolarów.

Przy takim tempie na przestrzeni roku uzbierałoby się przynajmniej osiem milionów. To stanowczo za dużo pieniędzy, by zrezygnować z odsetek przez coś tak nieznaczącego jak nazwisko i adres.

Malliat westchnął i po minucie skinął głową.

- W porządku - zaczął. - Pomogę pani, lecz nie dam pani tego, o co pani prosi.

- Czyli jednak mi pan nie pomoże, ja zaś nie będę więcej korzystała z pańskich usług.

Chciałabym natychmiast podjąć wszystkie ulokowane środki. I to w banknotach o nominale stu euro.

- Proszę poczekać - rzucił pospiesznie Malliat. - A co, jeśli podam pani dane księgowego, który dokonywał wpłat w imieniu posiadacza rachunku? To by wystarczyło?

Rebecca powstrzymała uśmiech. Na nic więcej nie liczyła.

- Wygląda na to, że będzie musiało wystarczyć.

ROZDZIAŁ 37

SANKT PETERSBURG, ROSJA

SOBOTA 16:58 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Skorzystali z samochodu Sybiraka. Wiktor usiadł z tyłu po prawej, dzięki czemu mógł

obserwować kierowcę. Jechali podrasowanym czarnym BMW z lat osiemdziesiątych.

Wnętrze cuchnęło starym dymem papierosowym, a tapicerka była ciemna i poplamiona Zamknął Rosjanina z połamanymi żebrami na zapleczu baru, każąc barmanowi wypuścić go po godzinie. Jeśli zrobiłby to wcześniej, wówczas Wiktor wróciłby, by go własnoręcznie wykastrować. Po mokrej plamie na jeansach chłopaka poznał, że jego groźba została potraktowana poważnie.

Jechali w milczeniu. Kierowca skupiał się na drodze, wioząc go przez rejony miasta, których ten nie poznawał. Wzdłuż ulic ciągnęły się bezimienne zakłady przemysłowe, między którymi rozciągały się martwe obszary nieużytków, zaś na horyzoncie z wysokich wież wydobywały się kłęby pary, które następnie mieszały się z chmurami.

Po trzydziestu minutach samochód zwolnił. Z obu stron stały rzędy zaniedbanych magazynów, które od lat były puste i niszczały. Jezdnia była nierówna i dziurawa, a przy krawężnikach leżały śmieci i płynęły ścieki.

- Jesteśmy na miejscu.

Plot z siatki i brama przegradzały im drogę. Przed bramą stał wysoki mężczyzna w czapce z karakułów i palił papierosa. Za nim, po drugiej stronie płotu, Wiktor dostrzegał

długie, niskie i pociemniałe od zanieczyszczeń budynki.

Sybirak zatrzymał samochód pięć metrów przed bramą i opuścił szybę od strony kierowcy. Wysoki mężczyzna wyrzucił papierosa i podszedł do wozu. Pochylił się, zajrzał do środka i zagwizdał na widok pokierszowanej twarzy prowadzącego.

- Jasny gwint, Siergiej - skomentował. - Kolejny zazdrosny drań z łomem? - już się miał roześmiać, gdy zauważył siedzącego z tyłu Wiktora. - A to, kurwa, kto?

Nim Sybirak zdążył odpowiedzieć, odezwał się Wiktor.

- Powiedz Norimowowi, że Wasilij przyjechał się z nim zobaczyć.

Pod karakułową czapą twarz strażnika zmarszczyła się w skupieniu. Odsunął się od samochodu i wyciągnął telefon, którego wstydziłby się każdy zachodni nastolatek. Na czas rozmowy odwrócił się plecami do wozu. Po dziesięciosekundowym połączeniu schował

komórkę. Kiedy ponownie spojrzał na Wiktora, w jego oczach widać było strach.

- Przejeżdżajcie.

Otworzył bramę i Sybirak wjechał na rozległy plac pokryty nierównym asfaltem, w którym błyszczały kałuże brudnej wody wymieszanej z olejem. Ciemne chmury na niebie zasłaniały gwiazdy.

Samochód powoli podjechał w stronę dwóch wielkich budynków fabrycznych. Trochę dalej z boku leżał zardzewiały szkielet wagonu. Samochód skręcił w alejkę między dwoma budynkami i się zatrzymał. Otworzyły się drzwi garażowe prowadzące do jednej z fabryk.

Sybirak wskazał na nie.

- Tędy.

Wysiadł z wozu, udając, że nie zauważa ciemnej sylwetki faceta czającego się w górze na pochyłym dachu ani też tego, który stał w fabryce za jego plecami. Z rozmysłem poruszał

się powoli, nie chcąc sprowokować żadnego nerwowego Rosjanina, do niepotrzebnego strzału.

Skierował się w stronę wejścia, mimo zimna nie schował rąk do kieszeni. Przestrzeń wewnątrz zajmowały na wpełn zabudowane i pordzewiałe korpusy starych pociągów elektrycznych. Rozejrzał się, wyobrażając sobie, jak w czasach Związku Radzieckiego produkowane tu składy wysyłane były tysiące kilometrów do wszystkich zaprzyjaźnionych państw, a kiedy imperium legło w gruzach, zakłady zamknięto, najzwyczajniej w świecie wstrzymując pracę, by nigdy już jej nie wznowić.

Wiktor ujrzał, jak dwóch rosyjskich Rosjan wynurzyło się z cienia i skierowało w jego stronę. Grube ciuchy i gęste brody nadawały im bardziej małpi niż ludzki wygląd. Jeden zdawał się być po czterdziestce, a jego zarost przeplatały cienkie nitki siwizny. Na twarzy i szyi drugiego, młodszego, widać było blizny po dawnym poparzeniu.

Młodszy uzbrojony był w karabin szturmowy AK-74, czyli rozwojową wersję słynnego kałasznikowa. Lufa nie była wycelowana w gościa, jednak sposób, w jaki człowiek z blizną trzymał karabin, wskazywał, że w każdej chwili mógł przyjąć pozycję strzelecką.

Dawny wojskowy.

Starszy nie miał żadnej broni w rękach, ale to nie zebra tworzyły mu pod pachą nierówne wybrzuszenie. Rosjanin z kałasznikowem zatrzymał się w pewnej odległości, podczas gdy drugi podszedł do Wiktora.

Powoli rozpiął płaszcz i rozłożył ramiona pod kątem prostym, Rosjanin obszukał go bezceremonialnie, choć ze zmęczeniem w oczach. Usztywnił się, gdy w kieszeni płaszcza wyczuł bajkała. Wyciągnął go.

- Coś jeszcze? - spytał.

Wiktor potrząsnął głową. Rosjanin mimo to kontynuował rewizję. Gdyby miał przy sobie inną broń, strażnik znalazłby ją teraz.

- Tędy.

Brodacz obrócił się i poprowadził przybysza przez halę. Kilkanaście kroków z tyłu podążał za nimi drugi z kałasznikowem. W baraku było równie zimno i wilgotno, co na zewnątrz. W dachu budynku były dziury, toteż Wiktor ostrożnie wymijał powstałe pod nimi kałuże. Obaj Rosjanie mieli na nogach wojskowe buty i nie obchodziło ich, że stąpali po niemal zamarzającej wodzie. Ich ciężkie kroki odbijały się echem.

Doszli na drugi koniec zakładu i się zatrzymali. Metalowe schody prowadziły do pomieszczeń biurowych, z których roztaczał się widok na przestrzeń fabryczną. Zauważył

jednego z ludzi Norimowa na dachu pociągu, jak również kolejnego, skrytego w ciemnościach poniżej biur. Obaj byli uzbrojeni w karabiny szturmowe.

Człowiek, który go przeszukał, kazał mu poczekać i wszedł po schodkach do pomieszczenia na antresoli. Po minucie wyszedł, nie zszedł jednak na dół, lecz zajął pozycję na jednym ze stopni. Teraz także on miał w rękach kałasznikowa.

Pięciu ludzi z karabinami szturmowymi miało Wiktora na oku, a każdy z nich był tak ustawiony, że w razie otwarcia ognia nie ryzykowali trafienia się nawzajem. W zaistniałej sytuacji, gdyby tylko zechcieli, byłoby już po nim.

Musiał przyznać, że byli dobrzy w swoim fachu.

Otworzyły się drzwi biura i wyszedł z nich Norimow. Kiedy ostatni raz go widział, na jego głowie nie rosło już zbyt wiele włosów, teraz było ich jeszcze mniej. Te, które zostały, właściciel przyciął do zaledwie paru milimetrów. Był wysokim mężczyzną o kwadratowej twarzy, szerokich barkach i masywnych ramionach. Wyglądał ociężale, ale Wiktor wiedział, że wymiary Norimowa sprawiały mylne wrażenie. Kryło się w nim wystarczająco dużo zręczności i szybkości, by potencjalnych napastników spotkała niemiła niespodzianka.

Rosjanin zachowywał neutralny wyraz twarzy. Gęste brwi rzucały cień na głęboko osadzone oczy. Niegdyś ciemna broda była teraz równo przycięta i prawie siwa. Miał na sobie czarny garnitur, w którym wyglądał bardziej na szacownego biznesmena niż bezwzględного przedsiębiorcę i byłego rządowego agenta. Gdy jego oczy napotkały spojrzenie Wiktora, na jego twarzy zagościł półuśmiech zaciekawienia, oznaczający ostrożność wymieszaną z niedowierzaniem.

- Wasilij - zawołał Norimow. - Trochę mnie zaskoczyłeś.

Jego czysty i wyrafinowany głos współgrał ze starannym wychowaniem, które odebrał.

Odwzajemnił półuśmiech.

- Wiesz, że lubię efektowne wejścia.

- Wiem, wiem. Ale kiedy pięć minut temu odebrałem telefon i mi powiedziano, że tu jesteś, nie wierzyłem, że to naprawdę ty. Sądziłem, że następnym razem zobaczymy się po drugiej stronie Styksu.

- Mam więc rozumieć, że nie cieszysz się na mój widok?

- Ależ skąd - zaprzeczył Norimow i uśmiechnął się szerzej. - Tego bym nie powiedział.

- A co byś powiedział?

- Że twoje metody postępowania okazały się trochę przesadzone. Nie musiałeś obejść się tak ostro z Siergiejem i Dymitrem.

- Musiałem użyć języka, który by zrozumieli.

- A po rosyjsku próbowałeś?

- Chyba nieco wyszedłem z wprawy.

Norimow chrząknął.

- Oni się tylko o mnie troszczyli, dbali, by nikt mi niepotrzebnie nie zawracał głowy.

W dzisiejszych czasach muszę być bardzo ostrożny. Jeśli akurat nie czyhają na mnie moi rywale, robią to ci wredni skorumpowani gliniarze. Już sam nie wiem, którzy z nich są gorsi.

- Taka cena postępu - zauważył.

Norimow przytaknął.

- Jeszcze nigdy robienie interesów nie było tak bezlitosne. A ty wyglądasz jakoś inaczej.

- I o to właśnie chodzi.

- Operacja?

Skinął głową.

Norimow uśmiechnął się.

- Wcześniej byłeś ładniejszy.

- Wiem - przyznał Wiktor. - I w tym tkwił problem - przez chwilę patrzyli sobie w oczy. - Zamierzasz zejść tu do mnie?

Norimow oparł się oburącz na poręczu.

- Tutaj jest mi całkiem dobrze.

- Myślisz, że jestem tu, żeby cię zabić?

Nagła zmiana w obliczu Norimowa zdradziła, że Rosjanin właśnie tak sądził.

- Nie jestem uzbrojony - powiedział Wiktor, pokazując poły kurtki.

- Wierzę ci - odparł Norimow. - Ale odkąd to brak broni stanowi dla ciebie przeszkodę?

Przytaknął, przyznając rozmówcy rację i przyjmując komplement.

- Gdybym chciał cię zabić - wyjaśnił - nie stałbym teraz przed tobą. Chcę pogadać.

Norimow namyślał się przez moment. Wiktor wpatrywał się w Rosjanina, gotowy na każdą ewentualność, w tym i na to, że gestem ręki gospodarz poleci strażnikom otworzyć ogień. Wtedy najprawdopodobniej by zginął.

- Niech będzie - zgodził się w końcu Norimow. - Pogadajmy.

ROZDZIAŁ 38

17:27 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Znajdowali się w biurze nad fabryką. W pomieszczeniu ustawiono szafki z dokumentami i regały, dzięki którym wyglądało ono jak siedziba najzwyczajniejszego w świecie legalnego przedsiębiorstwa, nie zaś centrum decyzyjne organizacji przestępczej.

Norimow siedział za zwykłym polerowanym biurkiem, na którym stał srebrny laptop oraz stos papierów i kopert. Usiadł naprzeciw Rosjanina. Jeden ochroniarz stał za nim, inny za Norimowem, kolejny zaś tuż za drzwiami. Wszyscy byli uzbrojeni.

Przy tak silnej obstawie Rosjanin zdawał się niemal zakładnikiem w swoim własnym biurze. Wiktor zastanawiał się, od jak dawna to trwało i czy Norimow zdawał sobie sprawę, że stał się więźniem stworzonej przez siebie organizacji.

- Przepraszam za mało przyjazne powitanie, ale jestem pewien, że wybaczysz mi moje podejrzenia - zaczął mężczyzna. - Kiedy płatny zabójca składa ci niezapowiedzianą wizytę, lepiej przesadzić z ostrożnością, niż dać się wyprawić na tamten świat.

- Nie używaj tego sformułowania.

- Którego? - spytał Norimow, wydając się zaskoczony. - Masz na myśli płatnego zabójcę? Zapomniałem, że go nie lubisz.

- Nie zapomniałeś.

Na ustach Norimowa pojawił się ironiczny uśmiezek.

- Ile to czasu minęło, trzy lata?

- Cztery.

- Dużo. Ładnie się postarzałeś.

- Pamiętam o braniu witaminek - Wiktor zmierzył Norimowa wzrokiem. - Zdaje się, że nieźle cię karmią.

- Fakt, całkiem przyzwoicie. Obrosłem w pasie i schudłem u góry - Norimow zaśmiał

się, klepiąc po okrągłym brzuchu. - Ale to tylko ochrona przed zimnem, przysięgam.

- Jak tam twoje ramię?

Rosjanin prychnął przez nos.

- Ha, ciągle sprawia mi problemy. W zeszłym roku poszedłem do specjalisty w Moskwie. Powiedział mi, że pod łopatką gromadzi się płyn. Jak Boga kocham, wbił we mnie taką wielką igłę i to odciągnął - Norimow rozłożył dłonie na dobre trzydzieści centymetrów. -

Ale nie pomogło. Bywają tygodnie, że pochłaniam całą butelkę środków przeciwbólowych.

- Przykro mi.

- Mając do wyboru cierpienia życia i bezbolesność śmierci, z radością decyduję się na to pierwsze.

- Ładnie ujęte.

- Dziękuję - Rosjanin przechylił głowę na bok. - A ty, Wasilij, nadal jesteś kuloodporny?

Wiktor pomyślał o rozległym siniaku na klatce piersiowej i małym strupku na jego środku.

- Wolałbym o tym nie mówić.

- Wolisz nie kusić losu?

- Coś w tym guście.

Norimow wycelował w niego palec.

- Zawsze mówiłeś, że to człowiek sam decyduje o swoim losie.

- Nadal tak twierdzę. - Nieważne, jak jesteś dobry i szybki...

- ...nie prześcigniesz pocisku - dokończył Wiktor.

Norimow skinął na jednego z ochroniarzy.

- Podaj nam po szklance whisky.

Ochroniarz otworzył szafkę i wyjął z niej butelkę szkockiej oraz dwie niskie szklanki.

Nalał hojnie. Rosjanin łąpczywie i mocno chwycił szklankę. Jego policzki zabarwione były na czerwono, co wskazywało na uszkodzenia podskórnych naczynek krwionośnych. Nigdy wcześniej tyle nie pił.

Norimow podniósł szklankę.

- Za starych sprzymierzeńców.

- Za starych przyjaciół - poprawił go Wiktor.

Norimow wypił whisky duszkiem i mruknął z aprobatą.

Wiktor nie pozostał w tyle.

- To przyjemne - odezwał się Rosjanin - napić się z przyjacielem. Nieczęsto zdarza mi się pogadać z kimś, kto się mnie nie boi.

- Dziwi mnie, że ktokolwiek się ciebie boi.

Norimow zaśmiał się.

- Cóż, prawda. Może raczej nie mnie, a tego, co jestem w stanie załatwić. Żaden z tych pędraków, co teraz dla mnie pracują, nie wie, kim byłem dziesięć czy choćby pięć lat temu.

Sądzą, że jestem stary i powolny. Wątpię, by ktokolwiek pamiętał, że byłem inny.

- Ja pamiętam.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Wiktor otworzył swoją paczkę papierosów i wyjął jednego zębami. Norimow uniósł lekko brwi.

- Myślałem, że rzuciłeś.

Wiktor zapalił zapałkę i zbliżył ją do papierosa.

- Bo rzuciłem.

- Takie rzeczy...

- Wiem - przerwał. - Nic nie mów. Ograniczam się.

- Już nawet James Bond nie pali.

Wiktor zaciągnął się. Podniósł brew.

- Kto taki?

Norimow na moment uśmiechnął się szeroko, ukazując żółte zęby.

- Ile masz już na liczniku?

- Nie liczę.

- Kiedyś liczyłeś.

Przytaknął. Kiedyś wydawało mu się to ważne.

Rosjanin posłał mu krzywy uśmiech.

- Nadal chadzasz do kościoła, żeby się wypowiadać?

Skóra na fotelu Wiktora zatrzeszczała. Spojrzał na swoją szklankę.

- Długo jeszcze każesz mi czekać na kolejną?

Norimow skinął na ochroniarza, który prędko napełnił od nowa szklanki. Obaj pociągnęli po łyku.

- A więc, co tam słyhać w branży?

Wiktor namyślił się przez moment.

- Potrzebuję nieco bardziej wiarygodnych zleceniodawców.

- Sam chciałbym cię zatrudnić. Ale za pieniądze, jakie musiałbym ci zapłacić za jeden dzień roboty, jestem w stanie przez większość roku utrzymać u mojego boku czterech dobrych ludzi. Kiedy masz przewagę liczebną, zdolności nie są już takie ważne.

Wiktor nie zaprzeczył.

- Tak czy inaczej ostatnimi czasy każę sobie płacić o wiele więcej.

Norimow zaśmiał się głęboko.

- Dlaczego mnie to nie dziwi?

- A co u ciebie, Alek? Jak twoje imperium?

- Jestem w tym mieście ostatnim uczciwym kryminalistą. Widzisz, co przez to mam?

Wiktor wziął łyk szkockiej.

- Co u czarującej Eleonory?

Twarz Rosjanina się ściągnęła.

- Nie żyje - odparł, niby od niechcenia.

- Co się stało?

- Była chora.

- Chora?

- Lekarze nie sądzili, że to coś poważnego. Zanim ktokolwiek się połapał, było już za późno.

- Przykro mi to słyszeć - szczerze odpowiedział Wiktor.

- Dziękuję.

- Była z niej piękna dama.

Norimow odwrócił wzrok.

- Pod koniec już niekoniecznie.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Wiktor nie odpowiedział. Choć było to krępujące, rzucenie jakimś banałem, by tylko rozluźnić atmosferę, zabrzmiałoby wulgarnie.

Ale to Rosjanin przerwał milczenie.

- Ciągłe bierzesz tyle tego gówna?

- Już nie.

Norimow zdobył się na uśmiech, po czym westchnął, jakby zmartwiony faktem sprowadzenia rozmowy na nieunikniony temat.

- Domyślam się, że nie jest to wizyta czysto towarzyska.

- Ktoś stara się mnie zabić.

Rosjanin uśmiechnął się.

- A to nie powinno być na odwrót?

- Fakt - przyznał Wiktor. - Narobiłem sobie wrogów.

- Wyobrażam sobie, że to nieodłączne ryzyko twojego fachu.

- Tym razem to bardziej skomplikowane. Potrzebuję twojej pomocy.

Na twarzy Norimowa pojawiło się coś graniczącego ze zdumieniem.

- Ty potrzebujesz mojej pomocy? - Wiktor skinął głową. - Czyli sprawa musi być poważna.

- Tak.

- Co zatem mógłbym dla ciebie zrobić?

- Chciałbym żebyś się czegoś dowiedział.

- Nie pracuję dla nich od dawna. Ja...

- Ale nadal masz powiązania z organizacją, czyż nie?

Nieobecny myśłami Norimow przytaknął. Gest sprawiał wrażenie niemal nieświadomego.

- To dobrze - stwierdził Wiktor.

- Czego ci trzeba?

Sięgnął do płaszcza. Zrobił to powoli, żeby żaden z dwóch ochroniarzy nie zinterpretował ruchu niewłaściwie. Wyciągnął pendrive'a.

- Na tym nośniku jest pewien plik. Muszę złamać jego zabezpieczenia.

Wiktor położył pendrive'a na blacie. Norimow podniósł go i dokładnie mu się przyjrzał.

- Skąd go masz? - spytał.

- Od kogoś poznanego przy robieniu interesów.

Rosjanin zrozumiał.

- Opowiadaj, co się stało.

- W poniedziałek wykonałem w Paryżu zlecenie, którego częścią było przejęcie i przekazanie tego pendrive'a. Kiedy wróciłem do hotelu, czekała na mnie ekipa zabójców.

Chciałbym się dowiedzieć, kto ich nasłał.

Uznał za rozsądne pominięcie faktu, że ów ktoś zdawał się być tą samą osobą, która go zatrudniła i jednocześnie przypadkiem pracowała dla CIA.

- W Paryżu? Czytałem o tym, nigdy bym nie przypuszczał, że to twoja robota. Raczej starasz się unikać pierwszych stron gazet.

- Tym razem się nie dało.

Norimow nachylił się do niego.

- Mówi się, że w tym hotelu zabito strzałem w głowę osiem osób. To wszystko ty?

- Ja zabiłem tylko siedem - doprecyzował. - Poza tym jedną przedtem. I jeszcze jedną potem.

- Myślałem, że już nie liczysz.

Wiktor popatrzył na niego przez chwilę.

- Niektóre zwyczaje trudniej wykorzenić niż inne.

Norimow pokręcił głową.

- Cóż, ale dalej masz to samo wycucie.

Wiktor zignorował uwagę.

- Ktokolwiek chciał mnie zabić, pragnął zdobyć ten nośnik. Na chwilę obecną to mój jedyny punkt zaczepienia. Jeśli dla

zapisanych na nim danych warto zabić, muszę wiedzieć, co takiego zawiera.

- I co ci to da?

- Może pomoże mi to w wytropieniu moich wrogów. A może nie.

- Ale dlaczego chcesz to zrobić? Nigdy wcześniej nie przejmowałeś się zemstą.

- Nie obchodzi mnie zemsta - zaprzeczył Wiktor. - I nigdy nie będzie.

- Więc dlaczego?

- Bo mnie znaleźli.

Rosjanin spojrzał mu w oczy i skinął głową.

- Nadal mam w organizacji znajomych znających się na komputerach, którzy mogą pomóc.

- Dziękuję.

- Ale to, o co prosisz, jest zdecydowanie nietypowe. Ludzie zaczną coś podejrzewać, będą zadawać pytania.

- To ich przekup. Pokryję wszelkie wydatki.

Norimow spojrzał na niego z bliska.

- Oni nadal chcą twojej głowy, pamiętasz?

- Raczej o tym nie zapomnę.

- I mimo to zaryzykujesz?

- Jestem tu, czyż nie?

Rosjanin rozważał przez chwilę odpowiedź.

- Zawsze odnosiłem wrażenie, że jak na osobę, która tak bardzo troszczy się o swoje życie, czasami zachowujesz się, jakbyś chciał się pożegnać z tym światem.

Wiktor zachował kamienną twarz.

Norimow przejechał ręką po brodzie.

- Już mnie o ciebie pytali, wiesz? Zginął dawny generał SWR, nazywał się bodajże Banarow. Samobójstwo. Strzelił sobie w łeb z własnego pistoletu. Uważali, że to twoja sprawka. Twierdzili, że mają dowody, że byłeś w tamtym tygodniu w kraju.

- Co im powiedziałaś?

- Że już całe lata cię nie widziałem.

- Uwierzyli ci?

- Kto wie? Nie spodobałem się oficerowi śledczemu, tego jestem pewny. Nazywał się Aniskowacz. Postarałem się go zapamiętać. Zdawał się być u progu wielkiej kariery. Takie sprawiał wrażenie - aroganckiego, ale przebiegłego. Tak właściwie, to przypominał mi ciebie

- Norimow na moment się uśmiechnął. - Przyniósł ze sobą listę trupów długą jak mój kutas i chciał się dowiedzieć, których mogłeś zlikwidować.

- I co powiedziałaś?

- Że z tego, co wiem, mogłeś zabić ich wszystkich, ale że słyszałem, że już nie żyjesz, więc nawet jak na ciebie byłoby to nie lada wyzwanie. Wtedy pokazał mi twoje zdjęcie i powiedział, że zrobiono je niedawno.

- Gdzie?

- Nie byłem w stanie stwierdzić. Nie martw się, z dobrego profilu - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale Aniskowacz chciał cię dopaść za Banarowa. Pozostali go nie obchodzili.

Po prostu próbował cię wysledzić poprzez twoje wcześniejsze zlecenia.

- Powiedział ci to?

- Nie musiał.

Wiktor kiwnął głową.

- A zatem - zaczął Norimow - to ty zabiłeś Banarowa?

Twarz Wiktora pozostała bez wyrazu.

- Nie pamiętam.

Oblicze Rosjanina wyglądało poważnie.

- Ale oni pamiętają, Wasilij.

- Więc będę na tyle ostrożny, by nic nie przywołało ich wspomnień.

- A czy pomyślałeś przy tym wszystkim o mnie? Już i tak mnie nie lubią. Jak myślisz, co zrobią, kiedy się dowiedzą, że ci pomogłem?

- Kiedy ostatnio prosiłem cię o przysługę?

- Nigdy - Norimow zamilkł.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swego rozmówcę, po czym się odezwał.

- Zmieniłeś się.

- Wyszczuplałem.

- Nie o to chodzi.

- Postarzałem się - nie lubił tego przyznawać.

Rosjanin pokręcił głową.

- To coś innego.

Wiktor powstrzymał się przed zmianą pozycji w fotelu.

- Jedno, co wiem - stwierdził Norimow - to ludzie tacy jak my się nie zmieniają. My się adaptujemy.

- Z konieczności.

- Pamiętasz, jak ci powiedziałem, co czyni cię wyjątkowym? - nie czekał, aż Wiktor odpowie. - Ludzie tacy jak ty, jak ja, albo opanowują to coś, co w nich tkwi, a czego inni nie mają, i wykorzystują to do swoich celów, albo stoją beczynnym i pozwalają, by to coś ich zniszczyło.

- Nadal w to wierzę.

- Jeśli to dla ciebie zrobię, w kwestii Czechenii jesteśmy kwita.

- Oczywiście - przystał bez chwili wahania Wiktor.

Norimow powoli pokiwał głową.

- Zrobię, co będę mógł.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy.

- Będziesz potrzebował kopii pendrive'a.

Rosjanin uśmiechnął się.

- Co jest, nie ufasz mi?

- Nie.

Norimow przestał się uśmiechać i spojrzał twardo na Wiktora.

Wiktor odwzajemnił spojrzenie.

Norimow pierwszy odwrócił wzrok i podpiął pendrive'a do swojego komputera.

- Pozwoli mi skopiować zawartość?

- To dane na nośniku są zaszyfrowane, nie on sam.

Skopiowanie informacji zajęło Rosjaninowi kilka sekund.

Gdy transfer dobiegł końca, oddał nośnik.

- Wszystko gotowe. Skopiuję to na płytę i przekażę moim znajomym. Nie martw się, potem skasuję to z mojego laptopa.

- Nie martwię się - odparł. - I bezpieczniej będzie, jeśli nie spotkamy się tutaj. Lepiej gdzieś wśród ludzi, w jakimś miejscu publicznym.

Na twarzy Norimowa pojawił się błysk.

- Jak za dawnych czasów?

- Dokładnie jak za dawnych czasów.

- Jak to chcesz rozegrać?

- Zadzwoń do twojego baru, podam czas i miejsce spotkania. Ile ci to zajmie?

Rosjanin przez dłuższą chwilę drapał się po brodzie. Odwrócił wzrok. - Jeśli ludzie, których znam, potrafią to zrobić, to nie potrwa to długo - spojrzał z powrotem. W jego oczach było coś, czego nie był w stanie odgadnąć. - Góra czterdzieści osiem godzin.

Wiktor dopił drinka i wstał.

- A więc, widzimy się w poniedziałek.

ROZDZIAŁ 39

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA

NIEDZIELA 06:05 CZASU WSCHODNIEGO

Chambers miała posępną minę. Siedziała elegancko na krześle, lekko pochylona do przodu i z łokciami na stole.

- Wiem, że jest niedziela i wiem, że jest wcześnie, ale jestem przekonana, że wszyscy rozumieją powagę naszych działań. W chwili, gdy wypowiadam te słowa, ktoś, kogo zbrojenie się byłoby nam wybitnie nie na rękę, może właśnie wydobywać te pociski. Tu już nie chodzi o przewagę w kwestii broni, ale o globalne bezpieczeństwo. Jeśli ta technologia trafi w niepowołane ręce, ochrona naszych własnych interesów, jak również zdolność utrzymywania pokoju na świecie ulegną dramatycznemu zmniejszeniu. Nie wydaje mi się, by ktokolwiek przy tym stole życzyłby tego sobie.

Procter skinął głową na potwierdzenie. Ferguson i Sykes ze swojej strony równie gorliwie zgodzili się z przedmówczynią.

- Jestem pewna, że żaden z was nie potrzebuje motywujących przemówień, by dać z siebie wszystko - ciągnęła Chambers. - Wszyscy wiemy, że czas ucieka. Minął niemal tydzień, odkąd zginął Ozols, a informacje zostały wykradzione. Jeśli mamy rozwiązać tę sprawę, musimy to zrobić szybko - zamilkła i spojrzała na Proctera. - Czy w jakimkolwiek stopniu zbliżyliśmy się do zabójcy Ozolsa?

Procter pokręcił głową.

- Alvarez bada trop zleceniodawcy Stevensona, lecz muszę przyznać, że w kwestii zabójcy Ozolsa całkowicie utknęliśmy. Informacje, jakimi dysponujemy, nie pozwalają nam nawet określić, czy pracuje dla jakiegoś rządu, czy też dla sektora prywatnego. Mamy trochę zeznań świadków, które nie są warte papieru, na którym je spisano, jak również nagrania z kamer bezpieczeństwa ukazujące mężczyznę, ale jego twarz pozostaje niewidoczna. Brak nam jakichkolwiek solidnych dowodów rzeczowych. O jeden dzień rozminęliśmy się z nim w Niemczech. Prawdopodobnie udał się do Czech, ale od tamtego czasu o nim nie słyszeliśmy.

W sprawę zaangażowały się wszystkie departamenty. Poinformowano każdą naszą placówkę.

Nasi ludzie szukają go w całej Europie. Jednak nie jesteśmy w stanie go zlokalizować.

Chambers zmarszczyła brwi.

- Czyli tak po prostu zniknął?

- Mógłby być tuż przed naszym nosem, a i tak niekoniecznie byśmy go zauważyli. Nie wiemy, kogo szukamy.

- Muszą jednak istnieć jacyś podejrzani - stwierdziła Chambers. - Których znanych zabójców nie możemy zlokalizować? Jakie służby wywiadowcze wykonują podejrzane ruchy?

- Jeśli przyjmiemy, że nie jest agentem zagranicznych służb wywiadowczych i że został wynajęty specjalnie z myślą o tym zadaniu, na co zresztą nie mamy dowodów, nie daje nam to wielkich nadziei na znalezienie go. W Europie takich wolnych strzelców są setki, jeśli nie tysiące. Wiemy jedynie o nielicznych, a spośród tych jesteśmy w stanie odrzucić zaledwie ich ułamek. Pozostawia to ogromną liczbę podejrzanych, spośród których o większości nie mamy absolutnie żadnych informacji. I nie zapominajmy, że ten gość jest naprawdę dobry.

Szukamy igły w stogu siana.

Chambers zdjęła okulary i przetarła oczy.

- Czego się na jego temat domyślamy?

- Recepcjonista twierdzi, że mówił po francusku jak miejscowy, zaś w Monachium sąsiad Światosława uznał, że gość wyglądał na Niemca. Czyli albo jest naraz Francuzem i Niemcem, albo ma zdolność do języków i może być skądkolwiek. Jak na razie skorzystał z dwóch różnych brytyjskich paszportów, co może sugerować, że jest z Wielkiej Brytanii -

Procter wyprostował się na krześle. - Możemy tak tu sobie spekulować do upadłego, ja jednak sądzę, że fakt, że mamy do czynienia z trupem byłego oficera marynarki rosyjskiej, a wcześniej radzieckiej, który usiłował sprzedać rosyjskie pociski,

sugeruje, że morderca jest zapewne na usługach SWR.

- Jeśli rzeczywiście tak jest, to nigdy nie zdobędziemy tej technologii - stwierdziła Chambers. - Co niesamowicie ucieszy Moskwę.

Procter skinął.

- W istocie, ale przecucie mówi, że to jednak nie Rosjanie, prawda?

- Co masz na myśli?

- Jeśli gość jest z SWR, to wiele by wyjaśniało, ale kto w takim razie wynajął siedem osób, by zabić go zaraz po wykonaniu zadania? Kto mógłby wiedzieć, że SWR go tam wysłało? A zastrzelenie Ozolsa w paryskim zaułku wydaje się nadzwyczaj proste. To nie polon w herbacie. Czy choćby zaaranżowanie samobójstwa. Zwykła, bezbolesna egzekucja zdrajcy nie byłaby po prostu w ich stylu.

Chambers odgarnęła sobie włosy za uszy.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że oni w ogóle mają jakiś własny styl.

Procter zauważył służalczy uśmiech Sykesa. Spojrzał na Fergusona. Do tej chwili staruszek wypowiedział ledwie kilka słów.

- A ty, co myślisz?

Ciemne oczy Fergusona wychwyciły zza okularów spojrzenie Proctera.

- Nie jestem pewien, przyjacielu.

Nigdy nie zwracał się do Proctera, używając jego imienia. Zawsze tylko: przyjacielu, stary, kolego. Irytowało to Proctera, który traktował to niemal jak zniewagę - jak gdyby Ferguson chciał okazać mu lekceważenie. Jednak próbował sobie tłumaczyć, że dopuszcza się nadinterpretacji. Tak czy inaczej nie chciał zyskać reputacji dupka poprzez poruszanie tego tematu czy też naciskanie, by Ferguson tytułował go panem Rolandem Procterem.

- Rosja to twoje podwórko, Will - odparł Procter, zadowolony, że się odpłaca pięknym za nadobne. Był jak najbardziej świadomy tego, że Ferguson nie lubi, gdy ktoś zdrabnia jego imię. - Czy SWR to prawdopodobny podejrzany?

Ferguson spojrział na niego i przez chwilę się zastanowił.

- Z pewnością to więcej, niż tylko możliwość. W końcu chodzi o rosyjską technologię wojskową. Moskwa zrobi wszystko, by chronić swoje sekrety.

- Uważasz, że to w ich stylu? - spytała Chambers.

- A ty uważasz, że nie?

- Nie jestem pewna.

- Nie ulega wątpliwości, że KGB mogło i pragnęło pozbyć się Ozolsa. Jeśli wykryli, co planował, czy naprawdę sądzicie, że nie spróbowaliby odzyskać informacje i usunąć źródło przecieku? A oni zdrajców karzą zawsze, bez względu na to, w jakim zakątku świata by się ukrywali.

Procter wiedział, że Ferguson nazywa SWR mianem KGB z zimnowojennego przyzwyczajenia. Dla niego obie służby były jednym i tym samym. Może i w tamtym ponurym okresie XX wieku Ferguson był kimś w rodzaju bohatera, nie był jednak w stanie dostosować swojego sposobu myślenia do nowej rzeczywistości. Świat poszedł naprzód.

Wschód i Zachód nie oznaczały już przeciwstawnych ideałów, a jedynie kierunki na kompasie.

- Ale ryzykować pogorszenie stosunków - ciągnął Procter.

- Jakie pogorszenie stosunków? - Ferguson wyglądał na autentycznie rozgniewanego.

- O ile nie będziemy mieli niepodważalnych dowodów, że to oni za tym stoją, co rzecz jasna jest niemożliwe, w obecnych czasach możemy im najwyżej udzielić reprimendy. Bo co moglibyśmy, realnie rzecz biorąc, zrobić? I spójrzmy prawdzie w oczy - to my usiłowaliśmy wykraść ich technologię, co nie stawia nas w najwygodniejszej z moralnego punktu widzenia pozycji, by krytykować ich metody działania. Pamiętajmy, że Ozols był zdrajcą. Nie mielibyśmy żadnych podstaw, by potrząsać szabelką, a gdybyśmy nawet to zrobili, oni zupełnie by się tym nie przejęli.

Poza tym pozwolę sobie przypomnieć, że chodzi o technologię, której sprzedaży Moskwa już wielokrotnie nam odmawiała. Wszyscy zdają się myśleć, że przez *glasnost*'

niedźwiedź stracił pazury, a pięćdziesiąt lat rywalizacji z miejsca zastąpiła przyjaźń. To jakiś idiotyzm i nie mogę uwierzyć, że Ameryka tak łatwo to połknęła. Niedźwiedź to nadal, kurwa, niedźwiedź. Może i teraz jest słabszy, ale to tylko oznacza, że musi działać sprytniej.

Na moment zapanowała niezręczna cisza. Twarz Fergusona poczerwieniała. Procter chwilowo oniemiał. Czyli jednak stary drań miał pewną urazę do zmieniającego się porządku świata i wiążącej się z tym jego degradacji. Ferguson bez wątpienia spędził zdecydowanie zbyt wiele czasu na zwalczaniu komunistów, by teraz tak po prostu odpuścić. Było to żalosne, aż wstyd ogarniał człowieka, ale im szybciej Ferguson poszedłby na emeryturę, tym lepiej.

- A zatem - odezwał się w końcu Procter - według ciebie co powinniśmy teraz zrobić?

Ferguson wziął oddech, aby się uspokoić.

- Niezłym początkiem byłoby odkrycie, co ci Ruscy tak naprawdę knują.

ROZDZIAŁ 40

ŻUKOWKA, ROSJA

SOBOTA 21:04 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Pułkownik Aniskowacz wysiadł z limuzyny SWR i skinął kierowcy, który zamknął za nim drzwi. Żwir chrzęścił pod jego butami, gdy podchodził od frontu do trzypiętrowej daczki.

Ogromną, wspaniałą, wzniesioną przed rewolucją budowlę chroniły przed nazbyt ciekawskimi oczami wysokie sosny, obecnie przykryte śniegiem. Zresztą zdaniem Aniskowacza słowo „daczka” zdawało się śmiesznie nieadekwatnym określeniem dla budynku mieszczącego dwanaście sypialni.

W Żukowce znajdowało się wiele takich domów. Należały one do najpotężniejszych i najbogatszych osób w Rosji. Niektórzy nazywali miejscowość moskiewskimi Beverly Hills.

Aniskowacz nigdy Beverly Hills nie odwiedził, wiedział jednak tyle, że Żukowka przewyższa je dobrym smakiem. Służący otworzył mu drzwi i pułkownik wszedł z mrozu do rozgrzanego wnętrza. Rozpiął długi płaszcz i wręczył go służącemu.

Od środka dom robił jeszcze większe wrażenie niż z zewnątrz. Aniskowacz zatrzymał

się na moment, by przyjrzeć się marmurowej posadzce, ścianom pokrytym boazerią oraz oryginalnym obrazom olejnym. Z innego pomieszczenia rezydencji dobiegały go stłumione głosy, śmiech oraz subtelna muzyka. Brzmiało to jak przyjęcie koktajlowe bądź wystawny posiłek, na których koszmarnie na co dzień nudni goście zostali wystarczająco zmiękczeni przy użyciu alkoholu, by wreszcie zacząć się dobrze bawić. Aniskowacz został skierowany do gabinetu. W pomieszczeniu nikogo nie było. Stał na środku i czekał z rękami złożonymi za sobą. Starał się wydawać nieporuszony przepychem otoczenia i całą sytuacją, wiedział

jednak, że właśnie po to go tu zaproszono, by zrobić na nim wrażenie, toteż powinien przynajmniej trochę zachowywać się zgodnie z tym, czego się po nim spodziewano.

Z myślą o tym, by gospodarz i gość mogli się podczas rozmowy napić, na srebrnej tacy na kredensie ustawiono dekanter z brandy i dwa kieliszki. Czekał na spotkanie, nalał

sobie lampkę. Poczestowanie się alkoholem bez zaproszenia mogło zostać uznane za wyjątkowy nietakt, Aniskowacz wierzył jednak, że gospodarz dostrzeże w tym oznakę siły i będzie pod wrażeniem jego pewności siebie. Większość ludzi w podobnych okolicznościach byłaby zdenerwowana, lecz pułkownik nigdy w życiu nie czuł się spokojniej. Przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze zawieszonym nad kominkiem. Zaciął się przy goleniu. Była to zaledwie maleńka ranka na podbródku, która niestety rzuciła się w oczy, aczkolwiek zauważył, że jednocześnie dodawała jego rysom pewnej szorstkiej męskości. Wiedział, że dzięki szczęce podobnej do kowadła oraz ciemnym, przyciągającym uwagę oczom był bez dwóch zdań najprzystojniejszym mężczyzną w departamencie - a jeśli zapomnieć o skromności, to i w całej organizacji. Lubił wyobrażać sobie, że większość zatrudnionych w centrali kobiet spogląda na niego z pożądaniem.

Aniskowacz usłyszał kroki w korytarzu, udał jednak zaskoczenie, gdy za jego plecami rozległ się głos.

- Wybacz mi spóźnienie, Gienadij.

Obrócił się i krótko skinął głową.

- To zaszczyt pana poznać, towarzyszu Prudnikow.

Stojący w progu mężczyzna był wysoki i potężnie zbudowany. Dobrze skrojony smoking ujmował mu przynajmniej pięć kilo. Gospodarz zbliżał się do sześćdziesiątki, wyglądał jednak parę lat młodziej. Uśmiechał się przyjaźnie i według doniesień był bardzo sympatyczny, lecz Aniskowacz wiedział, że Prudnikow potrafi być bezlitosny. Po raz pierwszy miał okazję spotkać się z szefem Służby Wywiadu Zagranicznego.

Pułkownik odstawił kieliszek i podszedł do zwierzchnika. Podali sobie dłonie, przy czym pozwolił, by uścisk Prudnikowa był minimalnie silniejszy.

- Żałuję, że nie mieliśmy szansy spotkać się wcześniej, pułkowniku Aniskowacz -

Prudnikow zerknął na kieliszek brandy, a następnie na dekanter i przez chwilę mężczyzna obawiał się, że uraził gospodarza, ten jednak się uśmiechnął.

- A zatem pozwala pan sobie wypić. To dobrze - puścił dłoń Aniskowacza i podszedł

do stolika, aby nalać sobie sporą lampkę. - Nie ufam ludziom, którzy nie piją.

Pułkownik w myślach pochwalił się za tak zręczną ocenę sytuacji.

- Jestem skłonny się z panem zgodzić.

Prudnikow nieznacznie nachylił głowę w kierunku rozmówcy.

- Mówi to pan, bo rzeczywiście pan tak uważa, czy tylko dlatego, że jestem pańskim zwierzchnikiem?

Aniskowacz wzruszył ramionami, niczego po sobie nie pokazując. Szef bacznie się mu przyglądał.

- Jedno i drugie.

Prudnikow obrócił się i uśmiechnął.

- Zapoznałem się z pańskimi aktami. Robią duże wrażenie.

- Dziękuję.

- Nie musi mi pan dziękować za zauważenie czegoś równie oczywistego, co mój brzuch.

Aniskowacz wiedział, że Prudnikow oczekuje w tym momencie uśmiechu, więc go nie zawiódł.

- Pańska dotychczasowa kariera prezentuje się wspaniale - ciągnął zwierzchnik. -

Przynosi pan chlubę naszej organizacji i ojczyźnie - na chwilę zamilknął. - Widać, że jest pan ambitny.

- Tak.

- Któregoś dnia chciałby pan zająć moje miejsce.

Pułkownik przytaknął.

- Naturalnie.

Prudnikow się uśmiechnął.

- Ambicja może być cechą pozytywną. To dzięki niej odnosimy sukces i zwyciężamy

- zatrzymał się. - Może jednak być również uciążliwa, a wręcz niebezpieczna, jeśli nie umiemy z niej odpowiednio korzystać.

- Upłynie przynajmniej dziesięć lat, zanim osiągnę pozycję dającą szansę pokierowania SWR - zauważył Aniskowacz. - A zatem nie jestem dla pana zagrożeniem.

- Ale skąd pan wie, że do tego czasu ja odejdę ze stanowiska?

Wiarygodne źródła doniosły pułkownikowi, że Prudnikow miał w sercu dziurę. Za dziesięć lat nie będzie go wśród żywych, a co dopiero na fotelu kierującego SWR.

- Nie wiem, proszę pana - skłamał. - Ale gdyby rzeczywiście widział pan we mnie potencjalnego rywala, nie zapraszałby mnie pan tutaj i nie zdradzał mi swoich obaw.

- A dlaczego by nie?

- Skuteczniej byłoby sabotować moją karierę i powstrzymywać wszelkie próby awansu, ukrywając fakt, że pan za tym stoi. Jest pan zbyt bystry, aby tak nie postąpić.

Aniskowacz wiedział, że udało mu się dyskretnie przemycić komplement. Prudnikow wolno pokiwał głową.

- Bardzo dobrze. To w takim razie po co tu pana ściągnąłem?

- Nie mam pojęcia.

- A jeśli musiałby pan zgadywać?

- Z zasady unikam zgadywania - rozejrzał się wokoło.

- Ale zważywszy na to, że rozmawiamy w pańskim domu, a nie w dowództwie, to albo potrzebuje pan mojej pomocy przy czymś, czego nie może pan powierzyć współpracownikom, albo lubi pan moje towarzystwo. O ile więc mojego zaproszenia na przyjęcie nie zgubili na poczcie, można w miarę bezpiecznie założyć, że chodzi o opcję pierwszą.

- To przyjęcie mojej żony - odparł ze śmiechem Prudnikow. - Dobrze pana oceniłem.

Zgadza się - chcę, żeby zrobił pan dla mnie coś, co należy zrobić przy zachowaniu szczególnej dyskrecji. To delikatna sprawa, którą mogę powierzyć tylko i wyłącznie panu.

Aniskowacz upił łyk brandy i poczekał, aż Prudnikow rozwinie myśl.

- Moją uwagę zwróciła pewna kwestia. Coś, z czym pan poradzi sobie jak nikt inny -

dowódca poczynił teatralną pauzę. - Pamięta pan okoliczności śmierci generała Banarowa?

Pułkownik poczuł, jak jego puls przyspiesza.

- Tak.

- A mianowicie?

- Generał miał rzekomo strzelić sobie w głowę po intensywnej libacji.

- Ale pan w to nie uwierzył.

- Sądziłem, że został zamordowany.

- Sądził pan?

- Sądzę - poprawił się Aniskowacz.

- Nigdy jednak nie ujął pan sprawcy.

Pułkownik wziął wdech.

- Nie.

- A to dlaczego?

- Początkowo zdawało się, że chodzi o samobójstwo i nikt takiego wytłumaczenia nie kwestionował. Dopiero później odkryłem, że w tygodniu, w którym zginął Banarow, w okolicy pojawił się zawodowy zabójca. Nie miałem żadnego dowodu na jego udział w śmierci generała. Nie zmieniało to faktu, że Banarow miał zwyczaj robienia sobie wrogów, ale nie wykazywał skłonności samobójczych. Popytałem tu i ówdzie, jednak śledztwo miało charakter krajowy, toteż nie mogłem dogłębnie zbadać sprawy. Moja teoria nie zainteresowała FSB.

- Ale i tak kontynuował pan dociekania, czyż nie?

- Na tyle, na ile mogłem. Wierzę w dokładność.

- A przy okazji nadepnął pan paru osobom na odcisk.

- Znaczyło to tylko, że zbliżyłem się do prawdy, której ktoś nie chciał ujawnić. Od początku podejrzewałem, że zabójcę nasłała jakaś frakcja działająca wewnątrz naszych własnych służb bezpieczeństwa - nas, FSB albo GRU. Opór, na jaki trafiłem podczas śledztwa, tylko to potwierdzał.

- W rzeczy samej - w zamyśleniu przyznał Prudnikow.

- Zabójstwo jednego z naszych byłych generałów z ręki kogoś z naszych może mieć bardzo poważne konsekwencje. Nikt z nas nie chce powrotu do dawnych niechlubnych czasów, kiedy żyliśmy w strachu, że nasi koledzy mogą spiskować przeciwko nam z powodu czegoś, co zrobiliśmy albo co dopiero moglibyśmy zrobić.

- Istotnie.

- W ramach tego swojego śledztwa rozmawiał pan z byłym znajomym tego mordercy.

- Z jedynym zidentyfikowanym znajomym. To Aleksandr Norimow, były agent KGB, a potem FSB. Obecnie kryminalista urzędujący w Sankt Petersburgu. Twierdził, że zabójca nie żyje. Udowodniłem mu, że tak nie jest. Z chęcią zabrałbym go na intensywne przesłuchanie, ale nie miałem takiej możliwości.

Prudnikow przytaknął.

- Nazwisko Norimowa znowu wypłynęło.

Słowa przełożonego zaskoczyły i zaintrygowały Aniskowacza, jednak zachował

stoicki spokój.

- W jakim kontekście?

- Na biurku leży zapis rozmowy telefonicznej. Proszę to przeczytać.

Pułkownik podszedł do wielkiego mahoniowego biurka i podniósł kartkę. Przeczytał

ją uważnie, mimo narastającego podniecenia. Kiedy skończył, spojrzął na Prudnikowa.

Poczuł suchość w ustach.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Chcę, żeby pan skończył to, co pan zaczął. Życzę sobie zamknięcia sprawy Banarowa - czysto i z całkowitą dyskrecją.

- A dlaczego chce pan, żebym to zrobił akurat ja?

- Banarow może i miał wielu wrogów, ale nie był przy tym zupełnie pozbawiony przyjaciół. Niektórzy z nich przez czas, jaki upłynął od jego śmierci, zdążyli się umocnić i cieszą się wpływami w naszym rządzie. Z kolei jego młodszy brat poszedł ostro w górę w hierarchii GRU.

- Słyszałem o tym.

Prudnikow ciągnął dalej.

- Ostatnimi czasy, i to coraz częściej, zauważam, że temat Banarowa wyciągany jest w mojej obecności. Osobiście uważam za co najmniej męczące odpowiadanie na pytania imbecyli, którzy tylko zrzędzeniem losu stali się moimi przełożonymi. Jako że zadają te pytania powodowani pańskim pierwotnym śledztwem, będą zainteresowani wszystkim, co tylko pan w tym temacie powie. Pan pierwszy uznał, że Banarow został zamordowany.

Posuwał pan dochodzenie naprzód, gdy nikomu innemu na tym nie zależało. Pańska uczciwość w tej kwestii nie podlega dyskusji - Prudnikow łyknął nieco brandy. - Kiedy pan stwierdzi, że sprawa została wyjaśniona, wreszcie zostawią ją w spokoju.

Aniskowacz zastanowił się przez chwilę. Szef SWR prosił go o przysługę. Jeżeli udałoby mu się dobrze wypełnić zadanie, znalazłby w dowódcy pomocnego mentora na tak długo, na ile tylko jego wsparcie miałoby wartość. A potem być może owi przyjaciele Banarowa czy jego brat okazaliby się jeszcze wartościowszymi sprzymierzeńcami.

- Będą mi potrzebne środki - stwierdził Aniskowacz, uważając, by w jego głosie dał

się odczuć entuzjazm, ale nie nadmierny. - Zespół agentów z przeszłością w wojsku.

- Dostanie pan sprzęt i ludzi, o jakich poprosi.

Pułkownik wyprostował plecy.

- Oraz władzę.

- Otrzyma pan wszelkie upoważnienia, jakie tylko mogą się panu przydać. Ale istnieje pewien warunek.

- Tak?

- Złapanie zabójcy Banarowa musi panu wystarczyć. Proszę go przesłuchać. Potem, rzecz jasna, zabić. Ale na tym pańskie śledztwo się kończy.

- Ale przecież możemy się dowiedzieć, kto go nasłał, kto zlecił zabicie Banarowa. Bo przecież o to w tym wszystkim chodzi.

Prudnikow pokręcił głową.

- Pragnę zamknąć tę ranę, a nie rozdrapać ją na nowo. Taki jest mój warunek.

Przyjmuje pan - pańskie notowania w naszej instytucji nagle szybują w górę. Odmawia pan -

pozostaje panu czekać na inną okazję.

Dotychczas Aniskowacz interesował się sprawą Banarowa tylko po to, by wyrobić sobie nazwisko. Warunek był zatem łatwy do przyjęcia. Mimo to, przez minutę stał w milczeniu, udając, że się zastanawia.

- W takim razie przyjmuję pańskie warunki - odrzekł.

Prudnikow skinął głową.

- I dobrze.

- Proszę mi jednak powiedzieć: dlaczego pragnie pan, by sprawę załatwić z taką dyskrecją?

- Ponieważ - odparł szef SWR w sekundę po tym, jak Aniskowacz sam domyślił się odpowiedzi - to ja kazałem zabić Banarowa.

ROZDZIAŁ 41

LAS MITINSKI, ROSJA

NIEDZIELA 07:43 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Ziemia chlupotała pod nogami Wiktora. Ściółka nasiąkła wodą w wyniku ostatnich ulew. Mężczyzna znajdował się dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od Moskwy, w Lesie Mitinskim położonym na północnych obrzeżach Krasnogorska. Bliska zeru temperatura była typowa dla tej pory roku.

Ubrany był w grube bawełniane spodnie, wysokie buty oraz ciężki płaszcz skrywający kilka innych warstw odzieży. Głowę i uszy chroniła mu czarna wełniana czapka, a na rękach miał izolowane skórzane rękawice. W lewej dłoni trzymał łopatę, w prawej zaś kilof.

Półtora kilometra na wschód od niego znajdował się jeden z najsłynniejszych rosyjskich ośrodków wypoczynkowych, stanowiący dokładną kopię tego typu obiektów na Zachodzie. Oferował gościom sauny, restauracje, pola golfowe, basen, korty tenisowe, tereny do biegów narciarskich oraz tradycyjną rosyjską banię.

Wiktor przyjechał do ośrodka i wyruszył na jedną z licznych tras po lesie, na których latem zwykle roiło się od ćwiczących. Teraz jednak, pośród ponurej zimy, było na szczęście pusto. O tej porze roku nie przebywało tu wielu gości. Od przyjazdu nikogo nie zauważył.

Przebywanie w lesie, samemu, z dala od innych, sprawiało mu przyjemność.

Powietrze było wilgotne i czyste, zaś zapach drzew, zapach przyrody - niezwykle miły.

Rozsmakowywał się w chwilowej ucieczce od stresów cywilizacji. Było mu zimno, ale się tym nie przejmował.

Ćwierć stulecia temu kucał między drzewami podobnymi do otaczających go teraz i przyciskał do barku kolbę karabinu, której waga wprawiała jego ramię w drgania.

Zdrętwiałymi rękami obejmował broń, a jego palec wskazujący ledwie dotykał spustu.

- Nie bój się - mówił mu wujek.

On się jednak bał jak nigdy dotąd. Nie chciał zastrzelić lisa.

- Spokojnie.

Lis wyłonił się z krzaków, obwąchując ziemię. Wuj Wiktora nadal do niego przemawiał, ale ten go już nie słyszał. Łomotanie serca zagłuszało inne dźwięki. Zwierzę powoli się przesuwało, badając węchem grunt. Wiktor nie był pewien, czy zdołało wyczuć ich obecność. Pomyślał o tym, co wuj może mu zrobić, jeśli pozwoli lisowi się wymknąć.

Strzelił.

Coś mignęło na czerwono i lis zniknął z pola widzenia.

Zdawało mu się, że cały świat zamarł. Wiktor wbił wzrok w drzewa, pośród których wcześniej widział zwierzę. Wpatrywał się, sam nie wiedział jak długo, aż wuj wydał z siebie ryk, który sprawił, że chłopak upuścił karabin.

- Co za strzał!

Głos wuja wydał się donośniejszy od przebrzmiałego huku strzału.

- Nie mogę uwierzyć, że go trafiłeś. Dlaczego nie poczekałeś, aż lis podejdzie bliżej? -

Wuj zerwał się na równe nogi i starał się wypatrzeć zabite zwierzę. Cały czas się przy tym śmiał.

- To ja cię nauczyłem tak strzelać? No jasne, że ja, a któżby inny!

W jego głosie słychać było dumę.

Wiktor nie odpowiedział. Nie był w stanie. Jego serce waliło tak szybko, że bał się, że zaraz wybuchnie. Poczł klepięcie między łopatkami. Wujek dotknął go w ten sposób po raz pierwszy.

Zmrużył oczy i odgonił wspomnienie. Zdążył już zapomnieć, jakiej marki była broń, a jakiego koloru jego rękawice. Przez te wszystkie lata szczegóły zacierają się jeden po drugim.

Żywił nadzieję, że pewnego dnia zapomni również o tym potwornym rozbłysku czerwieni.

Po dwudziestu minutach spaceru przeszedł przez wąską kładkę i odmierzył od jej północnego słupka równe pięćdziesiąt kroków w kierunku drzew na północy. Bez najmniejszych trudności odszukał zwalony pień, po czym odszedł dziesięć kroków na wschód od jego podstawy. Tutaj paprocie sięgały mu po pas. Pod baldachimem liści było ciemno, a słabe słońce poranka z ledwością przebijało się między brzoźami i sosnami. Zaczął kopać.

Nie szło mu to łatwo, w myślach jednak dziękował deszczowi, który zmienił glebę zazwyczaj zamarzniętą o tej porze roku na kamień w łatwiej dostępne błoto. Z pomocą kilofa wrzucił grunt stwardniały pod miękką warstwą piachu i zaczął kopać łopatą. Po zagłębieniu się na mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów zwolnił, aż wreszcie natrafił na metal. Po odsunięciu grudek ziemi zobaczył niebieskie płótno.

Odnalazł brzegi pakunku, oczyścił je z piachu i odsłonił prostokątną płachtę o wymiarach sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów. Niebieska tkanina była pośrodku przewiązana nylonową liną. Rozwiązał supeł i rozłożył płótno.

Aluminiowa walizka nie straciła połysku, aczkolwiek w trakcie kopania została nieco zadrapana.

Nie miało to znaczenia. Obchodziła go tylko jej zawartość. Wyciągnął pakunek i położył go na boku. Wyjął z płaszcza scyzoryk oraz jednorazową zapalniczkę i rozgrzał

ostrze nad płomieniem. Następnie przeciął wodoodporną powłokę z wosku wypełniającą wąską szparę między dwiema kłapami walizki.

Otworzył zasobnik i z zadowoleniem stwierdził, że wilgoć nie dostała się do środka.

Broń była zimna w dotyku, lecz w każdej chwili można ją było złożyć i z niej wystrzelić.

W odpowiednio przyciętej wytłoczce z pianki spoczywał Karabin Wyborowy Dragunowa, znany jako Dragunow SWD. Snajperka. Pierwsze wersje karabinu przyjęto formalnie za uzbrojenie Armii Radzieckiej w 1963 roku. Krążyły pogłoski, jakoby podczas wojny w Wietnamie żołnierze Specnazu, czyli radzieckich sił specjalnych, testowali broń na Amerykanach. Był przekonany, że to jedynie rozpuszczane przez starych wojaków plotki.

Zmienił jednak zdanie, gdy poznał snajpera uczestniczącego w testach.

Karabin był rozłożony na części - osobno: kolba, lufa, uchwyt i celownik - dzięki czemu mieścił się do standardowych rozmiarów walizki. W zasobniku znajdował się też sam mechanizm broni oraz długi tłumik. Ten egzemplarz stanowił

najnowszy model SWD, w którym kolbę i uchwyty dla zmniejszenia masy broni wykonano z wysokiej gęstości polimeru, a nie jak dotychczas z drewna.

Choć karabin Dragunowa nie był tak wyrafinowany i celny na dużych dystansach, jak niektóre jego zachodnie odpowiedniki, zaskarbił on sobie jego sympatię niezawodnością w każdych warunkach i praktyczną mechaniką.

Jako broń półautomatyczna, Dragunow cechował się zdecydowanie lepszą szybkostrzelnością aniżeli konwencjonalnie ryglowane typowe karabiny snajperskie, chociaż wiązało się to ze zwiększoną liczbą części ruchomych, które czyniły go nieco mniej celnym.

Jednak jako półautomat SWD mógł być też stosowany jako karabin szturmowy, w tym zresztą celu został wyposażony w tradycyjny żelazny system celowniczy oraz zaczep do bagnetu.

Radziecka szkoła produkcji broni przedkładała łatwość użycia i niezawodność nad celność, zaś on zdążył się przekonać, że takie podejście miało wiele zalet. Karabiny, które nie miały sobie równych na strzelnicy, na niewiele się zdawały, jeśli zawodziły w warunkach bojowych. Niemcy, Amerykanie, a ostatnio również i Brytyjczycy, przekonali się o tym na własnej skórze.

Do Dragunowa dołączone były dwa magazynki. Oba zawierały po dziesięć naboju 7.62x54mmR, które zwykły czynić miazgę z każdego, kto miał pecha stać się ich celem.

Dysponował dwoma typami amunicji do karabinu: standardowymi ołowianymi pociskami w miedzianych łuskach oraz ładunkami API.

Naboje API, czyli przeciwpancerne zapalające, wykonane były z litej stali i miały wydrążony rdzeń, w którym umieszczono niewielki zapalający ładunek fosforowy. Wybuchał

on w chwili, gdy pocisk trafiał w cel - a tym był zazwyczaj zbiornik paliwa.

Zamknął walizkę i ponownie sięgnął do wykopu, chwytając sporych rozmiarów skórzaną torbę sportową, która spoczywała dotychczas pod zasobnikiem z bronią. Zaciskając zęby, zdołał ją unieść i wyciągnąć na powierzchnię.

Wewnątrz, w wodoodpornym worku, znajdowały się jego zapasy i wyposażenie, z których większość teraz zignorował. Wyjął jedynie glocka, tłumik, gruby na osiem centymetrów plik dolarów, zapas amunicji do broni krótkiej i długiej oraz rosyjski paszport.

Wszystkie przedmioty poupychał po kieszeniach kurtki.

Później zawiązał wodoodporny worek, zamknął torbę i umieścił ją z powrotem w dole. Wypełnił dziurę ziemią, wyrównał ją, a na wierzchu rozsypał obumarłe liście paproci.

Wróciwszy na parking ośrodka, wrzucił walizkę do bagażnika i zatrzasnął klapę.

Miał nadzieję, że wszystkie te działania okażą się niepotrzebne.

ROZDZIAŁ 42

MEDIOLAN, WŁOCHY

NIEDZIELA 21:33 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Sebastian Hoyt wydawał pieniądze w zastraszającym tempie, miał zatem szczęście, że jego przedsiębiorstwo co roku wypracowywało niewielką fortunę. Jako jedyny właściciel skromnej rozmiarem, lecz wysoce zyskowej firmy konsultingowej, prowadził interesy na wielu różnych obszarach, przy czym niemal zawsze występował w roli doradcy, brokera czy pośrednika. Handlował przede wszystkim informacjami, które pozyskiwał w jednym miejscu i odsprzedawał w innym. Już dawno odkrył, że informacja stanowi jeden z najcenniejszych towarów na świecie, a zarazem obraca się nią w nadzwyczaj łatwy sposób.

Hoyt doradzał organizacjom mafijnym, jak poprzez inwestycje w sektorze prywatnym najefektywniej wykorzystać posiadane

środku. Pomagał skorumpowanym sędziom z Europy Wschodniej w zakładaniu kont celem gromadzenia łapówek. Kontaktował handlarzy bronią z afrykańskimi bojówkami. Podróżującym biznesmenom z Bliskiego Wschodu zapewniał

dostęp do call-girls, alkoholu i narkotyków. Pośredniczył w transakcjach między zabójcami na zlecenie i ich klientami. Dopóki miał dostęp zarówno do ludzi potrzebujących informacji, jak i do tych, którzy mogli ich dostarczyć, o stan własnego konta nie musiał się martwić.

Oferta, którą właśnie przeglądał, bardzo go nudziła, toteż zrobił sobie przerwę i skupił

się na włoskiej gazecie sprzed kilku dni. Zawierała ona krótki opis strzelaniny w Paryżu, który go zainteresował. Artykuł wspominał o tym, jak niewiele dotychczas udało się ustalić policji, a także wymieniał personalia niektórych zabitych. Wśród ofiar znajdował się Amerykanin James Stevenson - płatny zabójca bazujący w Brukseli, z którym przy paru okazjach Hoytowi zdarzyło się robić interesy.

Jedno z ostatnich przedsięwzięć Holendra polegało na pośredniczeniu między amerykańskim mordercą a nieznanym bliżej klientem. Hoyt już wcześniej zlecał

Stevensonowi zadania i jak dotąd żaden klient nie poskarżył się na jakość usług Amerykanina. Kiedy więc poproszono go o zatrudnienie zabójcy, który byłby w stanie skompletować ekipę uderzeniową, zdecydował się na wielokrotnie sprawdzonego człowieka.

Bynajmniej nie spodziewał się, że zabójca padnie ofiarą masowego mordu w samym środku Paryża, a wieści o tym dotrą na pierwsze strony włoskich gazet.

Szkoda, że Stevenson zginął, lecz szkoda z tego jedynie względu, że oznaczało to dla Hoyta utratę źródła łatwego dochodu. Na wszelki wypadek Holender polecił kilku swoim pomagierom powęszyć i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o całym zdarzeniu. Jeśli Stevenson zawałił sprawę, nie wpływało to dobrze na jego reputację. Jak na razie działające z polecenia Hoyta przepłacane i niekompetentne prostaki nie zdołały dowiedzieć się niczego, o czym nie zdążyłby już przeczytać w gazetach. Wydawało się, że na chwilę obecną brak jakichkolwiek doniesień należało brać za dobrą monetę.

Nie zmieniało to faktu, że od kilku dni Holender czekał na reakcję ze strony wkurzonego zleceniodawcy, ten się jednak nie odzywał. Zbyt to się tym nie przejmował. Ze specyfiki branży wynikało, że niekiedy sprawy mogły pójść nie tak, czemu dodatkowo mógł

towarzyszyć znaczny rozgłos. Klient, rzecz jasna, zdawał sobie z tego sprawę.

Niewykluczone też, że morderca dał się zabić już po wykonaniu zadania i zleceniodawca w ogóle się tym nie przejął. Każde z tych wyjaśnień satysfakcjonowało Hoyta. Nie wiedział, na czym polegało zlecenie dla Stevensona i był z tego faktu zupełnie zadowolony. Łatwiej usypiał, gdy nie musiał się przejmować krwawymi konsekwencjami swych nielegalnych poczynań. Żałował, że stracił jedno ze źródeł dochodu, ważniejsze dlań jednak było zachowanie reputacji.

Zresztą ostatni kontrakt przyniósł mu wręcz nieprzyzwoity zysk. Klient zaoferował

budżet w wysokości dwustu tysięcy dolarów, z których amerykańskiemu najemnikowi Hoyt przekazał zaledwie sto dwadzieścia osiem tysięcy. Za kilka wysłanych e-maili i przełknięcie popołudnie w Brukseli zainkasował na czysto siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów.

Zaokrąglenie spędzonego nad zleceniem czasu do siedmiogodzinnego dnia pracy, co - był

świadom - stanowiło i tak spore nadużycie, dawało dziesięć tysięcy dwieście osiemdziesiąt pięć dolarów za godzinę. Nawet jak na Hoyta była to stawka wyjątkowo wysoka. Gdyby tylko wszystkie interesy układały się równie satysfakcjonująco.

Holender otworzył dolną szufladę biurka, wyjął z niej niewielkie czarne drewniane pudełko i postawił je na blacie. Ze skrzyneczki wyciągnął papierową kopertę. Wysypał na biurko nieco kokainy i żyłką uformował z niej kreskę. Był to najlepszej jakości towar z Nikaragui, tak rozdrobniony, że nie wymagał dalszego szatkowania. Hoyt sięgnął po srebrną rurkę i wciągnął działkę narkotyku.

Z zamkniętymi oczami zapadł się w fotelu, szczypiąc się w nos. Chryste, jakie to było przyjemne! Powstrzymał się przed

zażyciem kolejnej kreski i odłożył pudełko z kokainą na miejsce. Odznaczał się samokontrolą. Przyszedł czas, by udać się do domu. W biurze nie było nikogo poza nim, toteż w półmroku ruszył do windy. Jego korporacja, acz wysoce zyskowa, była w istocie małym przedsiębiorstwem i składała się wyłącznie z niego samego, jego osobistego asystenta, pięciu analityków oraz recepcjonisty. Wszyscy oni pracowali w luksusowych biurach Holendra w śródmieściu Mediolanu.

Sam Hoyt mieszkał już we Włoszech wystarczająco długo, by z łatwością uchodzić za miejscowego. Całe dziesięciolecie spędzone pod śródziemnomorskim słońcem nadały jego cerze smagły odcień, po włosku zaś mówił płynnie. Wrażenie potęgowały jego naturalnie ciemne włosy i oczy. Jeśli ktoś by go spytał, skąd jest, odparłby, że z Mediolanu. Hoyt kochał

Włochy - kraj, kulturę, język, ludzi. Doskonale odpowiadały jego preferencjom. Nie było to może najlepsze miejsce do prowadzenia interesów, lecz na przestrzeni lat przekonał się, że z położeniem kraju wiążą się liczne korzyści. Fakt, że posiadał klientów zarówno na zachodzie Europy, jak i wschodzie, w Afryce oraz na Bliskim Wschodzie, czynił z Włoch dogodną, centralnie usytuowaną bazę operacyjną.

Od mieszkania w mieście dzieliła go krótka przejażdżka samochodem. Hoyt mieszkał

sam. Nigdy się nie ożenił. Lubił kobiety, lecz możliwość, że pewnego dnia utraci połowę wszystkiego, co posiada, klóciła się z jego etyką zawodową. Już w domu Holender przygotował sobie duże martini i napuścił wody do wanny. Kusiło go, by zadzwonić po znajomą prostytutkę, która potrafiła sprawiać mu językiem wyjątkową przyjemność, był

jednak zbyt zmęczony, by się w to bawić.

Parę drinków, kąpiel i do łóżka - ot, wszystko, czego teraz potrzebował. Nazajutrz czekał go kolejny pracowity dzień.

Gdy sącył drugie martini i pakował się do wanny, ziewał już potężnie. W ustach wyczuwał nieprzyjemny posmak, który przypisał sporej ilości kokainy, jaką przez ten wieczór zażył. Położył się z zamkniętymi oczami, opierając głowę na złożonym ręczniku i zastanawiając się, czemu do diabła był tak bardzo zmęczony. Fakt, że od tygodnia codziennie przesiadywał do późnej nocy, ale i tak udawało mu się wystarczająco wysypiać. Po prostu się starzeję - pomyślał.

Środki uspokajające, jakie nieświadomie zażył w wypitych drinkach, sprawiły, że po piętnastu minutach spał już głęboko i nie usłyszał ani odgłosu otwierania drzwi od łazienki, ani też zbliżających się do niego bardzo cichych kroków.

Nad jego nieprzytomną twarzą pojawił się cień.

*

Reed przykucnął obok wanny, z wewnętrznej kieszeni swojej marynarki wydobyl

duży skórzany portfel, następnie położył go sobie na udzie. Rozpiął i wyjął z niego niewielką szklaną buteleczkę oraz strzykawkę. Zdjął nakrętkę i położył fiolkę na podłodze, po czym usunął plastikową osłonkę zabezpieczającą strzykawkę. Oceniał, że Hoyt waży najwyżej osiemdziesiąt kilogramów, toteż - podniósłszy fiolkę - wbił igłę przez membranę i wciągnął

do cylindra osiemdziesiąt mililitrów roztworu chlorku potasu.

Wolną dłonią delikatnie chwycił szczękę Holendra i otworzył mu usta. Następnie umieścił igłę pod jego językiem i wbił ją w tętnicę językową. Powolnym, płynnym ruchem wstrzyknął roztwór w układ krwionośny mężczyzny.

Bez pośpiechu zapakował swoje rzeczy w takim samym porządku, w jakim je wyjmował, po czym się podniósł. Wymył należący do Hoyta shaker koktajlowy, aby usunąć wszelkie ślady środków uspokajających, następnie zaś umieścił obok szklanki do połowy opróżnioną buteleczkę z lekarstwem. Potem opuścił dom tą samą drogą, którą wszedł, niczego nie ruszając i nie będąc przez nikogo zauważony.

Spojrzał na zegarek. Była 23:05. Za mniej więcej trzy minuty chlorek potasu doprowadzi do zatrzymania akcji serca Hoyta, a za dwie kolejne nastąpi zgon. Później związek rozpadnie się na osobne cząsteczki potasu i chloru, których obecność w ciele nieboszczyka jest czymś całkiem naturalnym. Badający zwłoki patolog nie natknie się w organizmie zmarłego na ślady trucizny. Wciąż istniało ryzyko, że w wypadku przeprowadzenia pełnej sekcji zwłok zauważy ślad po wkłuciu. Wobec braku jakichkolwiek wskazówek, że śmierć nastąpiła w wyniku działań kogoś z zewnątrz, prawdopodobieństwo przeprowadzenia takiej autopsji było jednak niemal zerowe.

Gdyby nawet Hoyt przeżył atak serca, co - choć mało prawdopodobne - było możliwe, i tak czekał go zgon. W wyniku porażenia mięśnia sercowego byłby krańcowo osłabiony, skutkiem czego utonąłby w wannie. Zważywszy na jego kiepską kondycję fizyczną, zajęłoby to najwyżej kolejne dwie minuty. Oba możliwe rezultaty były dla Reeda całkowicie satysfakcjonujące.

Kilka przecznic od domu Hoyta zabójca wsiadł do wypożyczonego samochodu. Ze schowka wyjął telefon i napisał wiadomość, w której donosił o pomyślnym zakończeniu operacji. Spojrzał na zegarek i zaczekał z potwierdzeniem wysłania do 23:12.

Reed lubił być dokładny.

ROZDZIAŁ 43

SANKT PETERSBURG, ROSJA

PONIEDZIAŁEK 13:57 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Wiktor z walizką w rękę szedł w tłumie obecnych w centrum handlowym petersburżan, poubieranych co do jednego w grube płaszcze, chroniące przed zimmem, którego nawet sklepowy system ogrzewania nie był w stanie do końca zwalczyć. Ruchomymi schodami udał się na wyższy poziom, podczas jazdy w górę opierając skrytą w rękawiczce dłoń na gumowej poręczy. Językiem przesuwiał w ustach lizaka z jednego policzka do drugiego.

Z publicznego aparatu zadzwonił do lokalu Norimowa i przekazał barmanowi dane dotyczące czasu i miejsca spotkania. Następnie skierował się ku głównej klatce schodowej i wszedł na najwyższy poziom parkingu. Plac parkingowy był prawie pusty, na miejscach pod gołym niebem stało zaledwie około tuzina pojazdów. Wciągnął i wypuścił mroźne powietrze, obserwując, jak jego oddech zamienia się w gęste kłęby pary. Był zbyt skupiony, by odczuwać zimno. Tętno miał doskonale wyrównane.

Drzwi dla personelu zamknięte były na stalową kłódkę, która nie przysporzyła mu kłopotu. Ruszył metalowymi schodami na właściwy dach, położony jedno piętro nad ostatnim poziomem parkingu. Niebo było niemal bezchmurne, a jasne listopadowe słońce zmusiło go do zmrużenia oczu.

Z kieszeni na piersi wyciągnął okulary przeciwsłoneczne i nasunął je na nos. Podszedł

do krawędzi dachu, przeciskając się obok wielkich rur wentylacyjnych wychodzących z wnętrza budynku. Hałas wentylatorów rywalizował z podmuchami wiatru.

Wychylił się poza obrys dachu i spojrzał na zewnętrzny parking położony sześć pięter niżej. Odwrócił się, przysiadł i położył walizkę na powierzchni dachu. Otworzył zamek i podniósł pokrywę. Złożenie Dragunowa i dostrojenie celownika do odległości dzielącej go od ziemi zajęło mu niecałą minutę. Następnie sięgnął po magazynek ze standardowymi pociskami i załadował go do karabinu. W oczekiwaniu ssał lizaka, zwalczając w sobie pokusę, by go po prostu rozgryźć.

*

Zauważył, jak to samo czarne BMW, którym przejechał się dwa dni temu, zbliża się do wjazdu na parking. Pojazd powoli manewrował, aż kierowca dostrzegł wolne miejsce blisko centrum handlowego, oddalone - zgodnie z przekazaną instrukcją - o dziesięć metrów od automatu biletowego. Po chwili tylne drzwi się otworzyły i wysiadł przez nie Norimow.

Przez lunetę karabinu obserwował, jak podchodzi do automatu.

Co najmniej jeden człowiek Norimowa - kierowca - czekał w samochodzie, ale mogło też ich być więcej. Ze swojej pozycji nie widział wnętrza pojazdu, wątpił jednak, by Rosjanin przyjechał na spotkanie wozem niewypełnionym ludźmi z obstawy. Na dodatek kolejny samochód mógł czekać w okolicy na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Bez względu na całą ich wspólną przeszłość Norimow nie zdobyłby się na pełne zaufanie do płatnego zabójcy.

Wiktor rozejrzał się. Przez cały czas na parkingu pojawiali się i znikali nowi ludzie, przemieszczając się, podchodząc do samochodów lub po prostu idąc na skrót przez teren placu. Zwracał uwagę jedynie na mężczyzn między dwudziestym piątym a czterdziestym rokiem życia. Jeśli osoby, z którymi Norimow się kontaktował, zdradziły go lub jeśli został

on w jakiś inny sposób zdemaskowany, na parkingu pojawiliby się agenci FSB bądź SWR.

Albo jedni i drudzy. Rosyjskie służby wywiadowcze nigdy nie posyłały kobiet do pracy w terenie. Wiktor wątpił, by licząca sobie dekady tradycja miała zostać złamana tylko ze względu na niego. Przez lunetę przyglądał się szyjom przechodniów, starając się dostrzec spiralne kable słuchawek, które zdradzałyby w nich agentów. U nikogo ich nie zauważył.

Istniały również słuchawki bezprzewodowe, wątpił jednak, by SWR lub FSB mogły sobie pozwolić na ostatni krzyk techniki.

Jeśli ktoś zamierzał go zaatakować, zrobiłby to z parkingu. Napastnicy musieliby się znajdować w odległości strzału lub dobiegnięcia do automatu. Z trzech stron do parkingu przylegały ulice, na których zaparkowano pełno samochodów. Większość stała tam już od dłuższego czasu. Z każdego z nich mogli obserwować teren. Tylko przez ostatnie pół godziny dostrzegł trzy wjeżdżające na plac i parkujące furgonetki. Było zbyt mało czasu, by rozmieścić na pozycjach snajperów, lecz i tak co parę sekund to sprawdzał. Dziesiątki innych furgonetek i terenówek pojawiały się i znikwały bądź też stały na miejscu jeszcze przed jego przybyciem. Ekipa zabójców lub porywaczy mogła się kryć z tyłu którejkolwiek z nich.

Albo też w żadnej. Być może było arogancją przypuszczenie, że po tylu latach nadal go tu ścigają. Tak czy siak jakieś dwadzieścia metrów od Norimowa zauważył kogoś, kto mógł być tajniakiem. Ciemnowłosa mężczyzna w długim płaszczu gawędził przez telefon komórkowy, kręcąc się przy swoim samochodzie. Jednocześnie parking przemierzał wysoki blondyn. Gość nie znajdował się obok Norimowa, lecz wystarczająco blisko, by coś zrobić.

Wiktor nie mógł jednak przeczekać sytuacji. Jeśli Rosjanin był obserwowany i nie nawiązałby z nim kontaktu, drużyna obserwacyjna pozostałaby na pozycjach do następnego razu. Ale Wiktor wierzył we własny plan. Jeśli coś pójdzie nie tak, powodem nie będzie jego brak ostrożności.

Zadzwonił ze swojego telefonu i zauważył przez lunetę, jak zdezorientowany Norimow poruszył głowę. Dopiero po paru sekundach Rosjanin zorientował się, skąd dochodził dzwonek, obrócił się i przyjrzał automatowi biletowemu. Obszedł maszynę dookoła, aż wreszcie sięgnął pod spód.

Znalazł przyklejony telefon, który oderwał. Otworzył klapkę.

- Bardzo ładnie, Wasilij - odezwał się od razu.

- Jak się masz, Alek?

Wiktor dostrzegł, że Norimow się rozgląda, w oczywisty sposób starając się go namierzyć, lecz bez powodzenia. Rosjanin spojrział nawet do góry, ale mężczyzna tak się usadowił, by ktokolwiek, kto spojrzy z parkingu w stronę dachu, dojrzał jedynie blask słońca.

Właśnie dlatego wybrał to konkretne miejsce i tę porę.

- No dobra, to co teraz? - spytał Norimow.

- Czy ludzie, których znasz, zdołali odszyfrować informację?

- Tak, Wasilij, zdołali. Wszystko poszło jak należy.

- Dziękuję ci - odparł Wiktor.

- Od czego są przyjaciele?

Wiktor nie był w stanie odpowiedzieć.

- Masz go przy sobie?

- W mojej kieszeni - Norimow poklepał się po piersi.

- Pod automatem biletowym, tam, gdzie znalazłeś telefon, jest też koperta izolacyjna.

Włóż go tam.

- Pięknie - Rosjanin zanurkował na moment pod automat. - Poczekaj, nie sięgam.

Będę musiał na chwilę odłożyć telefon.

- Starzejesz się.

- Ja już jestem stary. A i ciebie to kiedyś dopadnie.

- Chyba że będę temu w stanie zapobiec.

Norimow odszukał kopertę i umieścił w niej nośnik. A przynajmniej Wiktor miał taką nadzieję. Przez lunetę zauważył, że wysoki blondyn się zatrzymał. Stał może z dziesięć metrów za Rosjaninem i wyglądał, jakby na kogoś czekał. Nie robił tego jednak zbyt przekonująco. Z jego ucha do kołnierzyka biegł doskonale widoczny kabelek. Wiktor się wzdrygnął.

- Nie rób żadnych ruchów. Stoi za tobą facet ze słuchawką w uchu. Uśmiechnij się, zaśmiej, jakbym właśnie opowiedział ci dowcip.

Norimow tak też uczynił, po czym spytał:

- Co robimy?

W dalszym ciągu się uśmiechał.

- Czekali, aż się pojawię, ale zaskoczył ich telefon.

- Skąd wiedzieli?

- Ktoś, kto odszyfrowywał informację, powiedział im albo też go wykryli podczas dekryptażu. Pewnie założyli podsłuch w twojej knajpie, może i w twoim biurze. Kiedy stąd odjedziesz, ruszą za tobą.

- Przewiozę ich za sobą przez pół Rosji. Ciekawe, czy im się spodoba.

- Każde zwycięstwo, nawet najmniejsze...

- Właśnie.

- Wróc do samochodu i odjedź, jakby nigdy nic - powiedział Wiktor. - Kiedy zdadzą sobie sprawę, że nie zamierzam się pokazać, mogą chcieć cię zatrzymać.

- Powiem, że się nie pokazałeś. Co będzie prawdą.

- Jeśli tylko będą mogli, utrudnią ci życie.

- Pieprzyć ich. Umiem o sobie zadbać. I tak zresztą myślałem o przeprowadzce. Może na Karaiby. Podobają mi się tamtejsze panienki.

Mówił swobodnie, nawet zbyt swobodnie.

Wiktor zacisnął usta.

- Przepraszam, Alek, że cię w to wciągnąłem.

Norimow wciąż udawał, że się uśmiecha.

- Nie masz za co przepraszać.

*

Na tyle furgonetki przedsiębiorstwa specjalizującego się w przewodach było duszno i gorąco, nikt się jednak nie skarżył. Łącznie siedziało tam czterech ludzi w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat. Sami profesjonalści, sami doświadczeni agenci SWR.

Wszyscy śledzili obraz Norimowa i placu parkingowego na siedemnaściecalowym monitorze.

Patrzył nań również pułkownik Aniskowacz. W stronę Rosjanina wysunięto pałkowy mikrofon kierunkowy, obserwowany był jednak zbyt daleko, a dźwięki tła zbyt głośne, by można było zrozumieć jego słowa.

- On z nim gada, na sto procent - stwierdził jeden z agentów. - Ale gdzie on, do cholery, jest?

- Musi być w pobliżu - odparł Aniskowacz. - Chce zobaczyć Norimowa na własne oczy, aby się upewnić, że przyjechał sam. Gdzieś tu musi być. Kiedy będzie pewny, że nic mu nie grozi, pojawi się, żeby zgarnąć paczkę - Aniskowacz sięgnął po radio, by wydać polecenie ludziom na zewnątrz. - Niech nikt się nie rusza, dopóki cel nie zostanie zidentyfikowany, a ja nie wydam rozkazu.

Pułkownik otrzymał cynk o miejscu wymiany na niecałą godzinę przed czasem, więc nie miał czasu, by rozlokować na pozycjach snajperów bądź przygotować lepszy plan działania. I właśnie dlatego, rzecz jasna, zabójca tak to zorganizował. Aniskowacz nie mógł

nie docenić jego wyrachowania, miał jednak w okolicy wystarczająco dużo ludzi, by schwytać gościa, gdy tylko wyściubi nos.

Widoczny na ekranie Norimow zakończył rozmowę i włożył telefon do kieszeni.

Pułkownik odezwał się do radiostacji:

- To by było na tyle. Skończyli rozmawiać. Gość się nie pojawi, dopóki Norimow nie odjedzie. Zabijcie go tylko, jeśli będzie to konieczne. Zrańcie, jeśli tylko zdołacie, ale chcę go dorwać żywego - Aniskowacz odwrócił się do swoich ludzi. - Bądźcie gotowi.

*

Chmury przesłoniły słońce. Wiktor zamknął telefon, ale w dalszym ciągu obserwował

Norimowa, by upewnić się, że nic mu nie grozi. Przynajmniej tyle mógł dla niego zrobić.

Rosjanin spokojnie, jak gdyby nigdy nic, oddalił się w stronę samochodu. Podeszedł do drzwi od strony pasażera i je otworzył. W tym samym momencie Wiktor spojrzał ponownie na blondyna, który zdawał się mówić do siebie. Na sekundę facet zerknął ku górze. Prosto na niego.

Blondyn musiał mieć fenomenalny wzrok. Wiktor nabrał powietrza, świadom, że za chwilę przeciwnicy zdołają namierzyć jego pozycję i go osaczyć. Jak na razie jednak to wciąż on był tutaj, na górze, oni zaś na placu parkingowym. Na powrót oburącz obejmując karabin, skierował lufę w stronę ubranego po cywilnemu agenta. Ten już się przemieszczał, wiedząc, że zapewne został dostrzeżony. Prawą ręką sięgał do paska.

Wiktor wystrzelił.

Pocisk przeleciał nad ramieniem Norimowa i trafił blondyna w twarz. Kiedy ciało upadło na ziemię, większość głowy zdążyła oderwać się od szyi.

Tłumik Dragunowa znacznie zredukował odgłos gazów wylotowych, lecz wystrzelony ładunek o dużej prędkości początkowej w chwili przełamania bariery dźwięku spowodował

huk, niechybnie zdradzając wystrzał. Wiktor uważnie przyjrzał się reakcji otoczenia. Ludzie na parkingu i w jego pobliżu padli na ziemię bądź uciekli. Przerażeni, zszokowani, zdezorientowani. Z wyjątkiem dwóch osób.

Zabił pierwszego strzałem w klatkę piersiową. Drugi domyślił się, co się święci, i rzucił się do ucieczki. Daleko jednak nie pobiegl.

Ludzie Norimowa wciągnęli szefa do samochodu, po czym BMW z piskiem opon wycofało się z miejsca parkingowego i ruszyło w stronę wyjazdu. Zaryzykował podniesienie się, aby zyskać lepszy ogląd sytuacji. I tak już wiedzieli, gdzie jest. Rozejrzał się. Na dole rozlegały się krzyki, zapanowała histeria, ludzie biegali we wszystkie strony. A gdzie reszta agentów?

Po prawej zauważył białą furgonetkę do przeprowadzek. Na twarzy mężczyzny za kierownicą malowało się podniecenie, zaś w jego lewym uchu widoczny był spiralny kabelek.

Wiktor błyskawicznie przykucnął, sięgnął po Dragunowa i skierował go na prawo. Siatka celownika przemknęła po placu.

Usta kierowcy się poruszały. Gość coś krzyczał.

*

W bocznym oknie pojazdu pojawiła się niewielka dziura, a szyba zabarwiła się na czerwono. Słyszac tłuczone szkło i mokry plask, pułkownik Aniskowacz przestał

wykrzykiwać rozkazy i spojrzał w stronę szoferki, To, co zobaczył, sprawiło, że opadła mu szczeka.

Przednią szybę oblepiała jasna krew. Agent za kierownicą opadł na bok fotela z głową rozplataną na pół.

Pułkownik był już w ruchu, gdy wykrzyczał:

- Wszyscy na zewnątrz!

*

Wiktor pozwolił magazynkowi wypaść z karabinu i wpiął w jego miejsce kolejny.

Przeładował broń, usuwając z komory poprzedni ładunek i zastępując go przeciwpancernym nabojem zapalającym. Przez lunetę karabinu dojrzał, jak tylne drzwi furgonetki otwierają się z rozmachem. Przesunął celownik na wlew paliwa.

Jakaś postać wyskoczyła z furgonetki i odbiegła. Jej śladem podążyły kolejne. Pocisk przebił blachę karoserii. Wewnątrz pojazdu ładunek zapalający zadziałał na obecne pod korkiem opary paliwa. Wzniesione płomienie popędziły przewodami, docierając do zbiornika.

Nastąpiła eksplozja.

Furgonetka wyleciała w powietrze, a siła wybuchu rozsadziła ją, w jednej chwili rozdzierając pojazd na metalowe strzępy. Powstała gigantyczna kula ognia, która w formie grzyba uniosła się do góry, dosięgając przy tym agentów, którzy byli zbyt wolni, by nadążyć za Aniskowaczem. Fala uderzeniowa zbiła szyby w sąsiednich pojazdach.

W niebo wzniosła się chmura czarnego dymu.

ROZDZIAŁ 44

PARYŻ, FRANCJA

Rebecca wróciła do mieszkania z torbą zakupów spożywczych. Zamknęła drzwi na zasuwę, po czym przeszła do kuchni, gdzie odstawiła torbę na blat, nalała sobie z imbryka resztkę kawy i ją wypiała. Była gorzka i letnia. W salonie stanęła na chwilę w półmroku, a następnie odsunęła zasłony, aby wpuścić nieco światła. Paryż był szary i przygnębiający.

Włosy Rebeki były mokre i pozlepiane od deszczu. Bez spoglądania w lustro wiedziała, że wygląda potwornie.

Upewniła się, że wszystkie okna są szczelnie pozamykane. Mieszkanie było stare, a jego ściany, podłoga i sufit grube. Do środka nie dostawało się zbyt wiele dźwięków, a panująca cisza ją stresowała. Wzięła wdech, starając się opanować zdenerwowanie. O tym lokalu nie wiedział nikt. Niegdyś należał do jej wujka, teraz zaś stanowił własność jednego z jej kuzynów. Kilka lat temu spędziła w nim parę tygodni. Dano jej wtedy klucze i powiedziano, by wpadała, kiedy tylko zechce. Kuzyn mieszkał za miastem i nikomu nie wynajmował lokalu, był jednak zbyt sentymentalny, by go sprzedać.

Uderzyła w spację na klawiaturze laptopa, aby dezaktywować wygaszacz ekranu.

Wyjeżdżając do Szwajcarii, zostawiła urządzenie włączone. Jako że komputer dysponował

ograniczoną zdolnością przetwarzania danych, złamanie szyfru z pendrive'a Ozolsa mogło oprogramowaniu dekodującemu zająć kilka dni, jeśli nie wręcz tygodni. Nie zdziwiło jej więc, że program nadal liczył. Ekran wyświetlał liczbę testowanych kombinacji. Miliardy już sprawdzone, miliardy wciąż do sprawdzenia. Być może dziesiątki miliardów. A może jeszcze więcej. A w takim wypadku nigdy nie zdołają złamać kodu. Na długo, nim program odkryje właściwe hasło, Rebecca umrze ze starości.

Rozważyła możliwość wysłania e-maila do przyjaciela z Langley, który pracował w departamencie kryptografii. Miał on dostęp do superkomputerów, które potrafiły złamać niemal każdy szyfr w kilka godzin albo nawet minut. Lecz jej towarzysz miał rację - czyniąc tak, zbyt blisko zbliżyliby się do przeciwników.

Rebecca wpisała w program każde słowo, jakie jej zdaniem mogło mieć dla Ozolsa jakiegokolwiek znaczenie. W ramach operacji zaznajomiła się z wieloma informacjami na temat Łotysza, które następnie przekazała jego zabójcy. Żaden z tych wyrazów nic jednak nie dał.

Szyfr nie miał zapewne żadnego konkretnego znaczenia i dla wzmocnienia zabezpieczenia składał się z wymieszanych liter i cyfr.

Po zrobieniu sobie świeżej kawy - czarnej i z cukrem - usiadła w małym, trzeszczącym fotelu przed monitorem drugiego, niedawno nabytego komputera. Na podłodze stała nowa drukarka.

Na ekranie widniała witryna Hartman and Royce Equity Investments, konsultingowej instytucji finansowej z Londynu. Stronę cechował elegancki minimalizm. Artystyczna grafika przedstawiała panoramę stolicy wyśrodkowaną na Canary Wharf, gdzie mieściły się biura firmy.

Przeglądała witrynę, aż znalazła listę dyrektorów spółki, zawierającą dane biograficzne oraz zdjęcia. Przewinęła stronę w dół, zatrzymując się przy osobie Elliota Seifa.

Po kliknięciu otworzyła się podstrona ze szczegółami, jak również większa fotografia mężczyzny.

Kliknęła prawym przyciskiem i zapisała zdjęcie na dysku.

W pobliskiej budce telefonicznej wstukała kierunkowy do Wielkiej Brytanii i numer biura Seifa.

Odebrała kobieta z miłym, angielskim akcentem.

- Hartman and Royce, przy telefonie Melanie, w czym mogę pomóc?

- Chciałabym się umówić na spotkanie z jednym z państwa doradców finansowych.

Pięć minut później Rebecca wyszła z budki, umówiona nazajutrz na spotkanie z mężczyzną o nazwisku Brice, aby przedyskutować temat prywatnych inwestycji i portfela akcji. Dzięki wizycie zyskiwała idealną okazję, by z bliska przyjrzeć

się Seifowi i zbadać jego biuro.

Wróciła do poszukiwań. Już wcześniej zdobyła plany dzielnicy z Canary Wharf w kilku różnych skalach, jak również fotografie budynku i jego najbliższego otoczenia. Na swym komputerze miała dostarczone przez CIA oprogramowanie, które umożliwiało jej dostęp - niekiedy legalny, lecz w większości nie - do wielu użytecznych źródeł danych.

Fakt, że w Zjednoczonym Królestwie posługiwano się rodzimym językiem Rebeki, czynił sprawy o wiele prostszymi od kompletowania dossier na temat obywateli innych krajów Europy. Zalogowała się do bazy danych brytyjskiego rejestru wyborców, aby odszukać adres domowy Seifa. Posiadał domy zarówno w Surrey, jak i w Londynie, przy czym pod adresem w Surrey zarejestrowana była również niejaka Samantha Seif, którą Rebecca uznała za jego żonę. Po kilku minutach klikania i stukania w klawiaturę zgromadziła numery telefonów i historię finansową. Teraz przyszła kolej na *resume* Seifa. Chwilę później dysponowała mapami terenów przylegających do obu posiadłości oraz cały czas rosnącą listą danych biograficznych.

Do czasu powrotu jej towarzysza Rebecca pragnęła zgromadzić na temat Elliota Seifa wszelkie możliwe informacje. Rzuciła okiem na drugi komputer.

Program przerwał obliczenia.

ROZDZIAŁ 45

SANKT PETERSBURG, ROSJA

PONIEDZIAŁEK 17:25 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Bursztynowy płyn wypełnił szklankę, po czym Aleksandr Norimow na raz wychylił

porcję szkockiej. Zacisnął zęby i nalał sobie raz jeszcze. Ciepło whisky przyjemnie rozlewało się po jego wnętrznościach. Fakt, że wciąż był żywy, mile go zaskakiwał. Kiedy rozpętała się strzelanina, był pewien, że nie wyjdzie z niej żywy. Przyłożył rękę do piersi. Serce wciąż mu waliło. Był już za stary na takie rozrywki i wyszedł z wprawy.

Norimow siedział za biurkiem i się zastanawiał, co też u diabła teraz się stanie, kiedy usłyszał, jak pod budynek podjeżdżają samochody i nalał sobie trzecią whisky. Zdażył dopić czwartą kolejkę, gdy drzwi jego biura otworzyły się z impetem i wszedł przez nie mężczyzna.

Ze sposobu, w jaki się poruszał, przebijała się arogancja i niewypowiedziana groźba, czego nie zmieniał nawet świeży opatrunek pokrywający jego lewy policzek od nosa do ucha i od oczodołu po żuchwę.

- Tego popołudnia zabił nam pięciu ludzi - wypłuł z siebie Aniskowacz. - Powiedz mi, gdzie on jest.

Norimow wskazał na opatrunek.

- Założę się, że zostanie po tym śliczna blizna.

Pułkownik zamarł na chwilę, po czym zmiótł ramieniem powierzchnię biurka, zrzucając na podłogę butelkę whisky, szklanki oraz stos papierów.

- Gdzie on jest?!

Norimow odsunął fotel i schylił się, aby podnieść z ziemi butelkę i dwie pęknięte szklanki. Odstawił je z powrotem na biurko i oblizał palce ze szkockiej.

- Skąd miałbym, kurwa, wiedzieć? - sięgnął po butelkę. - To wy jesteście Służbą Wywiadu, nie ja.

- Jeśli choć przez chwilę pomyślę, że powiedziałeś mu o naszej obecności...

- Nie bądź głupi - Norimow potrząsnął głową. - Ani nie zakładaj, że ja jestem głupi.

To ty spieprzyłeś sprawę, rozmieszczając ludzi na parkingu. Mówiłem, że ich zauważą.

Aniskowacz rozejrzał się wokół, jakby próbując ułożyć odpowiednią ripostę. Po chwili usiadł naprzeciw Norimowa i złożył ubrane w rękawiczki dłonie na biurku.

- Tak, mówiłeś.

Uśmiechnął się fałszywie, po czym skrzywił i przyłożył dłoń do twarzy.

Norimow doskonale krył rozbawienie.

- Boli, jak się uśmiechasz, co?

Aniskowacz zmarszczył brwi.

- Wygląda na to, że powinienem być posłuchać twojej rady. Nie jesteś tak stetryczały, jakby się mogło zdawać.

Norimow zignorował uwagę. Złapał butelkę whisky.

- Drinka?

Aniskowacz przez dłuższą chwilę się w niego wpatrywał.

- Chętnie - odparł w końcu.

Norimow wyciągnął nową szklankę i nalał Aniskowaczowi szkockiej. Ten wziął łyka.

- Nie spróbował zwać przez lotnisko - powiedział.

- A naprawdę na to liczyłeś?

Aniskowacz nie odpowiedział. Norimow uśmiechnął się zjadliwie.

- Uciezka pierwszym dostępnym samolotem byłaby właśnie tym, czego można by się spodziewać. A zatem to ostatnia rzecz, na którą by się zdecydował. Jest dobry - a może nie wyciągnąłeś wniosków z poprzedniej lekcji?

Aniskowacz ponownie się zmarszczył.

- To gdzie on jest?

Norimow potrząsnął głową.

- Ale jesteś uparty. Skąd ci przyszło do głowy, że powiedziałby mi, gdzie się zatrzymał albo dokąd się wybiera? Nigdy zresztą tego nie robił.

- Gdybyś wiedział, to byś mi powiedział?

- Zależałoby to od wysokości kwoty - Norimow oparł się w fotelu. - A skoro już poruszyliśmy ten temat...

Aniskowacz skinął na agenta SWR, który stał w progu. Facet podszedł do biurka, położył przed Norimowem walizkę i ją otworzył. Wypełniona była dolarami.

- Nie byłem pewien, czy istotnie mi zapłacisz - przyznał Norimow, przyglądając się pieniądzom. - Kiedy tu wszedłeś, myślałem, że mnie zabijesz.

Aniskowacz uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalały mu odniesione obrażenia.

Norimow, który pilnie śledził jego wyraz twarzy, zachował powagę.

- Jeśli się dowiem, że w jakikolwiek sposób mnie wystawiłeś, nie zawaham się rozkazać, by cię zlikwidowano - oświadczył wprost Aniskowacz. - Ale jestem człowiekiem honoru. Zawarliśmy umowę i zamierzam jej dotrzymać.

Norimow podniósł szklankę do ust.

- Nie wiedziałem, że tacy jak ty mają honor.

- Nazwijmy więc to zawodową uprzejmością. Ostatecznie rzecz sprowadza się do tego samego - zamilkł na chwilę, delikatnie dotykając palcem rany. - Czy w jakikolwiek sposób dał ci do zrozumienia, że wie, że pracujesz dla nas?

- Nie.

- Więc być może w przyszłości znowu będzie potrzebował się z tobą skontaktować.

- Wątpię - odparł Norimow. - Ale to samo sobie pomyślałem poprzednim razem. Więc co ja tam wiem?

Aniskowacz przechylił głowę na bok.

- A zadałbyś sobie trud ponownego poinformowania nas, gdyby tak się stało? Pomimo że kiedyś był twoim przyjacielem?

Norimow zamyślił się na chwilę.

- Nadal jest moim przyjacielem. Ale biznes to biznes - zamilknął na chwilę. - On by to zrozumiał.

- Ja bym nigdy nie zdradził przyjaciela.

- To daleko nie zajdziesz w fachu, któryś sobie wybrał.

Aniskowacz wyciągnął skopiowanego pendrive'a z kieszeni i przyjrzał mu się, nie wypuszczając z dłoni.

- Czy jakkolwiek zasugerował ci, co ten nośnik zawiera?

Norimow potrząsnął głową.

- Nie miał pojęcia. Dlatego potrzebował mojej pomocy. Znaczy, że jeszcze go nie odszyfrowałeś.

Aniskowacz wstał.

- To delikatna sprawa, a więc zajmuje więcej czasu niż zwykle - skierował się ku drzwiom, ale się zatrzymał. - A, żeby nie było nieporozumień, jesteś absolutnie pewien, że nie wiesz, gdzie może teraz być?

Norimow, który zajęty był przeliczaniem pieniędzy, nie podniósł wzroku.

- Do tego czasu zdążył już wyjechać z kraju, tego możesz być pewny.

ROZDZIAŁ 46

NA WSCHÓD OD KOHTLA-JÄRVE, ESTONIA

PONIEDZIAŁEK 16:45 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Na stację obsługi składał się właściwie tylko duży bar z kawiarnią, otoczony nierównym asfaltem, który służył za parking dla samochodów i ciężarówek. Po jednej stronie placu ustawiony był rząd dystrybutorów paliwa, osłoniętych rozpadającym się daszkiem.

Sypał śnieg i wycieraczki ciężarówki latały po szybie tam i z powrotem przed nosem usadowionego wysoko w kabinie Jukowa. Zawieszenie ciągnika było kompletnie zniszczone, toteż kierowca podskakiwał na fotelu, manewrując wielkim pojazdem po placu parkingowym.

Opony mełły brunatną breję.

Juków powstrzymał się od ziewnięcia i zatrzymał ciężarówkę. Podróż z Rosji trwała długo. Czuł, że jak najszybciej musi skoczyć do toalety, a potem zjeść jakąś sporą kanapkę.

Być może pozwoli sobie na kolejkę albo dwie czegoś mocniejszego. A może nawet i drzemkę, jeśli uzna, że jest na to czas.

Przez opóźnienie na granicy miał niemal godzinne obsunięcie względem planu. Nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi, ale pogranicznicy sprawdzali dokumenty każdego pojazdu, jaki opuszczał Rosję. Nie byli przy tym nawet łaskawi poinformować go o przyczynach.

Może jednak drzemka to nie był najlepszy pomysł. Przed północą musiał dotrzeć do Tallinna, jeśli by zasnął, miałby kłopoty. Wyciągnął płaszcz z za siedzenia i się ubrał. W

kabinie panowało wspaniałe ciepło, lecz na zewnątrz czekało go dobrych kilka stopni poniżej zera. Wziął też swoją wełnianą czapkę i naciągnął ją na uszy, a na koniec włożył

rękawice, Kohtla-Järve położone było wprost na północnym wybrzeżu Estonii, a wiejący od strony Bałtyku wiatr nawet przy najlepszych warunkach atmosferycznych mógł człowieka wykończyć. Ale dzisiejszego wieczora pogoda była gorsza niż zwykle - i to dużo gorsza.

Natychmiast po otwarciu drzwi Juków zadygotał. Pod wpływem lodowatego wiatru jego twarz zrobiła się czerwona. Najszybciej, jak to było możliwe, zamknął ciężarówkę i pognął przez parking w stronę stacji serwisowej.

Nie miał żadnego powodu, by przed odejściem przyglądać się przyczepie, a nawet, gdyby to zrobił, było mało prawdopodobne, by dojrzał szparę w brezencie na lewej burcie.

Było to pionowe, mniej więcej metrowe nacięcie, którego brzegi zebrano od środka taśmą izolacyjną.

Powoli, kawałek po kawałku, fragmenty taśmy zostały odlepione i trzęsące się z zimna dłonie rozwarły rozcięty brezent. Z otworu wyłoniła się dygocąca postać, która wyskoczyła na ziemię, momentalnie padając na asfalt. Wpół odmrożone nogi nie zdołały utrzymać ciała w pozycji pionowej.

*

Z gigantycznym wysiłkiem Wiktor zdołał podźwignąć się na kolana, a następnie, chwytając się ciężarówki, podniósł się do góry. W wyniku upadku na ziemię przemókł i wiedział, że jeżeli nie dostanie się natychmiast do wnętrza, woda na nim zamrznie.

Jego ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze. Nie czuł już dłoni ani stóp. W

uszach rozbrzmiewało mu nieznośne szczekanie zębów. Od budynku stacji dzieliło go może pięćdziesiąt metrów. Odepchnął się od ciężarówki i potykając się, ruszył naprzód, starając się utrzymać równowagę dzięki szybkiemu marszowi. Wiejący od prawej strony wiatr spychał go na lewo, toteż opierał się jego podmuchom, przyciskając szczękę do barku, zaś dłonie kryjąc z przodu spodni, w najcieplejszym miejscu swego ciała. Mijając zaparkowane pojazdy, odbijał

się od nich we wszystkie strony, niezdolny posuwać się w linii prostej.

Ostatnie godziny spędził w przyczepie ciężarówki, gdzie za jedyną izolację służyło mu własne ubranie. Wiktor miał na sobie gruby płaszcz, czapkę i rękawiczki, było to jednak za mało, by zapewnić mu ochronę przed zimnem. Taka odzież powinna wystarczyć, jednakże panujące warunki pogodowe były nadzwyczaj trudne z powodu niespodziewanego sztormu na Bałtyku. Gdyby zdecydował się na opuszczenie Rosji samolotem lub pociągiem, nie musiałby stawiać czoła pogodzie, zarazem jednak wpakowałby się prosto w ręce swoich nieprzyjaciół.

Przekroczenie granicy za kierownicą samochodu było zbyt ryzykowne, gdyż mogła mu się przytrafić kontrola drogowa. Zanim nastąpiło załamanie pogody, ukrycie się pod plandeką ciężarówki wydawało się całkiem niezłym pomysłem. Przyczepa załadowana była warzywami, więc przycupnął między skrzynkami, próbując osłonić się przed wpadającym pod brezent wiatrem. Pod tym względem nacięcie w pokryciu, które zrobił, aby dostać się do środka, tylko pogarszało jego położenie.

Kiedy ciężarówka dotarła do granicy, był już w takim stanie, że nie zdołałby stawić oporu, gdyby strażnicy okazali się wystarczająco sumienni i postanowili sprawdzić zawartość przyczepy. Ze względu na panujące zimno rozważał zapłacenie kierowcy za przewiezienie go przez granicę, dzięki czemu mógłby przejechać się w szoferce, kryjąc się w przyczepie dopiero tuż przed kontrolą. W ten sposób uchroniłby się przed zmarznięciem. Istniało jednak ryzyko, że kierowca wyda go władzom

lub zdradzi się podejrzanym zachowaniem.

Dotarł do wejścia do budynku i pchnął drzwi. Kilku estońskich i rosyjskich stałych klientów obrzuciło go spojrzeniami. Jego wygląd i zachowanie musiały przykuć uwagę wszystkich obecnych, w tym jednak momencie nie mógł temu nijak zaradzić. Przede wszystkim potrzebował się ogrzać. Bez sensu byłoby umrzeć z zimna tylko po to, by pozostać niezauważonym.

Podszedł do kontuaru i się odezwał.

- Poproszę kawę.

Nie mówił po estońsku, użył więc rosyjskiego. Około jednej czwartej ludności kraju stanowili etniczni Rosjanie, miasto zaś było położone na tyle blisko granicy, że obsługa na pewno mówiła po rosyjsku. Ze względu na dzwoniące zębów i zachrypnięty głos musiał

jednak powtórzyć dwa razy, nim kobieta za barem wreszcie go zrozumiała.

Wypił kawę jednym haustem, nie przejmując się, że przy okazji poparzy sobie usta i język. Musiał podnieść temperaturę ciała - i to szybko. Poprosił o kolejną kawę i wypił ją równie szybko, po czym zamówił zupę na chlebie i porcję pielmieni nadziewanych wołowiną i podawanych z kwaśną śmietaną.

Błyskawicznie pochłonął posiłek. Chwilę to zajęło, lecz w końcu poczuł, że odzyskuje władzę w palcach. Wraz ze wzrostem temperatury klatki piersiowej krew ponownie dotarła do kończyn. Wiktor nigdy nie zapomniał słów usłyszanych od prowadzącego musztrę sierżanta.

Ogrzej wnętrzości, a one już same rozgrzeją całą resztę. Po piętnastu minutach był w stanie zginać ręce; gdy upłynęło pół godziny, znowu poczuł wszystkie palce u stóp. Trzy kwadranse po wejściu do baru był gotowy udać się w dalszą drogę. Chętnie zostałby dłużej, wynajął

pokój i odpoczął, ale nadal był zbyt blisko Rosji, by pozwolić sobie na relaks. Zarazem jednak w obecnym ubraniu nie mógł się nigdzie ruszyć.

Kupił butelkę wódki i usiadł nad nią, czekając na odpowiedni moment. Niebawem mężczyzna podobnego co on wzrostu wstał z krzesła i skierował się do łazienki. Przy zajmowanym przezeń stoliku nie widać było żadnych towarzyszy. Idealnie. Odczekał parę sekund i się podniósł. Wszedł do toalety pół minuty po mężczyźnie.

Pomieszczenie było brudne i cuchnące, ale brak higieny nie zaprzętał mu teraz głowy.

Mężczyzna podszedł do pisuarów i zaczął się załatwiać. Obok niego stał ktoś jeszcze, więc Wiktor zaczął przy umywalce, udając, że myje ręce, aż drugi z gości wyszedł.

Nie miał zbyt wiele czasu. W każdej chwili ktoś mógł wejść. Podszedł od tyłu do mężczyzny przy pisuarze. Poruszał się szybko i ten zauważył go zbyt późno. Chwycił go prawą dłońią za włosy i uderzył jego głową o kafelki nad pisuarami. Mężczyzna stęknął

oszołomiony.

Odciągnął go do tyłu, obrócił i wepchnął do jednej z kabin. Sam w pośpiechu wszedł

za nim, zatrzasnął drzwi i przesunął zamek.

Mężczyzna jęczał na kolanach, starając się podnieść. Wiktor ustawił się za nim, stając oboma stopami na nogach zaatakowanego. Zaklinował lewe ramię pod szczęką mężczyzny, po czym nacisnął przedramieniem na jego krtań. Jednocześnie prawą dłońią przytrzymywał

go za tył głowy. Mężczyzna rozpaczliwie się szamotał, był jednak na kolanach, Wiktor stał

nad nim, a wstrząs od uderzenia pozbawił go sił. Stracił przytomność i napastnik zwolnił

chwyt. Kolejna minuta duszenia doprowadziłaby go do śmierci, ale skoro Wiktor zamierzał

zabrać mu ubranie, postanowił przynajmniej zapłacić, darując nieszczęśnikowi życie.

Przebrał się, a następnie ubrał nieprzytomnego najlepiej jak potrafił w swoje dotychczasowe ciuchy i wylał na niego wódkę. Kiedy ocknie się i zacznie bełkotać, że został

napadnięty, uznają go za pijaka i zignorują wystarczająco długo, by Wiktor zdążył się oddalić.

Wyszedł z łazienki. Opuścił stację, trzymając głowę nisko, lecz nie za bardzo.

Zdobyte ubrania dawały mu niezłą ochronę przed mrozem, lecz wiejący wiatr wciąż kąsał w odsłoniętą twarz. Pospieszył przez parking w stronę szosy, gdzie grupka ludzi czekała na przystanku.

- Przepraszam, kiedy odchodzi następny autobus do miasta?

Starsza kobieta, którą zagadnął, zastanowiła się przez chwilę.

- Za pięć minut.

- Dziękuję - odparł.

Był wyczerpany i rozpaczliwie potrzebował odpoczynku, nadal jednak nie mógł się zatrzymać. Z Kohtla-Järve przedostanie się do Tallinna. Potem złapie pierwszy samolot za granicę. W tym momencie odpowiadał mu dowolny kierunek, później zaś wróci do Francji.

Do pośredniczki.

Żywił nadzieję, że dziewczyna miała więcej szczęścia.

ROZDZIAŁ 47

PARYŻ, FRANCJA

PONIEDZIAŁEK 19:54 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Krople deszczu uderzały w budkę telefoniczną i spływały strugami po szybie przed twarzą Wiktora. Światła przejeżdżających samochodów lśniły w ścigających się kroplach.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer. Poczul ulgę, gdy po trzech sygnałach uzyskał

połączenie i gdy usłyszał jej głos.

- To ja - rzucił.

- Wiem, że to ty - odparła pośredniczka.

Na dźwięk tych czterech słów, stanowiących hasło potwierdzające, że wszystko w porządku, ucieszył się raz jeszcze. Różnica choćby jednego słowa oznaczałaby, że dziewczyna została namierzona. W jej głosie nie słychać było napięcia, które wskazywałoby, że rozmawia pod przymusem.

- Gdzie jesteś? - spytała.

- Z powrotem w Paryżu. Widzimy się za godzinę.

Odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki. Po dwudziestu minutach zadzwonił

domofonem do pośredniczki.

- Jesteś przed czasem - zauważyła, wpuszczając go.

Nie odpowiedział. Było oczywiste, że przyjdzie wcześniej, niż zapowiedział.

Wszedł po schodach i zapukał do drzwi jej mieszkania. Zauważył, jak wizer na chwilę ciemnieje, po czym gospodyni otworzyła zamek i zdjęła łańcuch. Nie były to zabezpieczenia, które zatrzymałyby ekipę zabójców, ale może pomagały jej spokojnie zasnąć.

Kiedy otworzyła drzwi, cofnęła się do środka, pozwalając mu wejść. Wiktor przeszedł przez próg, odwracając się do połowy, aby ani przez chwilę nie stać do niej plecami.

Zamknęła za nim drzwi, przekręciła zamek i wsunęła z powrotem łańcuch.

- Chcesz się czegoś napić? - spytała.

Miała na sobie czarne jeansy i sweter w kolorze burgunda, który ciasno przylegał do jej brzucha i piersi. Długie, ciemne włosy były rozpuszczone i okalały twarz, nadając jej łagodniejszy i wrażliwszy wygląd niż przy pierwszym spotkaniu, nawet jeśli jej wzrok zyskał

od tego czasu hardości. Wiktor oderwał od niej wzrok i sprawdził mieszkanie.

Pomijając nowy komputer i drukarkę oraz parę świeżych produktów w szafkach i w lodówce, od jego wyjazdu dwa dni temu nic się nie zmieniło. Obmacał łebki śrub przy gniazdkach elektrycznych i wlotach powietrza. Żaden nie był ostry. Przechylony przez niego abażur lampy w salonie wciąż był w tej samej pozycji. Ucieszył się, że go nie ruszała.

Zastał ją w kuchni, gdzie przygotowywała sobie filiżankę kawy. Na blacie stała też druga wysoka filiżanka, którą teraz napelniła.

- Nie odpowiedziałeś - zauważyła. - Ale i tak ci zaparzyłam.

Wiktor milczał.

- Wyglądasz, jakbyś był zmęczony - powiedziała.

- Bo jestem.

- Powinieneś odpocząć.

- Później.

Wziął filiżankę i wrócił do salonu. Postawił ją obok komputerów, nie mając zamiaru wypić nawet łyka. Prawdę mówiąc, nie wierzył, by mogła spróbować go otruć, lecz niektórych nawyków nie dawało się tak po prostu zignorować. Przyszła chwilę po nim, popijając swoją kawę.

- Jak tam twoja wycieczka? - spytała.

- Skończyła się niepowodzeniem.

Skinęła głową.

- Mnie się trochę poszczęściło.

- Z bankiem czy z zaszyfrowanym plikiem.

- I z tym, i z tym.

Podszedł do okna, stanął z boku plecami do ściany, odsunął kotarę na parę centymetrów i wyjrzał na zewnątrz. Ulica była pusta. Przeszedł na drugą stronę okna i zrobił

to samo, chcąc zobaczyć niewidoczny dotychczas fragment ulicy. Odwrócił wzrok i zauważył, że pośredniczka stoi w wyczekującej pozycji.

- Nie zamierzasz mi pogratulować?

- Może będziesz łaskawa powiedzieć mi, co takiego odkryłaś, zanim z zadowoleniem poklepiesz się po plecach?

Rzuciła mu krótki uśmiech.

- To ty mnie zaraz po nich poklepiesz - podeszła do komputerów i odstawiła kawę. -

Jest naprawdę dobra - stwierdziła. - Z Kolumbii. Pij, póki gorąca.

Kiwnął głową.

Pośredniczka usiadła przed komputerem i stuknęła w touchpada, aby wyrwać maszynę ze stanu uśpienia.

Pozostał z tyłu i obserwował, jak pracuje. Jej palce płynnie przebiegały po klawiaturze. Uruchamiała programy. Wstukiwała polecenia. Kliknęła dwukrotnie na plik, wywołując okno dialogowe żądające hasła. Coś wpisała. W polu tekstowym ukazało się dziesięć gwiazdek. Wcisnęła enter.

- I tyle - oznajmiła. - Weszłam.

Na ekranie komputera plik rozpakowywał się do szeregu kolejnych plików.

- Powiedziałaś mi, że to może potrwać kilka dni - przypomniał.

- I potrwało - odparła pośredniczka. - Dokładnie dwa dni. Można wręcz powiedzieć, że mieliśmy pecha, że trwało to tak długo. Ozołs użył jedynie standardowego szyfrowania 40-bitowego. Powinniśmy zdać sobie z tego sprawę, a przynajmniej ja powinnam. *Post factum* zdaje się to oczywiste. Gość był emerytowanym oficerem marynarki, tak? Nie był nawet emerytowanym wywiadowcą. Nie miał dostępu do bardziej skomplikowanego oprogramowania szyfrującego - a tam, pewnie nawet nie wiedział, na czym polega różnica między szyfrowaniem prostym i złożonym. Założę się, że użył pierwszej aplikacji, jaką zasugerował mu jego komputer. Przecież nie starał się uczynić pendrive'a

„szpiegodpornym”. Pamiętaj, że miał go przy sobie po to, żeby komuś przekazać. Pewnie potrzebował hasła tylko na wypadek, gdyby zgubił to cholerstwo w jakimś autobusie.

Cały czas milczał. Pośredniczka odniosła sukces, a on nie. Pomyślał o Norimowie oraz tym, co w pozbawionym okien pokoju rosyjskie służby bezpieczeństwa mogły mu właśnie robić, chcąc go zmusić do mówienia. Może zresztą już nie żył, otrzymawszy kulę w tył głowy w ramach odwetu za zabitych przez Wiktora agentów.

Złożył sobie obietnicę. Jeśli Norimow wciąż żyje, wynagrodzi mu cierpienia. Jeśli nie, pomści jego śmierć. Przywołał w myślach obraz pewnej twarzy. Należała do mniej więcej czterdziestoletniego mężczyzny o bladej cerze, ciemnych oczach oraz kwadratowej szczęce i emanowała autorytarnością. Była to twarz człowieka, który uciekł z furgonetki na chwilę przed eksplozją. Nawet, gdyby miało to potrwać całe lata, postanowił go odszukać.

Spostrzegł, że pośredniczka się na niego patrzy.

Zignorował jej spojrzenie i podszedł bliżej. Otworzyła jeden z plików i odsunęła się na bok, pozwalając Wiktorowi lepiej przyjrzeć się monitorowi.

- Zajęło mi całą wieczność, nim zrozumiałam, o co w tym chodzi - przyznała.

Ekran wypełniał jakiś komputerowo wygenerowany obrazek, w znacznej części niebieski i pokryty siatką z mnóstwem cyfr. Pośrodku znajdował się rozpikselowany kształt.

Pośredniczka nacisnęła przycisk i na ekranie pojawił się kolejny. Wiktor ostrożnie podszedł

do monitora, którego światło odbijało mu się w oczach.

- Co to jest?

ROZDZIAŁ 48

MOSKWA, ROSJA

PONIEDZIAŁEK 23:05 CZASU MOSKIEWSKIEGO

- To obrazy z sonaru - odpowiedział pułkownik Aniskowacz.

Stał przed absurdalnie wielkim i kompensującym rozmiary członka biurkiem Prudnikowa. Błat był wystarczająco duży, by pomieścić kilka osobnych komputerów, lecz poza paroma fotografiami, skromnym płaskim monitorem, klawiaturą oraz myszką, na meblu nie znajdowało się nic więcej. Dowódca siedział za biurkiem na ergonomicznym skórzanym fotelu.

Znajdowali się w gabinecie Prudnikowa w siedzibie SWR. Budowla stanowiła nowoczesny odpowiednik Łubianki - dawnej kwatery głównej KGB przy placu Dzierżyńskiego w śródmieściu Moskwy, gdzie obecnie mieściła się centrala FSB.

Dowództwo SWR ulokowało się w Jaseniewie, na obrzeżach miasta, a cechujące je pewne podobieństwo do siedziby CIA w Langley nie było tylko zbiegiem okoliczności.

Aniskowacz nie lubił szkaradnej, skopiowanej od Amerykanów siedziby w Jaseniewie i wolałby pracować przy placu Dzierżyńskiego. Tamtejsza budowla stanowiła arcydzieło pięknej rosyjskiej architektury, a do czasów rewolucji mieściła przedsiębiorstwo ubezpieczeniowe.

Szef SWR przez chwilę przyglądał się fotografom.

- I co też mi one ukazują? - spytał.

W tonie jego głosu dało się wyczuć zniecierpliwienie. Było już późno, nawet jak na szpiegów.

Aniskowacz miał na sobie swój najlepszy garnitur, krawat był doskonale wygładzony, zaś buty wyglansowane na błysk. Każdy kosmyk włosów na jego czasce był perfekcyjnie zaczesany. Z potworną raną na policzku nie dało się już nic zrobić, ale przynajmniej zakrywał

ją opatrunek, a tak poza tym stanowiła ona dowód, że jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie - nawet jeśli jednocześnie sprawiła, że zniechęcił oglądanie się w lustrze, co kiedyś sprawiało mu tak dużą przyjemność. Na nadchodzący tydzień zdążył już się zapisać na wizytę do chirurga plastycznego w Niemczech.

- Zdjęcia przedstawiają zatopiony okręt - odpowiedział Aniskowacz. - Według oceny moich ludzi jednostka ma rozmiary fregaty, a konkretniej niszczyciela rakietowego.

Prudnikow przerzucił wydruki, nie podnosząc wzroku.

- A po co ja się temu przyglądam?

- Bo ta fregata należała do nas.

Słowa te sprawiły, że szef SWR podniósł jednak wzrok.

Aniskowacz głęboko wierzył w znaczenie teatralnych gestów podczas wygłaszania sprawozdań, a tym bardziej przy formułowaniu próśb. Do osiągnięcia oczekiwanego rezultatu w rozmowie wystarczyło zazwyczaj przemówić lub poprosić wprost, jednakże efekt niemal każdego spotkania można było poprawić dzięki odpowiedniemu wycuciu czasu i intonacji.

Aniskowacz był w pełni świadom, że dla uratowania swej kariery musiał perfekcyjnie wykorzystać oba elementy.

Fiasko operacji w Sankt Petersburgu, pomimo czynionych przez SWR wysiłków mających na celu minimalizację szkód wizerunkowych, trafiło na nagłówki wieczornych wydań gazet, jak również stało się tematem numer jeden w rosyjskiej telewizji. Trupy i wybuchające w biały dzień pojazdy miały to do siebie, że przykuwały uwagę. W przeciągu jednego dnia Aniskowacz musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za śmierć pięciu ludzi i hospitalizację kolejnych trzech. Zważywszy na okoliczności, jakiegokolwiek obwinianie go za zaistniałą sytuację postrzegał jako rażącą niesprawiedliwość. Operacja przeprowadzona była bez oficjalnej akceptacji i stanowiła osobistą przysługę dla Prudnikowa. I tylko to ratowało

Aniskowaczowi skórę.

W przypadku, gdyby rzeczywiste powody operacji ujrzały światło dzienne, szef SWR

miał jeszcze więcej do stracenia, toteż pułkownik wiedział, że dowódca zrobi wszystko, co w jego mocy, aby go ochronić.

Ile ta ochrona potrwa, wołał się nie zastanawiać, wiedział, że kiedyś polisa się wyczerpie. A wtedy wilki spragnione krwi Aniskowacza osaczają go z odsłoniętymi zębiskami.

Nie raz i nie dwa zdarzało mu się fantazjować o szefowaniu całej organizacji. Już się nawet zdawało, że jego marzenie może się pewnego dnia spełnić, teraz jednak doprowadził do śmierci tak wielu ludzi i to w tak spektakularny sposób. O ile nie zawalczy o swoje, jego reputacja zostanie na zawsze splamiona. Potrzebne mu było zwycięstwo. I to jak najszybciej.

Jedynym sposobem, jaki dawał szansę na powetowanie poniesionych już strat, było współdziałanie z Prudnikowem. Jednak jakkolwiek tego typu sojusz byłby w najlepszym wypadku wątki i ulegałby osłabieniu z każdą chwilą, jaka zbliżała dowódcę do przejścia na emeryturę. Aniskowacz wiedział, że o ile szef nie przyzna się do roli, jaką odegrał w zawalonej operacji i tym samym nie oczyści go z zarzutów, jego własna kariera rozwijać się będzie na kredyt.

Kiedy tylko Prudnikow przestanie go osłaniać i będzie musiał radzić sobie sam, najlepsze, co go może czekać, to spędzenie reszty kariery w SWR za biurkiem nad ogłupiającymi analizami i papierkową robotą. Najgorszego scenariusza wołał sobie nawet nie wyobrażać.

- Fregata o nazwie *Lew* - odezwał się po stosownej pauzie Aniskowacz - to skonstruowany w 1984 roku niszczyciel rakietowy, który latem 2008 roku zatonął niedługo po zakończeniu wspólnych manewrów morskich z Chińczykami. Okręt poszedł na dno wraz z całą swoją załogą.

- I?

- *Lew* przewoził osiem przeciwokrętowych pocisków *Onyks*.

Nim Prudnikow znowu się odezwał, zapadła długa cisza.

- Co się stało z okrętem?

- Przed zatonięciem zdołał wysłać sygnał ratunkowy, w którym kapitan meldował o katastrofalnej w skutkach awarii silników.

- Potwierdziła to ekipa wydobywcza?

- Żadnej ekipy wydobywczej nie wysłano.

- A to dlaczego?

- W rejon skierowano ekipę ratunkową, doniesiono jednak, że niszczyciel zatonął na głębiniach, co czyniło niemożliwym wydobywanie jednostki wraz z jej uzbrojeniem.

Prudnikow zdjął okulary do czytania i powoli odłożył je na biurko.

- Ton, z jakim to mówisz, sugeruje, że nie jesteś do tej wersji szczególnie przekonany.

- Jednostką ratunkową, która odpowiedziała na wysłane przez *Lwa* wołanie o pomoc, dowodził oficer Andris Ozols.

- Nic mi to nie mówi.

- Ozols, który jakiś czas temu przeszedł na emeryturę, został tydzień temu zamordowany w Paryżu. Miał przy sobie nośnik pamięci ze zdjęciami, na które właśnie pan patrzy.

Prudnikow spoglądał teraz z uwagą na Aniskowacza, niemal spijając z ust każde jego słowo.

- Kontynuuj - rzucił.

Wyczucie czasu i intonacja, powtórzył sobie pułkownik.

- Zabójca, który spotkał się z Norimowem i którego próbowaliśmy ująć, miał ze sobą tego pendrive'a. To on dysponuje oryginałem. Te fotografie uzyskaliśmy z kopii, jaką nasi ludzie zdążyli wcześniej odszyfrować.

- Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

- Moim zdaniem Ozols został zabity, kiedy usiłował sprzedać posiadaną informację.

- Ale jaką ona ma wartość, jeśli okrętu nie da się wydobyć?

- Żadną.

- To o czym my w ogóle rozmawiamy?

- Ozols skłamał w swym pierwotnym raporcie. Zgodnie ze współrzędnymi widocznymi na tych zdjęciach sonarowych, niszczyciel zatonął na obszarze szelfu kontynentalnego. W wodach Oceanu Indyjskiego, u wybrzeży Tanzanii. Wygląda na to, że oficer sfabrykował początkowe sprawozdanie, aby zapobiec wysłaniu ekipy wydobywczej.

Dzięki temu pociski mogły poczekać na dnie morza do czasu, aż Ozols zdoła sprzedać współrzędne wraku temu, kto zaoferuje najwyższą cenę. Większość państw świata gotowa byłaby zapłacić krocie za te pociski oraz ukrytą w nich technologię.

Aniskowacz jeszcze nigdy nie widział, by oczy Prudnikowa były równie wielkie.

Ciągnął dalej.

- W dniu zabójstwa Ozolsa doszło również do masowego mordu. Poza nim życie straciło jeszcze osiem osób. Według Norimowa, zabójca oficera został zaatakowany przez ekipę innych morderców.

- Jakie to ma znaczenie?

- Sądzę, że zabójca został wynajęty, by przejąć współrzędne, lecz po wykonaniu zadania sam stał się celem dla opłacających go ludzi. Najprawdopodobniej zleciodawcy chcieli w ten sposób ukryć swoją tożsamość. Miałoby to kluczowe znaczenie, gdyby owymi klientami byli, dajmy na to, ludzie z CIA - zamilkł, chcąc spotęgować efekt wypowiedzianych słów. - Amerykanie byliby wtedy w stanie wydobyć Onyksy i wzmocnić ich rozwiązaniami technologicznymi własne pociski. Zarazem, kiedy tylko zdalibyśmy sobie sprawę z tożsamości Ozolsa i z tego, co miał w planach, mogliby zaprzeczyć jakimkolwiek związkom z jego śmiercią. Moje źródła w Paryżu donoszą, że w ostatnim tygodniu w ambasadzie amerykańskiej zanotowano wzmogłą aktywność. Bez pendrive'a nie będą wiedzieli, gdzie szukać pocisków, jeśli jednak pierwsi znajdą zabójcę...

- Muszę jak najszybciej przekazać te informacje do GRU - Prudnikow poprawił się w fotelu. - Nie omieszkać wspomnieć przy okazji twojego nazwiska. Możesz już iść.

Dowódca sięgnął po telefon. Aniskowacz nadal stał w miejscu.

- Czyżbyś niedosłyszał, Gienadij?

Pułkownik przez dłuższą chwilę milczał.

- Istnieje też inna możliwość załatwienia sprawy.

- To jest?

- Sami wydobędziemy te pociski.

Prudnikow zmarszczył brwi i podniósł słuchawkę.

- Nie zależy mi na przypisywaniu sobie zasług.

- Mnie owszem.

Szef SWR potrząsnął głową.

- Dałem ci okazję, żebyś został bohaterem, a ty pozwoliłeś, by przeciekła ci przez palce. A przy okazji poświęciłeś życie wielu dobrych agentów. Skąd pomysł, że miałbym ci dać drugą szansę?

- Ci ludzie zginęli podczas misji, którą pan zlecił mi osobiście.

- Uważaj, co mówisz, Gienadij - w oczach Prudnikowa dało się wyczytać groźbę. -

Czy muszę ci przypominać, że stawanie w twojej obronie, szarga moją reputację?

- Przypominam to panu właśnie dlatego, że wiem, jak wiele pan ryzykuje, pomagając mi przetrwać konsekwencje - Aniskowacz pominął istotny fakt, a mianowicie, że Prudnikow czynił tak wyłącznie po to, by przy okazji pomóc sobie samemu.

Dowódca skinął głową.

- Ja tylko robię to, co uważam za stosowne.

Aniskowacz uśmiechnął się w myślach. Apelowanie do mylnie pojmowanego przez Prudnikowa poczucia obowiązku i honoru było skuteczną taktyką.

- Ja zaś dziękuję panu za wszystko, co już pan uczynił.

Szef SWR przyjął wyrazy wdzięczności, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- O co ty mnie prosisz?

- Proszę mi pozwolić samemu wydobyć te pociski.

- W jakim celu?

Czytaj - co z tego będę miał? - pomyślał Aniskowacz.

- Zdemaskowanie zamiarów Ozolsa, odzyskanie pocisków i powstrzymanie Amerykanów przed ich przejściem pomogą mi naprawić reputację wewnątrz naszej organizacji.

Nadal nieprzekonany Prudnikow zaczął wystukiwać na telefonie numer.

- Na twoim miejscu nie zamartwiałbym się zbytnio pozostałościami reputacji. Lepiej się ciesz, że mimo tak koszmarnej kompromitacji nie zostałeś aresztowany i wciąż masz przed sobą jakąś karierę.

Aniskowacz ciągnął dalej, jakby nie rejestrując słów Prudnikowa.

- A poprzez odzyskanie pocisków i niedopuszczenie do nich naszych wrogów uczynię wystarczająco dużo, by nie potrzebować już pańskiego wstawiennictwa. Będzie pan mógł

zdystansować się od mojego niepowodzenia bez obawy, że ujawnię pana rolę w całym zajściu.

Prudnikow przerwał wybieranie numeru. Aniskowacz przyglądał się, jak szef ostrożnie się namyśla. Po chwili dowódca odłożył słuchawkę.

- No dobrze - stwierdził. Pozwolę ci na tę jedną akcję, ale tutaj nasze drogi się rozchodzą. Bez względu na finał, przestaję cię ochraniać. I lepiej, byś już zawsze trzymał

język za zębami.

Aniskowacz liczył, że jeśli wszystko rozegra idealnie, taką właśnie otrzyma ofertę.

Zażałował tylko, że nie może z dumą uświadomić Prudnikowowi, że oto zdołał tak pokierować rozmową, by to w końcu szef był tym, który coś mu proponuje. Stał w milczeniu, udając, że rozważa ofertę i wywołując tym samym rozkoszną atmosferę dramatycznego napięcia. W

końcu skinął głową.

- A zatem jesteśmy umówieni - stwierdził.

Wszystko sprowadzało się do wycucia czasu i intonacji.

ROZDZIAŁ 49

PARYŻ, FRANCJA

PONIEDZIAŁEK 21:01 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor odwrócił wzrok od fotografii. Pośredniczka znowu się podniosła. Sam zmienił

ustawienie monitora i zajął taką pozycję, by móc podczas rozmowy jednocześnie obserwować dziewczynę, ekran oraz drzwi wejściowe. Pośredniczka wciąż się go bała i nadal starała się to ukryć. Widział, że nie miała pojęcia, co też za chwilę może on zrobić. Taki stan rzeczy zupełnie mu odpowiadał.

- A zatem ten, kto nas wynajął, chce dobrać się do wraku - podsumował.

Pośredniczka skinęła głową.

- Albo do czegoś, co się w nim znajduje.

- Uzbrojenie?

- Kto wie? - wzruszyła ramionami. - Ale cokolwiek na tym okręcie było, najwyraźniej jest cenniejsze niż życie wielu ludzi.

Milczał.

- Rozważasz, czy by się mu nie przyjrzeć? Bo jeśli tak, to - według współrzędnych -

okręt spoczywa w pobliżu wschodniego wybrzeża Afryki, moim zdaniem gdzieś na wysokości Tanzanii.

- Nie. Zawartość wraku zupełnie mnie nie obchodzi. Trzymamy się planu.

Likwidujemy naszych wrogów. Walczymy o przetrwanie. Nic poza tym.

- Niech będzie - przyznała pośredniczka. - Ale do czegoś już dochodzimy. Mógłbyś chociaż udawać, że się z tego cieszysz.

- Tak właśnie wyglądam, jak się z czegoś cieszę.

- W takim razie naprawdę nie chcę zobaczyć, jak wyglądasz, kiedy coś cię wkurzy.

- Nie - potwierdził. - Istotnie, nie chciałabyś.

Uśmiechnęła się. Kiedy się uśmiechała, wyglądała całkiem dobrze.

Lampa zamigotała i zgasła, pogrążając pokój w półmroku.

- Pieprzona instalacja - wymamrotała pośredniczka. - Nic w tym mieszkaniu nie działa, jak należy.

- Zamknij się.

Nie chodziło tylko o lampę. Ekran laptopa pociemniał, przechodząc na zasilanie z baterii. Pod drzwiami wejściowymi nic nie było widać. Znaczący, że światła zgasły również na klatce schodowej. Podniósł z szafki telefon. Brak sygnału.

W sekundę lewą ręką złapał ją za włosy, w prawą zaś chwycił nóż marki Benchmade i przycisnął czubek czarnego stalowego ostrza do jej szyi. Tętnica szyjna ugięła się pod naciskiem.

- Ściągnęłaś ich tu.

Wytrzeszczyła oczy.

- Nie, przysięgam.

Jej przestrach był autentyczny. Podobnie jak zdumienie.

Uwierzył jej.

- Czyli cię śledzili.

- To niemożliwe. Pilnowałam się.

- A zatem pilnowałaś się za słabo.

Puścił ją i zbliżył się do drzwi. Przycisnął do nich ucho, niczego jednak nie usłyszał.

Zwrócił się w stronę pośredniczki.

- Gdzie twój pistolet?

Trzymała dłoń na szyi. W oczach błyszczały jej łzy. Zawahała się.

- Już poprzednim razem powiedziałam ci, że nie mam broni.

- Schowałaś coś na wypadek, gdybyś postanowiła mnie zabić. Gdzie to jest?

Chwila ciszy. Potem odpowiedź.

- Pod poduszkami kanapy.

- Wyciągnij.

Tak też zrobiła.

- Podaj mi.

Ostrożnie wyciągnęła ramię do Wiktora, a ten wyrwał pistolet z jej rąk. Kompaktowy H&K P2000. Zwolnił magazynek, sprawdził, czy jest załadowany, wbił go z powrotem na miejsce i odciągnął zamek, wprowadzając nabój do komory. Odsunął bezpiecznik.

Błyskawicznie rozejrzał się wokoło. Drzwi wejściowe stanowiły jedyną możliwą drogę wtargnięcia do mieszkania. Możliwe, że napastnicy byli już na korytarzu, przygotowując się do szturm.

Zrobił ruch dłonią.

- Weź tyle rzeczy, ile zdołasz i zabarykaduj te drzwi.

Jedną ręką przeciągnął przez salon kanapę. Pośredniczka dźwignęła fotel i postawiła go na sofie. Mężczyzna złapał stół, na którym wcześniej stała lampa i również dorzucił go na stos. Tak stworzona barykada nie zdołałaby nikogo powstrzymać, ale przynajmniej mogłaby spowolnić zabójców.

- Chodź za mną.

Pośredniczka zawahała się.

- Mój komputer...

- O ile nie uratuje ci to życia, to go nie bierz.

- Mam co prawda wydruki, ale potrzebujemy tych plików.

Złapała torebkę i przerzuciła ją przez ramię, po czym otworzyła szufladę i zaczęła w niej czegoś szukać. Po kilku sekundach znalazła pendrive'a. Podłączyła go do laptopa i przekopiowała pewien folder.

- Komputer usunie dane z dysku twardego.

- Pospiesz się.

Kiedy tylko skończyła, zaprowadził ją do kuchni, złapał za barki i poprowadził do miejsca, w którym chciał, by stanęła.

- Co robisz?

Następnie pociągnął za sznurek podnoszący żaluzję i odepchnął pośredniczkę sprzed okna.

Stęknęła i upadła, lecz okno dalej było w jednym kawałku, podobnie jak ściana po drugiej stronie pomieszczenia. Atakujący nie mieli snajpera.

Pośredniczka spojrzała gniewnie.

- Co to, do cholery, miało być?

Nie odpowiedział, otworzył tylko drzwi na balkon, wyszedł i się rozejrzał. Dostrzegł

rynnę. Jeśli była wystarczająco solidna, w niecałą minutę mógłby nią zjechać na ziemię.

Złapał ją i mocno szarpnął. Rynna poruszyła się, ale nieznacznie. Powinna wytrzymać krótko trwający zjazd.

Obrócił się, zobaczył podciągającą się pośredniczkę i w mig pojął, że nie zdoła wspiać się na rurę. Nienawidził zmieniać przyjętego sposobu działania przez wzgląd na zdolności -

lub ich brak - u kogoś innego. Musiał wymyślić coś nowego.

I wymyślił. Zza rogu budynku wystawał czarny metalowy pręt. Wyjście przeciwpożarowe. Dzieliły ich od niego dwa sąsiednie balkony. Zwrócił się do dziewczyny.

- Zdejmij buty.

- Po co?

- Jeśli chcesz przeżyć, po prostu rób, co mówię.

Ściągnęła buty, a on pomógł jej wyjść na zewnątrz. Wskazał w kierunku sąsiedniego balkonu.

- Przeskoczę na drugą stronę. - Wetknął pistolet z przodu za pasek i wspiął się na poręcz, podpierając się na rynnę.

- Kiedy już przejdę, wyciągnę się ku tobie.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Co? Nie ma mowy, nie dam rady.

- To zostań i zgiń. Tak czy inaczej mnie tu nie ma.

Był rad, że mieszkanie nie było zbyt drogie - balkony dzieliło od siebie ledwie około metra. Jeżeli będzie musiał, stanie w rozkroku między jednym a drugim. Jednak balustrada była mokra. W razie, gdyby odepchnął się zbyt mocno, istniało ryzyko, że

się poślizgnie i upadnie. Spojrzał w dół. Czekaliby go długi lot.

Zamiast więc skoczyć, stanął na poręczy, skręcając ciało i odwracając się twarzą do ściany. Lewą ręką mocno chwycił rynnę i wysunął prawą nogę, aż dosięgnął stopą do balustrady kolejnego balkonu.

Wyciągnął prawe ramię tak daleko, jak tylko mógł, łapiąc się cegiel ponad sąsiednim balkonem. Następnie wciągnął się prawą ręką, jednocześnie odpychając lewą nogę. Jego lewa stopa stanęła na poręczy tuż koło prawej.

Odwrócił się w stronę pośredniczki.

- No, chodź.

Dziewczyna wdrapała się na poręcz tak samo, jak on, choć trwało to niemiłosiernie długo. Ciężko dyszała. Widział, że walczy ze sobą, nie chcąc spojrzeć w dół.

Wychylił się do niej.

- Podaj mi rękę.

- O mój Boże.

- Bóg cię teraz nie słyszy. Podaj mi rękę.

Wysunęła drżącą dłoń w dzielącą ich przepaść. Mocno złapał ją za nadgarstek.

- To boli.

- Dzięki temu nie spadniesz. Zostaw lewą stopę na barierce i wysuń prawą. Będę cię trzymał.

Wyciągnęła się, nie zdołała jednak dosięgnąć drugiej balustrady.

- Za daleko.

- Nieprawda. Kiedy ci powiem, odepchnij się z całej siły, a ja wciągnę cię na tę stronę.

W porządku?

- W porządku.

- Gotowa?

Skinęła głową.

Wiktor zacisnął uchwyt na jej nadgarstku.

- Teraz.

Pociągnął, ona zaś się odbiła, straciła jednak równowagę i lewa stopa się poślizgnęła.

Krzyknęła. Mężczyzna z wysiłkiem zdołał szarpnąć ją w stronę balustrady. Uderzyła w barierkę, ponownie krzyknęła, on jednak wciągnął ją do góry. Przelazła przez poręcz i upadła na posadzkę balkonu.

Leżała, dysząc, na mokrych kafelkach, mocno zaciskając powieki. Kucnął koło niej, złapał ją pod pachami i podniósł. Następnie wspiął się na kolejną barierkę.

- Powtórka z rozrywki - rzucił. - A potem nie będzie już tak łatwo.

*

Zza zakrętu korytarza wyłoniła się postać ze wzrokiem utkwionym w żelaznych przyrządach celowniczych pistoletu

maszynowego Heckler & Koch MP5SD. Miała na sobie czarny kombinezon taktyczny, ciężką kamizelkę kuloodporną z kevlaru oraz uprząż obwieszoną granatami i zapasowymi magazynkami. Do jej prawego uda przytroczony był

pistolet, oczy zaś skryte były pod noktowizyjnymi goglami.

Czterej identycznie wyposażeni mężczyźni podążyli za prowadzącym, przy czym każdy zabezpieczał inny kąt widzenia, jednocześnie nie wchodząc drugiemu na linię strzału.

Dotarli pod drzwi celu, zajęli pozycje, po jednym z każdej strony framugi, pozostali zaś dalej w korytarzu, i zaczęli na taran. Facet, który go niósł, pędził już korytarzem, oburącz obejmując narzędzie pracy, czyli trzydziestokilogramową sztabę czarnej stali z wymalowaną na przedzie białą czaszką.

Olbrzym stanął przed drzwiami, dostrzegł dany przez dowódcę sygnał ręką i wymachem w tył nadał taranowi rozpęd.

*

Wiktor usłyszał trzask w chwili, gdy przechodził na kolejny balkon. Pośredniczka, która wciąż stała na balkonie pośrodku, spłoszyła się i momentalnie przywarła jeszcze mocniej do ściany, nie kryjąc przerażenia.

Wskazał jej ręką.

- Wejdź na poręcz.

- Nie mogę.

- Już.

Pośredniczka potrząsnęła głową.

- Nie mogę.

Ledwie udało jej się za pierwszym razem, kiedy nie czuła oddechu wrogów na karku.

Teraz byłoby jeszcze trudniej. I tak nie mieli już wystarczająco wiele czasu. Spojrzał na wysunięty pręt wyjścia przeciwpożarowego. Mógłby się do niego przedostać albo też wskoczyć na rynnę i w trzydzieści sekund zjechać na ziemię. Ale ucieczka ze spowalniającą go pośredniczką zajęłaby parę minut. Tyle zaś czasu nie mieli.

Opuszczenie jej byłoby takie łatwe. Instynkt sugerował mu, by ją zostawił i uciekał.

Bo czy istotnie wiedziała coś jeszcze, co w jakikolwiek sposób mogłoby mu się przydać?

Tak, i to dużo. Ale we dwójkę nie dadzą rady. Znała jego głos, widziała jego twarz, prawdopodobnie wiedziała o nim więcej niż ktokolwiek ze świata żywych - a to wszystko zanim się spotkali. Nie mógł pozwolić, by ją złapali.

Spojrzał w jej stronę. Wciąż nie otwierała oczu. Wyciągnął pistolet i wycelował w jej głowę. Wziął wdech, przytrzymał powietrze w płucach, jednak nie strzelił.

Kopniakiem otworzył prowadzące na balkon drzwi i zanim odłamki szkła zdążyły do końca spaść na ziemię, wtargnął do środka. Przebiegł przez kuchnię mieszkania i dotarł do salonu. Rozkład pomieszczeń był identyczny, jak w mieszkaniu pośredniczki.

Zerknął przez wizjer na korytarz. Wpadające przez odległe okno światło pozwoliło mu dostrzec tuż pod drzwiami ubranego na czarno osobnika. Zdołał rozpoznać kontury MP5, zauważył też wydatny kształt kamizelki kuloodpornej oraz kanty gogli noktowizyjnych.

Wziął głęboki oddech. Zabójcy z pistoletami to jedno, zaś w pełni uzbrojona i wyposażona drużyna taktyczna to coś zupełnie innego. Słyszał stęknienia i uderzenia, dobiegające od strony zabarykadowanych drzwi w dalszej części korytarza, szturmowanych właśnie przez kolejnych napastników. Komando atakowało niewłaściwe pomieszczenie, nie zdając sobie sprawy, że Wiktor jest gdzie indziej.

Jeżeli zamierzał coś zrobić, musiał to uczynić właśnie teraz.

Wiktor odsunął zasuwę, z rozmachem otworzył drzwi, złapał oszołomionego szturmowca za bary i wciągnął go do mieszkania. Zaatakowany dał się całkowicie zaskoczyć i nawet nie krzyknął. Wiktor zwalił go z nóg, po czym trzasnął w szczękę rękkojeścią pistoletu pośredniczeki.

Prędko zamknął z powrotem drzwi i zasunął zamek.

*

Pozostali strzelcy na korytarzu usłyszeli hałas, obrócili się wokoło i spostrzegli, że jeden z nich nagle zniknął.

- Co to, kurwa, było?

- Jasny gwint, dorwał Xaviera.

- Jest, kurwa, w innym mieszkaniu.

- Odwrot, odwrot, cel jest w lokalu trzysta pięć.

Szturmowcy wycofali się z mieszkania pośredniczeki, nie kończąc przeszukania. W

pośpiechu wybiegli na korytarz i zajęli nowe pozycje, gotowi wtargnąć do drugiego lokalu.

- Dobra - szepnął dowodzący akcją. - Dorwijmy tego gnoja.

Wiktor zablokował klamkę krzesłem i wyrwał granaty ogluszające z uprząży taktycznej pojmanego Strzelca, po czym włożył je do kieszeni własnej kurtki. Zabrał też parę zapasowych magazynków do wytłumionego pistoletu maszynowego.

Leżący na podłodze facet był nieprzytomny, a jego twarz zalewała krew. Wiktor zdjął

mu noktowizor i założył go na głowę. Otoczenie ukazało mu się teraz w rozpixselowanej, zielonej poświacie. Podniósł pistolet szturmowca i poczęstował gościa dwoma szybkimi kopniakami w głowę, aby zyskać pewność, że zbyt szybko się nie ocknie. Gdyby strzelił, drużyna natychmiast przystąpiłaby do ataku. Teraz zaś dysponował kilkoma sekundami, przez które szturmowcy przygotowywali się i układali improwizowany plan odbicia jednego ze swoich.

Rozpoznał naszywkę na mundurze obezwładnionego i odetchnął z ulgą. Szturmowcy nie byli z CIA, lecz z francuskiej policji, a konkretniej z jednostki antyterrorystycznej RAID -

Recherche Assistance Intervention Dissuasion. Być może wysledzili pośredniczekę albo dostrzegli go na lotnisku i od tamtej chwili obserwowali. Albo może to jakiś przechodzień rozpoznał go i powiadomił władze. Teraz musiał zapłacić za ponowne pojawienie się w Paryżu.

Z MP5SSD w dłoni Wiktor przebiegł z powrotem przez mieszkanie i wypadł na balkon.

Na moment się skrzywił, gdy spojrzał wprost na latarnię po drugiej stronie ulicy, noktowizor wzmocnił bowiem światło lampy do poziomu trudnego do zniesienia. Dostrzegł, że pośredniczeki była wciąż tam, gdzie ją zostawił. Przylegała plecami do muru na sąsiednim balkonie i starała się uspokoić oddech.

Stanął na poręczy i przeskoczył na sąsiedni balkon, po czym w ten sam sposób przedostał się na balkon mieszkania pośredniczeki. Jego stopa poślizgnęła się na balustradzie, złapał się jednak rynną i uratował przed upadkiem, puszczając przy tym MP5. Ulżyło mu, gdy zobaczył, że pistolet maszynowy spadł na posadzkę balkonu.

Podniósł broń i popędził przez kuchnię do salonu. Trzymał pistolet maszynowy oburącz, mocno dociskając kolbę do ramienia, patrząc przez przyrządy celownicze, poruszając głową i bronią, jakby stanowiły one jedność.

Kanapa, biurko i krzesło zostały rozwalone i zepchnięte na bok pokoju. W salonie nie było już ani jednego komandosa. Wszyscy stali na korytarzu.

Ponownie przygotowując się do szturm na niewłaściwe drzwi.

ROZDZIAŁ 50

21:13 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Dwóch agentów gotowych do wtargnięcia do środka stanęło po jednej stronie drzwi, trzeci i czwarty czekali po drugiej stronie framugi. Ich dowódca miał w dłoniach strzelbę typu

„pompka”, gotów wyrwać zawiasy specjalnie zaprojektowanymi w tym celu ładunkami. Z

tarana zrezygnowano.

Uzbrojony w strzelbę dowodzący uniósł pięć palców, potem cztery, trzy, dwa...

Z mieszkania, z którego dopiero co wyszli, wyturlał się jakiś metalowy przedmiot.

W ziarnistej, zielonej poświacie noktowizora dopiero po chwili dowódca zdał sobie sprawę, co to było. Wziął wdech, by wydać z siebie ostrzegawczy okrzyk. Było już jednak za późno.

Granat ogłuszający eksplodował z potwornie głośnym hukiem i niewiarygodnie silnym błyskiem światła.

Oślepieni i zdezorientowani komandosi zaczęli krzyczeć. Nagłe bodźce obezwładniły ich zmysły. Jeden ze szturmowców upuścił broń, inny, potykając się i objając o ściany, wycofał się korytarzem, chcąc uciec. Dowódca wrzeszczał na swych ludzi, by zostali na pozycjach, lecz tak bardzo dzwoniło mu w uszach, że nie był nawet w stanie usłyszeć własnego głosu.

Pośród panującego chaosu Wiktor wypadł z mieszkania pośredniczki na korytarz z uniesionym MP5, ustawionym na trzystrzałowe serie, przebijając się przez chmurę dymu z granatu ogłuszającego. Celując w kolejnych przeciwników, dziesięć razy szybko nacisnął

spust, a pistolet maszynowy wyrzucił z siebie serię kliknięć. Mierzył w głowy i brzuchy, gdzie grube umundurowanie dawało im najmniejszą ochronę. Z każdym strzałem z ciemności wyłaniał się kolejny szturmowiec, na chwilę oświetlany przez rozbłyski z lufy pistoletu maszynowego. Ciała wyginały się i skręcały. W powietrzu unosiła się krwawa mgiełka.

Po trzech sekundach zamek pistoletu maszynowego cofnął się po raz ostatni, a wszyscy czterej komandosi osunęli się na podłogę. Nozdrza zabójcy wypełnił zapach kordytu i krwi. Pod jego butami chrzęściły dymiące łuski.

Nikt się już nie ruszał, więc przeładował broń i przewiesił ją przez ramię. Podniósł

strzelbę dowódcy oddziału i z jej pomocą przestrzelił zamek w drzwiach mieszkania sąsiadującego z lokalem pośredniczki.

Odrzucił strzelbę i kopniakiem wyważył drzwi. Przeszedł prosto do kuchni, nie zwracając uwagi na przerażoną Algierkę, która z dwójką dzieci skryła się w narożniku pomieszczenia. Otworzył drzwi na balkon i złapał pośredniczkę za ramię. W pierwszym momencie krzyknęła, nim zorientowała się, że to on.

- Chodź - powiedział. - Wychodzimy.

Wiktor wciągnął ją z powrotem do kuchni, a potem na korytarz. Potykając się o ciała czterech komandosów, gwałtownie nabrała powietrza.

- O Chryste.

- Spokojnie, będzie tego więcej. Trzymaj się mnie.

Mężczyzna z powrotem złapał MP5, zaś pistolet pośredniczki wetknął za pasek z przodu. Korytarzem poprowadził dziewczynę między zwłokami w stronę windy. Wcisnął

przycisk i drzwi się otworzyły. Wszedł do środka, wybrał parter i ponownie wyszedł z kabiny.

Pośredniczka została w windzie.

- Wyłaż - poleciał.

- Co?

Chwycił ją za nadgarstek i wyciągnął na korytarz. Chwilę później drzwi się zamknęły.

Wiktor skierował kroki ku klatce schodowej. Poruszał się szybko, trzymając się prawej strony i ocierając barkiem o ścianę.

- Winda... - odezwała się pośredniczka.

Mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi, lecz poprowadził prędko do schodów. Pchnął ją na ścianę przy drzwiach klatki schodowej.

- Zostań tu.

Kucnął przed drzwiami z gotową do strzału bronią w prawym ręku. Lewą dłonią nacisnął klamkę, po czym zajrzał przez próg. Klatka schodowa była pusta.

- Chodź.

Z wycelowaną bronią zbiegł po schodach, zatrzymując się i nasłuchując na każdym piętrze. Pośredniczka trzymała się tuż za nim. Zatrzymał się na pierwszym piętrze, otworzył

drzwi prowadzące na korytarz i poprowadził ją ze sobą.

Pośredniczka obróciła się.

- To nie jest parter.

- Wiem - mężczyzna nie zwalniał. - Nie odzywaj się.

Z dołu dochodziły odgłosy wbiegających po schodach ciężkich butów. Wiktor wyciągnął zawleczkę z kolejnego granatu ogłuszającego, ale przytrzymał łyżkę w pozycji zabezpieczonej. Następnie tak umieścił granat pod klamką, by jej naciśnięcie zwolniło bezpiecznik.

Potem pospieszył przez korytarz w stronę okna na drugim końcu budynku. Wybił

szybę kolbą pistoletu maszynowego, po czym obtłukł pozostałe w ramie odłamki. Wspiął się i przeskoczył na drugą stronę.

Spadł na uliczkę trzy metry niżej, natychmiast kucając i turlając się na bok, aby całym ciałem zamortyzować siłę uderzenia. Zapiekły go spody stóp, nie odniósł jednak żadnych obrażeń. Wstał, odwrócił się i spojrzał do góry. Pośredniczka wychylała się przez okno.

Machnął do niej.

- Idziemy.

- Nie... nie mogę. To za wysoko.

- Nie skacz, po prostu wypadnij, Kiedy uderzysz o ziemię, przeturlaj się. No, już.

- Nie mogę.

Wiktor obrócił się, otworzył kontener na śmieci, wyciągnął kilka worków z odpadami i rzucił je pod okno.

- No, chodź.

Wzięła wdech.

- Połamię nogi.

- Jeszcze pięć sekund i mnie tu nie ma. Chodź.

Rzuciła się i niepewnie wylądowała na nogi, po czym upadła do tyłu. Worki na śmieci popękały, lecz złagodziły skutki upadku. Jęknęła i spróbowała się podnieść, nie dała jednak rady i ponownie padła w tył. Wiktor podał jej dłoń, a ona się chwyciła. Szarpnął i poderwał ją do góry.

- Chyba zwichnęłam sobie kostki.

- Gdybyś je zwichnęła, nie dałabyś rady ustać. Idziemy.

Rozległ się mały wybuch, który przestraszył dziewczynę.

Podniosła wzrok w stronę okna. Wiktor, niewzruszony, podszedł do wylotu uliczki, przywarł plecami do ściany i wyteżył słuch. Typowy gwar ulicy - piesi i samochody.

Wyciągnął portfel i wyjął czarną metalową rurkę z przymocowanym na końcu niewielkim, okrągłym lusterkiem. Rozłożył ją, uniósł i przyjrzał się odbiciu.

Przed budynkiem stało kilka pojazdów: dwie furgonetki drużyny szturmowej, cztery oznakowane radiowozy oraz trzy pojazdy cywilne. Po okolicy kręciło się około tuzina osób -

niektóre miały na sobie garnitury, było też paru umundurowanych policjantów.

Wiktor złapał pośredniczkę za nadgarstek i pospieszył na drugi koniec zaułka.

Ponownie sięgnął po lusterko i wyjrzał za róg. Jeden oznakowany radiowóz i dwóch policjantów. O wiele lepiej.

- Posłuchaj - zwrócił się do dziewczyny, przyciągnąwszy ją bliżej siebie, - Czekają na nas na zewnątrz. Jak tylko wyjdziemy z tej uliczki, zauważą nas.

- Co robimy?

- Masz samochód?

- Wypożyczony, ale stoi co najmniej przecnicę stąd.

- Nieważne. Pójdę pierwszy i ściągnę ich uwagę. Ruszą za mną. Trzydzieści sekund później pobiegiesz do samochodu i się stąd wyniesiesz.

- A co z tobą?

- Coś wymyślę. Masz - wyjął dopiero co kupiony telefon i go jej wręczył. - Wyjedź z centrum Paryża. Nie wyłączaj telefonu. Zadzwoń do ciebie.

- Nie powinniśmy się rozdzielać.

- To jedyny sposób.

- Musi być jakiś inny.

- Jeśli masz lepszy plan, to jest to odpowiedni moment, by mi go przedstawić.

Niepewnie pokręciła głową.

Złapał ją za ramię.

- Czy ty w ogóle rozumiesz, co robisz?

Skinęła.

- Powiedz to na głos.

- Rozumiem.

Rzucił MP5SD na ziemię. Szkoda było się z nim rozstawać, lecz jego obecnym celem była ucieczka, a nie wdawanie się w strzelaninę. A paradowanie z pistoletem maszynowym o szybkostrzelności rzędu ośmiuset pocisków na minutę nie jest bynajmniej najlepszym sposobem, by przemknąć niezauważonym.

Wiktor oddał pośrednicze jej pistolet.

- Na wszelki wypadek.

Wciąż miał przy sobie nóż, dziewięciomilimetrowy pistolet SIG-Sauer P-228 z pełnym magazynkiem oraz ostatni granat ogłuszający. Niezbyt wiele, jeśli miałby stawić czoła kolejnym gościom w kevlarach i z bronią maszynową, ale musiało mu to wystarczyć.

- Ruszasz pół minuty po mnie. Odliczaj sekundy.

Wysunął się z zaułka i pobiegł.

Pierwszy okrzyk rozległ się, gdy Wiktor był już na środku jezdni; pierwszy strzał

padł, kiedy dotarł na drugą stronę ulicy. Z pobliskiej ściany odpadł odłupany kawałek cegły.

Po drugiej stronie jezdni od razu skierował się do bocznej uliczki, zbyt ciasnej, by dało się przez nią przejechać samochodem. Będą go musieli gonić na piechotę. Biegając zaułkiem, co chwila krył się za pudłami i kontenerami na śmieci. Nagle skręcił za róg, potem za kolejny i znalazł się w alejce prowadzącej między szeregiem sklepów. Ruszył jej środkiem i odbił w bok, kiedy tylko nadarzyła się taka możliwość. Z powrotem na szerszej ulicy przeszedł od biegu do truchtu, aby nie skupiać na sobie zbyt wiele uwagi. Jednym z najlepszych sposobów na wysłedzenie kogoś, jest podążać za spojrzeniami zdezorientowanych, obracających się przez ramię przechodniów. Wiktor zatoczył koło po sąsiednich ulicach, wracając w okolice mieszkania pośredniczki. Ścigający go z pewnością uznają, że odbiegł gdzieś dalej. A już w żadnym wypadku nie będą się spodziewać, że wróci w to samo miejsce.

Za budynkiem skręcił w zaułek, a następnie przeciął większą arterię, przemykając między powoli poruszającymi się pojazdami. Po jej drugiej stronie ponownie skręcił w wąską alejkę, z której spokojnym już krokiem wynurzył się, by przejść przez kolejną jezdnię.

Cztery przecznice dalej natrafił na pełną hałaśliwych gości, otwartą do późna kawiarnię i usiadł przy stoliku, z którego miał dobry widok na okno. Czekając, aż zostanie obsłużony, zerkał na zaułek, z którego się wyłonił, nikogo tam jednak nie widział. Żaden przechodzień na ulicy nie wyglądał znajomo. Udało mu się ich zgubić. Do chwili, gdy przy jego stoliku pojawiła się kelnerka, jego puls i oddech zdążyły się unormować.

- Mrożoną herbatę - rzucił, gdy spytała go o zamówienie. - Z limonką, jeśli macie.

ROZDZIAŁ 51

23:03 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Zadzwoił do pośredniczki. Podała mu nazwę i adres baru na obrzeżach miasta.

Zatrzymał taksówkę, powiedział kierowcy, dokąd jada, polecił mu jednak zatrzymać się kilka przecznic przed celem podróży. Okolica wyglądała jak jedna z ubogich dzielnic Paryża. Kręte uliczki zdawały się zlewać jedna z drugą. Panował spokój.

Kilkakrotnie okrążył okolicę, w której znajdował się bar, starając się wykryć kogokolwiek, kto wyglądałby obco. Jeżeli dotychczas udawało im się z powodzeniem śledzić pośredniczkę, również i tym razem istniała taka możliwość. Okolica nie należała do tych, gdzie ludzie z własnej woli przesiadywaliby w autach zaparkowanych przy krawężniku.

Nikogo jednak nie zauważył.

Bar okazał się niczym niewyróżniającą się speluną. Podłogi pokrywało linoleum, tapety na ścianach zdążyły już wyblaknąć, zaś długa, polerowana lada nosiła ślady po tysiącach stawianych na niej szklanek i butelek. Pośredniczka siedziała w rogu, patrząc w kierunku drzwi. Spodziewał się, że tak postąpi, aby widzieć, jak wejdzie.

Wiktor usiadł na stołku koło niej, poprawiając siedzisko, by móc bez ruchów głową obserwować zarówno wejście, jak i dziewczynę. Od ostatniego spotkania pośredniczka poprawiła wygląd, odświeżyła twarz i makijaż. Była też w co innego ubrana. Przy jej nogach stała torba z zakupami.

- Zamówiłam nam po wódce z tonikiem - oznajmiła, po czym spuściła wzrok. - Ale oba drinki wypiliśmy sama. Przepraszam.

- Nie ma sprawy.

Na stoliku przed nią stały dwie szklanki, zaś do połowy stopione kostki lodu zalegały w popielniczce. Zauważyła, że się w nie wpatruje.

- O ile nie dostanę słomki, nie napiję się ze szklanki, w której jest lód. A tutaj nie mają słomek.

Wiktor przytaknął, tak jakby miało to jakieś znaczenie. Nie ulegało wątpliwości, że pośredniczka była w szoku. Poziom adrenaliny opadł. Teraz dziewczyna starała się pojąć to wszystko, co się właśnie wydarzyło.

- Pierwszy raz byłeś w podobnej sytuacji? - spytał.

- Tak - wzięła głęboki wdech. - Czy do tego, że ktoś usiłuje cię zabić, można się przyzwyczać?

- Nie chcieli nas zabić.

- Ale i tak było to wystarczająco przerażające. I wiesz, co miałam na myśli. Zatem -

powtórzyła - można? Można się do tego przyzwyczać?

- Tak - odparł, aczkolwiek miał ochotę skłamać i zaprzeczyć. - Za każdym razem radzisz sobie z tym lepiej.

- Więc jeśli stanie się to raz jeszcze, nie będę się czuć tak fatalnie?

- Niektórzy radzą sobie z tym lepiej niż inni.

- A ja? Poradzę sobie?

Zauważył w jej oczach strach przed możliwą odpowiedzią. Nie był pewien dlaczego, lecz postanowił ją oszczędzić.

- Jestem pewien, że będzie ci już łatwiej.

Pośredniczka opowiedziała mu, że odjechała spod domu bez problemu i że nikt jej nie śledził.

- Znalazłam otwarty sklep i kupiłam sobie trochę nowych ciuchów. Potem...

- Może po prostu wróćmy do miejsca, w którym skończyliśmy.

- Żeby móc porozmawiać, musimy pójść w jakieś inne miejsce.

Wiktor podniósł się.

- Dobrze, ale tym razem to ja wybieram dokąd.

*

Neonowy szyld nad drzwiami informował o godzinowej stawce za pokój. W środku znajdował się ciemny i niewielki hol, w którym świadomie zainstalowano słabe oświetlenie.

Podczas gdy pośredniczka liczyła pieniądze, stojący za czymś, co pełniło rolę recepcji, niski człowieczek pożądliwie wgapił się w Wiktora. W korytarzu wisiał automat z przerwatami.

Pokój był mały i bez wyrazu, jeśli nie liczyć podwójnego łóżka, które zajmowało niemal całą dostępną przestrzeń. U wezłowania znajdowała się metalowa skrzynka, do której wrzucało się monety, by uruchomić w łóżku wibracje. Wiktor nie był w stanie uwierzyć, że niektórzy wciąż z takich rzeczy korzystali. Ale czy naprawdę...? Ostatnim razem, gdy zobaczył coś podobnego w działaniu, poczuł mdłości.

Pośredniczka stała przed oknem, wyglądając przez półotwarte zasłony. Miał już jej powiedzieć, że nie powinna tego robić, ale gdyby na zewnątrz był snajper, już zdążyłby ją przecież zabić.

Nerwowo bawiła się zawieszoną w oknie tkaniną, która nie wydawała się wystarczająco gruba, by istotnie uniemożliwić komuś zajrzenie do środka. Podejrzał, że o to właśnie chodziło - o dostarczenie korzystającym z pokoju dodatkowego dreszczyku emocji.

Uznał, że fakt, że jedynymi ewentualnymi podglądaczami mogły być w takim miejscu gołębie, nie zaprzętał głowy pomysłodawcy.

- Już samo bycie tu sprawia, że cierpie mi skóra - przyznała pośredniczka, w dalszym ciągu patrząc w okno.

Domknął za sobą drzwi i przekręcił w nich zamek. Na ten dźwięk odwróciła się do niego.

- Nie obchodzi mnie, czy ci się tu podoba - zauważył bez emocji w głosie. - Tutaj nikt nas nie znajdzie. Tego typu miejsca nie chwala się tożsamością swoich gości.

Nie oponowała. Miał rację i wiedział, że dziewczyna to zrozumie. Skrzyżowała ramiona na piersi. Wyłączył górne światło i zapalił lampkę przy łóżku. Cienki, czerwony abażur rzucał na pokój ciemną, karmazynową poświatę.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

Pierwsza ciszę przerwała pośredniczka.

- Jeśli tam, w moim mieszkaniu, nie chodziło im o to, żeby nas zabić, to dlaczego ty ich pozabijałeś?

Spodziewał się podobnego pytania.

- Granaty ogłuszające działają tylko przez parę sekund.

Świadoma tego faktu, prędko zauważyła:

- Ale mieli przecież noktowizory. Z pewnością wybuch oślepił ich na dłużej.

Kiedy w końcu odpowiedział, nie starał się ukryć niezadowolenia z bycia przepytanym.

- Noktowizory mają wyłącznik, który reaguje na nagły rozbłysk światła.

- Niech będzie - odparła w końcu dziewczyna.

- Jeśli bym ich nie zabił, nie zdołalibyśmy uciec.

- Ale to byli po prostu policjanci, prawda? Byli po dobrej stronie?

- Albo oni, albo my - odpowiedział. - I mieli tego świadomość, kiedy wstępowali na służbę. Dał jej chwilę do namysłu.

- Co teraz zrobimy?

Miała wątpliwości i poczucie winy. Ocknęła się z chwilowego zamyślenia i wyprostowała plecy.

- Elliot Seif - rzuciła z zaskakującym jadem w głosie.

- Oto nasz następny cel.

Wyciągnęła z torby komputerowy wydruk. Było to czarno-białe zdjęcie w niskiej rozdzielczości, przedstawiające od ramion w górę chudego mężczyznę w garniturze. Miał co najmniej pięćdziesiąt parę lat, jego czoło poorly zmarszczone, usta miał cienkie, zaś nad ciemnymi oczami jeżyły się krzaczaste brwi. Wyglądał na księgowego.

- Kto to jest? - spytał.

- Księgowy.

Wiktor uniósł brew.

Pośredniczka przyjrzała mu się z bliska.

- Coś pominęłam?

Potrząsnął głową.

- Kontynuuj.

- Seif jest ważnym współpracownikiem w dużej londyńskiej korporacji finansowej Hartman and Royce Equity Investments. Zajmował się kontem, z którego przelano mi pieniądze, które później przesłałam tobie.

- Jesteś tego pewna?

- Znasz się na swojej robocie. Ale ja na swojej również.

Istotnie, znała się - wiedział o niej już wystarczająco dużo. Wierzył, że dokładnie wie, o czym mówi. Sięgnął do płaszcza po papierosy i zapalki.

- Mógłbyś tego nie robić? - spytała pośredniczka.

Spojrzał na nią.

- Słucham?

- Mógłbyś teraz nie palić?

Przez moment się zawahał, po czym odłożył paczkę z powrotem do kieszeni.

- I tak staram się rzucić.

- Zobaczysz, lepiej się poczujesz.

- Jak na razie nie działa.

Uśmiechnęła się przelotnie, po czym wróciła do omawianych spraw.

- Ale Seif to tylko kolejny krok - stwierdziła. - Jest pośrednikiem, nic ponadto.

Stanowi kanał przesyłowy pieniędzy, mający zapewnić dodatkową ochronę tym, którzy za tym stoją. Musimy się dowiedzieć, do kogo należy konto, z którego mi płacono, bo w przeciwnym razie polegniemy.

- Zamilkła, by złapać oddech, po chwili jednak ciągnęła dalej. - A żeby to stwierdzić, muszę się dostać do plików.

- Jesteś w stanie wyprowadzić je spoza systemu?

- Przydałaby mi się ekipa kryptologów z CIA i jakiś superkomputer.

- Ok, załapałem.

- Przelew dokonano drogą elektroniczną. Domyślam się, że z jakiejś podstawionej firmy czy spółki-słupa. Seif będzie miał to wszystko w swoich danych. Na twardym dysku znajdziemy jakieś nazwisko. Tylko tyle mi trzeba.

- A nie można z nim po prostu porozmawiać?

- Mocno bym się zdziwiła, gdyby się okazało, że wie, skąd naprawdę pochodziły te pieniądze, a jeszcze mocniej - jeśli wie, co się z nimi później stało. A nawet, jeśli wie, to nam tego nie powie.

- Potrafię być bardzo przekonujący.

Spojrzała w jego ciemne oczy.

- Nie musimy się do tego posuwać.

- Chcesz powiedzieć, że ty nie chcesz się do tego posuwać.

- Tak jest, nie chcę. Zresztą i tak byłoby to zbyt skomplikowane. Musielibyśmy go porwać, co nie byłoby łatwe. Poza tym mogłby nas okłamać, zaprowadzić w ślepią uliczkę.

Nie mamy na to czasu. Bez dwóch zdań dobranie się do jego komputera będzie łatwiejsze.

Po kilku sekundach namysłu Wiktor skinął głową.

- A zatem włamiemy się do jego firmy.

- Jeśli tylko damy radę, ale czas działa na naszą niekorzyść, więc lepiej, żebyśmy nie musieli tego robić. Facet musi mieć laptopa albo palmtopa z informacjami o klientach. Nie potrzeba mi wiele, by naprowadzić nas na właściwy trop.

- Ile mamy na to czasu?

- Możliwe, że wzięli go na celownik w ramach przeprowadzanej czystki, a zatem musimy dotrzeć do niego, zanim oni to zrobią. Mój oficer prowadzący zginął w kilka dni po niepowodzeniu operacji. Nie wiem, ilu innych ludzi jest zamieszanych w sprawę, ale trzeba przyjąć, że nie tak wielu. Jeśli więc nie dobierzemy się do danych Seifa jutro, musimy to zrobić najdalej pojutrze.

- To niewiele czasu.

- Nic na to nie poradzę.

Naprężył mięśnie żuchwy. Nikogo nie krytykował, a jedynie stwierdzał fakt.

Narzekanie nie leżało w jego naturze.

- W tak krótkim czasie nie zdołam zabrać mu komputera niepostrzeżenie.

Pośredniczka skinęła głową, niechętnie godząc się na wynikające z tego faktu skutki.

- Musimy umówić się na jutro na wizytę w jego firmie - zauważył. - A także zdobyć jego adres domowy oraz wszelkie istotne informacje, jakie tylko zdołamy.

- O wpół do trzeciej po południu spotykam się z jednym z jego współpracowników.

- Szybko.

Zauważył na jej ustach ślad dumnego uśmiechu.

- Nie mogę jednak powiedzieć, by mnie to spotkanie szczególnie cieszyło. Nie lubię ludzi o zepsutych zębach.

- To tylko stereotyp, który lubią rozpowszechniać Amerykanie. Pod względem stanu uzębienia Brytyjczycy nie odstają od reszty świata.

Potrząsnęła głową.

- Cholera.
- Słucham?
- Już myślałam, że w którymś momencie użyjesz zwrotu „my”
- A po co miałbym go używać?
- Nie musiałeś, ale gdybyś to zrobił, powiedziałoby mi to, skąd jesteś.
- Sądzisz, że jestem Brytyjczykiem?

Skinęła głową.

- Albo mogłeś powiedzieć „my” w miejsce Amerykanów.
- Czyli jestem Amerykaninem?
- Czasami mówisz, jakbyś był ze Stanów, kiedy indziej - jakbyś był Anglikiem, a niekiedy przyjmujesz akcent transatlantycki. Ale twoja wymowa cały czas się zmienia, toteż, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.
- Wiele podróżuję.
- Domyśliłam się. Ale kiedy rozmawialiśmy przez telefon, dałabym głowę, że w twojej angielszczyźnie dało się słyszeć akcent z Europy Wschodniej. Kiedy z kolei się spotkaliśmy, słyszałam w niej ślady francuskiego. Domyślałam się, że dopasowujesz intonację do kraju, w którym akurat przebywasz.
- Bardzo bystra obserwacja.

Uśmiechnęła się, a w jej uśmiechu nieśmiałość przeplatała się z dumą.

- Postanowiłam więc cię sprawdzić i zobaczyć, czy się zdradzisz.

Jej plan przypadł mu do gustu.

- Powodzenia innym razem.
- Postaram się rozegrać to subtelniej.
- Będziesz musiała.

Wciąż uśmiechała się, tak jakby byli zwykłymi ludźmi - kobietą i mężczyzną, którzy rozmawiają, poznają się nawzajem, swobodnie sobie gawędzą. Uświadomił sobie, że sprawy przybierały niebezpieczny obrót. Istniały powody, dla których szedł przez życie sam. I nie był

to bynajmniej najlepszy moment, by uśpić czujność.

Zauważył, że wyraz jej twarzy się zmienił. Patrzyła na niego.

- Co? - spytał w końcu.
- Do tej pory ci nie podziękowałam. Tam, wtedy, w moim mieszkaniu.
- Nie musisz mi dziękować.
- Uratowałeś mi życie. A nawet jeśli nie życie, to...

Jego głos brzmiał ostro.

- Nie musimy tego omawiać.

Jej oblicze ponownie się zmieniło. Wyglądało, jakby zranił jej uczucia. Wmówił

sobie, że to go zupełnie nie obchodzi.

Przez minutę żadne się nie odezwało. Pośredniczka zajrzała do torby i wyjęła z niej teczkę. Wręczyła ją Wiktorowi, nawet na niego nie spoglądając.

- Dossier Seifa - wyjaśniła. - Przepraszam, przez ten czas nie zdołałam zgromadzić więcej danych.

Teczka miała ponad pół centymetra grubości. Jak na dwa dni, zrobiła naprawdę dużo.

Przekartkował zgromadzone informacje. Zaskoczyła go. Wręcz mu zaimponowała.

- Tyle powinno wystarczyć.

ROZDZIAŁ 52

FALLS CHURCH, WIRGINIA. STANY ZJEDNOCZONE

PONIEDZIAŁEK 16:54 CZASU WSCHODNIEGO

Sykes wysiadł ze swojego lincolna i mocno trzasnął drzwiami. Pod wpływem nisko wiszącego, popołudniowego słońca zmrużył oczy, skierował breloczek w stronę auta i poczekał, aż kontrolka alarmu dwukrotnie zamiga. Niepotrzebnie się kłopotał. W tym rejonie Wirginii aż roilo się od pracowników administracji rządowej i CIA, toteż przestępczość właściwie nie istniała, aczkolwiek po drugiej stronie rzeki jej wskaźniki ostro szybowały w górę. Sykes był jednak człowiekiem przezornym. Żałował jedynie, że nie okazał się bardziej ostrożny w chwili, gdy Ferguson zwrócił się do niego z tymi nieśmiertelnymi słowami: „Co byś powiedział na to, żeby się wzbogacić?”

Odpowiedź brzmiała „tak” - jasne, że tak. Sykes widział już dno swego funduszu powierniczego, a myśl o obniżeniu standardu życia bynajmniej go nie bawiła. Tak przynajmniej było wcześniej. Teraz przede wszystkim zależało mu na tym, aby nie pójść do więzienia. Cała sprawa wydawała się bardzo prosta. Emerytowany oficer rosyjskiej marynarki sprzedawał CIA współrzędne jakichś niezwykle drogocennych pocisków. Należało go zabić i przejąć informację, następnie zlikwidować zabójcę, aby reszta CIA nie odkryła, kto go zatrudnił. Potem wystarczyło wydobyć pociski i sprzedać je na czarnym rynku. Na papierze intryga prezentowała się pięknie, lecz nie wszystko poszło tak, jak było zaplanowane.

Ganianie za płatnym zabójcą po całej Europie, jednocześnie starając się nie dać złapać agentom z własnej instytucji, nie było tym, na co Sykes się pisał, a już na pewno nie było tym, za co zdecydował się sprzedać własny honor. Ferguson, jak na starego nieustraszonego skurczybyka przystało, nawet się przez całą sprawę nie zasapał. Dla niego była to po prostu kolejna mokra robota. Być może Ferguson odstawiał tego typu nielegalne akcje już wiele razy, lecz Sykes był w tym temacie niedoświadczonym nowicjuszem.

Choć nie wiało, powietrze było zimne. Młodszy agent czuł, jak jego wnętrzności szaleją. I tak się dziwił, że jego żołądek jeszcze nie eksplodował. Przez ostatni tydzień nie ważył się wyjść z domu bez porządnego zapasu tabletek na nadkwasotę.

Podjazd prowadził do pięknej, niemal trzystumetrowej, kolonialnej willi Fergusona.

Utrzymaną w doskonałym stanie rezydencję otaczało ponad półtora hektara lasów. Zbliżając się do wejścia, Sykes z wysiłkiem nabrał powietrza. Jeżeli wczoraj sprawy przedstawiały się kiepsko, to dzisiaj było już beznadziejnie.

Stary otworzył drzwi. Miał na sobie koszulkę polo i luźne spodnie i nie wyglądał na zadowolonego faktem, że ktoś oderwał go od jedzonej kanapki. Sykes nie był w stanie przypomnieć sobie ostatniego posiłku, którego spożycie nie wywołało spustoszenia w jego żołądku. Kończąc przeżuwanie, Ferguson otarł kąciki ust chusteczką z wyhaftowanym monogramem.

- Pomyślałem, że zechce pan dowiedzieć się jak najszybciej - zaczął.

- Zabrzmiało to zdecydowanie niepokojąco, panie Sykes.

Mężczyzna przesunął ciężar ciała. Ograniczał się do faktów.

- Kilka godzin temu Tesseract wrócił do Paryża. Spotkał się tam z dziewczyną, z tą Sumner. Doszło do strzelaniny. Oboje zniknęli.

Nim Ferguson się odezwał, zapadła długa cisza. Jego niezwykle spokojny głos sprawił, że Sykesowi przeszły ciarki po plecach.

- Lepiej będzie, jeśli wejdiesz.

Sykes podążył za starym agentem do przedpokoju. Jeszcze nigdy nie był w willi Fergusona. Z jakichś przyczyn spodziewał się, że wewnątrz będzie zimno, tymczasem w środku panowało niemal uciążliwe ciepło. Sykes rozpiął marynarkę swojego gołębiego garnituru.

Dom Fergusona było skromnie urządzone. Na pierwszy rzut oka widać było, że mieszka tu facet. Stary rozwiódł się ponad dziesięć lat temu i z tego, co wiedział Sykes, nie angażował się w żadne romanse. W pobliżu drzwi stała torba z kijami golfowymi.

- Co tu się w ogóle wyrabia? - spytał Ferguson, kiedy tylko zamknęły się drzwi.

A zatem postanowił dobrać mu się do tyłka z pominięciem gry wstępnej.

- Tak, jak mówię. Tesseract pojawił się w Paryżu. Na tę chwilę nie wiem dokładnie jak - Sykes odchrząknął. - Udał się do mieszkania Sumner. Rzecz jasna, nikt z naszych jej nie pilnował, odkąd polecił mi pan wysłać Reeda w pierwszej kolejności do Hoyta.

Sykes poczuł ulgę, mogąc przerzucić winę na Fergusona na samym początku rozmowy.

Stary na chwilę zamilkł.

- I co potem?

- Francuska policja próbowała go zatrzymać. Nie muszę mówić, że im się nie udało.

Ferguson przez moment namyślał się nad odpowiedzią.

- Dopiero co spędziłem popołudnie na uczeniu dyrektora krajowych służb wywiadowczych sztuki uderzania piłeczki golfowej, a twoje wieści psują mi teraz humor -

stary przecesał dłonią włosy. Były one tak gęste, że swego czasu Sykes uznawał je za perukę. Z ilości włosów, jakie codziennie rano znajdował pod prysznicem, sam wnioskował, że w wieku Fergusona będzie łysy jak kolano. - Bez tego typu komplikacji moglibyśmy się zupełnie obejść.

- Nadal nic nam nie grozi - rzucił agent, bardziej pragnąc uspokoić samego siebie aniżeli Fergusona.

Stary parsknął.

- Dziękuję za to zapewnienie. Domyślałem się, że przybyło nam trupów, Sykes skinął głową.

- Zabił trzy osoby, kolejne dwie wylądowały w szpitalu, Nie wiem, czy przeżyją.

- Ile wiedzą żabojady?

- Z tego, co się orientuję, nie wiedzą nic. Nie wiedzą, dlaczego Tesseract był w Paryżu ani też, kim jest ta dziewczyna. Mieszkanie w Paryżu nie należy do niej, zaś lokal w Marsylii został wynajęty na fałszywe nazwisko, a zatem nie będą w stanie

skojarzyć jej z naszą agencją. Jej przykrywka jest silna. Powinna wytrzymać.

- Miejmy taką nadzieję - podsumował Ferguson.

Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, stali w milczeniu. Sykes niemalże słyszał pracujące pod czaszką starego trybiki. Kiedy nie mógł już znieść ciszy, odezwał się.

- Nie rozumiem, w jaki sposób Tesseract zdołał ją namierzyć.

- A słyszałeś może, żeby policja znalazła jej ciało?

- Nie.

- No to się zastanów.

Sykes nie był w stanie ustać w miejscu. Opuszczone wzdłuż ciała dłonie zacisnął w pięści, aż pobieleły mu kostki.

- Nie rozumiem.

- On jej wcale nie namierzył - dopowiedział Ferguson.

Młodszy agent nadal nie rozumiał.

- Ale jak to?

Ferguson wyjaśnił mu wszystko od początku do końca.

- Albo to on się pierwszy do niej zgłosił, albo może ona nawiązała z nim kontakt, to jednak nie ma teraz znaczenia. Ważny jest fakt, że zdała sobie sprawę, że stała się celem, toteż przystała na spotkanie z nim.

- Ale dlaczego? I skąd wiedziała, jeśli Reed nie zdążył jej dopaść?

- Bo jest sprytna. O ile się nie mylę, właśnie dlatego się nią posłużyliśmy.

- No tak, ale...

- Być może jest sprytniejsza, niż się nam wydawało. Może Kennard popełnił błąd i zdradził swoją tożsamość, przez co po jego śmierci wystarczyło jej skojarzyć fakty. Albo zaczęli coś podejrzewać i świadomie złamali zasady. Kto wie?

- Brzmi sensownie.

- A zatem - ciągnął Ferguson - ucieka do mieszkania kuzyna w Paryżu, nie wiedząc, że o tym wiemy. Jest przestraszona, nie wie, co robić. Znikąd nie może oczekiwać pomocy, więc zwraca się po nią do Tesseracta. Być może proponuje, że w zamian za pendrive'a powie mu wszystko, co wie. On zaś bądź jest na tyle zdesperowany i na propozycję przystaje, bądź

też idzie na spotkanie z myślą, by ją zabić. Zmienia jednak zdanie i postanawia współpracować. Ona więcej wie, on więcej potrafi, tak więc są w stanie nawzajem sobie pomagać. Przyznam, że to całkiem sprytny plan działania.

Sykes intensywnie zmarszczył czoło. Ostatnimi czasy często się marszczył.

- Co więc teraz zrobimy?

- Po prostu sobie zaczekamy - odparł z irytującym spokojem Ferguson. - Jeden z wariantów jest taki, że Tesseract zabije ją dla własnego bezpieczeństwa lub z chęci zemsty, kiedy tylko przestanie być przydatna. To rozwiąże nam jeden mały kłopot. Następnie Tesseract zniknie z pendrive'em i nigdy więcej już o nim nie usłyszymy. Nie wydobędziemy pocisków i się nie wzbogacimy, ale uda nam się pozostać na wolności. Wziąwszy pod uwagę wszystko, co się do tej pory zdarzyło, uznałbym taki rezultat za zwycięstwo.

- A drugi wariant?

Ferguson przeszedł z przedpokojku do przestronnej kuchni. Sykes podążył za gospodarzem.

- Napijesz się czegoś? - zagadnął stary.

- Z chęcią, piwa - odparł po sekundzie namysłu agent.

Gęste brwi Fergusona zbliżyły się ku sobie.

- Miałem raczej na myśli jakiś sok albo wodę.

- W takim razie spasuję.

- Jak sobie chcesz - odrzekł. Otworzył lodówkę i wyjął z niej karton soku grejpfrutowego. Nalał sobie wysoką szklankę.

- Drugi wariant jest taki - odezwał się po chwili przerwy - że zgłoszą się do nas i zaproponują jakiś układ. Nawet uważam to za bardziej prawdopodobne. Zaoferują nam informacje z pendrive'a, oczekując w zamian, że zostawimy ich w spokoju.

Sykes ciężko odetchnął.

- No dobrze. A jeśli tak się stanie, to damy im spokój?

Ferguson wydał się zaszokowany.

- Oczywiście, że nie, ty idioto. Gdzie ty masz łeb? Nie, nie damy im spokoju. Jeśli rozegramy wszystko jak należy, możemy zwiabić ich tutaj oboje i przejąć pendrive'a. Potem wydobywamy pociski i wychodzimy z całej afery czysti jak łąza.

- Nadal pan uważa, że po tym wszystkim, co się stało, może nam się to udać?

Ferguson wpatrywał się w niego z uczuciem graniczącym z obrzydzeniem.

- Udawało mi się wyjść cało z gorszego bagna, panie Sykes, a i tak nadal pachnę fiołkami.

- A co z Alvarezem?

Stary agent westchnął, tak jakby cała rozmowa zaczynała go już nudzić.

- Alvarez to tylko harcerzyk. Nigdy nie miałem o nim zbyt dobrego zdania. Słuchaj, to, co się właśnie stało, w pewnej mierze jest wręcz dla nas korzystne. Idioci z departamentu będą mieli tylko więcej roboty. A przy tym z każdym krokiem ich dochodzenie oddala się od nas. Gdyby Procter, Chambers i Alvarez byli inteligentni, przede wszystkim staraliby się dociec, kto w ogóle mógł się dowiedzieć o transakcji z Ozolsem. Tymczasem zabierają się do sprawy od drugiej strony. W ten sposób nigdy do niczego nie dojdą. Więc się nie denerwuj, bo niedługo będzie po wszystkim, a kiedy tak się już stanie - przy odrobinie szczęścia -

dziesiątki milionów dolarów będą na nas czekać na zaszyfrowanych kontach. Bo zakładam, że nadal chcesz się wzbogacić? W każdym razie ja tak.

Sykes twierdząco skinął głową.

- Tak sobie myślałem - odezwał się - że niemal szkoda, że musimy zabić Tesseracta.

Sam fakt, że doszedł tak daleko, świadczy o tym, jak bardzo jest w tym dobry. Naprawdę mógłby się przydać w naszej ekipie, czyż nie? Byłby świetnym agentem. Może zdołalibyśmy go przeciągnąć na naszą stronę.

- Udam, że tego nie słyszałem.

Sykes przełknął ślinę.

- Przepraszam.

Ferguson spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Czyżbym niczego pana nie nauczył, panie Sykes? Nigdy nie przeprasza. Nigdy. W

najgorszym wypadku oznacza to przyznanie się do błędu, w najlepszym - sprawia, że wychodzisz na pieprzonego durnia.

ROZDZIAŁ 53

LONDYN, WIELKA BRYTANIA

WTOREK 13:56 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Rebecca siedziała na wygodnej skórzanej kanapie w recepcji siedziby Hartman and Royce Equity Investments, lekko podenerwowana, lecz pewna, że jej nerwowość nie rzuca się w oczy. Spółka Seifa mieściła się na dziewiętnastym piętrze wysokiej wieży Canary Wharf -

pięćdziesięciu kondygnacji szkła i stali, które górowały nad panoramę Londynu. Widok zapierał dech w piersiach. Rebecca skupiła się na błyszczącej strudze fontanny zainstalowanej w recepcji i pozwoliła, by hipnotyzujące odbicia światła ją rozluźniły.

Stukot obcasów sprawił, że odwróciła głowę. W jej stronę zmierzała recepcjonistka Melanie, oszałamiająca brunetka o cudownie przyjaznym usposobieniu i ciele gwiazdy porno wciśniętym w wyszczuplający kostium w paski. Kobieta z wielką uprzejmością powitała Rebekeę, popisując się śnieżnobiałym uśmiechem i doprowadzoną do perfekcji sztuką konwersacji, po czym stwierdziła, że w oczekiwaniu na spotkanie klientka koniecznie musi napić się kawy. Trudno było jej odmówić.

Melanie podała espresso w małej porcelanowej filiżance ze spodeczkiem. Rebecca odebrała kawę i nie zdziwiła się, gdy napój okazał się szatańsko mocny, z zaledwie cieniem gorzkości. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy piła lepszą kawę.

- Jest wyśmienita, dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - błyszczące usta Melanie rozciągnęły się w uśmiechu. - Jeśli życzyłaby pani sobie czegoś jeszcze, proszę mi powiedzieć.

Stukając szpilem, recepcjonistka pewnym krokiem wróciła za biurko, tymczasem Rebecca zastanowiła się, czy w złożonej właśnie propozycji zawierało się coś nie tak oczywistego. Nie, to niemożliwe.

- Wydaje się przyjazna - odezwał się głos w jej uchu.

Rebecca podniosła filiżankę do ust.

- Nawet bardzo.

- Chyba jej się spodobałaś.

- Jesteś zazdrosny?

Czekając na odpowiedź, pociągnęła łyceczek.

- O co? - odpowiedział po chwili.

- O nic. Żartowałam.

- Nie łapię.

Westchnęła.

- Nieważne.

- Nie spoufalaj się z nią za bardzo. Chcemy, by zapomniała o tobie, gdy tylko wyjdiesz z biura.

- Zrozumiałam.

Rebecca popijała espresso, obserwując, jak wspólnicy i pracownicy spółki wracają windami z długich lunchów. Żaden z przechodzących przez recepcję nie zatrzymał na niej spojrzenia, niektórzy przystanęli jedynie, by zamienić słówko z Melanie. Rebecca była dla nich tylko kolejnym klientem lub gościem. Ot, jedna z tuzina nowych twarzy, jakie codziennie przewijają się przez biuro. Nie musiała się dodatkowo maskować.

W słuchawce ponownie zabrzmiał jego głos.

- Nadal ani śladu Seifa.

- Rozumiem - odpowiedziała, nie poruszając przy tym ustami.

Stał na zewnątrz budynku, oczekując na powrót Seifa. Już od rana kręcił się po okolicy, prowadząc obserwację. Widział, jak Anglik przyjechał do pracy, a później wyszedł

na lunch. Świtem opuścili Paryż. Wiktor ukradł samochód, którym następnie udali się do Calais, skąd promem przepłynęli kanał La Manche. Po przyплыnięciu do Anglii wsiedli w pociąg, który zawiózł ich do Londynu.

Podróżowali jako para, aczkolwiek jej partner nie przykładał się zbytnio do uwiarygodnienia takiej wersji. Rebecca widziała, że przywykł do działania w pojedynkę, więc nie miał w tym doświadczenia. Sama radziła sobie lepiej i maskowała jego niedociągnięcia, widać jednak było, że wiążący się z tym kontakt fizyczny mu nie odpowiada. Domyślała się, że nie przywykł do dotyku innych - pomijając sytuacje, w których im za to płacił. Mocno się starał ukryć swój dyskomfort, Rebecca zaś udawała, jak tylko mogła, że tego nie zauważa.

Na dodatek było oczywiste, że jej nie ufa, mimo że dotychczas była wobec niego całkowicie lojalna. Niełatwo zaś było uchodzić za autentyczną parę, gdy jedno nieustannie szukało u drugiego oznak zdrady. No dobrze, może wypatrywanie oznak zdrady stanowi istotną część bycia w związku, lecz w wyobrażeniu Rebeki większość mężczyzn bardziej przejmuje się możliwością, że partnerka go zdradza z innym, niż, że knuje, jakby tu go zabić.

Na szczęście maskarada nie miała trwać zbyt długo. Rebecca również nie darzyła swego towarzysza przesadnie serdecznym uczuciem.

Jednocześnie, choć wprost tego nie powiedział, nie ulegało wątpliwości, że całe obecne przedsięwzięcie mu się nie podoba. Kobieta wiedziała, że przywykł kontrolować wszystkie swoje posunięcia i jak tylko mógł unikał pośpiechu. Wolał starannie dopracować plan działania. Już dawno nauczył się, że im więcej czasu poświęci przygotowaniom, tym mniej go czeka niespodzianek w chwili realizacji zamierzeń. Teraz zaś musiał działać, opierając się na niepełnych informacjach i pod presją czasu.

Kolejny raz słuchawka przemówiła jego głosem.

- Dobra, przechodzi już przez hol.

- Jasne.

Dwadzieścia minut po drugiej drzwi windy się otworzyły, Wysiadł z niej sporych rozmiarów mężczyzna, którego wydatny korpus opinał przylegający granatowy garnitur.

Pośrodku kwadratowej twarzy widoczny był spłaszczony i skrzywiony nos - pamiątka po licznych bijatykach. Poważny wyraz twarzy współgrał z jego postawą. Rebecca zauważyła, że pod lewą pachą garnituru miał schowaną broń. Znajdowali się w Wielkiej Brytanii i facet, nawet będąc ochroniarzem, nie miał prawa nosić jej przy sobie. Nieładnie.

Tuż za nim pojawił się mężczyzna. Natychmiast rozpoznała Elliota Seifa. Był niski, chudy i wyglądał tak samo, jak na zdjęciu z internetu. Miał bardzo pomarszczoną skórę, która sprawiała wrażenie, jakby nieczęsto oglądała słońce. Resztki włosów zaczesane miał na bok.

W dłoni trzymał czarną skórzaną teczkę na laptopa.

Za Seifem wszedł drugi ochroniarz, ubiorem i rozmiarami podobny do pierwszego.

Mężczyzna zachowywał się, jakby ich w ogóle nie było, prowadząc pogawędkę przez telefon komórkowy. Ochroniarze dotrzymywali mu kroku i zatrzymali się, gdy stanął, by zagaić do recepcjonistki, przyciskając telefon do piersi i puszczać jej pełne uwielbienia spojrzenie.

Melanie bez skrępowania zaczęła z nim flirtować.

Rebecca poczuła, jak ochroniarze szybko otaksowali ją wzrokiem, kontynuowała jednak lekturę najnowszego numeru „National Geographic”, tak jakby nie zauważyła ich przybycia. Artykuł poświęcony migracjom słoni morskich był istotnie fascynujący, aczkolwiek dawało się w nim wyczuć nutkę protekcjonalizmu.

Seif z eskortą ruszyli dalej, zostawiając Melanie z jej nieszczerym śmiechem. Sam fakt posiadania nie jednego, a dwóch ochroniarzy, mówił wiele. Mężczyzna najwyraźniej miał uzasadnioną potrzebę chronienia własnej osoby albo goryle służyli mu przede wszystkim do robienia przedstawienia. W przekonaniu Rebeki wywierali zapewne silne wrażenie na mniej pożądanym klientach, którzy bez wątpienia przybywali z własną obstawą.

Kiedy tylko cała trójka się oddaliła, Rebecca wstała i zwróciła się do recepcjonistki.

- Przepraszam, gdzie jest łazienka?

Melanie wskazała w stronę, w którą odszedł Seif. Był to jedyny widoczny korytarz.

- Tędy, trzecie drzwi po lewej. Są zresztą oznaczone.

Rebecca uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

Ruszyła szybkim krokiem, dotarła do rogu korytarza i zobaczyła jak Seif i jeden z ochroniarzy wchodzi do gabinetu na samym końcu holu. Drugi stanął pod drzwiami, przyjmując wygodną pozycję z lekko rozstawionymi nogami i złożonymi przed sobą dłońmi.

Domyśliła się, że dopóki Seif przebywa w gabinecie, dopóty któryś z ochroniarzy będzie pilnował wejścia. Goryl spojrzął na nią, lecz w tym momencie Rebecca wchodziła już do łazienki.

Kiedy wróciła do foyer, odezwała się do niej recepcjonistka.

- Panno Oswald - zaczęła, a w jej oczach widać było powagę - właśnie rozmawiałam z panem Brice'em. Obawiam się, że wyniknął poważny problem i nie zdoła już dzisiaj wrócić do biura. Z miejsca chciałby bardzo panią przeprosić.

Rebecca wydała się rozczarowana.

- Szkoda.

- Pan Brice pyta, czy może pani przenieść spotkanie na inny termin w tym tygodniu.

- Jutro wracam do Nowego Jorku, więc będzie to niemożliwe - zamilkła na chwilę, udając, że się zastanawia.

- Ale kiedy przylecę w przyszłym miesiącu, postaram się umówić na nowe spotkanie.

Melanie skinęła głową.

- Dobrze, przekażę to panu Brice'owi.

- Dowidzenia.

- Do widzenia, panno Oswald.

Rebecca dostrzegła zmianę w wyrazie twarzy Melanie, ta zaś wyszła z roli recepcjonistki, by już we własnym imieniu dodać:

- I być może przy następnej okazji będę mogła oprowadzić panią po mieście. Ma ono do zaoferowania kilka fantastycznych atrakcji.

Rebecca powoli i niezręcznie skinęła głową.

- Wyobrażam sobie.

Pośredniczka udała się na ustalone miejsce spotkania, to jest do kawiarni przy centrum handlowym nieopodal siedziby firmy Seifa. Na zewnątrz stało około dwunastu stolików, drugie tyle ustawiono między oknami z wysokich tafli szkła, tworzącymi sklepową fasadę.

Wszystkie stoliki były zajęte przez mężczyzn w garniturach i kobiety w kostiumach.

Jakakolwiek osoba w mniej formalnych ciuchach wyglądałaby i czuła się tam mocno nie na miejscu.

Zbliżyła się do lokalu, starając się go wypatrzyć, lecz nawet, gdy stanęła bezpośrednio przed witryną, nie udało jej się go dojrzeć. Wyraźnie mówił, że usiądzie przy stoliku przy wejściu. Przez długą, straszną chwilę zdawało jej się, że go dopadli i zaczęła z przerażeniem się rozglądać, pewna, że zaraz przyjdzie pora na nią samą. Tymczasem jednak zauważyła go z filiżanką espresso nad egzemplarzem jakiejś londyńskiej gazety. On jej nie dostrzegł, gdyż był całkowicie pochłonięty lekturą. Odczuła więc ulgę na myśl, że jej atak paniki pozostał

niezauważony. Nie zawołała go ani nie zamachała, lecz przez chwilę stała i patrzyła, ciesząc się rzadką okazją poobserwowania go bez jego wiedzy.

Przewrócił stronę gazety i upił nieco kawy. W słońcu wydawał się nawet przystojny.

Zaskoczyło ją, jak zwyczajnie teraz wyglądał. Niczym nie wyróżniał się spośród otaczających go ludzi.

Rebecca przypominała sobie, że stanowił on jednak dokładne przeciwieństwo kogoś zwyczajnego i przedostała się w jego stronę między gęsto ustawionymi stolikami oraz klientami. Usiadła naprzeciw niego. Czekają na nią parujące espresso.

- Dlaczego się tak na mnie patrzyłaś? - spytał, nie podnosząc wzroku.

- Tego, znaczy, przepraszam. Nie chciałam. Po prostu w pierwszej chwili cię nie zauważyłam.

- Gdybyś mnie od razu zauważyła, powinienem pomyśleć nad zmianą zawodu.

Nie była pewna, czy był to żart, czy też mówił poważnie. Podniósł głowę, aby móc na nią spojrzeć, jego oblicze nie wyrażało niczego. Jak zawsze. Nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek mógł być równie jak on pozbawiony emocji.

- Seif zabiera swojego laptopa na lunch - oznajmiła.

- To znaczy, że chodzi z nim absolutnie wszędzie.

- Wydaje mi się, że możesz skreślić jego biuro z listy możliwych punktów ataku.

- Rozwiń.

- Pełno tam pracowników, a jeden z ochroniarzy cały czas stoi na zewnątrz gabinetu i nie pozwoli ci tak po prostu koło siebie przejść. Nie wątpię, że zdołałbyś się z nim uporać, lecz jeśli ktokolwiek jeszcze wejdzie na korytarz, co jest wysoce prawdopodobne, zauważy rozciągnięte na podłodze dziewięćdziesięciokilogramowe cielsko.

- Rozegrałbym to inaczej, ale mój sposób nie byłby łatwy. Jeden i ten sam ochroniarz nie będzie stał tam przez cały dzień. Znużenie negatywnie wpłynęłoby na jego koncentrację.

Będą się zastępować, zapewne co parę godzin. Jeśli są inteligentni, dokonują zmian w pozornie nieuporządkowanym rytmie, ustalonym każdego dnia z osobna. Dzięki temu nie sposób przewidzieć, kiedy dojdzie do zmiany warty. Jak ochroniarze Seifa zachowywali się w biurze?

- Byli czujni i uważni, nawet pomimo atrakcyjnej recepcjonistki, na którą mogliby się pogapić.

Skinął głową.

- Widać, że podczas kursu dla ochroniarzy uważali na lekcji o uśpieniu czujności w znajomym otoczeniu. Skoro nie rozluźnili się na terenie biura, znaczy to, że nie rozluźniają się nigdy.

- A zatem są dobrzy.

Wzruszył ramionami.

- Są i nie są. Potężne i onieśmielające sylwetki znakomicie ułatwiają im przepychanie się w tłumie ludzi, sprawiają jednak, że są ociężały i powolni. Mimo że wyglądają jak tępe małpizony, są uzbrojeni i bardzo spostrzegawczy. Seif nie najął ich wyłącznie do ozdoby.

- Widziałeś, że mieli coś na sobie?

Przytaknął, nie okazując zaskoczenia, przejęcia czy czegokolwiek innego.

- Broń ręczną? - spytała.

- Tak - potwierdził. - Co mieli pod prochowcami?

- Garnitury.

Uśmiechnęła się.

- Czyżbyś szukał wskazówek co do mody?

- Jakiego kroju?

- A więc jednak! Chodzi ci o modę.

- Luźne, obcisłe, jakie?

- Wystarczająco obcisłe, by w razie za szybkiego skłonu wymagały wizyty u krawca.

Skinął głową.

- To dobra informacja? - spytała Rebecca.

- Może nam się przydać.

- Słuchaj, naprawdę sędzę, że to kiepski pomysł. Gdyby chodziło tylko o Seifa, to byłaby zupełnie inna historia, ale ci dwaj goście wszystko zmieniają. Są jak jastrzębie - duże, wredne jastrzębie ze spluwami. Jeśli spróbujesz się do niego zbliżyć, zauważą cię.

- Jeśli Seif jest na liście do odstrzału, będę musiał skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji. Ma mieszkanie w Londynie, a także willę w Surrey, zgadza się?

- Zgadza. Będziemy musieli się rozdzielić - stwierdziła. - Ja przyjrę się jego mieszkaniu, a ty posiadłości. Jeśli się pojawi, to do ciebie zadzwonię. W każdym razie, będziesz mógł uniknąć spotkania z jego goryłami. Załatw to po cichu.

- A jak ci idą włamania?

Westchnęła.

- Zgoda, masz rację. Ale co my teraz możemy zrobić? Nie przewidzieliśmy, że będzie miał dwóch uzbrojonych ochroniarzy.

Pociągnęła łyk espresso. Nie umywało się do kawy podanej przez Melanie.

- Kiedy dopijesz, poczekaj chwilę i zamów sobie duże cappuccino albo coś innego, co będziesz mogła powoli sęczyć, obserwując jednocześnie budynek Seifa. Poinformuj mnie, jak tylko wyjdzie. Jeśli tak się stanie, zadzwoń do niego do biura i poproś, by cię z nim połączono. Powinni ci powiedzieć, czy zamierza jeszcze wrócić. Jeżeli nie, postaraj się go śledzić, ale lepiej już, żebyś go zgubiła, niż miałby cię zauważyć któryś z ochroniarzy.

- No dobrze, ale ty dokąd się wybierasz?

- Po broń.

- Masz dostęp do broni w Londynie?

Spojrzał na nią.

- Czy to było pytanie?

- Wiedziałam, gdzie mieszkasz, ale nic poza tym - powiedziała. - Jeśli o to ci chodzi.

- O to.

- Co wiedzą inni, to już osobna kwestia.

- Ochroniarze Seifa są uzbrojeni, więc będę musiał podjąć ryzyko.

- To będzie dwóch na jednego.

Wyraz jego twarzy pozostawał niewzruszony.

- Tym gorzej dla nich.

- Co tak dokładnie zamierzasz zrobić?

- Nie wiemy, czy udaje się potem do domu, czy też do mieszkania, a - jak sama stwierdziłaś - wariant z biurem odpada. Zostaje więc tylko jedna możliwość.

- To jest?

- Muszę go dopaść gdzieś w drodze między tymi punktami.

ROZDZIAŁ 54

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA

WIRGINIA, STANY ZJEDNOCZONE

WTOREK 08:17 CZASU WSCHODNIEGO

Procter szedł nieco szybszym niż zazwyczaj krokiem, co dla faceta w jego wieku i jego postury stanowiło nie lada wyczyn. Był spóźniony na poranny briefing, a jego obecnym priorytetem było zająć miejsce na jednym z rachitycznych krzeseł agencji z trzy-, a nie czterominutową obsuwą. Wsiadł do windy i pojechał na najwyższe piętro. Pokonując kolejne korytarze, kiwał głową i mamrotał powitania do mijanych kolegów. Kiedy pchnął ciężkie, dźwiękoszczelne drzwi sali konferencyjnej, trzy pary oczu obróciły się w jego stronę.

- Przepraszam za spóźnienie. Patricia spędziła pół nocy z głową w sedesie. Odwożąc ją do szkoły, utknąłem w korku.

Chambers uśmiechnęła się i spojrzeniem dała mu do zrozumienia, że nic się nie stało.

Choć raz ona też wyglądała na nieco zmęczoną, Ferguson i Sykes siedzieli po przeciwnej stronie stołu konferencyjnego i sprawiali wrażenie, jakby tworzyli jakiś zamknięty klub.

Procter złapał krzesło i usiadł pomiędzy dwoma obozami.

Po zdawkowej pogawędce Alvarez rozpoczął sprawozdanie.

- Zeszłej nocy czasu paryskiego jednostka antyterrorystów francuskiej policji podjęła nieudaną próbę ujęcia podejrzanego mężczyzny, który ich zdaniem przed tygodniem zamordował Andrisa Ozolsa oraz siedmiu innych obcokrajowców. Podczas akcji wywiązała się strzelanina, w wyniku której kilku funkcjonariuszy policji zginęło, inni zaś wylądowali w szpitalu.

- Jaką mamy pewność, że podejrzany to zabójca Ozolsa? - spytała Chambers.

- Francuzi są o tym przekonani. O ile dobrze rozumiem, przebywający akurat z innych powodów na lotnisku de Gaulle'a agent DGSE rozpoznał go, gdy przeszedł przez kontrolę paszportową. Natychmiast poddano go obserwacji, którą utrzymywano aż do chwili, gdy wyszedł z budynku lotniska i wsiadł do taksówki, potem zaś śledzono go w mieście przy użyciu policyjnego helikoptera. Nie sądzę, by mieli stuprocentową pewność już w momencie, gdy wykryli go na lotnisku, ale fakt, że podjęli próbę zatrzymania, świadczy o tym, że w międzyczasie zdążyli rozwiązać wszelkie wątpliwości. A to, że podejrzany z bronią w rękę wyrwał się szturmowcom RAID, doskonale odpowiada sposobowi działania faceta, którego szukamy. Myślę, że nie ma co do tego większych wątpliwości.

- Co ten gość robił z powrotem w Paryżu? - spytał Procter.

- To dopiero musimy ustalić - odparł Alvarez. - Lecząc zauważono, jak wchodzi do mieszkania zajmowanego przez pewną kobietę. Właśnie tam ekipa RAID spróbowała ich pojmać. Na chwilę obecną nie jest jasne, w jaki sposób udało im się uciec.

- Nie sądzę, by miało to duże znaczenie - wymamrotał Ferguson.

- W tym momencie takie szczegóły nie są dla nas najważniejsze - zauważyła Chambers. - Chcę natomiast wiedzieć, kim jest ta kobieta. - Francuzi twierdzą, że to niezidentyfikowana paryżanka, i tyle - odrzekł Alvarez. - Ale w istocie wiedzą o wiele więcej niż to, co nam przekazują. Są świadomi, że nie byliśmy całkiem szczerzy w kwestii Ozolsa, więc o ile nie pójdziemy na jakąś wymianę, wydaje się, że dotarliśmy do granic tego, co możemy w tym momencie od nich wyciągnąć. Jak na razie władze nie dopuszczają do sprawy dziennikarzy, toteż tą drogą nie zdołaliśmy się niczego dowiedzieć, ale dwie poważne strzelaniny w ciągu nieco ponad tygodnia to jak na tę część świata kurewsko gruba sprawa.

Być może więcej szczegółów pojawi się w doniesieniach mediów. Mieliśmy jednak szczęście, bo chłopcy z NSA zdołali przechwycić dla nas parę istotnych informacji. Francuskie służby specjalne utrzymują, że kobieta to Amerykanka.

Procter, który dotychczas wyglądał przez okno, wyprostował się na krześle.

- Amerykanka?

- Nazywa się Rachel Swanson, ale zdaniem DGSE może to być pseudonim.

- Co jeszcze o niej wiemy? - dopytała Chambers.

- Jak na razie to tyle.

- Czy wiemy cokolwiek na temat powodów, dla których gość się z nią spotkał? -

spytał Sykes.

- Oto jest pytanie - przyznał Alvarez. - Może to jego kochanka albo po prostu przyjaciółka, ale osobiście uważam za bardziej prawdopodobne, że chodzi tu o relację zawodową.

- Zleceniodawczyni? - zasugerował Procter.

- Jest to możliwe.

Chambers skinęła na Proctera.

- Chcę wiedzieć wszystko, co się tylko da, na temat panny Swanson, jakkolwiek w istocie się nazywa.

Procter przytaknął.

- W związku z pojawieniem się wątku tej Swanson - ciągnął Alvarez - sądzę, że powinniśmy poszukać wśród byłych i obecnych pracowników CIA.

Chambers uniosła brwi.

- Słucham?

- Od jakiegoś już czasu coś nie daje mi spokoju - zaczął Alvarez. - Na początku przyjęliśmy, że Ozolsa zabił inny potencjalny nabywca albo też ktoś od Rosjan. Nie możemy jednak odrzucić ewentualności, że był to ktoś od nas.

- Rozmówiłam się już z dyrektorem, aby się upewnić, że to nie my zleciliśmy zabicie Ozolsa - odparła Chambers.

- Ja bym mimo wszystko posprawdzał. W końcu ktoś może działać na lewo.

Wcześniej nie było powodów, by coś takiego podejrzewać.

- A co obecnie wskazuje, że ów wariant jest bardziej prawdopodobny? - spytał

Procter.

- Przeczucie.

- Przeczucie?

- A konkretniej, moje przeczucie. Sebastian Hoyt nie żyje.

Chambers nachyliła się do przodu.

- Proszę, powtórz.

- Hoyt, jakby ktoś zapomniał, przekazał amerykańskiemu zabójcy Stevensonowi walizkę z pieniędzmi, za które ten miał zlikwidować zabójcę Ozolsa. Ten sam Hoyt zmarł w niedzielę wieczorem na atak serca podczas kąpieli we własnej wannie. Według autopsji nie ma żadnych śladów, które wskazywałyby na nienaturalną przyczynę zgonu, lecz byłby to w takim razie cholernie pomyślny zbieg okoliczności dla kogoś, kto zatrudnił Hoyta.

Procter nie mógł się nie zgodzić.

- No, ja myślę.

- Możliwe, że Hoyt został zamordowany na wszelki wypadek, jednakże moment jego śmierci - właśnie w chwili, gdy odkryliśmy jego rolę w całej tej sprawie - wzbudza we mnie podejrzenia.

Ferguson potrząsnął głową.

- Niezbyt to przekonujący dowód na to, że możemy mieć u nas „kreta”.

- Nie mówię, że mamy u nas „kreta” - to może być przeciek albo przeprowadzana tuż pod naszymi nosami nielegalna operacja.

- W porządku - odezwała się Chambers. - Nie zaszkodzi sprawdzić, czy ta Swanson jest lub była w jakikolwiek sposób z nami powiązana. Wydam zgodę na dostęp do wszystkich naszych akt personalnych, list współpracowników i tak dalej. Jednocześnie pozwolę sobie zasugerować, by wszelkie napotkane przy tej okazji informacje nie wyszły poza grono tu obecnych.

- Oczywiście.

Sykes postarał się nie poruszyć na krześle.

ROZDZIAŁ 55

WTOREK 16:46 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Zmierzchało, gdy Elliot Seif wraz z ochroniarzami dotarł na podziemny parking pod siedzibą firmy. Jego miejsce postojowe znajdowało się w strefie zarezerwowanej dla elity pracujących w budynku. W ostrym, białym blasku świetlówek widać było tylko kilka pojazdów.

Tego dnia Seif planował wrócić do domu późnym wieczorem. Rzadko się zdarzało, by robota zatrzymywała go w biurze po godzinach pracy, lecz jego najnowsza kochanka - bardzo młoda i atrakcyjna Isabella - często sprawiała, że odpuszczał kolację z żoną. Po latach notorycznej niewierności małżeńskiej dyskrecję w działaniu opanował do perfekcji i mimo wszystko był pewny, że żona nadal nie zdaje sobie z niczego sprawy. A przecież, choć na zebraniach w biurze Seif mógł oszukiwać i zwodzić najlepszych, kiedy przychodziło do kłamania własnej małżonce, stawał się zupełnie nieprzekonujący. Wiedział to on, wiedziała ona, lecz oboje udawali, że tak nie jest.

W powietrzu utrzymywał się swąd spalin. W ciągu tygodnia występowały pewne problemy z systemem wentylacyjnym, których do teraz nie zdołano w pełni rozwiązać. Seif już kilka razy się na to skarżył. Zadymienie pogarszało stan jego astmy, a jego starzejący się organizm potrzebował każdej dawki energii, jeśli pragnął nadążyć za młodzieńczym nienasyceciem Isabelli.

Mężczyzna wiedział, że oddawała mu się wyłącznie ze względu na nieprzerwany strumień drogocennych prezentów, jakim ją zalewał, ale się tym nie przejmował. W pełni zdawał sobie sprawę, że brakowało mu uroku osobistego, którym mógłby zatuszować negatywne wrażenie, jakie sprawiały jego cherlawa sylwetka oraz pomarszczona twarz, zarazem jednak pewien typ kobiet uznawał zawartość jego portfela za szalenie seksowną. Seif już dawno temu odkrył, że pieniądze stanowią największy afrodyzjak świata. Uważał za całkiem uczciwe, że Isabella pożąda go tylko dla jego portfela, bowiem on pragnął jej wyłącznie dla jej młodego i apetycznego ciała. Ostatecznie Seif był przede wszystkim człowiekiem interesów, zaś układ panujący między nimi wydawał mu się wyśmienity.

Panującą ciszę zmąciło echo ciężkich kroków. To ochroniarze wyszli z windy i obrali najkrótszą możliwą drogę przez rozległy betonowy plac. Jeden z członków obstawy szedł

przed Seifem z jego prawej strony, drugi zaś kroczył z lewej. W normalnych okolicznościach doprowadzali szefa od windy do samochodu w niecałe czterdzieści pięć sekund. Seif nigdy nie zwykł chadzać szybko.

Jego ochroniarze cały czas mieli oczy szeroko otwarte. Podziemny parking stanowił

niebezpieczne miejsce, lecz oni zdążyli poznać go na wylot. Ich wzrok nieustannie przesuwiał

się między punktami, w których ewentualny intruz mógłby znaleźć dogodną kryjówkę. Fakt, że robili to już tysiące razy i nigdy nic się przy tym nie stało, nie znaczył bynajmniej, by kiedykolwiek obniżyli czujność.

Uważnie przyglądali się każdej nieznannej twarzy i pojazdowi. Nieraz już Seif musiał

przepraszać w imieniu swej obstawy, gdy jej członkowie bezceremonialnie obchodzili się z kimś, czyje zachowanie uznali za potencjalne zagrożenie. Jak wyłożył mu to kiedyś jeden z goryli, być może tym razem chodziło jedynie o długopis, lecz następnym razem ktoś mógł

spróbować wyciągnąć broń. Czy naprawdę szef pragnął czekać, by się upewnić? Lepiej przeprosić za popełniony błąd, niż z jego powodu zginąć. Seif ochoczo zgodził się z tym poglądem.

Jego ochroniarze pełnili przede wszystkim rolę straszaków. Seif bardzo często miał do czynienia z podejrzanymi osobnikami, z których część była na tyle nieokrzesana, że próbowała wynegocjować korzystniejsze warunki umowy drogą zastraszenia - a przynajmniej próbowałyby, gdyby Seif nie poruszał się w towarzystwie dwóch potężnych skurczybyków.

Gdyby zaś pewnego dnia jakaś szumowina z jednej z europejskich mafii zorientowała się, że księgowy podkrada im pieniądze, żeby się do niego dostać, wprawdzie musieliby się przedrzeć przez ponad dwieście kilogramów wściekłego mięsa.

Żaden z jego ochroniarzy nie darzył szczególną sympatią budynku, w którym znajdowała się firma. Zaprojektowano go z myślą przede wszystkim o komforcie użytkowników, nie zwracając uwagi na kwestie bezpieczeństwa. Przez to parking pełen był

martwych punktów, na które trzeba było szczególnie uważać. I tak jednak obiekt był o wiele bezpieczniejszy aniżeli jakkolwiek odkryty plac parkingowy. Tutaj obstawa miała szansę ochronić swojego klienta.

Tak przynajmniej sądzili.

Srebrna furgonetka marki Mercedes stała w najbezpieczniejszym miejscu na odległym krańcu garażu. Zaparkowano ją tyłem do ściany, aby w niewralgicznym momencie, jakim jest wsiadanie, podróżujący na tylnym siedzeniu Seif miał za plecami ścianę, a przed sobą ochroniarzy. Jednocześnie takie ustawienie pozwalało na szybszy wyjazd z parkingu. Co więcej, pojazd był opancerzony, a wszystkie okna wyposażono w kuloodporne szyby wyprodukowane w specjalizującej się w tym firmie z Niemiec.

Seif przycisnął telefon komórkowy do ucha i przełknął ślinę, wsłuchując się w głos Isabelli, która z soczystymi szczegółami opisywała, co dokładnie mu robi, gdy ten wreszcie dotrze do jej mieszkania. Ze względu na słaby słuch podkreślił głośność w aparacie, przez co ochroniarze słyszeli każde dosadne słówko i jęki, jakie wydawała z siebie Isabella. Fakt ten utrzymywali w tajemnicy, poruszając temat tylko w rozmowach między sobą.

Pierwszy z obstawy otworzył samochód elektronicznym brelokiem, podczas gdy Seif wraz z drugim czekali oddaleni o parę metrów. Goryl stojący przy drzwiach kierowcy zajrzał

przez szybę do środka, a następnie przypadł do ziemi, by sprawdzić, czy do podwozia nie doczepiono ładunku wybuchowego. Robił to już setki razy. Było to nużące. I była to strata czasu.

We wnętrzu garażu rozległ się stłumiony odgłos wystrzałów.

Ochroniarz z krzykiem padł na brzuch.

Po sekundzie bezruchu drugi ochroniarz sięgnął po broń, z trudem starając się wyszarpnąć ją spod garnituru. Marynarka ściśle przywierała do klatki piersiowej, by lepiej wyeksponować muskulaturę.

Ryknął w stronę Seifa.

- Na ziemię, na ziemię!

Ochroniarz przyklęknął na jedno kolano, niepewny kierunku, z którego padły strzały.

W pierwszym odruchu zaczął wypatrywać zamachowca gdzieś za nimi.

Seif, niezdolny zareagować, z otwartymi ustami stał po prostu w miejscu i gapił się na rannego goryla. Ten leżał na betonie twarzą do ziemi, wierzgając prawą ręką i nogą, podczas gdy jego lewe kończyny, rozciągnięte wzdłuż furgonetki, pogrążone były w dziwnym bezruchu. Seif zdał sobie sprawę, że gość został trafiony zarówno w ramię, jak i w nogę. Był

zbyt duży i ciężki oraz za bardzo paraliżował go ból, by mógł się teraz podnieść. Usiłował

sięgnąć zdrową ręką za pazuchę, aby wyciągnąć broń, jego ramię było jednak zbyt grube i nie mógł go przecisnąć pod własną klatką piersiową. Starał się coś powiedzieć, lecz pośród wydawanych okrzyków nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Po posadzce powoli rozlewała się połyskująca krew.

Drugi ochroniarz kurczowo trzymał swój pistolet. Nerwowo rozglądał się na boki, oceniając otoczenie i prawdopodobne punkty, z których ktoś mógł oddać strzały. Nie licząc zaparkowanych samochodów, garaż był zupełnie pusty. Ani śladu zamachowców. Gdzie się do cholery podziali?

Skinął dłonią do Seifa.

- Proszę wracać do windy, już ja...

Wrzasnął, trafiony w tym momencie w kolano, udo i kostkę. Pociski zgruchotały mu kości, jednocześnie rozbryzgując po betonie fontanny krwi. Upadł do tyłu, zapominając o czterdziestce piątce i zaciskając dłonie na krwawej miazdze, jaka została z jego nóg.

Seif w dalszym ciągu się nie poruszył. Przerażony patrzył, jak jego dwaj ochroniarze wiją się na posadzce. Usłyszał hałas i zobaczył, jak spod mercedesa wysuwa się i podnosi mężczyzna w garniturze. Na sobie miał czarną maskę narciarską, a w dłoni pistolet z tłumikiem.

Seif nadal trzymał przy uchu telefon, w którym nieprzerwanie trąkotała jego namiętna kochanka. Wzrok wbił w napastnika. Nie mógł się ruszyć ani odezwać, nie był w stanie nawet zebrać myśli. Właśnie po to wynajął obstawę, by go uchroniła przed tego typu sytuacją.

Nigdy jednak na poważnie nie rozważał możliwości, że do czegoś podobnego może w ogóle dojść.

Uzbrojony mężczyzna przeszedł obok leżącego twarzą do ziemi ochroniarza, który zrezygnował z prób wydobycia broni i zmarł w bezruchu, wychyliwszy głowę, jak tylko mógł, by śledzić rozwój wydarzeń. Drugi z goryli został tam, gdzie był, rozłożony na łopatki i z twarzą wykręconą bólem. Jego spodnie przesiąkały krwią. Lewą dłonią starał się utrzymać w jednym kawałku roztrzaskane kolano, podczas gdy prawą próbował sięgnąć po swój pistolet.

*

Wiktor powoli ruszył w kierunku Seifa, na sekundę zwracając broń w stronę faceta, który usiłował sięgnąć do czterdziestki piątki.

- Nie bądź głupi - rzucił.

Ochroniarz wycofał dłoń, a Wiktor kopnął pistolet i przeszedł dalej. Zatrzymał się bezpośrednio przed Seifem i wyciągnął pistolet przed siebie. Czubek tłumika znajdował się teraz parę centymetrów od twarzy przerażonego księgowego.

Nie owijał w bawełnę.

- Komputer.

Nawet nie mrugnawszy, Seif bez wahania uniósł lewe ramię w stronę napastnika.

Prawą dłonią wciąż trzymał przy uchu telefon.

- Hasło?

- Isabella.

Seif zalewał się potem. Jakimś cudem zdołał się odezwać.

- To wszystko, czego chcesz?

Na drugim końcu linii jego kochanka uznała, że mówi do niej. Jęknęła jeszcze głośniejsze. Wolną ręką odebrał laptopa, ani na chwilę nie spuszczał Seifa z oczu. Uznał, że równie dobrze może odpowiedzieć.

- A jak sądzisz?

Mężczyzna sapnął i zadrżał, nie rozumiejąc. Telefon wypadł mu z dłoni.

- Nie rób krzywdy mojej rodzinie.

- Nie zrobiłbym jej krzywdy - odparł bez wahania.

Dał księgowemu chwilę na przetrwanie uwagi, cofnął się, opuścił broń i się odwrócił, przez cały czas obserwując odbicie Seifa oraz ochroniarza w karoserii mercedesa.

Nie próbowali żadnych sztuczek. Z komórki księgowego wydobywały się jęki. Wiktor zrobił

jeszcze jeden krok, po czym zatrzymał się, odwrócił i strzelił do aparatu. Telefon rozpadł się na kawałki.

Uciszenie kochanki Seifa za cenę pocisku uznał za dobrą inwestycję.

ROZDZIAŁ 56

AMSTERDAM, HOLANDIA

ŚRODA 21:37 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Hotel cieszył się popularnością wśród brytyjskich turystów i zatrudniał głównie angielską obsługę. Kilka pokoi na tym samym piętrze zajmowali uczestnicy wieczoru kawalerskiego, którzy bynajmniej nie byli skłonni uszanować ciszy i spokoju innych gości.

Wiktorowi w pełni to odpowiadało. Im więcej byli hałaśliwi inni mieszkańcy hotelu, tym mniej uwagi zwracano na niego i dziewczynę.

Amsterdam to pierwsze miasto, o jakim pomyślał gdy trzeba było opuścić Wielką Brytanię. Przez cały rok liczne samoloty i promy przerzucały przez Morze Północne niezliczone rzesze Brytyjczyków. Pośród takiego tłumu łatwo było wymknąć się z kraju.

Przed udaniem się na lotnisko opróżnili walizkę na laptopa należącą do Seifa. Znajdował się w niej komputer wraz z akcesoriami, kilka gazet, a także film pod tytułem *Niegrzeczne uczennice zasłużyły na karę*.

- Widziałam to - odezwała się pośredniczka. - Nęcza.

Musiał się bardzo wysilić, by powstrzymać się od uśmiechu.

- Wiedziałaś - stwierdziła.

- Co wiedziałaś?

- Ze potrafisz się uśmiechnąć.

- Nie przyzwyczajaj się.

- Nie zamierzam.

W jej oczach dojrzał figlarne iskierki. Spodobało mu się to.

Oboje zdążyli przespać się trochę w ciągu dnia, teraz zaś on stał na warcie, a ona pracowała nad komputerem Seifa. Na twardym dysku znajdowały się tysiące plików, pełne zestawienia finansowe dziesiątek firm, ogrom informacji. Istny elektroniczny labirynt.

- Szukamy pieniędzy - wyjaśniła pośredniczka. - Przelewów pieniężnych. Pieniądze, którymi Seif nam zapłacił, przysły do niego od jednej z tych firm - wskazała długą listę na ekranie. - Rejestry jednej z nich będą odpowiadały twoim poprzednim zleceniom. Zawsze płacono ci w ten sam sposób, pół z góry, pół po robocie?

- Zgadza się.

- A zatem szukamy par płatności.

- Przeszukanie wszystkich tych plików potrwa wiele godzin.

- Owszem, potrwa - przyznała. - Chcesz to zrobić za mnie?

Wiktor potrząsnął głową.

- Pozostawię to w twoich zdolnych rękach.

- Dzięki.

Stanął obok okna, wyglądając w ciemną noc poprzez niewielką szparę między zasłoną a ścianą. Miał stąd widok na wjazd na mały parking i obserwował przyjeżdżające samochody oraz wysiadających z nich ludzi. Były to w większości pary i nie dostrzegł nikogo, kto mógłby stanowić potencjalne zagrożenie. Nie miał przy sobie broni i ta myśl nie dawała mu spokoju. Jeśli ktokolwiek spróbowałby ich dopaść, miał do obrony tylko własne dłonie.

Na zewnątrz Amsterdam tętnił życiem. Wąskie uliczki wypełniały tłumy ludzi, którzy pili, palili i się zabawiali. W pobliżu było kilka coffee-shopów, w których prowadzono legalną sprzedaż marihuany, toteż przez otwarte okno Wiktor wyczuwał unoszący się w powietrzu zapach narkotyku. Przypomniało mu to długie nocne eskapady podczas manewrów.

- Spróbuj się rozluźnić - powiedziała, stając za nim. - Stresujesz mnie już samym takim czatowaniem.

- Nie mogę się rozluźnić.

- Dlaczego nie? - spytała. - Chyba nie wierzysz, że ktoś by nas tutaj próbował dopaść.

Nie odwrócił się.

- Każdego dnia spodziewam się, że ktoś mnie zabije - oświadczył. - Ponieważ w dniu, kiedy się tego nie będę spodziewał, to właśnie nastąpi.

Głośno wypuściła z siebie powietrze.

- To może zastanów się nad tym, w jaki sposób zarabiasz na życie.

- To, jak ja zarabiam na życie, ratuje w tym momencie twoją skórę.

Wróciła do przerwanej pracy.

Ta część Amsterdamu, oddalona od cieszącej się złą sławą dzielnicy czerwonych latarni, nawet w zimie była przepiękna. Kanały i stara zabudowa miasta sprawiały, że czyniło ono przytulne i zachęcające wrażenie. Parę razy był już w Amsterdamie, zawsze jednak tylko przejazdem, nie zatrzymując się na dłużej. Postanowił, że gdy cała sprawa dobiegnie wreszcie końca, postara się przyjechać tu ponownie.

Stukot klawiatury laptopa od dwóch godzin tworzył monotonne tło akustyczne.

Imprezowicze z wieczoru kawalerskiego nareszcie postanowili wyruszyć w miasto.

Zauważył, że cichy odgłos naciskanych klawiszy brzmi kojąco i rozluźniająco, a jego powieki robią się coraz cięższe.

Co jakiś czas kątem oka dostrzegał, że pośredniczka podnosi wzrok znad komputera i patrzy w jego stronę, tym razem jednak bez widocznej niegdyś czujności. Ostatnimi czasy dziewczyna stała się o wiele bardziej rozmowna, pomimo że on sam nieczęsto jej odpowiadał.

Kiedy teraz na niego spoglądała, w jej spojrzeniu nie było widać strachu, aczkolwiek nie wyzbyła się jeszcze do końca pewnej ostrożności. Nie przejmowała się już tak bardzo tym, co mógłby zrobić i czuła się w jego obecności swobodniej. On nie mógł niestety powiedzieć tego samego o sobie.

Obiecał sobie, że jeśli sytuacja go do tego zmusi, zabije ją w możliwie bezbolesny sposób. Tym, co dotychczas zrobiła, przynajmniej na tyle sobie zasłużyła.

Zauważył, że ludzie na ulicy zdawali się stapiać jedni z drugimi, a kolory zaczęły się zacierać. Stukot klawiatury przycichł. Zdał sobie sprawę, że głowa opadła mu do przodu i podniósł ją z powrotem.

- Potrzebuję powietrza.

Skierował się do drzwi.

- W porządku - powiedziała pośredniczka, podnosząc wzrok znad komputera.

Po wyjściu z hotelu z ulgą odetchnął nocnym powietrzem. Na ulicy pełnej ludzi panował gwar. Pozwolił ponieść się tłumowi, aż natrafił na odpowiadający mu bar. Wszedł po butelkę piwa i ruszył z nią, niespiesznie popijając, w stronę hotelu. Chciałby pochodzić trochę dłużej i pobyć sam ze sobą, dla ich wspólnego bezpieczeństwa nie mógł jednak na dłużej jej zostawiać samej.

Posiadanie partnera, o ile mógł tak określić zaistniałą sytuację, nie było czymś, do czego miałby prędko się przyzwyczać. Tak długo już działał w samotności, że przez tak bliską współpracę z kimś innym zdawało mu się, że brakuje mu powietrza i przestrzeni. Dla dziewczyny też było to coś nowego. Jej umiejętności terenowe w najlepszym wypadku można było określić mianem podstawowych. Cały czas musiał na nią uważać, co utrudniało mu dbanie o własne bezpieczeństwo. Fakt, że była kobietą - i to atrakcyjną - bynajmniej sprawy nie ułatwiał. Stanowiła element rozprasający, do jakiego nie był przyzwyczajony.

Pociągnął łyk piwa i odsunął się na bok przed trójką upojonych koktajlami dziewczyn, które chwiejnym krokiem posuwały się po chodniku. Przechodząc obok, rzuciły pod jego adresem kilka docinków, a jedna z nich złożyła mu niezbyt wyszukaną propozycję.

Rozbawiło go to i tylko uniósł brew. Towarzystwo poszło dalej, śmiejąc się i potykając.

Wróciwszy do hotelu spojrzął na zegar i zdał sobie sprawę, że spacer zajął mu zdecydowanie więcej czasu, niż planował. Schodami wszedł na drugie piętro i zbliżył się do zajmowanego przez nich pokoju. Każde z nich miało elektroniczny klucz i uzgodnili, że przed wejściem należy jednokrotnie zapukać i chwilę odczekać. Tak właśnie postąpił, po czym otworzył drzwi. Dziewczyna podniosła wzrok znad komputera i ich spojrzenia się spotkały.

Posłała mu półśmiech. Poczul się niezręcznie.

- Ile to jeszcze zajmie?

Jego bezceremonialny ton nie przypadł jej do gustu.

- Nie wymagam od ciebie, byś tłumaczył mi swoje metody działania. Tego samego oczekuję od ciebie.

Skierował się ku łazience.

- Widzę, że zaczynasz nabierać wprawy.

Odpowiedziała równie ostro.

- A ja, że rodzi się w tobie poczucie humoru.

Mężczyzna mimowolnie uśmiechnął się na chwilę, wiedząc, że ona tego nie zauważy, szybko jednak sobie przypomniał, że dziewczyna stanowiła jedynie narzędzie. Nic więcej.

Tylko środek na drodze do celu, jakim było jego własne przetrwanie. Nie różniła się w tym od pistoletu. Była przydatna, lecz gdy tylko ową przydatność straci, należało się jej pozbyć.

Myślenie o niej w jakimkolwiek innym kontekście nie przyniosłoby żadnego pożytku.

- Długo cię nie było - zauważyła.

Spojrzał w swoje odbicie.

- Strzeliłem sobie jedno piwo.

- Chyba żartujesz - odpowiedziała.

Wytarł twarz ręcznikiem.

- Ja nigdy nie żartuję.

- Nie sądziłam, że wy pijacie alkohol.

- Za dużo filmów się naoglądałaś.

Powiedziała coś jeszcze, on jednak tego nie usłyszał. Zamknął drzwi od łazienki i odkręcił kran przy wannie. Szybko się wykąpał, po czym wysuszony i ubrany wrócił do sypialni.

Zauważył, że pośredniczka z rękami złożonymi za głową rozłożyła się w fotelu. Na jej ustach gościł swobodny uśmiech, z którym było jej do twarzy.

- Znalazłam - ogłosiła bez zbędnych wstępów. - Seif otrzymał pieniądze od instytucji ukrywającej się pod nazwą Olympus Trading.

- Skąd ta pewność?

- Olympus dokonał niedawno dość dużych przelewów na konto Seifa. Ostatni trafił do niego na tydzień przed tym, jak zabiłeś Ozolsa.

- A pozostałe? - spytał, widząc już, dokąd zmierza jej tok rozumowania. - Jakie zlecenie zrealizowałaś na miesiąc przed Ozolsem?

- Zabiłem handlarza bronią w Szwecji.

- Seif otrzymał wtedy dwie płatności, jedną mniej więcej na tydzień przed śmiercią gościa, drugą, na identyczną kwotę, tydzień po zabójstwie. Mam ciągnąć dalej?

Potrząsnął głową.

Pośredniczka kontynuowała.

- Czymkolwiek zajmuje się Olympus Trading, służy jednocześnie za przykrywkę dla ludzi z CIA, z którymi mamy akurat do czynienia.

- Taki zaskórniak.

- W rzeczy samej. Do opłacania nielegalnych operacji.

- Możliwe, że firma istnieje tylko na papierze.

- Na moje oko wygląda autentycznie. Prawdziwa, funkcjonująca firma stanowi o wiele lepszą pralnię pieniędzy niż przedsiębiorstwo-widmo.

Poczuł zadowolenie i radość. Wiedział, że są o krok bliżej zakończenia całej tej afery.

Nie dał jednak tego po sobie poznać.

- Jutro się stąd zwijamy - oświadczył. - Dokąd?

- Ujmijmy to tak - stwierdziła pośredniczka. - Trochę opalenizny dobrze ci zrobi.

ROZDZIAŁ 57

WASZYNGTON

DYSTRYKT KOLUMBII, STANY ZJEDNOCZONE

ŚRODA 19:40 CZASU WSCHODNIEGO

Większość znanych Fergusonowi rówieśników zaczynała w pełni odczuwać ciężar swego wieku, lecz on sam, pomimo

sześćdziesiątki na karku, czuł się równie zdrowo i sprawnie, jak wtedy, gdy miał lat czterdzieści parę. Możliwe, że wraz z upływem lat stracił

niewiele na wadze, nic jednak nie wskazywało, by w najbliższym czasie jego organizm miał

zacząć nie domagać. Ferguson zamierzał cieszyć się długą i spokojną emeryturą, a przy odrobinie szczęścia emerytura ta miała być dostateczna. Oczami wyobraźni widział już, jak leniuchuje na plaży na Seszelach, zaś jego jedynym zmartwieniem jest uzyskanie równej opalenizny.

Wszystko to zależało, rzecz jasna, od delikatnej kwestii uprzątnięcia śladów po nieudanej nielegalnej akcji. Wydarzenia, do jakich doszło podczas ostatnich dziesięciu dni, nie zdołały sprawić, by wpadł on w panikę. W dotychczasowej karierze nieraz stawiał czoła pociskom tak w przenośni, jak i dosłownie, toteż w zaistniałej sytuacji widział tylko kolejną niedogodność, od której będzie musiał się wywinąć. Cały czas trzymał się o krok przed tymi, którzy mogliby go zdemaskować. I zamierzał tę przewagę utrzymać.

Do mauzoleum czekała go krótka przechadzka. Widział je z bliska już setki razy, niemniej zawsze wywierało na nim potężne wrażenie. Ogromna budowla w stylu greckim, skrywająca pomnik Abrahama Lincolna, była jasno oświetlona i pomimo że dochodziła już ósma, na schodach wciąż kłębiły się dziesiątki osób.

Ferguson począł wspinać się po stopniach, wypatrując Sykesa. Nie był go w stanie dostrzec, lecz uznał, że wynika to ze środków ostrożności, jakie obydwaj przedsięwzięli.

Wreszcie, bardziej zdyszany niż by się tego spodziewał, dotarł na szczyt schodów. Nadal ani śladu Sykesa. Ferguson spojrzął na zegarek. Da mu najwyżej pięć minut, potem zadzwoni na jego komórkę.

Nie minęły trzy minuty, gdy go dojrzał. Facet wyglądał na autentycznie przestraszonego. Dla starego agenta stało się jasne, że niewłaściwie ocenił wytrzymałość Sykesa. Jego umysł był wystarczająco bystry i przenikliwy do pracy w wywiadzie, brakło mu jednak charakteru, by móc uczestniczyć w operacjach wiążących się z autentycznym ryzykiem.

- Przyjemny wieczór - zauważył Ferguson, gdy Sykes podszedł do niego.

Młodszy z agentów był wyższy, potężniejszej budowy i miał na sobie gruby płaszcz, a mimo to wyglądało, że chłód wieczoru doskwiera mu o wiele bardziej niż Fergusonowi.

- Naprawdę?

Ferguson zaczął iść przed siebie, a Sykes automatycznie ruszył obok.

- Zaistniała sytuacja, o której powinien pan wiedzieć, panie Sykes.

Młody agent zatarł dłonie.

- Co za sytuacja?

- Elliot Seif zginął dzisiaj.

- I? To chyba dobra wiadomość, prawda? O cholera, czyżby Reed nawalił? - Nie, oczywiście, że nie. Policja utrzymuje, że Seif zastrzelił żonę, a następnie siebie. Ot, tragiczna w skutkach sprzeczka domowa.

Po chwili milczenia Sykes odezwał się ponownie.

- I co potem?

- Dzień wcześniej został okradziony.

- Okradziony?

Ferguson kiwnął głową.

- Ktoś postrzelił jego ochroniarzy i odebrał mu laptopa.

Sykes przez kilka sekund analizował otrzymaną informację.

- Tesseract?

- Sądzę, że to uzasadnione przypuszczenie.

- Co się, kurwa, stało?

Ferguson kroczył niespiesznie przed siebie. Nim przemówił, jego małe oczy omiotły otoczenie w poszukiwaniu kogokolwiek, kto wyglądałby podejrzanie.

- Jeśli wierzyć temu, co zawiera raport policji, wygląda, że ktoś przedostał się do Seifa na podziemnym parkingu pod budynkiem jego firmy. Napastnik miał na twarzy maskę. Brak świadków, kamery bezpieczeństwa zostały zawczasu unieszkodliwione, zaś obaj ochroniarze zostali postrzeleni. No a Seif zgłosił, że ukradziono mu laptopa. Nic więcej, ani portfela, ani zegarka, tylko laptopa - Sykes nie odpowiedział ani słowem. Ferguson zatrzymał się i zwrócił

w jego stronę. - Co mógł on o nim wiedzieć?

Młody agent wyglądał na zmieszanego, przez sekundę czy dwie nie mogąc wydobyć słowa.

- Nie bardzo rozumiem, co ma pan na myśli.

- Tesseract nie okradł go dla zabicia czasu ani nie zabrał sobie jego laptopa na pamiątkę. Ukradł go z jakiegoś powodu. Co też mogą z nim zrobić?

Sykes pokręcił głową.

- Nie rozumiem, po co w ogóle zabrał się za Seifa. Mówił pan, że zgłoszą się do nas, aby spróbować przekazać nam pendrive'a i się z nami dogadać.

- Cóż - zaczął Ferguson. - Najwyraźniej zdecydowali się zrobić coś innego.

- To co w takim razie, do cholery, robią? Nie rozumiem. To nie ma w ogóle sensu.

Stary westchnął.

- Niech pan ruszy głową, panie Sykes. Czyż to nie jest oczywiste?

- Co? Co miałyby być oczywiste?

- Starają się nas dopaść.

Sykesowi opadła szczeka.

- Co takiego?

- Jeśli chcieliby spróbować przehandlować pendrive'a za gwarancję zachowania życia, już by to zrobili. Ale tego nie zrobili.

- Ale to nie znaczy, że...

- Tesseract nie mógłby się dowiedzieć o Seifie bez pomocy Sumner - przerwał mu Ferguson. - A jedyny logiczny powód, dla którego chcieliby wspólnie dopaść Seifa, to myśl, że zdobędą dzięki temu informacje - coś z jego komputera, co pozwoli im nas dopaść. Tak więc pytam pana ponownie, cóż takiego mogli tam znaleźć?

Sykes w tym momencie nie myślał, a jedynie odreagowywał, wpadając w panikę.

- O kurwa.

- Będzie pan łaskaw się opanować.

- Jak niby mam się uspokoić, skoro właśnie się dowiedziałem, że figuruję na szczycie listy celów zawodowego zabójcy? Nie życzę sobie, by ten pieprzony socjopata mnie ścigał.

Czyżby pan zapomniał, że tylko przez ostatni tydzień gość zabił koło tuzina osób, a to tylko wliczając te, o których wiemy. Nie chcę, kurwa, okazać się jego szczęśliwą trzynastką.

Młodszy agent bezustannie rozglądał się na boki, tak jakby spodziewał się, że Tesseract czai się gdzieś w cieniu. Ferguson ogarniał zwykły wstyd na myśl, że choć przez chwilę uważał Sykesa za kogoś odpowiedniego do tego typu operacji. Mówiąc wprost, stary znał eunuchów, którzy mieli większe jaja od Sykesa.

Już miał się odezwać, gdy jakaś para przeszła tuż obok nich. Odprowadził młodszego kolegę kawałek dalej, aż wyszli poza zasięg słuchu innych.

- Musieli opracować jakiś sposób na wyśledzenie nas. Dlatego ukradli Seifowi komputer. Pomyśl, po co mieliby to zrobić?

- Seif to tylko księgowy. Zajmował się transakcjami związanymi z kontami używanymi przez Tesseracta. Niczego nie wie.

- O coś musiało im chodzić - nalegał Ferguson.

Dopiero po paru sekundach Sykes wydobył z siebie pomruk.

- Aha.

- Co?

- Starają się pójść za pieniędzmi.

- Wyjaśnij - zażądał Ferguson.

- To jedyny ślad, jaki istnieje - wyłożył Sykes. Mówił teraz szybko. - Od jednego konta do drugiego. Seif trzymał zapewne zapisy wykonanych transakcji. Będą w stanie odkryć, skąd otrzymał pieniądze.

- A skąd je otrzymał?

- Z Olimpu.

Już i tak wyraźne bruzdy na czole Ferguson'a tylko się pogłębiły.

- Zakładam, że nie masz na myśli siedziby greckich bogów.

- Z Olympus Trading - poprawił się Sykes. - Chodzi o jedną ze spółek-przykrywek, z których korzystamy.

- I co to jest?

- To przedsiębiorstwo importowo-eksportowe z siedzibą na Cyprze. To tylko szkielet: paru pracowników, budynek, nieco przestrzeni magazynowej. W jego księgach prano pieniądze przesyłane później Seifowi.

Ferguson przez kilka sekund analizował informację.

- Co mogą na tej podstawie odkryć w najgorszym wypadku?

- Sądzę, że nawet w najgorszym wypadku nie odkryją absolutnie nic.

- Sądzi pan?

- Wiem - Sykes zabrzmiał niemalże pewnie. - Nie ma tam niczego, co mogłoby ich na nas naprowadzić. Tylko konto za kontem. Olympus ma pewnie setki klientów. Wydobycie czegokolwiek z ich ksiąg byłoby niemożliwe.

- Jest pan tego pewien?

Skinął głową.

- Sam założyłem tę spółkę. Po tropie dokumentów prędzej trafią na księżyc i z powrotem niż do nas.

- Dobrze. Czyli nie mamy się o co martwić.

Sykes nie wydawał się całkowicie przekonany.

- Chyba że wpadli na jakiś sposób wyjaśnienia sprawy, o którym my nie pomyśleliśmy.

Ferguson go nie uspokoił. Już odchodził, gdy Sykes zawołał w jego stronę. Stary odwrócił się.

- O co chodzi?

Sykes dogonił go.

- Olympus to ślepa uliczka, ale oni o tym nie wiedzą, prawda?

- Nie jestem pewien, czy nadążam.

- Czyż to nie jest oczywiste?

Wcześniej to Ferguson zwrócił się tymi słowami do Sykesa, toteż teraz wyczuł w jego tonie samozadowolenie. Fakt posiadania wiedzy i władzy wyraźnie mu odpowiadał.

- Nie - odrzekł Ferguson. - Nie jest.

- Chodzi mi o to - wyjaśnił Sykes, pozwalając sobie na więcej niż tylko nutkę arogancji - że jeśli trafili do Seifa, pójdą też do Olympusa.

Ferguson skinął głową, pojawiając i doceniwszy tok rozumowania rozmówcy.

- Bardzo dobrze, panie Sykes. Naprawdę bardzo dobrze.

ROZDZIAŁ 58

LONDYN, WIELKA BRYTANIA

CZWARTEK 04:02 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Reed stał tuż przy oknie swojego pokoju hotelowego, wpatrując się w miasto przez szparę między ścianą a zasłoną. W srebrze szklanej tafli widział odbicie bladego ciała i rozłożonych na pościeli nóg. Dziewczyna leżała odwrócona od niego, twarzą w stronę drzwi, a złote pukle jej włosów rozlewały się po poduszce. Rozproszone światło wygładzało nieliczne niedoskonałości jej ciała. Nie licząc przewrócenia się na drugi bok, nie poruszyła się, odkąd wstał z łóżka. W odbiciu w szybie obserwował, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada - z przerwami, nieregularnie. Nie spała.

Upił łyk drinka i dalej się w nią wpatrywał. W ciszy grali w tę grę już od dłuższego czasu - ona udawała, że śpi, on zaś, że na nią nie patrzy. Reed powoli napiął mięśnie ramion od barków po nadgarstki.

Kiedy wreszcie przerwał panującą ciszę, jej głos ledwo dał się słyszeć.

- Czemu na mnie patrzysz?

Reed wziął kolejnego łyka.

- Czemu pozwalasz, bym na ciebie patrzył?

Obróciła głowę, aby spojrzeć na niego przez swoje smukłe ramię.

- Chcesz mnie przelecieć jeszcze raz?

I pomyśleć, że gdy przyszła okazywała taką elegancję, Reed potrząsnął głową. Obrócił

się i oparł o ścianę obok okna. Na swych nagich plecach poczuł miły chłód.

- Uprzejmie odmówię.

Zaśmiała się.

- Uwielbiam, jak gadacie w ten sposób.

Wydawało mu się komiczne, że jego zaakcentowana angielskość robiła na niej wrażenie. Dziewczkę twierdziło, że ma dwadzieścia jeden lat, było jednak bez wątpienia młodsze. Australijka. Odczuwaną wzdargę zachował dla siebie i skwitował jej uwagę nieznacznym skinieniem głowy. Wypełniwszy londyńskie zlecenie, Reed postanowił pozostać w mieście w oczekiwaniu na kolejne wskazówki. Dziewczyna pomagała mu w zabiciu czasu.

Sięgnęła po pilota i włączyła telewizję.

- Nie masz nic przeciwko?

Reed pokręcił przecząco głową.

- Nie, proszę bardzo.

Skakała po kanałach, każdemu poświęcając zaledwie pół sekundy. W jej oczach widać było zafascynowanie błyskającymi obrazkami i wciąż nowymi dźwiękami. Reed w cichej konsternacji przypatrywał się jej prostej rozrywce.

Przycmioną poświatę rozświetlił nagle niebieski błysk, który natychmiast zwrócił jego uwagę. Reed podszedł w stronę jego źródła i podniósł z szafki położonego tam smartfona.

Otworzył otrzymanego e-maila. Dwa razy uważnie przeczytał wiadomość, po czym otworzył

załączone pliki. Postanowił je przejrzeć zaraz po wyjściu z hotelu. Zaczął zbierać swoje rzeczy z podłogi.

- Muszę już iść - rzucił.

Ścisnęła ramionami swe małe piersi, a na jej twarzy pojawił się grymas.

- Na pewno?

- Niestety, tak.

Ku jego zaskoczeniu dziewczyna zdawała się być autentycznie rozczarowana. Usiadła na łóżku, by móc go lepiej obserwować, gdy się ubierał.

- Ale dlaczego?

- Robota.

- Ale jest już późno. Musisz iść?

- Obawiam się, że tak.

Westchnęła.

- Nawet mi nie powiedziałaś, co takiego robisz.

Odpowiedź, jakiej udzielił, tchnęła szczerością.

- Rozwiązuję problemy.

ROZDZIAŁ 59

ROSTÓW, ROSJA

CZWARTEK 17:50 CZASU MOSKIEWSKIEGO

W starych czasach do wprawienia operacji w ruch wystarczyła wola wysoko postawionego oficera. Dopóki radzieckie imperium mocno się trzymało, KGB działało szybko i zdecydowanie, odpowiadając jedynie przed władzą z najwyższego szczebla. Teraz sprawy toczyły się o wiele wolniej, pomyślał gorzko Aniskowacz, zaś możliwości SWR

stanowiły ledwie cień dawnej potęgi KGB. W Rosji dwudziestego pierwszego wieku, podobnie jak i na Zachodzie, wszelkie sztaby i kierownictwa ginęły pod nawałem biurokracji.

Wysoki pułkownik SWR zatarł schowane w rękawiczkach dłonie w oczekiwaniu na zakończenie załadunku samolotu. Żołnierze o ponurych spojrzeniach wnosili na jego pokład plecaki pełne wyposażenia: sprzętu do nurkowania, broni, sprzętu ratunkowego i materiałów wybuchowych. Był to Iljuszyn Il-76, wysłużony koń pociągowy radzieckich, a teraz rosyjskich sił powietrznych. Ta konkretna maszyna należała do SWR i wykorzystywana była jedynie do celów tej organizacji. Spod cienkiej warstwy nałożonej farby wciąż przebijały zamalowane oznaczenia wojskowe. Sierp i młot, choć przyblakłe, nadal widoczne.

W młodości Aniskowacz na własne oczy obserwował, jak z płuc jego ukochanego narodu wydobywa się ostatnie tchnienie komunizmu. System ów może istotnie nie działał tak, jak zakładano, ale dzięki niemu ten kraj miał przynajmniej własną ideologię i wyjątkowo silnie rozwiniętą tożsamość narodową. Teraz zaś Rosja była zaledwie biednym, adoptowanym przez kapitalistyczny świat dzieckiem, które stara się postawić pierwszy samodzielny krok.

Jeżeli porównać Rosję do drzewa, to dni wygrzewania się w promieniach letniego słońca już minęły, teraz zaś nadeszły siarczyste mrozy zimy. O wiosennym odrodzeniu nie było co jeszcze nawet marzyć. Aniskowacz miał nadzieję, że dożyje dnia, gdy Rosja odzyska swoje prawowite miejsce na czele całego świata.

Stał i obserwował w ciszy. Nic też nie musiał mówić. Żołnierze nie potrzebowali jego poleceń. Byli członkami Specnazu, jednostki specjalnej rosyjskich sił zbrojnych, lecz każdy, podobnie jak sam Aniskowacz, ubrany był po cywilnemu. Każdy z członków sześciuosobowej drużyny został wybrany ze względu na wyjątkowe zdolności zarówno w nurkowaniu, jak i w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi. Każdy z nich był wybitnie wyszkolonym i doskonale zdyscyplinowanym wojownikiem, obeznanym nie tylko z metodami walki, lecz także z zagadnieniami planistyczno-logistycznymi. Po tym, jak Aniskowacz poinformował ekipę o celu misji, żołnierze sami dobrali najodpowiedniejszy sprzęt i zaopatrzenie.

SWR nie sprawowała zwierzchnictwa nad Specnazem, który stanowił pułk armii rosyjskiej, lecz od czasu do czasu elitarni żołnierze tej formacji byli wypożyczani wywiadowi na poszczególne misje. Zazwyczaj wszelkie tego typu operacje nie pojawiały się później w zestawieniu przebiegu służby ich uczestników. GRU, czyli służba wywiadowcza sił

zbrojnych, a zarazem zaciekły rywal SWR, często wiedziało o tych działaniach, tym razem jednak za sprawą wpływów Prudnikowa wieści o operacji do niego nie dotarły.

Omijanie zwykłych kanałów komunikacji znacznie opóźniało całe przedsięwzięcie.

Aniskowacz, gdyby to zależało od niego, wyleciałby do Tanzanii już co najmniej dwadzieścia cztery godziny temu, lecz Prudnikow wolał dmuchać na zimne. Ostatnimi czasy sparzył się i nie chciał drugi raz popełnić podobnego błędu, nawet jeśli Aniskowacz zapewniał, że misja zakończy się całkowitym sukcesem. Zorganizowanie za plecami GRU ekipy ze Specnazu oraz samolotu dla przetransportowania sprzętu zajęło trzy pełne dni. Nim maszyna będzie gotowa do startu, minie jeszcze jeden.

Wiąjący od wschodu wiatr kęsał Aniskowacza w twarz, szczególnie dając się we znaki jego zranionemu prawemu policzkowi. Baza wystawiona była na pastwę żywiołów. Składała się z pojedynczego pasa startowego oraz trzech hangarów, będących pozostałościami radzieckiej bazy lotniczej, dawno temu opuszczonymi przez wojsko, teraz zaś użytkowanymi prywatnie. Tego dnia jedynym klientem było SWR.

Niebawem samolot był już załadowany. Wyposażenie, choć zbyt ciężkie, by mogli je nosić poszczególni żołnierze, nie wymagało użycia samolotu o pojemności ładunkowej czterdziestu ton. Jednakże tylko taką maszyną można było

przetransportować sprzęt przez wiele granic i do punktu przeznaczenia.

Samolot oficjalnie wybierał się do Tanzanii z misją humanitarną, aby dostarczyć zaopatrzenie medyczne organizacjom działającym w sąsiedniej Rwandzie. Fakt, że poza wyposażeniem niezbędnym ekipie Aniskowacza ładunek samolotu składał się z pustych skrzyń, nie miał najmniejszego znaczenia. Odpowiedni przedstawiciele tanzańskich władz otrzymają gotówkowe dodatki motywacyjne i przymkną oko na całą maskaradę.

Aniskowacz i jego ludzie planowali przedostać się do Tanzanii komercyjnymi lotami w dwóch osobnych grupach i połączyć się dopiero na miejscu. Siedmioro podróżujących razem Rosjan mogłoby wzbudzić niepożądane zainteresowanie, zwłaszcza zaś, że tylko trzech z nich mówiło w jakimkolwiek obcym języku. Pierwsza ekipa miała odebrać wyposażenie z samolotu i udać się na północ od największego miasta w kraju, Dar es Salaam. Po połączeniu się z drugą częścią komanda nastąpiłoby rozdysponowanie sprzętu. Następnie miano wypożyczyć stosowną łódź i udać się na jej pokładzie w rejon zatonięcia *Lwa*.

Jakkolwiek imponująco by to wyglądało, pułkownik nie planował bynajmniej wydobycia wszystkich pocisków. Do udowodnienia zdradzieckiej intrygi Ozolsa wystarczyło odzyskać same układy sterowania. Reszta zostałaby wraz z całą fregatą zniszczona, aby nabrać pewności, że nikt inny nie wejdzie w posiadanie rosyjskich rozwiązań technologicznych. Następnie pułkownik mógłby ujawnić w Moskwie cały spisek, jak również własną rolę w jego udaremnieniu. Plama na reputacji powstała w wyniku wpadki w Petersburgu zostałaby pięknie zmyta.

Aniskowacz chronionym przez rękawicę palcem bezwiednie podrapał się po ranie na policzku. Ból wciąż był chwilami nieznośny, lecz pułkownik pilnował, by nikt nie zauważył, jak bierze pigułki, ani też, że niekiedy cierpienie zdaje się go pokonywać. Wystarczyło już, że został oszpecony. Nie musiał jeszcze do tego okazywać swej słabości.

Podszedł do niego krępy kapral Specnazu.

- Panie pułkowniku, sprzęt załadowany i zabezpieczony.

- Bardzo dobrze.

Kapral oddalił się i dołączył do kolegów.

Choć dla powodzenia operacji nie było konieczne, by Aniskowacz towarzyszył ekipie, mimo to postanowił objąć bezpośrednie dowodzenie. W umiejętności Specnazu wierzył

bezgranicznie, jednakże jego obecność na miejscu będzie w oczach wierchuszki wyglądała korzystniej.

Samolot miał dolecieć do Tanzanii w sobotę o świcie, zaopatrzenie zaś powinno dotrzeć do miejscowości Tanga mniej więcej w południe. Zlokalizowanie zatopionej fregaty, wydobycie podzespołów i wysadzenie wraku nie powinno zająć dużo czasu.

Poruszanie mięśniami twarzy wywoływało u pułkownika przeszywający ból, dlatego też uśmiechał się tylko w myślach. Wiedział, że za kilka krótkich dni odzyska utracony honor.

ROZDZIAŁ 60

NIKOZJA, CYPR

CZWARTEK 15:49 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Po chłodzie Londynu i Amsterdamu panujące na Cyprze ciepło stanowiło miłą odmianę. Pomimo listopadowej pory temperatura utrzymywała się powyżej dwudziestu stopni Celsjusza. Lot z Amsterdamu do międzynarodowego portu lotniczego w Larnace trwał nieco ponad cztery godziny i przebiegł w przyjemnej atmosferze. Rebecca przybyła na miejsce lekko tylko zmęczona.

Zdumiewało ją, że czuła się tak dobrze. Ostatnie dziesięć dni stanowiło najbardziej stresujący okres w jej życiu, a do tego sprawy bynajmniej nie stawały się teraz łatwiejsze.

Połączyła siły z bezwzględnym zabójcą na zlecenie, aby spróbować zlikwidować ludzi starających się pozbyć jej samej, a którzy, tak się składa, są nie tylko jej byłymi pracodawcami, lecz na dodatek renegatami wewnątrz CIA. Zaledwie sześć miesięcy temu wszystko to wydawałoby się nierzeczywiste, wręcz absurdalne, teraz jednak było aż nazbyt prawdziwe. Jeszcze

niegdy nie czuła się tak zdenerwowana i wystraszona.

Tesseract, czy jakkolwiek miał on naprawdę na imię, nie pozwalał się rozgryźć. Nawet jeżeli to, co robili, budziło w nim jakiegokolwiek wątpliwości, nie dawał tego po sobie poznać.

Był absolutnie pewny siebie, a jego całkowity spokój również jej pomagał zapanować nad swoimi nerwami. O ile tylko będzie w stanie dalej wykonywać swoją część roboty, była przekonana, że on podoła swoim wyzwaniom. Ale nawet jeśli uda im się zrealizować zamierzenia, to co zrobi potem? Nim odciągnięto ją od obowiązków do tej pieprzonej tajnej operacji, przez siedem ostatnich lat pracowała w CIA jako analityk wywiadowczy. W mało prawdopodobnym wypadku, gdyby nie trafiła na ławę oskarżonych w związku z udziałem w nielegalnej operacji, i tak nie mogłaby liczyć na odzyskanie dawnej posady. Nikt z agencji drugi raz już by jej nie zaufał. Ze swojej strony nie miałyby zresztą o to żalu.

Starła się zbytnio o tym nie myśleć. Mogłaby się zająć refleksjami nad własną karierą, ale istniały pilniejsze kwestie. Jak na przykład utrzymanie się przy życiu.

Podróżowali osobno. Przed opuszczeniem Amsterdamu powiedział, że ich wrogowie będą ich szukać. Dlatego bezpieczniej będzie dostać się na miejsce dwoma różnymi lotami.

Nie była pewna, czy powinna mu wierzyć. Ostatecznie zarówno do Londynu, jak i do Amsterdamu udali się razem i w każdym z tych miejsc nocowali w jednym hotelu. Uznała, że po prostu chciał zostać sam, niczego jednak nie powiedziała. Coś, co istotnie była w stanie wyczytać z jego zachowania, to fakt, że czuł się przy niej niezręcznie. A czy przypadkiem nie powinno być raczej odwrotnie?

Hotel, w którym się zatrzymali, położony był w południowej, greckiej części miasta, podobnie zresztą jak cel ich wyprawy. Wyblakły od słońca szyld z napisem *Olympus Trading* po angielsku i po grecku znajdował się na niepozornie wyglądającym, pobielonym, acz całkowicie zaniedbanym magazynie. Okna oblepiał brud, z okiennic zaś płatami odchodziła farba.

Tesseract poprawił okulary.

- Niezwykle szykowne.

Stali w bocznej uliczce w ubogiej dzielnicy na południowym wschodzie miasta.

Oddalona od rejonów uczęszczanych przez turystów okolica pełna była magazynów i małych sklepików. Zewsząd otaczały ich straganowe budki.

Po błękitnym niebie dryfowało zaledwie parę białych obłoczków. Rebecca widziała, że jej towarzysz nie przepadał za upałem. Domyślała się, że sypiał głównie w ciągu dnia.

Oglądaniu świata pod osłoną nocy zawdzięczał bladą karnację skóry, która teraz zaczynała go już piec, zaś po sposobie, w jaki oddychał, można było poznać, że kiepsko znosił wysokie temperatury. Twarz, kark i ramiona nasmarował olejkim ochronnym, lecz i tak wyjście z cienia wiązało się dlań z dyskomfortem.

Tymczasem Rebecca rozkoszowała się pogodą. Cerę i tak miała już dość ciemną, a gdy podał jej butelkę z olejkim, od razu odstawiła ją na bok. Wystawiała nieco ciała na widok - spod spódnicy wystawały gołe nogi, odsłonięte miała również ramiona i brzuch - lecz na jego prośbę owinęła się szalem, aby zakryć dekolt. Jak powiedział, przyciągałaby zbyt wiele spojrzeń. W odpowiedzi posłała mu spojrzenie, przed którym prędko uciekł wzrokiem.

Na jej ustach zagościł przelotny uśmiech.

W tej części miasta widać było przeważnie miejscowych, krzątających się wokół

straganów z owocami i rybami. W oddali pijaczek siedział oparty o ścianę i popijał rum z butelki, zaś jakiś turysta przyglądał się brzoskwiniom na jednym ze stoisk. Chudy chłopak z wózkim pełnym starych gazet minął starca z gęstą brodą opiekającego na zardzewiałym ruszcie krewetki.

Kapelusz z szerokim rondem oraz okulary przeciwsłoneczne stanowiły dla Rebeci podstawowy kamuflaż, mogący ją uchronić przed rozpoznaniem jedynie przy pobieżnym spojrzeniu. Zgodnie z instrukcjami Tesseracta skróciła też i rozjaśniła włosy.

Tleniony blond zdecydowanie kontrastował z jej karnacją, lecz teraz nawet ona sama nie była w stanie rozpoznać się w lustrze.

- Myślisz, że ktoś tu w ogóle jest? - spytał i nadgryzł podwójnego waniliowego loda kupionego dopiero co od handlarza.

Rebecca stała tuż obok niego. Trzymała w dłoni przewodnik turystyczny i przechyliła głowę, tak jakby właśnie go czytała.

- Olympus to coś więcej niż ślad na papierze, to firma-przykrywka, więc ktoś tu musi pracować. Po wyglądzie siedziby wnoszę, że będzie to zaledwie garstka zatrudnionych.

Wątpię, by którykolwiek wiedział, dla kogo w istocie pracuje.

Rebecca przesunęła palec wskazujący w dół strony, tak jakby szukała w książce konkretnej informacji.

- Swoją drogą, ładny gest - skomentował.

Nie oderwała wzroku od przewodnika.

- Szybko się uczę.

- Naprawdę uważasz, że coś tu znajdziemy? - spytał w pośpiechu, nie chcąc, by pół

jego loda upadło na chodnik.

- Nie mówi się z pełnymi ustami. - Przewróciła stronę książki. - Nie dowiemy się, dopóki nie sprawdzimy.

Zrobił parę kroków i wyciągnął rękę, jakby coś pokazywał.

- Niech będzie - odparł. - Wrócę wieczorem, jak tylko odbiorę parę rzeczy.

Ich hotel oddalony był o zaledwie pół godziny piechotą. Odeszli tak samo, jak przyszli, to jest spacerowym tempem klucząc po wąskich uliczkach. Po drodze Rebecca ujęła jego dłoń w swoją. Poczwała, że się usztywnił, jednakże nie zwolniła uścisku. Razem wyglądali jak ciesząca się słońcem para.

Jedzący dojrzałą brzoskwinę turysta trzymał się tuż za nimi.

ROZDZIAŁ 61

21:01 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Bar wypełniał gwar pogawędek, śmiechy i dźwięki tradycyjnej muzyki greckiej.

Rebecca siedziała sama przy małym stoliku przylegającym do jednej ze ścian. Przed nią stała praktycznie nietknięta sałatka z serem feta, z której uszczknęła zaledwie jedną czarną oliwkę.

Niełatwo było coś jeść, gdy była tak bardzo spięta. Co kilka minut spoglądała na zegarek. Nie było go już parę godzin. Oświadczył, że musi zdobyć „wyposażenie”. Miło byłoby wiedzieć, ile czasu może mu to zająć.

Przeszkadzała jej jego nieobecność. Czwała się bezbronna - wiedziała, że jeżeli ktoś spróbuje ją zaatakować, bez jego pomocy będzie po niej. Początkowo przebywanie w jego towarzystwie - płatnego zabójcy - przerażało ją, lecz wewnętrzny głos rozsądku przekonał ją, że przy nim będzie bezpieczniejsza, niż będąc sama. Gość przeżył w końcu dwa sponsorowane przez CIA zamachy na swoje życie, a do tego na własne oczy widziała, jak poradził sobie z atakiem francuskiej jednostki RAID. Na chwilę obecną był najlepszym - i jedynym - przyjacielem, jakiego miała. Desperacko potrzebowała znowu znaleźć się u jego boku, znowu poczuć się bezpiecznie.

W tłumie czwała się nieco lepiej. Bar wypełniały pary jedzące kolację oraz imprezujący turyści, miejscowych było niewiele. Przy stoliku nieopodal Rebeki wyjątkowo głośna grupa facetów zabawiała się w pijackie gierki. Bar położony po drugiej stronie hotelu, w którym nocowała. Z miejsca, w którym siedziała, widziała jego wejście. Wiktor polecił jej zaczekać właśnie w takim miejscu.

Być może wystawiał ją na próbę. Widać było, że nie darzył jej zaufaniem. Nie byłaby zdziwiona, gdyby właśnie ją obserwował od momentu, gdy oddalił się, żeby coś załatwić.

Drań tylko czeka, aż go wystawię, pomyślała. Jeżeli po tym wszystkim nadal mi nie ufasz, to, w miarę łagodnie rzecz ujmując, idź do diabła.

Kilka razy facet z sąsiedniego stolika próbował ją zaczepiać. Ekipa wyglądała na marynarzy. Sądząc po akcentach, Brytyjczycy. Zdawali się całkiem niegroźni, ot, paru facetów, którzy przyszli się napić. Nie odpowiedziała, posyłając jedynie grzeczny, ale obojętny, powszechnie rozpoznawalny uśmiech o znaczeniu „zostaw mnie w spokoju” i odwróciła spojrzenie. Czasami jednak mężczyźni nie pojmowali aluzji.

Rebecca nabiła na widelec kawałek fety i plasterek pomidora. Wbrew sobie włożyła widelec do ust. Ostatnio ubrania zdawały się trochę na niej wisieć. Po dłuższej chwili wreszcie przełknęła i natychmiast poczuła się pełna. Zaczepiła kelnera i zamówiła kolejny kieliszek wina.

Kiedy facet, zachęcany przez kumpli, podniósł się z krzesła, skupiła spojrzenie na sałatce z cichą nadzieją, że natręt w ostatniej chwili zrezygnuje. Tak się jednak nie stało.

- Cześć, jestem Paul - oznajmił, siadając naprzeciwko.

- Cześć - odpowiedziała, tylko na krótką sekundę nawiązując kontakt wzrokowy. Nie wyglądał źle, lecz nie byłby w jej typie nawet, gdyby była akurat w nastroju.

- Nazywasz się jakoś, kochanie?

Zawahała się, po części nie chcąc ujawniać nikomu swojego rzeczywistego imienia, przede wszystkim jednak chcąc uniknąć rozmowy.

- Rachel - wreszcie odparła.

Uśmiechnął się.

- To słodkie imię.

W dalszym ciągu to on gadał, żartował i zadawał pytania. Za każdym razem Rebecca udzielała możliwie zdawkowej odpowiedzi. Robiła, co mogła, by go zniechęcić, lecz wypity alkohol zbytnio go ośmielał, by poddał się bez walki. Co jakiś czas któryś z kompanów posyłał mu ostrożne słowa otuchy.

- Słuchaj - rzucił, wreszcie przechodząc do sedna. - Wraz z moimi szacownymi kolegami przenoszę się do innego baru. Byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała nam towarzyszyć.

- Wykluczone - odparowała.

Tego się nie spodziewał.

- Dlaczego nie?

- Po prostu nie jestem zainteresowana.

- Ależ jesteś - musiała przyznać, że był uparty. - Przystojny ze mnie gość, z ciebie śliczna dziewczyna. Pomyśl tylko o wszystkich tych interesujących rzeczach, jakie moglibyśmy razem porobić.

Kiedy urok zawodził, zdesperowani zawsze uciekali się do fałszywego seksapilu.

- Paul, zostaw mnie w spokoju.

Na chwilę zmarszczył brwi.

- Jankeska suka. Wszystkie jesteście takie same - sądzicie, że jesteście jakieś lepsze.

- To pewnie dlatego, że istotnie jesteśmy - odparła Rebecca, tracąc wreszcie cierpliwość. - A teraz bądź tak miły i, o ile dasz radę, idź się pierdol.

Wyprostował się jak struna, wbijając w nią spojrzenie i przez moment pomyślała, że posunęła się za daleko. Konfrontację przerwał czyjś głos.

- Przyniosłem nam po drinku.

Rebecca podniosła wzrok. To był on. Tesseract. Zabójca.

Z całkowitą nonszalancją postawił na stoliku dwie szklanki.

- Wódka z tonikiem - rzucił. - Twoja bez lodu.

Paul otaksował go wzrokiem.

- A ty kto, jej chłopak?

- Jesteśmy partnerami biznesowymi.

- Więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, byśmy się z Rachel nieco lepiej zapoznali.

- Podsiadłeś mnie.

Paul uśmiechnął się szyderczo.

- Odpieprz się, koleżko. Daj mi tu działać.

- Powiem tak prosto, jak się da, żeby nie było nieporozumień - jego głos brzmiał

lodowato beznamiętnie. - Odejdź.

Paul wstał, obrócił się i cofnął rękę, tak jakby chciał go popchnąć. Poważny błąd.

Niecałą sekundę później był już na kolanach i wystarczył odrobinę silniejszy nacisk, by jego wykręcone i zablokowane ramię trzasnęło jak gałązka. Krzyknął z bólu.

Kumple od kielicha zerwali się na równe nogi. Tesseract nacisnął ramię Paula ciut mocniej, ten wrzasnął i wszyscy zamarli.

- Hejże, hejże - Rebecca wstała z podniesionymi dłońmi. - Spokojnie, nie musimy tego załatwiać w ten sposób. - spojrzała na Paula. - Prawda?

- Skądże.

Spojrzała na swego towarzysza.

- Puść go.

Jego spojrzenie skupiało się na czterech pozostałych, lecz zwrócił się do Paula.

- Obiecujesz, że będziesz grzeczny?

- Tak.

Puścił go.

- Znajdź sobie inny lokal do picia.

Paul, masując obolałą rękę, wrócił do kumpli i razem, rzucając groźby i zniewagi, wycofali się z baru. Zapadła cisza. Pozostali goście wpatrywali się w nich. Serce Rebeki waliło. Zalało ją uczucie ulgi wymieszanej z gniewem.

Ujął ją za ramiona i przycisnął do siebie w niezręcznym uścisku. Rebecca opierała się przez chwilę, po czym otuliła go rękami i oparła podbródek na jego barku. Bliskość ich ciał

spowodowała, że poczuła się bezpieczna w jego objęciach i wszelka złość z niej wyparowała.

Cuchnął dymem, ale nie miało to znaczenia. Było jej dobrze.

Zdała sobie sprawę, że obejmowała go mocniej, niż on ją i pojęła, że była to „szopka” z myślą o klientach patrzących na nich, mająca na celu uwiarygodnienie ich jako pary.

Odsunęła się i zażenowana usiadła. Na jego twarzy dostrzegła zaskoczenie i niezręczność. Wiktor usiadł naprzeciw, wziął jej widelec i zaczął jeść sałatkę. Powoli barowy zgiełk wrócił do stanu sprzed incydentu.

- Co to, do cholery, było? - cicho spytała.

- Ale co? - jego głos zabrzmiał irytująco obojętnie.

Rebecca zmarszczyła brwi.

- Żartujesz sobie?

- Już ci mówiłem, że ja nie żartuję.

Potrząsnęła głową.

- Słuchaj, niczego nie musiałeś robić. Radziłam sobie.

Podniósł wzrok i przestał przeżuwać. Nie odezwał się.

- Radziłam sobie - powtórzyła.

Uniósł brew.

- Rzekłbym, że to nad wyraz optymistyczny osąd sytuacji.

Spojrzała na niego.

- Kiedy będę potrzebowała twojej pomocy, dam ci znać.

- Kiedy uznam to za konieczne - odparł - pomogę ci bez względu na to, czy o to poprosisz.

W sposobie, w jaki to powiedział, zauważyła coś, jakby niespodziewaną opiekuńczość. On również zorientował się, że to spostrzegła i odwrócił wzrok. Szybko wrócił

do jedzenia, aby tym samym nie być zmuszonym spojrzeć jej w oczy. Rebecca upiła łyk wódki z tonikiem.

- Miło, że wzięłeś mi bez lodu.

Skinął głową, nie spoglądając na nią. Rebecca przez dłuższą chwilę go obserwowała.

- Masz to, po co poszedłeś?

Przytaknął bez słowa.

- I co teraz? - spytała.

Nim się odezwał, przez kilka chwil dalej jadł sałatkę.

- Włamię się do siedziby firmy i wykradnę dane.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

Skinęła głową.

- Zatem jesteśmy o krok bliżej od naszego łotra.

Zrobił minę, której nie zrozumiała. Spojrzała na niego pytająco.

- Co?

Uniósł brew.

- To ja tu jestem łotrem.

ROZDZIAŁ 62

PARYŻ, FRANCJA

CZWARTEK 21:20 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Dzień był dla Alvaraza wystarczająco frustrujący, a jeszcze na dodatek padało. I to mocno. Nie miał przy sobie parasola, nigdy zresztą nie miał. Ani nie zamierzał mieć. Szedł

więc szybkim krokiem, chowając głowę w szerokich ramionach. Krople deszczu uderzały go w czubek głowy, spływały po twarzy i karku, mocząc płaszcz i koszulę. Wysiadł z taksówki ledwie trzy minuty temu, a już był bardziej przemoknięty niż miss mokrego podkoszulka.

Zarazem jednak deszcz współgrał z jego obecnym nastrojem. Dochodzenie szybko wytracało tempo. Po śmierci Hoyta, a tym samym urwaniu jedyne go porządnego tropu, Alvarez praktycznie stanął w miejscu. Zabójca Ozolsa i współrzędne zatopionych pocisków oddalały się coraz bardziej.

Po kolejnej minucie moknięcia wśród mieszczących się na ulicy kawiarni dostrzegł tę właściwą i pospieszył do środka. Wnętrze było małe i z niskim stropem, a wszystkie stoliki były zajęte. Alvarez strząsnął z twarzy nieco wody i rozejrzał się po pomieszczeniu. Dojrzał

Lefèvre'a, który siedział sam i czytał gazetę. Niski, starannie ubrany francuski porucznik wyglądał dokładnie tak samo, jak przy ich pierwszym spotkaniu półtora tygodnia temu przed hotelem zabójcy. Zdawał się jednak być inaczej usposobiony - wówczas przemawiała przez niego arogancja i poczucie wyższości, teraz zaś wyglądał jak zwykły człowiek. Nie zauważył

wejścia Alvaraza i podniósł wzrok dopiero, gdy ten odsunął krzesło naprzeciw niego.

- Cieszę się, że mnie pan nie wystawił - odezwał się Alvarez, zajmując miejsce. - Bo zmokłem w takim stopniu, że musiałbym chyba pana zabić.

Lefèvre zamknął gazetę.

- Coś do picia?

- Chętnie. Poproszę kawę.

Francuz przywołał kelnerkę i zamówił dwie kawy, a także *pain au chocolat* dla siebie.

Alvarez uśmiechnął się. Wszyscy gliniarze są tacy sami. Wszyscy wsuwają lokalną odmianę pączków. Alvarez zdjął swój mokry płaszcz i powiesił go na oparciu krzesła.

- Chciał się pan ze mną zobaczyć?

Lefèvre skinął głową.

- Zgadza się. Dziękuję, że pan przyszedł.

- Nie ma sprawy.

- Sądzę, że możemy sobie nawzajem pomóc.

- Staralem się to panu uświadomić tydzień temu.

Lefèvre wzruszył ramionami.

- I powinienem był pana posłuchać. Ale miałem na głowie hotel pełen trupów. Proszę przyjąć moje przeprosiny za wszelkie okazane wówczas objawy obcesowości.

- Przyjmuję.

- Postaram się streścić.

Alvarez wytarł z głowy nieco deszczu.

- Nie mam nic przeciwko.

- Andris Ozols - zaczął Lefèvre - był emerytowanym oficerem rosyjskiej i radzieckiej marynarki wojennej. Zgadza się? - Jak pan widzi, istnieje jakieś powiązanie między pańskim kolegą, tą Amerykanką oraz człowiekiem, który zamordował Andrisa Ozolsa. Nie wiem, co to za powiązanie, a mówiąc panu to wszystko, ponoszę znaczne ryzyko. O ile mi wiadomo, pan również jest w to uwikłany.

- Mogę pana zapewnić, że nie o to tu chodzi.

Lefèvre skinął głową, tak jakby nie zależało mu na potwierdzeniu.

- Jestem policjantem. Moim obowiązkiem jest doprowadzanie przestępców przed oblicze sprawiedliwości. Wiem jednak, jak funkcjonuje branża wywiadowcza. Jestem świadomy, że istnieją fakty, o których nigdy nie zostaną poinformowany, a które powinienem wiedzieć. Jakże bowiem mogę rozwiązać sprawę bez jakichkolwiek dowodów?

Lefèvre podniósł z podłogi brązową skórzaną dyplomatkę i wyjął z niej teczkę.

- Co to jest? - spytał Alvarez, spoglądając na teczkę.

- To dla pana - wyjaśnił Lefèvre. - Wszystko, co do tej pory ustaliliśmy. Cały materiał

dowodowy.

Alvarez odebrał teczkę. Zadał proste pytanie.

- Dlaczego?

- Bo może pan z tym zrobić więcej niż ja. Wolę, by jednemu z nas się powiodło, niż gdybyśmy obaj mieli ponieść klęskę. Sprawiedliwość znaczy dla mnie więcej niż zasługi.

Zginęli ludzie. Zasługują na to, by ich pomścić. Dlatego też panu ustępuję. Jedyne, o co proszę w zamian - wyznał Lefèvre - to żeby dał mi pan nieoficjalnie znać, jeśli się panu powiedzie.

Niewielka to była cena.

- Tak zrobię - oznajmił Alvarez, zdecydowany dotrzymać słowa.

Lefèvre wskazał na teczkę.

- W środku znajdzie pan odciski palców tej Amerykanki. Sugeruję zacząć od sprawdzenia, kim ona naprawdę jest.

- Nie wiem, jak panu dziękować.

Lefèvre uśmiechnął się.

- Nie musi pan.

ROZDZIAŁ 63

NIKOZJA, CYPR

CZWARTEK 23:49 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Rebecca siedziała na łóżku i skakała po kanałach dostępnych w hotelowej telewizji.

Była to dziwaczna zbieranina anglo- i grekojęzycznych programów wraz z lokalną telewizją cypryjską. Tesseract zajęty był pakowaniem plecaka. Z ciekawości zapytała go, do czego miał

służyć zebrany sprzęt, on zaś - ku jej zdumieniu - odpowiedział. Miał więc przenośny dysk twardy o dużej pojemności, na który zamierzał skopiować zawartość dysków twardych komputerów Olympusa. Miał też nadajnik i odbiornik radiowy, a także magnetofon taśmowy, z których pomocą, gdyby nie znalazł tego, czego szukał, planował założyć podsłuch w telefonie. Wśród przedmiotów, których przeznaczenia objaśnić nie musiał, były śrubokręty, kombinerki, klucz francuski, klucze imbusowe, ołówki oraz papier. Wytrychy, przecinak do szkła oraz przysawkę włożył do osobnej małej torby, którą następnie umieścił również w plecaku.

- Myślisz, że to wszystko ci się przyda? - spytała Rebecca.

Potrząsnął głową.

- Ale lepiej, żebym wziął coś nieprzydatnego, niż żeby już na miejscu czegoś miało mi zabraknąć.

Kiedy wszystko dokładnie już spakował, wziął komplet ubrań, poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Nie domknął ich jednak, toteż przez szparę Rebecca mogła obserwować w odbiciu w lustrze, jak się przebiera. Przelotnie ujrzała jego nagie ramię -

smukłe, lecz z zarysowanymi pod skórą twardymi mięśniami. Wpatrywała się w dalszym ciągu, mając nadzieję, że podejrzy resztę jego ciała, lecz to, co ujrzała, sprawiło, że się wzdrygnęła.

Jej oczom ukazała się jego klatka piersiowa pokryta bliznami. Pośrodku widoczny był

duży okrągły krwihak rozmiarów pięści. Dostrzegła dwie blizny mogące być efektem postrzałów, a także większą ilość powstałych, jak zgadywała, od ran ciętych. Były też inne, lecz nie spoglądała wystarczająco długo, by móc je zidentyfikować. Zszokowana i przerażona odwróciła głowę.

- Aż taki jestem piękny?

Podniosła wzrok i zauważyła, że patrzył na nią w lustrze. Jej twarz zalała się rumieńcem i odwróciła spojrzenie. Nim zebrała się w sobie, by udzielić odpowiedzi, zamknął

do końca drzwi. Usłyszała dźwięk przesuwanej zasuwki.

Po kilku minutach wyszedł i zobaczyła, jak wyjmuje z szuflady nocnego stolika składany nóż, po czym wsuwa go do kieszeni. Kupił go w mieście, jak wyjaśnił, gdyby spróbował zdobyć broń palną, mógłby wzbudzić zbytnie zainteresowanie.

- Domyślam się, że nienawidzisz kawy rozpuszczalnej równie mocno co ja - odezwała się. - Więc zrobiłam nam po herbacie.

Wziął z jej rąk kubek i upił trochę. Herbata musiała mu przypaść do gustu, gdyż po chwili wziął większy łyk.

- Wciąż uważam, że powinnam pójść z tobą - stwierdziła.

Nawet na nią nie spojrział.

- Pracuję w pojedynkę.

- To nie ma znaczenia. Ja...

- A poza tym - powiedział, wchodząc jej w słowo - bezpieczniej dla ciebie będzie, jeśli tu zostaniesz.

Westchnęła. Spieranie się z nim nie miało sensu. Był jak dziecko. Uparte i ograniczone dziecko, zbyt przyzwyczajone do robienia czegoś po swojemu, by dopuścić myśl, że ktoś byłby w stanie mu pomóc.

- Pamiętaj - powiedział. - Nie wychodź z pokoju do rana. Jeśli nie wrócę do wschodu słońca znaczyć to będzie, że coś mi się stało i nie wrócę już nigdy. Natychmiast wyjedź z wyspy i zniknij. I nie samolotem, tylko statkiem...

- Wiem, wiem. Już to raz przerabialiśmy.

- I będziemy to powtarzać, aż upewnię się, że wszystko zrozumiałaś.

- Byłoby fajnie, gdybyś czasami mnie docenił.

Przez chwilę na nią spoglądał.

- To właśnie robię.

Rebecca zdawała sobie sprawę, że właśnie przebija się przez mur, którym się otoczył, nawet jeżeli jedynym sposobem było wyprowadzenie go z równowagi. Chciała uderzyć raz jeszcze, tymczasem jednak wymknęło jej się co innego.

- A dlaczego to robisz?

Spojrzał na nią bez wyrazu.

- Słucham?

- Spytałam dlaczego to robisz?

Rebecca obserwowała jego twarz, podczas gdy on mierzył się z usłyszonym pytaniem.

Spodziewała się, że rzuci szybką ripostę, zignoruje pytanie lub wprost odmówi udzielenia odpowiedzi. Ale nie czegoś takiego. Wyglądało, że wprawiała go w zakłopotanie, a wręcz sprawiła mu ból, natychmiast też pożałowała, że w ogóle spytała.

- Nie ma sprawy - odezwała się, starając rozładować atmosferę. - Nie musisz odpowiadać.

- To jedyne, co potrafię.

Widziała, że nie było to uzasadnienie czy nawet stwierdzenie faktu. Było to wyznanie.

Odwrócił głowę i wziął z łóżka plecak. Patrzyła na niego i czuła, że zaczyna widzieć w nim nie zabójcę, a człowieka.

- Co robisz, żeby móc nocą zasnąć?

- Wpierw zamykam oczy - wyjaśnił z kamienną twarzą. - A potem idzie już z górki.

- Wydawało mi się, że nigdy nie żartujesz.

- Właśnie się uczę.

Na jego twarzy dostrzegła ślad uśmiechu. Był z siebie zadowolony, lecz zauważyła, że odpowiedziami starał się zmienić temat.

- Powiedz mi, jak się nazywasz.

- Co?

- Znam cię od prawie tygodnia - stwierdziła - a nadal nie wiem, jak cię tak właściwie powinnam nazywać.

Rebecca chciała go o to spytać już wcześniej, lecz dotychczas nie zdobyła się na odwagę. Teraz miała dobrą okazję. Zauważyła, że się odsłonił, spostrzegła strach, jaki wywołała w nim konieczność mówienia o sobie samym.

Obserwowała, jak manipuluje przy plecaku, udając, że coś tam sprawdza.

- Nie musisz mnie nijak nazywać.

- Po prostu mi powiedz.

Przestał udawać, że coś robi i spojrzał na nią.

- Jeśli chcesz, mów mi Jack.

- To nie jest twoje prawdziwe imię.

- Nazywam się tak, jak akurat twierdzi używany przeze mnie paszport.

Zmarszczyła czoło.

- Więc mam ci mówić Jack?

Przerzucił plecak przez ramię.

- Przynajmniej do czasu, aż sięgnę po kolejny paszport.

Rebecca podniosła się i spojrzała na niego.

- Jeśli posługujesz się tak wieloma imionami, jaka to różnica, czy podasz mi to prawdziwe?

- Jestem tym, do kogo należy mój paszport - wyjaśnił. - I jeśli sam uważam się za tę osobę, wiarygodniej mogę grać moją rolę.

- Mówisz to w taki sposób, jakbyś chciał przede wszystkim przekonać nie mnie, a siebie samego.

- Imię samo w sobie nic nie znaczy - mówił teraz głośniej, wściekły, lecz starając się to ukryć. - Mojego prawdziwego imienia nie zna nikt spośród żyjących. I tak ma być.

- Jak zwracają się do ciebie twoi bliscy?

Nie odpowiedział. Powinna była to zresztą przewidzieć.

- A co z twoimi przyjaciółmi? Czy znają twoje prawdziwe imię? Czy wszyscy zwracają się do ciebie tym samym fałszywym, czy każdy w inny sposób?

Sięgnęła po pilota i w oczekiwaniu na odpowiedź wyciszyła telewizor. On poprawił

pasek plecaka i ponownie zarzucił go na ramię. Nie odpowiedział.

- Boże - rzuciła, zrozumiałwszy. - Jak tak można żyć?

- To lepsze niż umrzeć - odpowiedział prosto. - Lub niż sprawić, że umrze przeze mnie ktoś niewinny - skierował się do drzwi. - Robi się późno - stwierdził. - Muszę już iść.

*

Nawet przy użyciu wytrychów nie będących cudami techniki sforsowanie tylnych drzwi siedziby Olympusa zajęło kilka sekund. Wiktor nie zauważył żadnych czujników alarmowych, nie było więc potrzeby odłączania dopływu prądu. W tej części miasta brakowało latarni, zaś same ulice były opustoszałe. Mężczyzna wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. W ciemności stanął tuż za progiem i wyteżył słuch. Na moment pozostał w bezruchu, aż upewnił się, że poza jego własnym oddechem nie słychać było absolutnie nic.

Włączył poręczną latarkę i przy jej świetle przyjrzał się wnętrzu budynku. Znajdował

się w magazynie, który poza kilkoma ustawionymi w kącie skrzyniami był pusty. Za skrzyniami dostrzegł fotel, telewizor i stół - czyjaś kryjówkę, nikogo jednak w tym momencie nie było. Wiktor bezszelestnie przesunął się do końca magazynu, cały czas idąc wzdłuż ściany. Wąskie schodki prowadziły do biur położonych powyżej przestrzeni magazynowej.

Powoli, po jednym stopniu, wszedł po nich na górę.

Biuro nie było zamknięte. W świetle latarki dostrzegł parę biurek i komputerów -

przestrzeń roboczą dla dwóch bądź trzech pracowników. Do jednej ze ścian przylegała wysoka szafka na dokumenty, zaś w ceglany murze zatopiony był niewielki sejf. Koło jednego z monitorów leżała złożona gazeta.

W pierwszej kolejności podszedł do szafki na dokumenty i przeszukał z góry na dół

wszystkie jej szuflady. Znajdowały się tam faktury, zamówienia, potwierdzenia dostaw, licencje,

korrespondencja

handlowa

oraz

memoranda.

Szukał konkretnych dat,

odpowiadających jego poprzednim zleceniom, jak również wszelkich pokaźniejszych kwot, jakimi obracano by w bezpośrednim sąsiedztwie tychże terminów. Wziął ze sobą wszystko, co wydawało się choćby trochę użyteczne.

Skopiował zawartość dwóch komputerów na przenośny dysk twardy, po czym skupił

uwagę na sejfie. Jeżeli w biurze było do znalezienia cokolwiek więcej, znajdowało się to właśnie tam. W plecaku miał dobrej jakości laptopa z zainstalowanym specjalistycznym oprogramowaniem do łamania elektronicznych kodów. Program dokonywał siłowego ataku przez łącze bezprzewodowe, docierając do blokady na poziomie portu programującego, po czym przy użyciu strumienia numerycznego znajdował potrzebną kombinację. Wiktor ściągnął oprogramowanie ze strony producenta za niemałą opłatą, lecz wobec braku efektywnych środków zapobiegawczych program wart był swojej ceny. Zarazem jednak

wobec tradycyjnego zamka z szyfrem tarczowym, przed jakim stanął właśnie mężczyzna, program był całkiem bezużyteczny.

Sejf sprawiał wrażenie, jakby miał ze trzydzieści lat. Szczęśliwie wyglądał na sejf typu drugiego - popularniejszego i mniej skomplikowanego z dwóch typów kas pancernych.

Nie musiał więc się martwić żadnymi środkami zapobiegawczymi, żadnym mechanizmem ochronnym, który przy próbie włamania wypuściłby kwas i zniszczył zawartość skrytki. I tak jednak bez odpowiednich narzędzi rozprucie sejfu mogło mu zająć kilka godzin. Kto by się w końcu spodziewał, że firma-przykrywka na usługach CIA korzystać będzie z kasy pancerniej prawie tak starej jak on sam. Schowany w plecaku potężny laptop okazał się zatem równie przydatny jak przycisk do papieru.

Pozostawały więc trzy metody dostania się do zawartości sejfu: użycie materiałów wybuchowych, przewiercenie się bądź otwarcie zamka. Nie dysponował ani ładunkami, ani wiertłem, musiał więc poradzić sobie w tradycyjny sposób. Wyciągnął potrzebne w tym celu

„supernowoczesne” narzędzia: arkusz papieru milimetrowego, ołówek i stetoskop.

Wszystkie tradycyjne zamki kombinacyjne działały wedle tej samej, sprawdzonej zasady. W chwili obracania tarczą doczepiony do niej wałek obracał krzywką, która z kolei poruszała kołami. W każdym z kół poczynione zostało nacięcie, a gdy ustawi się koła w odpowiedniej kombinacji, nacięcia te tworzyły jedną linię. Tuż nad kołami znajdowała się niewielka metalowa sztabka, zwana płotkiem. Kiedy wszystkie nacięcia ustawiały się w jednej linii, płotek opadał w powstałą szczelinę, pozwalając przesunąć rygiel blokujący drzwi sejfu i tym samym je otworzyć.

Zdjął kurtkę i zrobił z niej improwizowaną poduszkę pod kolana. Spędzi bowiem trochę czasu na kłęczkach.

Pierwszy krok przy włamywaniu do sejfu polegał na ustaleniu liczby kół. Każde koło skryte za tarczą odpowiadało jednej cyfrze kombinacji. Podobnie jak w kołach, w krzywce również było nacięcie, w które w chwili wybrania odpowiedniej kombinacji wpadał płotek.

Między płotkiem a drzwiami znajdował się lewarek, który przy obracaniu krzywki wydawał

ciche kliknięcie w chwili trącenia czubkiem nacięcia krzywki.

Włożył stetoskop na uszy i zaczął uważnie nasłuchiwać kliknięć - pierwszego, zwanego prawym, gdy czubek lewarka wpadnie w nacięcie, oraz drugiego, zwanego lewym, gdy czubek wyjdzie z nacięcia. Cyfry na tarczy odpowiadały tymże kliknięciom, zaś odstęp między nimi nazywany był przestrzenią stykową.

Określiwszy położenie przestrzeni stykowej, ustawił tarczę w pozycji dokładnie przeciwnej. Czynność tę określano mianem hamowania kół. Następnie, powoli, przekręcił

tarczę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Za każdym razem, gdy tarcza mijała pozycję zatrzymania, rozlegało się ciche kliknięcie. Nim ustały, naliczył trzy. Każde odpowiadało jednemu kołu, stąd też wiedział już, że ma do czynienia z sejfem zabezpieczonym trzycyfrowym szyfrem.

Zresetował kasę pancerną poprzez kilkakrotne przekręcenie tarczą zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Następnie zatrzymał koła na pozycji zero i zaczął powoli kręcić tarczą w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Za każdym razem, gdy rozlegała się para kliknięć - lewe i prawe - nanosił cyfry na papier milimetrowy, aż zrobił pełne okrążenie.

Zaczął od nowa, resetując ustawienie kół i powoli obracając tarczę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, tym razem jednak zaczynając trzy cyfry w lewo od zera. Oznaczało to, że przestrzeń stykowa lewarka i nacięcia wypadała gdzie indziej.

Ponownie naniósł pozycje kliknięć na papier.

Powtarzał proces, przesuując tarczę o trzy jednostki, aż wszystkie pozycje z tarczy znalazły się na arkuszu. Wreszcie to pracochłonne i uciążliwe zajęcie dobiegło końca, czego efektem były dwa wykresy - jeden przedstawiający pozycje lewych kliknięć, drugi zaś -

prawych. Mężczyzna połączył zaznaczone punkty, tworząc w ten sposób dwa zygzaki.

Cyfry rozmieszczone na obu wykresach spotykały się dokładnie w trzech punktach, z których każdy odpowiadał jednemu kołu, a zatem jednej cyfrze szyfru. Wypisał je i uszeregował we wszystkich sześciu możliwych kombinacjach. Wypróbował je jedną po drugiej. Przy czwartej próbie drzwi sejfu stanęły otworem. Spojrzał na zegarek. Wszystko zajęło mu siedemdziesiąt minut. Nie tak źle.

Wewnątrz kasy pancерnej znajdowało się pięć plików gotówki w banderolach, teczka oraz butelka ginu. Każdy z plików liczył pięć tysięcy euro. Wiktor umieścił je w plecaku, po czym otworzył teczkę. Wypełniały ją akta. Oni zaś podążali za pieniędzmi. Wyszedł z biura i ruszył schodami w dół.

Robota papierkowa nigdy nie była jego mocną stroną, lecz pośredniczka zdoła szybko posegregować papiery i znajdzie to, czego szukają. Cieszył się z decyzji, by połączyć z nią swe siły. Sam nie miałby szans dotrzeć tak daleko. Wciąż działałby po omacku czekając tylko, aż CIA wpadnie na jego trop. Już kilka razy okazała się niezwykle cennym współpracownikiem - a nawet partnerem, aczkolwiek przyznając to, poczuł się nieswojo.

Nie chciał tego przyznać, lecz była ona kimś więcej. Jeszcze może nie przyjaciółką, ale towarzyszką, kimś, z kim rzeczywiście chciało mu się rozmawiać, chociaż nadal porozumiewanie się z nią sprawiało mu trudności. Po części wynikało to z wpływu, jaki na nim wywierała, po części zaś z jego natury. Kiedy odgrywał jakąś rolę, w miarę potrzeby mógł być w kontakcie z płcią przeciwną czarujący i wygadany, lecz gdy przychodziło mu działać na własny rachunek, stawał się nieporadny i zagubiony. Wyraźnie stracił wprawę, choć właściwie nigdy jej nie miał.

Wypierał się pożądaniami, lecz wiedział, że je odczuwał. Spoglądał na nią przy każdej okazji, gdy tylko nie patrzyła. Widok jej ciała przyspieszał mu tętno bardziej, niż udało się to jakiegokolwiek dziwce. Ale to, co w nim wzniecała, nie ograniczało się do pożądaniami. Była jedyną kobietą w jego całym życiu, która wiedziała, kim naprawdę był, a i tak nie patrzyła na niego z obrzydzeniem. Kiedy spojrzała na niego, nim wyszedł, dostrzegł wręcz na jej twarzy oznaki empatii, mimo że współczucie generalnie nie współgrało z jego mentalnością nastawionego na przetrwanie samotnika.

Wiele razy powtarzał sobie, że nikogo w swoim życiu nie potrzebuje. Niegdyś istotnie tak było, może jednak teraz sytuacja uległa zmianie. Albo po prostu zawsze łatwiej mu było wmówić sobie, że nikogo nie potrzebuje, niż spojrzeć prawdzie w oczy.

Wyszedł z magazynu, zdając sobie sprawę, że cieszy się na myśl o ponownym spotkaniu. Zmarszczył brwi. To zły pomysł, podpowiedział mu wewnętrzny głos, nie idź tam.

Tyle tylko, że tego konkretnego głosu przestał już słuchać.

ROZDZIAŁ 64

01:10 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Rebecca ziewnęła. Piekły ją oczy. Nie było go już jakąś godzinę i nie miała pojęcia, o której wróci. Kiedy nalegała, by podał jej przybliżony czas powrotu, unikał odpowiedzi. Tyle, ile będzie trzeba - brzmiała najdokładniejsza z uzyskanych informacji. Nie chciała spać w chwili, gdy wróci, podniosła więc słuchawkę i poprosiła obsługę hotelową o potrójne espresso. Jeśli nawet w ten sposób nie zaradziłaby senności, znaczyłoby to, że powinna się jej poddać.

Postanowiła pooglądać kanał z wiadomościami. Pomagało jej to utrzymać powieki w górze, pomimo że poruszane tematy zupełnie jej nie interesowały. Pospiesz się i wracaj, pomyślała. Przebywanie w samotności nie odpowiadało jej, nawet w stosunkowo bezpiecznym pokoju hotelowym. Nie otwieraj drzwi nikomu, powiedział. Jego paranoja zaczynała stawać się dla niej nie do zniesienia.

Zarazem jednak miała okazję zobaczyć jego blizny. I moment ten otworzył jej oczy.

Rebecca nie była w stanie wyobrazić sobie rodzaju trybu życia, jaki sprowadziłby na człowieka tyle obrażeń. A jeśli jego ciało nosiło na sobie ślady tylu ran, jak wiele blizn psychicznych musiał mieć w głowie? Zdała sobie sprawę, niemalże ku własnemu zdumieniu, że istotnie było jej go żal.

Cofnęła się myślami do wydarzeń z baru i sposobu, w jaki stanął w jej obronie. Czy zrobił to, bo rzeczywiście chciał jej pomóc, czy też tylko po to, by uniknąć zbytowego zamieszania? W tamtej chwili poczuła się urażona, że nie pozwolił jej załatwić sprawy samej i pomyślała, że być może nawet zabójcom zdarzają się porywy rycerskości, aczkolwiek niefortunnie

skalkulowane w czasie. Później jednak wydało jej się, że najprawdopodobniej poprzez wyciąganie jej z tarapatów chronił po prostu siebie. Teraz zaś była pewna, że po prostu troszczył się o nią i myśl ta ją wzruszyła.

Do tej pory uratował ją już w pewnym sensie dwukrotnie. Uśmiechnęła się. Był więc jakby jej aniołem stróżem. Choć może dokładniejszym określeniem byłby anioł stróż śmierci.

Czy gdy cała ta sprawa dobiegnie końca, zabije ją? W ciągu ostatnich kilku dni zadawała sobie to pytanie wiele razy. Początkowo, nawet po tym, jak zapowiedział, że nigdy go już nie zobaczy, Rebecca spodziewała się, że gdy tylko przestanie mu być potrzebna, wpakuje jej kulkę w łeb. Pomysł, by uwieść go w nadziei na ocalenie w ten sposób skóry, przeszedł jej przez myśl - dostrzegła, w jaki sposób na nią spogląda - nie zebrała się jednak na odwagę.

Teraz, po tym, jak uniknął ujawnienia swojego imienia, była już pewna, że nie zamierza jej zabić. Gdyby jej powiedział, stałaby się dlań jeszcze większym zagrożeniem, a jego profesjonalna mentalność nakazałaby mu owo zagrożenie wyeliminować. On jednak tego nie chciał. Może niegdyś zamierzał ją zabić, pomysł ten jednak zarzucił. Uśmiechnęła się na myśl o tym, wiedząc, że ją polubił, aczkolwiek nigdy by tego nie przyznał.

Nie miała złudzeń co do tego, kim był czy też w jaki sposób zarabiał na życie, lecz może jednak pod tym wszystkim kryło się coś ludzkiego. Może, kiedy cała afera dobiegnie końca, będzie miała szansę się przekonać, jak owa istota ludzka naprawdę wygląda. Kiedy przyniesiono kawę, Rebecca już przysypiała. Otworzyła drzwi i odebrała od faceta filiżankę ze spodeczkiem, mrużąc oczy przed światłami korytarza. Wróciła do pokoju po pieniądze na napiwek.

Obróciwszy się, dostrzegła, że gość wszedł do pokoju. Choć wzrok jej się rozmywał, zdała sobie sprawę, że wyglądał za staro, by móc być kelnerem. Miał ciemne włosy, ale jasną cerę, nie był zatem Grekiem. Nagle wystraszona, cofnęła się w głąb pokoju.

Z beznamiętną miną zamknął za sobą drzwi. Ruszył przed siebie spokojnie i bez pośpiechu. Spojrzała mu w oczy - były lodowato błękitne. Oczy pozbawione duszy.

Rebecca modliła się, by człowiek, którego imienia nie знаła, w tej samej chwili wrócił, nic jednak na to nie wskazywało.

Tym razem już jej nie uratuje.

ROZDZIAŁ 65

01:49 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Kiedy Wiktor wrócił do pokoju, górne światło było zgaszone. To dobrze. Mówił jej, żeby go nie włączała. Tylko małe lampki. Te również się nie paliły. Usłyszał dźwięk lejącej się pod prysznicem wody. Zapomniał jej poradzić, by nigdy nie używała prysznica. Zarazem jednak, gdyby ktoś postanowił ją tu dopaść, wątpił, by miało to jakiegokolwiek znaczenie.

- To ja - rzucił.

Brak odpowiedzi. Lecząca woda zagłuszała jego słowa. Zastony były nieco rozsunięte.

Ciemności rozpraszał wpadający przez okno blask księżyca. Spod drzwi łazienki przenikało światło. Tyle wystarczyło, by Wiktor zauważył, że wszystko było na swoim miejscu.

Zachowywał ostrożność - tak jak zawsze. Po ciemku podszedł do swojego łóżka, położonego dalej od drzwi. Pstryknął włącznik lampki. Pokój w dalszym ciągu tonął w ciemności.

Westchnął, okrążył łóżko i podszedł do lampki przy łóżku pośredniczki. Zawsze korzystali z podwójnych pokoi z oddzielnymi łóżkami. Już sam fakt przebywania z nią w jednym pomieszczeniu był wystarczająco trudny do zniesienia. Spania w jednym łóżku nawet sobie nie wyobrażał. Po tylu latach spędzonych w samotności nie wiedział, czy byłby jeszcze w stanie zasnąć u czyjogoś boku. Nie chciał próbować w obawie, że mu się nie uda i jedynie przekona się, jak bardzo oddalił się od normalnego życia. Nacisnął włącznik, lecz druga lampa również nie zapaliła się. Obrócił się. Światło w łazience się paliło, więc prąd musiał

być, lecz obie lampki nie działały. Wydawało się to zbyt dużym zbiegiem okoliczności.

Wyciągnął nóż.

Podszedł do włącznika górnego światła. Nie należało z niego korzystać, o ile były dostępne inne źródła oświetlenia, te jednak nie działały. Wyciągnął rękę i dotknął palcem przełącznika. Nie nacisnął go jednak. Coś było nie w porządku.

Czuł, jakby oczekiwano, że to zrobi. Mógł się mylić, lecz nie zamierzał ryzykować.

Wyciągnął z kieszeni poręczną latarkę. Poświecił na włącznik. Był to najzwyczajniejszy w świecie kontakt i wyglądał tak samo, jak w chwili, gdy po raz pierwszy weszli do pokoju, tyle tylko, że główki śrub mocujących były podrapane. Skierował strumień światła na podłogę poniżej włącznika. Dopiero po kilku sekundach dojrzał na ziemi malutki biały paproch.

Kucnął i dotknął go palcem. Gips.

Kiedy przyjechali, pokój był absolutnie czysty.

Poczuł, jak zaczyna mu przyspieszać tętno. W pokoju nie było większych szaf, pod łózkami również nikt nie zdołałby się zmieścić. Pozostawała więc łazienka.

Włączył telewizor i podkręcił dźwięk. Cofnął się do łóżka. W lewej ręce trzymał

latarkę, w prawej zaś nóż. Podszedł po cichu do drzwi łazienki i stanął tuż przed nimi. Miał

potworne przeczucie co do tego, co zastanie w środku. Jego żołądek jeszcze nigdy nie był taki ściśnięty.

Kopniakiem otworzył drzwi na oścież.

Łazienka była niewielka. Nikt się w niej nie krył, nikt na niego nie czekał.

A przynajmniej nikt żywy.

Wciąż wyglądała dobrze, pomimo mokrych włosów przylepionych do twarzy. Jej głowa opierała się na brzegu wanny, jak gdyby odpoczywała, jednakże była wygięta pod nieprawdopodobnym kątem względem reszty ciała. Woda z prysznicza rozpryskiwała się na twarzy i szeroko otwartych oczach. Powoli podszedł i zakręcił kran.

Miarowym oddechem nie zdołałby już spowolnić galopującego tętna. Przykucnął przy wannie, a nóż wyslizgnął mu się z rąk. Wiedział, że to na nic, lecz mimo wszystko sprawdził

puls. Jej ciało wciąż było ciepłe. Sięgnął ręką i odgarnął blond włosy z jej twarzy. Narzekała, gdy polecił jej je rozjaśnić. Delikatnie zamknął jej powieki. Wyglądała spokojnie, jak gdyby spała. Wpatrywał się w nią zdecydowanie dłużej, niżby nakazywał mu rozsądek.

Podniósł nóż z posadzki i wstał. Kostki jego dłoni zbieleły. Było mu niedobrze.

Wyszedł z łazienki, a w jego oczach czał się zimny gniew.

Nie miała na ciele żadnych obrażeń, śladów jakiegokolwiek walki, żadnej krwi, naskórka pod paznokciami - niczego, co sugerowałoby, że chociaż spróbowała stawić opór.

Znał ją na tyle dobrze i wiedział, że nie poddałaby się bez walki. Zarazem jednak walka z tym, który ją zabił, byłaby rozstrzygnięta, jeszcze zanim by się zaczęła. Zabójca był dobry w swym fachu. I wciąż znajdował się w pobliżu. Pośredniczka nie stanowiła jego jedyne celu.

Przyszedł tu z myślą o nich obojgu. Wiktor obrócił się i ponownie spojrzął na przełącznik światła.

Pod nim znajdzie pewnie kolejny przełącznik podłączony do detonatora, który odpali, gdy tylko przepłynie przez niego prąd. To z kolei wywoła eksplozję upakowanego w ścianie plastycznego materiału wybuchowego, która zabije każdego, kto będzie akurat znajdował się w pokoju. Gdyby pośredniczka poszła z nim do siedziby Olympusa, teraz zginęliby oboje.

Ale nie poszła. Kazał jej zostać. Tak miało być bezpieczniej.

Zabójca czekał na zewnątrz. Po podłożeniu bomby nie zniknąłby tak po prostu, licząc, że zamach się uda. Musiał się upewnić. Był w pobliżu, obserwował i czekał. Odejdzie dopiero, gdy zobaczy rozsadzającą okno kulę ognia.

Wiktor ani myślał kazać mu długo czekać.

Śrubokrętem odkręcił pokrywę włącznika światła i ostrożnie zdjął ją ze ściany. Pod spodem znalazł dokładnie to, czego się spodziewał. Detonator podłączony był do sieci elektrycznej i wciśnięty w spory ładunek czegoś, co wyglądało na amerykański materiał C-4.

Nie miał jednak formy zwykłej kostki, został bowiem uważnie uformowany i wciśnięty we wnękę pod ścianą. Mogło go tam być powyżej kilograma. Obok umieszczono plastikowe butelki po napojach wypełnione benzyną, aby eksplozja wywołała trudny do ugaszenia pożar, zapewne w celu spalenia ich ciał i zatarcia jakichkolwiek śladów pozostawionych przez sprawcę wybuchu. Podejrzewał, że podobne butelki ukryto także w innych częściach pokoju oraz w łazience.

Zamachowiec, prowadząc obserwację z bliska, zauważył zapewne, jak Wiktor wszedł

do hotelu. Jeśli w najbliższym czasie nie nastąpiłaby eksplozja, mógłby się domyśleć, co się stało. Nie mógł na to pozwolić. Odłączył telewizor z prądu, odciął kabel zasilający i usunął

wtyczkę, dzięki czemu otrzymał metrowej długości przewód. Odłączył hotelowy telefon i przeniósł go w pobliże drzwi. Następnie zerwał plastikową obudowę aparatu i podłączył druty z końca kabla telewizyjnego do instalacji wewnątrz telefonu. Drugi koniec kabla podłączył do detonatora, wcześniej ostrożnie usuwając przewody umieszczone tam przez zamachowca. Kiedy wszystko już pozabezpieczał, podłączył telefon do gniazdka obok telewizora.

Gdy telefon zadzwoni, przepływający przez jego przewody prąd uruchomi detonator, a ten odpali ładunki wybuchowe. Wiktor szybko zebrał swoje rzeczy i wyszedł. Nie miał

czasu do stracenia.

Musiał zadzwonić.

*

Nawet w środku nocy rozmaite bary i kafejki, jakie ciągnęły się wzdłuż ulicy, były wciąż otwarte i pełne bawiących się Cypryjczyków i turystów. Reed siedział przy stoliku na zewnątrz jednego z mniej hałaśliwych lokali i spokojnie sączył z wysokiej szklanki świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy. Na stoliku położył książkę, której nie czytał. Uzasadniała ona jego mało towarzyską obecność. Wiedział, że kelnerka wciąż zastanawia się, czemu siedzi tak już od dłuższego czasu, jednakże nazajutrz o tej samej porze Reed planował być z powrotem w Anglii i raczyć się sporą szklanką koniaku Hennessy Ellipse.

Z zajmowanego miejsca miał widok na czarny prostokąt okna pokoju Tesseracta. W

oczekiwaniu na wybuch tętno Reeda wzrosło o trzy uderzenia na minutę powyżej normy.

Spodziewał się, że eksplozja nastąpi niebawem, ponieważ dopiero co zobaczył, jak Tesseract wrócił do hotelu. Fakt, że nie dysponował personaliami ofiary, stanowił dla niego pewną niedogodność. Pomimo usilnych starań nie zdołał skłonić Rebeki Sumner, by mu je podała.

Wreszcie uwierzył, że Tesseract nie chciał podać jej swego prawdziwego imienia. Co, jego zdaniem, miało nawet sens. Ludzie tacy jak Tesseract - czy on sam - nie miewali prawdziwych imion.

Zadał jej też inne pytania. Ile miał lat? Skąd pochodził, gdzie się szkolił, co wcześniej robił? Reed lubił dysponować tego typu wiedzą o swoich celach, tym bardziej, gdy cel ten był

przedstawicielem tej samej branży o oczywistych, acz w żadnym wypadku nie porównywalnych zdolnościach. Dossier Tesseracta, jakie otrzymał od zlecniodawców, było żałośnie niedokładne, Reed zaś nie lubił zabijać ludzi, których dostatecznie wcześniej nie poznał. Niestety, Rebecca Sumner nie była w stanie powiedzieć mu niczego poza najbardziej podstawowymi detalami; niczego, czego on sam by już nie wiedział. Nie kłamała. Ludzie nigdy nie kłamali Reedowi. Był bardzo przekonujący.

Fala uderzeniowa wzdęła mu koszulę i sprawiła, że strzeliło mu w uszach. Na ziemię spadł deszcz tłuczonego szkła. Wyrzucone w powietrze cegły porozbijały szyby zaparkowanych samochodów. Z rozsadzonych okien buchnęły płomienie. W nocne niebo wzbił się gęsty dym.

Reed przymknął oczy i wyobraził sobie moment, w którym Tesseract przesunął

włącznik światła, a eksplozja odarła jego zgruchotane kości z mięsa. Nie miał wątpliwości, że musiał to być niezwykle widok, nawet jeśli on sam nigdy nie lubił korzystać z bomb. Klóciły się one z jego postrzeganiem zawodu zabójcy. Były zbyt oczywiste i przypadkowe. Niosły zbyt duże ryzyko niezamierzonych ofiar. Stanowiły broń odpowiednią dla terrorysty, nie zaś płatnego zabójcy o niezrównanych umiejętnościach.

Cisza i oszołomienie, które w pierwszej chwili nastąpiły po wybuchu, szybko przemieniły się w atak hysterii. Oto i kolejna pożałowania godna konsekwencja użycia materiałów wybuchowych. Miały one nieznośną właściwość denerwowania osób postronnych. Wszyscy wokół niego zerwali się na równe nogi, gapili się, pokazywali palcami, część krzyczała. Ucieszyło go, że opadający gruz nie ranił nikogo na ulicy, aczkolwiek jeśli ktoś nieszczęśliwym zrzędzeniem losu przechodził w chwili eksplozji koło drzwi pokoju, nie został po nim ślad. W takim wypadku spotkała go przynajmniej natychmiastowa śmierć. Bez zbędnego cierpienia. Dla Reeda miało to znaczenie. Sąsiedni pokój również uległ zniszczeniu, nie było w nim jednak gości. Reed sprawdził to jeszcze przed podłożeniem bomby.

O ile nie było to nieuniknione, nigdy nie zabijał niewinnych osób. Był profesjonalistą, a nie psychopatą.

Ilość C-4 akurat wystarczała, by rozerwać Tesseracta na nierozpoznawalne strzępy, zaś rozmieszczone paliwo gwarantowało, że oba ciała się spalą. Tak brzmiał niepodważalny warunek ze strony klienta. Pragnął zniszczenia absolutnie wszystkich śladów. Dysponując ograniczonym czasem i środkami oraz mając na uwadze, że przeciwnik znał się też na fachu, Reed był zmuszony użyć materiałów wybuchowych i ognia, aby nikt nie rozpoznał ofiar.

Reed powoli dopił sok, a następnie wstał. Nie było szans, by Tesseract przeżył

eksplozję tej mocy, toteż zadanie Reeda dobiegło końca, a jego i tak imponujące *résumé* poszerzyło się o kolejną ceną pozycję. Szkoda, że pułapka była tak dobra, a jego ofiara nie zdążyła nawet zdać sobie sprawy, że się w nią pakuje. Anglik podniósł ze stolika książkę oraz gazetę i odszedł, zostawiając sowity napiwek.

Wolnym krokiem przebił się przez zgromadzony pod hotelem zaszokowany tłum, rozkoszując się ciepłym nocnym powietrzem w czarującym mieście, nieświadomy, że nie jest jedyną osobą na ulicy, której wybuch nie zaskoczył.

ROZDZIAŁ 66

ARLINGTON, WIRGINIA, STANY ZJEDNOCZONE

PIĄTEK 12:30 CZASU WSCHODNIEGO

Ferguson siedział przy narożnym stoliku w sali dżentelmeńskiego klubu, do którego należał. Zamówił to, co najbardziej lubił - befsztyk tatarski ze sporym kieliszkiem burgunda.

Wyciszył telefon, aby móc cieszyć się posiłkiem. Wraz z wiekiem agent odkrył, że coraz więcej czynności wolał wykonywać samotnie. Zbyt dużą część życia spędził w towarzystwie idiotów, by marnować teraz lata, które mu jeszcze zostały. Szczególnie zaś lubił jeść w samotności, bez konieczności prowadzenia między kęsami pogawędki o interesach oraz jakichś banałach.

Na wyświetlaczu telefonu pojawiła się informacja o nowym połączeniu. Ferguson nie zwrócił jednak na to uwagi. W klubie, poza nim samym, była jedynie garstka podobnych do niego panów w wieku okołoemerytalnym, rozsianych po przestronnym, wyłożonym mahoniowymi panelami pomieszczeniu. W marmurowym kominku płonął autentyczny ogień.

Klub stanowił osobisty azyl Fergusona, do którego uczęszczał już od niemal dwóch dekad, obserwując, jak pozostałym bywalcom starzeją się twarze i poszerzają się talie.

Ferguson czuł się zmęczony. Ostatnio nie sypiał najlepiej. Sprawiał wrażenie osoby absolutnie spokojnej i przez większość czasu spokój ów był autentyczny. Zdarzały się jednakże momenty, w których nie czuł się w istocie tak opanowany, jakby

sugerowała to jego powierzchowność. Przy tak wysokiej stawce i tak ryzykownej grze nie powinno to jednak zaskakiwać.

Trudno było uwierzyć, że Tesseract tak długo utrzymywał się przy życiu. Ferguson przyjmował jednak, że skoro w jego własnej przeszłości przy wielu akcjach szczęście wyraźnie mu sprzyjało, było czymś normalnym, że tym razem doświadczał takiego pecha.

Agent włożył do ust kolejny kawałek surowego mięsa i zaczął go przeżuwać. Miał

nadzieję, że śmierć Tesseracta oraz Sumner jest już tylko kwestią czasu, a gdy nie będzie się już musiał martwić jakimś zabójcą, który uparcie nie chciał dotąd umrzeć, będzie mógł zacząć planować usłaną różami emeryturę. Musiał tylko przejąć tego pendrive'a.

Na dnie Oceanu Indyjskiego spoczywała technologia warta co najmniej sto milionów dolarów. Fergusona tak niewiele dzieliło od bogactwa, jakie dotychczas nie śniło mu się w najśmielszych nawet snach - niemal czuł już zapach pieniędzy. Jak na razie nie dopisywało mu po prostu szczęście. Stary nie miał co do tego wątpliwości. Befsztyk tatarski okazywał się trudny do przełknięcia.

Telefon po raz kolejny zaświecił i Ferguson zobaczył na jego ekranie nazwisko Sykesa. Przewrażliwiony głupiec starał się do niego dodzwonić od samego rana. Chodziło, rzecz jasna, o coś ważnego - przynajmniej w ocenie młodszego agenta, lecz Ferguson nie miał

nastroju, by tak prędko wysłuchiwać opowieści o kolejnej wpadce.

Gdyby cokolwiek jeszcze poszło nie tak, czekałyby go kolejne ciężkie noce. Jeśli zaś wszystko udałoby się zgrabnie domknąć, nadal trzeba by było uprzątnąć ślady po przygotowaniach. Nawet jeśli Alvarez do niczego by nie doszedł, Chambers i Procter tak po prostu by nie odpuścili. Przy całej swej do nich - a zwłaszcza do Proctera - niechęci, miał

bolesną świadomość, że zarówno owego tłustego dupka, jak ową anorektyczną sukę cechowały przebiegłość i determinacja.

Jako że Procter węszył wokoło, Ferguson wiedział, że będzie musiał zamknąć sprawę, eliminując absolutnie wszelkie prowadzące do niego tropy. W innym wypadku ten wysoko postawiony agent doszedłby w końcu po nitce do kłębka. Jedynym sposobem było znalezienie kogoś, kto wzięłby na siebie odpowiedzialność za wynajęcie Tesseracta. Ferguson potrzebował kozła ofiarnego.

Jego myśli przerwały odgłosy za głośniejszej wymiany zdań. Podniósł wzrok i ujrzał

człowieka wyklócającego się z majordomusem. Stary westchnął i skinął dłonią, aby pozwolono mu wejść.

Gdy Sykes zajął miejsce naprzeciwko, Ferguson umyślnie skupił się na jedzeniu, nie racząc przybysza spojrzeniem. Ten rzucił na stół teczkę.

- Wesołych, kurwa, świąt.

- Słucham pana?

Ferguson podniósł wzrok i ujrzał uśmiechnięte oblicze Sykesa. Przypominało ono reklamy męskich produktów kosmetycznych.

- Mikołaj w tym roku przyszedł wcześniej - ogłosił. - Już po wszystkim.

- Co?

- Już po wszystkim - ponownie oznajmił Sykes.

Sześćdziesięciosiedmioletnie serce w klatce piersiowej Fergusona poczęło bić szybciej.

- Nie żyje?

Uśmiech Sykesa jeszcze się rozszerzył.

- Rozpieprzyło go na kawałeczki.

- A Sumner?

- Też nie żyje. Reed dopadł ich oboje. Z żadnego nie zostało wystarczająco wiele, by można ich było zidentyfikować. Sprawa już do nas nie wróci. Nigdy, przenigdy.

Ferguson poczuł mrowienie na plecach.

- Dzięki Bogu - rzucił, dołączając się do uśmiechu Sykesa. - Chłopak wart jest każdego wydanego centa. Mam nadzieję, że Jej Królewska Mość docenia jego umiejętności -

zamilkł na chwilę, by napawać się zwycięstwem. - Przez chwilę prawie się już tym martwiłem.

Młodszy agent się roześmiał.

- Mnie to pan mówi? Ja przez ponad tydzień chodziłem z duszą na ramieniu.

- Ulga to przyjemne uczucie, nieprawdaż, panie Sykes?

- No jasne. Ale to jeszcze nie wszystko.

- Zdobył pendrive'a? - spytał Ferguson, nie kryjąc podniecenia w głosie.

Sykes skinął głową i wskazał na teczkę.

Stary uniósł brew, a jego czoło pokryło się zmarszczkami. Sięgnął po teczkę.

- Już?

Sykes przytaknął.

- Od paru godzin starałem się z panem skontaktować. Miałem sporo czasu, by się w tym rozeznać.

- To gdzie to jest?

- Około osiemdziesięciu mil na wschód od miejscowości Tanga na wybrzeżu Tanzanii

- odrzekł cicho Sykes.

Ferguson przez kilka chwil się namyślał.

- Musisz wsiąść do pierwszego samolotu lecącego w tamtym kierunku. Już ja wymyślę jakiś powód, byś odwiedził w moim imieniu naszą ambasadę.

Niechęć w spojrzeniu Sykesa była oczywista.

- Chce pan, bym pojechał tam osobiście?

Ferguson skinął głową.

- Korzystanie z usług osób trzecich kosztowało nas już zdecydowanie zbyt wiele błędów. Musisz pojechać tam sam - subtelny acz schlebający ton zadziałał natychmiast.

Ferguson zauważył, jak Sykes zapala się do pomysłu. Ciągnął więc dalej.

- Weź kilku nurków. Znalezienie w Afryce paru byłych członków jednostki SEAL nie powinno być zbyt trudne.

- Już jakiś czas temu sporządziłem listę odpowiednich kandydatów - odparł Sykes z udawaną nonszalancją, spod której przebijała ledwo skrywana przebiegłość.

- Bardzo dobrze - odpowiedział Ferguson. - Przekaż im, by spotkali się z tobą już na miejscu i poinformuj o celach misji dopiero na pokładzie łodzi. Odpowiednia suma pieniędzy powinna rozwiać ich wątpliwości dotyczące zaangażowania się w misję przed poznaniem wszystkich faktów.

- W porządku.

- I postaraj się, byśmy wiedzieli o nich wystarczająco dużo, by w razie, gdyby było to konieczne, mógł ich spotkać jakiś niefortunny wypadek, na przykład pod postacią Reeda -

Sykes przytaknął, aczkolwiek nie bez wahania. - A kiedy już wszystko zorganizujesz, nadejdzie czas, byśmy zaczęli kontaktować się z potencjalnymi nabywcami, tak aby jak najszybciej doprowadzić do sprzedaży. Im dłużej będziemy w posiadaniu tych pocisków, tym bardziej wystawimy się na większe ryzyko.

- Załatwię to.

- Zuch chłopak.

Sykes zaczął się podnosić.

- Aha - odezwał się Ferguson - zważywszy na niefortunne wypadki z minionego tygodnia, pomyślałem, że rozsądnym byłoby wykreślić z listy wszelkich kupców z Zachodu.

Młodszy agent ponownie zajął miejsce.

- Słucham?

- Tak na wszelki wypadek - uspokoił Ferguson. - Lepiej, byśmy sprzedali pociski poza Europą czy kontynentalnymi Stanami.

- Ale przecież chodziło nam właśnie o to, by sprzedać je Pentagonowi. Nasz kraj zapłaci za nie zdecydowanie najwięcej.

Stary upił nieco wina.

- Sprawy uległy zmianie - stwierdził. - Teraz to za duże ryzyko. Od początku pomysł

ubicia interesu z naszymi i uniknięcia przy tym wykrycia był skrajnie trudny, a mówię tu przecież o stanie rzeczy sprzed masakry w samym środku Paryża. Alvarez węszy jak pies gończy i rzuca podejrzenia, że chodzi tu w rzeczywistości o nielegalną akcję wewnątrz CIA.

Jak myślisz, co się stanie, gdy wyślemy armii fakturę? A jeżeli opchniemy je w Europie, nasi ludzie stąd też się o tym prędko dowiedzą. Moim zdaniem lepiej będzie, jeśli ograniczymy się do pozostałych części świata.

- Jakich pozostałych części świata? Nie w Ameryce Północnej, nie w Europie, Rosja i Chiny już je mają - to z zainteresowanych zostaje tylko Bliski Wschód i Korea Północna.

Ferguson wziął łyk wina i przytaknął.

- Czekaj, czekaj - odezwał się Sykes, nachylając się do przodu. - Rozważasz sprzedaż broni bandyckim krajom i terrorystom. To tak, jakbyś naszej ojczyźnie malował na plecach tarczę strzelniczą. Pieprzyć takie interesy. Ja nie zamierzam mieć na sumieniu zatopienia którejs z naszych grup uderzeniowych lotniskowca. Nie jestem zdrajcą i kocham mój kraj.

Stary zmarszczył brwi.

- Panie Sykes, pozwolę sobie panu przypomnieć, że bez względu na to, czy sprzedamy te pociski czy nie, już teraz mogą one zostać użyte przeciwko nam. I coś ci powiem: jeżeli Ameryka straci trochę siły, świat stanie się tylko stabilniejszy.

- To dość mało patriotyczne spojrzenie na sprawę.

- Niech pan przypadkiem nie bierze swojego tchórzostwa za patriotyzm, panie Sykes.

Przez całe życie walczyłem dla tego kraju, po drodze płacąc swoją krwią, proszę więc nie próbować pouczać mnie teraz w kwestii patriotyzmu.

Sykes sarknął.

- Niech mi pan oszczędzi gadki bohatera.

Gdyby nie znajdowali się w miejscu publicznym, pięść Fergusona zetknęłaby się w tym momencie ze szczęką Sykesa.

- Gadki bohatera? - wrzasnął stary. - Jak śmiesz? Poświęciłem zimnej wojnie dwadzieścia pięć lat i własne małżeństwo, abys ty mógł się cieszyć swoimi polerowanymi fornirami i markowymi kremami do twarzy. Ten kraj wciąż istnieje dzięki ludziom takim jak ja, którzy byli gotowi chwycić szpadel i zakopać każde gówno, do którego nikt inny nie chciał się nawet zbliżyć.

Sykes miał się już odezwać, lecz Ferguson nie pozwolił mu dojść do słowa.

- Ale nigdy nie uważałem się za bohatera. Ani razu, rozumiano? I powiem ci, że stanąłem do tej walki ze świadomością, że osiągnięciami nie będę mógł się chwalić, że w miejsce defilad dostanie mi się najwyżej szklanka whisky, a zamiast salwy honorowej z dwudziestu jeden armat czeka mnie gnucie na starość w jakimś zatęchłym zakątku piekła, o którego istnieniu przeciętny zjadacz hamburgerów nie ma nawet pojęcia. Spędziłem życie, troszcząc się o bezpieczeństwo Ameryki i wykończyło mnie to zupełnie, wyssało ze mnie energię do ostatniej kropli. Potem zaś zimna wojna dobiegła końca i - zgadnij co? Dobra robota, udało ci się, wygrałeś. Już po wszystkim. Uścisk dłoni, klepięcie po plecach i wdzięczność, która trwa tyle, ile zajęło wyrażenie podziękowania. Nim się zorientujesz, zostajesz zapomniany, stajesz się przestarzały, uznają cię za relikw przeszczości. Zachowujesz pracę, ale nikomu już tak naprawdę nie zależy, byś ją wykonywał. Twoja specjalistyczna wiedza staje się bezzużyteczna właśnie dlatego, że swoją wojnę już wygrałeś. I co ci pozostaje? Nie pieniądze. Nędznie ci płacili, ale się nie przejmowałeś. Poszedłeś do tej roboty z miłości do ojczyzny. Ale co, kiedy zdajesz sobie sprawę, że ojczyzna miłości tej nie odwzajemnia? Co ci zostaje?

Wziął głęboki wdech.

- Powiem ci co - kontynuował Ferguson. - Nic. Jesteś zbędny. Jesteś pozostałością czegoś. Jesteś stary. Nie mówisz po arabsku. Mówisz po rosyjsku. Po co teraz komu taki ktoś?

Zaszokowany wyraz twarzy Sykesa dał staremu do zrozumienia, że powinien był

siedzieć cicho. Ferguson złapał swój kieliszek burgunda i pociągnął spory łyk.

- Nie chodzi więc o pieniądze - odezwał się w końcu Sykes. - Od samego początku nie zamierzał pan sprzedać tych pocisków naszej armii, prawda? Pragnie pan zemsty. Chce się pan odegrać na Wujku Samie za to, że o panu zapomniał.

Ferguson odstawił kieliszek.

- I tu się mylisz. Mój kraj nie obchodzi mnie już nawet na tyle, by chcieć się na nim mścić. Tu istotnie chodzi o pieniądze. Chcę odszkodowania za wszystkie te lata lojalnej służby, kiedy jeszcze mnie to obchodziło.

- Cóż, ja w tym panu nie pomogę, jeżeli oznaczałoby to sprzedaż pocisków pieprzonym północnym Koreańcom albo komus jeszcze gorszemu.

- I tu się ponownie mylisz, Sykes. Zrobisz dokładnie to, co ci każe, dając z siebie absolutnie wszystko. A wiesz dlaczego? Bo współuczestniczyłeś w wielu zabójstwach. Przez ciebie zginęli obywatele Stanów Zjednoczonych, a może już o tym zapomniałeś? Po czymś takim pudło gwarantowane.

Sykes spojrzał twardo na Fergusona.

Stary dopił końcówkę wina.

- Panie Sykes, niech pan tak na mnie nie patrzy. Kiedy raz się sprzeda duszę diabłu, nie można później prosić o jej zwrot.

NIKOZJA, CYPR

SOBOTA 02:59 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Ćwiczenia fizyczne zawsze pomagały mu oczyścić umysł i odzyskać koncentrację.

Prosta przyjemność zmęczenia fizycznego była czymś, czego większość ludzi starała się na co dzień za wszelką cenę uniknąć. Reed nie mógł tego pojąć, zarazem jednak i bez tego nie pojmował działań większości ludzi. Stęknął. Stopy miał oparte na wysokim łóżku, co zwiększało stopień trudności wykonywanych pompek na jednej ręce. Oddychał z wysiłkiem.

Po nosie spływał mu pot.

Wyświetlacz smartfona rozbłysnął, dekoncentrując i wytrącając go z rytmu. Zacisnął

oczy, by odzyskać skupienie, zdecydowany za wszelką cenę nie przerywać. W ćwiczeniach chodziło o pokonanie organizmu siłą umysłu, a gdy ciało było tak idealnie ukształtowane, zadanie to nie należało do łatwych.

Walczył dalej - wydech, w górę, wdech, w dół i znowu. W końcu opadł, nie będąc w stanie ćwiczyć dalej. Przez dłuższą chwilę leżał z twarzą na dywanie, starając się odzyskać oddech.

Wszystkie światła w jego pokoju hotelowym były wygaszone i Reed poruszał się tylko opierając się na własnej zdolności widzenia w ciemności. Kiedy podniósł telefon, aparat wydał mu się ciężki, wiedział jednak, że zmęczenie prędko minie. Był u szczytu swej formy fizycznej. Nowa wiadomość pochodziła od jego ostatniego klienta. Usiadł na brzegu łóżka, by ją przeczytać.

Kolejna robota. Reed chłonał wymienione szczegóły i przez moment się zastanawiał.

Warunki zlecenia wymagały, by bezzwłocznie udał się do Afryki, cel można było jednak zlikwidować dopiero po uzyskaniu zgody od zleceniodawcy, który zaręczał, że przy zdolnościach Reeda ofiara będzie łatwym celem. Anglik potrząsnął głową. Sposób, w jaki odwoływano się do jego próżności był wyjątkowo oczywisty, nawet jak na klienta, który - jak zgadywał - był Amerykaninem.

Pomysł przyjęcia kolejnego zlecenia bezpośrednio po realizacji pięciu innych nie był

czymś, na co Reed normalnie by przystał. Jak najszybciej powinien wrócić do firmy. Jeśli nie chciał przysporzyć sobie problemów, za jednym razem mógł sobie pozwolić tylko na określoną nieobecność. Co więcej, niezbyt podobała mu się perspektywa wylotu do Tanzanii, by na miejscu wyczekiwać, aż klient zezwoli działać dalej. Perspektywa kolejnej sporej wpłaty na jego konto była jednak bardzo zachęcająca.

Reed napisał odpowiedź i wysłał ją do klienta. Spojrzał na zegarek. Zbyt późno, by ruszać w podróż, postanowił więc najpierw kilka godzin się przespać. Wziął z łóżka poduszkę i umieścił ją na podłodze. Położył się na plecach kładąc w zasięgu ręki nóż.

Dokładnie trzy godziny później obudził się i zadzwonił do recepcji, prosząc o zorganizowanie w jego imieniu podróży. Następnie wziął prysznic, ubrał się i spakował

rzeczy. Poszedł do recepcji, gdzie się wymeldował i uzyskał informacje na temat zarezerwowanego lotu.

Przed hotelem Reed wsiadł do taksówki i kazał kierowcy zawieźć się na lotnisko.

Jeszcze nigdy nie był w Tanzanii, Nawet jeżeli z roboty nic nie wyjdzie, będzie miał okazję poznać nowy kraj.

*

Gdy taksówka Reeda ruszyła, mężczyzna stojący po drugiej stronie ulicy opuścił

trzymaną gazetę. Ubrany był jak zwykły turysta: miał na sobie kąpielówki, koszulkę, okulary przeciwsłoneczne i czapkę

bejsbolówkę. Począł, aż taksówka przejedzie skrzyżowanie i zniknie w oddali, po czym wyrzucił gazetę do kosza i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Popołudnie było ciepłe.

Mężczyzna zdjął czapkę i wszedł do hotelu. Minał przestronny hol i wszedł do windy, zachowując się jak gość wracający do swojego pokoju. Z pomocą karty chipowej, jaką dzień wcześniej ukradł pokojówce, otworzył drzwi jednego z pokoi. Wszedł, zamknął drzwi za sobą i sięgnął pod łóżko. Po chwili natrafił na urządzenie i wyrwał je spod materaca.

Urządzenie składało się z dwóch części: niewielkiego odbiornika radiowego oraz dołączonego cyfrowego rejestratora dźwięku. Wiktor usiadł na łóżku i przewinął materiał

nagrany przez reagujący na hałas rejestrator, nie zwracając uwagi na zapisane odgłosy używanego przez pokojówkę odkurzacza, zamykanych drzwi czy kilku programów telewizyjnych. Dopiero ostatniego nagrania wysłuchał dwukrotnie, czyniąc przy tym notatki na małej kartce.

Odkręcił śruby na obu końcach słuchawki hotelowego telefonu i otworzył obudowę.

Wewnątrz, wokół odsłoniętych fragmentów miedzianego drutu, jaki przechodził przez całą słuchawkę, były ciasno owinięte końcówki dwóch nowych drutów. Tworzyły one obwód, który pod postacią zmiennych prądów elektrycznych przekazywał fale dźwiękowe między głośniczkami a mikrofonem.

Nowe druty były z kolei podłączone do nadajnika wielkości kapsla, przyklejonego do wnętrza obudowy aparatu. Nadajnik emitował sygnał przepływający drutami pod postacią fal radiowych. W związku z tym, że był tak małych rozmiarów, wysyłany sygnał miał bardzo niewielką moc i docierał jedynie na małą odległość. Aby mieć pewność, że nagranie będzie najwyższej możliwej jakości, Wiktor umieścił odbiornik zaledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej, pod łóżkiem.

Teraz usunął nadajnik wraz z okablowaniem ze słuchawki, po czym na powrót ją zmontował. Wyszedł z pokoju i wrócił do holu. Już przed hotelem karta chipowa, odbiornik radiowy oraz nadajnik dołączyły do zalegającej w koszu gazety.

W nocy, kiedy doszło do eksplozji, od razu zidentyfikował zabójcę. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Nikt, będąc świadkiem wybuchu bomby, nie zachowuje się w taki sposób. Chyba że ową bombę sam podłożył. Facet odszedł swobodnym krokiem, sprawiając wrażenie absolutnej bez troski. Miał na sobie spodnie koloru khaki i białą koszulę z długim rękawem. Wyglądał na turystę, a nie na płatnego zabójcę. I o to właśnie chodziło.

Zauważył, że zabójca zachowuje się tak, jakby chciał zgubić ogon, chociaż przecież myślał, że zadanie zakończyło się sukcesem. Nigdy nie szedł dłużej tym samym krokiem, niekiedy przechodząc na drugą stronę ulicy bez konkretnej przyczyny, by jakiś czas później przejść z powrotem. Często przystawał i spoglądał w sklepowe witryny, starając się dostrzec w odbiciu kogoś, kto mógłby akurat go śledzić. Był dobry, wręcz bardzo dobry.

Podążał za nim, poruszając się tak jak on i pozostając poza jego polem widzenia.

Trzymał się blisko, chowając twarz za rozdzielającym ich tłumem. Pomimo środków ostrożności, zabójca nie działał jednak tak sumiennie, jakby mógł. Ale obniżenie czujności, kiedy robota dobiegła końca, a zagrożenie minęło, stanowiło błąd, który w pewnym momencie popełniał każdy.

Poprawił się w myślach. Prawie każdy.

Odkrył, w którym hotelu nocował zabójca i przekupił recepcjonistę, by podał mu numer pokoju. Po wykradzeniu karty chipowej skorzystał z chwili, gdy gość jadł obiad w hotelowej restauracji i umieścił w jego pokoju pluskwę. Dzięki temu teraz już wiedział, że jego cel planuje opuścić Cypr, wiedział, w jakim kierunku zamierza się udać, a nawet znał

numer jego lotu.

Wyjazd zamachowca świadczył o tym, że wrogowie Wiktora uwierzyli, że zginął w wybuchu. Nie był już więc celem. Przy tak dużych zniszczeniach spowodowanych pożarem władze być może nigdy nie odkryją, że w chwili eksplozji tylko jeden z dwóch gości był

obecny w pokoju. Musiał już tylko opuścić wyspę i zniknąć. Nawet, jeśli jego wrogowie w końcu zdaliby sobie sprawę z tego, że przeżył, byłby już wiele tysięcy kilometrów dalej, skryty za nową twarzą i nowym życiorysem. Nigdy nie zdołaliby go znaleźć.

Plan zakładał zabicie każdego, kto pragnął jego śmierci, wyeliminowanie zagrożenia i utrzymanie się przy życiu. Teraz nie musiał już tego robić. Mógł dalej żyć spokojnie, nie obawiając się na każdym kroku kuli zamachowca.

Wygrał.

Zatrzymał taksówkę i kazał kierowcy wieźć się na lotnisko. Siedział z tyłu i bez słowa wpatrywał się w krajobraz za oknem. Myślał o tym, dokąd mógłby pojechać, o wszystkich tych miejscach, w których jeszcze nie był, a dokąd zawsze pragnął się udać. Rozsądek podpowiadał, że najpierw najlepiej byłoby wyjechać gdzieś do Ameryki Południowej.

Hiszpański opanował całkiem nieźle, a w krótkim czasie mówiłby płynnie. Tam mógłby sobie kupić nową tożsamość, prawdziwą, stać się na przykład obywatelem Argentyny. Stamtąd zaś, kto wie, dokąd by się udał?

Jakkolwiek jednak pomysł wydawał się rozsądny, nie wybierał się do Ameryki Południowej. Najpierw musiał bowiem coś załatwić. Coś, co w innym wypadku męczyłoby go przez resztę życia. Coś, czego nigdy przedtem nie pragnął.

Musiał się zemścić.

ROZDZIAŁ 68

HARRISBURG, WIRGINIA, STANY ZJEDNOCZONE

SOBOTA 08:12 CZASU WSCHODNIEGO

- W młodości zawsze chciałem jeździć konno - wyznał Procter. Jego założone ramiona spoczywały oparte na solidnym drewnianym płocie. Na polu po jego drugiej stronie pasły się dwa gniade konie rasy Quarter Horse. - Nigdy jednak nie miałem okazji. A teraz jestem za stary i za gruby, żeby spróbować. - nie wyglądał na zmartwionego tym oświadczeniem. - To niesamowite stworzenia, pełne charakteru i gracji.

Alvarez stał u boku Proctera.

- Ja tam widzę tylko dwie durne bestie wpięprzające trawę.

Procter zaśmiał się i spojrział na niego.

- Czyli nigdy nie chciałeś być kowbojem?

- Słyszałem, że konina smakuje całkiem nieźle.

Byli w samym sercu wiejskich terenów Wirginii, w krainie gospodarstw rolnych.

Samochody zostawili na wąskiej drodze otoczonej polami. Jak na razie nie przejechały tamtędy żadne inne pojazdy. Świeciło słońce, lecz powietrze było rześkie. Procter pod płaszczem ubrany był w jeansy i luźną koszulę. Alvarez miał na sobie garnitur i płaszcz. Od tygodni praktycznie nie ubierał się w nic innego.

Procter obrócił się.

- Jak minął lot?

- Był długi.

- Domyślam się. Wyglądasz na wymęczonego.

- Jestem padnięty jak pies.

Procter zatarł rękę.

- Powinieneś spróbować położyć się do łóżka. Słyszałem, że zalecają to jako lek na zmęczenie.

- Później się prześpię.

- W samochodzie mam termos. Chcesz się napić kawy?

Alvarez potrząsnął głową.

- Staram się ograniczyć kofeinę.

- Naprawdę?

- Nie służy organizmowi.

- I jak ci idzie?

- Nie najlepiej.

Procter ponownie się odwrócił i oparł się o płot. Drewno skrzypnęło ostrzegawczo.

- Udaj, że tego nie słyszałeś - rzucił.

- Ale czego?

Dyrektor od zawsze był facetem dosłownie wielkiego formatu, lecz z braku garnituru, który mógłby go trochę wyszczuplić, wyglądał, jakby swymi kilogramami mógł obdzielić co najmniej dwie osoby. Alvarez, u którego tkanka tłuszczowa stanowiła zaledwie kilka procent masy ciała, dostrzegł u szefa zapowiedź ataku serca.

- Jest sobota - oświadczył Procter. - Weekend.

- Wiem.

- Wiesz, co to jest weekend?

- Kiedyś wiedziałem.

- A zatem co takiego zaprzęta ci głowę i nie może poczekać do poniedziałku?

- Kobieta.

Procter uśmiechnął się.

- Mój tata zwykł mawiać, że za gniewnym spojrzeniem każdego mężczyzny stoi przedstawicielka płci pięknej.

- To zapewne prawda - przyznał Alvarez. - Ale tu nie chodzi o jakąś tam kobietę. -

Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza notes i go otworzył. - Chodzi o Reбекę Sumner, alias Rachel Swanson, obywatelkę Stanów Zjednoczonych, niegdyś jedną z nas, wcześniej pracowniczkę wywiadu, która jeszcze jakieś cztery miesiące temu pracowała w departamencie Europy.

Wyraz twarzy Proctera stał się poważniejszy.

- To ta kobieta, która spotkała się z zabójcą Ozolsa?

Alvarez przytaknął.

- Była z niej dobra analityczka, ambitna, ciężko pracowała, budowała karierę i tak dalej. Zrezygnowała z pracy, by przejść do sektora prywatnego. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że chodzi po prostu o kolejnego pracownika administracji państwowej, który odchodzi za pieniędzmi. Tyle tylko, że ona akurat nie podjęła pracy nigdzie, gdzie można byłoby się tego spodziewać. Trzy tygodnie po tym, jak odeszła od swojego biurka w CIA, z fałszywym paszportem wyjechała z kraju. Udała się do Francji

i wynajęła niewielkie mieszkanie w Marsylii, płacąc z góry czynsz za sześć miesięcy. I to w gotówce.

Procter przybrał sceptyczny wyraz twarzy.

- Z pensji analityka?

- Jeśli tak - odparł Alvarez - to ja pracuję na niewłaściwym stanowisku i w tym momencie może pan przyjąć moją ustną rezygnację. Ale nie, poczynionemu przez nią depozytowi za wynajem nie odpowiadają żadne wypłaty z jej konta. Ktoś inny musiał jej te pieniądze przekazać. Nie znalazła we Francji zatrudnienia, lecz co miesiąc na jej amerykańskie konto bankowe ktoś przelewał równowartość jej dotychczasowej pensji w CIA.

- Nie żartuj.

Alvarez przerzucił parę stron.

- W środę francuska policja weszła do jej mieszkania i znalazła tam parę rzeczy godnych zainteresowania, jak na przykład zlew pełen spalonych dokumentów oraz sprzęt łącznościowy. Brakowało połowy jej ciuchów. Szuflady komód były powyciągane. Drzwi do mieszkania też były otwarte.

- Co ją tak wystraszyło?

- Sąsiad zeznał, że Sumner opuściła mieszkanie w piątek wczesnym rankiem. Nim wyszła, kilkakrotnie zadzwoniła na komórkę Johna Kennarda. Ten, rzecz jasna, już wtedy nie żył. Sumner nie zostawiła żadnej wiadomości. Nigdy wcześniej do niego nie dzwoniła.

Podczas służby w Agencji nigdy razem nie pracowali, nie szkolili się też razem na Farmie.

Mieszkali w odległości ponad trzydziestu kilometrów od siebie, poruszali się w odmiennych kręgach towarzyskich, nie łączyły ich więzy rodzinne ani nic innego, co by wyjaśniało, skąd miała jego numer. Wygląda na to, że kiedy zadzwoniła, a on nie odebrał, spakowała manatki i się zwinęła.

- Do Paryża.

Alvarez skinął głową.

- Jej kuzyn ma w mieście mieszkanie, gdzie się zatrzymała. Jednak nie zdążyła spędzić tam choćby jednego dnia, gdyż francuskie władze podjęły próbę zatrzymania podejrzanego, który w ich ocenie odpowiadał za masakrę w hotelu. Zauważono, jak wszedł

do budynku w towarzystwie Sumner. Ciąg dalszy, rzecz jasna, już znamy. Zabójca zna tę kobietę, a ona zna Kennarda. Przyjmijmy na chwilę, że pracowali razem. Kennard był w Paryżu i razem ze mną starał się uzyskać od Ozolsa współrzędne zatopionych pocisków. Miał

dostęp do wszystkich moich notatek. Co więcej, był w pobliżu, gdy Ozols wyznaczył mi czas i miejsce spotkania. Być może przekazał wiadomość Sumner, a ona poinformowała zabójcę.

Niezły układ. Skuteczny. I mało ryzykowny. Coś jednak idzie nie tak, bo Kennard ginie, a to płoszy Sumner, która wyjeżdża z Marsylii. Myśli, że jest następna na liście, spotyka się więc z zabójcą Ozolsa, który sam przeżył zamach na własne życie. Tymczasem Hoyt topi się we własnej wannie.

- Czystka.

- W rzeczy samej.

- Więc kto za tym stoi?

- Nie jestem w stu procentach pewien - szczerze przyznał Alvarez. - Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by Sumner i Kennard, dwoje młodych pracowników CIA, nagle stało się najemnikami. Kennard może jeszcze, ale fakt że Sumer otrzymywała wynagrodzenie równe dotychczasowej pensji, sugeruje, że ktoś mógł jej wmówić, że uczestniczy w legalnej, ale nieoficjalnej

operacji CIA.

- Tylko ktoś z wewnątrz Agencji mógłby wyciąć podobny numer - oświadczył

Procter. - Podejrzewasz kogoś, prawda?

- Nie mam żadnych dowodów.

- Kontynuuj.

- Proszę pomyśleć: rosyjskie pociski, o udziale Hoyta wiedziało tylko sześć osób.

Jedną z nich jestem ja, kolejną - technik w paryskiej ambasadzie, a pozostałe to czworo obecnych w sali konferencyjnej w chwili, gdy przedstawiałem moje sprawozdanie.

- I do tej czwórki należą ja sam - zauważył Procter.

Alvarez przytaknął.

Procter wypuścił nieco powietrza. Potrząsnął głową.

- Stary drań w przyszłym roku przechodzi na emeryturę.

- Może chce trochę odłożyć w ramach dodatkowej odprawy.

Procter wyglądał na zamyślonego. Przez dłuższą chwilę nie wypowiedział ani słowa.

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Antonio - powiedział wreszcie. - Ale zważywszy na delikatny charakter tego, co mi właśnie powiedziałaś, nie chcę, byś z kimkolwiek o tym rozmawiała. Łącznie ze mną.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Pawiem ci dlatego, że cię lubię, a nie dlatego, że musisz o tym wiedzieć - wyjaśnił

Procter. - Od jakiegoś czasu byłem świadom, że mamy wewnątrz Narodowej Służby Tajnej problem z kimś, kto gra według własnych zasad. Nie pierwszy raz zdarza nam się coś takiego.

Już od pewnego czasu kilku moich ludzi przygląda się tej sprawie - odprowadzili wzrokiem przejeżdżający drogą samochód, aż zniknął na horyzoncie. - Jak dotąd nie byłem w stanie zbliżyć się do jej sedna. Nigdy też bym nie pomyślał, że człowiekiem, którego ścigam, jest Ferguson, teraz jednak wygląda, że chyba dokonaliśmy tak ważnego przełomu w śledztwie.

Twoja pomoc do tej pory była wprost nieoceniona, lecz jesteś za bardzo w to uwikłany. Ty...

Alvarez zmarszczył czoło. Zmienił pozycję.

- Proszę pana, niech mnie pan nie odsuwa od sprawy teraz, gdy tak niewiele mi brakuje, by przyszpilić gnoja. Jeśli Ferguson istotnie stoi za tym wszystkim, a my zdołamy go dopaść, potem będziemy mogli schwytać zabójcę Ozolsa, jak również tego, kto zamordował

Johna. Wyłapiemy ich co do jednego.

Procter położył rękę na ramieniu Alvaraza.

- Doceniam twoje zaangażowanie, ale zrobiłeś tyle, ile mogłeś. Jeżeli to Ferguson, to wie, że jesteś na jego tropie. Prawdopodobnie jego ludzie obserwują każdy twój ruch.

- Naprawdę tak pan uważa?

- A czemu nie? Stary tak bardzo troszczył się o zacieranie śladów, że zabił lub spróbował zabić każdego, kto znał choćby kawałek tej układanki. Jeśli tak w istocie jest, możesz być pewien, że będzie miał na oku kogoś, kto stara się te kawałki

poskładać do kupy.

Alvarez rozejrzał się wkoło. Sięgnął myślami wstecz, starając się przypomnieć, czy widział cokolwiek, co mogłoby oznaczać, że go obserwowano. Niczego takiego nie zauważył, lecz może po prostu uszło to jego uwadze. Alvarez był przyzwoitym agentem terenowym, nie miał jednak złudzeń co do swoich umiejętności. Nie dałby głowy, że nikt go nie śledził.

- To co teraz robimy?

- Jeśli będziesz otwarcie kontynuował dochodzenie, możliwe, że poczuje się zmuszony porzucić swoje plany i nigdy już tak bardzo się do niego nie zbliżymy. Nie możemy na to pozwolić. Udamy, że jest po sprawie i wtedy Ferguson poczuje się bezpiecznie.

Tymczasem my poszukamy dowodów. Ty nie możesz brać w tym udziału. Zwróć uwagę, co się stało, gdy dowiedziałeś się o Hoycie. Dwadzieścia cztery godziny później facet już nie żył.

Alvarez nie był w stanie ukryć rozczarowania.

- Przez ostatnie dwa tygodnie zasuwałem jak szalony, starając się wytropić zabójcę Ozolsa, a także tego cholernego pendrive'a, co kosztowało mnie dobrych parę kilogramów -

już nawet nie wspominając o pięciu miesiącach, jakie zajęto mi przekonanie byłego radzieckiego oficera, by poszedł na układ, co pozwoliłoby nam przejąć te pociski i nie dopuścić, by wpadły one w łapy jakichś wrednych sukinsynów. Mój kolega nie żyje, a zabili go ci sami, którzy zamordowali Ozolsa, Odpowiada za to ktoś z Langley. Jeśli to Ferguson, znaczy, że jest pieprzonym zdrajcą, któremu sam uściskałem dłoń, a pan teraz chce, bym tak po prostu odpuścił.

Tylko dzięki najwyższemu wysiłkowi udało mu się nie podnieść głosu.

Procter spojrział na niego ze współczuciem.

- Nie odpuścił, tylko przekazał sprawę. Zrobiłeś wszystko, co tylko mogłeś.

- Proszę pana, sędzę, że bez niczyjej wiedzy nadal mogę uczestniczyć w dochodzeniu.

Możemy...

Procter odszedł od ogrodzenia i wskazał breloczkiem w stronę swojego auta.

- Antonio, podjąłem już decyzję.

Poczył parę kroków naprzód, po czym się odwrócił.

- Zrób wydruki wszystkiego, co masz na ten temat i w poniedziałek rano dostarcz mi je do biura. Własne kopie zniszcz. To rozkaz.

Alvarez wziął bardzo głęboki wdech na uspokojenie.

Dotychczas pasące się konie zerwały się do biegu. Procter obserwował je przez chwilę, po czym zwrócił się do Alvareza.

- Jedź do domu - poradził olbrzym. - Wróć do siebie i się trochę wyśpij.

*

Kostki Alvareza białą zaciśniętą na kierownicy jego samochodu. Wzrok wbił przed siebie, dostrzegając szosę i panujący na niej ruch, lecz skupiając się na jakimś punkcie na horyzoncie. Z każdym głębokim, regularnym wydechem rozdymał nozdrza. Kipiący w nim gniew sprawiał, że serce głośno mu waliło. Nie był pewien, jak długo już prowadzi - co najmniej godzinę, a być może dwie. Nie wiedział, dokąd jedzie, nie zmierzał jednak w żadnym konkretnym kierunku. Mijał te same punkty, przejeżdżał te same skrzyżowania, krążąc po okolicy, aby wyperswadować sobie - a przynajmniej spróbować - zrobienie czegoś głupiego.

Nic to jednak nie dawało. Im więcej myślał, tym większa ogarniała go wściekłość, aż wreszcie tam, gdzie dotychczas trzykrotnie skręcał w lewo, skręcił w prawo, by po dwudziestu minutach zwolnić i przejechać obok wielkiej kolonialnej rezydencji, gdzie uwił

sobie gniazdo pewien zdradziecki dupek. Willa prezentowała się przyjemnie, to nie ulegało akurat wątpliwości, Alvarez zaś zastanawiał się, ile z tego sfinansowały dolary pochodzące od kogoś innego niż od Wujka Sama. Wnosząc po dwóch samochodach na podjeździe, Ferguson był w domu.

Kilka posesji dalej Alvarez zatrzymał wóz po przeciwnej stronie ulicy. Wyłączył

silnik i wyregulował lusterka, aby móc obserwować podjazd rezydencji starego agenta.

Spojrzał na zegarek i doszedł do wniosku, że nie będzie długo czekać.

Gdyby znajdował się gdziekolwiek indziej, już by zasnął, lecz gniew, adrenalina i determinacja powstrzymywały zmęczenie. Czekał zaledwie dziesięć minut. Facet w oliwkowym fordzie zatrzymał się dwie posesje dalej po tej samej co on stronie ulicy, po przeciwnej stronie posiadłości Fergusona. W odbiciu Alvarez ujrzał, że gość również zmienił

ustawienia swoich lusterek.

Dobrze. Alvarez martwił się, że Procter nie zadziała wystarczająco szybko, tymczasem szef bezzwłocznie zadzwonił i ściągnął kogoś, by mieć oko na Fergusona. Bardzo dobrze. Dzięki temu rozwścieczony agent nie mógł już kopniakiem otworzyć drzwi domostwa i zagrozić staremu dupkowi, że jeśli nie przyzna się do wszystkiego, to go rozwali, Alvarez odczekał minutę czy dwie, po czym włączył silnik. Zauważył, że facet w oliwkowym fordzie zwrócił na niego uwagę i pomyślał, że zostanie na tę okoliczność sporządzona notatka. Procter, gdy się dowie, zapewne da mu popalić, lecz po wszystkich fajerwerkach, jakie już tego ranka Alvarezowi zafundowano, przypominać to będzie raczej relaksujący dymek.

Ruszył w stronę Waszyngtonu, nieznacznie przekraczając dozwoloną prędkość i w przyzwyczajonym czasie dotarł do zamierzonego celu. Ponownie zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i w lusterkach wstecznych obserwował budynek. Sykes mieszkał na trzecim piętrze sztywnej szeregowej kamienicy z piaskowca, która - zważywszy na jego zarobki - powinna być zdecydowanie poza jego zasięgiem. Alvarez wiedział, że rodzice Sykesa to ludzie majątni, nie zamierzał więc wyciągać pochopnych wniosków i przyjmować, że gość się sprzedał, opierając się tylko na jego miejscu zamieszkania.

Ulicą przejeżdżały kolejne samochody, Alvarez nie dostrzegł jednak żadnej ekipy obserwacyjnej. Rozumiał, że śledzenie ludzi, a zwłaszcza tych z Agencji, kosztuje niemało, zaś podejrzanym był Ferguson, a nie Sykes. Alvarez był jednak przekonany, że jeżeli cała sprawa jest nielegalną akcją kierowaną przez starego drania, w żadnym wypadku nie działa on w pojedynkę.

Ferguson był zbyt dokładny i zbyt ostrożny, by osobiście ubrudzić sobie ręce. Między nim a ludźmi w terenie musiał istnieć jakiś łącznik. Jeśli nie byłby nim Sykes, Alvarez musiałby poszukać gdzie indziej, lecz jeśli chodziło właśnie o niego, to Alvarez nadal pracował nad sprawą przez sam fakt siedzenia w samochodzie. Procter polecił mu trzymać się z dala od Fergusona. Ale o Sykesie nie wspominał ani słowem.

Po godzinie Alvarez poczuł, że musi udać się na stronę, lecz dziesięć minut później zdążył o swoim pęcherzu zupełnie zapomnieć. We frontowych drzwiach budynku ukazał się Sykes. W ręku trzymał walizkę i wyglądał, jakby się spieszył. Alvarez podciągnął się na siedzeniu i uważnie obserwował, jak agent zatrzymuje taksówkę. Kiedy ta podjechała do krawężnika, włączył silnik, a gdy Sykes wszedł do pojazdu, Alvarez wrzucił w swoim dodge'u bieg.

Śledzenie taksówki nie sprawiało mu trudności. Trzymał się dwa pojazdy z tyłu i szybko stwierdził, że wóz zmierza na lotnisko Dullesa. Być może Sykes wybierał się na jakieś nasłonecznione wybrzeże Oceanu Indyjskiego.

Alvarez wyciągnął telefon komórkowy i przeszukał książkę telefoniczną, aż natrafił na nazwisko osoby, której szukał. Nacisnął wybieranie, przełączył aparat w tryb głośnomówiący i położył go sobie na kolanach, by móc obie ręce znów położyć na kierownicy.

Po siedmiu sygnałach w telefonie odezwał się głos.

- Tak?

- Joe, tu Antonio. Proszę cię o przysługę i to szybko.

- Człowieku, ja jestem federalnym tylko od poniedziałku do piątku. W tej chwili jestem z dzieckiem w parku. Sprawa nie może poczekać?

- A dzwoniłbym, gdyby mogła?

Chwila ciszy.

- No dobra, co mogę dla ciebie zrobić?

- Chcę, żebyś sprawdził transakcje dokonywane kartą kredytową przez niejakiego Kevina Sykesa.

To powiedziawszy, podał rozmówcy należący do śledzonego agenta adres oraz numer ubezpieczenia.

- Czego mam szukać?

- Kupił bilet lotniczy, a ja muszę wiedzieć dokąd się wybiera.

- Ile mam czasu?

- Facet jest w drodze na lotnisko, więc nie za wiele.

- Żona krzywo się na mnie patrzy. Dzisiejszej nocy nie mam na co liczyć.

- Proszę, daruj mi szczegóły i się pośpiesz. To ważne.

- Już dzwonię do biura.

Alvarez podziękował i się rozłączył. Po jedenastu minutach jego telefon zadzwonił.

- Dobra, twój przyjaciel Sykes przy pomocy karty American Express kupił sobie bilet z lotniska Dullesa do Kilimandżaro w Tanzanii przez Paryż i Amsterdam. Samolot linii Air France odlatuje o czwartej piętnaście. Czeka go dwudziestoczworogodzinny lot. Domyśliłem się, że skoro chciałeś wiedzieć, dokąd leci, zainteresuje cię też, dokąd się wybiera już po dotarciu na miejsce.

- Owszem. Dokąd?

- Do tanzańskiej miejscowości Tanga. To gdzieś na wybrzeżu. Zarezerwował sobie pokój w tamtejszym hotelu.

- Skąd to do diabła wiesz?

- Stąd, skąd wiem o locie. Dzięki karcie kredytowej.

- Cholera, nawet o tym nie pomyślałem.

- Cóż, jesteś chyba przemęczony.

- Bo i jestem.

- No to masz. A tak poza tym, to nigdy nie byłeś szczególnie bystry.

Kilka sekund później Alvarez zadzwonił na lotnisko. Nie mógł zaryzykować wybrania się tym samym lotem, co Sykes, nawet jeśli osobiście spotkali się zaledwie parę razy w życiu.

Dowiedział się, że kolejny samolot Air France wylatuje sześć godzin później, co dawałoby Sykesowi zbyt dużą przewagę. Jednak dowiedział się, że wylatującym godzinę po Sykesie samolotem linii Northwest mógł dostać się bezpośrednio do Amsterdamu, by zdążyć na ten sam lot do Tanzanii. Na dodatek tak wychodziło taniej.

Pozytywnie zaskoczony Alvarez bez wahania podał rozmówcy dane ze swojej karty kredytowej. Jeżeli Sykes udawał się do

Tanzanii, mogło to oznaczać tylko jedno.

Wiedział, gdzie są pociski.

ROZDZIAŁ 69

OSIEMDZIESIĄT MIL NA WSCHÓD OD TANGA

TANZANIA

17:27 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Sykes mrużył oczy przed blaskiem popołudniowego słońca. Stał na pokładzie komercyjnej jednostki wydobywczej wynajętej przez Dalwega i Wiechmana. Byli to dawni komandos z jednostki SEAL, prowadzący obecnie własną firmę nurkowo-wydobywczą na wybrzeżu Kenii, kilkaset kilometrów na północ. Zanim odeszli ze swych oddziałów, w dokumentacji przebiegu ich służby pojawiło się nieco mało chwalebnych faktów, zwłaszcza w wypadku Dalwega. Wydalono go z marynarki za pobicie prostytutki, która w wyniku obrażeń o mały włos nie straciła życia. Mimo to dawni komandosi byli już wcześniej zatrudniani przez Agencję przy tajnych akcjach i umieli trzymać język za zębami.

Obaj najemnicy przybyli do Tanga dzień przed Sykesem i wynajęli łódź, jak również zakupili sprzęt, którego nie byli w stanie przewieźć przez granicę. Jeszcze zanim umówiony agent pojawił się na miejscu, na konto przedsiębiorstwa Dalwega i Wiechmana przelano całkiem sporą sumkę. Po zakończeniu misji mieli otrzymać drugie tyle.

Zgodnie z instrukcjami Fergusona Sykes początkowo poinformował ich tylko o ogólnych zarysach operacji, wszelkie szczegóły zaś przekazał dopiero, gdy znaleźli się na łodzi.

- W takim wypadku stawka rośnie o dwadzieścia pięć procent - odparł Dalweg.

Sykes zapewnił go, że przypilnuje tego, gdy tylko operacja dobiegnie końca.

Przewidując taki scenariusz, zaproponował najemnikom tylko połowę kwoty, jaką Ferguson był gotów im zapłacić, dzięki czemu nawet wobec wzrostu ceny mógłby zachować dla siebie ładnych parę tysięcy. W swoim mniemaniu jako pośrednik radził sobie całkiem nieźle, a świadomość, że udało mu się orznąć tego dupka Fergusona, tylko zwiększała satysfakcję, jaką przez to odczuwał.

W opinii Sykesa Dalweg i Wiechman zachowywali się jak typowi byli wojskowi, a dokładniej - typowi byli komandosi. Byli potężni i spaleni słońcem. Ich ogorzałe twarze poorane były zmarszczkami, a w ich oczach czaiło się niebezpieczeństwo. Obaj mieli około czterdziestki i nosili w sobie blizny i opowieści właściwe tylko tym, którym przyszło w gniewie strzelać do wroga. Pomimo zdradzanego przez najemników zamiłowania do przekleństw i niewyszukanego poczucia humoru, Sykes doszedł do wniosku, że byli profesjonalistami w każdym calu.

Odkąd łódź wypłynęła z portu, robiło się coraz cieplej. Sykes nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak bardzo się pocił. Miał na sobie długie szorty oraz koszulkę, pod pachami i na środku której znajdowały się ciemne plamy. Zdjąłby po prostu T-shirt, lecz pomimo cotygodniowych wizyt w siłowni czuł się teraz wyjątkowo skrępowany własnym wyglądem.

Był w towarzystwie byłych komandosów, których bicepsy przewyższały obwodem jego uda.

I bez obnażania swej oponki wiedział, że spoglądają na niego z lekceważeniem, uznając za gryziopórka z za szpiegowskiego biurka, który w terenie nie ma czego szukać.

Zanurkowali dwadzieścia minut temu, zapewniwszy Sykesa, że zejście rozpoznawcze nie zajmie im więcej niż pół godziny. Przy pomocy standardowych butli do nurkowania opuścili się na dno, aby przyrzeć się wrakowi i pociskom. Następnie mieli się wynurzyć i zastanowić się nad najodpowiedniejszą metodą ich wyciągnięcia. Przy odrobinie szczęścia zdołaliby powrócić do portu przed zmierzchem, a to, czego nie wydobyliby dzisiaj, mogliby zabrać nazajutrz.

Do pokładu przymocowany był duży podnośnik hydrauliczny, obok którego spoczywało sporo sprzętu, którego zastosowania Sykes się nie domyślał. Zarazem jednak nie chciał się z tym ujawniać, dlatego powstrzymał się od zadawania pytań. Zdawał sobie sprawę, że to wyposażenie wydobywczo-niszczące, na tym jednak jego znajomość tematu się kończyła. Odkręcił butelkę

z wodą i napił się.

Ocean zachowywał się o wiele spokojniej, niż Sykes się spodziewał. Był jednak zagorzałym zwolennikiem lądu stałego i zdecydowanie przedkładał basen z leżakiem nad plażowanie i surfing. Na wszelki wypadek łyknął swego czasu kilka pigułek na chorobę morską i oto nadeszła pora, by zażyć kolejną porcję.

W innych okolicznościach beczymne czekanie byłoby frustrujące, teraz jednak Sykes pogrążony był w rozmyślaniach. Do niedawna fantazjował o pełnych dolarów walizkach oraz rachunkach bankowych z masą zer po przecinku. Otóż to, do niedawna. Niezwykle niebezpieczne zajścia na przestrzeni ostatnich tygodni, w połączeniu z prawdziwymi zamiarami Fergusona, wywoływały w nim poczucie winy. Gdyby sam nie był tak bardzo w to zamieszany, poszedłby prosto do Proctera i o wszystkim mu opowiedział. Poczyniona przez starszego kolegę z Agencji uwaga na temat możliwej kary śmierci wciąż rozbrzmiewała mu w myślach.

Bez względu na to, co miało się jeszcze wydarzyć, jednego Sykes był pewien. To nie mogło się dobrze skończyć.

Ferguson okazał się całkowicie pozbawionym skrupułów i mściwym draniem, któremu nie można było ufać. Po tym, jak wyeliminował wszystkich, którzy znali jego plany, jaką Sykes mógł mieć pewność, że sam nie okaże się zagrożeniem, które należałoby usunąć?

Myśl ta sprawiła, że od chwili, gdy Ferguson polecił mu udać się do Tanzanii, Sykes prawie nie zmrużył oka. Sięgnął ręką na tył spodnek i upewnił się, że SIG-Sauer wciąż jest na miejscu. Nie rozstawał się z bronią od chwili wylądowania. Dalweg i Wiechman nie wydali mu się typem gości, którzy za kilka dodatkowych dolców byłiby skłonni przemienić się w zawodowych zabójców, nie zamierzał jednak dawać im ku temu sposobności.

Wiedział, że najprawdopodobniej zachowuje się po prostu paranoicznie. Ferguson go potrzebował. Zarazem jednak, zdając sobie sprawę ze swojej przydatności i tego, jak absurdalną decyzją byłoby jego zabicie, Sykes doskonale wiedział, że stary agent nie jest najbardziej racjonalnym człowiekiem, czego już nieraz dowiódł.

Dopóki sprawy nie przycichną, zamierzał zachowywać czujność. Jeśli ktokolwiek choćby spojrzał na niego w dziwny sposób, Sykes poddałby się i do wszystkiego przyznał.

Być może zdołałby wynegocjować jakiś układ i w zamian za złożenie obciążających Fergusona zeznań uniknąłby zastrzyku z trucizną. Lepiej spędzić resztę życia za kratkami niż paść ofiarą szaleństwa Fergusona.

Spojrzał daleko przed siebie. Ze wszystkich stron otaczała go woda. Bezmiar niebieskiego oceanu, który na horyzoncie zlewał się w jedno z niebem. Poczul się okropnie samotny. Cały czas coś go gryzło. A co, jeśli Dalweg i Wiechman zostaliby pożarci przez rekiny albo ich butle były nieszczelne?

Sykes nie wiedział, jak się steruje łodzią i nie miał bladego pojęcia o nawigacji.

Wziął kolejny łyk wody i, słysząc hałas, odwrócił się. Kilkadziesiąt centymetrów od burty ukazała się głowa. Wiechman. Najemnik zdjął z oczu gogle, usunął ustnik i odgarnął z twarzy płowe blond włosy.

- I jak? - zawołał Sykes.

Wiechman pokręcił głową.

- To wrak.

- Tyle to wiem.

Były komandos przepłynął dzielący go od łodzi krótki dystans. Kiedy dotarł do rufy, wciągnął się na pokład.

- Wygląda nieźle - stwierdził. - Kadłub jest pięknie rozplątany, mamy więc proste dojście bezpośrednio do pocisków.

- Serio?

- Łącznie jest ich osiem, z czego cztery zostały zmiażdżone, zniszczone czy w inny sposób spierdalone. Dwa kolejne mają zerwaną obudowę i przez morską wodę skorodowały jak cholera. Dwa - na sto procent damy radę wyciągnąć. Ze względu

na ilość złomu, jaki je przywalił, zajmie nam to jednak cały dzień.

- Dwa wystarczą - Sykes zmrużył oczy. - Ani przez chwilę nie myśleliśmy o wydobyciu ich wszystkich.

- Wygląda na to, że są to tylko głowice ćwiczebne.

- To nie ma znaczenia.

Dalweg również wynurzył się i podpłynął do łodzi. Wiechman otarł wodę z okolic oczu.

- Tyle tylko, że te sukinsyny są naprawdę duże, większe niż myślałem. Nie ma szans, byśmy wciągnęli je na pokład w jednym kawałku. Wpierw będziemy musieli możliwie je rozmontować. Potem przy użyciu balonów wydobędziemy je na powierzchnię i uniesiemy dźwigiem.

- Jak uważacie.

- Dobra.

Dalweg dołączył do stojących na pokładzie.

- Sądzę, że z odrobiną szczęścia zdołamy wyciągnąć te dwa sprawne, nim przyjdzie pora wracać do portu. I tak możemy wrócić jeszcze jutro, by sprawdzić, czy da się wyciągnąć coś jeszcze.

- Nie ma sprawy - odparł Sykes. - Tylko postarajcie się nie wysadzić nas w powietrze.

Dalweg zaśmiał się, lecz Sykes w tym momencie nie żartował.

Usiadł, podczas gdy nurkowie przystąpili do oporządzania sprzętu. Nie był w stanie zrozumieć, jak u diabła dał się wplątać w to bagno. Tak po prostu podeptał swój honor za pieniądze. A przecież tak w ogóle to nie był nawet biedny. Po prostu chciał mieć jeszcze więcej. Przyłożył rękę do klatki piersiowej, czując nagłe pieczenie podnoszących się kwasów żołądkowych. Jeśli do końca całej tej afery jego wnętrzości nie strawią się same, będzie autentycznie zaskoczony.

Na całe szczęście było już prawie po wszystkim. W ciągu dwudziestu czterech godzin wejdą w posiadanie niezwykle cennych pocisków, które potem sprzedadzą islamskim fundamentalistom, północnym Koreańczykom czy też innym, gotowym jeszcze więcej zapłacić wariatom. W efekcie będą mogli stworzyć własne arsenały przeciwookrętowych pocisków kierowanych, natomiast Sykes do końca życia będzie się modlił, by żaden z nich nigdy nie zatopił jakiejś amerykańskiej jednostki.

Sykes wiedział, że jest chciwym i głupim tchórzem.

Ale przynajmniej będzie bogaty.

ROZDZIAŁ 70

TANGA, TANZANIA

NIEDZIELA 19:03 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Cel w widoczny sposób był czymś strapiony. Jego zachowanie zdradzało człowieka przejętego i zaniepokojonego. Poruszał się pospiesznie i niepewnie, na jego twarzy zaś malowało się zatroskanie. Powodu jego zmartwień Reed mógł się tylko domyślać, jednak, nawet jeśli domyślał się słusznie, niewiele go to obchodziło. Zabójca stał z rękoma złożonymi na piersi, opierając się na niewysokim murku. Od jego ofiary odgradzały go co najmniej dwa tuziny osób. Reed skrywał oczy za okularami przeciwsłonecznymi.

Dwóch solidnie zbudowanych mężczyzn, blondyn i brunet, wysiadło z szoferki oblepionej kurzem trzytonowej ciężarówki. Byli to towarzysze podróży ofiary. Obu wyróżniała mocna opalenizna i solidna budowa ciała. Wraz z ofiarą obeszlą ciężarówkę i zajrzeli na jej tył. Najwyraźniej zadowoleni, przeszli przez ulicę i skierowali się do hotelu.

Żaden z nich nie zauważył białego mężczyzny, który stał pośród tłumu miejscowych, wbijając w nich swe wyzute z uczuć spojrzenie.

Hotel był całkiem przyzwoity, a przynajmniej jak na tę część świata. Miasto, mimo że rozległe, zdawało się być spokojne i uśpione, niemalże opuszczone, zwłaszcza w centrum, gdzie znajdowały się zaniedbane niemieckie budynki kolonialne. Wokół gwarne bazaru Tanga sprawiało wrażenie bardziej ożywionego i zaludnionego, a wzdłuż wielobarwnych, tłocznych ulic ciągnęły się budynki nowocześniejsze, choć mniej majestatyczne.

Tu szosy pokrywał asfalt, żwir bądź twardo ubita ziemia. Chodników Reed jeszcze nie widział. Gorące i wilgotne powietrze utrzymywało temperaturę nieco poniżej trzydziestu stopni Celsjusza. Reed czuł rozchodzące się z pobliskiego targowiska aromaty pieczonego kurczaka, smażonej ryby oraz lokalnych marynowanych szaszłyków mishinaki. Handlarze przyciągali uwagę potencjalnych klientów grzechotkami wypełnionymi ziarnem, ci zaś targowali się o korzystniejsze ceny.

Skórę Reeda pokrywała cienka warstewka potu. Czas spędzony na Cyprze sprawił, że jego ziemista zazwyczaj cera Anglika zdążyła już nieco pociemnieć. Ubrał się jak typowy turysta - w luźne bojówki i lekką, lnianą koszulę z długim rękawem. Do takiego zestawu pasowałyby najlepiej sandały, nie gwarantowały one jednak przyczepności niezbędnej przy szybkim przemieszczaniu się, zdecydował się więc na konserwatywnej barwy obuwie sportowe.

Cel wbiegł po hotelowych schodkach, a jego dwaj towarzysze podążyli za nim. Każdy z nich miał przewieszony przez ramię plecak, zaś jeden dodatkowo niósł w każdej ręce po dużej torbie sportowej. Według dossier mogli być uzbrojeni. Już sam fakt, że obaj byli dawnymi komandosami, sprawiał, że Reed darzył ich szacunkiem, zarazem jednak uczestniczyli w ekspedycji nurkowo-niszczącej, nie byli ochroniarzami. Reed nie zamierzał

zabijać żadnego z nich, o ile nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nie stanęliby mu na drodze.

Klient zaaranżował, by już po przybyciu na miejsce czekało na Reeda uzbrojenie: jedna sztuka broni długiej oraz jeden pistolet. Karabin szturmowy Armalite AR-15

wyposażony w snajperski celownik optyczny ukryto pod porzuconymi oponami w odległości kilkuset metrów od miejsca, w którym się znajdował. Z kolei broń krótka, czyli Glock 17 z dołączonym tłumikiem, znajdował się już w naramiennej torbie Reeda, Zabójca do tej pory zdążył sprawdzić, rozebrać i dokładnie wyczyścić zarówno karabin, jak i pistolet. Zważywszy na siłę ognia otrzymanej broni, uwaga zleceniodawcy, że śmierć ofiary nie powinna sprawiać wrażenia wypadku czy też zgonu z przyczyn naturalnych, wydawała się zbędna.

Reed nie planował zresztą użycia którejkolwiek z udostępnionych broni. Okolica nie oferowała dogodnych warunków dla snajpera - ciasne i ruchliwe uliczki raczej wykluczały wypracowanie czystej linii strzału. W takich okolicznościach już bardziej przydałby się pistolet, lecz mając swobodę wyboru metody działania, Reed wolał bardziej bezpośrednie podejście, jakie wiązało się z użyciem noża. Wciąż oczekiwał na zielone światło od zleceniodawcy. Tymczasem doszedł do wniosku, że najdogodniejszym miejscem na zamach będzie hotel. Istniała możliwość zlikwidowania celu na ulicy, jeśli było to możliwe, Reed wolał jednak uniknąć widowiska. Zdecydowanie bardziej odpowiadałaby mu cicha egzekucja w hotelowym pokoju. To zlecenie pragnął wypełnić bez wywoływania zbędnego zamieszania.

Fakt, że na Cyprze użył bomby, w dalszym ciągu dręczył jego zmysł profesjonalizmu.

Gdy cel zniknął w głównych drzwiach hotelu, Reed spojrzął na zegarek. Podszedł do niego tanzański handlarz kokosami w zaplamionej olejem koszulce, w swym ojczystym suahili namawiając go na zakup orzechów. Reed mówił płynnie w kilku językach, w kilku kolejnych mógł się komunikować, suahili nie był jednak żadnym z nich. Kiedy Reed potrząsnął głową, sprzedawca spróbował swoich sił w łamanej angielszczyźnie - języku ponemieckich kolonizatorów Tanzanii. Reed ściągnął okulary przeciwsłoneczne. Miejscowy jegomość, wystraszony jego spojrzeniem, odwrócił się i zostawił go w spokoju.

Zabójca z powrotem nasunął okulary na nos i zbliżył się do hotelu. Ostre słońce uniemożliwiało zajrzenie do wnętrza przez szklane tafle drzwi i okien. Chcąc uniknąć na razie spotkania z ofiarą, odczekał cztery minuty, po czym przeszedł przez ulicę i wszedł do budynku przez obrotowe drzwi. W holu panowała przyjemna temperatura, o parę stopni niższa niż na zewnątrz, dzięki wielkim wentylatorom, które - podwieszane pod sufitem - z wysiłkiem przecinały zastałe powietrze. Natychmiast Reed zdał sobie sprawę, jak bardzo się spocił.

Zgodnie z jego oczekiwaniami cel z asystą zdążył zniknąć z pola widzenia. Podszedł

do stanowiska recepcyjnego, zapłacił gotówką za pojedynczy pokój, a następnie udał się schodami na piąte piętro. W hotelu posługiwano się zwyczajnymi metalowymi kluczami co wzbudziło w Reedzie zaciekawienie. Istniały więc jeszcze zakątki globu, które należało dopiero zmodernizować. Co więcej, przy takim stanie rzeczy łatwiej by mu było, gdyby zaszła taka

potrzeba, sforsować zamknięte drzwi, zachowując przy tym ciszę. Pokój Reeda był wygodny i czysty, aczkolwiek wystrój miał dość nijaki. Nie miało to znaczenia. Reed nie przybył tu dla przyjemności.

Zdjął z ramienia torbę i wyjął z niej pistolet. Schował go pod jedną z poduszek. Nie powinien krążyć po mieście z torbą - mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Przez dziesięć minut uważnie zapoznawał się z pokojem, po czym otworzył okno, by wpuścić nieco powietrza. Nie zamierzał pozostać w hotelu na noc, lecz wynajęcie pokoju usprawiedliwiało jego pobyt w budynku. W innym wypadku jego biała twarz zbytnio rzucałaby się w oczy.

Z otrzymanego dossier zawczasu się dowiedział, że cel zatrzymał się w pokoju 314.

Para atletycznych nurków zajmowała z kolei pokój 320. Hotel posiadał windę oraz dwie klatki schodowe. Zawsze, gdy istniała możliwość wyboru, Reed wolał korzystać ze schodów.

W kabinie windy był praktycznie uwięziony, a do tego w chwili otwarcia się drzwi zupełnie wystawiony względem kogokolwiek, kto akurat czekał przed szybem. Wyszedł z pokoju i wrócił do holu.

Hotel dysponował skromnym barem, który wydał mu się wystarczająco sympatyczny.

Kupił butelkę wody mineralnej i usiadł w miejscu, z którego widział hol, i mógł zauważyć, gdy cel będzie wychodził z budynku. Reed otrzymał informację, że ofiara spędzi w Tanga co najmniej kilka dni, wolał jednak zachować ostrożność. Woda mineralna była odświeżająca i chłodna. Mężczyznę ogarnęło lekkie znużenie.

Chociaż w ciągu tygodnia Reed zabił pięć osób, a w najbliższym czasie miał

zlikwidować szóstą, jedynie zlikwidowanie celu znanego mu jako Tesseract wiązało się z uczuciem w jakikolwiek sposób przypominającym satysfakcję. Nawet i to miało jednak swoje granice, jako że wyeliminowanie go nie wystawiło na próbę zdolności Reeda. Początkowo Tesseract zaimponował mu swym wyczynem w Paryżu, teraz jednak Reed doszedł do wniosku, że facet przeżył atak raczej dzięki niekompetencji zamachowców, a nie dzięki własnym umiejętnościom. Naprawdę utalentowany profesjonalista nie dałby się tak łatwo zabić na Cyprze. Szkoda, że potencjalnie godny rywal okazał się tak ograniczony - Reed wciąż niestety nie napotykał przeciwnika, który zdołałby stanąć na wysokości zadania.

Mówiąc krótko, Tesseract w porównaniu z nim był amatorem.

Bar był praktycznie pusty, jeśli pominąć kilku cudzoziemców, którzy stłoczeni w narożniku żartowali nad swymi szklaneczkami. Reed pociągnął łyk wody. Być może nadszedł

czas, by podejmować się jedynie ambitnych zleceń. Bardziej odpowiadałoby to jego możliwościom. Kto wie, może do końca roku powinien wykonywać jedynie zadania dla firmy, odrzucając wszelkie propozycje od klientów prywatnych. Chyba że zdołałyby one pobudzić jego zmysł przygody. Reed wiedział, że nazbyt wybiega myślami w przeszłość.

Wciąż musiał wykonać obecne zadanie i choć było ono mało wymagające, nie mógł sobie pozwolić na dekoncentrację. Gdy znika skupienie, pojawiają się błędy. Telefon Reeda znajdował się w kieszeni jego spodni. Wyciągnął go i położył przed sobą na stoliku. Czekał.

ROZDZIAŁ 71

FALLS CHURCH. WIRGINIA, STANY ZJEDNOCZONE

NIEDZIELA 12:05 CZASU WSCHODNIEGO

Minęło kilka sekund, nim dzwonek telefonu zdołał wyrwać Fergusoną z drzemki. Parę kolejnych chwil zajęło mu zidentyfikowanie źródła hałasu. Od czasów, gdy nawet w porze odpoczynku Ferguson musiał zachowywać czujność, upłynęły całe dziesięciolecia, a wiek oraz beczyność sprawiły, że niegdyś wyczulone zmysły uległy pewnemu stępieniu.

Wyciągnął się i chudą ręką podniósł słuchawkę.

- Tak? - wychrypiął do słuchawki.

- Zrobione.

- Kto mówi?

Dzwonił Sykes. W jego głosie słychać było przejęcie i pośpiech.

- Mamy pociski, to znaczy dwa z nich, tyle, ile daliśmy radę wydobyć. Jutro popłyniemy drugi raz i zobaczymy, co więcej można wyciągnąć, aczkolwiek oni wątpią, byśmy zdołali zdobyć coś jeszcze.

- Przyhamuj - odezwał się Ferguson - i powtórz od początku.

Sykes zwolnił i dokładnie opisał wydobyte przedmioty, jak również sytuację pozostałych pocisków. Ferguson przez chwilę przyswajał przekazywane mu informacje.

Wreszcie podniósł się. - Masz więc dwa pociski?

- Nie w całości, ale mam ich układ napędowy, elektronikę i tak dalej. Czekają na ciężarówce przed budynkiem.

Ferguson wbił wzrok w pełzające po jego sypialni cienie. Zastłony były zaciągnięte, aby promienie słońca nie zakłócały jego drzemki. Poczul się, jak gdyby otrzymał zastrzyk niczym niezmaconej radości.

- To wspaniałe wieści. Dobra robota, panie Sykes.

- Dziękuję.

W głosie młodszego agenta nie było słychać entuzjazmu. Nie miało to jednak żadnego znaczenia.

- Zostań dziś w hotelu i się nie wychylaj, a jutro sprawdzisz, czy da się zdobyć coś jeszcze.

- Tak jest.

Ferguson odłożył słuchawkę. Podźwignął się z łóżka, zszedł na parter i udał się do gabinetu. Czuł się zmęczony, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, ale przynajmniej było już prawie po wszystkim. Ot, kolejne niewdzięczne zadanie w ramach ciągnącej się całe życie koniecznej, lecz nieprzyjemnej służby ojczyźnie. Ojczyźnie, która uznała go za relikwiarz przeszłości. Po tych wszystkich latach wierności zdecydowanie należała mu się hojna odprawa emerytalna.

Przyjemnie byłoby zdobyć więcej pocisków, lecz każda kolejna sztuka utrudniałaby dyskretny transport i przechowanie. Dwa egzemplarze to i tak było całkiem sporo. Przecież dzięki sprzedaży choćby jednego zainkasuje więcej pieniędzy, niż w życiu zdążyłby wydać.

Kiedy tylko opadnie kurz, Ferguson wyjdzie z afery czysty jak łąza. Nie pozostanie choćby najmniejszy ślad sugerujący, że miał on cokolwiek wspólnego z Tesseractem, Ozolsem czy też pociskami. Podczas gdy jego komputer uruchamiał system, zastanowił się nad wydarzeniami, które doprowadziły do obecnego stanu rzeczy. Cóż mógłby uczynić, by sprawy potoczyły się jeszcze lepiej? Nawet z perspektywy czasu niełatwo było wyobrazić sobie coś, co należałoby rozegrać inaczej. Nikt nie mógł przewidzieć, że Tesseract przeżyje zasadzkę w Paryżu. Dopiero po tym sprawy zaczęły się tak komplikować. Błędem, którego Ferguson był świadomy, okazało się wykorzystanie Sykesa, na szczęście ową pomyłkę można było jeszcze naprawić.

Jego lojalny zastępca wzięłby całą winę na siebie. Sykes miał uprawnienia pozwalające mu nadzorować operację do tego momentu. Był ambitny, a do tego wystarczająco durny, by dać się przy okazji zabić.

Dzień wcześniej Ferguson skontaktował się z Dalwegiem i Wiechmanem, informując, co miało się niebawem wydarzyć oraz co powinni wtedy uczynić. Tak więc pozostawało mu tylko wysłanie jeszcze jednej wiadomości. Napisał ją w parę sekund i z prawdziwą satysfakcją wysłał do adresata. E-mail zawierał tylko jedno słowo.

Kontynuować.

ROZDZIAŁ 72

TANGA, TANZANIA

NIEDZIELA 19:17 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

W kuchni panował jeszcze większy upał niż na zewnątrz, a na dodatek towarzyszył

mu gwar intensywnej pracy. Około tuzina członków kuchennego personelu uwijało się jak w ukropie, przygotowując i podgrzewając potrawy, zmywając i sprzątając. Szef kuchni wykrzykiwał polecenia z wigorem godnym prowadzącego musztrę sierżanta. Wiktor niósł na ramieniu niewielką skrzynkę owoców i wymijał kolejnych pracowników, nie zwracając przy tym niczyjej uwagi. Sprawiał wrażenie, jakby przebywał w tym miejscu z konkretnego powodu i w ściśle określonym celu, a zapracowani ludzie nie przywykli odrywać się od zajęć, by przepytować kogoś innego, kto również zdawał się pracować.

Pochylił nieco głowę, więc trudno było komukolwiek dojrzeć jego oczy. To właśnie kontakt wzrokowy pomagał ludziom zapamiętać napotkane osoby. Przechodząc, przesuwiał

wzrokiem po blatach, starając się znaleźć nóż, który mógłby zabrać. Żadnego jednak nie dostrzegł, nie chciał zaś ryzykować szukania w szafkach w obawie, że zwróciłby czyjąś uwagę. Broń zawsze mogła okazać się przydatna, lecz do realizacji jego obecnych zamiarów nie była niezbędna. Postawił skrzynkę na podłodze przy drzwiach, po czym ulotnił się z kuchni. Gdy ostatni raz widział zabójcę, ten nadal tkwił przed budynkiem hotelu. Wiktor przybył do Tanzanii tym samym samolotem co on, zajmując miejsce w klasie ekonomicznej, podczas gdy zamachowiec podróżował pierwszą klasą, i od wylądowania nie odstępował go na krok. W normalnych okolicznościach nie podejmowałby się śledzenia tak utalentowanego przeciwnika, tym razem dysponował jednak pewnym istotnym atutem - nikt nie wiedział, że jeszcze żyje.

Wyobraził sobie, jak wbija nóż w ciało mordercy tuż obok kręgosłupa i przebija jego serce albo też najpierw podcina mu ścięgna, aby móc popatrzeć, jak wije się po ziemi i dopiero wtedy go zabija. Tak by jednak nie uczynił - nawet, gdyby miał okazję. Nieważne, jak bardzo by tego pragnął, nie dźgał tak po prostu ludzi na środku ulicy w obecności dziesiątków świadków. Tak działali amatorzy, którzy przez własne metody dawali się później zabić.

Nawet, gdyby nadarzyła się okazja, nie mógł zabić mordercy, a przynajmniej nie w tym momencie. Był on jedynie wynajętym cynglem, opłaconym zabójcą, nie różniącym się od niego samego. Porównanie wydało się mu obrzydliwe. Człowiek, którego śledził, nie był jego rzeczywistym wrogiem. Stanowił jedynie kończynę. On tymczasem pragnął odrąbać głowę.

Korytarze na tyłach hotelu były ciasne, lecz panował tu chłód. Tynk na ścianach w niektórych miejscach popękał, zaś warstwy farby pokrywające drzwi były cienkie i nierówne.

Tej części hotelu nie monitorowały żadne kamery. Brakowało w nim również ochroniarzy.

Doszedł do drzwi, zatrzymał się i na kilka sekund przyłożył do nich ucho. Dobiegły go głosy rozmawiających w środku ludzi. Przeszedł dalej i stanął przy kolejnych drzwiach.

Tym razem po drugiej stronie panowała cisza. Znowu ruszył przed siebie. W podobny sposób osłuchiwał jeszcze trzy pomieszczenia, aż natknął się na cichy szum urządzeń elektronicznych.

Powoli nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte.

Pokój był malutki, niewiele większy od schowka na szczotki. Jego powierzchnia akurat wystarczała, by pomieścić krzesło, stół, dwa monitory telewizyjne oraz podłączone do nich magnetowidy. Ekran pokazywały w czasie rzeczywistym ujęcia z hotelowych kamer bezpieczeństwa. Na każdym monitorze przedstawione były cztery kadry: ujęcie frontowego wejścia do hotelu, hol, winda oraz każde z pięter.

Usiadł i wcisnął przycisk przewijania, cofając zapis aż do fragmentu nagranego w południe. Następnie wybrał klawisz odtwarzania i skupił się na ekranie. Po paru minutach ujrzał, jak śledzony przez zabójcę cel wraz z dwoma towarzyszami wchodzi do hotelu.

Przechodząc przez hol, mężczyźni wyszli z zasięgu jednej z kamer i zaraz pojawili się przed obiektywem następnej. Winda zabrała ich na trzecie piętro, a umieszczona tam kamera zarejestrowała, jak wchodzi do zajmowanych przez siebie pokoi.

Słaba jakość obrazu nie pozwalała rozpoznać numerów na drzwiach, zdołał jednak policzyć pomieszczenia między pokojami a kamerą, szczególną uwagę przywiązując do pokoju, do którego wszedł jeden z obserwowanej trójki mężczyzn.

To on stanowił klucz do zagadki. Nie ulegało wątpliwości, że pozostali dwaj byli jedynie wynajętymi pomocnikami. W pierwszej chwili Wiktor uznał ich za ochroniarzy, zauważył jednak, że cała trójka współpracowała ze sobą i odrzucił taką

interpretację.

Wcześniej udał się w ślad za zabójcą, który z kolei śledził jednego z trzech przybyłych mężczyzn. Poszedł on do portu, gdzie spotkał się z dwoma pozostałymi. Sprzęt, jaki mieli na łodzi, wskazywał, że byli to nurkowie.

Fakt, że za bezimiennym celem podążał zabójca, oznaczał, że był to ktoś istotny.

Sądząc po sposobie, w jaki się zachowywał, nie był oficerem prowadzącym, a raczej czymś podwładnym, którego wysłano w teren, by osobiście dopilnował ostatniego etapu operacji -

wydobycia tego, co znajdowało się na tym zatopionym okręcie, co było tak niesamowicie cenne i co bez żadnych wątpliwości znajdowało się obecnie w zaparkowanej na zewnątrz ciężarówce.

Wiktor wyszedł z pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Udał się na schody i ruszył

nimi na trzecie piętro. Śledzony przez zabójcę mężczyzna coś wiedział - coś, co czyniło go celem, co stanowiło zagrożenie dla tego kogoś, kto tym wszystkim kierował. I właśnie tego czegoś musiał się teraz dowiedzieć.

Wystarczyło tylko, by dostał się do tego mężczyzny, zanim uczyni to zabójca.

Reed zamknął wiadomość i wstał. Odłożył smartfona do kieszeni spodni. Butelkę wody pozostawił na stoliku. W holu panował spokój. Zostawiwszy za sobą radosny gwar baru, dotarł do schodów i udał się na piąte piętro. Przeszedł przez korytarz i wszedł do swojego pokoju.

Pistolet leżał pod poduszką - tak, jak go zostawił. Reed odciągnął zamek, ładując nabój do komory. Następnie wcisnął broń za pasek tak, by tłumik układał się wzdłuż lewego uda. Puszczoną swobodnie koszulą zamaskował wystającą rękojeść.

Spodnie również były wystarczająco luźne, dzięki czemu, jeśli zachowa ostrożność, nikt nie mógłby zauważyć, że jest uzbrojony. Zarazem jednak spory kawałek metalu w nogawce uniemożliwiał mu zejście po schodach. To nic, dzielące go od celu dwa piętra mógł

przecież zjechać windą.

Reed wyjął z torby zapasowe magazynki i przełożył je do kieszeni spodni: dwa po lewej stronie, jeden po prawej. Nie przewidywał konieczności skorzystania z choćby jednego magazynku, o ile okoliczności nie okazałyby się wyjątkowo niesprzyjające. Zarazem jednak Reed zdołał wdrapać się na sam szczyt drabiny zawodowej zabójców właśnie dzięki swej sumienności i przygotowywaniu się na najgorsze. Nie zamierzał zmieniać teraz swych nawyków.

Wyszedł z pokoju i ruszył do windy. Wcisnął guzik przywoływania kabiny i cierpliwie zaczekał. Znał siebie i wiedział, że w czekaniu jest bardzo dobry. Zarazem jednak wiedział, że jeszcze lepszy jest w zabijaniu.

*

Dotarł na trzecie piętro i znalazł się w korytarzu, który obiegał budynek hotelu mniej więcej po kwadracie. Obszedł całe piętro, aby zorientować się w terenie i zlokalizować kamerę. Na piętrze znajdowało się około piętnastu pokoi. Korytarz był szeroki, nie pokrywał go jednak dywan. Deski podłogi były czyste i wypolerowane.

Kamerę odnalazł w pobliżu windy. Była tak ustawiona, by ogarniać kadrem drzwi windy oraz dochodzący do nich korytarz. Wiktor policzył drzwi i namierzył interesujący go pokój w połowie drogi między windą a odległym rozwidleniem. Wiedział, że mężczyzna zajmuje ten pokój w pojedynkę, zawsze jednak istniało ryzyko, że od czasu, gdy przejrzał

taśmę ochrony, dołączył do niego któryś z nurków, jeśli nie wręcz obydwaj.

Jeśli byli uzbrojeni - a tak musiał założyć - sprawy mogły szybko przybrać nieprzyjemny obrót. Miał jednak nadzieję, że jeżeli zadziała szybko, zdoła zdobyć potrzebną mu informację, zapewne jedynie nazwisko, adres albo numer telefonu, a następnie zniknąć, nim ktokolwiek zda sobie sprawę z jego obecności.

W kilka sekund dotarł pod pokój, lecz nim zdołał wykonać kolejny ruch, w głębi korytarza otworzyły się inne drzwi. Wiktor nie zwalniał kroku i zauważył, jak jeden z masywnych towarzyszy ofiary wychodzi ze swojego pokoju. Gość, blondyn o zaniedbanej brodzie, był minimalnie niższy od niego. Miał na sobie długie szorty oraz luźny T-shirt. Jego krzepa rzucała się w oczy. Kiedy się mijali, obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

Wiktor przeszedł obok równym krokiem i skręcił za róg na końcu korytarza, powstrzymując naturalną potrzebę spojrzenia za siebie. Wiedział, że facet będzie go obserwował, aż zniknie z pola widzenia. Za rogiem zatrzymał się i wyteżył słuch. Usłyszał pukanie, a po kilku sekundach odgłos otwieranych drzwi. Rozległy się stłumione głosy, po czym drzwi ponownie się zamknęły.

Obecność dwóch osób w tym samym pokoju komplikowała sytuację, lecz przynajmniej oznaczała, że będą się wzajemnie rozpraszać. Dawało mu to większe szanse na wykorzystanie elementu zaskoczenia. Nie zawrócił, lecz podążył dalej korytarzem. Nie chciał, by kamera zarejestrowała jego twarz.

Szedł tak szybko, jak tylko mógł, nie sprawiając wrażenia pośpiechu. Hotel wydawał się relatywnie pusty. Wątpił, by nawet w najlepszych czasach interes się kręcił. Jego tętno było równe i spokojne.

Podszedł do rogu, za którym znajdowała się winda. Usłyszał dzwonek obwieszczający przyjazd kabiny na piętro.

Tylko tego mu było trzeba - kręcący się w okolicy kolejny gość czy pracownik hotelu, który przysporzy mu jeszcze większych kłopotów. Zwolnił, chcąc, by pasażer windy wyszedł

na korytarz tuż przed nim, nie zaś za jego plecami. Usłyszał odgłos otwierających się drzwi.

Z kabiny wysiadł wysoki czterdziestoparolatek o jasnej cerze i słowiańskich rysach twarzy. W rękę trzymał walizkę. Mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby nie zszycia niedawno rana na prawym policzku.

Tę samą twarz widział już tydzień wcześniej w Sankt Petersburgu przez celownik swojego karabinu snajperskiego.

Wiktor nie zwolnił ani nie zareagował w żaden inny sposób. Miał nadzieję, że się myli, aczkolwiek jednocześnie wiedział, że tak nie jest. Na miejsce przybyło SWR. Pierwsze, co przeszło mu przez myśl, to podejrzenie, że został przez Rosjan namierzony. To jednak nie miałyby sensu. Agencja dysponowała ułamkiem środków i technologii dostępnych CIA, zaś jej wpływy poza terenami dawnego bloku wschodniego były ograniczone. O ile nie śledzili go od chwili, gdy opuścił Rosję, dotarcie tu wykraczało poza ich możliwości. Jeżeli zaś podążaliby w ślad za nim, tak po prostu nie natknąłby się teraz na jednego z nich.

Rosjanin odwrócił głowę i spojrzał w kierunku Wiktora. Ot, zwyczajny rzut oka. Przez kilka sekund zdawało się, że go nie rozpoznał. Z powrotem spojrzał przed siebie i zrobił

kolejny krok. Wtem jego głowa mimowolnie zwróciła się w stronę Wiktora, całe ciało zeszywniało, a wyraz twarzy się zmienił. W końcu rozpoznał człowieka, który skierował się w jego stronę.

Dzieliły ich niecałe trzy metry, gdy pułkownik Gienadij Aniskowacz sięgnął pod marynarkę. Wiktor rzucił się do przodu, natychmiast zmniejszając dystans. Rosjanin wyciągnął broń, lecz nim zdołał w pełni wyprostować ramię, Wiktor był już przy nim.

Złapał Rosjanina za nadgarstek i gwałtownie go wykręcił. W tym samym momencie pięścią drugiej ręki wyprowadził cios w twarz Aniskowacza. Uderzenie trafiło w nos, natychmiast go łamiąc i powodując, że z nozdrzy trysnęła fontanna krwi. Mężczyzna jęknął z bólu i wypuścił broń z ręki. Oczy mu łzawiły. Wiktor kopnął pistolet do środka windy, a następnie wrzucił do niej oszołomionego Rosjanina.

Już w kabinie Wiktor chwycił Aniskowacza za koszulę i rąbnął nim w naścienne lustro. Cieknąca z nosa krew szybko spływała mu po podbródku. Wiktor przeszukał go i znalazł zapasowy magazynek, który schował do kieszeni.

- Jak mnie znalazłeś? - spytał po rosyjsku.

Dopiero po chwili Aniskowacz zdołał odpowiedzieć.

- Wcale... nie znalazłem.

Wiktor puścił ubranie Rosjanina i złapał go za gardło, trzymając jego przełyk między kciukiem a pozostałymi palcami. Zdecydowanie zacisnął uchwyt, odcinając dopływ powietrza. Aniskowacz zaczął się dławić.

Po dziesięciu sekundach zmniejszył nacisk na tyle, by napadnięty mógł się odezwać.

Chwilę zajęło mu odkaszlnięcie.

- Dopiero tu przyjechałem...

Ponownie zaczął kaszleć. Wiktor zrozumiał - nie szukali tu jego. A zatem chodziło o pendrive'a. SWR poznało jego zawartość i przybyło zgarnąć to, co znajdowało się na pokładzie zatopionego okrętu. Znaczyło to, że agenci przejęli pendrive'a od Norimowa.

Drzwi windy zamknęły się i kabina ruszyła w górę.

Wiktor zacisnął uchwyt na szyi Aniskowacza.

- Zabiłeś go?

Rosjanin wyglądał na zdezorientowanego.

- Kogo?

Wiktor wcisnął palce wolnej dłoni w zraniony policzek Aniskowacza. Ten wrzasnął, zaś Wiktor w odpowiedzi jeszcze mocniej złapał go za gardło. Rosjanin sapał i parsknął, a jego twarz poczerwieniała. Wiktor ponownie rozluźnił uchwyt, dając mu przemówić.

- Wiesz kogo.

Aniskowacz splunął flegmą wymieszaną z krwią.

- Norimowa?

- Tak.

- Nie zabiliśmy go - Rosjanin wziął kilka głębokich wdechów i uniósł głowę. - On dla nas pracował.

- Co powiedziałaś?

- Norimow... nam cię wystawił - Aniskowacz z rozkoszą napawał się efektem wypowiedzianych przez siebie słów. Twarz wykrzywił mu uśmiech, a na cienkich ustach załśniła krew. W przerwach między atakami kaszlu starał się mówić. - I sprzedał cię... za o wiele mniej... niż byłem gotów mu zapłacić.

Wiktor mimowolnie osłabił uchwyt. Przez moment nie mógł się odezwać, nie mógł

nic zrobić. Norimow, jedyna osoba, którą kiedykolwiek uznałby za kogoś na kształt przyjaciela, zdradził go. Najzwyczajniej, za pieniądze. Wiktor poczuł w sobie pustkę.

Drzwi windy otworzyły się na piątym piętrze, co brutalnie przywróciło go do rzeczywistości. Spojrzał przez ramię, gotów unieszkodliwić każdego, kto czekałby na zewnątrz. Przed windą stał mężczyzna. Swobodnie ubrany, smukły, acz muskularny brunet o niebieskich oczach.

Reed.

ROZDZIAŁ 73

19:22 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Przez jedną, długą chwilę zabójcy mierzyli się spojrzeniami. Reed znajdował się w dogodniejszym położeniu, gdyż jego przeciwnik był w połowie obrócony, a ręce miał zajęte człowiekiem, którego przyciskał do ściany windy. Lecz Reed się nie poruszył.

Rzadko kiedy coś go dziwiło, teraz jednak stanął jak wryty. Tesseract przecież nie żył.

Zginął w pokoju hotelowym w Nikozji, rozerwany na strzępy przez wybuch profesjonalnie podłożonej bomby. Tesseract nie żył, a mimo to stał nie więcej niż cztery metry od niego.

Reed gapił się przed siebie niewidzącym wzrokiem, a na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie. Jego umysł starał się uporać z oczywistym wyjaśnieniem sytuacji. Reed zawiódł.

Spóźnił się z reakcją, sięgając po glocka w chwili, w której Tesseract zdążył już obrócić człowieka, którego do tej chwili trzymał w windzie.

Wiktor okręcił Aniskowacza o sto osiemdziesiąt stopni i wypchnął go z kabiny akurat w momencie, gdy Reed wyprostował ramię i oddał strzał. Rosjanin przyjął na klatkę piersiową pocisk przeznaczony dla Wiktora, wygiął się i przewrócił na Reeda. Obaj zaczęli tracić równowagę.

Pierwszy na ziemię upadł Reed, lądując na plecach, lecz już chwilę później zważyło się na niego ciało Aniskowacza. Zabójca nie miał czasu, by przygotować się na uderzenie, które obezwładniło jego organizm, zarazem jednak wprowadzając umysł z powrotem na wysokie obroty.

Reed nie był w stanie dostrzec Tesseracta, nie miał czasu, by wygrzebać się spod ciała, więc odchylił glocka i strzelił na oślep.

*

Wiktor wcisnął guzik parteru i rzucił się na bok windy, przywierając plecami do drewnianych paneli na sekundę przed tym, jak pociski uderzyły w tylną ścianę kabiny. Lustro rozprysło się, ale zdążył osłonić twarz ramieniem, aby uniknąć obrażeń od wyrzuconego w powietrze szkła. Ostre odłamki spadły z brzękiem na podłogę. Drzwi kabiny zamknęły się.

W drzwiach od środka pojawiły się nagle trzy wgłębienia. Winda zaczęła zjeżdżać i strzały ustały. Omijając potłuczone szkło, podniósł leżący w przeciwnym narożniku pistolet Rosjanina. Był to dziewięciomilimetrowy browning. Wysunął i sprawdził magazynek, zamknął go ponownie, przeładował i odsunął bezpiecznik. Był gotowy.

Po kilku sekundach winda dojechała na parter i drzwi się rozsunęły. Jeszcze w kabinie wcisnął kostkami dłoni przyciski drugiego, trzeciego i czwartego piętra, po czym szybko opuścił windę, a drzwi zamknęły się za jego plecami. W pobliżu nie było nikogo.

Wcisnął browninga za pasek i wypuścił luźno koszulę, aby ukryć broń przed wzrokiem postronnych. Ostrożnie ruszył przed siebie, prawą dłoń cały czas trzymając w pobliżu rękojeści. Spojrzenie skupiał na wejściu na klatkę schodową, ponieważ doszedł do wniosku, że zabójca popędzi za nim schodami. Dotarcie do holu powinno zająć mu więcej czasu niż Wiktorowi, lecz i tak mógł tu dotrzeć dość szybko. Zabójca również był tego świadomy i zapewne przyjął, że Wiktor zda sobie z tego sprawę. Schodami dostałby się na parter najszybciej, lecz musiałby przy tym zaryzykować natknięcie się na niego. Istniały inne, bezpieczniejsze sposoby dotarcia na parter, aczkolwiek wymagały one więcej czasu. Nie był

pewien, co by zrobił na miejscu zabójcy.

Nie miał jednak czasu, by dłużej nad tym rozmyślać, zobaczył bowiem wychodzących z hotelowego baru siedmiu mężczyzn. Pomimo cywilnych ubrań wyglądali na wojskowych.

Wiedział, że to Rosjanie, jeszcze zanim zdołał usłyszeć ich głosy.

Kilku spojrzęło w jego stronę, lecz pozostali nie zwrócili na niego uwagi. Niektórzy mieli plecaki i wyglądali na zmęczonych podróżą, podczas gdy inni zdawali się bardziej wypoczęci. Bez wątplenia przybyli tu w dwóch osobnych grupach, aby nie wzbudzać podejrzeń. Miało to sens. Hotel był największy w całym mieście i znajdował się w pobliżu portu. W okolicy roiło się od turystów, co czyniło miejsce idealnym dla zachowania anonimowości.

Jeśli choć przez chwilę zamierzał zacząć się na zabójcę, teraz, wobec pojawienia się w holu siedmiu najprawdopodobniej uzbrojonych rosyjskich żołnierzy, musiał swe plany zweryfikować. Rosjanie ruszyli w kierunku windy. Miarowym krokiem skierował się do wyjścia, sprawiając wrażenie zwykłego hotelowego gościa, któremu śpieszno do miasta.

Kilku z Rosjan obrzuciło go spojrzeniami, lecz nic poza tym. Ci, którzy nie mieli plecaków, zgromadzili się na środku holu.

Wyminął pierwszą grupę w nadziei, że żaden z siedmiorga obecnych nie uczestniczył

w zajściu w Sankt Petersburgu. Widzieliby zdjęcie, o którym wspominał Norimow. Jeśli tak by było i Wiktor zostałby rozpoznany, nie miałby większych szans na ucieczkę. Podszedł na środek holu, odbijając nieco w prawo, aby uniknąć Rosjan i zakładając, że zabójca zdążył już dostać się schodami na parter. Drzwi pozostawały jednak zamknięte.

Najwyraźniej zabójca miał inne plany.

Reed zbiegał po schodach, biorąc szybkie, głębokie wdechy i starając się zapanować nad gniewem, który groził rozsądzeniem jego spokojnej powierzchowności. Tesseract wciąż żył. Reed nie zdołał go zabić. Facet przeżył wybuch bomby. Nie, raczej odkrył pułapkę i specjalnie zdetonował ładunek, aby Reed doszedł do wniosku, że zamach się powiódł. Anglik zazgrzytał zębami. Przypomniawszy sobie, że uznał Tesseracta za amatora. Jeśli jednak Tesseract to amator, to kim byłby on sam?

Reed nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz dał się wyprowadzić z równowagi, teraz jednak odczuwał czystą wściekłość. Tesseract go pokonał. Zrobił z niego durnia, Reed musiał się odegrać.

Wiedział, że nie zdoła dotrzeć do holu przed windą, jeśli zaś zbiegnie schodami, Tesseract będzie czekać na niego na dole. Reed nie miał zamiaru wpakować się w jego zasadzkę.

Dotarł na trzecie piętro i wyszedł na korytarz. Szybko przemieścił się w stronę okna na drugim końcu budynku, gdzie wiedział, że znajdzie doskonały punkt obserwacyjny. Okno wychodziło na ulicę obok wejścia do hotelu, toteż Reed mógł tu zaczekać, aż Tesseract opuści budynek i wpakować dwa wydrażone w środku pociski w tył jego czaszki.

Reed wyrzucił w połowie opróżniony magazynek ze swojego glocka. Co chwilę mięśnie szczęki napinały mu się pod skórą. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się odczuwać emocji względem swojej ofiary, teraz jednak sytuacja go przerosła. Usłyszał odgłos otwierających się za nim drzwi i odwrócił głowę. Na korytarz wyszedł człowiek, którego miał

zabić. Ruszył w stronę windy, spojrzał na Reeda i dostrzegł w jego ręku broń.

Sykes z rozdziawionymi ustami i rozszerzonymi źrenicami cofnął się i schował do swojego pokoju.

Reed umieścił usunięty z broni magazynek w kieszeni i zastąpił go pełnym. Otworzył

okno i stanął przed nim z wycelowanym glockiem, mierząc w miejsce, gdzie spodziewał się ujrzyć Tesseracta.

Kątem oka dostrzegł, jak jeden z masywnych pomocników człowieka, którego zlecono mu zabić, wychodzi z tego samego pokoju, w którym ten dopiero co się schował.

Poruszał się szybko i sprawnie. W rękach trzymał pistolet, skierowany w dół i do boku - tak, jak zaleca się go trzymać, by nikogo przypadkowo nie zranić. Wadą takiego chwytu było to, że wycelowanie broni zajmowało o ułamek sekundy więcej.

Nie kiwnąwszy głową, Reed strzelił do niego dwukrotnie, trafiając w klatkę piersiową.

Siła uderzenia odrzuciła gościa w tył. Odbił się od ściany, a następnie nieżywy padł na podłogę.

Reed ponownie wycelował broń ku ulicy i spokojnie czekał. W kilka sekund mógłby otworzyć z kopniaka drzwi pokoju ofiary i wypełnić zleconą misję, lecz dałoby to Tesseractowi czas na ucieczkę. Reed nie przejmował się już zadaniem, dla którego przyjechał

do Tanga. Interesował go tylko człowiek, którego uprzednio nie zdołał zabić. Człowiek, który go pokonał. Liczyło się tylko zwycięstwo i zabicie Tesseracta.

Dwa piętra wyżej Aniskowacz odzyskał przytomność i podniósł się na nogi. Każdy oddech stanowił niewyobrażalne cierpienie. Lewą ręką oparł się o ścianę, aby utrzymać równowagę, prawą zaś wymacał pocisk, który utkwił w jego kamizelce kuloodpornej.

Sprawdził pod spodem czy nie ma krwi, lecz kula nie zdołała przebić się na wylot.

Pułkownik zawsze był człowiekiem rozważnym, lecz od czasu, gdy w Sankt Petersburgu spojrział śmierci w oczy, przyjął, że w terenie ostrożności nigdy za wiele.

Pomimo odczuwanego bólu cieszył się, że żyje. Nie był pewien, jak długo leżał

nieprzytomny, miał jednak nadzieję, że nie było jeszcze za późno. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon.

*

W hotelowym holu rozległ się dzwonek telefonu. Była to jakaś tandetna melodyjka, na której dźwięk w spokojniejszych okolicznościach Wiktor zmarszczyłby tylko brwi. Zauważył, jak jeden z Rosjan sięgnął do kieszeni kurtki, by odebrać. Minął go, czując nagle, że musi przyspieszyć kroku. Wyjście znajdowało się prosto przed nim. Był już tak blisko.

Rosjanin odebrał i sekundę później spojrzął w jego stronę. Wiktor zauważył odbicie jego twarzy w oknie.

Po kolejnej sekundzie Rosjanin nabrał powietrza w płuca, by wydać okrzyk, lecz Wiktor zerwał się już do sprintu. Od drzwi dzieliły go dwie sekundy, kolejną zajęłoby mu ich pokonanie. Po trzech następnych znalazłby schronienie gdzieś na zewnątrz. Sześć sekund.

Zbyt wiele, jeśli któryś z Rosjan miał broń w zasięgu ręki. Nim zdołałby dobiec w bezpieczne miejsce, dawno leżałby już martwy z pociskami w plecach. Bar był dwa razy bliżej. Pobiegnął

więc w jego stronę.

Pozostali Rosjanie z opóźnieniem zareagowali na niespodziewane zamieszanie, dzięki czemu zdołał już dotrzeć i wejść do baru, gdy usłyszał za sobą poruszenie - kolejne krzyki, odgłos otwieranych toreb i metaliczne dźwięki wyciąganej broni.

Przeciskał się między stolikami i krzesłami, kierując się w głąb długiego pomieszczenia. Po odgłosach wniósł, że jeden z Rosjan ruszył za nim w pościg, roztrzaskując stoliki i wylewając drinki - nie był może równie zwinny, lecz i tak był szybki.

Popchnął drzwi przejścia dla personelu na drugim końcu baru i przebiegł przez znajdujący się za nimi korytarz. Skierował się do kuchni, z impetem wpadając na wahadłowe drzwi i otwierając je na oścież.

W kuchni praca wrzała jeszcze bardziej niż poprzednio. W pomieszczeniu było gorąco, parno i hałaśliwie. W wąskich przejściach między powierzchniami roboczymi tłoczyli się pracownicy.

Wycofał się, zdając sobie sprawę, że nim zdoła się przebić, Rosjanie dogoniliby go i zasypali pomieszczenie ołowiem, bądź też zablokowali możliwe drogi ucieczki.

Z powrotem wypadł na korytarz i ujrzał, jak goniący go Rosjanin biegnie w jego kierunku. Nagłe jego pojawienie zaskoczyło go i żołnierz przez sekundę się zawahał. Wiktor zareagował natychmiast.

Rzucił się przed siebie, wyliczając moment ataku, aby obcas jego buta trafił

biegnącego mężczyznę w żołądek w szczytowym momencie kopniaka.

Rosjanin jęknął i zgiął się w pół. Wiktor złapał go za bary i trzasnął jego głową o najbliższą ścianę. Rozległ się głuchy dźwięk pękającego tynku i głowa żołnierza odbiła się od przeszkody. Upadł na plecy.

Nim przeciwnik otrząsnął się z szoku, ruszył na niego, waląc łokciem prosto w twarz.

Mężczyzna cicho osunął się na ziemię.

Usłyszał hałas i choć nie był pewny jego źródła, sięgnął po browninga i wystrzelił

dwa razy w kierunku drzwi prowadzących do baru. Nie poczekał, by przekonać się o słuszności swego posunięcia i zerwał się do biegu w stronę przylegającego korytarza.

Drzwi baru poszatkowała seria z broni maszynowej. Odskoczył na bok, schodząc z linii strzału. Pociski powbiły się w ściany i podłogę, podnosząc kurz i wyrzucając w powietrze odłamki drewna i tynku.

Błyskawicznie podniósł się i moment później wspinał się już po schodach tej samej klatki schodowej, której użył wcześniej. Wbieganie na wyższą kondygnację w sytuacji, gdy pragnął wydostać się z budynku, nie było najlepszą decyzją, lecz wejścia do hotelu odcięto, musiał więc znaleźć inną drogę.

Poruszał się szybko, lecz uważnie, z bronią w wyprostowanych rękach, podążając za jego spojrzeniem. Poniżej byli Rosjanie, a gdzieś nad nim zabójca.

Znalazł się w potrzasku.

*

Sykes stał w bezruchu pośrodku pokoju, wpatrując się w drzwi i zaciskając spoconą dłoń na rękojeści SIG-Sauera. Ze wszystkich stron dochodziły go odgłosy strzelaniny. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

Dopiero co szedł sobie do baru, by się czegoś napić, a już po chwili przyszło mu stanąć twarzą w twarz z groźnie wyglądającym gościem ze spluwą w ręku. Wiechman jak ostatni idiota wybiegł z bronią na korytarz, by zobaczyć, co się święci. Zaraz potem Sykes usłyszał stłumione wystrzały oraz głuchy odgłos padającego na ziemię ciężkiego ciała.

Następnie na kilka minut zapadła cisza. Sykes nie był pewien, ile dokładnie już trwała.

Stał z wzrokiem wbitym w drzwi i czekał, aż facet ze spluwą wejdzie i go zabije.

Działo się tu coś niewiarygodnego, a on dał się w to wmieszać.

W jego umyśle zaczęła nabierać kształtów straszliwa myśl. Gość ze spluwą go rozpoznał.

Nie, to niemożliwe.

Do pokoju wpadł Dalweg, a spanikowany Sykes o mały włos go nie zastrzelił. Twarz przybysza wykrzywił gniew.

- Jack nie żyje - rzucił. - Co tu się, do kurwy nędzy, wyrabia?

Sykes chciał już odpowiedzieć, że nie ma pojęcia, w tym jednak momencie rozległy się kolejne strzały.

*

Zaraz po tym, gdy według Reeda Tesseract powinien był wyjść na ulicę, doszły go odgłosy zamieszania w holu. Reed opuścił ramię, obrócił się i odsunął od okna w głąb korytarza. Na dole rozbrzmiewały niestłumione strzały z broni automatycznej. Sądząc po prędkości serii, pistolet maszynowy. Najpewniej PP-19 Bizon.

Anglik dokonał szybkiej analizy sytuacji. Człowiek, którego Tesseract zaatakował w kabinie windy, najwyraźniej miał kompanów, ci zaś byli uzbrojeni i właśnie starali się dopaść Tesseracta. Reed przypomniał sobie cudzoziemców, których zauważył w barze. Rosjanie. Co robili w Tanzanii - tego Reed nie wiedział i zupełnie go to nie interesowało. Obchodziło go jedynie, że usiłowali zabić Tesseracta, a tym samym przeszkadzali mu w uczynieniu tego osobiście. Jeśli nie przestaną - a tak zapewne będzie - znajdą się na celowniku jego broni.

Reed nie dopuści, aby cokolwiek znalazło się między nim a jego ofiarą, ani nie dopuściłby, żeby ktoś inny dokonał zleconej mu egzekucji. Reed był najlepszy. Musiał to udowodnić.

Jeżeli ktoś ubiegłby go i zabił Tesseracta, życie Reeda nie byłoby takie jak dawniej. Rosjanie uniemożliwili Tesseractowi opuszczenie budynku przez główne wejście. Jediną logiczną drogą ucieczki z holu był zatem hotelowy bar. Tamtędy mógł przedostać się do kuchni i służbowej klatki schodowej.

Reed przyspieszył. Jego ofiara znajdowała się niedaleko.

ROZDZIAŁ 74

19:24 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Wiktor dotarł na drugie piętro i ruszył korytarzem, ściskając oburącz rękojeść browninga. Ramiona miał wyprostowane i nieco ugięte w łokciach. Patrzył przed siebie przez przyrządy celownicze pistoletu. Wtem rozległ się sygnał alarmu przeciwpożarowego. Ludzie zaczęli krzyczeć. Nie miał pewności dlaczego, ale raczej ze strachu czy przerażenia aniżeli z bólu.

Wychylił się za róg, znalazł odpowiednie drzwi i otworzył je kopniakiem. Szybko wszedł do środka i pobieżnie przeszukał pomieszczenie. Pojedyncze, równo zasłane łóżko, brak przedmiotów osobistych. W pokoju nikt nie mieszkał. Był pusty. Ruszył w stronę okna, złapał krzesło i cisnął nim w szybę.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Podeszedł do ściany i na chwilę wychylił się przez ramy. Na dole stał rząd równo zaparkowanych samochodów, obsypanych błyszczącymi odłamkami szkła. Za nimi leżało roztrzaskane krzesło. Parking zajmował może ze dwadzieścia metrów. Niski murek wyznaczał granicę kompleksu hotelowego. Żadnych Rosjan. Ani zabójcy.

Zbyt wysoko, by zaryzykować skok, nawet jeśli samochody mogłyby złagodzić upadek, ale obok okna biegła rynna. Wiktor wsunął browninga za pasek i wspiął się na parapet, balansując na palcach i dla zachowania równowagi trzymając się ramy. Obrócił się twarzą do wnętrza pokoju i wyciągnął rękę w kierunku rynny.

Przez otwarte drzwi pokoju zobaczył cień na ścianie korytarza. Cień człowieka z pistoletem w dłoni.

Wiktor natychmiast puścił rynnę i się cofnął. Ujrzał wchodzącego zabójcę oraz krótki rozbłysk wystrzału.

Pocisk przeciął powietrze tuż nad nim. Przez krótką, spokojną chwilę poczuł jak upada, a stłuczone okno oddala się od niego. Wylądował na zaparkowanym sedanie, w chwili uderzenia wgniatając dach pojazdu. Boczne szyby samochodu wyleciały, a przednia popękała.

Siła upadku wycisnęła powietrze z jego płuc.

Nie zwracając uwagi na ból, zrobił wdech i wyciągnął browninga zza paska.

Kończyny bolały, lecz wciąż był w stanie nimi poruszać, a zatem obyło się bez złamań.

Kiedy tylko Reed się wychylił, Wiktor strzelił, jego organizm ciągle jednak był w szoku i zabrakło mu pewności. Chybił. Strzelił jeszcze dwukrotnie, pudłując, lecz zmuszając go do cofnięcia się w głąb pokoju.

Stoczył się z dachu samochodu, lądując na nogi. Z pistoletem wycelowanym w okno obrócił się i przykucnął, by zwiększyć celność. Po ciele galopowały mu ładunki adrenaliny.

Oddychał miarowo, na próżno starając się uspokoić organizm. Jeżeli nawet doznał jakichś obrażeń, nie odczuwał teraz bólu. Minęło pięć sekund. Potem dziesięć.

Nie. Zabójca wycofał się, przeniósł w inne miejsce. Wiktor ogarnął wzrokiem pozostałe okna tego samego piętra wychodzące na parking. Kolejny atak mógł nadejść z któregośkolwiek z nich. Nie sposób było pilnować ich wszystkich naraz. Gdziekolwiek by spojrzął, widział martwy punkt, oferujący zabójcy perfekcyjną pozycję do strzału.

Spojrzeniem szukał drogi ucieczki. Parking był zbyt pusty, gdyby rzucił się do biegu, za bardzo by się odsłonił. Zauważył drzwi, lecz były one za daleko, by spróbować do nich dotrzeć. Bliżej znajdowało się wyjście ewakuacyjne, ale było zamknięte.

W tym momencie drzwi ewakuacyjne otworzyły się z hukiem i uderzyły w ścianę.

Wybiegło z nich dwóch Rosjan uzbrojonych w pistolety maszynowe PP-19 Bizon.

Wiktor padł na ziemię za zniszczonym samochodem, kuląc się za tylnym kołem po stronie kierowcy. Na plecach wyczuwał wibracje, jakie powodowały uderzające o karoserię pociski. Nie czekając, aż strzelanina ustanie, położył się na brzuchu, prostując ramiona pod samochodem.

Strzelił dwa razy, jednym z pocisków trafiając w goleń bliżej stojącego Rosjanina.

Obaj wycofali się z powrotem przez wyjście przeciwpożarowe, Wiktor zaś zerwał się na równe nogi, jeszcze raz wystrzelił w ich kierunku i rzucił się sprintem przez parking, wymijając ustawione samochody, starał się dotrzeć do drogi w nadziei, że uwaga zabójcy również została rozproszona.

W pobliżu jego stóp pryskały odłamki asfaltu.

Schował się za kolejnym samochodem, odwrócił i odpowiedział ogniem, lecz sprawniejszy z Rosjan zdołał skryć się ponownie za drzwiami.

Ruch na piętrze powyżej zwrócił uwagę Wiktora, dzięki czemu zareagował

wystarczająco szybko, by uniknąć lecących w jego stronę pocisków. Jeden wbił się w grząską ziemię, na której dopiero co klęczał, kolejny strzaskał szybę samochodu, za którym się krył.

Wiktor runął przed siebie i zszedł z linii ognia. Wziął wdech i szybko ocenił dostępne możliwości. Miał do czynienia z dwoma napastnikami, rozmieszczonymi na dwóch różnych pozycjach, przy czym jeden dysponował przewagą terenu, w okolicy zaś znajdowali się kolejni wrogowie, którzy za chwilę mogli włączyć się do walki. Takiego starcia wygrać nie miał szans. Musiał uciekać. I to szybko.

Raniąc łokcie na twardej nawierzchni, przeczołgał się pod furgonetkami. Strzały ustały. Nikt nie wiedział, gdzie jest.

Wstał i nie tracąc czasu na celowanie wystrzelił w stronę okna, w którym siedział

poprzednio zabójca, a także w kierunku wyjścia przeciwpożarowego. Rosjanin wysunął się zza zasłony i dostał pociskiem.

Wiktor rzucił się do biegu przez parking, oddalając się od budynku hotelu i przyspieszając, by uniemożliwić przeciwnikom trafienie. Szybko pokonał dzielącą go od murku odległość i wdrapał się na przeszkodę odgradzającą parking od ulicy. Usłyszał

stłumiony strzał i fragment cegły rozpadł się wprost pod jego butem. Stracił punkt oparcia i równowagę. Poleciał do przodu i niepewnie wylądował po drugiej stronie, wbiegając na jezdnię, aby wytracić impet i się nie przewrócić.

Rozległ się ryk klaksonu. Zapiszczały opony. Zderzak samochodu uderzył go w środek lewego uda, wyrzucając na maskę. Upadł na przednią szybę, która pękła, wtoczył się na dach, odbił od klapy bagażnika i spadł z powrotem na drogę, odruchowo koziółkując, aby złagodzić siłę uderzenia. Kierowca wpadł w poślizg, stracił kontrolę nad pojazdem i wjechał

na chodnik, przeleciał nad murkiem i wbił się w zaparkowaną po drugiej stronie furgonetkę.

Naokoło panował pozorny spokój. Wiktor podniósł się z rozgrzanej ziemi i stanął na nogi, a w chwili, gdy obciążył lewą z nich, skrzywił się z bólu. Bolało go całe ciało. W ustach poczuł krew. Widział jak przez mgłę. Zmrużył oczy i wzrok wrócił do normy, a przedmioty odzyskały ostrość. W okolicy stało kilka osób z rozdziawionymi ustami. Spojrzał na zniszczony samochód, wydobywającą się spod maski parę i szokowaną kobietę, która wygrzebała się zza kierownicy. W oddali za nią ujrzał mężczyznę, który uczepony rymny schodził po ścianie hotelu.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma w rękach browninga. Z paniką w oczach zaczął

rozglądać się wokoło.

Zauważył, że broń leży w pobliżu roztraskanego pojazdu. W pośpiechu, kulejąc, poszedł w tamtą stronę, niepewnym skokiem przeskakując murek, świadom, że jego ciało porusza się wolniej, niżby tego chciał. Chwycił pistolet w obie ręce i obrócił się w stronę, gdzie wcześniej dojrzał zabójcę.

Wiktor strzelił, fatalnie pudłując, a pociski uderzyły w ścianę z dala od osoby, która puściła rymnę i opadła ostatnie parę metrów, jakie dzieliły ją od ziemi. Zaraz potem skryła się za rzędem zaparkowanych pojazdów. Po chwili ponownie się wyłoniła, strzelając w ruchu i chowając się za samochodami. Wiktor odpowiedział ogniem, samemu też kryjąc się za rozbitym autem. Kolejne pociski wbiły się w karoserię.

Klik!

Magazynek browninga był pusty.

Wiktor natychmiast zanurkował z powrotem za murek, przeturlał się, by zamortyzować upadek, po czym - pomimo bólu - płynnie poderwał się do sprintu.

Zaparkowany przy krawężniku wyblakły od promieni słonecznych jeep z napędem na cztery koła, z kołami i burtami utyłtanymi w błocie, właśnie odjeżdżał z miejsca, idealnie. Wiktor wskoczył na maskę samochodu, zrobił dwa kroki i zeskoczył po drugiej stronie, lądując na prawej nodze, aby oszczędzić nadwyrężoną lewą. Jeep gwałtownie zahamował. Nim kazał

kierowcy wysiąść, ten sam rzucił się do ucieczki.

Obok głowy Wiktora przeleciał pocisk.

Wsiadł do kabiny i zatrzasnął drzwi. W środku samochód był jeszcze brudniejszy niż na zewnątrz. Spod popękanej tapicerki foteli wyłaziła w kilku miejscach wyściółka. Tablica rozdzielcza była strzaskana, wszystko pokrywał kurz. Zerknął w prawo i zauważył

biegnącego przez parking zabójcę, który przeładowywał pistolet.

Schylił się na siedzeniu, ze zgrzytem sprzęgła wrzucił pierwszy bieg i dodał gazu.

Szyba w drzwiach od strony pasażera trzasnęła, a odłamki szkła posypały mu się na głowę i za kołnierz. Przez rozbite okno nadleciały w jego kierunku kolejne pociski, które powbijały się w deskę rozdzielczą.

Nie puszczając kierownicy, jedną ręką przeładował pistolet. Ostatni magazynek. W

browningu mieściło się trzynaście nabojów. Dobra, pomyślał.

Trzynaście. Pechowo dla kogokolwiek, kto odważy się za nim ruszyć.

*

Reed ujrzał, jak jeep wyjeżdża poza skuteczny zasięg strzału z jego glocka, opuścił

broń i rozejrzał się po okolicy w poszukiwaniu odpowiedniego auta do pościgu za Tesseractem. W pobliżu stało parę samochodów - przede wszystkim stare sedany, nie posiadające ani mocy potrzebnej do dogonienia jeepa, ani napędu na cztery koła umożliwiającego poruszanie się z dużą prędkością po niezbyt równych drogach miasta Tanga.

Ogarnęła go wściekłość. Tesseract po raz kolejny utrzymał się przy życiu i po raz kolejny Reed musiał pogodzić się z upokarzającym faktem, że jego zdolności okazały się niewystarczające. Pragnął potwierdzenia swojej wartości, które dać mogła tylko krew.

Usłyszał w pobliżu głosy Rosjan i spojrzał w ich stronę. Przez drzwi przeciwpożarowe wybiegło z hotelu na parking kilku mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni w bizona i wyglądali na spragnionych krwi. Jeden z ich towarzyszy leżał nieżywy u ich stóp.

Anglik opuścił rękę z glockiem i udał, że jest po prostu przerażonym przechodniem, podczas gdy Rosjanie wybiegli na ulicę. Krzyczeli na miejscowych, Tanzańczycy ich jednak nie rozumieli, z kolei zaś Rosjanie nie rozumieli udzielanych im odpowiedzi.

Czterech Rosjan tak bardzo było z wyglądu i zachowania do siebie podobnych, że mogli równie dobrze być wyhodowanymi przez wojsko klonami. Specnaz - założył Reed.

Wysoce przeszkolone i zabójczo skuteczne rosyjskie siły specjalne darzył dużym szacunkiem, uznając, że ustępują jedynie swym brytyjskim i amerykańskim odpowiednikom. Na parkingu pojawił się piąty mężczyzna, najwyraźniej ich dowódca, nie był to jednak wojskowy -

zapewne oficer GRU lub SWR. To właśnie jego Tesseract cisnął wcześniej w kierunku Reeda, który go postrzelił.

Reed odwrócił się i odszedł. Jakkolwiek ryzyko było niewielkie, wolał uniknąć rozpoznania. Oficer nakazał żołnierzom wsiąść do pojazdów i kontynuować pościg. Jego ludzie rozdzielili się na dwie pary i ruszyli, on jednak został na miejscu. Oparł się o ścianę, przykładając dłoń do piersi. Musiał mieć na sobie kamizelkę, skoro przeżył postrzał w mostek. Cóż za szczęście.

Reed odszedł szybkim krokiem, a gdy tylko zniknął z pola widzenia Rosjan, rzucił się do biegu. Wymijając przechodniów, obiegł budynek hotelu, aż trafił przed frontowe wejście.

Na wygiętym w łuk podejździe, jaki łączył hotel z drogą, stały zaparkowane samochody.

Wiedział, że nie ma czasu, by uruchomić auto poprzez krótkie spięcie, ani też by znaleźć kluczyki do któregoś z nich. Nie było jednak takiej potrzeby. Jakiś mężczyzna właśnie zamykał drzwi porządnie wyglądającego land rovera.

Reed wyciągnął go zza kierownicy i wsiadł na jego miejsce.

Odpalił silnik.

ROZDZIAŁ 75

19:26 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Sykes zbiegł po schodach, starając się nadążyć za Dalwegiem. Masywny były komandos z beretą w wyprostowanych rękach poruszał się szybko i pewnie, podczas gdy Sykes bez tchu potykał się gdzieś za nim, jedną ręką luźno trzymając broń, drugą zaś wspierając się na balustradzie, aby utrzymać się na nogach. Przerazenie w połączeniu z refluksem żołądkowym stanowiło mieszankę iście zabójczą.

Na dźwięk wystrzałów Sykes się zawahał. Brzmiały głośno, zdawały się dochodzić z zaplecza hotelu. Dalweg zupełnie się jednak nie przejął, dotarł na dół klatki schodowej i zajął

pozycję, aby rzucić okiem na sąsiedni korytarz. Spojrzał za siebie na Sykesa.

- No chodź - powiedział. - Musisz się mnie trzymać albo cię po prostu tu, kurwa, zostawię. Mam to gdzieś.

Dalweg podążył korytarzem, a Sykes ruszył za nim, starając się kontrolować strach, który narastał z każdym wystrzałem. Brzmiało, jakby na zewnątrz rozgorzała pełnowymiarowa bitwa. Sykes się jednak cieszył, że ci, którzy starali się nawzajem pozabijać, nie czynili tego już w budynku. Jego zaciśnięta na rękojęści SIG-Sauera dłoń była mokra od potu.

Hol budynku był pusty, jeśli nie liczyć grupki członków hotelowego personelu, chowającej się za blatem recepcji. Dalweg przyspieszył i niemal przebiegł przez otwartą przestrzeń holu, po czym dotarł do głównego wejścia. Przyłożył ramię do ściany i spojrzał

przez okno. Przesunął się do kolejnego i ponownie wyjrzał na zewnątrz.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma. Chyba jesteśmy bezpieczni.

Sykes przełknął ślinę i rękawem koszulki otarł spoconą twarz. Długa seria z broni maszynowej sprawiła, że zastygł w miejscu. Nawet Dalweg się wzdygnął. Zaraz potem rozległy się okrzyki. Dochodziły z przyległego baru i korytarzy i brzmiały, jakby wydawali je Rosjanie.

Przez umysł Sykesa przewaliła się goniwa myśl. Jeśli byli tu Rosjanie, znaczyło to, że dowiedzieli się o pociskach. Ale z kim oni walczyli? Kto zabił Wiechmana? Co tu się do diabła, działo? Odpowiedź go przeraziła.

Sykes poczuł rękę Dalwega na swoim ramieniu. Spojrzał w jego stronę.

- Posłuchaj, nic niewarty gnoju - odezwał się Dalweg.

- Jeśli chcesz, żebym cię z tego wyciągnął, będziesz musiał mi zapłacić więcej. I to dużo więcej.

Sykes kilkakrotnie kiwnął głową.

- Jasne, co tylko powiesz. Tylko zabierz mnie stąd. Proszę.

Dalweg popatrzył na niego z pogardą i pchnął główne drzwi. Przez wejście wdarło się do środka światło słoneczne, zmuszając Sykesa do zmrużenia oczu. Okulary przeciwsłoneczne wraz z wszystkimi innymi swoimi rzeczami bez chwili wahania pozostawił

w pokoju.

Dalweg wybiegł i zajął pozycję osłaniającą za jednym z zaparkowanych przed hotelem samochodów. Sykes pobiegł za nim i kucnął tuż obok, dysząc z przerażenia.

Dalweg rozejrzał się w obie strony. Strzelanina spowodowała, że w okolicy zaczęli gromadzić się miejscowi. Wydawali się bardziej zaciekawieni niż wystraszeni.

- Nikogo nie widzę - stwierdził.

Sykes mimo wszystko nie podnosił głowy.

- A co z ciężarówką?

- Wciąż jest na swoim miejscu.

- Nikogo przy niej nie ma?

Dalweg potrząsnął głową.

- Jeśli ktoś by był, to bym to powiedział, idioto. Cokolwiek tu się wyrabia, nie chodzi już o pociski.

- Niemożliwe.

Dalweg spojrział na niego, marszcząc brwi.

- To niby dlaczego, geniuszu, te wszystkie pajace gdzieś na tyłach budynku walą do siebie ze wszystkiego co mają, zamiast spieszyć z tą ciężarówką?

Sykes wzruszył ramionami.

- No właśnie - rzucił Dalweg.

- To co robimy?

- Zabieramy się stąd.

Dalweg podniósł się i pospieszył na drugą stronę ulicy w kierunku ciężarówki. Stał i dał Sykesowi znak, by ten podążył za nim. Dopiero po trzech głębokich wdechach i pospiesznej modlitwie Sykes zdołał zmusić swoje nogi do ruchu. Pognał z samochodu na drugą stronę ulicy, gdzie Dalweg wdrapywał się już do kabiny pojazdu.

Sykes usłyszał dźwięk zbliżającego się samochodu i przylgnął do burty ciężarówki akurat w chwili, gdy drogą z wielką prędkością nadjechał jeep. Zszokowany Sykes spojrział na kierowcę. Jeep przemknął obok, zaś Sykes, oniemiały, nie mógł oderwać od niego wzroku.

Nie wierzył własnym oczom. Za kierownicą siedział Tesseract.

Kątem oka dostrzegł ruch. Z bocznej uliczki wyłonił się jakiś mężczyzna z bardzo krótko ściętymi włosami i karkiem grubym jak pień drzewa. Cerę miał zbyt jasną, by mógł

być miejscowym. Minęło kilka sekund, nim umysł Sykesa pojął, co się dzieje, lecz ta krótka chwila wystarczyła, by mężczyzna ruszył prosto na niego.

Sykes uniósł ramię z bronią, zrobił to jednak zdecydowanie zbyt wolno, przez co runęły na niego dziewięćdziesiąt trzy kilogramy wkurzonego Latynosa. Uderzony barkiem w brzuch Sykes pofrunął do tyłu i rąbnął plecami o asfalt. Broń wyleciała mu z ręki i zniknęła z pola widzenia.

Charcząc, z poczerwieniałą twarzą, rozpaczliwie usiłował wciągnąć powietrze do zapadniętych płuc.

*

W kilka sekund później Alvarez poderwał się na nogi. Pomimo swych sporych gabarytów rozwijał większą prędkość, niż można by się było po nim spodziewać.

Obserwował go tłumek Tanzańczyków, on nie zwrócił jednak na nich uwagi i rozglądał się w poszukiwaniu broni Sykesa. Nie mógł jej nigdzie dostrzec, a nie miał czasu, by jej dłużej szukać.

Zrobił krok w tył i się obrócił. Tył ciężarówki pokrywała wysoka konstrukcja z brezentu z zabezpieczonymi drzwiami w środkowej części tylnej płachty. Alvarez rozerwał

pełniącą rolę drzwi zasłonę i zajrzał do środka. Obok niego przemknęły dwie półciężarówki.

Intensywny zapach wody morskiej sprawił, że się wzdrygnął. Ładunek przykryty był grubym płótnem. Alvarez ściągnął płachtę na bok i jego oczom ukazał się zestaw przeróżnych przedmiotów: butle do nurkowania, regulatory, działający pod wodą palnik, taśmy, płetwy, torby nośne z otwartym dnem, reflektory podwodne oraz pudło flar sygnalizacyjnych.

Pośród ekwipunku znajdowały się również potężne, metalowe, pomalowane na biało cylindryczne elementy, które zajmowały całą długość przestrzeni ładunkowej, a szerokością dorównywały ramionom Alvareza. Nie ulegało wątpliwości, że zostały one rozmontowane, by można je było wyciągnąć na powierzchnię, ale i tak ich rozmiary znacznie przekraczały wyobrażenia Alvareza.

- Bingo - wyszeptał.

Usłyszał, jak drzwi szoferki się otworzyły, przycisnął plecy do tylnej klapy i zaczął.

*

Sykes usiłował wezwać pomoc, brakło mu jednak powietrza w płucach, by móc wydobyć z siebie słowa. Przerażony i cierpiący zwijał się na rozgrzanej nawierzchni.

Zobaczył, jak z hotelowego podjazdu szybko wyjechał land rover, a zaraz potem usłyszał głos Dalwega.

- Co do kurwy nędzy?

Sykes spróbował podnieść się i spojrzeć na komandosa, nie starczyło mu jednak siły.

Przekręcił więc tylko głowę na bok i z tej perspektywy zauważył Dalwega idącego mu z pomocą wzdłuż ciężarówki. Sykes obrócił głowę w drugą stronę i dostrzegł czekającego z tyłu ciężarówki Alvareza, który dla najemnika pozostawał niewidoczny.

- Co ci się stało? - spytał Dalweg.

Sykes ponownie odwrócił głowę i spróbował go ostrzec, lecz choć starał się krzyknąć, ze zmiażdżonej klatki piersiowej zdołał jedynie wydobyć szept. Postanowił więc wskazać komandosowi zagrożenie, ale ten nie zrozumiał jego gestykulacji.

Kiedy tylko Dalweg doszedł do Sykesa, Alvarez rzucił się na niego od tyłu i powalił

na ziemię. Dalweg grzmotnął o nawierzchnię na lewo od Sykesa wzbijając pomarańczowy pył.

Kiedy dwaj potężni mężczyźni zaczęli się tuż obok Sykesa nawzajem dusić i okładać, ten spróbował się odsunąć. Nadal charczał, lecz przejmujący ból w klatce piersiowej z każdą sekundą słabł. Sykes zdołał przeturlać się w prawo, wpiersw na brzuch, a potem znowu na plecy. Z odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów do jego uszu dochodziły stęknienia i przyprowadzające o mdłości odgłosy trafiających ciosów. Na jego twarzy wylądowały krople bryzgającej krwi.

Sykes powoli podniósł się na nogi i pokuśtykał do tyłu, aż natrafił na ścianę, o którą mógł się oprzeć. Część miejscowych zaczęła kibicować walczącym.

Na wprost przed nim Alvarez i Dalweg walczyli ze sobą. Obaj mieli krzepę i wiedzieli, jak się bić. Alvarez zdołał usiąść na Dalwegu, lewą ręką przyciskając prawe ramię przeciwnika do ziemi, zaś przy użyciu prawej okładając go pięścią i trafiając łokciem. Z rany na policzku Dalwega trysnęła krew. Już wcześniej dostał krwotoku z jamy ustnej. Sykes zdawał sobie sprawę,

że za kilka sekund będzie już po walce.

Nie mógł znaleźć swojego pistoletu, lecz beretta Dalwega leżała niedaleko, poza zasięgiem ramion któregokolwiek z walczących. Sykes odepchnął się od ściany i ruszył do broni tak szybko, jak tylko mógł. Ominął miejsce, w którym Alvarez wciąż okładał Dalwega i pokuśtykał przed siebie, starając się nie stracić równowagi.

Alvarez dostrzegł, co się święci, puścił Dalwega i rzucił się w pogoń za Sykesem.

Dorwał go, nim ten dostał się do broni, złapał go rękami za uda, podciął i z powrotem sprowadził do parteru. Bolało.

Sykes ramionami zamortyzował upadek, nie na tyle jednak, by jego twarz uniknęła zderzenia z asfaltem. Leżał bezwładnie i cicho pojękiwał.

Alvarez podniósł się do góry. Obrócił się w stronę Dalwega i zauważył, że ten zmierza ponownie do szoferki. Były komandos zdążył już otworzyć drzwi pojazdu i sięgnął do środka.

Kiedy wyłonił się z kabiny, w rękach trzymał uzi.

Alvarez podniósł berettę i zszedł z linii strzału, nim Dalweg nakierował lufę broni.

Latynos z paniką w oczach rozejrzał się za jakąś osłoną, lecz zdał sobie sprawę, że nie zdołałby się skryć na czas, toteż obrócił się i wystrzelił w stronę Dalwega przez brezentową plandekę ciężarówki, licząc na łut szczęścia.

Uzi ryknęło w odpowiedzi, czyniąc w płóciennej płachcie rząd dymiących otworów.

Za plecami Alvaraza pociski odłupwały kawałki muru. Agent CIA padł na czworaka i zniżył

głowę, aby zajrzeć pod ciężarówkę. Dalweg stał za jednym z tylnych kół. Widać było jedynie jego cień. Uzi wyrzuciło z siebie kolejną serię i nad głową Alvaraza przemknęła następna porcja pocisków.

Latynos wycelował na tyle ile mógł i wystrzelił.

Kula uderzyła w oponę ciężarówki, przeszła przez gumę na wylot i trafiła Dalwega w nogę. Najemnik zawył z bólu i opuścił zajmowaną pozycję. Alvarez znowu strzelił, lecz Dalweg zdążył już zniknąć z jego pola widzenia.

Agent podniósł się, przesunął się do tyłu ciężarówki i schował za jednym z wielkich kół, tak jak to wcześniej zrobił Dalweg. Chwilę później w jego stronę poleciała kolejna seria.

Wystawił głowę na tyle, by zauważyć, że Dalweg ulokował się za niskim murem po drugiej stronie drogi, po czym z powrotem schował się za osłoną. Poczul, jak uderzające kule wprawiają karoserię w vibracje i po cichu pomodlił się, by któraś z nich nie doprowadziła do detonacji jednej z głowic. Alvarez nie wiedział, czy złożone w ciężarówce pociski są uzbrojone, a nawet jeżeli by były, to - jak sobie tłumaczył - ich trafienie wymagałoby sporego szczęścia, mimo to nie chciał czekać, by przekonać się, czy się nie myli.

Przesunął się w bok, wysunął ramię do tyłu, sięgnął za koło i oddał kilka strzałów w kierunku Dalwega. Prawdopodobieństwo, że trafi, było zapewne jeszcze mniejsze, niż ryzyko wybuchu którejs z głowic, lecz najwyraźniej nie poszło mu najgorzej, gdyż strzały z uzi na parę chwil ucichły.

Alvarez nie zmarnował nadarzającej się okazji do zmiany pozycji i przebiegł do przodu ciężarówki, by skryć się za następnym kołem. Skulony i zgarbiony obszedł przedni błotnik, wychylił się i oddał strzał. Pocisk wbił się w ścianę, za którą chronił się Dalweg.

W odpowiedzi nadleciała seria dziewięćmilimetrowych pocisków, zmuszając Alvaraza do cofnięcia się za koło. Kule zagrzechotały na masce ciężarówki, roztrzaskały szyby w szoferce i powbijały się w grunt. Alvarez usłyszał coś jakby strumień wody i spojrzał

w lewo. Z podziurawionego kulami zbiornika wyciekało paliwo.

Alvarez nie uważał się za wybitnego znawcę prawideł chemicznych, wiedział jednak, że temperatura zapłonu ropy jest wyższa niż w przypadku benzyny i nawet zapałka nie wystarczy do jej podpalenia. Marna to była jednak pociecha, gdy wyciekająca ropa zaczynała tworzyć tuż obok niego kałużę.

Odsunął się od poszerzającej się plamy, chcąc zerwać się do biegu, miał jednak świadomość, że został osaczony. Gdyby tylko wysunął się zza ciężarówki, dostałby się pod deszcz ołowiu. Alvarez był odważny, ale nie głupi.

Wychylił się zza pojazdu, by jeszcze raz wystrzelić do Dalwega, lecz nim zdążył

nacisnąć spust, poczuł rozdzierający ból w prawym ramieniu, a nogi się pod nim ugięły.

Alvarez upadł na plecy, spróbował ruszyć prawą ręką i wykrzywił się z niewyobrażalnego bólu. Palcami lewej dłoni dotknął rany. Namacał mały otwór wlotowy z przodu ramienia. Wyciągniętymi palcami sięgnął do tyłu i wyczuł zdecydowanie większą ranę wylotową po drugiej stronie. Czyli przeszło na wylot. Obyło się przy tym bez uszkodzenia kości, lecz gdy Alvarez cofnął lewą dłoń, zauważył, że była ona cała we krwi.

- Cholera.

ROZDZIAŁ 76

19:26 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Wiktor jechał pylistą drogą, która zakręcając, oddalała go od kompleksu hotelowego.

W oddali łączyła się ona z główną szosą, która prowadziła w głąb miasta. Była ona najszybszym sposobem wydostania się z okolicy, zarazem jednak takie rozwiązanie było najbardziej przewidywalne. Nie miał jednak wyboru. Nie znał okolicy wystarczająco dobrze, by bez absolutnej konieczności zapuszczać się w boczne uliczki.

Zwolnił, aby włączyć się do ruchu i stanął wśród pozostałych pojazdów oczekujących przed skrzyżowaniem. Spojrzał w lusterko wsteczne. W jego stronę pędziły dwa pikapy -

toyota oraz ford.

Wiktor dodał gazu, wyrwał się z kolumny aut na pas prowadzący w przeciwnym kierunku, zmienił bieg i pomknął przez skrzyżowanie. Wyminął pojazdy nadjeżdżające z boku, wrócił na prawą stronę jezdni i ponownie wrzucił wyższy bieg.

Półciężarówka ruszyła jego śladem, przelatując przez skrzyżowanie i zostawiając za sobą zakleszczone i porozbijane samochody.

Wiktor puścił sprzęgło i energicznie nadepnął na hamulec, wprowadzając jeepa w poślizg w prawo, po czym natychmiast przyspieszył. Tył jeepa uciekał w bok, a cały pojazd wibrował od przeciążeń. Popędził boczną uliczką. Po kilku sekundach zauważył, że półciężarówka podążają za nim, wchodząc w zakręt z mniejszą prędkością. Starając się nadążyć za uciekającym, co chwila obijały się burtami o zaparkowane auta.

Skręcił za kolejny róg i przemknął przez skrzyżowanie. Cały czas spoglądał na drogę, która okrążała skupisko gęsto ustawionych budynków - kolonialnych rezydencji z kamienia, wymieszanych z budkami z blachy falistej. Na poboczu leżały sterty łysych opon. Wymijał

wolniejsze pojazdy przy akompaniamencie klaksonów i gróźb wściekłych kierowców.

Droga stawała się prosta i się rozwidlała. Przez sekundę wahał się, następnie jednak skręcił w lewo w szeroką ulicę, która prowadziła w dół zbocza. Spojrzał w lusterko.

Pozostające w tyle półciężarówka wyprzedzały pozostałe samochody bądź po prostu spychały je z drogi.

Spojrzał znowu przed siebie i zauważył ubrudzoną taksówkę, która wypadła z bocznej uliczki wprost przed jego maskę. Nie było już czasu, by zahamować, ani też miejsca, by ją wyminąć. Uderzył w przód pojazdu. Większy i masywniejszy jeep odepchnął taksówkę, która wirując uderzyła w nadjeżdżający samochód. Oba auta uległy zniszczeniu. Siła uderzenia rzuciła Wiktora w przód, lecz dzięki pasom bezpieczeństwa nie uderzył głową w kierownicę.

Z wielkim trudem udało mu się zapanować nad jeepem. W lusterku dojrzał, jak pierwszy z pikapów - toyota - wpada na chodnik, aby uniknąć zderzenia z pogruchotanym samochodem oraz taksówką. Toyota sunęła burtą po ścianie budynku, krzesając iskry i gubiąc boczne lusterko. Po chwili wróciła na jezdnię, wzniesając przy okazji tumany pyłu.

Drugi z pojazdów już wcześniej zredukował prędkość, dzięki czemu z łatwością wyminął rozbite samochody i teraz coraz szybciej się zbliżał. W lusterku wstecznym Wiktor był w stanie dojrzeć ponury i zacięty wyraz twarzy Rosjanina.

Z przodu ulica opadała i skręcała w lewo. Trzymał się niej, aż wjechał na szeroką trzypasmówkę o wysokim natężeniu ruchu. Nawierzchnia jezdni była gładka i równa. Po obu stronach szosy wznosiły się dwupiętrowe rezydencje z werandami podpieranymi kolumnami.

Z części odłaziła farba w pastelowych odcieniach - niebieska, żółta i kremowa. Wśród porastających pobocza zarośli buszowały koczokodany.

Wiktor z rękami na kierownicy przeciskał się jeepem pomiędzy powoli jadącymi samochodami. Starając się prześlizgnąć przez lukę, zanim się ona zamknie, wgniół jedno z nadkoli. Półciężarówki były już tuż za nim, zderzakami torując sobie drogę wśród mniejszych aut. Zewsząd rozlegały się klaksony.

Toyota była wystarczająco blisko, by widział wewnątrz szoferki, tam zaś Rosjanin na fotelu pasażera przygotowywał pistolet maszynowy do strzału.

*

Reed podążał za śladami zniszczeń. Land rover miał tylko parę lat i był w idealnym stanie, co w połączeniu z jego umiejętnościami sprawiało, że szybko zbliżał się do ściganych przez niego pojazdów. Na jego kolanach spoczywał przeładowany, odbezpieczony i gotowy do strzału glock.

Dotąd nie zauważył jeepa, wiedział jednak, że jest na właściwym tropie. Mijał

uszkodzone pojazdy, jak również te, które zatrzymały się, by uniknąć zderzenia lub wjechania na już zmiażdżone auta. Dzięki temu miał przed sobą praktycznie pustą drogę.

Z każdą sekundą zbliżał się do uciekającego celu. Niebawem znowu będzie trzymał

Tesseracta na celowniku.

*

Rosjanin na siedzeniu pasażera w pierwszej półciężarówce wychylił się przez okno i spróbował przyjąć pozycję umożliwiającą otwarcie ognia. Wiktor nie dał mu na to szans.

Zjechał z drogi w wąską uliczkę, gdzie między zaparkowanymi samochodami mieścił się tylko jeden pojazd. Na rozciągniętych między budynkami sznurach suszyła się pościel i kolorowe ubrania.

Półciężarówka podążyła za Wiktorem, biorąc zakręt ze zbyt dużą prędkością i wpadając w poślizg, przez co jej tył utracił kontakt z podłożem. Strzelec zdążył schować się w kabinie na chwilę przed tym, jak toyota przejechała burtą po zaparkowanym samochodzie.

Trące o siebie blachy wydały przeraźliwy zgrzyt.

Na najbliższym skrzyżowaniu Wiktor przyspieszył. Nie chciał zmniejszyć prędkości w obawie, że przeciwnicy go dościgną. Przechylił się na bok i w tym samym momencie inny samochód uderzył z prawej strony w tył jego jeepa, który zakręcił się wokół własnej osi. Siła odśrodkowa przycisnęła go do drzwi aż do chwili, gdy pojazd się zatrzymał. Drugi samochód wpadł w poślizg i zdemolował wystawę sklepową.

Prowadzący pościg pikap szybko pokonał skrzyżowanie, zaraz potem ostro zahamował, a spod opon uniósł się dym. Kierowca szarpnął pojazdem w bok, aby wyminąć jeepa blokującego drogę. Drugi samochód pędził jeszcze szybciej i podążał za pierwszym, również mijając Wiktora. Kierowca nadepnął na hamulec i pojazd zwolnił, a następnie uderzył w tył toyoty, przewrócił się na bok, pokonał krawężnik i skosił stragany osłonięte od słońca uplecionymi z wodorostów daszkami. Okolicę

zasypały fragmenty rozbitych owoców oraz orzechów kokosowych, kupcy zaś rozpierzchli się w przerażeniu.

Wiktor wrzucił wsteczny i cofnął jeepa, rozjeżdżając przy tym kolejny stragan, następnie zaś wrzucił jedynekę, skręcił kierownicę i dodał gazu. Zauważył, że pierwsza z półciężarówek zawróciła, aby móc ruszyć za nim. Tym razem pasażer wychylał się już przez okno. Wiktor schylił się na siedzeniu, a po chwili w stronę jeepa pomknęła seria dziewięciomilimetrowych pocisków.

Ponownie zmienił bieg, starając się umknąć goniącej go półciężarówce, coś jednak utknęło pod podwoziem jeepa i go spowalniało. Wrzucił więc wsteczny i zaczął cofać samochód w stronę nadjeżdżających pojazdów Rosjan. Przed maską pojawiła się rozbita drewniana skrzynka, która dopiero teraz odczepiła się od podwozia.

Zahamował, wrzucił pierwszy bieg i objechał pozostałości skrzynki. Następnie szybko zawrócił ku wąskiej uliczce pełnej zaparkowanych samochodów, zdając sobie sprawę, że pikapy będą miały trudności z ponownym w nią wjechaniem.

Tyłna szyba jeepa rozprysła się na kawałki. Odłamki szkła rozsypały się po wnętrzu pojazdu. Przednia szyba również popękała od pocisków.

Przejechał skrzyżowanie i się rozejrzał. Z jednej strony drogę blokowały pojazdy, które zatrzymały się z powodu pościgu. Z drugiej w jego stronę pędził land rover.

Dojrzał ciemną sylwetkę kierowcy i zrozumiał, kto się zbliża.

Nie istniała żadna inna droga ucieczki. Skręcił w stronę nadjeżdżającego land rovera.

Jedną rękę zostawił na kierownicy, drugą zaś chwycił spoczywającego na kolanach browninga. Land rover zbliżał się przeciwną stroną drogi. Wiktor uniósł broń i - gdy znaleźli się w odległości pięciu metrów od siebie - strzelił przez przednią szybę. W tym samym momencie pociski przeciwnika nadleciały w jego stronę.

Przez chwilę, gdy pojazdy zrównały się ze sobą, patrzył na kamienną twarz kierowcy land rovera. Zaraz potem w lusterku wstecznym zauważył, że ten zahamował. Usłyszał

klakson, spojrzął w przód i ujrzał wjeżdżający zza rogu w ulicę zardzewiały minibus. Jeep jechał prosto na niego i nie było możliwości, by go jakoś ominął. Wiktor nadepnął na hamulec i zaciągnął ręczny. Wszystkie cztery opony zapiszczały, a w powietrze wbił się dym. Jeep stanął na tyle blisko, że Wiktor mógł dostrzec przerażone twarze spoglądających na niego pasażerów busa.

Kierowca busa pokazał mu środkowy palec, Wiktor zaś wrzucił wsteczny bieg i zwinnie w trzech ruchach zawrócił jeepa. Od strony skrzyżowania wyjechały pikapy, po czym skręciły w jego stronę. Ford wbił się w bok land rovera akurat w chwili, gdy wykonywał on zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

Na kolejnym skrzyżowaniu Wiktor zjechał z drogi, nie przyglądając się skutkom kolizji. Jadąca za nim toyota ostro przyhamowała, skręciła w tym samym miejscu i zaczęła go doganiać, aż znalazła się praktycznie tuż za zderzakiem jeepa.

Wykonał kolejny szybki i zdecydowany skręt w nadziei, że zgubi półciężarówkę, rosyjski kierowca nie dał się jednak tak łatwo oszukać. Podążył za nim, aczkolwiek dzielący ich dystans nieco się zwiększył. Wiktor wjechał na zakurzoną szosę. Ruch nie był zbyt intensywny, toteż przyspieszył. Jeep zatrzęsł się z wysiłku. Pojazd ścigał nieco w prawo, skontrolował więc kierownicą.

Po sekundzie za jeepem pojawiła się półciężarówka, która dzięki nowszemu, potężniejszemu silnikowi zaczęła nadrabiać stratę. W lusterku wstecznym Wiktor dostrzegł, jak pasażer wychyla się przez okno i mierzy z pistoletu maszynowego.

Kule trafiły we wzmocnioną przednią szybę jeepa, pokrywając ją kolejnymi pęknięciami i przelatując blisko jego głowy. Zdecydowanie za blisko. Nadepnął na hamulec i wskazówka prędkościomierza gwałtownie opadła.

Kierowca toyoty zmuszony był również zahamować, aby uniknąć wbicia się w tył

jeepa. Strzelec ze Specnazu nie mógł strzelać.

Kiedy prędkość spadła do czterdziestki, szarpnął kierownicą w lewo. Zdjął nogę z pedału hamulca i w tym samym momencie

pociągnął za dźwignię hamulca ręcznego. Jeep obrócił się w bok, on zaś zwolnił ręczny, ostro skręcił kierownicę i dodał gazu. Spod opon dobył się pisk i kłęby dymu, a jeep chwilowo stracił przyczepność, kończąc zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

Pierwszy z pikapów ponownie przyhamował, blokując koła, Wiktor był już jednak na przeciwnym pasie. Przemknął koło niej z ramieniem wysuniętym przez okno, dwukrotnie strzelając z browninga w stronę kierowcy. Zostało mu dziesięć naboje.

W dalszym ciągu przyspieszał, niepewny, czy kogokolwiek trafił i nie chcąc zwolnić, aby się o tym przekonać. W lusterku dostrzegł, jak półciężarówka wykonuje niezdarne nawrót. Gdy zakończyła manewr, Wiktor był już niemal kilometr dalej. Idealnie. Teraz on sam również zawrócił, czyniąc to o wiele sprawniej. Wrócił na opuszczony wcześniej pas i przyspieszył.

Dwieście metrów przed jeepem toyota wjechała na ten sam pas. Wiktor w dalszym ciągu przyspieszał. Zauważył, jak z bocznego okna wyłania się pasażer z uniesionym pistoletem maszynowym. Na końcu lufy pojawiły się rozbłyski wystrzałów. Oba pojazdy poruszały się zbyt szybko, by strzelec mógł prowadzić celny ogień, lecz dzielący ich dystans błyskawicznie się zmniejszał. Rosjanin przerwał ogień i przyłożył oko do celownika.

Sto metrów. Pięćdziesiąt.

Przy dystansie dwudziestu metrów znowu rozległy się strzały. Wiktor szarpnął

kierownicą w lewo i zjechał na drugi pas, mijając pikapa po przeciwnej od strzelca stronie.

Tym razem już nie spudłował.

Na wewnętrznej stronie przedniej szyby toyoty pojawiła się krew.

Kierowca stracił panowanie nad kierownicą i półciężarówka przechyliła się na bok, po czym uderzyła bokiem w tira, miażdżąc strzelca, nim ten zdołał schować się z powrotem do szoferki.

Toyota odbiła się od ciężarówki, zawirowała szaleńczo, stanęła na dwóch kołach, przewróciła się dwa razy i posunęła szosą podwoziem do góry. Spłaszczony ciałem rosyjskiego żołnierza zwiślało bezwładnie z jej okna.

Wiktor wyminał nadjeżdżające z przeciwnika samochody i odjechał, pozostawiając za sobą powoli kręcącą się wokół własnej osi toyotę.

Odetchnął głęboko i skupił się na drodze, zastanawiając się, dokąd prowadzi.

Chwilowo sprawa dobiegła końca. Pusta i szeroka szosa prowadziła na północ ku odległej o zaledwie trzydzieści parę kilometrów granicy z Kenią. W żadnym wypadku nie mógłby zaryzykować powrotu. Nim dotarłby ponownie do hotelu, na miejscu roiliby się już od przedstawicieli lokalnych władz, jak również od rosyjskich komandosów. Co więcej, gość i tak dawno by się już stamtąd ulotnił.

Do kontynuowania pościgu musiało wystarczyć to, co znalazł w siedzibie Olympusa.

Musiał przekopać się przez całą dokumentację, podążając ścieżką zaproponowaną przez pośredniczkę. Strzałkę prędkościomierza utrzymywał na sześćdziesiątce.

W lusterku wstecznym ukazał się jakiś pojazd, który starał się przebić przez zator spowodowany przez zniszczoną toyotę.

Land rover.

Wdepnął do oporu pedał gazu i po kilku sekundach land rover zniknął za horyzontem.

Wystarczyło tylko nie spuszczać nogi z gazu, by znaleźć się poza zasięgiem zabójcy, nim ten ominie korek.

Przywołał w myślach obraz kropli wody rozpryskujących się na martwych oczach.

Mięśnie jego szczęki się napięły, a jego spojrzenie stężało. Zwolnił częściowo pedał

gazu. Wskazówka opadła do trzydziestki. Upłynęło dziesięć sekund, potem dwadzieścia, aż wreszcie w lusterku wstecznym

ujrzał ciemny punkt, który z każdą chwilą stawał się większy, wyraźniejszy i bliższy. Dobra.

Skręcił w najbliższy możliwy zjazd, po raz kolejny zwalniając i umożliwiając zabójcy zmniejszenie dystansu. Jechał teraz szeroką ulicą, wzdłuż której ciągnęły się jednopiętrowe budynki z pustaków, zadane blachą falistą i plecionką z wodorostów. Nisko nad jezdnią zwisały linie energetyczne. Ściany domów upstrzone były graffiti.

Po paru sekundach śladami jeepa podążył land rover. W lusterku wstecznym oczy Wiktora napotkały wzrok Reeda. Ujrzał w jego spojrzeniu nienawiść i wiedział, że zabójca dostrzegł w jego oczach to samo.

Przyspieszył i ściał najbliższy zakręt, pozwalając tylnej osi oderwać się od podłoża. Z

całych sił skontrował kierownicą, podczas gdy jeep pociągnął w prawo, bokiem od strony kierowcy trąc po zaparkowanych samochodach, wyginając przy tym błotnik i tłukąc reflektory.

Sprowadził pojazd z powrotem na środek jezdni. Znajdował się na wąskiej zakurzonej ulicy, którą z obu stron otaczały sklecone z byle czego chatki. Nigdzie nie widać było zakrętu.

W oddali slumsy przechodziły w skaliste zarośla. Po jednej stronie drogi dużo było odwróconych do góry dnem starych łodzi, splekanych i wypaczonych pod wpływem działania promieni słonecznych. Ścigający go land rover zbliżył się na tyle, że Wiktor ujrzał uniesioną broń zabójcy.

Usłyszał nieprzyjemny odgłos niestłumionego wystrzału. W przedniej szybie pojawiły się kolejne otwory. Jeden z pocisków odłupał kawałek deski rozdzielczej, zaczął więc kluczyć, rzucając pojazdem na obie strony. Ogień ustał. W lusterku wstecznym dojrzał, że napastnik obydwie ręce znowu trzyma na kierownicy.

Land rover uderzył od tyłu w jeepa, podrzucając go na siedzeniu. Po kilku sekundach kolejne uderzenie zepchnęło samochód na prawo; nim odzyskał panowanie nad kierownicą, land rover podjechał do przodu, zrównując się z jeepem. Pojazdy zajmowały teraz całą szerokość drogi, a rozdzielała je jedynie gęsta chmura pyłu.

Reed jedną ręką trzymał kierownicę, drugą zaś strzelał z glocka, zerkając co chwila na jezdnię. Gdy tylko nadarzała się okazja, Wiktor odpowiadał ogniem - zostawiając w magazynku osiem nabojeów, sześć, cztery - lecz celował z niekorzystnego kąta, nie mógł więc uzyskać dogodnej pozycji do strzału. Jego zapas amunicji był ograniczony, odłożył więc browninga na kolana i szarpnął kierownicą w prawo, wbijając się bokiem w land rovera.

Blachy zgrzytnęły, zaś kolejne kule przeorały karoserię jeepa.

Odbił w lewo, a następnie skręcił znowu w prawo, mocno uderzając w land rovera, potem jeszcze raz i jeszcze. Strzały ustały. Spojrzał w nieruchome oczy zabójcy.

Zrównane ze sobą pojazdy pędziły dalej drogą. Wiktor trzymał ręce na kierownicy, napinając mięśnie, zaciskając zęby i rzucając spojrzenia to na szosę, to na przeciwnika.

Zaczekał, aż zabójca ponownie podniesie broń do strzału i zwolnił pedał gazu, gwałtownie zmniejszając prędkość. Jeep otarł się o land rovera, pociski przebiły maskę, a przez dziury zaczęła z sykiem wydobywać się para.

Odbił w prawo, jadąc dokładnie za land roverem. Lewą rękę zostawił na kierownicy, prawą zaś chwycił browninga i przez przednią szybę własnego samochodu wystrzelił ostatnie cztery naboje. Dwie kule trafiły w tylny zderzak land rovera, z drogi podniósł się obłok kurzu, jednak czwarty pocisk trafił w cel.

Tyłna opona od strony kierowcy wybuchła.

Land rover zakolysał się, obrócił wokół własnej osi, wzbil w niebo chmurę pyłu, stanął na chwilę na dwóch kołach, po czym przewrócił się i stoczył z szosy w zarośla.

Wiktor odrzucił pustego browninga i zdjął nogę z gazu. Jeep jednak nie zwolnił.

Zaczął się natomiast trząść, a z silnika buchnęła para. Spróbował zmniejszyć prędkość, pedał

gazu był zablokowany. Hamulce zapiszczały, wyrzucając w powietrze kłęby pyłu z tarcz, lecz jeep w dalszym ciągu jechał

pięćdziesiątką. Spod maski buchnął dym, a chwilę potem języki ognia. Pojazd pędził w stronę rozjazdu w kształcie litery T - zbyt szybko, by można wykonać skręt. Maskę wozu podniosła się i zasłoniła przednią szybę.

Na oślep skręcił w prawo. Jeep wyleciał z drogi i przebił się przez chaszczę. Wiktor siłował się z kierownicą, nie widząc niczego zza uniesionej maski. Samochód pędził przed siebie, a wysokie trawy i drzewa tylko migwały w bocznych oknach.

Podskakiwał na fotelu, podczas gdy zawieszenie jeepa starało się uporać z nierówną rzeźbą terenu. Nieoczekiwanie podłoże zdało się na chwilę całkowicie wyrównać, następnie zaś jeep nachylił się do przodu i zdał sobie sprawę, że spada. Zaraz potem wszystko pograżyło się w ciemności.

ROZDZIAŁ 77

19:34 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Alvarez podniósł się i oparł o ciężarówkę. Prawe ramię zwisało mu bezwładnie wzdłuż ciała. Krew zalała mu koszulkę, która przykleiła mu się teraz do skóry. Ból i zawroty głowy nie pozwoliły mu sięgnąć po berettę, która wpadła pod ciężarówkę. Z ręką na czole, dotykając rozcięcia powyżej lewego łuku brwiowego, zdołał jednak dostrzec nadchodzącego Sykesa. Mężczyzna przyklęknął i podniósł pistolet.

- Co ty tutaj robisz? - spytał Alvarez.

- O to samo miałem zapytać ciebie.

Sykes nie odpowiedział. Własną koszulką otarł kurz z podniesionej beretty. Alvarez nie spuszczał go z oka.

Dalweg, kulejąc, obszedł tył ciężarówki. Jego lewa łydka zalana była krwią płynącą z miejsca, gdzie drasnął go wystrzelony pocisk. W jednej ręce niedbale trzymał uzi.

- Pechowy z ciebie pojeb - rzucił w stronę Alvarez.

- Trafiłem cię ostatnią kulą z magazynku.

Twarz Dalwega była krwawą i opuchniętą masą. Podeszedł do Alvarez i uderzył go w brzuch ręką uzi. Alvarez opadł na kolana. Dalweg uśmiechnął się złośliwie.

- Teraz jesteśmy kwita - stwierdził.

Spojrzał na Sykesa.

- Kto to do cholery jest?

- To gość z Agencji - wyjaśnił Sykes. - Długa historia.

Dopiero po kilku sekundach Alvarez opanował atak kaszlu na tyle, by ujrzeć wycelowaną prosto w jego twarz lufę beretty. Alvarez wbił spojrzenie w Sykesa.

- Wierz mi, nie chcesz tego robić.

- Cóż, właśnie to robię - odparł Sykes. - I nie wini mnie za to. Nie musiałeś tu przyjeżdżać. Nie musiałeś się w to wplątywać.

- Owszem, musiałem.

- A zatem nie pozostawiasz mi zbyt dużego wyboru.

- Czy wiesz, co jest w tej ciężarówce? - spytał Alvarez, spoglądając wpierw na Sykesa, potem zaś na Dalwega.

Dalweg splunął krwią gromadzącą mu się w ustach.

- Oczywiście, że wiem - odrzekł Sykes.

Alvarez stanął z powrotem na nogi, dla zachowania równowagi łapiąc się zdrowym ramieniem bocznego lusterka ciężarówki. Spojrzał na Dalwega.

- Naprawdę zamierzasz mu w tym pomóc?

- Za to właśnie mi płaci.

- Masz na ramieniu tatuaż z marynarki. To samo powiesz, kiedy stracimy dziesięć tysięcy marynarzy, bo któraś z naszych grup uderzeniowych lotniskowca zostanie zatopiona?

Dalweg zmarszczył brwi.

- Pierdolić marynarkę. Wyleciałem z mojego oddziału tylko przez to, że zrobiłem jakiejś dziwce parę głupich siniaków - Dalweg uśmiechnął się. - Mam prawo się jakoś teraz odegrać.

- Te pociski...

Dalweg zrobił krok w stronę Alvareza.

- Zamknij się.

Alvarez ponownie spojrzał na Sykesa.

- Kevin, zawsze myślałem, że jesteś patriotą. Naprawdę sprzedasz swoją ojczyznę, po to tylko, żeby powiększyć stan własnego konta?

Dalweg rąbnął Alvareza w brzuch ręką uzi. Alvarez znowu upadł na kolana, z trudem łapiąc oddech.

- Czyżbym nie wyraził się jasno? Kazałem ci zamknąć mordę.

Sykes zmarszczył brwi i westchnął.

- Siedzę w tym już za głęboko, by się teraz wycofać.

Alvarez opanował kaszel na tyle, by móc się odezwać.

- Zawsze istnieje jakieś wyjście.

Dalweg kolejny raz splunął krwią i zrobił krok w tył. Skinął na Sykesa.

- Po prostu zastrzel tego fiuta, żebyśmy mogli stąd się zabrać.

Na twarzy Sykesa zaświeciły krople potu. Skierował broń w dół, w stronę klęczącego Alvareza.

- Pospiesz się i zrób to - rzucił Dalweg, podchodząc bliżej.

Sykes zgrał muszkę ze szczerbinką tuż nad lewym okiem Alvareza i wziął głęboki wdech.

Dalweg stanął u boku Sykesa.

- Zastrzel go.

Sykes wstrzymał oddech.

- Zrób to - powiedział Dalweg.

Wypuszczając powietrze z płuc, Sykes się odezwał.

- Nie.

- Zrób to, kurwa.

- Nie - Sykes opuścił broń. - Tej granicy nie przekroczę.

- Odbiło ci? Nie możesz tak po prostu darować mu życia. Jutro o tej samej porze będzie cię ścigała cała CIA.

- Nic mnie to nie obchodzi - odpowiedział Sykes, nawet na niego nie spoglądając. -

Wsiadaj do ciężarówki. Jedziemy.

Dalweg nie drgnął ani nie odpowiedział, Sykes odwrócił więc głowę. W tym momencie były komandos się odezwał.

- A mnie akurat obchodzi.

Chwilę później potężna pięść trafiła Sykesa w kość policzkową, powalając go od razu na ziemię.

- Tchórzliwa ciota. Kiedy tylko cię poznałem, wiedziałem, że nie masz jaj. Nie pozwolę, by ten chłoptaş wraz ze swoją ekipą zaczęli mnie ścigać - Dalweg przestąpił nad wijącym się po ziemi Sykesem, aby podnieść berettę. - Jeśli chcesz, by coś zostało zrobione, musisz zrobić to sam.

Zwrócił się w stronę Alvareza i podniósł broń.

- Jakieś ostatnie życzenie, *hombre*?

Alvarez spojrział na Dalwega zmrużonymi oczami, zaciskając przy tym szczęki. Nie okazywał strachu, a jedynie nienawiść.

- Idź do diabła.

Dalweg uśmiechnął się krzywo, odsłaniając pogruchotane i zalane krwią zęby.

- Panie przodem.

Zaraz potem wrzasnął z bólu, Sykes zebrał bowiem wszystkie pozostałe mu siły i kopnął go piętą w ranioną łydkę. Dalweg nie upadł na ziemię, lecz zatoczył się do przodu w stronę Alvareza, ten zaś poderwał się z kolan, waląc czołem w nieosłoniętą twarz najemnika.

Kości, chrząstki oraz zęby nie wytrzymały uderzenia. Dalweg przechylił się w przód, uderzył

w burtę ciężarówki i wreszcie upadł na ziemię wprost w kałużę oleju napędowego. Był

przytomny, lecz oszołomiony. W dłoni wciąż ścisnął berettę.

- Już, kurwa, nie żyjesz - ryknął.

Wyciągnął ramię w kierunku Alvareza i wystrzelił. Pocisk utkwiał w ścianie na prawo od Latynosa - Dalweg fatalnie spudłował, Alvarez nie chciał tymczasem czekać, aż przeciwnik oprzytomnieje na tyle, by móc strzelać celniej i pospiesznie się oddalił. Najemnik, wijąc się na śliskiej od paliwa ziemi, oddał jeszcze trzy strzały. Alvarez wzdrygnął się, uniknął jednak trafienia. Pobiegł w głąb uliczki, przyciskając lewą dłoń do rany wylotowej z tyłu barku. Wobec braku kolejnych strzałów czy odgłosów pościgu, zatrzymał się, aby oprzeć się o ścianę i złapać oddech. Ze skóry pomiędzy brwiami wyjął tkwiącego tam siekacza.

Po chwili usłyszał dźwięk uruchamianego silnika ciężarówki i przesunął się z powrotem ku wylotowi uliczki, a następnie wyrzwał zza rogu. Sykes w dalszym ciągu leżał

rozciągnięty na drodze. Jego lewy policzek był posiniaczony, a kość zapewne złamana. Nie wyglądał na kogoś, kto by w najbliższym czasie dokądkolwiek się wybierał.

Z rury wydechowej buchnęły kłęby spalin i ciężarówka spróbowała odjechać. Z tyłu i z przodu zastawiały ją zaparkowane samochody, co do pewnego stopnia utrudniało manewry.

Przebita tylna opona dodatkowo spowalniała jej ruchy. Z przedziurawionego zbiornika paliwa w dalszym ciągu wyciekało paliwo.

Alvarez wiedział, że jeżeli zaraz czegoś nie zrobi, ciężarówka zniknie, a wraz z nią pociski. Wyobraził sobie, jak za parę dni zostaną one sprzedane gdzieś na bliskowschodnim czarnym rynku. Nabrał powietrza. Przyszedł czas na akcję ostatniej szansy.

Wytarł w spodnie krew z lewej dłoni i wybiegł na drogę, trzymając się po stronie ciężarówki niewidocznej dla kierowcy. Przesunął się na tył powoli skręcającego pojazdu i zdrową ręką chwycił się tylnej klapy. Stękając, podskoczył i wturlał się na pakę.

Wiedział już, czego szuka i gdzie może to znaleźć. Szybko otworzył skrzynkę i wyjął

z niej flarę. Kiedy ciężarówka gwałtownie zahamowała, stracił równowagę i uderzył rannym ramieniem w jedną z butli do nurkowania. Krzyknął i upadł na kilka sekund, starając się wyprzeć ból ze świadomości, podczas gdy ciężarówka zaczęła powoli się cofać.

Alvarez nabrał powietrza w płuca i złapał flarę w zęby, aby móc odblokować tylną klapę i stoczyć się na drogę.

Jego kolana przyjęły na siebie uderzenie, przez co twarz wykrzywiła mu kolejna fala bólu. Przekręcił się na plecy, a cofająca ciężarówka przejechała nad nim, zatrzymując się tylnymi kołami na równi z jego ramionami. Powietrze cuchnęło spalinami z diesla.

Alvarez chwycił flarę w usta, zębami przytrzymując pokrywkę, podczas gdy dłonią wyciągał racę z cylindra. Stojąca nad nim ciężarówka zmieniła bieg. Odkręcił zębami pokrywkę i wypluł ją na bok, przełożył flarę tak, by w zębach trzymać jej dół, włożył palec wskazujący w pętlę linki odpalającej i pociągnął.

Raca odpaliła, a z końca skierowanego w kierunku przeciwnym do twarzy wystrzelił

strumień światła i ciepła o mocy trzydziestu tysięcy kandel.

Ciężarówka ponownie ruszyła do przodu. Alvarez przeturlał się w prawo, znosząc przeszywający ból w ramieniu, aby tylko móc wbić płonący koniec flary w rozlewającą się po powierzchni drogi kałużę oleju napędowego.

Paliwo natychmiast stanęło w płomieniach, a jego twarz zalał żar. Agent odchylił się do tyłu, oddalając od ognia. Ten prędko rozszerzył się na zbiornik z paliwem, jak również rozpełzł się na obie strony drogi. Przesiąknięte paliwem opony zaczęły płonąć, pozostawiając na ziemi pas stopionej gumy.

Sekundę później ciężarówka przejechała nad Alvarezem, pozostawiając go leżącego na wznak na drodze i duszącego się gęstym dymem z płonących opon.

Agent wiedział, że choć olej napędowy nie jest równie wybuchowy, co benzyna, to jednak płonie zdecydowanie gwałtowniej. W parę sekund płomienie zajęły całą prawą stronę ciężarówki i pojazd nagle się zatrzymał.

Leżąc na plecach, Alvarez odepchnął się stopami z dala od stale wzmagającego się ognia. Na twarzy czuł, jakby spiekł się na słońcu, poczuł też zapach palonych włosów.

Zauważył, że miejscowi podchodzą bliżej, aby przyjrzeć się płonącej ciężarówce. Krzyknął

do nich, by się odsunęli, oni go jednak nie zrozumieli. Zbiornik ze sprężonym powietrzem eksplodował, a towarzyszący temu huk wraz z nagłym rozprzestrzenieniem płomieni skłonił

gapiów do cofnięcia się. Tymczasem Sykes zdołał podnieść się na nogi i zataczając się, ruszył

drogą przed siebie.

Drzwi kierowcy otworzyły się i wyskoczył z nich Dalweg, po czym z przerażeniem zaczął oddalać się od płonącej ciężarówki. Kiedy znalazł się już w bezpiecznej odległości, obejrzał się na języki ognia, które sięgały płóciennej plandeki na tyle pojazdu i ryknął z wściekłości.

Alvarez nie miał siły, by się ruszyć, na sekundę uniósł jednak głowę i zobaczył, jak najemnik zwraca się w jego kierunku.

- I co, kurwa, zadowolony jesteś?

Agent chciał odpowiedzieć, że owszem, zamiast tego jednak odkaszlnął. Dalweg zrobił krok w jego stronę. Z jego pokiereszowanej twarzy można było wyczytać groźbę.

Opuszczone wzdłuż ciała ręce zacisnął w pięści.

- Teraz pewnie nie dostanę mojej doli - wyrzucił z siebie. - Ale wystarczy mi, że wypruję ci nożem serce.

Z umieszczonej na pasie pochwy wyciągnął nóż nurka. Ostrze zamigotało w blasku płonącej ciężarówki. Alvarez ponownie spojrzął w górę, aby wyliczyć kąt, następnie zaś podniósł lewą rękę i podrzucił flarę.

Trafiła Dalwega w klatkę piersiową mokrą od oleju napędowego.

ROZDZIAŁ 78

19:34 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Wiktor otworzył oczy, lecz przez parę sekund nie mógł pojąć, co się dzieje. Wszystko było nie tak. Otaczające go kolory i dźwięki zdawały się być pozbawione sensu. Świat był

brunatny, rozmyty i dziwny. Bolała go głowa. Wziął wdech, lecz w rezultacie zaczerpnął

jedynie nosem wodę.

Pokaszłując, uniósł się i wyciągnął twarz nad powierzchnię rzeki. Przez chwilę zwiślał

głową w dół i dyszał. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny, ale podejrzewał, że nie mogło to trwać dłużej niż kilka minut. Pospiesznie ocenił stan swoich kończyn i szyi. Ręce i nogi, mimo bólu, były sprawne. Nie odniósł zatem żadnych poważniejszych obrażeń.

Odpiął pas bezpieczeństwa i upadł na sufit, pełniący obecnie rolę podłogi. Zanurzył

się przy tym pod wodę, lecz już po chwili zdołał wyjść z pojazdu przez rozbite okno od strony kierowcy. Szkło poharatało mu ręce i nogi. Rzeka, w której wylądował, była płytka, miała najwyżej pół metra głębokości. Z trudem podniósł się na nogi i pokuśtykał oddalając się od przewróconego jeepa. Przemoczone ubranie oblepiały jego ciało. Podniósł rękę, by osłonić twarz przed słońcem.

Zmrużył oczy i poczuł promieniujący z czubka głowy dojmujący ból. Sięgnął dłonią włosów i wyciągnął z głowy długi kawałek metalu. Po twarzy spłynęła zmieszana z wodą krew. Oparł się o jeepa, usiłując odzyskać orientację w przestrzeni. Czuł się niepewnie, a zmysły wysyłały mu sprzeczne sygnały. Oddychał z wysiłkiem. Najbardziej bolała go lewa noga, która przyjęła na siebie siłę uderzenia drugiego samochodu, toteż teraz starał się obciążać głównie prawą. Liczne drobne siniaki i zadrapania nie przysparzały mu równie wielkiego cierpienia. Buzująca w nim adrenalina stanowiła idealny środek przeciwbólowy.

Wiedział, że o ile uda mu się przeżyć noc, rankiem będzie się czuł koszmarnie. Wyczekiwał

tej chwili z niecierpliwością.

Rozejrzał się wokół. Dalszy brzeg rzeki oddalony był o mniej więcej dwadzieścia metrów, bliższy o niecałe dziesięć. Dostrzegł połamane krzaki i powyginane drzewka, jakie znaczyły trasę, którą jeep pokonał przez zarośla, nim z wyżej położonego fragmentu linii brzegowej wystrzelił w powietrze. W ustach wyczuł metaliczny posmak krwi.

Nie był w stanie dojrzeć miejsca, w którym rozbił się zabójca, ten zresztą być może już nie żył. Jednak skoro Wiktorowi udało się przeżyć, istniało ryzyko, że jego prześladowca również uniknął śmierci. Musiał ujrzeć zwłoki rywala, by zyskać pewność. Po chwili odpoczynku ruszył ku bliższemu z brzegów, brodząc w sięgającej mu po kolana rzece. Woda była gęsta i czarna od mułu, a z każdym krokiem w stronę brzegu dno się podnosiło. Bez broni poczuł się niemal nagi.

Zdażył zrobić dwa kroki w górę błotnistego zbocza, gdy z linii drzew wyłonił się zgięty w pół Rosjanin. Poruszał się pewnie, a w dłoniach trzymał bizona.

Żaden dziewięciomilimetrowy pocisk jednak nie nadleciał w jego stronę, stanął więc i zaczekał. Rosjanin uśmiechnął się do mężczyzny i gestem polecił mu podejść. Znajdowali się pięć metrów od siebie.

- Masz szczęście, że chcę cię żywcem. Przynajmniej na razie - odezwał się Rosjanin.

Wiktor nie odpowiedział.

W każdej półciązarówce było po dwóch Rosjan. Gdzie więc znajdował się drugi z nich? Wiktor podszedł powoli, udając bardziej poobijanego, niż w rzeczywistości był.

Rozejrzał się na wszystkie strony. Przez drzewa i roślinność nie dostrzegął szosy, wiedział

jednak, że gdzieś tam była, oddalona o być może sto metrów w górę skarpy. Pomimo że słońce wciąż świeciło, pod baldachimem listowia panowała ciemność. Od przeciwnika dzieliły go teraz już tylko trzy metry.

Rosjanin machnął, by podejść jeszcze bliżej, Wiktor kroczył więc dalej przed siebie, co chwila krzywiąc się, jak gdyby ledwo był w stanie ustać na nogach. By móc cokolwiek zrobić, musiał znaleźć się blisko wroga, zarazem jednak wiedział, że gdy tylko wejdzie w zasięg jego rąk, zostanie poczęstowany uderzeniem kolby w czaszkę. Przestał panować nad oddechem, pozwalając organizmowi na wydzielenie dodatkowej dawki adrenaliny, wyczulenie zmysłów i naładowanie mięśni energią. Dwa metry.

Jeszcze krok i Wiktor rzucił się na wroga z nadzieją, że Rosjanin dał się nabrać na jego symulowane osłabienie. Ryzyko było duże, lecz inna okazja mogła się już nie nadarzyć.

Zza Rosjanina rozległ się spokojny głos.

- Zabić go mogę tylko ja.

Stłumione odgłosy strzałów. Dwa.

Rosjanin padł na kolana, na krótką chwilę wykrzywając twarz z przerażenia i bólu, jednakże zaraz potem całe ciało zwiotczało i komandos runął twarzą w błoto bezpośrednio pod nogi Wiktora. Z pleców zabitego zionęły dwa stykające się otwory po pociskach.

W niskich zaroślach, nie więcej niż dziesięć metrów za zwłokami, stał bez ruchu Reed. Fachowym, oburęcznym chwytem trzymał glocka, którym celował prosto w klatkę piersiową Wiktora. Nie odezwał się ani słowem. Nawet nie mrugnął oczami.

Wiktor wziął wdech, zdając sobie sprawę, że jest już po nim. Rosjanina dałby może nawet radę zabić, lecz ten przeciwnik nie chciał wziąć go żywcem. Z tak małej odległości Wiktor nie spudłowałby nawet pomimo odniesionych obrażeń, wiedział też, że nie spudłuje i zabójca. Jediną osłoną była linia drzew, ale żeby do niej dotrzeć, musiałby jeszcze bardziej zbliżyć się do wroga. Nawet gdyby noga, na której ledwie co mógł chodzić, była w pełni sprawna, nie zdążyłby się skryć. Próba cofnięcia się do rzeki i powrotu do jeepa byłaby tym bardziej skazana na niepowodzenie. A zresztą nawet gdyby jakimś cudem nie został trafiony i dotarł do jeepa, co by uczynił w następnej kolejności?

Otóż nic. W żaden sposób nie mógłby ocalić skóry.

Poczuł, że w śmierci z ręki kolegi po fachu było coś właściwego. Swego czasu Norimow powiedział mu, że - jak na kogoś tak ostrożnego - Wiktor żyje, jak gdyby prosił się o śmierć. Jeśli tak w istocie było, prośba ta za chwilę miała zostać spełniona.

Zrobił krok do przodu i się wyprostował, dając przeciwnikowi do zrozumienia, że nie zamierza stchórzyć czy błagać o łaskę. Niewiele, ale więcej w oczekiwaniu na kulę w serce lub między oczy uczynić już nie mógł. Nie czekał długo.

Reed wystrzelił.

ROZDZIAŁ 79

Nie strzelił jednak do Wiktora.

Rozległ się dźwięk łamanych gałęzi. Reed natychmiast obrócił się w stronę jego źródła, to jest dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Oddał jeden strzał w kierunku ciemności roztaczających się pod baldachimem liści i padł na kolano, zmniejszając rozmiary swej sylwetki, a zarazem stabilizując pozycję strzelecką. Wystrzelił drugi raz. W odpowiedzi w jego stronę nadleciała stłumiona seria z broni automatycznej. Pociski uderzające w ziemię wokół Reeda wzbijały w powietrze grudki błota.

Wiktor nie wahał się ani chwili. Poderwał się do biegu, podczas gdy uwaga Anglika skupiała się na czymś, co mogło być tylko atakiem ze strony drugiego z Rosjan. Ruszył w kierunku pistoletu maszynowego, który wciąż leżał zaciśnięty w dłoni martwego komandosa.

Reed kolejny raz strzelił do niewidocznego napastnika i pomiędzy drzew dało się słyszeć krzyk. Wiktor poruszał się szybko, lecz Reed już obracał się z powrotem w jego stronę. Wiktor spał się w oczekiwaniu na uderzenie pocisku, w tym jednak momencie zauważył, że zamek trzymanego przez Reeda glocka był cofnięty.

Zabrakło mu amunicji.

Wiktor sięgnął po bizona i złapał go w obie ręce. Uniósł broń, szykując się do strzału, lecz Reed rzucił się na niego i nim zdążył wziąć go na cel, odepchnął lufę na bok. Przeciwnik złapał go za koszulę, a ułamek sekundy później zahaczył stopą o jego nogę.

Wiktor upadł plecami na ziemię. W wyciągniętej prawej ręce wciąż trzymał pistolet maszynowy. Reed zwałił się na niego, a ciężar jego ciała wycisnął powietrze z jego płuc.

Z lufy bizona błysnęły płomienie. Wyrzucone łuski poleciały w błoto. Siła odrzutu sprawiła, że ramię Wiktora zaczęło drgać i miotać się we wszystkie strony. Reed przyciskał

palec wskazujący do spustu. Niecałe cztery sekundy później magazynek był już pusty, a ostatni pocisk wyleciał z lufy w pobliskie zarośla.

Wiktor wyciągnął rękę by chwycić włosy przeciwnika, jednakże zdał sobie sprawę, że były one zbyt krótkie, by móc za nie złapać. Chciał sięgnąć do oczu przeciwnika, lecz ten zaczął się już turlać. Kilka metrów dalej Reed podniósł się na nogi. To samo uczynił i on.

Przez chwilę dwaj zabójcy mierzyli się wzrokiem. Wiktor mierzył przeciwnika wzrokiem, jednocześnie wiedząc, że ten ocenia jego. Stojący przed nim zabójca był krępej budowy ciała, Zauważył jednak, że każdy kilogram tego ciała został wyćwiczony, by dać mu jak największą siłę i szybkość. Włosy przycięte na długość jednego czy dwóch centymetrów były wystarczająco krótkie, by uniemożliwić wrogowi ich chwycenie.

Z prawego ucha zabójcy sączyła się krew. Czerwone plamy na koszuli zdradzały miejsca powierzchownych ran klatki piersiowej i ramion, powstałych - jak podejrzewał

Wiktor - w chwili kraksy. Mokra od potu twarz była bez wyrazu. Nie malował się na niej ani gniew, ani podniecenie, ani choćby determinacja. Odnosiło się wrażenie, że za zasłoną jego oczu nie kryje się żadna myśl czy uczucie.

Niespiesznym, swobodnym ruchem Anglik sięgnął pod lewy rękaw koszuli. Z

przytroczonej do nadgarstka pochwy wyciągnął nóż, po czym zręcznie otworzył rozkładane ostrze. Mierzyło ono dziesięć centymetrów, było po części ząbkowane, a wieńczył je czubek typu gladiatorского. Czarne i matowe, wykonane zostało z precyzyjnie obrobionego tworzywa ceramicznego, przez co dorównywało wytrzymałością stali fałdowanej. Jednak było zarazem o wiele lżejsze i ostrzejsze, a na dodatek niewidzialne dla wykrywaczy metali.

Wiktor nigdy wcześniej nie widział takiego modelu noża. Zatem został on sporządzony na specjalne zamówienie.

Zrobił krok do tyłu.

Dzieliło ich teraz pięć metrów - wystarczająco dużo, by zerwał z siebie koszulę i ciasno owinał ją wokół lewego ramienia.

Koniec koszuli pewnie złapał w zaciśniętą pięść, aby w ten sposób zabezpieczyć zwój. Reed skinął głową - był to ukłon zabójcy, oznaka szacunku dla przeciwnika.

Nie odwzajemnił ukłonu.

W dolnej części pleców czuł narastający ból kręgosłupa, spowodowany obrażeniami powstałymi w wyniku uderzenia bądź też wcześniejszego upadku. Cierpiał coraz bardziej, nie dawał jednak tego po sobie poznać. Reed również stał tak, jak gdyby wcale nie był

poturbowany i nie krwawił z licznych ran. Ani jeden, ani drugi nie okazywał słabości -

przeciwnik mógłby ją bowiem wykorzystać.

Reed trzymał nóż luźno w prawej dłoni, na wysokości piersi, czubkiem do góry, opierając kciuk o środek ostrza. Ramię miał zgięte w łokciu, a stopy rozstawił na szerokość barków. Nieznacznie ugiął nogi w kolanach, gotów w każdej chwili przerzucić ciężar ciała.

Wiktor zajął taką samą pozycję. Był wyższy od przeciwnika. Nie miało to jednak znaczenia.

Wykonał następny krok w tył, instynktownie odsuwając się od ostrza, zarazem jednak kierując się ku rzece, gdzie woda pomogłaby mu odciążyć nadwyrężoną nogę.

Anglik ruszył do przodu, prędko pokonał dzielącą ich przestrzeń i zadał cios ku górze, mierząc w szyję przeciwnika. Był niewiarygodnie szybki. Wiktor zrobił unik w tył, słysząc przy tym świst przecinającego powietrze noża. Przy pomocy osłoniętego przedramienia sparował kolejne dźgnięcie, które zmierzało tym razem w stronę jego brzucha. Uderzył przy tym ostrze z góry wierzchem swego nadgarstka. Następnie wyprowadził cios prawą pięścią w nadziei, że trafi w odsłoniętą szczękę przeciwnika.

Reed cofnął się, lewą ręką zablokował cios i szarpnął nożem do góry. Wiktor zauważył ruch wroga i zrobił unik, poczuł jednak, jak ostrze rani go w prawe ramię. Nóż był

tak ostry, że cięcie prawie go nie zabolowało.

Obaj jednocześnie cofnęli się, w równym stopniu wystawieni na ciosy drugiego.

Żaden nie zamierzał podejmować nieskalkulowanego ryzyka. Twarze obu przypominały niewzruszone, pozbawione emocji maski.

Wiktor rozważał następne posunięcie świadom, że jego przeciwnik robi to samo.

Zabójca może i dysponował nożem, był jednak człowiekiem rozważnym. Nie rzuciłby się na oślep, a zczekał na właściwy moment, podobnie zresztą jak on. Jednakże w pierwszym starciu dał się zranić, podczas gdy zabójca wyszedł z niego bez szwanku. Napastnikowi wystarczyłoby po prostu powtarzać dotychczasowe posunięcia, z każdym atakiem coraz bardziej pozbawiając swoją ofiarę sił. Uznał jednak, że zabójca spróbuje czegoś nowego i nie zechce powtórzyć takiego samego ataku.

Przeciwnik skoczył naprzód z nożem w wyciągniętej ręce i spróbował cięcia po oczach przeciwnika. Wiktor nie dał się jednak nabrać. Szarpnął się w tył i wyszedł poza zasięg zabójcy, którego ramię przeleciało w powietrzu, sprowadzając nóż ku ziemi. Zamiast zatopić się w jego szyi, ostrze trafiło w pustkę.

Odepchnął rękę z nożem na bok i wyprowadził kopnięcie, mierząc w brzuch Reeda.

Ten jednak wysunął lewe ramię i przyjął nań impet uderzenia, które tym samym nie odniosło większych skutków.

Wiktor cofnął się, a jego stopy znalazły się pod wodą. Następny atak nadszedł

przerażająco szybko. Robił unik za unikiem, Reed zaś ciągle napierał. Zabójca nie zwalniał

tempa i z każdym ciosem przesunął się do przodu, nie pozwalając przejść mu inicjatywy.

Cały wysiłek Wiktora skupiał się teraz na niedopuszczeniu, by ostrze noża wbiło mu się w ciało. Na przemian blokował i omijał nieprzyjacielskie ciosy, cały czas się wycofując. Woda sięgała mu już do połowy łydek. Reed zmienił kątnatarcia, Wiktor zareagował

niewystarczająco szybko i w rezultacie dał się zranić w brzuch.

Na jego twarzy zagościł grymas bólu. Chwilę potem skarcił się w myślach za okazanie słabości. W wodzie poruszał się wolniej, zarazem jednak odcierał uszkodzoną nogę. Zabójca również zwolnił, aczkolwiek nadal jego gesty były oszałamiająco szybkie. Ciepła krew spływająca po ramieniu i po brzuchu najdobitniej świadczyła, że przeciwnik przewyższał go zwinnością. Rana brzucha nie była głęboka, lecz czuł, jak z każdym ruchem się powiększa.

Nie zamierzał dopuścić, by go to spowolniło, choćby nawet miał się przez to rozerwać na kawałki.

Skoncentrował się na parowaniu ciosów w nadziei, że zmęczy przeciwnika, jednocześnie wypatrując okazji do kontrataku. Owinięta wokół ramienia koszula w wielu miejscach została już przecięta, lecz jak na razie skutecznie chroniła rękę przed ostrzem noża.

Tak jak przewidział, broń przeciwnika była ostra jak brzytwa, mimo to nie była jednak w stanie jednym cięciem przebić się przez grube warstwy tkaniny. Zarazem każdy atak osłabiał

go i w miarę, jak osłaniał się przed ciosami, zaimprovizowana tarcza była powoli niszczona.

W najlepszym wypadku mogłaby wytrzymać jeszcze kilka minut. Kiedy zaś by się rozpadła, pozostałoby mu się osłaniać odkrytym ramieniem.

Reed nagle zatrzymał się, pozwalając mu cofnąć się o parę kroków. Woda sięgała mu niemal do kolan. Przeciwnik postępował rozważnie, nie chciał bowiem w zaciekłych atakach wytracić własnej energii. Wiedział, podobnie jak Wiktor, że obrona jest mniej męcząca.

Kontrolował rytm, zdając sobie sprawę, że pojedynek prędko się nie skończy. Narastające zmęczenie oznaczało spowolnienie reakcji walczących.

Zaryzykował oderwanie wzroku od przeciwnika i szybko omiótł spojrzeniem okolicę w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu pomóc. Na brzegu, skryty między drzewami, leżał

trafiony przez zabójcę drugi z Rosjan. W jego pobliżu znajdował się zapewne pistolet maszynowy, jednakże w żaden sposób nie zdołałby się tam przedostać. Dalszy odwrót również był wykluczony. Drugi brzeg rzeki był za daleko. Nie miałby szans tam dopłynąć. Po zapadnięciu zmroku, o ile zdołałby nieco oddalić się od napastnika, być może udałoby mu się wymknąć, lecz zważywszy na rozwój wypadków do tego czasu dawno by już zginął. Ręka i brzuch lepiły mu się od krwi. Ból w plecach oraz w nodze nie odpuszczał. Skup się, skup się.

Reed po raz kolejny ruszył naprzód, próbując pchnąć i ciąć na wysokości talii Wiktora. Nie mogąc trafić go powyżej trzymanego w gardzie ramienia, chciał teraz uderzyć od dołu.

Wiktor niepewnie blokował ataki, zmuszony wykręcić przedramię dłonią ku górze.

Nie mógł zaryzykować obrony odsłoniętą częścią ręki, gdzie tuż pod skórą przebiegały tętnice.

Odepchnął na bok atakującą klingę i poczuł gorące ukłucie noża wznającego się głęboko w przedramię. Ostrze zaplątało się na sekundę między zwiniętymi warstwami koszuli. Wykorzystał nadarżającą się okazję i runął do przodu, wbijając łokieć w klatkę piersiową przeciwnika w nadziei, że zdoła pogruchotać mu żebra.

Anglik, który dotąd stał mocno na nogach, przeniósł cały ciężar ciała na jedną z nich, aby w porę uniknąć ciosu. Łokieć jedynie musnął jego żebra. Owiniętym w koszulę ramieniem Wiktor zablokował kolejne uderzenie. Koszula zabarwiła się na czerwono.

Zabójca wyprowadził kolejne błyskawiczne pchnięcie, lecz Wiktor zdołał podbić rękę zabójcy lewym przedramieniem, przyjmując kolejny cios. Jednocześnie spróbował chwycić wroga prawą dłonią za nadgarstek. Reed był jednak szybszy i

przechwycił jego ramię, łapiąc nadgarstek lewą ręką. Wiktor rzucił się do przodu i zmniejszył dzielący ich dystans. Nim Reed zdołał zareagować, uderzył go czołem w twarz przeciwnika.

Reed stęknął, zatoczył się do tyłu i puścił nadgarstek. Oczy zabójcy zawilgotniały, a z rany na mostku nosa buchnęła krew. Machnął szaleńczo nożem, przecinając powietrze i nie pozwalając Wiktorowi się zbliżyć.

Ten trzymał się na odległość od zabójczego ostrza, z ulgą korzystając z chwili, by złapać oddech. Z policzka Reeda kapała krew. Wiktor wziął dwa głębokie wdechy.

Zabójca zaatakował, mierząc wysoko. Wiktor ustąpił w bok i wyprowadził łokciem cios w stronę skroni Reeda.

Ten sparował uderzenie lewym ramieniem i odpowiedział pchnięciem noża w kierunku twarzy Wiktora, który przykucnął, by uniknąć ciosu, ponownie zerwał się i kopnął

prawą nogą. Reed wychylił się do tyłu, aby uniknąć trafienia, nie był jednak w stanie zachować równowagi.

Wiktor lewą ręką odtrącił nóż na bok i uderzył przeciwnika prawym prostym. Kostki jego dłoni sięgnęły szczęki zabójcy, tylko ją jednak musnęły i ześlizgnęły się na bok. Wróg okazał się zbyt szybki.

Reed pewnie stanął na nogach i - kucnąwszy - rzucił się na niego. Ten chwycił

nadlatujące ramię w obie ręce i je wykręcił, zaraz jednak musiał je puścić i półobrotem ratować się przed kontrującym ciosem drugiej ręki. Obaj rywale dali krok do tyłu. Koryto rzeki, po którym się poruszali, było twarde i skaliste.

Jego przeciwnik też wyglądał już na zmęczonego - stał z otwartymi ustami, przy każdym wdechu nabierając łapczywie duże hausty powietrza. Pojedynek przeistoczył się w walkę na wyczerpanie. Rywale dorównywali sobie umiejętnościami i żaden nie był w stanie szybko zakończyć starcia. Z każdym atakiem i każdą gardą z obu uchodziła energia, co w nieunikniony sposób zbliżało ich do chwili, w której pod wpływem zmęczenia któryś popełni błąd. Zarazem jednak Wiktor, który krwawił z obu ramion, brzucha oraz klatki piersiowej, zdawał sobie sprawę, że przy obecnym stanie on osiągnie to stadium pierwszy.

Ból stawał się nie do zniesienia. Nie był już w stanie choćby na sekundę zmazać go z oblicza. Ramiona zaczęły mu ciążyć. Poszatkowana koszula, nasiąknięta wodą z rzeki oraz krwią, stanowiła teraz przede wszystkim przeszkodę. Puścił ją i strząsnął z ramienia.

Pomyślał, czy by nie rzucić szmatą w przeciwnika, byłby to jednak gest rozpacz. Nie zamierzał się kompromitować.

Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała, usta miał szeroko otwarte. Mrugnął, by strząsnąć z powiek kropie potu. Zabójca rzucił się w przód. Wiktor przy pomocy odsłoniętego lewego przedramienia zablokował ostrze i poczuł, jak wrzyna mu się ono w skórę. Anglik również zdał sobie z tego sprawę, a jego oczy zabłyśły. Wiktor odepchnął napastnika w tył i przeszedł do ataku, lecz po chwili potknął się i skrzywił twarz w nagłym ataku bólu. I jedno, i drugie jedynie zamarkował.

Reed ponownie skoczył do przodu, chcąc zadać decydujący cios. Poczuł się zbyt pewny siebie i złamał niepisaną zasadę, prostując ramię do końca. Wiktor z łatwością dał

krok w bok, odepchnął ostrze prawym przedramieniem, a następnie lewą pięścią wyprowadził

po skosie cios w twarz przeciwnika.

Rozległo się plaśnięcie i przeciwnik zatoczył się pod ciężarem ciosu. Oszołomiony Reed opuścił ramiona. Wiktor obrócił się i wyprowadził potężny cios, chcąc skorzystać z przejęcia inicjatywy, póki istniała taka możliwość. Reed zdążył jednak kucnąć i Wiktor zdał

sobie sprawę, że dał się oszukać, a rywal użył przeciwko niemu jego własnej zagrywki.

Anglik stanął na nogi tuż koło niego, mierząc nożem prosto w jego szyję.

Jedyne, co mógł uczynić, to zablokować ostrze lewą ręką.

Poczuł, jak nóż wbija się w spód przedramienia, przecina skórę, mięśnie oraz naczynia krwionośne i zgrzyta między kością

łokciową i promieniową.

Czubek noża wyszedł po drugiej stronie ramienia. Czarna, matowa klinga była teraz czerwona. Twarz Wiktora opryskały krople jego własnej krwi. Sapnął, starając się powstrzymać od krzyku. Nogi się pod nim ugięły.

Chwycił nadgarstek przeciwnika i spróbował wyrwać mu nóż, opuściły go jednak siły.

Reed poruszał nożem na boki, poszerzając ranę i potęgując cierpienie Wiktora. Z ramienia lała się krew. Tylko największym wysiłkiem woli wciąż trzymał się na nogach. Nic już nie mógł uczynić. Na twarzy zabójcy pojawił się okrutny uśmiech.

Uśmiech ów ubódł go bardziej aniżeli wrzynające się w ramię ostrze. Przypomniał mu zarazem, że wciąż jeszcze nie umarł. Pozostawała mu jedna, ostatnia szansa na uratowanie życia.

Wychylił się do tyłu i w pełni świadomie rzucił na plecy.

Reed wolną ręką chwycił Wiktora, aby go powstrzymać i by nie zsunął mu się on z noża, nie miał jednak odpowiedniego punktu podparcia. Jeśli pozwoliłby mu upaść, tym samym wypuściłby nóż, gdyby jednak upadł wraz z nim, wylądowałby na nim, amortyzując własne lądowanie i przyduszając ofiarę pod powierzchnią wody. Wykończenie go stałoby się tylko prostsze.

Zanim obaj wpadli do wody, Wiktor podciągnął prawą nogę i oparł kolano o podstawę mostka Anglika.

Wiktor zniknął w rzece, przyjmując na siebie ciężar obu ciał. Woda złagodziła upadek, zarazem jednak kamieniste dno spotęgowało siłę uderzenia. Siła ta przez jego kolano przeniosła się wprost na splot słoneczny przeciwnika.

Reed ryknął, trafiony w przeponę, gwałtownie wyrzucając powietrze z płuc. Nagle zupełnie opadł z sił.

Wiktor natychmiast szarpnął lewe ramię w górę, wynurzając je z wody, po czym zatopił wystający z przedramienia czubek noża w odsłoniętej szyi Reeda.

Dwupółcentymetrowy fragment ostrza w całości wbił się w ciało Anglika.

Reed wytrzeszczył oczy.

Wiktor, z głową wciąż pod wodą, miotał ostrzem na boki, rozrywając gardło napastnika, a jednocześnie krzycząc z bólu, jaki powodowało to w jego własnym ramieniu.

Reed zaczął się dławić. Na moment ostrze napotkało opór. Dotarło bowiem do grubych ścian tętnicy szyjnej.

Anglik rzucił się do tyłu i przycisnął ręce do szyi, było już jednak za późno.

Z rany wytrysnęła fontanna krwi.

Woda zaczerwieniła się. Reed z wielkim pluskiem upadł na plecy do rzeki.

Wiktor podźwignął się i zaczerpnął łyk tak upragnionego powietrza. Z trudem wstał, przyciskając do ciała przebite ramię. Przeciwnik unosił się na powierzchni wody, a wokół

niego w błyskawicznym tempie poszerzała się karmazynowa kałuża. Dłońmi uciskał gardło, desperacko starając się zatamować tryskającą krew i dokonać niemożliwego - utrzymać się przy życiu.

Wiktor zignorował go. Nóż był wbity w jego ramię po rękojeść, a z obu stron ostrza krew ciekła. Prawą ręką rozpiął pasek i owinął go wokół lewego ramienia tak ściśle, jak tylko było to możliwe. Metalowym bolcem klamry przebił skórę paska, po czym zapiął go na tej dziurce.

Usuwanie noża równałoby się samobójstwu, toteż zostawił ostrze w ramieniu. Pasek, choć przydatny, stanowił jedynie tymczasowe rozwiązanie. Sądząc po obfitości krwotoku, uszkodzeniu uległa większość, a może wręcz wszystkie główne naczynia krwionośne ręki.

Obliczył, że przy jego masie ciała, dysponując jedynie paskiem od spodni, za niecałe pół

godziny wykrwawi się na śmierć. Zapewne już za piętnaście minut nie będzie w stanie chodzić. Jak mu się poszczęści, to może za dwadzieścia.

Reed wydawał z siebie gulgoczące dźwięki, a z jego ust ciekła spieniona krew. Na tle zbielałej twarzy krwawe strugi zdawały się niemal czarne. Bez mrugnięcia okiem podniósł

wzrok na przeciwnika. W jego spojrzeniu nie było widać strachu czy nienawiści, a jedynie spokojne pogodzenie się z losem. Wiktor zastanowił się, co takiego zdradzą jego oczy, gdy i na niego przyjdzie wreszcie kolej. Po raz ostatni odwrócił się i pomyślał o Rebecce.

Przebrnął przez rzekę, dotarł do brzegu i wdrapał się na górę. Ledwo trzymał się na nogach. Przedarł się przez zarośla, kierując się szlakiem wyrąbanym przez spadającego jeepa, aż dostrzegł zaparkowaną przy drodze półciężarówkę Rosjan. Zataczając się, doszedł do pojazdu. Kluczyki wciąż tkwiły w stacyjce.

W drodze powrotnej do miasta przesuwał spojrzenie z szosy na analogowy zegarek w desce rozdzielczej. Najlepiej byłoby przed zgłoszeniem się do szpitala odjechać jak najdalej stąd, a w miarę możliwości opuścić wręcz kraj. Nie było jednak na to czasu. Gdyby postanowił spróbować, jeszcze za kierownicą wykrwawiłby się na śmierć.

Jechał dalej i czuł, jak powieki stają się coraz cięższe. Z każdą chwilą było mu coraz zimniej. Kiedy zaparkował pod szpitalem w Tanga, nie mógł już powstrzymać ziewania.

Wtaczając się chwiejnym krokiem na ostry dyżur, poczuł, że zaraz straci przytomność.

Powitał go krótki pisk.

Jakaś pielęgniarka chwyciła go za prawe ramię i poprowadziła korytarzem. Starał się za nią nadażyć, lecz opadł na kolana. Pielęgniarka krzyczała i zadawała mu jakieś pytania.

Wiktor nie był jednak w stanie zrozumieć ani słowa. Wtem usłyszał głos mówiący po angielsku, jakimś cudem zmusił aparat mowy do działania i najgłośniejszym, jak tylko mógł, wykrzyczał swoją grupę krwi. Gdy kładł się na łóżku, wzrok odmawiał mu już posłuszeństwa.

Naokoło niego zgromadziło się więcej ludzi, kolejne pielęgniarki, być może jacyś lekarze.

Usłyszał skrzypienie kółek.

ROZDZIAŁ 80

DAR ES SALAAM, TANZANIA

WTOREK 12:03 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Sykes czynił wszystko, co w jego mocy, by zachować zewnętrzny spokój, ale wiedział, że mu to nie wychodzi. Przez ostatnie dwa dni, praktycznie nie spał, był jednak zbyt nabuzowany, by odczuwać jakiegokolwiek objawy zmęczenia. Chociaż budynek był

klimatyzowany, starał się zignorować fakt, że pod pachami zbierała mu się wilgoć.

Po koszmarnym rozwoju wypadków w hotelu wydostał się z kraju, przekraczając na północy granicę z Kenią. Analizował w myślach różne rozwiązania, łykając jedna za drugą tabletki na nadkwaśność i wymiotując, gdy zaczynało mu ich brakować. W końcu zdał sobie sprawę, że nie ma tyle ikry, by pędzić żywot zbiega, ani też umiejętności, by jako ów zbieg utrzymać się przy życiu.

Jeżeli by się naprawdę postarał, istniała niewielka szansa, że zdoła wystarczająco uporządkować sprawy, by dane mu było przeżyć nieuniknione konsekwencje. Zarazem jednak Reed dotarł do jego hotelu. Sykes nie miał co do tego wątpliwości. To przecież on zastrzelił Wiechmana. A jedynym wyjaśnieniem obecności Reeda w hotelu było to, że Ferguson wysłał go z zadaniem zabicia Sykesa. To wystarczyło, by Sykes przewartościował

swe priorytety. Chęć wzbogacenia się i uratowania kariery w oczywisty sposób ustępowała chęci ocalenia własnej skóry. W

niedzielę po południu zgłosił się do ambasady. Od tamtego czasu znajdował się w rękach CIA. Przed dziesięcioma minutami został przeprowadzony z przydzielonego mu pokoju do biura Agencji, które znajdowało się w piwnicy ambasady.

Sykes stał w milczeniu przed Procterem, który siedział za biurkiem w wyraźnie za małym dla niego krześle. Minęło dziesięć sekund. Dwadzieścia. Procter widział, że Sykesowi niełatwo przychodzi się odezwać.

- Chce pan może usiąść? - spytał.

- Jeżeli nie robi to panu różnicy, wolałbym postać.

- Jak pan chce, to w końcu pańskie nogi.

Rozpoczął od przedstawienia ogólnych zarysów - począwszy od pomysłu Fergusona i swojego w nim udziału poprzez próby pozbycia się Tesseracta przez Stevensona oraz McClury'ego, kończąc na opisie działań Reeda i całej akcji w Tanzanii.

Gdy skończył, Procter - zważywszy na treść dopiero co przedstawionych przez Sykesa rewelacji - zdawał się zdecydowanie zbyt spokojny.

- A celem owych zdecydowanie nielegalnych działań - zaczął Procter - które doprowadziły do śmierci wielu ludzi, była sprzedaż pocisków Onyks temu, kto zdecydowałby się zapłacić najwięcej?

- Tak - przyznał Sykes. - Zrobiliśmy to dla pieniędzy.

- W porządku, rozumiem - Procter zdawał się być zadowolony okazywaną przez Sykesa gotowością do współpracy. - A pan uczestniczył w tej operacji od samego początku, zgadza się, panie Sykes?

Sykes wiedział, że ostro się pograża. I miał świadomość, że w pełni na to zasłużył.

- Od samego początku odgrywałem w niej kluczową rolę.

- Doceniam pańską szczerłość. Zdaję sobie sprawę, jak niełatwo przychodzi panu o tym opowiadać.

O co tu w ogóle chodziło? Czyżby Procter dopiero co okazał mu współczucie? Bez wątpienia zmiękczał go tylko, by za chwilę zadać obalający cios.

- Cóż - ciągnął Procter - być może to pana zdziwi, ale większość faktów, które właśnie mi pan przedstawił, była mi już znana.

Sykes poczuł, jak coś rozrywa mu się w żołądku.

- Co?

- Skąd to wiem - nie ma znaczenia. Co ma znaczenie, to fakt, że zgłosił się pan dobrowolnie. Gdybym był zmuszony przyprowadzić tu pana siłą, obecna rozmowa miałaby zdecydowanie mniej przyjemny charakter. Proszę mi dokładniej opowiedzieć, co takiego stało się wczoraj.

Sykesowi zaschło w gardle. Opowiedział o zatrudnieniu Dalwega i Wiechmana, o wydobywaniu pocisków z zatopionego okrętu, o powrocie do hotelu oraz o rozmowie z Fergusonem.

- Wtedy właśnie wszystko się schrzaniło.

Przedstawił wydarzenia tak, jak je zapamiętał.

Procter wysłuchiwał go w milczeniu, co jakiś czas kiwając głową. Gdy Sykes doszedł do końca, Procter zadał mu pytanie.

- Skąd Tesseract wziął się w Tanzanii? Co robił w tym hotelu?

Sykes potrząsnął głową.

- Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to że przyjechał po mnie.

- Ale skąd się w ogóle o panu dowiedział?

- Sumner w jakiś sposób zorientowała się, że trafiła na listę do odstrzału i udało jej się wymknąć Reedowi. Następnie połączyła siły z Tesseractem, aby razem dopaść mnie oraz Fergusona. Podejrzewam, że odkryła, kim jesteśmy. Nie wiem tylko jak.

Procter przez chwilę się nie odzywał, po czym przeszedł do zadawania pytań. A było ich bardzo dużo. Sykes odpowiadał, uwzględniając wszelkie krwawe szczegóły. Pomiął fakt spotkania Reeda w Tanga. Po co bowiem Procter miałby wiedzieć, że Sykes zdecydował się zeznawać dlatego, że Ferguson chciał go zabić? Jeśli nawet fakt ten wyjdzie później na jaw -

trudno, jak na razie jednak Sykes chciał przede wszystkim poczuć, że w kategorii zdradzieckich szumowin nie upadł tak nisko jak Ferguson.

- Rozjaśnił pan wiele zagadkowych kwestii dotyczących owej ohydnej i nikczemnej sprawy - odezwał się Procter. - Co też w najwyższym stopniu doceniam. Nie zmienia to jednak faktu, że świadomie zaangażował się pan w działalność przestępczą zagrożoną najsurowszymi karami, jakie przewiduje kodeks karny.

- Proszę pana, mam tego świadomość. I zgadzam się ponieść konsekwencje.

Przyjemnie było unieść się honorem, choćby nawet na kilka minut.

- Można jednak uznać - kontynuował Procter - że jedyną pana winą było postępowanie zgodnie z otrzymywanymi poleceniami. To Ferguson był w tym absurdalnym zamieszaniu podżegaczem, pan zaś padł ofiarą jego szaleństwa.

- Sykes nie był pewien, jakiej powinien udzielić odpowiedzi, postanowił więc milczeć.

- Widzę, że w żadnej mierze nie chciał pan brać udziału w tej operacji, został pan jednak postawiony w sytuacji bez wyjścia. Ferguson to pana zwierzchnik, a na dodatek żywa legenda Agencji. Musiał pan zastosować się do jego poleceń, co sam mogę tylko docenić. Od pierwszego dnia szkolenia uczymy was posłuszeństwa wobec przełożonych i wykonywania rozkazów, które niekoniecznie rozumiecie, gdyż nie zawsze znacie pełen obraz sytuacji. I rozkazy te musicie bezwzględnie wykonywać, choćbyście nawet się z nimi osobiście nie zgadzali. W innym wypadku moglibyście bowiem zaprzepaścić przedsięwzięcie najwyższej wagi.

O ile Sykes się nie mylił, w bardzo ciemnym dotychczas tunelu pojawiło się ledwo dostrzegalne światelko.

Procter ciągnął dalej.

- Lojalność względem przełożonego, jaką się pan wykazał, zasługuje na pochwałę.

Teraz jednak musi pan zdecydować, komu w istocie jest pan wierny. Agencji czy też pańskiemu mentorowi?

Sykes nie wahał się ani przez chwilę, w myślach policzył jednak do dziesięciu, tak jakby dokonywany wybór nie był oczywisty. Uznał, że poprzez milczenie doskonale wyrazi wewnętrzny konflikt, który rzekomo właśnie go rozdzierał.

- Jestem wierny Agencji, proszę pana.

Procter dostojnie skinął głową.

- Cieszy mnie pańska decyzja. Potrzebuję bowiem pańskiej pomocy.

- Nie jestem pewien, czy nadążam.

- Większość z tego, o czym mi pan opowiedział, nie jest poparta żadnymi dowodami, czyż nie?

Sykes przez chwilę ostrożnie się zastanowił.

- Nie, proszę pana.

- I w tym właśnie sęk.

- Nadal chyba nie rozumiem.

- Mamy więc pańskie słowo przeciwko słowu Fergusona.

Sykes skinął głową.

- Tak jest.

- Zaś jego słowo ma większą wagę.

Myśl, że Ferguson mógłby się ze wszystkiego wywinąć sprawiła, że w Sykesie zagotowała się krew. Zamiast gniewnie, zabrzmiał jednak żałośnie.

- To nie w porządku.

- W porządku czy nie, tak właśnie jest. Musimy więc postępować rozważnie, tak?

Sykes poczuł się dezorientowany.

- Tak jest.

- Ferguson nie zorientuje się, co się święci, nie będzie też wiedział o tym, co mi pan właśnie opowiedział. Chcę więc, by postąpił pan następująco. Będzie pan kontynuować swe działania i wykonywać kolejne polecenia Fergusona. Tyle tylko, że wszystko to pan nagra -

Procter wstał i oparł dłonie na biurku. - Potrzebne mi są dowody. I to takie, dzięki którym złapię Fergusona za gardło tak mocno, że nawet on nie zdoła się wywinąć. Akt oskarżenia przeciwko niemu musi być na tyle obciążający, a zarzuty na tyle poważne, by nie dało się tego już wyciszyć. Ludzie muszą się o tym wszystkim dowiedzieć.

Sykes zaczynał wreszcie rozumieć. Procter koniecznie chciał zadbać o to, by afera nie została zamieciona pod dywan.

- Jeżeli zaś Ferguson stanie przed sądem, będę mógł zapomnieć o wszelkich wykroczeniach, jakich do tej pory się pan dopuścił - kontynuował Procter. - Nie zapomnę o ludziach, którzy się do tego przyczynili. Nie chcę zarazem przymuszać pana do czegoś, czego wolałby pan nie robić.

Sykes wyprostował plecy. Był świadom, że gdyby się postarał, zgromadziłby wystarczający materiał dowodowy, by pogrzebać Fergusona. Sprawiłoby mu to zresztą niekłamaną przyjemność. Sykes uśmiechnął się w myślach. Wiedział, co Procter sobie zaplanował. Szczwany lis chciał zostać krzyżowcem, który oczyścił CIA z korupcji i udowodnił, że jeden z największych bohaterów Agencji był w istocie zepsuty do szpiku kości.

Dzięki takiemu wyczynowi Procter w zaledwie parę lat zdobędzie fotel dyrektora. A co potem

- któż to wie? Jedno było pewne: Procter zmierzał gdzieś wysoko. Jeśli zaś Sykes w dalszym ciągu postępowałby równie przebiegle, jak w swym mniemaniu działał do tej pory, trafiłby tam razem z nim.

Sykes miał już plan.

- Chcę to wszystko naprawić - oznajmił, a w deklaracji tej zawierała się jego autentyczna wola.

Procter uśmiechnął się.

- I całe szczęście.

ROZDZIAŁ 81

13:13 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

- Jak się czujesz, Antonio?

Alvarez wypuścił nieco powietrza i w odpowiedzi uniósł zawieszoną na temblaku prawe ramię na tyle, na ile pozwalał mu ból. Znajdował się teraz pod wpływem leków, co w znacznym stopniu łagodziło cierpienie.

- Powiedziano mi, że rana powinna się dobrze zagoić - oznajmił Procter.

- Ale w baseballa to sobie w najbliższym czasie nie pogram.

Procter wszedł do hotelowego pokoju, a Alvarez zamknął za nim drzwi.

Pomieszczenie nie było zbyt wielkie, kiedy zaś Procter zajął znaczną część dostępnej dotychczas przestrzeni, zapanował w nim po prostu tłok.

- Wiesz, jak bardzo krwawiłeś?

Alvarez potrząsnął głową.

- Nie, ale założę się, że teraz jestem już półkrwi Tanzańczykiem.

Jedną ręką Alvarez odsunął swoją torbę na bok, po czym usiadł na jednoosobowym łóżku. Torba była niewielka i zawierała jedynie nieco brudnych ubrań oraz kilka przedmiotów osobistych. Ciuchy, które miał na sobie, zostały mu kupione, gdy przez większą część nocy leżał na szpitalnym łóżku. Śmigłowiec z ambasady przetransportował go do tanzańskiej metropolii, tu zaś przydzielono mu hotelowy pokój, aby mógł w nim wypocząć.

- Ale masz szczęście, że skończyło się tylko na tym - odezwał się Procter, przybierając poważniejszy ton. - Że też tak po prostu wybrałeś się tutaj na własną rękę! Co ci przyszło do głowy?

- Nie miałem zbyt wiele czasu do namysłu.

Procter zmarszczył czoło.

- Jako oficer Centralnej Agencji Wywiadowczej nie powinieneś raczej tak odpowiadać.

- To przez te leki, którymi mnie naszprywali.

Procter lekko się uśmiechnął.

- W takim razie przymknę na to oko.

Alvarez nic nie odpowiedział. Sięgnął do stolika po drugiej stronie łóżka po butelkę wody mineralnej. Przełożył ją do prawej dłoni, aby lewą odkręcić nakrętkę, lecz butelka była mokra i nie był jej w stanie utrzymać osłabionym chwytem.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponował Procter, podchodząc do łóżka.

Alvarez przytrzymał butelkę poza zasięgiem Proctera.

- Poradzę sobie.

Przycisnął butelkę do klatki piersiowej i dzięki tak uzyskanemu punktowi podparcia zdołał zdjąć nakrętkę. Wziął mały łycezek i odstawił wodę z powrotem.

- Jednak nie aż tak spragniony? - zagadnął Procter.

- Wygląda na to, że nie.

- Wiesz - zauważył Procter - że jakaś część mnie chciałaby się w tym momencie na ciebie wydrzeć za zignorowanie moich poleceń.

- Więc dlaczego pan tego nie zrobi?

- Bo przypuszczam, że czyniąc to, dałbym jedynie upust własnej złości. Wreszcie wykonałeś kawał dobrej, ale

niekonwencjonalnej roboty.

- Nie udało nam się zdobyć tych pocisków.

Procter wzruszył ramionami.

- Od chwili, gdy Ozols został zamordowany, a pendrive zniknął, nie mieliśmy szans na ich zdobycie. Już na samym starcie sprawa była przegrana i wszelkie gadki Chambers nie mogły nic w tej materii zmienić.

Alvarez potarł się po ramieniu.

Procter kontynuował.

- Nie pozwoliłeś, by przejął je ktokolwiek inny. I to jest najważniejsze.

- Zachowanie *status quo*?

- Na tym polega nasza robota.

- Co się teraz stanie z Fergusonem i Sykesem?

- Sykes sam się do nas zgłosił. Pójdzie na układ i obciąży Fergusoną.

- A kiedy ta wspaniała nowina dotrze do samego Fergusoną?

Procter zwlekał z odpowiedzią.

- To będzie wymagało nieco więcej zabiegów. Ale nie martw się, już się nie wywinie -

sięgnął po wodę. - Mogę?

- Alvarez skinął głową i Procter wziął spory łyk. - I żeby nie przyszło ci do głowy znowu działać na własną rękę - zauważył, zakręciwszy ponownie butelkę. - Następnym razem, kiedy wytniesz podobny numer, nie będę już taki wyrozumiały.

Alvarez ponownie uniósł do połowy ramię.

- Nawet jakbym chciał, to nie mogę.

Procter spojrzął na niego z bliska.

- Ale czy chciałbyś?

Alvarez zastanowił się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Raz wystarczy.

- I dobrze. Bo teraz spędzisz trochę czasu za biurkiem. Po części dlatego, że musisz się wykurować, a po części, by wyglądało, że wyciągam wobec ciebie konsekwencje.

Agencja nie przepada za raptusami.

Alvarez skinął głową.

- O której startuje twój samolot? - spytał Procter.

Alvarez spojrzął na zegarek.

- Niebawem.

- Postaraj się w nim być.

- Będę.
- Co zamierzasz zrobić po powrocie?
- Nic nadzwyczajnego. Urządzę grilla, pójdę na mecz. Zobaczą się z dzieciakiem.
- Brzmi zachęcająco - zauważył Procter.

ROZDZIAŁ 82

MOSKWA, ROSJA

WTOREK 14:11 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Pułkownik Gienadij Aniskowacz szedł korytarzem siedziby SWR i z utrzymywaną pod kontrolą wściekłością akceptował fakt, że jego pokancerowane oblicze przyciągało teraz więcej spojrzeń aniżeli wcześniej, gdy wyróżniał się urodą. Sekretarka Prudnikowa, która niegdyś ciągle wpatrywała się w niego z utęsknieniem i pożądaniem, teraz, gdy podszedł do jej biurka, odwróciła tylko wzrok. Aniskowacz poczekał, aż zapowie jego przybycie przez interkom, następnie zaś, gdy wreszcie obdarzyła go spojrzeniem, mimo odczuwanego bólu postarał się postać jej swój najlepszy uśmiech. Zaraz potem wszedł do gabinetu Prudnikowa.

Dyrektor pogrążony był w lekturze jakiegoś sprawozdania i nie podniósł wzroku.

Obyło się bez wstępnej pogawędki. Aniskowacz wiedział, że na tego typu uprzejmości nie ma co już liczyć. W końcu Prudnikow odłożył raport na bok, poprawiając kartki, aby leżały prostopadle do krawędzi biurka.

Nalał sobie szklanekę wody i upił nieco.

- Gardło mnie już boli od tych wszystkich tłumaczeń, które musiałem w waszym imieniu przedstawiać. Jak się zapewne domyślacie, w szczególności ludzie z GRU są niezadowoleni z faktu, że czterech doskonałych członków naszych oddziałów specjalnych straciło życie, dwóch kolejnych odniosło rany, a to wszystko w ramach operacji, o której nie pisaliśmy im ani słowa - a która od samego początku powinna zostać powierzona właśnie im.

Potał brew i podniósł wzrok, spoglądając przez na wpół przymknięte szare oczy.

- Nie podoba mi się, że kolejny raz stawiacie mnie w takiej sytuacji. Przystałem na waszą prośbę i powierzyłem wam zadanie wydobywania tych pocisków, jednocześnie dając wam szansę na podreperowanie zszarganej ostatnio reputacji. A wy co robicie? Doprowadzacie do kolejnych strat w ludziach. Przysparzacie mi kolejnych problemów. A kiedy już wracacie, nie macie mi do zaoferowania choćby garści śrubek.

- Pozwolę sobie przypomnieć o nieprzewidzianych okolicznościach, jakie stanęły nam na drodze - spokojnie odparł Aniskowacz. - A mimo to udało mi się zniszczyć pociski, tym samym uniemożliwiając Amerykanom wejście w posiadanie naszej technologii - Aniskowacz wyprostował plecy. - Jednocześnie chciałbym wyrazić najszczerzy żal w związku ze śmiercią niektórych komandosów.

Szef SWR uśmiechnął się złośliwie.

- Nawet wy, Gienadij, nie jesteście w stanie sprawić, bym nie wykrył w tych słowach fałszu. Choć inni być może nabiorą się na wasz urok, mnie nie tak łatwo zwieść.

Rozmawiałem z żołnierzami, którzy wylądowali w szpitalu i wiem, jak w istocie potoczyły się wypadki. Z faktem zniszczenia pocisków nie mieliście nic wspólnego. Był to po prostu pomyślny zbieg okoliczności, nie próbujcie więc przypisywać sobie z tego tytułu żadnych zasług. Zawsze wiedziałem, że jesteście człowiekiem bezwzględny, teraz jednak zrozumiałem, że brak wam sumienia - i to nawet wtedy, gdy dobrzy ludzie giną przez waszą wygórowaną ambicję. Gdyby to tylko ode mnie zależało, wyrzuciłbym was ze służby albo przynajmniej zagwarantował, byście do końca kariery tkwili za biurkiem, gdzie nie wyrządzilibyście już więcej szkód.

- Proszę pana, ja...

- Cisza - Prudnikow machnął dłonią. - Oszczędźcie mi, proszę, waszych gładkich słów. Nie ma takiej potrzeby. Powiem szczerze: wasza zdolność wyciągania korzyści z własnych błędów jest w najwyższym stopniu imponująca. Nie sądzę, bym nawet w latach swej świetności potrafił równie sprawnie się wywinąć.

- Nie rozumiem.

- Ależ oczywiście. Tymczasem wygląda na to, że nie tylko GRU otrzymało informacje dotyczące przebiegu operacji w Tanzanii. Fakt, że Amerykanie niemal przejęli naszą technologię rakietową, poruszył kręgi władzy położone poza moim zasięgiem. Przeciek o wydarzeniach do osób niezorientowanych w temacie był z waszej strony nadzwyczaj przebiegłym posunięciem. W ten sposób pozorny sukces osłonił was przed konsekwencjami waszego niepowodzenia. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak docenić wasz spryt.

Początkowo na wieść o przecieku Aniskowacz planował okazać zdumienie, teraz jednak postanowił powstrzymać się od jakiegokolwiek reakcji. Zgrywanie głupka nie miałoby w tym momencie większego sensu.

- Wiele osób interesujących się jedynie informacjami z prasowych nagłówków wyraziło ogromne zadowolenie z przebiegu waszych działań. W tej chwili opracowywane są już oświadczenia dla mediów, w których chwalimy się odniesionym sukcesem - Prudnikow westchnął. - Niezły z was bohater, co?

- Wykonuję moje obowiązki najlepiej, jak tylko potrafię.

Prudnikow zaśmiał się cierpko i odchylił na krześle.

- Wygląda na to, że wasze notowania poszły ostro w górę i zyskał pan na Kremlu nowych przyjaciół, którzy donoszą mi, że daliście Rosji powód do dumy i że przesuwając was w dół w hierarchii obowiązków, osłabiłbym wręcz nasz naród. Najwyraźniej życie czterech zasłużonych żołnierzy, czterech prawdziwych bohaterów, to niewygórowana cena za utrzymanie naszej przewagi rakietowej. Otrzymałem polecenie przekazania wam gratulacji, a nawet nagrodzenia was.

Pułkownik starał się nie okazywać zbyt dużego samozadowolenia. Sprawy układały się jeszcze pomyślniej, niż się tego spodziewał.

- Dziękuję panu.

- Nie ma potrzeby, byście mi dziękowali, Gienadij, gdyż odpowiadacie za to sami. A zatem wszelkie podziękowania, jakie otrzymujecie, adresowane być powinny wyłącznie do was.

- W takim razie dziękuję samemu sobie.

Oczy Prudnikowa zawężyły się do rozmiarów szparek.

- Arogancja jeszcze was zgubi.

- Możliwe - zaczął Aniskowacz - lecz jak na razie rzekoma arogancja z mojej strony jest zupełnie uzasadniona. Nie ma też powodu, by przypuszczać, że w przyszłości uzasadnienie to straci. W związku z tym, proszę pana, trafniejszym określeniem byłaby raczej pewność siebie.

Prudnikow przez dłuższą chwilę przyglądał się Aniskowaczowi z wyrazem czystej pogardy. Nie zdecydował się na ripostę, pułkownik uznał zaś jego milczenie za oznakę kapitulacji w słownej przepychance. W końcu szef SWR poprawił okulary i odchrząknął.

- Jako że nie mogę was odwołać - stwierdził - równie dobrze możecie mi się do czegoś przydać. Macie kontynuować swoje dochodzenie w sprawie zabójcy generała Banarowa.

Mam nadzieję, że chociaż w tej kwestii większych zniszczeń już nie wywołacie. Wiemy o tym zabójcy może coś nowego?

Aniskowacz nie przedstawił Prudnikowowi wszystkich szczegółów wydarzeń z Tanzanii, zupełnie pomijając wątek mordercy Banarowa. Była to zbyt cenna informacja, by ujawnić ją przed nadejściem najodpowiedniejszej chwili. Tymczasem, dla uspokojenia Prudnikowa, mógł sobie pozwolić na wyjawienie jakiegoś małego detalu.

- Cóż - odezwał się Aniskowacz, starannie kontrolując dramatyzm chwili. - W tej kwestii udało nam się dokonać bardzo ciekawego odkrycia.

ROZDZIAŁ 83

TANGA, TANZANIA

WTOREK 16:50 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Kiedy Wiktor się obudził, chciał zwymiotować, zmusił się jednak, by w pierwszej kolejności, gdy tylko wystarczająco wróciła mu świadomość, rozejrzeć się po otoczeniu.

Leżał w szpitalnym łóżku z moskitierą. Nie odzyskał jeszcze ostrości widzenia, mógł jednak stwierdzić, że jest jasno. Był dzień. Pod sufitem buczał wentylator. Pomieszczenie było niewielkie. Przebywał w nim sam.

Każdy centymetr ciała zdawał się go boleć. Skórę gęsto znaczyły siniaki. Rany na całym ciele zostały starannie opatrzone. Pierścień bandażu ściśle opasywał jego brzuch, lecz najgrubsza warstwa opatrunków pokrywała lewe przedramię. Nie założono mu żadnych szyn ani gipsu, wiedział więc, że nie połamał kości, obawiał się jednak uszkodzeń ścięgien, dlatego ostrożnie poruszył lewą ręką. Wykrzywił się z bólu, lecz wszystkie palce zdawały się poruszać prawidłowo. Miał nadzieję, że nie doszło do żadnych długotrwałych urazów.

O ile zdoła wrócić do Europy, na wszelki wypadek pokaże jeszcze to wszystko specjaliście.

Czuł się osłabiony. Trudno mu było nawet usiąść na łóżku. Domyślił się, że prócz odniesionych obrażeń do jego stanu przyczyniały się skutki uboczne podanych leków przeciwbólowych i uspokajających. Ponieważ nie miał wetkniętych w siebie żadnych rurek, wysunął nogi spod koca i dotknął stopami zimnej posadzki.

Nie wiedział, dlaczego znajduje się w prywatnym pokoju, a nie w sali zbiorczej. Być może zawdzięczał to po prostu kolorowi skóry. Nie bez wysiłku wstał, po czym powoli przesunął się do okna. Zauważył, że znajduje się na pierwszym piętrze, jakieś cztery i pół

metra od ziemi. Nie tak wysoko, lecz wątpił, by w obecnym stanie fizycznym zdołałby unieść ciężar własnego ciała, nie wspominając nawet o wysiłku wspinaczki. Okno stanowiło ewentualną drogę ucieczki, nie zaś podstawowe wyjście z pomieszczenia.

Musiał zachować ostrożność, rozważając sposób opuszczenia szpitala. Wymykając się niezauważony, mógłby wywołać zamieszanie. W sytuacji, gdyby później ktoś o niego pytał, ludzie mogliby przypomnieć sobie znacznie więcej. Jeżeli zaś uniknąłby pośpiechu i poczekał

na wypis, to gdyby nawet o niego rozpytywano, personel pamiętałby tylko o jego obrażeniach i rasie. Już po opuszczeniu lecznicy mógłby wrócić i przekupić jakiegoś stażystę, by ten wykradł jego akta.

Czuł na sobie promienie słońca i sprawiały mu one przyjemność. Wiedział, że żyje - i nigdy nie podejrzewał, że uczucie to może być tak wspaniałe. Nie był jednak bezpieczny.

Zdziwiło go, że przed pokojem nie stali wartownicy. Być może tanzańskie władze nie zdawały sobie sprawy z jego udziału w masakrze z minionej nocy. Zorientował się, że stracił

poczucie czasu. Nie wiedział, jaka jest pora dnia ani ile czasu upłynęło od walki na noże w korycie rzeki. Przypomniawszy sobie, że w międzyczasie ze dwa razy się jeszcze na chwilę przebudził, nie zapamiętał jednak żadnych szczegółów. Miał nadzieję, że od ostatnich wydarzeń nie minęła więcej niż doba.

Drzwi pokoju otworzyły się. Obrócił się i ujrzał w nich lekarza. Wciąż nie odzyskał

pełnej sprawności w oczach, toteż ledwo dostrzegł twarz przybysza. Ten był biały i wysoki, miał nadwagę i wyglądał na pięćdziesiąt parę lat.

- Jak się pan czuje?

Miał dziwny akcent, którego Wiktor nie rozpoznał.

- Jak otumaniony - odparł.

Lekarz wydawał się poruszony.

- Powinien pan odpoczywać.

- Od jak dawna tu jestem?

- Już prawie dwa dni.

Wiedział, że ma szczęście. Przez tyle czasu informacja o miejscu jego pobytu nie dotarła do nikogo znaczącego. Zarazem jednak każda kolejna chwila spędzona w szpitalu oznaczała ryzyko, że jego wrogowie zdołają go namierzyć. Musiał zniknąć i to jak najszybciej, choćby nawet oznaczało to zrobienie zamieszania. Otworzył szafkę przy łóżku.

W środku znajdowała się część jego ubrań.

- Muszę się stąd wydostać - stwierdził.

- Nim pan wyjdzie, chciałbym z panem porozmawiać.

- Nie mam czasu.

- Jest pan pewien?

Coś w głosie rozmówcy skłoniło go do podniesienia wzroku. Twarz, którą miał przed sobą, zaczynała nabierać konturów. Na obliczu lekarza malowało się zaniepokojenie. Jego fartuch był nieskazitelnie czysty. Żadnych długopisów wpiętych w kieszeń, żadnego przewieszzonego na szyi stetoskopu ani tabliczki z nazwiskiem.

Wstrzymał się z ubieraniem.

- Kim pan jest?

- Nie jestem lekarzem.

- Tego zdołałem się akurat domyślić.

Mężczyzna przebrany za lekarza uśmiechnął się.

- Gdyby pan się nie zorientował, czułbym się zawiedziony.

- Jeśli przyszedłeś mnie zabić, za bardzo się ociągałeś.

- Myślisz, że jestem zabójcą? - mężczyzna zaśmiał się pod nosem. - Bynajmniej.

- Kim więc jesteś?

- Powiedzmy, że kimś w rodzaju administratora.

Wiktor kontynuował ubieranie się.

- A ten akcent jest niezbędny?

- Tak lepiej?

A zatem - Amerykanin.

- Gdzie wsparcie?

- Nie mam.

Wiedział, że facet kłamie.

- To dlaczego nie miałbym cię teraz zabić?

- Zważywszy na twój obecny stan fizyczny, nawet ty miałbyś z tym problem. Przede wszystkim jednak nie zabijesz mnie z tego samego powodu, z jakiego ja nie zabiłbym ciebie -

przybysz wskazał palcem na okno w drzwiach, przez które widać było chodzących po korytarzu pacjentów i pracowników szpitala, pielęgniarki i jakiegoś woźnego. Potencjalnych świadków. - Chcę tylko porozmawiać.

- No to właśnie rozmawiamy - odparł Wiktor. - Masz czas, nim skończę się ubierać.

- W takim razie streszczę się.

Przez cały czas obserwował administratora. Nic nie wskazywało, by był on uzbrojony.

- Mam taką nadzieję.

- Jestem tu, bo możemy sobie nawzajem pomóc.

- Niby jak?

- Obaj chcemy tego samego.

- To znaczy?

- By to wszystko się wreszcie skończyło.

- No i?

- A ja mogę sprawić, że tak się stanie.

- Jak to? - spytał autentycznie zaintrygowany Wiktor.

- Niech cię nie zmyli moja miła powierzchowność - zastrzegł administrator. - W rzeczywistości nie jestem taki przyjemny.

- Wcale mnie nie zmyliła - odparł Wiktor. - A ty nie odpowiedziałeś na pytanie.

- Mam swoje powody. Ale cała ta afera nie powinna w ogóle mieć miejsca. Chciałbym to teraz uporządkować.

Sprawy wreszcie zaczynały nabierać sensu.

- A kogo konkretnie reprezentujesz?

- Rząd Stanów Zjednoczonych.

- Mocno w to wątpię - zauważył Wiktor.

- Reprezentuję Stany Zjednoczone na swój własny sposób - doprecyzował administrator.

Przez chwilę obaj milczeli, po czym administrator wyjął z kieszeni jakiś przedmiot i rzucił jemu. Ten złapał go prawą dłonią. Był to nóż zabójcy. Ostrożnie go rozłożył. Poczul, jak jego lewe przedramię pulsuje.

- To bardzo szczególna broń - zauważył administrator. - Wykonana na zamówienie.

Ani śladu metalu. Ceramiczna klinga, mocowanie z włókna węglowego, czubek gladiatorski, ostrze typu kriss.

- Znasz się na nożach - skomentował Wiktor.

- Nie całe życie byłem gryziopiórkim - wyjaśnił obojętnym głosem administrator. - Co się stało z człowiekiem, który cię tym dźgnął?

Wiktor złożył ostrze.

- Oddałem mu.

Na nalanej twarzy administratora pojawił się uśmiech. Chciał mu zwrócić nóż, ten jednak uniósł dłoń.

- Weź go sobie. Tobie bardziej się przyda.

Zachował broń w ręku.

- Skoro już jesteś taki hojny - odezwał się - masz może papierosa?

Administrator potrząsnął głową.

- Mógłbym ci pewnie zorganizować.

- Nieważne - stwierdził po chwili Wiktor. - Chyba właśnie rzuciłem.

- Tym lepiej - skonstatował administrator. - A zatem zgadzasz się?

- A zatem zastanowię się. Ale nie jesteś tu tylko po to, prawda?

Administrator uśmiechnął się.

- Spozregawczy jesteś. Masz rację, chodzi o coś jeszcze. Interesowałoby mnie wynajmowanie twoich usług. Od czasu do czasu.

- Rozważam przejście na emeryturę.

- Liczę, że jeszcze się nad tym zastanowisz.

- Po co ci ktoś taki jak ja?

- Mój kolega popełnił błąd, uznając cię za narzędzie jednorazowego użytku. Osobiście uważam, że twój potencjał jest o wiele większy.

- Nie musisz dopieszczać mojego ego.

- Tak czy owak chodzi o to, że niekiedy trzeba zlecić jakieś zadanie komuś spoza rodziny. Konwencjonalne kanały działania nie zawsze okazują się najbardziej opłacalne pod względem zaangażowanego czasu i środków. Zwłaszcza zaś, gdy zadanie ma charakter, technicznie rzecz ujmując, nielegalny.

- Macie już zamiary na tysiące podobnych do mnie. Po co wam ktoś jeszcze?

- Ponieważ tamci istnieją, a ty nie. Pomimo tego wszystkiego, co wydarzyło się przez ostatnie dwa tygodnie, zachowałeś nie tylko życie, ale i anonimowość. Agencja nadal nic o tobie nie wie. Nie wie o tobie nikt. To niemałe osiągnięcie.

- A mimo to jakoś mnie znalazłeś.

- Po wczorajszym numerze nie było to aż takie trudne. Ale i tak nie wiem, kim jesteś i wątpię, czy kiedykolwiek się tego dowiem. Powiedzmy, że minione dwa tygodnie uznaję za proces rekrutacyjny. Dowiodłeś swych wyjątkowych kwalifikacji i idealnie nadajesz się do obsadzenia wakatu, jakim dysponuję.

- Miałem wielkie szczęście.

- Ja nie wierzę w szczęście. Nie wydaje mi się też, abyś ty w nie wierzył.

- A jak taki układ miałby działać?

- Wykonywałbyś wyłącznie zlecenia otrzymane ode mnie. Przekazywałbym ci je osobiście lub przez współpracownika. I tyle. Proste.

Oblicze Wiktora pozostało niewzruszone.

- Wiem już, co ty byś z tego miał, ale gdzie w tym korzyść dla mnie?

- W pieniądzach, rzecz jasna.

- Nie znasz jeszcze moich stawek. A zastanawiam się nad ich podwyższeniem.

Administrator uśmiechnął się krzywo.

- Jestem pewien, że będzie nas na ciebie stać.

- Dostanę coś jeszcze?

- Nietykalność. Pomożemy ci uniknąć wszelkich zbędnych komplikacji w kontaktach z władzami innych krajów. Francuzi nadal szukają cię w związku z wydarzeniami w Paryżu, jestem też pewien, że Szwajcarzy również pragnęliby ci zadać kilka pytań. Nie wspominając nawet o Rosjanach.

- Propozycja staje się kusząca.

Administrator ciągnął dalej.

- A co najważniejsze, jeżeli będziesz postępował ściśle według przekazywanych instrukcji i nadmiernie się nie wystawiał, mogę się postarać, by nie niepokoił cię też nikt z mojej strony Atlantyku.

- Co, jeżeli odmówię?

- Wątpię, byś to uczynił.

Wiktor wytrzymał spojrzenie rozmówcy. Wiedział aż za dobrze, co by się w takim wypadku stało. Barczysty woźny, który udawał, że bez reszty pochłania go praca na korytarzu, sięgnąłby do podejrzenie czystej skrzynki narzędziowej i wyciągnął coś innego niż śrubokręt.

- Niech będzie - odparł. - Przyjmuję.

- Tak też myślałem.

- Pod jednym warunkiem - dodał.

- Mów.

- Chcę dorwać tego, kto to wszystko zaczął. Warunek nie podlega negocjacji.

Twarz administratora praktycznie nie drgnęła.

- Podejrzałem, że możesz czegoś takiego zażądać. Będiesz go miał - wziął

przyczepioną do podkładki do pisania kopertę i położył ją na brzegu łóżka. Skontaktuję się z tobą za parę tygodni, abyś mógł do tego czasu wypocząć. Wtedy przedyskutujemy dalsze warunki współpracy.

- I jeszcze jedno - odezwał się Wiktor, gdy administrator kierował się już do drzwi.

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie spytasz - administrator stanął i zwrócił się w jego stronę. - Chciałbyś wiedzieć, co takiego było na pokładzie wraku, prawda? Chcesz wiedzieć, o co w tej aferze tak naprawdę chodziło.

Wiktor nie odwzajemnił spojrzenia.

- Nic mnie to nie obchodzi. I nie obchodziło mnie ani przez moment.

Administrator zmarszczył szerokie czoło i skrzyżował ręce na piersi.

- Zatem o co chodzi?

- Uczestniczyła w tym pewna kobieta - podszedł do okna. - Rebecca.

- Rebecca Sumner - dopowiedział administrator, a w jego głosie dało się słyszeć autentyczne zaciekawienie, - Zginęła na Cyprze.

- Zgadza się - powoli odrzekł.

- Co zatem chciałbyś o niej wiedzieć?

Jasne promienie słońca grzały twarz Wiktora.

- Wszystko.

ROZDZIAŁ 84

17:02 CZASU WSCHODNIOAFRYKAŃSKIEGO

Administrator zamknął za sobą drzwi i podążył ruchliwym korytarzem szpitala.

Postarał się nie spojrzeć w stronę woźnego kręcącego się przy pokoju Tesseracta. Proste skinienie głową oznaczałoby dla niego sygnał, by wejść do środka i zabić rannego zabójcę, zaś Roland Procter nie chciał niepotrzebnie likwidować swojego nowego pracownika.

Namierzenie Tesseracta było dosyć proste. Kiedy Procter skończył wysłuchiwać relacji Sykesa, zlecił jego odszukanie miejscowym współpracownikom. Nie zajęło to zbyt dużo czasu. Niedawno hospitalizowanych białych mężczyzn nie było w mieście aż tak wielu.

Procter pomyślał o Fergusonie. Cała ta afery wybuchła tylko dlatego, że starego drania niedostatecznie poklepano po plecach za to, że dwadzieścia lat temu zrobił, co do niego należało. Żadne to usprawiedliwienie, by dla kilku milionów stać się zdrajcą. Żałosny koniec kariery niegdyś przyzwoitego człowieka. Sam Procter nie gonił za pieniędzmi. Jemu zależało na władzy. Władza pozwalała zdobyć wszystko, co umożliwiały pieniądze, jak również to, czego nie można było kupić.

Wyszedł ze szpitala w doskonałym nastroju. Za kilka dni będzie miał przeciwko Fergusonowi tak solidny akt oskarżenia, że nawet pismacy z Kapitolu nie zdołają zamieść go pod dywan. Dzięki przemyślanym przeciekom do prasy Procter postara się, by jego fotografia zagościła na każdym stoliku śniadaniowym w mieście. Doszedł do wniosku, że tytuł

Zbawiciela CIA brzmiałby całkiem nieźle.

Spodziewał się, że w ciągu sześciu najbliższych miesięcy otrzyma awans. Chambers dostała swoje stanowisko tylko na czas poszukiwania kogoś odpowiedniejszego, Procter zaś planował niebawem zaprezentować się jako idealny kandydat. Wobec śmierci Fergusona jego awans nabrałby tylko na znaczeniu. Możliwość zszargania imienia zmarłego bohatera była cenniejsza niż możliwość zniszczenia go za życia. Wszystkie grube ryby - zarówno te z Agencji, jak i z Kapitolu - pragnęłyby utrzymać w ukryciu skandal takich rozmiarów. Gdyby Procter postanowił zachować milczenie, pośród najważniejszych ludzi w kraju zyskałby niewyobrażalnie wielki kapitał polityczny.

Doprowadzenie do zabicia Fergusona nie wstrząsnęło zbytnio już wcześniej nadwyrężonym systemem moralnym Proctera. Ferguson był zdrajcą i mordercą, toteż jego egzekucja stanowić będzie sprawiedliwą zapłatę za popełnione zbrodnie. Procter swego czasu wydał wyroki na osoby bardziej prawe niż Ferguson, a mimo to dalej sypiał snem sprawiedliwego. Co więcej,

zabicie zdrajcy wiązało się z dodatkową korzyścią dla niego -

przeciągało na jego stronę Tesseracta. Oto Procter zyskiwał na wyłączność zawodowego zabójcę.

Uśmiechnął się. Wszystko układało się idealnie, przestrzegł jednak sam siebie przed zbytnią arogancją. Był dobry, to nie ulegało wątpliwości, lecz to właśnie ci, którzy nie zdawali sobie sprawy, że nie są niezniszczalni, napotykali na największe przeszkody w osiągnięciu pełni swego potencjału. Nie zamierzał popełnić tego samego błędu, co Ferguson.

Procter wiedział, że jest na to zdecydowanie za dobry. Na ulicy przed szpitalem dołączył do niego szczupły mężczyzna. Miał na sobie biały lniany garnitur i wyglądało na to, że tanzańskie słońce męczy go niemiłosiernie. Jego blada twarz błyszczała od potu.

Szli teraz obok siebie.

- Jak poszło? - spytał Procter.

- Nic się nie da wyciągnąć - odparł drugi z mężczyzn. - Fregata kompletnie rozwalona, zaś pociski na jej pokładzie albo rozpadły się na kawałki, albo skorodowały, albo też jedno i drugie. A co do ciężarówki, cóż, pociski i tak były już przeżarte przez rdzę. Ogień dopełnił

dzieła. Jeśli nawet coś ocalało z pożaru, miejscowi zdążyli to rozgabić.

- Miło byłoby przejąć chociaż jeden - zauważył Procter.

- No, ale nie można mieć wszystkiego.

- Rzeczywiście nie można.

- Co z Tesseractem?

- Nasi ludzie przybyli na miejsce zbyt późno, by móc niezauważenie pobrać od niego odciski palców. Mamy jednak próbkę jego krwi z momentu przyjęcia do szpitala oraz - co ważniejsze - fotografie. Jest też parę innych tropów, które będziemy mogli przebadać po powrocie do domu - szczupły mężczyzna zszedł na bok, aby wyminąć zmierzającą w przeciwnym kierunku gromadkę roześmianych dzieci.

- Tutaj są wszystkie dane.

Przekazał Procterowi cienką teczkę, ten zaś pobieżnie ją przejrzał.

- Dobra robota, panie Clarke.

Oblicze Clarke'a pozostało niewzruszone.

- Ale nie myśli pan, że gość rzeczywiście dotrzyma umowy?

- Nie ma wyboru.

Clarke nie wyglądał na przekonanego.

Procter zabrał głos.

- Kiedy sprowadzasz do domu niebezpiecznego psa, powinieneś pokazać mu, kto tu jest szefem, jeszcze zanim odgryzie ci kawałek tyłka - zerknął w stronę Clarke'a. - Zadbamy o to, by ta bestia od początku pojęła, że w hierarchii stada znajduje się na samym dole. Jeżeli nie da się wytresować, zawsze istnieje proste rozwiązanie. Będzie trzeba ją uspić.

- O ile pan pamięta - zwrócił uwagę Clarke - ostatnim razem, gdy próbowano czegoś podobnego, sprawy nie potoczyły się zbyt pomyślnie.

- Faktycznie - przyznał, potakując, Procter. - W porównaniu z naszymi poprzednikami dysponujemy jednak pewnym

niepodważalnym atutem. Dzięki temu - Procter stuknął w nową teczkę Wiktora - mamy go teraz w garści.

ROZDZIAŁ 85

FALLS CHURCH, WIRGINIA, STANY ZJEDNOCZONE

SOBOTA. TRZY TYGODNIE RÓŻNIEJ 22:49 CZASU WSCHODNIEGO

Zasłony poruszyły się. Przez okno wpadał delikatny i chłodny wietrzyk. William Ferguson leżał w swoim łóżku z mokrymi włosami po wzięciu prysznic. Na stoliku obok stała szkoeka z wodą, zaś na kolanach gospodarza spoczywał rozłożony egzemplarz jego ulubionego dziennika. Jeżeli w ciągu dnia nie był w stanie przeczytać go do końca, zawsze przed pójściem spać starał się to nadrobić.

W domu panowała cisza. Już od dawna nikt więcej tu nie mieszkał, gospodarz zaś najbardziej lubił towarzystwo samego siebie. Czasami jednak brakowało mu obecności innych. Spojrzał na małe zielone światełko. Wskazywało, że wszystko jest w porządku.

Rezydencja Fergusona wyposażona była w dostarczony i zainstalowany przez Agencję system zabezpieczeń najwyższej klasy. Jeśli ktoś lub coś przedostałoby się w obręb chronionej strefy, lampa zaświeciłaby się na czerwono. Jak dotąd jeszcze ani razu się to nie zdarzyło.

Zdawało się, że minęły całe wieki, odkąd Sykes wrócił z Tanzanii z prośbą o przebaczenie. Sam Ferguson musiał przyznać, że prosta operacja przerodziła się w gigantyczne zamieszanie, ale wszystko dobiegło już końca. Nie stanie się więc bogaty, a przynajmniej nie teraz. Wciąż miał czas, by przed przejściem na emeryturę obmyśleć ostatnią intrygę. Przynajmniej udało mu się nie dopuścić, by jego kraj niezasłużenie położył łapska na pociskach Onyks. Nie było to zbyt wiele, zdołał jednak w jakiś sposób odegrać się za to, jak został zignorowany i niedoceniony. Postanowił, że nim rozważy następny krok, pozwoli sprawom nieco przycichnąć.

Ten fartowny sukinsyn Sykes zdołał w jakiś sposób wywinąć się z rąk Reeda, lecz na szczęście nie miał pojęcia, że w ogóle znalazł się na liście do odstrzału. Reed z kolei zniknął

bez śladu. Jakkolwiek trudno było w to uwierzyć, jedynym wytłumaczeniem było, że ktoś go zabił. Nie wzbudzając podejrzeń, Ferguson nie mógł dowiedzieć się o wydarzeniach z Tanzanii niczego więcej.

Zarazem jednak stary agent był świadom, że nic mu nie grozi. Alvarez przestał

węszyć, Procter i Chambers zaś mieli pilniejsze sprawy na głowie. Tak długo, jak Ferguson nie będzie się wychylał, nic mu się nie stanie.

Nadal trzeba było pozbyć się Sykesa. Ten metroseksualny mięczak nie miał ani łba, ani ikry, jakich potrzeba do tego rodzaju roboty. Stanowił teraz jedynie potencjalne zagrożenie. Jako ostatnie ogniwo łączące Fergusona z nieudaną operacją nie mógł pozostać przy życiu. Jeśli zajdzie potrzeba, Ferguson był nawet gotów wykończyć go osobiście.

Najprawdopodobniej zresztą sprawiłoby mu to przyjemność. Stary agent przewrócił stronę gazety i wziął łyk whisky, rozkoszując się jej smakiem przed przełknięciem. Odstawił

szklankę na miejsce i zmarszczył brwi, zdając sobie sprawę, że zrobiło mu się zimno. To przez to otwarte okno.

Usiłował nie zwracać uwagi na chłód, gdy jednak dotarł do kolejnej strony, postanowił coś z tym zrobić. Odrzucił kołdrę i przeszedł przez przestronną sypialnię do przylegającego aneksu. Sapnął z niezadowolenia i zamknął okno, starając się jednocześnie przypomnieć sobie moment, kiedy je otworzył. Modlił się przy tym do Boga, w którego istnienie nigdy nie wierzył, by nie okazało się, że umysł zaczyna mu szwankować.

Po powrocie do łóżka dopił szkoeką i zrzucił gazetę na podłogę. Ułożył się w wygodnej pozycji i zgasił lampkę. Policzką wymacał gładki fragment poduszki. Wreszcie zadowolony odetchnął.

Chwilę później chłodna stał dotknęła jego skroni.

Jęknął.

Z ciemności przemówił do niego głos. Ostatni, jaki przyszło mu usłyszeć.

- To dla mnie przyjemność móc pana wreszcie poznać.